

CYKL TEATR WĘZY

W MOCY WICHRU

Robert
M. Wegner
poleca!

AGNIESZKA HAŁAS



AGNIESZKA HAŁAS

CYKL TEATR WĘZY

W MOCY WICHRU

Tom III



Dom Wydawniczy REBIS

*Give me what I'm deep in need of
A sanctuary beyond this cruel world
A peerless cure-all to recover
Like lithium and a lover*

(Sirenia, Lithium and a Lover)

Wstęp

Pisanie wstępu do książki to ciężka robota. Właściwie można to zrobić tylko z perspektywy czytelnika, który ma za sobą własne wrażenia, garść przemyśleń i tego czegoś, co każda dobra książka zostawia nam w sercu. Ale gdy poproszono mnie, bym napisał kilka słów wstępu do tej książki, ucieszyłem się jak diabli. Od razu przypomniałem sobie Krzyczącego w Ciemności, którego pierwszy raz spotkałem w śp. Fenixie, przy czym nie mam tu na myśli banalnego wspomnienia o jakiejś tam postaci, którą piąte przez dziesiąte kojarzę z jakimś cyklem fantasy. Nie. Brune Keare zapadł mi w pamięć tak jak Kane z cyklu Wagnera, Ged z Ziemiomorza, Karenira z Grombelardu czy ten cholerny Geralt Riv. Był charakterystyczny, tajemniczy, mroczny i bezwzględny, ale też na swój sposób honorowy i uczciwy. I od samego początku, gdy spotkałem go w mrocznych podziemiach zamieszkałych przez złodziei, bandytów, odmieńców, ludzi skażonych i odepchniętych przez „lepszą” część świata, od pierwszego spojrzenia budził zaciekawienie i chęć poznania jego historii.

Pamiętam, jak przyszedł do mnie w gości, rozsiadł się i zaczął snuć swoją opowieść.

A tylko z pozoru była to zwykła historia, jakich wiele. O bogach, którzy walcząc w obronie świata, przelali zbyt wiele krwi i stracili serce dla swoich dzieł, o Zmroczy, którą podarowali porzuconemu światu, by chroniła go przed tymi, którzy chętnie wzięliby w posiadanie taki leżący odłogiem skarb – duchami, demonami, żywiołakami i innymi bytami, oraz o magii, srebrnej i czarnej – dwóch szalach wagi, które muszą pozostawać w równowadze, jeśli świat ma ocaleć.

I była to też historia o ludziach, a może właśnie przede wszystkim o ludziach i o tym, jak potrafią każdą rzecz spieprzyć.

Polubiłem drania za to, że nie rozczulał się nad sobą, nie udawał kogoś, kim nie jest, że był naturalny i niezmanierowany, co jest grzechem większości postaci literackich, którym twórcy usiłują nadać

rys „prawdziwości”, oraz za to, że kierował się swoim własnym, prywatnym kodeksem. I nie przeszkadzała mi ani jego oszpecona gęba, ani tajemnicza przeszłość, ani mrok, który go otaczał.

Bo Krzyczący w Ciemności przyszedł do mnie jako czysta karta, ktoś bez przeszłości, z pamięcią wymazaną tak dokładnie, że można by na tej bieli wyrysować dowolny obraz – bohatera, zdrajcy, łotra albo świętego – i zarazem przyszedł jako postać z krwi i kości, żywa, czująca, budząca zaciekawienie – jako człowiek jednym słowem. A to wielka sztuka narysować kilkoma zdaniami kogoś, kto jest człowiekiem, choć nie wiemy o nim nic poza tym, że jest, żyje i cierpi.

Brune tylko na pierwszy rzut oka wydaje się archetypem mrocznego twardziela z zasadami, któremu można bez wahania pożyczyć pieniądze, tak jak świat stworzony przez Agnieszkę Hałas tylko na pierwszy rzut oka wydaje się prostym światem z podziałem na pozornie dobrą srebrną magię i zepchniętą do defensywy, poddaną czarnemu – nomen omen – piarowi czerni. Ten świat ma zbyt wiele odcieni, zbyt wiele subtelnych, często zaznaczonych ledwo kilkoma słowami barw, by dało się go łatwo zasufladkować. Tętni bogactwem niczym *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*, zadziwia patentami rodem ze steampunku, igra z demonologią z różnych stron świata i z różnych czasów. I wszystko to znakomicie ze sobą współgra. Magowie, demony, istoty z innych planów egzystencji, żywiołaki i zwykli ludzie poruszają się w nim w skomplikowanym tańcu, do którego przygrywa im orkiestra mająca zamiast nut plansze ze skomplikowanymi wykresami nie tylko ludzkiej ambicji, chciwości, podłości i obłudy, ale też – choć rzadziej – miłosierdzia, uczciwości i prawości. Nic tu nie jest takie, jakie mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, a kto spróbuje użyć do odnalezienia się w tym świecie prostych schematów, takich jak dark fantasy, będzie regularnie czuł się zbity z tropu.

I o to właśnie chodzi. To wyróżnik opowieści przez duże „O”, wymykającej się schematom, zmuszającej do koncentracji, lecz jednocześnie zapadającej w pamięć i pozostającej z nami długo po zamknięciu książki. Podskórnie czujemy, że autorka zabrała nas do świata podobnego do naszego, gdzie dylematy moralne nie prowadzą się do banalnego wyboru między jasną a ciemną stroną Mocy. Tutaj każdy zysk okupiony jest czyjąś stratą, łatwo jest przegrać wszystko, trudno wspiąć się na szczyt, a szczeble społecznej

drabiny są śliskie od krwi i łez. Głębia tego świata nie ogranicza się tylko do metafizycznej Otchłani, w której demony knują swoje intrygi, bardziej dotyka ludzkich dusz i umysłów, bo żadna z postaci nie daje się jednoznacznie sklasyfikować jako dobra czy zła.

I ten świat poznajemy właśnie dzięki Krzyczącemu w Ciemności, postaci na tyle charakterystycznej, że trudno o niej zapomnieć. Spotykamy go jako pozbawionego pamięci wyrzutka i wraz z nim odkrywamy krainy ukryte pod Zmroczą. I dzięki niemu poznajemy innych bohaterów, drugo- i trzecioplanowych, z których niejeden zasługuje na osobną opowieść. Widzimy blichtr, który po zdrapaniu odsłania ropiejące wrzody, piękne maski, zza których wyglądają przeżarte trądem, beznose twarze i bezwzględność udającą prawość. Ten świat jest piękny jak niektóre gatunki egzotycznych kwiatów, wabiących przepychem barw i kształtów, lecz gdy się nad nimi nachylić, w nozdrza uderza nas odór zgniłego mięsa. Ale świat ten zasługuje, by go poznać, zanurzyć się w nim, posmakować. Nie jest wydmuszką albo kawałkiem, wybaczcie kulinarne porównanie, ryżowego wafelka, jest mięsisty w najlepszym, literackim znaczeniu tego słowa, oferuje sycącą ucztę, po której zostaje w nas olbrzymia satysfakcja, że nie zmarnowaliśmy czasu.

I chęć ponownych odwiedzin.

Polska fantasy doczekała się kilku znakomitych uniwersów, a świat stworzony przez Agnieszkę Hałas właśnie się do nich zalicza. Żyje, oddycha i krwawi, a my wraz z nim. Nie zadowala się łatwymi rozwiązaniami ani banalnymi odpowiedziami, zabiera nas w ciekawą i wyczerpującą podróż, z której wracamy oszołomieni lub zniesmaczeni, przybici albo zachwyceni. Ale nie obojętni. A to kwintesencja dobrej opowieści.

Polecam.

Robert M. Wegner

Prolog

Dawno temu światem rządziło dziewięciu bogów. Gdy w końcu trudy istnienia i gorycz nieśmiertelności ich przytłoczyły, odeszli, w pożegnalnym darze zostawiając ludziom magię. Lecz ich moc była zbyt wielka, aby mogli zniknąć z materialnego wymiaru ot tak, bez śladu. Odchodząc, pozostawili po sobie echo – czarodziejską wibrację, która co jakiś czas odzywa się w żarnach Czasu i Losu. Wśród śmiertelników wciąż na nowo pojawiają się jednostki obdarzone błogosławieństwem któregoś z bóstw. [...]

W kronikach sztuki magicznej szczególne miejsce zajmują ci, których naznaczył Eresh, Władca Much, Król Węży – pan chorób i trucizn. Oprócz siły daru nieodmiennie wyróżniała ich fascynacja alchemią i sztuką uzdrawiania. Trzeba tu przypomnieć, że chociaż teraz, po Skażeniu, czarni magowie nie potrafią już uzdrawiać, w dawnych czasach wielu posiadało tę umiejętność, a obdarzeni błogosławieństwem Eresha wykazywali do niej nadzwyczajny talent. Łaskę boga mieli symbolicznie wypisaną na twarzach – zawsze byli zeszpeceni jak ich okaleczony patron, czasem przez blizny, czasem przez białe plamy na skórze. Bóstwo czasem naznacza przy urodzeniu, czasem dopiero później, rękami losu. [...]

Wśród magów cieszących się łaską Eresha najszerszej zasłynęła uzdrowicielka Arauke. Przyszła na świat w Alkarze, w Górach Pajęczych, w szlacheckiej rodzinie de Vere. Wypada wspomnieć, że ród ten od wieków uważa Władcę Much za swego patrona i pieczętuje się jego herbem.

Dar przebudził się w Arauke, gdy miała zaledwie czternaście lat. Swój talent rozwijała pod kierunkiem wielkich mistrzów w świątyni Eresha w Anarai oraz w Latającym Mieście w drugim dominium astralnym. Potrafiła leczyć trędowatych i przywracać ślepym wzrok. Ocaliła królestwo Alkary, gdy wyspę pustoszyła zgniła gorączka; wyleczyła samego króla, choć znajdował się na progu śmierci. Po dziś dzień niektórzy Alkaryjczycy, ci nadal wyznający starą wiarę,

wymieniają imię Arauke w litaniach na równi z herosami, którzy dokonywali wielkich czynów tysiąclecia temu, gdy bogowie jeszcze chodzili po ziemi. [...]

Może najbardziej tragiczną postacią w kronikach magii jest Araine, córka Arauke. Odziedziczyła po matce zarówno czarny dar, jak i błogosławieństwo Władcy Much. Nie umiała się jednak pogodzić z białymi plamami na ciele, smuciło ją, że jej twarz budzi w ludziach przesądny strach. Gdy dorosła, a wykwitów na jej skórze przybyło, zamieszkała w odosobnieniu, twierdząc, że woli księgi od zalęknionych spojrzeń.

Widząc samotność i smutek Araine, jej stryjeczny brat, Adrien de Vere, który także był czarnym magiem, zaofiarował swej krewniczce pomoc. Niektórzy powiadają, że skrycie ją kochał; inni, że zazdrościł jej łaski bóstwa.

Rok po śmierci Arauke udali się wspólnie do świątyni Eresha. Araine uklękła przed ołtarzem, prosząc Władcę Much, żeby zabrał to, co jej ofiarował. Była gotowa poświęcić dowolną rzecz, jakiej zażądałby w zamian, nawet swoją moc.

Potem przemówił także Adrien, który wiedział równie dobrze jak i ona, że ani na tym, ani na tamtym świecie nie ma nic za darmo.

Bogowie odeszli. Posągi w świątyniach od wieków pozostają nieme. A jednak tamtego dnia Eresh wysłuchał modłów Araine. Ani ona, ani Adrien nie chcieli później o tym opowiadać. Wiadomo jedynie, że wyszli z sanktuarium – śliczna, promieniejąca radością dziewczyna oraz młodzieniec z białymi plamami na twarzy, z siwymi pasmami w ciemnych włosach.

Araine oddała błogosławieństwo Władcy Much, lecz zachowała czarny dar. Po tym wydarzeniu przybrała imię Nepenthe Ri Araine, co w mowie magów znaczy – Nepenthe, niegdyś Araine. Wyrosła na potężną mistrzynię, a później arcymistrzynię czarnej szkoły. Adrien, który przejął błogosławieństwo Eresha, w latach tuż przed Skażeniem zasłynął jako alchemik i pogromca demonów, a także – o czym niewiele dziś pamięta – wybitny muzyk i kompozytor.

Lecz nie należy pochopnie odrzucać tego, co ofiarowują bogowie, los bowiem potrafi okrutnie ukarać niewdzięcznych.

Nepenthe Ri Araine już wkrótce miała się zapisać w pamięci potomnych jako ta, która doprowadziła do katastrofy, jaką było

skażenie czerni i upadek czarnej szkoły. Jako sprawczyni wydarzeń, które pośrednio doprowadziły także do śmierci Adriena de Vere.

Zaihos ar Kyth i Argil d'Engle zwany Sokołem, Nowe kroniki magii, dzieło umieszczone przez Elitę na indeksie ksiąg zakazanych

Między bajki trzeba włożyć opowieści o czarnych magach, których można rozpoznać po znamieniu na skórze lub po takich znakach charakterystycznych, jak trzeci sutek, sierść na ciele, dodatkowe palce u rąk bądź stóp. Nie należy mylić czystego daru magicznego z odmienictwem. Nie ulega wątpliwości, że czarna moc zmienia naczynie, w którym się zagnieżdżyła, lecz efekty jej działania są subtelniejsze, mniej rzucające się w oczy, a zarazem dużo groźniejsze w skutkach niżli cielesne deformacje odmieńców.

Dwie rzeczy odróżniają każdego *ka-ira* od zwykłych ludzi.

Po pierwsze – źrenice. Po przebudzeniu się talentu przybierają pionowy kształt, gdy zaś padnie na nie światło lub gdy *ka-ira* przywołuje moc, jarzą się. Istnieją eliksiry, które mogą zmienić kształt źrenicy, upodabniając ją do normalnej, lecz blasku w jej głębi nie zamaskuje żadne ziele ani żadna iluzja.

Po drugie – ponieważ czarny mag może chłonać cudzą energię życiową, jego ciało posiada zadziwiającą zdolność regeneracji. Rana lub oparzenie, nawet poważne, szybko się wygoją, pozostawiając jedynie słabo widoczne blizny, jeśli tylko *ka-ira* ma dostęp do źródła mocy. Czarni magowie mogą się zarazić chorobą wyłącznie w stanie wyczerpania; będąc w pełni sił, nie muszą się lękać najbardziej zaraźliwych plag, jak mór, żółta febra czy gorączka więzienna. Liczne obserwacje wskazują też, że są odporniejsi od zwykłych ludzi na głód, pragnienie i zimno, lecz znów tylko pod warunkiem, że mogą podstępnie czerpać moc od bliźnich.

Ze wspomnianej zdolności do regeneracji wynika powszechnie znany fakt, iż organizm czarnego maga jest nadzwyczaj odporny na działanie tych trucizn, które niszczą tkanki. Wezykatorium z proszkiem kantarydowym nie uszkadza ich skóry. Śmiertelna dla zwykłego człowieka dawka arszeniku, sublimatu lub zielonego muchomora spowoduje jedynie torsje i bóle. Trucizny roślinne

wywołujące pobudzenie, oszołomienie lub wizje, jak pokrzyk, szaleje, czerwony muchomor czy opium, dadzą charakterystyczne dla siebie objawy, lecz nawet dawka dziesięciokrotnie przekraczająca śmiertelną nie doprowadzi zmię do śmierci.

Niektórzy *ka-ira* od momentu przemiany przestają się starzeć. Jest to powiązane z siłą ich daru. Uczony mistrz Egbard ar Taeth pisze, iż efekt ten występuje zawsze u magów na tyle silnych, by mogli się dematerializować pięciokrotnie w ciągu półgodziny i zablokować kulę białego ognia ciśniętą z dziesięciu kroków, nie doznając oparzenia.

Cechą charakterystyczną dla *ka-ira*, choć nie wyłącznie wśród nich spotykaną, wydaje się konstytucja sucha, gorąca, z przewagą humorów ognistych i powietrznych. Jeśli trafiają się wyjątki, są to nieodmiennie magowie najslabsi, w których dar pełga leniwie, zamiast przepalać duszę i ciało. Silniejszych wyróżnia szczupłość sylwetki, nerwowość ruchów, błyskotliwa inteligencja, a także gorejące i błędne spojrzenie. Często odznaczają się przy tym niepospolitą urodą, zwłaszcza kobiety.

Nie sposób tu nie przytoczyć starego przysłowia, że jak robaki roją się wewnątrz odnowionego grobu, tak najgładsza powierzchowność skrywa w głębi plugastwo.

Amaris ar Vanth, O naturze skazy

1. Zwłoki w rzece

Uliczki Eume spowijała mgła, gęsta jak śmietana, przesycona smrodem tego wszystkiego, co fermentowało w rynsztokach. Wysiadając z dorożki, kapitan straży miejskiej Lybius Zander zatrząsł się z zimna. Szczelniej owinął się peleryną i z irytacją pomyślał o jajecznicy z cebulą, przyrumienioną przez gospodynię dokładnie tak, jak trzeba, której nie dane mu było dojeść w spokoju.

Z mgły doleciał plusk wiosel. Po chwili w szarości zamajaczyła barka, sunąca ociężale w górę rzeki. Zander zapłacił dorożkarzowi i skierował się w stronę przystani.

Z daleka usłyszał odgłosy chlapaniny oraz gniewne okrzyki. Dwaj odmieńcy w łachmanach, pewnie robotnicy z pobliskich magazynów, zanurzeni po pierś w burej wodzie, usiłowali wydobyć zwłoki spod pomostu. Trzeci, stary i zgarbiony, z nochalem niczym wiszący kawał ciasta, stał na nabrzeżu i wymyślał im od durniów. Obserwujący akcję sierżant Subbel zamachał ręką, widząc zwierzchnika. Minę miał ponurą.

– Następna? – zagadnął kapitan.

– Na to wygląda. Nurt ją tu przyniósł. Utknęła między palami.

Z dołu dobiegł głośny chlupot i przekleństwa. Jeden z odmieńców wgramolił się na pomost, przykląkł nad krawędzią i zaczął ciągnąć w górę linę, którą obwiązali zwłoki, podtrzymywane teraz za nogi przez drugiego robotnika. Po chwili ociekające wodą ciało wylądowało na deskach. Widok był, oględnie mówiąc, przykry.

– Czwarta – mruknął sierżant.

Ciastonosy odmieniec splunął do rzeki.

– Czwarta – potwierdził Zander. – Przykryjcie ją czymś, zanim zleżą się tu gapie.

* * *

Wypełniona siną, świecąca mazią lampa – do dziwactw Beinekego

należało to, że nie tolerował w prosektorium otwartego ognia, twierdząc, że ów przywabia duchy zmarłych – rzucała zimny, nienaturalny blask na mury.

Lekarz bez pośpiechu skropił dwie lniane szmatki olejkiem kamforowym. Wręczył po jednej Zanderowi i sierżantowi. Na nim trupi odór zdawał się nie robić wrażenia.

– Mogła spędzić tydzień w wodzie, na moje oko – oznajmił. Uniósł dłoń zmarłej, pokazał palce, z których skóra zwisała jak biaława, luźna rękawiczka.

– Jasnowłosa – stwierdził ponuro Subbel, patrząc na szare, zlepione strąki. Jeden warkocz rozwinął się i rozplótł, drugi niewiadomym sposobem ocalał, wciąż jeszcze zwinięty w obwarzanek i podpięty spinkami. – Reszta też wygląda znajomo.

Trup miał gardło poderżnięte tak, że widać było tchawicę, a w miejscu twarzy widniała makabryczna maska odsłoniętych mięśni, z wyszczerzonymi zębami i dziurą zamiast nosa.

– Tym razem wyłupił oczy – zauważył Zander.

– Rozpruł też brzuch, bardzo ostrym nożem lub skalpelem. – Lekarz ściągnął prześcieradło, odkrywając ciało aż do kolan. Smród rozkładu uderzył w nich ze zdwojoną siłą. Sierżant skrzywił się i przełknął ślinę. Olejek kamforowy niewiele pomógł. – Wyciął wątrobę, trzustkę i część jelit. Po mojemu, panowie, bawił się jak dziecko grzebiące patykiem w zdechłym szcurze.

– Urocze – mruknął kapitan. – Co jeszcze?

– Była prostytutką, jak wszystkie poprzednie. Ma tatuaż. – Beineke wskazał kwiat o sześciu płatkach, wykłuty czerwoną farbą na sinym, pokrytym plamami ramieniu. – A w kroczu krosty od brzydkiej choroby.

Zander obszedł stół, krytycznie przyglądając się zwłokom. Dziewczyna była drobniutka, co rzucało się w oczy mimo obrzęku tkanek. Wąskie biodra, biust ledwie zaznaczony.

– Jak szacujesz jej wiek? – spytał.

– Naście lat po mojemu. Ale głowy bym za to nie dał, może mieć i dwadzieścia pięć. Jest taka mała i chuda, że ciężko powiedzieć.

– Stare blizny, inne znaki szczególne?

– Miała przekłute uszy. – Beineke powiedział to cierpkim tonem. – Polecam przyjrzenie im się bliżej, bo to pouczający widok. Rozdarte

małżowiny. Ktoś przywłaszczył sobie kolczyki. Może przed tym, jak ciało wyłowiono z rzeki, a może już po.

Zander uznał, że widział wystarczająco dużo. Gestem nakazał lekarzowi przykryć trupa, po czym wyjął tabliczkę oraz rysik, żeby zanotować najważniejsze szczegóły.

– Młoda, chudziutka, długie jasne włosy, tatuaż prostytutki, chora na brzydką chorobę. Wzrost... Zmierzyłeś ją, Beineke?

– Cztery stopy i dziesięć cali.

– Cztery stopy i dziesięć cali wzrostu... I kolczyki. – Przygryzł koniec rysika. – Trzeba będzie się rozpytać na ulicach, Subbel. Wyślesz ludzi. Bulwar, tawerny, burdele, zaułki za więzieniem.

Lekarz wyjął z zanadrza piersiówkę i napił się z posępną miną. Zaproponował trunek strażnikom, ale podziękowali. Beineke zwykł pędzić własną jałowcówkę o nader specyficznej kompozycji smakowo-zapachowej. Postronni, nawet przyzwyczajeni do bardzo różnych napitków, raz skosztowawszy, zwykle nie wazyli się jej spróbować po raz drugi.

– Czy Elita nie powinna się zainteresować tą sprawą? – zagadnął. – Cztery trupy w ciągu miesiąca...

– Nie mają powodu, żeby się interesować, dopóki morderstwa nie zaburzają Ekwilibrium – odrzekł ponuro Zander. – Tak mi raczyła rzec sama Opiekunka Miasta.

– Ekwilibrium! – Beineke łyknął znowu, zakaszłał. – To by brzmiało jak kiepski żart...

– Gdyby nie było prawdą. – Kapitan popatrzył na stopy wystające spod prześcieradła. Na końcu języka miał jeszcze jeden komentarz, ale nie odważył się go wyrzec na głos. W mieście rządzonym przez srebrnych magów niejednemu już przyszło odpokutować za słowa wypowiedziane w zasięgu niewłaściwych uszu.

* * *

Burmistrz Sibius Lorck wydawał się oszołomiony i przytłoczony sytuacją. Zander poczuł cień współczucia dla tego opasłego mężczyzny o wodnistych, zmęczonych oczach. Lorck świetnie znał się na niuansach administracji i finansów, ale w obliczu tajemniczych morderstw ewidentnie czuł się zupełnie bezradny.

Jego sekretarz Gilmert miał minę, jakby bolał go ząb. Doradca burmistrza, uczony doktor prawa Julius Ruge, kwaśno kontemplował zawartość srebrnej patery pośrodku długiego stołu, jakby leżały na niej nie imbirowe ciasteczka, tylko na przykład zdechła żaba.

– To skandal, że dostojna Akhania odmawia zaangażowania się w śledztwo – powtórzył bodaj po raz dziesiąty. Debatowali od godziny i Zander zaczynał mieć wrażenie, że kręczą się jak pies za własnym ogonem. – Skoro zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że wszystkie morderstwa popełniono w dniach, kiedy Zmrocza była mało podatna na zakłócenia, nie wygląda to na zbieg okoliczności. Czy zwykli śmiertelnicy znajdują się na takich rzeczach, pytam? Raz czy drugi można mieć szczęście, ale cztery razy? A morderca, który wyczuwa stan Ekwilibrium bądź też posiada globus astralny, lunetę do obserwacji nieba, tabele astronomiczne i pergaminy instruujące, jak dokonywać kalkulacji... na jedno wychodzi... – Ruge napotkał zdziwione spojrzenie burmistrza i chrząknął, jakby zląkł się, że zaraz zostanie zapytany, skąd tyle wie na niebezpieczny temat. – Dziwię się, że Opiekunka Miasta bagatelizuje tę kwestię – zakończył cokolwiek niezręcznie.

– No cóż, ona ma w tej kwestii głos decydujący – stwierdził chłodno Zander. – Nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć to do wiadomości.

– Musicie rozwiązać tę sprawę, kapitanie – rzucił ochryple Lorck. – Rada miasta daje wam wolną rękę. Otrzymacie środki...

– Uczynię wszystko, co w mojej mocy – zapewnił Zander, starając się ukryć rezygnację. Straż miejska była od patrolowania ulic i tawern, od pilnowania bram miejskich i porządku na targowiskach, łapania złodziei, wlepiania grzywien nieuczciwym handlarzom i karczmarzom, przetrzymywania w areszcie dłużników. Nie od ścigania cieni. – Rzecz w tym, że bez wsparcia Elity nie będzie łatwo, niezależnie od środków oraz liczby ludzi zaangażowanych w śledztwo. Nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Żadnego – podkreślił.

– Jakkolwiek wątek Ekwilibrium jest, przyznaję, dziwny i niepokojący, Opiekunka Miasta zapewnia, że morderca jest człowiekiem – przypomniał burmistrz. – Zwykłym człowiekiem. Nie czarnym magiem ani...

– Wierzę, że skoro jej dostojność tak mówi, należy ufać jej

autorytetowi i doświadczeniu. – Kapitan z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że te słowa mogły zabrzmieć ironicznie. Mimo woli spojrzał na Gilmerta notującego przebieg narady. Trudno. Nie pierwszy raz Lybius Zander powiedział coś, co mogłoby zostać przekazane dalej przez niezyczliwe języki, lecz Opiekunka Miasta, srebrna magini Akhania ar Vithanare, jeszcze nie zdecydowała, że należy go odwołać ze stanowiska i zastąpić kimś, kto okazywałby Elicie więcej poszanowania. – Lecz to nam w żaden sposób nie ułatwia sprawy. Nie wiemy nawet, jak się nazywały ofiary, bo nie raczył się zgłosić nikt, kto umiałby je zidentyfikować.

– Jedno wiadomo na pewno, wszystkie były prostytutkami, zarejestrowanymi, z tatuażem – stwierdził trzeźwo Beineke. – Oto wasz punkt zaczepienia, Lybiusie. Macie swoje oczy i uszy w tym światku, prędzej czy później na coś traficie.

Lorck, Gilmert i Ruge pokiwali głowami jak trzy marionetki poruszone tym samym gestem lalkarza. Zander stłumił przekleństwo.

Eume jest portowym miastem! Kurew tu jak szczurów. W imieniu straży dziękuję za słowa otuchy, doktorze.

2. Opowieść Brieda

W górach północnej Alkary widywano słońce częściej niż słońce, lecz lipiec tego roku był wyjątkowo brzydki. Gdy Beila spojrzała po południu w okno głównej sali, zdziwiła się, widząc, że chmury podniosły się na tyle, by po raz pierwszy od kilkunastu dni odsłonić szczyty prawie w całej okazałości.

Oberża „Pod Zielonym Osłem”, jak to oberża, przez okrągły rok oglądała różnych gości. Kupców i ich czeladź, podróżującą szlachtę, kapłanów, pielgrzymów. Drewniany budynek z mocno spadzistym dachem, jak wszystkie domy w tych okolicach, z pomalowanym na zielono szylde, stał w kotlinie nieopodal miejsca, gdzie trakt północny przecinał się z gościńcem do Kyrn.

W Starej Jodle, półtorej mili stąd, była druga karczma, „Pod Jodełką”. Tam chętnie przesiadywali ci z miejscowych, którzy nad smak przedkładali niższą cenę trunku. Tam, na zbiegu trzech lokalnych dróg, częściej zatrzymywali się furmani, wędrowni kramarze i druciarze. „Pod Zielonym Osłem” wódka, piwo i jadło były droższe, ale lepsze, stoły i naczynia czystsze, a łóżka prawie bez pluskiew.

Teraz, odkąd wiosenna powódź uszkodziła stary most na gościńcu do Kyrn, klientów ubyło. Beila, młoda żona właściciela, w zamyśleniu patrzyła na prawie pustą salę. Tego dnia musiała usługiwać sama, bo dziewczka zachorowała, ale dawno nie było tak małego ruchu. W kuchni gruba Melda też nie miała nic do roboty, ot, pilnować, żeby ogień mrugał pod saganem kapuśniaku. Gdyby pod wieczór zjawili się bardziej wymagający goście, na przykład kupcy zmęczeni długą drogą, podgrzeje się zimną baraninę i ugotuje kaszę, a w ostateczności – zarznie, oskubie i upiecze parę kur.

Drzwi skrzypnęły. Dwaj miejscowi raczący się piwem pod owczy ser i wędzonego pstrąga spojrzeli ciekawie na przybysza, po czym wrócili do cichej rozmowy. Ubogi wędrowny czeladnik, którego obdarzona macierzyńskim sercem Beila poczęstowała kapuśniakiem i chlebem

za symbolicznego miedziaka, siedział skulony przed paleniskiem, grzejąc ręce, i nawet się nie odwrócił.

Obcasy zabłoconych wysokich butów zastukały o podłogę. Przybysz rozejrzał się, zdjął kapelusz, wolno podszedł do szynkwasu. Był nietutejszy. Ciemnowłosa, smagły, w podniszczonym podróżnym ubraniu. Beila dla pewności zerknęła jeszcze raz za okno, ale nie. Nie przyjechał konno.

Uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

– Co podać?

Mimochodem oceniła jego wiek na trzydziestkę, może ciut więcej. Jedna z tych twarzy, których rysy z wiekiem stają się tylko coraz ostrzejsze i surowsze.

Jej pierwszy narzeczony, nicpoń jakich mało, też miał taką urodę. Ale bezczelne spojrzenie jego czarnych oczu sprawiało, że każdej dziewczynie, do jakiej się uśmiechał, miękły kolana, zaś nieznamy wyglądał na kogoś ulepionego z zupełnie innej gliny. Rozglądał się jakby z lekkim roztargnieniem – oberżystka musiała zadać pytanie po raz drugi, zanim się otrząsnął i zareagował. Zapytał, co mają dobrego, po czym poprosił po prostu o zupę, chleb i ser. Zapłacił srebrem i nie chciał reszty. Beila, wyczulona na takie szczegóły, odnotowała akcent, z jakim mówił. Wykształcenie. Może nawet stolica.

– Potrzebujecie noclegu? – zapytała jeszcze.

– Nie.

To ją trochę zdziwiło, ale nic nie powiedziała. Widać zatrzymał się gdzieś w gościnie – albo w pobliskim klasztorze, albo u któregoś z dzierżawców. Na zamku raczej nie; nie pod nieobecność zarządcy.

Gdy dostał miskę, usadowił się blisko szynkwasu, plecami do ściany. Nie mając nic lepszego do roboty, Beila usiadła na swoim krzeselku, wzięła zaczęłą robótkę i udawała, że szydełkuje, a kątem oka popatrywała, jak przybysz je zupę Meldy – gorącą, kwaśną, dobrze okraszoną boczkiem. „Pod Zielonym Osłem” płaciło się za porządne jedzenie, nie za stęchłą omastę i szcurze bobki w owsiance.

Dzierżawcy odsunęli puste kufle i wyszli. Zza uchylonego okna przypląnęły dziecięce śmiechy i niespokojne gdakanie, więc Beila wyjrzała na podwórze.

– Ej, ej! Zostawcie te kury! Bo jak ojcu powiem...

Jej syn i córka uciekli za studnię, rozbryzgując wodę z kałuż. Kury, które ganił chwilę wcześniej, obrażonym, dostojnym krokiem powędrowały na tył podwórza, ku stajni.

Przybysz skończył kapuśniak, do którego zupełnie nie po szlachecku wkruszył chleb i ser, zamiast zjeść je osobno. Beila podeszła, żeby zabrać miskę.

– Pierwszy raz w tych stronach? – zagadnęła.

– Nie.

– Z daleka przybyliście?

– Z Ponte Auria.

– Kawał drogi.

– Daleko – zgodził się.

– Zatrzymaliście się w klasztorze, u braci proserpitów? – drążyła. – Czy u kogoś?

– W klasztorze. – Zauważyła, że się zawahał. Wyczucie podpowiedziało jej, że skłamał. Dlaczego? W sumie nie jej sprawa. Ale Beila miała to do siebie, że wszelkie zagadki działały na nią tak, jak na kota działa zwisający koniuszek sznurka.

Poszła zabrać kufle pozostawione przez dzierżawców, wyniosła wszystkie naczynia do kuchni i korzystając z okazji, pokazała Meldzie jedną ze srebrnych monet, które otrzymała od nieznanego.

– Popatrz no, czy nie fałszywa.

Kucharka ujęła pieniądz w dwa palce i zbliżyła do krótkowzrocznych oczu, przypatrując się wybitemu na niej wizerunkowi grynona – skrzydlatego kota, który pospołu z krukiem i jastrzębiem widniał w alkaryjskim herbie.

– Jest dobra, serdeńko. Co ty chcesz?

Beila sama nie wiedziała, co wzbudziło jej podejrzliwość. Chętnie dowiedziała by się, jak gość się nazywa i skąd przybył, lecz nie chciała go wypytywać. Wróciła do głównej sali. Czeladnik właśnie podniósł swój tobołek i zbierał się do wyjścia.

– Możesz przenocować w stodole, na sianie – powiedziała. Skłonił się, mamrocząc podziękowanie.

Ciemnowłosy podróżny nadal siedział w tym samym miejscu, od niechcienia rozglądając się po sali. Przyjrząwszy mu się uważniej, Beila pomyślała ze współczuciem, że może niedawno ozdrowiał

z ciężkiej choroby. Choć był ubrany jak szlachcic i płacił po szlachecku, to z twarzy wyglądał prawie równie mizernie jak ów biedaczyna, co się tu przywłókł w dziurawej kapocie i zdartych butach.

Oparła się łokciami o szynkwas.

– Wiecie, a w zeszłym roku jego królewska mość we własnej osobie raczył zawitać pod nasz dach – odezwała się wesoło. – Na wiosnę, gdy objeżdżał północną prowincję. Spożył u nas zupę z rydźów i pasztet z dzika. Jedno i drugie wielce sobie chwalił.

Spojrzał na nią, unosząc brew.

– Kto ustrzelił dzika?

– A żebym to ja pamiętała.

Z podwórza dobiegł pisk. Oberżystka i gość wyjrzeli przez okno. Dzieci szamotały się pod płotem jak dwa rozbawione szczeniaki.

– Ty łobuzie! – krzyknęła Beila. – Kto to widział szarpać się z siostrą! Przewrócisz ją w błoto!

Jej ośmioletni synek, czarnowłosa jak mama, puścił dziewczynkę. Oboje chichotali. Oberżystka pokręciła głową, uśmiechając się mimo woli, lecz gdy spojrzała na przybysza, spoważniała. Patrzył na dzieci odległym wzrokiem, jakby zatonął we wspomnieniach – niekoniecznie szczęśliwych.

Nie chciała go już zagadywać. I tak trafiały do niej wszystkie plotki z okolicy; gdziekolwiek się zatrzymał, Beila prędzej czy później pozna jego imię, profesję oraz sprawę, w jakiej przyjechał. Ale wtedy gość otrząsnął się z zamyślenia i popatrzył na nią.

– Nazywam się Gael Zachos – powiedział. – Jestem historykiem z Ponte Auria. Piszę rozprawę o starych majątkach północnej prowincji. Chciałbym się dowiedzieć, ile tylko się da, o poprzednich właścicielach Hain-Rague. Jeśli znacie kogoś...

Beila rozpromieniła się.

– A toż z dziadkiem pogadajcie. On wszystko pamięta.

* * *

W ciemnawej bokówce w mieszkalnej części domu pachniało drewnem. Na ławie pod okienkiem siedział staruszek w brązowej sukmanie i owczym serdaku, obwiązany roboczym fartuchem

z konopnego płótna. Łysy jak kolano, z białą brodą, ale wciąż jeszcze krzepki. Pracował dłutkiem przy czymś, co wyglądało jak rzeźbione wieko skrzyni; podłogę obok zaścielały wióry. Gdy spostrzegł wchodzących, odłożył robotę i podniósł się z wysiłkiem. Powitał gościa uprzejmie, lecz z widoczną nieufnością. Dopiero gdy Beila wyjaśniła, w czym rzecz, staruszek rozpromienił się, prezentując bezżębny uśmiech.

– No, toście wyśmienicie trafili! Ja wszystko pamiętam! Mogę opowiadać choćby do północy! Od urodzenia w tej okolicy mieszkam! Wszystkich znam! Siedemdziesiąt sześć lat skończę na jesieni, panie...

– Zachos.

– Siedemdziesiąt sześć lat skończę na jesieni, panie Zachos! Com ja w życiu widział... o! Siadajcie! – Wskazał zydeł. – I mówcie mi Bried.

– Piwa przyniosę – zaofiarowała się Beila.

– A tam, piwa. Miodu przynieś! Tego, co to wiesz!

Oberżystka wyszła. Starzec usiadł, złożył ręce na kolanach i wyczekująco popatrzył na gościa.

– No, to co chcecie wiedzieć?

– Najpierw chciałbym wam coś ofiarować w zamian za opowieść, panie Bried. – Gość sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął trzy złote jastrzębie. Po jednej stronie wybity był na nich portret aktualnie panującego władcy, po drugiej – konstelacja, która wskazywała drogę alkaryjskim żeglarzom powracającym ze wschodniego szlaku.

– Nie trza! – zachnął się staruszek.

– Dla waszych wnuków – powiedział Gael Zachos. – Proszę.

– Dobrze – zgodził się po namyśle Bried. Wziął pieniądze i schował je do skrzyni. – Niech będzie, że dla wnuków.

Weszła Beila, niosąc gliniany gąsiorek i dwa kubki. Postawiła je na ławie i wycofała się.

– Opowiedzcie mi o panu Sandorze i jego dzieciach – poprosił przyjezdny, gdy drzwi się zamknęły. Staruszek spoważniał.

– O starym panu Sandorze de Ragues? – uściślił niepotrzebnie. – A... a... po co to wam?

– Mówiłem już, jestem historykiem. Zbieram opowieści.

Bried spuścił głowę. Po chwili milczenia sięgnął po dłuto. Narzędzie

wbiło się w drewno, odłupując sporą drzazgę.

– Smutna to historia – rzekł powoli. – Ale cóż, skoro taka wasza wola. Słuchajcie tedy, panie Zachos.

Odchrząknął, znów pomilczał chwilę, widać zbierając myśli.

– Stary de Ragues, pana Sandora ojciec, odziedziczył po rodzicach piękny majątek we wschodniej prowincji – zaczął – ale utracił go z niego i głupiec. Przehulał większość tego, co posiadał, a potem go aresztowano za spiskowanie przeciwko królowi i ścieżko. Młody pan Sandor, pozbawiony resztek majątku i wygnany, przyszedł do najemników. Więcej jak dwadzieścia lat wojował w obcych krajach. W końcu, gdy po wojnie z Nedgvarem zmieniła się władza, a nowy władca hojnie wynagradzał dowódców, co się odznaczyli w walkach, pan Sandor dostał odeń zamek wraz z dobrami, Hain-Rague właśnie. Znaczący, pierwój to był po prostu Hain, ale gdy przyszedł nowy właściciel, zmieniono nazwę.

Łyknął miód, kaszlnął, podrapał się po łysinie.

– Ojciec mój walczył pod komendą pana Sandora w Nedgvarze. Nogę tamój stracił. Gdy pan Sandor z wojska odchodził, rzekł kilku swoim ludziom, co też już mieli dość wojaczki, że szuka dzierżawców na część majątku. To przyjechali tu razem z nim. Wszystkim pomógł się urządzać. Ta karczma dzięki niemu stanęła...

Przybysz słuchał uważnie, splótłszy dłonie na kolanach. Staruszek usadowił się wygodniej, znów popił miód, odchrząknął.

– Gdy się tu lepiej zagospodarował, pojął żonę. Młodziutką, z drobnej szlachty, czemu niektórzy się dziwili, ale cóż tu dziwnego. Rodzina porządna, dziewczyna miła i niebrzydka, a de Ragues, koniec końców, nie jakiś hrabia. Bardzo ją kochał. Pragnęli potomka, lecz dopiero po trzech latach urodziła się córeczka, Faivrin. Potem pani zaszła w ciążę drugi raz, mówiono później, że za szybko. Za wątła była, uważacie, szczupłutka taka, słabienka... No i stało się nieszczęście. – Łyknął miód, Bried pokiwał smutno głową, patrząc w ścianę. – Urodziła przedwcześnie martwe dziecko, synka, i sama zmarła po kilku dniach. Pan Sandor szalał z rozpacz. Na pogrzebie zjawił się pijany. Na stypie upił się jeszcze bardziej i zaczął awanturować. Uderzył swego szwagra, zwyzywał wszystkich gości, tym, co go próbowali uspokoić, bronią groził... a potem wziął konia i pojechał w las. Galopem. O zmierzchu, uważacie. Myślano już,

że nie wróci, że utopi się, powiesi albo w jakim wykrocie skreśli kark. Ale nie. I słuchajcie teraz bacznie, bo to ciekawe. – Bried odstawił kubek i potrząsnął wyciągniętym palcem.

– Tak?

– Wrócił nazajutrz, przywożąc ze sobą chłopca. Szeptano potem, że to był jego bękart, spłodzony z jakąś urodziwą chłopką. Starszy od Faivrin o pięć lat albo i więcej. Ja nie wiem, różnie o tym mówiono.

– Staruszek chrząknął. – Takie ciemne było to dziecko, śniade, prawie jak z nedgvarskiej krwi. Różne rzeczy ludzie gadali... A pan Sandor nigdy ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, że chłopak jest jego. Adoptował go, dał mu swoje nazwisko i wychowywał jak rodzony syna.

Przez twarz Gaela Zachos przebiegło ledwie zauważalne drgnienie, skurcz.

– Jak się nazywał ten chłopiec?

– Deuven. Deuven de Ragues.

– Pamiętacie go?

– Pamiętam. – Bried pokiwał głową, uśmiechając się. – Cichy taki, wiecznie z nosem w książkach. Ani go do psot nie ciągnęło, ani do dziewczyn, tylko albo do książek, albo do lasu, włóczyć się... Jak skończył siedemnaście lat, wyprawili go na studia do stolicy, a potem nie wiem, co się z nim działo, podróżował gdzieś po obcych krajach. Wrócił na dłużej dopiero, gdy pan Sandor był już bliski śmierci.

Gael Zachos spuścił wzrok. Gdy przemówił, jego głos brzmiał spokojnie, ale splecione na kolanach dłonie zacisnęły się kurczowo.

– Co się z nim potem stało? Nie wiecie?

– Krótko po pogrzebie ojca pozostawił dobra pod opieką zarządcy, a sam wyjechał razem z siostrą do Ri Talma. – Bried ciężko westchnął. – I rok później zmarli tam oboje podczas wielkiej zarazy. Zamek powrócił w królewskie ręce i do dziś pozostaje królewszczyzną. Ot, chcieliście posłuchać o de Raguesach, tom wam powiedział wszystko, co jest do opowiedzenia. – Wysączył z kubka resztkę miodu i przygryzł koniuszek wąsa.

Zapadło milczenie. Przybysz siedział ze spuszczoną głową, zatopiony w myślach.

– Czekać – odezwał się snycerz po dłuższej chwili. – Coś wam pokażę. Chodźcie.

Dźwignął się ze stęknieniem i poprowadził gościa z powrotem do głównej sali. Było tam pusto, tylko Beila wycierała stoły. Z dworu przez uchylone drzwi nadal dobiegały dziecięce pokrzykiwania i chichoty. Czerwone słońce dotykało szczytów wzgórz. Staruszek wszedł za szynkwasa i wskazał wiszący na ścianie obrazek w prostej drewnianej oprawie.

– Gdy Deuven jeszcze studiował w Ponte Auria, jednego roku przyjechał tu na lato razem z kolegą, malarzem, a ten w prezencie za gościnę wymalował portret rodzinny de Raguesów. Taki młody, uważacie, a pięknie mu to wyszło. Obraz wisi na zamku w wielkiej sali na dole, nie obejrzycie go, bo zarządca tera wyjechał do stolicy, a ten dziwak kustosz, co się zamkiem opiekuje... szkoda gadać. Ale zanim ów malarz się zabrał za płótno, wykonał kilka szkiców, a mój ojciec za pięć grynonów kupił od niego najlepszy. Spójrzcie.

Gael Zachos zbliżył się, uważnie przyjrzał portretowi. Nie był to szkic, ale dopracowana w każdym szczególe akwarela namalowana na grubym czerpanym papierze. Artysta najwidoczniej nie uważał za stosowne sprzedawać byle czego, nawet prostym ludziom za kilka srebrnych monet.

Siedzący mężczyzna, o zniszczonej twarzy i posiwiałych włosach, do piersi przypięte miał ordery. Poza, jaką przybrał, mówiła wyraźnie, że jest ojcem i panem rodziny. Lewą ręką obejmował dziewczynkę – blondyneczkę w niebieskiej sukience, trzymającą bukiet kwiatów. Po prawej stronie na widza spoglądał szczupły chłopak, właściwie już młodzieniec, o śniadej cerze. Ciemne włosy do ramion, poważne oczy, ani cienia uśmiechu.

Bried nagle poruszył się niespokojnie. Popatrzył na obrazek i znowu na rozmówcę.

– A... a... nie jesteście wy czasem spokrewnieni z de Raguesami? Wybaczcie, że pytam – zająknął się pod wzrokiem gościa.

– Nie, nie – zaprzeczył z uśmiechem Zachos. – Moja rodzina pochodzi z Chalkiru.

– A to wybaczcie. – Staruszek skłonił się, zakłopotany.

– Dziękuję za opowieść, panie Bried.

– Nie ma za co, młodzieńcze, nie ma za co.

Wymienili uściski dłoni, uśmiechy i życzenia wszystkiego dobrego na przyszłość. Snycerz miał już wracać do warsztatu, gdy okrzyk Beili

sprawił, że obaj się odwrócili. Oberżystka wyciągnęła rękę, wskazując otwarte drzwi wyjściowe i pejzaż widoczny za nimi. Na wschodzie rozbłysła nitka czerwonego światła, która szybko rozszerzyła się w smugę przecinającą niebo od horyzontu po horyzont.

– Zachwianie! Haranie miłościwy! – Stary Bried pospiesznie wykonał gest chroniący od uroku.

Na niebie zapalały się kolejne smugi – od fioletu przez błękit aż do seledynu. Z kuchni wybiegła na podwórze druga, pulchna kobieta i zaczęła zaganiać kury do obory. Beila klasnęła w ręce, przywołując dzieci.

– Pod dach! Żywo!

Nikt nie zauważył, kiedy Gael Zachos opuścił oberżę i oddalił się, nie ku gościńcowi, lecz ścieżką w przeciwną stronę.

3. Manewr jaszczurki

Mężczyzna w podróżnym odzieniu szedł pod górę brzegiem łąki, przejmując się barwnym spektaklem na niebie nie bardziej, niż gdyby był to po prostu zachód słońca.

Na skraju lasu odwrócił się. Daleko w dolinie migotały światelka domów. Odetchnął, kręcąc głową. Nareszcie nie musiał się już pilnować i obawiać, że ktoś, kto spojrzy w jego źrenice pod nieodpowiednim kątem, dostrzeże w ich głębi żółty błysk.

Mógł rozwiać iluzję – i zrobił to, dotykając twarzy. Na prawym policzku pojawiły się trzy ukośne białawe szramy, otoczone przebarwieniami jak po starym oparzeniu.

Jadowite kolory nieba przygasały, przechodząc w fiolet, a potem w wygwieżdżoną czern. Zachwianie zanikało, ustępując miejsca nocy. I bardzo dobrze. Brune Keare, zwany też Krzyczącym w Ciemności, zanurzył się w gęstwinę, pachnącą świerkami, lepiężnikiem i wilgotną ściółką.

Nadal czuł dreszcze po rozmowie z dziadkiem karczmarki. Tego nie wziął pod uwagę – że wciąż jeszcze żyją ludzie, którzy mogą nie tylko pamiętać, ale i poznać.

Przyspieszył kroku, wspinając się energicznie po stromym zboczu – cień z jarzącymi się oczami, dla których smolista noc była jedynie półmrokiem zmierzchu. Znał drogę.

Tu gąszcz świerków, tu buki, tam strumyk...

Cmentarzyk leżał w połowie wysokości wzniesienia, ukryty w lesie. Otoczony drewnianym płotkiem, w dużej części oczyszczony z chaszczy – blisko wejścia rosła jedynie gęsta, sperlona rosą trawa.

Brune pchnął furtkę i cicho wkroczył między groby. Serce tłukło mu się gorączkowo, nie ze strachu – wątpił, by w tych borach żyło cokolwiek, czego mag powinien się obawiać – lecz z podniecenia.

Znał to miejsce.

Jego uwagę w pierwszej kolejności przykuł duży zadbany grób pod drewnianym daszkiem. Rzeźba przedstawiała Tanathe w szacie

opadającej prostymi fałdami; u jej stóp leżały zwiędłe polne kwiaty. Żmij pochylił się i przeczytał napis na postumencie, wykuty przez wiejskiego kamieniarza, który jakimś cudem nie zrobił w imionach ani jednego błędu.

Faelyn de Ragues i Sandor de Ragues. Złączeni po latach.

Gdzie znajdowali się teraz? Tanathe, pani ostatniej bramy, odeszła wieki temu wraz z innymi bogami. Nikt nie wysyłał już białych gołębi, by wskazywały duszom zmarłych drogę do krainy światła.

Krzyczący w Ciemności usiadł na krawędzi płyty. Patrzył na litery wyryte w tutejszym szarym piaskowcu, na figurę bogini czuwającej z pochyloną głową.

Odkąd ruszył tropem swojej utraconej przeszłości, mając do dyspozycji tylko imię, nazwisko, nazwę kraju i trochę strzępków wspomnień, wiele razy zastanawiał się, co znajdzie. Znalazł kilka odpowiedzi oraz kolejne pytania. Deuven de Ragues od osiemnastego roku życia studiował alchemię i muzykę na uniwersytecie w Ponte Auria, potem wyjechał kontynuować naukę w wolnym mieście Ri Talma. W archiwach obu uczelni pozostały dokumenty z informacją, skąd pochodził i czyim był synem.

Przybywając do Alkary, Brune czuł lęk – obawę przed tym, co odkryje; przed sekretami, których być może wolałby nie poznać. Lecz gdy wreszcie usłyszał wokół siebie alkaryjską – jakże znajomą! – mowę, gdy ujrzał na jawie miejsca, które tyle razy zwidywały mu się jako przebłyśki obrazów, poczuł się tak, jakby w głowie poukładała mu się rozbita mozaika. Wróciły wspomnienia z dzieciństwa i młodości.

Wiedział – z tą samą dziwną pewnością, jaką ma się w snach – że jego urodziny wypadają w noc letniego przesilenia i że został przywieziony na zamek w wieku siedmiu lat. Pamiętał Sandora de Ragues, swojego przybranego ojca – surowego, szorstkiego, łatwo wpadającego w gniew, lecz szanowanego przez wszystkich w okolicy. Pamiętał Faivrin jako małą dziewczynkę; siebie jako smagłego chłopca, który tu, w Hain-Rague, jeździł konno po lasach i uczył się fechtunku na zamkowym dziedzińcu. Już choćby tylko po to warto było przyjechać na północ.

Jednak odzyskane wspomnienia urywały się w okolicach siedemnastych urodzin; dalsze wydarzenia nadal skrywała mgła.

Pamiętał wyjazd do Ponte Auria, lecz samych studiów już nie.

Bez odpowiedzi pozostawały najważniejsze pytania. Deuven de Ragues nie stał się *ka-ira* jako nastolatek, więc należało mniemać, że nastąpiło to później. Kiedy, gdzie? Jakim sposobem przeżył przemianę? I czemu, choć powiadano, że zmarł na zarazę w Ri Talma, ocknął się ponad czterdzieści lat później na południu, nad Zatoką Snów, z ranami na twarzy i wymazaną pamięcią?

Trop wiódł do Ri Talma – i tam się urywał.

Brune w zamyśleniu patrzył na litery wyryte w piaskowcu.

Czy zdobyłby się na to, żeby przywołać z zaświatów duszę Sandora de Ragues, gdyby dysponował odpowiednim talizmanem i formułą? *Nie* – odpowiedział sobie od razu. Niezależnie od tego, jak bardzo pragnął poznać prawdę. Bo nie, bo pewnych rzeczy magowi nie przystoi czynić.

Jedyne, co mu pozostało, to kontynuować śledztwo w Ri Talma.

Do Ri Talma – pomyślał, patrząc na gwiazdy migoczące nad czubkami drzew.

Odmówił modlitwę za dusze Sandora i Faelyn, a potem wstał. Postanowił tu spędzić jeszcze trochę czasu. Lubił cmentarze.

Dość długo spacerował między grobami, odgarniając chwasty i czytając napisy na płytach. Niebo zasnuło się chmurami, zerwał się wiatr i szumiał w gałęziach. Nagle Brune zatrzymał się, patrząc na mały, porośnięty mchem nagrobek.

Nie był pewien, skąd bierze się niejasne, niepokojące uczucie, że właśnie ten grób go w jakiś sposób przyciąga... przyzywa. Ukląkł, rozgarnął pokrzywy i gwałtownie chwycił oddech, gdy ujrzał, co widnieje na zniszczonej płycie.

Dwa splecione węże. Znak Eresha, Władcy Much – pana chorób, leków i trucizn, patrona medyków, aptekarzy i alchemików. Niżej wciąż jeszcze dawało się odczytać imię i nazwisko wypisane ozdobnymi, pochyłymi literami. Amparo d’Aville.

Krzyczącego ogarnęło zimno.

Amparo d’Aville.

Imię i nazwisko. Był pewien, że je zna – powinien znać – choć nie miał pojęcia skąd. Czytał je raz po raz, a serce tłukło mu się w piersi. Ręka sama powędrowała do wewnętrznej kieszeni kurtki, odnalazła gemmę ze smoczej kości, na której wyryty był wizerunek Eresha

w długiej szacie, z dwoma wężami owiniętymi wokół stóp. Jego drugi talizman, obok kart Maga i Błazna noszonych w woreczku na szyi.

Jestem... byłem Deuvenem de Ragues.

Kim była Amparo? Znałem ją...!

Zmusił się, żeby oddychać spokojniej. Zbyt wiele tajemnic, zbyt wiele tropów, które pozacierał czas. Niczym nitki splątanej pajęczyny, wiodły go w różnych kierunkach. Jeśli chce dalej prowadzić śledztwo, musi to robić konsekwentnie.

Do Ri Talma – powtórzył w myślach.

Nagle ostrzeżenie daru przeszło go jak uderzenie bicia. Żmij zareagował instynktownie, na ułamek sekundy przed tym, jak ciemność nad jego głową zajarzyła się na zielono. Rzucił się w bok, przetoczył. Fosforyzująca sieć, która miała go spętać, upadła na mokrą trawę, gdzie zgasła z sykiem. Brune poderwał się zwinnie, już ze sztyletem w ręku. Złapał oddech, widząc, że rośliny, których dotknęło zaklęcie, usychają w oczach, przemieniając się w badyle sterczące z gołej ziemi.

Obudzona czerń pulsowała w nim jak drugie, potężne serce. Przemienił sztylet w rapier i stanął w pozycji walki. Wiedział, kto – a właściwie co – nadchodzi.

Sekundę później zmaterializowali się z mroku. Czarni i pokraczni. Jeden był wysoki i patykowaty, na ośmiu czy dziesięciu długich, cienkich odnóżach. Drugi – krępy, pękaty, o masywnych ramionach, zakończonych szczypcami jak u kraba.

– Pozdrowienia od Doliny Rdzy – wysyczał ten chudy. – Magu, masz dwa wyjścia. Albo się poddajesz po dobroci... albo robimy ci krzywdę.

Krzyczący zacisnął zęby. Nie miał pojęcia, co to za demony, czego chcą ani jak go znalazły. Wiedział tylko jedno: przeciwnicy są od niego silniejsi. Ale to nie znaczyło, że zamierzał tanio sprzedać skórę.

– Rzuć broń! – krzyknął niższy. Żmij zamknął oczy, maksymalnie skupiony na mocy, która wypełniała go teraz niczym lawa sięgająca brzegów krateru, czekając tylko na sygnał.

Uczynił ruch, jakby chciał rzucić rapier na ziemię, lecz zamiast tego zmienił go z powrotem w sztylet, a lewą ręką cisnął wiązkę sinych błyskawic. Rozległ się wrzask – niestety, raczej wściekłości niż bólu. Brune zdematerializował się, nie czekając na kontratak.

* * *

Uciekając, wiedział, że podążą za nim. Echo dematerializacji rozpraszało się po kilku sekundach, lecz Otchłań wiedziała, jakich agentów trzeba wysłać, żeby pojmać maga. Nie zgubili tropu, gnali jego śladem jak charty za lisem.

Płynął przez chaos barw między wymiarami, zastanawiając się rozpaczliwie, czy w sferach istnieje jakieś miejsce, gdzie mógłby się schronić. Nagle odniósł wrażenie, jakby uwiązł w lodowatej galarecie. Paraliż rozlewał się po jego ciele, wypełniał żyły ołowiem. Za sobą żmij usłyszał cichy, złowrogi szept.

– Ja, Mubbus z Doliny Rdzy, zaklinam cię, mój wrogu, na światło i ciemność, na krew i kamień, wiązę cię i zniewalam...

Zaciskając w dłoni gemmę, Brune szarpnął się mentalnie, skupiając całą wolę na tym, żeby przełamać obcy czar. Udało się. Nie docenili go.

Przeskoczył z bezprzestrzeni do materialnego świata, mimo świadomości, że przypuszczalnie tylko odwleka nieuniknione.

Wir kolorów raptownie ustąpił miejsca ciemności, a żmij wylądował na twardym podłożu tak gwałtownie, że kolana załamały się pod nim i upadł na zimną kamienną posadzkę. Coś poszło nie tak. Dar przejął kontrolę, rzucając go... gdzieś.

Brune dźwignął się na nogi, pomasaował stłuczony łokieć. Otarł twarz; krwawił z nosa z wyczerpania, a nie wskutek upadku. Rozejrzał się i odetchnął.

Znajdował się we wnętrzu starożytnej budowli. Rzędy kolumn, dalej kamienny ołtarz, a przed nim – pozostałości rozbitego posągu o twarzy pomalowanej w połowie na biało, w połowie na sino.

Czuł pulsującą w głębi murów prastarą magię. Źródło mocy.

Świątynia Eresha? Ale czemu?...

Może dlatego, że miał ze sobą gemmę. Nie umiał znaleźć innego wytłumaczenia i nie zamierzał go teraz szukać. Ukląkł przed ołtarzem, kładąc dłonie na posadzce, i czerpał aż do nasycenia. Na koniec skłonił się nisko, szepcząc podziękowanie. Potem rozejrzał się, ważąc w myślach opcje.

Nawet tu, w miejscu, którego aura sprzyjała jemu, a nie im, nie był dość silny, żeby pokonać dwa demony w bezpośredniej walce. Jednego może tak, ale nie oba naraz. Jedyne, co mu przychodziło do głowy,

to uciekać dalej – tym razem tak, żeby przynajmniej częściowo zatrzeć trop, kupując sobie trochę więcej czasu. Potem zmaterializować się gdzieś na rubieżach sfer i – zanim wrogowie znów go odnajdą – przygotować tam pułapkę; czar, który powinien ich przepędzić do macierzystego wymiaru.

Wyjął kredę, z którą nigdy się nie rozstawał, i zaczął pisać na posadzce formułę, starając się nie pomylić w pośpiechu.

Zdażył nakreślić tylko część znaków, gdy w mroku zakwitły płomienie, z których wyłonili się prześladowcy. Wyczuł ich wściekłość – mieli trudności ze zmaterializowaniem się tutaj, ich sylwetki przelewały się i rozmazywały. Dopiero po chwili przybrali cielesną formę.

Pajęczonogi uniósł odnóża i cisnął kilka kul zielonego światła. Wszystkie odbiły się od przezroczystej sfery tarczy, rozsypując się w kaskadach iskier.

Ruszył naprzód, a Brune niezbyt eleganckim zawijasem domknął dwa ostatnie znaki. Uczynił gest, dmuchnął i ku przeciwnikom pomknęła seledynowa, świecąca mgła. Demony zamarły na moment, oszołomione – czarodziejski opar oślepił je. Gdy odzyskały wzrok, ten niższy zaklął. Przed nimi na ziemi leżał trup w czarnej odzieży.

Zwłoki transformowały szybko, przekształcając się w ciemną maź. Demony popatrzyły na siebie.

– Zginął od własnego czaru? – wyjąkał krabołapy. – I co my teraz zrobimy?!

Mubbus palnął go odnóżem w łeb.

– To oszustwo, idioto! Nabrać się na taki wybieg? Wstyd mi za ciebie!

– Ale...

– Myślże raz dla odmiany! Zrobił to, co jaszczurka, kiedy zostawia ogon.

Krabołapy rozdziawił pysk, patrząc na potężniejszego towarzysza.

– Nie wyczuwam tropu – jęknął.

– Więc się wysil! Ty tu jesteś od węszenia!

– A skąd wiesz, że to nie on tam leży?

– Bo mam głowę na karku w przeciwieństwie do ciebie, durniu!

– Nie masz prawa mnie obrażać! – warknął niższy demon, nagle tracąc potulność.

– Będę cię obrażał, ilekroć mi się spodoba! Z gnoju się narodziłeś i gnój masz we łbie! Jazda, szukaj tropu, bo jak cię...

Mubbus urwał, gdy owionął ich zimny powiew. Przed ołtarzem pojawiła się młoda kobieta o ciele jakby utkanym z dymu, w falujących, mglistych szatach. Jej oczy jarzyły się niebieskawo.

– Mam z wami do pomówienia, panowie. – W cichym głosie pobrzmiwała groźba. Mubbus zasyczał wrogo.

– Nie mamy ci nic do powiedzenia, córko Spalonego Władcy.

– Myślę, że jednak macie.

Pajęczonogi demon splunął w jej stronę czarną mazią, która syczała i parowała.

– Nie bądź taka pewna siebie, Anyah. Wasza Dolina nie utrzyma się długo. A gdy padnie... Poproszę naszego króla, żeby mi ciebie oddał. W pętach.

– Możesz marzyć dalej, wolno ci – odrzekła obojętnie, niemal ze znudzeniem demonessa. – Wy tak czy inaczej odpowiecie za napaść na mojego podopiecznego.

– On uciekł! – zawołał krabołapy, może przeczuwając, co się święci.

– Odpowiecie mimo to. – Uśmiechnęła się. – Przede mną.

Mubbus z przekleństwem uniósł odnóża. Za późno. Z oczu Anyah strzelił błękitny ogień.

* * *

Ludzki strach śmierdzi słodkavo-kwaśno. Strach demonów przypomina gotującą się smołę, lepki, bulgoczący war.

Gdy tracą nad sobą kontrolę, tracą też materialną postać. Tłum zgromadzony w sali tronowej na zamku Spalonego Władcy falował niczym ciemny opar.

Doradcy zebrali się w rogu w ciasną grupkę i szeptali niespokojnie. W drugim kącie skupiły się demoniczne córeczki króla. Kilkanaście mglistych kobiecych sylwetek o zimnych niebieskich oczach. Milczały, zerkając to na poddanych, to na ojca.

Zakuty w zbroję olbrzym na spiżowym tronie trwał w bezruchu. Władca Doliny Popiołów zachowywał właściwy sobie niewzruszony spokój.

Nagły trzask sprawił, że wszyscy odwrócili głowy. Przed tronem

pojawił się kłęb oparów, który opadł na posadzkę i zgęstniał w postać chudego demona z głową modliszki.

– Porwano mojego agenta, panie – zameldował przybysz, łapiąc z wysiłkiem oddech. – Teraz, przed sekundą.

– Kto? – spytał zwięźle władca.

– Słudzy Doliny Rdzy, wasza miłość.

Na sali podniósł się szmer, głośniejszy z każdą chwilą. Spalony Władca potoczył ciężkim spojrzeniem po obecnych i stuknął berłem w posadzkę. Mamrotanie demonów przycichło, choć ten i ów wciąż jeszcze oglądał się buntowniczo na króla.

– A czemuż to – głos Spalonego Władcy był teraz basowym pomrukiem – nie przyszedłeś swojemu podopiecznemu z pomocą?

– Nie zdążyłem, panie.

– Podobnie jak Hboth, Azima i Uridu. – Ogniki ślepi widoczne w szczelinie hełmu zwężyły się, a modliszkogłowy padł na kolana, zasłaniając rękoma pysk. Tłum na sali zamarł, wiedząc już, co nastąpi. – *Laa sah!*

Buchnęły szmaragdowe płomienie, zabrzmiał krótki, urwany wrzask. Gdy ogień zgasł, na posadzce leżało nieco popiołu i nic więcej.

– Trzy lata kary – oznajmił Spalony Władca; z jego ust przy tych słowach również wydobyły się zielone płomyki.

– To już czwarty utracony agent, wasza miłość – wymamrotał jeden z doradców. – Może warto rozważyć... – Nie dokończył, skulił się, gdy zakuty w zbroję demon zwrócił ku niemu spojrzenie zdolne obrócić kwitnący ogród w zgliszcza.

– Dolina Rdzy zapłaci nam za nich wszystkich – wysyczał władca głosem, który nawet jego podwładnych przyprawiał o ciarki. Nikt z sali już nie odważył się odezwać.

Zabrzmiał kolejny trzask. Przed tronem zmaterializowała się Anyah. Skinęła dłonią i na posadzce pojawiły się dwa poskręcane truchła. Salę znów wypełniły szepty, narastające jak fala. Spalony Władca przechylił się w przód.

– Kogo tu mamy? – spytał z uprzejmym zainteresowaniem.

– Dwóch durniów z Doliny Rdzy. Próbowali dopaść mojego podopiecznego.

– I?

– Nie udało im się.

– Bardzo dobrze, Anyah – pochwalił Spalony Władca. Rozejrzał się i skinął na istotę o pysku owcy oraz długich, kościstych odnóżach. – Vrish, zabierz te kreatury do lochów i zamknij w żelaznej komnacie, w podwójnym kręgu. Gdy się zregenerują, przesłuchamy ich.

– Chciałabym wiedzieć, skąd mieli informację, gdzie szukać mojego agenta – dodała Anyah, uśmiechając się złowroźnie. Potoczyła wzrokiem po ciżbie; pomniejsze demony unikały jej oczu. – Coś mi mówi, że gdy się ich odpowiednio przyciśnie, wyjawią imię szpiega.

W powietrzu przed tronem nagle załśnił tęczy krąg niedużego portalu. Wypadł zeń zwój pergaminu. Władca złapał go, rozwinął i przeczytał.

– Dolina Ostrzy i Dolina Kwiatów opowiedziały się po naszej stronie – obwieścił. – W Dolinie Rdzy nastąpił przewrót. Ich nowy król nie chce walczyć, zgłasza gotowość do pertraktacji.

Z gardeł zgromadzonych wyrwało się zbiorowe westchnienie ulgi.

* * *

Bagniska na pograniczu Doliny Rdzy i Doliny Kwiatów z lotu ptaka przypominały wielką misę psujących się powideł, pokrytych wykwitami pleśni. Obszar ten, spustoszony zaklęciami podczas jednej z wielu wojen w Otchłani, stał się odpychający i niebezpieczny nawet dla demonów.

Kalekie, powykręcane zarośla gniły, na wpół zanurzone w czarnej wodzie. W kotlinach snuła się trująca mgła, śmierdząca zepsutymi jajami. Blade grzyby wzrostu dorosłego człowieka, o olbrzymich kapeluszach, dawały schronienie jadowitym zmorom i grgolicom.

W samym sercu mokradeł wznosiła się twierdza. Wyrastała z morza mgieł niczym lewiatan, obrośnięty gargulcami jak wrak okrętu małżami.

W wielkiej sali na dole pod zebrowanym sklepieniem unosiła się chmara błędnych ogników. Na podwyższeniu znajdował się rzeźbiony tron ze smoczej kości, przed nim – dwie misy w ozdobnie kutych stojakach. W większej gniły ohydne fragmenty padliny, ruszające się od robactwa. W mniejszej lśniło złoto: monety, biżuteria, posążki.

Hrabia Sathoon, niegdyś sługa Doliny Światła, obecnie zaś lennik Doliny Rdzy, w odróżnieniu od większości wysoko urodzonych

demonów nie miał nic przeciwko temu, aby również w Otchłani występować pod postacią człowieka. Chytry i wyćwiczony w intrygach, zamiast przerażać straszliwym kształtem, wybierał kamuflaż, maskując swą prawdziwą naturę i siłę.

Siedział oto na tronie – wysoki, szczupły jegomość o arystokratycznym obliczu. Kędzierzawa siwa czupryna nadawała mu wygląd ekscentryka o młodzieńczej duszy. Złote hafty na jego kaftanie połyskiwały w słabym świetle, na smukłych palcach skrzyły się kosztowne pierścienie.

Jedynym, co zdradzało jego prawdziwą naturę, były usta – czarne jak sadza.

Raz po raz sięgał do większej misy, od niechcienia pojadając ochłapy zgniętego trupiego mięsa.

Przed nim przycupnął pomniejszy demon pod postacią olbrzymiego szczura o nastroszonej sierści. Jego poza wyrażała lęk i czołobitność. Sathoon wsunął do ust kolejny cuchnący kąsek i pochylił się.

– Jakie masz wieści?

Szczurowaty zaczął szeptać z pośpiechem, rozglądając się niespokojnie. Hrabia słuchał z kamienną miną. Dopiero gdy szpieg umilkł, Sathoon powoli się uśmiechnął. Czarny język wysunął się, żeby oblizać smoliste wargi.

– Jesteś pewien?

– Tak, panie – wyjąkał drugi demon.

– Interesujące. Bardzo interesujące. Sprawdźmy to. Łap! – Sięgnął do mniejszej misy i niedbale sypnął szczirowatemu pod nogi garść złotych monet. Ten rzucił się je zbierać, mamrocząc podziękowania. Wyzbierawszy wszystko, pokłonił się do ziemi i zniknął w rozbłysku ognia.

Gdy płomień zgasł, hrabia klasnął w ręce.

– Farael!

Z cienia spowijającego przeciwległy kraniec sali wysunął się długi ciemny kształt. Stwór – przypominający trochę olbrzymiego owada, trochę wija – uniósł przednie segmenty, zaklekotał żuwaczkami.

– Nie zgadniesz, o czym doniósł szpieg.

– Nie zgadnę – zgodził się Farael de Lyche, niegdyś śmiertelnik, a od kilkudziesięciu lat demon średniej kategorii.

– Podczas ostatnich... niepokojów... w ręce Doliny Rdzy wpadły

tajne informacje na temat kilku agentów Doliny Popiołów. Słudzy naszego miłościwego suzerena – w głosie Sathoona zadźwięczała nutka drwiny; był wasalem Doliny Rdzy raczej nominalnie, w praktyce po prostu zagarnął kawałek jej terytorium, by się tam osiedlić – wykorzystali okazję, by napaść na nich w materialnym świecie. Tylko jeden z napadniętych, czarny mag, zdołał ujsć cało. Powinien cię zainteresować fakt, że na twarzy tego maga widnieją trzy blizny. Trzy szramy, jakby od szponów.

Zawiesił głos. Uśmiechnął się nieznacznie, widząc, z jaką uwagą Farael go słucha, od czasu do czasu ruszając czułkami.

– Żeby było ciekawiej, słudzy Doliny Rdzy odnaleźli go w Alkarze. Przebywał akurat w Hain-Rague, w dobrach, które jeszcze niedawno należały do rodu de Ragues.

Stwór wydał złowróżbny syk. Hrabia roześmiał się cicho.

– A to jeszcze nie koniec. Zaatakowany uciekł, teleportując się... Nie zgadniesz dokąd, Faraelu. Do dawnej świątyni Eresha w dziewiątym dominium astralnym.

– Nie może być! – Segmentowane cielsko zafalowało, zuwaczki zaklekotały.

– Może, może. Powiadam ci, Faraelu, wiele wskazuje na to, że Deuven de Ragues powstał z martwych.

– Trzeba to sprawdzić – szepnął de Lyche.

– Sprawdzę, możesz mi wierzyć. A jeśli się okaże, że to istotnie nasz stary znajomy... Pozwolę ci go zabić. Ale nie od razu. Wpierw chcę poznać odpowiedzi na kilka pytań. Zresztą fakt, iż strzeże go Dolina Popiołów, nieco komplikuje sytuację.

– Dolina Popiołów wkrótce upadnie... – zasyczał Farael, lecz hrabia uciszył go ruchem dłoni.

– Nie sądzę. Kryzys minął. Spalony Władca ma wielu sojuszników. Nie będę pochopnie ryzykował. Wszystko w swoim czasie.

Zakończony szczypcami ogon poruszył się.

– Ofiaruj mi tego śmiertelnika, panie.

– Tak, Faraelu. Oczywiście. – Hrabia uśmiechnął się czarnymi wargami. – Pozwolę ci dokonać pomsty w twoim i moim imieniu.

4. Ofiary transakcji

Brune ocknął się ze snu i zdezorientowany przetarł oczy. Zdawało mu się, czy?...

Łup. Głuchy łoskot zabrzmiał ponownie, więc żmij skoczył na równe nogi.

Nie wyczuwał w domostwie żadnego zagrożenia, ale wchodząc do kuchni, na wszelki wypadek przywołał moc. W twarz uderzył go zimny powiew; okno było otwarte, wiatr poruszał okiennicą. Na podłodze leżały skorupy rozbitego dzbanka i przewrócony koszyk, z którego wysypały się cebule.

Krzyczący zamknął okno, potem skupił się, badając otoczenie zmysłami maga.

Pusto. Już prawie był gotów uwierzyć, że źle zasunął rygiel i to wiatr spletał mu figla, gdy nagle znieruchomiał.

W piwnicy.

Kącik ust żmija drgnął w uśmiešku. Teraz, kiedy Brune już wyczuł podejrzaną obecność, natężywszy uwagę, mógł śledzić ruchy nieznanego stworzenia. Nie zanosił się, żeby intruz zamierzał szybko wynieść się z cudzej spiżarni.

Żmij skierował się ku drzwiom do piwniczki, ale zmienił zdanie i zdematerializował się, lądując bezszelestnie w pachnącej stęchlizną ciemności. Usłyszał dochodzące z kąta szuranie, chrupot i mlaskanie.

Tuś mi, ptaszku!

– Aaaa...! – zabrzmiał wrzask.

Intruz, wywleczony z worka pełnego sucharów, wił się niczym robak na haczyku, trzymany mocno przez czar lewitacji.

– Coś ty za jeden, szkodniku? – zapytał Brune.

Spojrzawszy w rozjarzone żółto oczy żmija, stwór zawył i zaszamotał się jeszcze rozpaczliwiej. Wyglądał niczym lichy z bajek dla dzieci, porośnięty czarną szczeciną, z łysym zadkiem i długim, wijącym się krowim ogonem.

– Dusiołek, co? Nie, dusiołku, nie będziesz mi wyzerał zapasów.

Jazda stąd!

Krzyczący skinieniem dłoni sprawił, że intruz poszybował w stronę schodków, a drzwi same się otworzyły. Spostrzegłszy, że wrzaski nic nie dają, dusiołek zamilkł i tylko wlepiął w zmija obrażone żabie ślepie. W łapie ścisnął nadgryziony suchar.

Został wyeksponowany na zewnątrz, nad jezioro. Brune otworzył nad wodą niewielki portal i bez ceregieli wepchnął weń stwora, nie przejmując się jego piskiem. Gdy świetlisty krąg zmalął i znikł, żmij potarł czoło. Za okiem uporczywie ćmił znajomy ból, spowodowany wyczerpaniem. Kilka godzin odpoczynku nie wystarczyło, żeby zregenerować siły.

No cóż, zawsze możesz się rozejrzeć za żyłą. Jednak nie miał ochoty ryzykować teraz wyprawy do materialnego świata. Wprawdzie karty twierdziły, że nikt już go nie ściga, ale... Nie rozumiał, czemu demony z Doliny Rdzy zrezygnowały tak łatwo. Po tym, jak uciekł ze świątyni, zastawił pułapkę w odległym zakątku sfer, spodziewając się, że podążą za nim. Nie pojawili się. Jakoś wątpił, by tak skutecznie się nabrali na iluzję zwłok.

Tchórze – to było jedyne wytłumaczenie, jakie mu przychodziło do głowy. Zachowali się tak, jak czasem postępują opryszkowie w materialnym świecie; jeśli ofiara broni się z determinacją, lepiej zostawić ją w spokoju i poszukać innej.

Ale coś mu mówiło, że to nie jest cała prawda.

Stał jeszcze chwilę i zasepony patrzył w miejsce, gdzie zamknął się portal. Zasadniczo intruz nie powinien się przedostać do enklawy, lecz jej zabezpieczenia zostały splecione z myślą o ludziach, demonach oraz dziełach srebrnych magów. Dusiołek, relatywnie słaby i nieszkodliwy astralny stwór, najwyraźniej był w stanie przez nie przeniknąć.

Cichy dźwięk wyrwał zmija z zamyślenia. Przez zamknięte okiennice jednej z izb przesączał się pulsujący blask, w oczach zmieniając kolory. Brune pobiegł z powrotem do chaty.

– Wieczór niespodzianek, psiakrew – rzucił półgłosem, wchodząc do pracowni. Zawieszona na ścianie lustro w staroświeckiej ramie jarzyło się światłem w coraz to innych barwach.

– Jestem, starsza siostro! – zawołał od progu, wyciągając rękę w stronę zwierciadła. Tafla rozbłysła czerwienią, a potem pojawił się w niej obraz. Elegancko ubrana, smukła i zgrabna kobieta, z tych,

które mając trzydzieści pięć lat, wyglądają najwyżej na dwadzieścia osiem, o oliwkowej cerze, mocno podmalowanych oczach i czarnych, upiętych w kok włosach.

– Przybądź za godzinę do mojej enklawy – powiedziała Marshia Lavallo tonem, który przypisał Krzyczącego o uderzenie zimna. – Jest kłopot, potrzebujemy cię.

Pozornie zachowywała opanowanie, lecz Brune znał ją na tyle, by wyczuć, że jest przerażona. A kto jak kto, ale ona nie bała się byle czego.

Kątem oka zerknął na zegar, ustawiony tak, żeby wskazywał czas nad Zatoką Snów; w świecie astralnym dzień i noc następowały po sobie w nieco innym rytmie, a w enklawach w jeszcze innym. Pierwsza po południu, dla kogoś prowadzącego nocny tryb życia – pora snu. A co dopiero dziś, po przygodach poprzedniego dnia... Brune zaklął w duchu.

– Znowu jakiś problem z Anavri?

– Nie. Opowiem ci wszystko na miejscu.

– Zabrać coś? – spytał zrezygnowany. Marshia chyba zorientowała się, że zanadto czytelnie okazała targające nią obawy, dlatego teraz wysiliła się na nonszalancję.

– Mój grymuar Zehuda. Już dawno miałeś mi go oddać.

* * *

Gdy wypowiedział hasło, tafla lustro zmętniała i zniknęła, zastąpiona przez falującą mgłę. Krzyczący w Ciemności wstąpił weń i wyłonił się w dobrze znanym miejscu. Staw, zadbane trawniki, ogród pełen kwiatów i pałacyk przypominający cukrowe cacko.

Niebo, które zazwyczaj przypominało turkusowe szkło, miało teraz barwę bursztynu – skutek uboczny wzmocnienia osłon wokół enklawy. Zupełnie jakby Marshia szykowała się na oblężenie.

Jak nakazywał dobry obyczaj, na trawniku ktoś czekał, żeby powitać gościa. Tłusta, wąsata głowa na siedmiu pajęczych nogach.

– Zazel, na litość bogów, co się dzieje? – zapytał Krzyczący po słowach powitania.

– Nie jest dobrze – mruknął chowaniec. – Otchłań chce się nam dobrać do skóry.

– Kto, dlaczego?!

– Zaraz się dowiesz. Chodź, Marshia czeka.

W pałacyku trwała gorączkowa krzątanina służących. Pakowali co cenniejsze przedmioty. Drugi chowaniec, Biss, szybował tam i z powrotem, łypiąc ślepiami i falując mackami, dźwigając już to księgę, już to drogą wazę.

Pierwszym, co Krzyczącemu rzuciło się w oczy w salonie, były rozpięte wzdłuż ścian czarne szarfy, na których złotą i czerwoną nicią wyhaftowano ochronne symbole. Dwie uczennice Marshii z trudem hamowały przerażenie. Anavri Vaneisen wcisnęła się w kąt sofy, jakby usilnie pragnęła stać się niewidzialna. Usadowiona w fotelu Lorraine Alexia Nevers, jak zawsze ubrana na czarno, sprawiała wrażenie spokojniejszej, ale nawet ona – zwykle opanowana i z lekka oderwana od rzeczywistości – bezwiednie splatała i rozplatała dłonie. Krzyczący zdziwił się przelotnie, że mistrzyni zdecydowała się dopuścić podopieczne do udziału w naradzie.

Marshia stała przy oknie, czytając list. Na widok wchodzących złożyła kartkę i wsunęła ją za dekolt. Twarz miała nieruchomą, lecz nerwowo bawiła się naszyjnikiem z opali. Po wymianie uprzejmości, gdy już wszyscy zasiedli wokół stolika, na którym stały karafka wina i kieliszki (Zazel, nie czekając na zaproszenie, nalał sobie), oznajmiła krótko:

– Charooz nas sprzedał.

– Jak to sprzedał? – Brune wiedział, że Marshia Lavallo od lat pozostaje agentką jednego z królestw Otchłani, lecz nigdy nie wnikał w szczegóły tego kontraktu, poza jednym: dotąd był przekonany, że jej układ z władcą Doliny Złota nie obejmuje uczennic.

Dłoń Marshii wróciła do naszyjnika, okręcając go machinalnie wokół palców.

– W Otchłani doszło wczoraj do... dramatycznych przetasowań. Dolina Cierni padła i została rozdrapana, w Dolinie Rdzy zmienił się władca, Dolina Popiołów straciła część posiadłości i dusz. Charooz zerwał z nimi sojusz i przykleił się jako wasal do Doliny Światła. Zawsze chętnie zmieniał strony. A jego nowy suzeren zażądał w podarunku mnie... razem z dziewczętami.

– Może to zrobić, jeśli cyrograf nie przewiduje takiej możliwości? – Brune zająknął się, widząc minę zmiyki. – Aha... Rozumiem.

Dyplomatycznie nie wyraził na głos swojego zdziwienia spowodowanego tym, że – najwyraźniej – cyrograf jednak zawierał jakiś zapis, który potencjalnie ściągał niebezpieczeństwo na uczennice Marshii. Może była to kwestia interpretacji, ale fakt pozostawał faktem. Zadziwiający brak wyobraźni w przypadku kogoś tak pragmatycznie myślącego jak ona.

Marshia spuściła głowę.

– Tak, wiem, co powiesz. Popełniłam błąd. Wierzyłam, że jestem dla Charooza zbyt cenna, by zgodził się mnie oddać innemu panu. Myliłam się.

Otwarte przyznanie się do błędu było tak dalece do niej niepodobne, że Brune tylko skinął głową. W układach z demonami śmiertelnicy, jako słabsi, zawsze stali na gorszej pozycji; dotyczyło to nawet tak doświadczonej *ka-ira* jak Marshia, która przewyższała go zarówno wiedzą, jak i mocą.

– Szczęśliwie w moim cyrografie była... furtka – kontynuowała. – Jeśli zapragnę zerwać umowę, a pan mi tego odmówi, mam prawo walczyć o swoją wolność, z nim lub z wojownikiem, którego wystawi.

– Pojedynek? – Brune uniósł brew. Na opisanych warunkach brzmiało to nadal po prostu jak recepta na honorowe samobójstwo. – Na śmierć i życie? Z demonem?

– Z dowolnym przeciwnikiem, jakiego mi wskażą, ale nie na śmierć i życie. Mój oponent ma prawo zaatakować trzykrotnie. Jeśli przeżyję, mogę odejść wolna, cyrograf uznaje się za unieważniony.

– I to ma być walka o wolność? – prychnął. – Raczej kara za zerwanie umowy. Popraw mnie, jeśli źle zrozumiałem. Mają prawo zadać ci na pożegnanie trzy ciosy, a później przyjaciele mogą sobie zabrać to, co z ciebie zostanie?

– Nazywaj to, jak chcesz – odparła ze wzruszeniem ramion. Zazel kaszlnął karcąco, a Brune natychmiast stał się chłodno rzeczowy.

– Na kiedy wyznaczono termin?

– Za czternaście dni. Tak jak przewiduje cyrograf.

– Ale przygotowaliście się na najgorsze. – Wskazał wzrokiem szarfy.

– Oczywiście. Laberhos, władca Doliny Światła, już próbował tu przysłać swoich wojowników po dziewczęta.

– Kiedy?!

– Dziś nad ranem. Ale przeliczył się – uzupełniła Marshia z ponurą satysfakcją. – Przypadkiem tak się złożyło, że wiedziałam z małym wyprzedzeniem, co planują, i zdążyłam się przygotować. Próbowali się wedrzeć siłą, ale zrezygnowali, gdy odkryli, że enklawa jest chroniona przez zmierzch z Rikos.

Brune skinął głową. Znał ten czar. W razie zmasowanego ataku demonów enklawa uległaby zniszczeniu wraz z mieszkańcami i atakującymi, a potem destrukcja przeniosłaby się na Otchłań. Niewątpliwie czar zostałby szybko unieszkodliwiony, ale wcześniej zdążyłby wyrządzić szkody – przypominałoby to rozbicie w salonie płonącej lampy oliwnej. Nic dziwnego, że władca Doliny Światła uznał, iż nie warto podporządkowywać sobie nowej podwładnej siły. Nie na tym etapie.

– Możemy czuć się bezpiecznie w enklawie tak długo, dopóki w Dolinie Światła nie wymyślą sposobu, jak przełamać zaklęcia ochronne, nie uaktywniając zmierzchu – podjęła Marshia. – Nie sądzę jednak, by im się to udało w tak krótkim czasie. Wieść o tym, że śmiertelniczka rzuciła rękawicę Laberhosowi, rozeszła się dzisiaj jak Otchłań długa i szeroka, więc myślę, że zdecydowanie bardziej mu się opłaca, by do pojedynku jednak doszło. – Uśmiechnęła się złośliwie, a Krzyczący w myślach przyznał jej rację. W Otchłani, gdzie królowały sieci intryg i kruche sojusze oparte zazwyczaj na przejściowej równowadze sił, pozory znaczyły wiele, a utrata twarzy mogła mieć dużo gorsze konsekwencje niż utrata poddanego. Żaden demon nie chciałby się narazić na sugestię, że wystraszył się skutków pojedynku ze śmiertelnikiem. – Zakładam, że do walki dojdzie w wyznaczonym terminie. Potrzebuję dwóch sekundantów. Chcę cię prosić, abyś był jednym z nich.

– Oczywiście – odparł bez namysłu. – Ale kto będzie drugim? Zazel?

– Anavri.

Krzyczący spojrzał na dziewczynę, nie kryjąc zaskoczenia. Spuściła głowę.

Dyplomatycznie powstrzymał się od komentarza. Nie chciało mu się wierzyć, że Marshia nie zna nikogo lepszego. Domyślił się, że pewnie nie chciała zaciągać długów wdzięczności, które po jej śmierci przeszłyby na uczennice; on sam został poproszony o pomoc tylko dlatego, że był jej winien przysługę.

No cóż, teoretycznie sekundanci nie walczą. Ale i tak nie sądził, żeby panna Vaneisen była odpowiednią osobą do tej funkcji. Nie po pół roku nauki. Demony i inne drapieżniki ze sfer momentalnie wyczuwały ludzką słabość, a Anavri – delikatne dziewczę z arystokratycznej rodziny, niedoświadczona, nieoswojona z ryzykiem – aż się prosiła o kłopoty, niekoniecznie w postaci jawnego ataku. Może gdyby wcześniej, nim stała się zmijką, szkolono ją na szpiega lub zabójcę... albo gdyby czerń była w niej silniejsza... Wtedy nie stanowiłaby tak nęcąco łatwego celu, wprost zapraszającego, by się nią zainteresować. Łatwe cele zawsze kuszą.

– Brune, z tobą muszę zamienić słówko na osobności. – Jakby czytając mu w myślach, Marshia podniosła się z miejsca. – Chodź ze mną. Dziewczęta, wy jesteście wolne. Marsz do nauki. Zazel, upewnij się, że w bibliotece pakują to, co kazałam. Drugiej i trzeciej szafy mieli nie ruszać.

Przeszli do pracowni. Tu również rozpięte były szarfy z formułami. Na stole leżało sześć rzeźbionych tabliczek z kości słoniowej, ułożonych w emanujący mocą trójkąt, zaś u jego wierzchołka płonęła świeca. Z zawieszanej na łańcuszkach kadzielnicy sączył się dym.

– Zgodziłaś się przyjąć dziewczyny pod opiekę, wiedząc, że może im grozić coś takiego? – spytał bez ogródek Krzyczący, gdy tylko znaleźli się za zamkniętymi drzwiami. Wiedział, że niepotrzebnie wywleka ten temat, ale nie mógł sobie darować.

Palce Marshii szarpnęły naszyjnik.

– Zapisy w umowach można różnie interpretować. Charooza nigdy nie interesowali śmiertelni słudzy bez daru, a i wobec *ka-ira* ma wysokie wymagania. Nie przyjmuje na służbę uczennic. Laberhos, jak przypuszczam, kieruje się innymi... priorytetami – zakończyła cierpko.

– No właśnie. – Krzyczący popatrzył na nią z powagą. – Jesteś pewna, że chcesz Anavri na sekundantkę? Ten pojedynek odbędzie się przy świadkach, prawda?

– Oczywiście.

– W Otchłani?

– Nie. Na neutralnej ziemi, w sferach. Jest w moim interesie, aby zjawiły się tam wszystkie istoty spoza Otchłani, które wykażą zainteresowanie.

– Czyli zbieranina. Demony, sylfy, chochliki i astralne tałatajstwo wszelkiej maści. Starsza siostrze, jesteś mistrzynią Anavri, ale czy na pewno wiesz, co robisz?

Marshia rozłożyła ręce. Jeszcze nigdy nie widział jej tak jawnie okazującej bezradność.

– Nie mogę wziąć nikogo innego, Brune. Chowaniec nie kwalifikuje się z przyczyn formalnych. Dla demona sekundantami muszą być demony, dla człowieka ludzie, a nikomu poza wami nie ufam w dostatecznym stopniu.

– A jeśli coś pójdzie niezgodnie z planem? Otchłań to Otchłań, są nieobliczalni... Naprawdę sądzisz, że ona umie już dostatecznie dużo? Potrafi walczyć?

– Dokładnie o tym chciałam z tobą pomówić. – Przeszła się tam i z powrotem, po drodze machinalnie przestawiając książki na półce, żeby stały równiej. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej spiętej i zakłopotanej niż wcześniej. – Musisz ją podszkolić w walce.

Krzyczący, który sądził, że tego dnia już nic go nie zdziwi, zamrugał. Chwilę milczał, zanim przemówił; ostrożnie, ważąc słowa.

– Jeśli dobrze liczę, Anavri jest u ciebie prawie siedem miesięcy. Ile w zasadzie umie?

– Z teorią nie ma problemów, jest bystra, szybko się uczy. Gorzej z praktyką. – Marshia wyraźnie unikała jego wzroku. – Jedne rzeczy chwyta tak, jak powinna, intuicyjnie, szybko, innych nie potrafi opanować. Jest silna, ale przyblokowana. Jeśli mam być szczerą, bardzo trudno mi się współpracuje z uczennicą, która nie akceptuje ani mnie, ani daru.

Szlag by to! Brune zmusił się, żeby zachować spokój i uprzejmy ton.

– Co potrafi, gdy chodzi o walkę? Ma opanowane chociaż podstawy?

– Czary defensywne owszem. W defensywie jest niezła. Dobrze stawia tarczę, umie się szybko zdematerializować, uciec... Problem pojawia się, gdy trzeba atakować. Tu właśnie liczę na twoją pomoc. – Marshia znów zaczęła nerwowo okręcać naszyjnik wokół palców. Brune czuł jej zniechęcenie i wstyd, wręcz niesmak do samej siebie.

– A skąd pomyślisz, że mnie będzie się z nią współpracowało lepiej?

– Wiesz, że Lorraine jest medium?

– Oczywiście, ale co to ma...

– Pod moim kierunkiem szybko się rozwinęła. Widzi przyszłość.

Tylko urywki, rzecz jasna, warianty, fragmenty możliwych ścieżek... ale dość, by wyciągać ważne wnioski. To dzięki niej słudzy Doliny Światła nie zaskoczyli nas tu we śnie i to ona twierdzi, że jeśli ktoś jest w stanie nauczyć Anavri walczyć, to tylko ty.

– A co mówi na temat pojedynku? Kazałaś jej patrzeć?

– Wyniku takich zdarzeń nie da się przewidzieć – odparła z westchnieniem. – Spoglądając w przyszłość, jasnowidz zawsze dostrzega wszystkie możliwe zakończenia. Ale ze słów Lorraine wynika, że mamy szansę wyjść z tego żywe i wolne. – Zawahała się. – W każdym razie... ona i Anavri mają szansę. Między innymi dlatego proszę cię o pomoc. Chcę zwiększyć prawdopodobieństwo, że im się uda.

Brune powoli skinął głową.

Sprawy wyglądały źle. Ale wiedział, że Marshia jest tego świadoma. Nie zamierzała się poddać bez walki. Nie ona.

* * *

Opuściwszy pracownię, odszukał chowańca, który schował się pod ławką na ganku i pożerał nadziewaną bułkę, zapewne skradzioną z kuchni. Brune poczekał, aż stwór skończy ciamkać, po czym stwierdził:

– Chodź, Zazel. Musimy pogadać.

Chowaniec potruchtał za nim do ogrodu, oglądając się niepewnie, czy pani aby nie wyjdzie i nie zawoła, żeby natychmiast wracał. Przysiedli w altanie, wśród rododendronów i azalii. Brune zapytał bez ogródek:

– Co jest z Anavri?

Zazel poruszył wąsikami, zakłopotany.

– Marshia ci nie powiedziała?

– Chcę usłyszeć twoją wersję.

Stwór ociągał się dłuższą chwilę, nim odpowiedział:

– Nie akceptuje daru, przecież wiesz. Marshia dostaje z nią szału.

– A konkretniej?

– Dziewczyna jest bystra, błyskawicznie chwyta teorię: formuły, znaki i tak dalej. Kłopoty zaczynają się w momencie, gdy trzeba się posłużyć mocą. Dar jej nie słucha.

– Znaczy, kryj się, kto może, bo burzy i podpala, czy odwrotnie?
– Odwrotnie. Jest tak zablokowana, że ma kłopoty z najprostszymi czarami.

– A coś jej w ogóle wychodzi?

– Tarcza, dematerializacja, niewidzialność. – Zazel znów się zawahał. – Telekineza... powiedzmy.

Brune skinął głową. Miał coraz pełniejszy obraz Anavri.

Pamiętał, jak siedziała wtulona w róg sofy, z ramionami splecionymi na piersi i spuszczoną głową, całą postawą sygnalizując „mnie tu nie ma”.

Tarcza, dematerializacja, niewidzialność.

Odepchnąć, uciec, ukryć się.

– Musi się tu czuć fatalnie – powiedział powoli. Chowaniec spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– To Marshia ci nie powiedziała?

– O czym? – Brune przyszpilił go wzrokiem. Zazel poruszył się nerwowo na ławeczce. Wyglądał, jakby żałował, że odważył się podnieść temat.

– No dobrze... Ale nie zdradź się przed nimi, że wiesz. Jakiś miesiąc po przybyciu tutaj Anavri próbowała się zabić.

– Jakież szczegóły? – spytał zmij po chwili milczenia.

– Podcięła sobie żyły. Nie pytaj mnie, skąd skombinowała brzytwę. Wybrała noc, kiedy Marshia była na balu...

– Kto ją znalazł?

– Lorraine. Narobiła krzyku, wezwała Bissa i mnie. Jeszcze trochę i byłoby za późno, przysięgam, bo krew się lała, że hej. Zatomowaliśmy, zabandażowaliśmy Anavri rękę, ocuciliśmy ją, potem Biss wezwał Marshię. Piekło było, powiadam ci, ach, szkoda gadać. A zaraz następnego dnia... – Zazel wbił wzrok w ziemię. – Marshia kazała jej zrobić tatuaż z zaklęciem, taki jaki kiedyś robiono szczególnie cennym więźniom, żeby nie targnęli się na własne życie. Na plecach, Brune. Słusznie przewidując, że tatuaż na rękę, nodze czy brzuchu można sobie przy odrobinie zacięcia wypalić.

– Taa... – mruknął Krzyczący, patrząc na rododendrony, azalie i pałacyk podobny do cukrowego cacka.

Mimo woli zerknął na swoje nadgarstki. Na obu miał ledwie widoczne sine ślady po cięciach. Jeszcze jedna pamiątka z przeszłości,

której nie pamiętał.

– To szaleństwo, żeby ją brać na sekundantkę – podjął po chwili. – Idiotyzm. Wyperswaduj Marshii ten pomysł. Co ona sobie wyobraża? Że w dwa tygodnie... Ja nigdy nikogo nie uczyłem magii, na litość!

– Ciszej! – skarcił go chowaniec, rozglądając się lękliwie.

– Ale to obłąd, przyznasz sam!

Zazel spuścił wzrok, ruszając wąsikami.

– Prawdę rzekłszy, Brune, niekoniecznie. Po tej chryi w Otchłani nie wiemy, komu z dotychczasowych sojuszników możemy ufać. Zresztą Marshia prawie nie ma przyjaciół wśród *ka-ira*, nigdy nie miała.

– Ale Anavri...

– Anavri nie jest laleczką z porcelany – przerwał ostro stwór. – Wiesz, Marshia naprawdę ma doświadczenie w wybieraniu mniejszego zła. Możesz mi wierzyć, że nie podjęła tej decyzji pochopnie. Ty się po prostu postaraj, żeby dziewczyna za dwa tygodnie umiała to, co musi umieć.

– Jasne. – Brune z rezygnacją potarł czoło.

Założmy optymistycznie, że nagle jej się odmieniło i będzie chciała się nauczyć.

5. Lekcja w sferach

Spytana, czemu uczy się Zakazanej Sztuki, choć tak jej nienawidzi, Anavri rozplakałaby się.

Na samym początku, w pierwszych dniach po tym, jak wyzdrowiała z gorączki spowodowanej przez budzący się czarny talent, próbowała stawiać milczący, bierny opór. Udawała, że słucha tego, co mówi do niej mistrzyni, udawała, że należycie wykonuje polecenia. Marshia połapała się błyskawicznie. Najpierw była lodowata rozmowa i ostrzeżenie – jeśli nie nauczysz się panować nad darem, dar z czasem wypali ci umysł, zaczniesz mieć halucynacje, urojenia, staniesz się bełkoczącym ludzkim strzępem.

Potem przyszły kary. Bolesne rażenia czarem paraliżującym, pozbawianie jedzenia. Gdy i to nie podziałało, Marshia zastosowała hipnozę. Z zaskoczenia. Anavri pamiętała jedynie moment, gdy mistrzyni, zamiast jak co rano rozpocząć przepytywanie z zadanej lektury, wyciągnęła rękę, w której trzymała kołyszący się złoty medalion... Wieczorem dziewczyna ocknęła się w łóżku, potwornie wyczerpana, z bólem głowy, jakby do cna wyssano ją z siły życiowej. A nazajutrz odkryła, że jej zdolność stawiania oporu zniknęła. Nie potrafiła się już sprzeciwić poleceniom, gdy Marshia mówiła: przywołaj moc, podnieś rękę, wymów formułę.

Wtedy Anavri zrobiła ostatnie, co jeszcze mogła uczynić – próbowała wybrać śmierć. A kiedy się nie udało, kiedy Marshia zamknęła także i tę drogę ucieczki, dziewczynie nie pozostało nic innego, jak tylko się dostosować.

Wiedziała, skąd bierze się żelazna determinacja mistrzyni, żeby ją wykształcić za wszelką cenę. Prawa magów. Prawa obowiązujące adeptów czarnej ścieżki mówiły, że jeśli świeżo wykluty talent przeżył przemianę, bardziej doświadczeni współbracia muszą się nim zaopiekować i zadbać o jego rozwój – inaczej Zmrocza zemści się na tych, którzy pozwolili, aby jej dar się zmarnował, aby kielkująca roślina uschła. Tak było zapisane w pradawnych pismach i Anavri

podejrzewała, że Marshią kieruje nawet nie tyle poczucie obowiązku, co strach przed losem, bo ten – jak głosiły księgi – bezlitośnie karał magów, którzy nie uszanowali praw, choćby zawinili nie złą wolą, a tylko zaniedbaniem.

W ciągu następnych tygodni dotarło do niej, że niektóre zaklęcia właściwie nie wymagają budzenia w sobie tej ohydnej ciemnej siły, której się bała i brzydziła. Te Anavri mogła opanować bez większych oporów. Ironicznie podsumowała w duchu, że jest niczym młoda żona poślubiona wbrew swej woli, którą bycie miłą dla męża przy obiedzie kosztuje mniej samozaparcia niż dzielenie z nim łoża. Hipnoza nie zniosła jednak wszystkich barier. Wyszło to na jaw przy czarach wymagających posłużenia się dużą ilością mocy; zupełnie jakby ciało dziewczyny broniło się przed tym nieświadomie, choć jej wola nie umiała sformułować nakazu. Zamiast płomienia zapalała się iskierka albo nic, telekinetycznie udawało się unieść spinkę do włosów, ale nie krzesło. I tu już nie pomagały ani groźby, ani kary, ani nawet zaklęcie posłuszeństwa. Gdy nie zadziało to ostatnie, Anavri poczuła w duchu zimną, brzydką satysfakcję, bo widziała, że Marshia traktuje tę sytuację jak swoją osobistą porażkę.

A potem z dnia na dzień okazało się, że wszyscy mieszkańcy enklawy znaleźli się w niebezpieczeństwie – nie tylko Marshia i Anavri, ale także Lorraine, chowańce i służba. I teraz, kiedy stawka radykalnie się zmieniła, opory panny Vaneisen wobec posługiwania się czernią nieco zmalowały. W zamian pojawiły się wątpliwości, czy nie jest przypadkiem za późno, by zdołała nadrobić to, przed czym wcześniej tak uparcie się wzbraniała. Nie wierzyła zresztą, by kilka lekcji z Krzyczącym mogło cokolwiek zmienić, jeśli wrogowie z Otchłani spróbują najechać enklawę albo jeśli pojedynek w sferach okaże się tylko pretekstem do napaści na nich wszystkich. Jednak Marshia, Brune i Zazel najwidoczniej byli innego zdania, więc Anavri nie podzieliła się z nikim opinią, o którą nie spytano.

Zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać po lekcjach z Krzyczącym. Będzie sarkastycznie komentował jej błędy jak Marshia? Zachowa zimną rzeczowość czy raczej okaże się mrukliwy i speszony jak jeden z jej nauczycieli w dzieciństwie?

A może... On jest w końcu z półświatka. Anavri знаła mrozące krew w żyłach plotki o tym, jak szkolą uczniów mistrzowie złodziejscy oraz

zawodowi zabójcy.

Po śniadaniu przebrała się w męski strój (pamiętała, jak się wstydziła, gdy po raz pierwszy musiała założyć spodnie, lecz mistrzyni była nieugięta: „nie jesteś już panienką z dobrego domu, nieraz przyjdzie ci bywać w takich miejscach, gdzie nie chadza się w sukni”) i o umówionej godzinie zeszła do ogrodu, czując tępą rezygnację. Wątpiła, by zmiana nauczyciela dała jakiś efekt. Martwiła się, co będzie, jeśli Brune nie zdoła jej podszkolić na czas.

Czekał tam, gdzie się umówili – na łączce nad stawem; było tu dość miejsca, żeby dało się zagrać w berka, nie depcząc rabat. Lorraine czasem się tak zabawiała z Zazelem i Bissem, w sekrecie przed ich panią.

– Jak się masz? – przywitał ją życzliwie.

Anavri wymamrotała powitanie, spuszczać wzrok. Wiedziała, że są doskonale widoczni z okien willi, i zastanawiała się, czy Marshia patrzy. Była prawie pewna, że tak.

Brune podwinął rękawy. Nagle zachciało jej się śmiać. *I ty masz mnie uczyć walki?! W dziennym świetle wyglądał... jak kancelista odwołany od papierów.* Wyszarzała czarna tunika na równie znoszonej, ale chyba czystej koszuli, dłonie w plamach od mikstur i atramentu.

– Co? – Spojrzał na nią, unosząc brew.

– Nic – bąknęła, spuszczać wzrok. Potem zebrała się na odwagę. – Mogę cię o coś spytać?

– Pytaj.

– Czy jeśli z tej całej nauki nic nie wyjdzie, to Marshia i tak mnie weźmie na sekundantkę?

– Sekundanci zasadniczo nie muszą walczyć, więc pewnie tak – odparł, splatając dłonie, a potem strzepując nimi, żeby rozluźnić palce.

– Ale niezależnie od wszystkiego, tak czy owak, musisz opanować techniki obrony i samo stawianie tarczy to za mało. Więc zamierzam cię uczyć tak, żeby wyszło. – Jego uśmiech wydał jej się odrobinę wymuszony. – To zaczynamy?

– Możemy. – Poniewczasie zorientowała się, że powiedziała to z rezygnacją, ale jeśli Brune się zorientował, nie dał nic po sobie poznać.

– W porządku. Stań naprzeciwko mnie. Trochę dalej... O, tak. Gotowa?

Przytaknęła, koncentrując się. Wyczuła zmysłami maga, że Brune przywołał moc – wokół jego sylwetki zatańczyły cienie, jeszcze niewidzialne dla zwykłego oka.

– Broń się! – zawołał, wyciągając rękę. Powietrze przecięła sina błyskawica. Anavri cofnęła się o krok, osłaniając się wyćwiczonym gestem. Pocisk z budzącym dreszcz sykiem rozbryznął się o niewidzialną barierę.

– Ładnie. Jeszcze raz!

Kolejne dwa pociski rozbiły się o tarczę. Trzeci przywarł do niej, otaczając dziewczynę pełgającą sferyczną siecią. Nagle pojedyncze rozjarzone pasmo przebiło barierę. Anavri krzyknęła, potrząsając dłonią.

– Nie dekoncentruj się – przypomniał Krzyżący, zgasiwszy czar. – Licz się z tym, że w prawdziwej walce jedno trafienie wystarczy. Pokaż rękę. Boli?

– Piecze... ale nie ma śladu. – Wyciągnęła dłoń, pokazując nietkniętą skórę.

– Dlaczego?

– Piorun Sulpisa powoduje ból i odbiera moc, nie pozostawia widocznych ran.

– Można tym zaklęciem zabić?

– Można, jeśli wymierzy się w okolice serca albo w głowę i będzie się razić ofiarę wystarczająco długo.

– Jak długo?

– Zależy od odporności i od tego, ile mocy włożysz w zaklęcie. Zwykły człowiek umrze szybciej niż mag.

– Czy chirurg, rozciąwszy ciało, byłby w stanie określić przyczynę śmierci?

– Tylko gdyby był magiem.

Krzyżący kwitował jej odpowiedzi skinieniem głowy.

– No dobrze. Marshia uczyła cię, jak się rzuca czar Sulpisa, prawda?

– Uczyła – przytaknęła niechętnie Anavri. – Ale...

– To teraz twoja kolej. – Rozłożył zapraszająco ręce. – Atakuj.

– Nie dam rady – wyjąkała. – Przecież...

– O nie, tak się nie wykpisz – rzucił z uśmiechem, ale stanowczo. – Zwizualizuj chmury, błyskawicę, ogień. I ręka przed siebie. No, już!

Niechętnie wykonała polecenie. Oczywiście – bez efektu. Stłumiła westchnienie. Chwilę wcześniej, stawiając tarczę, czuła w sobie tę gorącą, budzącą strach siłę, którą dawała czerń, lecz teraz już nie.

Brune podszedł do niej. Anavri odruchowo splotła ręce na piersi, cofnęła się o krok.

– Młodsza siostró, w ten sposób do niczego nie dojdziemy – powiedział ostrzej. – Z czarną sztuką nie jest tak jak ze zwykłą walką, nie potrzeba lat treningu. Proste rzeczy opanowuje się raz dwa. Jesteś stworzona do magii, wystarczy się temu poddać.

– Wiem – szepnęła, mrugając, żeby odpędzić łzy. Pouczali ją, wszyscy ją pouczali: Marshia, Zazel, a teraz nawet Brune.

– Spróbujemy drugi raz – powiedział. – Przygotuj się.

Niechętnie zajęła pozycję.

Brune przywołał moc, w okamgnieniu stając się sylwetką utkaną z cieni, złowrogim kształtem bez oblicza. Błysnęły żółte źrenice... Zamiast atakować, Anavri odruchowo spowiła się czarem niewidzialności. Znikła.

Krzyczący od razu wrócił do własnej postaci, więc dziewczyna również. Zmarszczył brwi.

– Przypomnij mi, jakie trzy źródła mocy masz do dyspozycji.

– Siła życiowa, ból fizyczny, negatywne uczucia – odparła wolno.

– Jakie na przykład?

– Cierpienie psychiczne, gniew, chęć zemsty. – Spojrzała na niego nieprzyjaźnie. Znała te wszystkie reguлки na pamięć.

– Ból fizyczny najlepiej się sprawdza, kiedy czerpiesz cudzy. Własny może dodać sił na przestrzeni kilku godzin czy dni, pod warunkiem, że rana nie była zbyt poważna, ale nie tuż po zadaniu obrażeń, wtedy za bardzo dekoncentruje. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Nie będę próbował cię odblokowywać za pomocą szpilek ani przypalania, nie bój się.

Anavri drgnęła. *Wiedział? Czytał mi w myślach?* Wolą się nad tym nie zastanawiać.

– Twoje ciało ma bariery utrudniające wykorzystanie własnej siły życiowej – kontynuował – tak jak kłoda nie zapali się od skrzęsanych iskier. Dlatego magowi najłatwiej przywołać moc, przywołując uczucia. Skupiasz się na gniewie, na przykrym wspomnieniu, na czymś, co sprawiło, że cierpiałas. Gdy skupisz się dostatecznie

mocno, wypowiedziana formuła lub gest inicjują czar. Najpierw spalasz emocje, to przełamuje barierę i potem zaklęcie już czerpie twoją siłę życiową. Najpierw podpałka, potem drewno. Rozumiesz?

– Pewnie – mruknęła, starając się nie okazywać znużenia.

– Wiem, na czym polega twój problem, Anavri. Nie chcesz używać podpałki, więc drewno tli się przez chwilę i na tym koniec. Jesteś w stanie zmobilizować dość energii, żeby postawić tarczę albo skryć się za iluzją, ale to ułamek tego, czym powinnaś dysponować.

Wyciągnął rękę, rozkładając palce, i nad jego dłonią urosła nieduża kula płomieni. Anavri pomyślała ponuro, że nie chciałyby wiedzieć, co Brune wizualizuje, żeby wyzwolić moc.

Więc rozszyfrowałeś mnie, brawo. Marshia i Zazel wiedzą od dawna, w czym tkwi kłopot, ja też. I co to zmienia?

– A nie da się tego jakoś... obejść? – spytała rozczarowana. – Miałam nadzieję...

...że właśnie od tego jesteś, żeby mi pokazać inny sposób, że wiesz jak.

Westchnął znowu.

– Ja też mam nadzieję, że się da. Teraz poćwiczmy coś innego.

Skinęła głową, walcząc ze sobą, by nie westchnąć z rezygnacją.

– Czarem tarczy można osłonić całe ciało, jest wtedy trochę słabszy, albo skupić go na konkretnym punkcie, żeby zablokować cios. Tak jest szybciej i potrzebujesz mniej mocy. Unieś teraz rękę, skup się i spróbuj osłonić tylko przestrzeń przed nią. – Poczekał, aż dziewczyna spełni polecenie. – Wychodzi?

– Tak – odparła po chwili.

– Teraz zajmij pozycję. Ręce przed twarzą, pochyl się trochę, schowaj się za gardą. – Pokazał jej jak. – Cofasz się tak, zobacz. Unosisz przy tym rękę i używasz tarczy tak jak przed chwilą. – Znowu zademonstrował. – Teraz powtórz.

Kilka razy poprawiał jej ruchy, aż uznał, że jest dobrze.

– A teraz uważaj.

W jego dłoni pojawił się nieduży sztylet, broń rzezimieszków. Brune zmrużył oczy i nagle zaatakował od góry – szybkim, płynnym ruchem. Anavri cofnęła się, odruchowo wykorzystując tarczę tak, jak jej wcześniej pokazał. Ostrze zatrzymało się.

– Widzisz?

– Zatrzymałeś rękę.

– Nie. Zobacz. – Rozwarł palce. Sztylet nadal unosił się w powietrzu. Anavri, zaskoczona, przestała się koncentrować – wtedy spadł na trawę.

– Widzisz? Dar zadziałał za ciebie. – Brune uśmiechnął się nieznacznie. – Specjalnie atakowałem wolno. W prawdziwej walce byłoby trudniej. Przecwiczymy to parę razy.

Ćwiczyli do czasu, aż Anavri zaczęła słabnąć. Magia męczyła zupełnie inaczej niż wysiłek fizyczny – zamiast się spocić, człowiek czuł zimno, ociężałość, głowa zaczynała boleć...

Brune zaproponował przerwę; usiedli na trawie. Gdy dziewczyna odpoczęła, pokazał jej jeszcze kilka sztuczek związanych z wykorzystywaniem tarczy, i z ulgą odkryła, że ze wszystkimi sobie radzi. Przerwali dopiero, gdy od strony pałacyku poniosło się pojedyncze dźwięczne uderzenie gongu. Anavri spojrzała niepewnie na zmija.

– To znak, że za kwadrans obiad.

– Biegnij, zdążysz się jeszcze przebrać.

Skinął jej głową na pożegnanie i tyle go widziała – zdematerializował się.

Anavri nie pobiegła do willi, szła wolno – doskwierało jej zmęczenie. Zarazem czuła ulgę, że ostatecznie nie poszło tak źle.

Spojrzawszy na zegar w holu, zorientowała się, że już nie zdąży włożyć sukni. Umyła tylko ręce, ochlapała twarz i przyczesła włosy. Ale Marshia nie odesłała jej od stołu, ograniczyła się do niezadowolonego zaciśnięcia ust. Sama była blada i mniej nienaganna niż zwykle, pod jej oczami ciemniały kręgi z niewyspania.

Po posiłku wezwała dziewczynę do swego gabinetu. Wysłuchawszy sprawozdania z lekcji, tylko skinęła głową. Ciężko było poznać, czy jest zadowolona, czy nie.

– I jak? – spytała później Lorraine, kiedy dziewczęta poszły razem na górę. Anavri wzruszyła ramionami.

– W porządku.

Wyciągnęła się na przykrytym kapą łóżku kuzynki. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo wyczerpał ją krótki w sumie trening. Miała dreszcze, a za okiem nieustępliwie pulsował ból. Tuż po posiłku osłabł, lecz teraz znów narastał. Najchętniej zawinęłaby się w kapę

i zasnęła.

Lorraine swoim zwyczajem wpatrywała się w przestrzeń, śledząc odległe obrazy. Nagle uśmiechnęła się półgębkiem. Anavri usiadła.

– Co tam zobaczyłaś, co?

– Nieważne.

* * *

– Nie jest dobrze – powiedział powoli Beineke. Światło dnia wpadało do prosektorium przez brudne szyby, a na kamiennym stole leżały piąte zwłoki, które poprzedniego wieczoru odkryto w portowej dzielnicy, na zachwaszczonym kawałku ziemi za magazynami. – Zresztą sam widzisz.

– Widzę – potaknął kapitan i mocniej przycisnął do twarzy szmatkę, wdychając zapach kamfory. Nie zdało się to na wiele, smród rozkładu nadal atakował jego nozdrza.

– Poderżnięte gardło, zdjęta skóra z twarzy, rozcięty brzuch. Usunięta wątroba, trzustka, śledziona, wywleczone jelita. Zasmakował w tej zabawie. – Lekarz nakrył ciało dziewczyny prześcieradłem. – Wyjdźmy stąd, bo widzę, że się krzywisz.

Przeszli do małego gabinetu obok, pełnego zakurzonych foliów i ludzkich organów w słojach. Tu dla odmiany cuchnęło octem i alkoholem z domieszką gnijącego mięsa. Beineke zamknął drzwi i podsunął Zanderowi krzesło. Ten usiadł ociężale, myśląc cierpko, że nie jest już tak młody jak kiedyś. Beineke wyjął z szafy kamionkowy gąsiorek.

– Miodku? – spytał.

Kapitan z niechętnym pomrukiem przyjął zaoferowany kubek.

– Jak dawno temu zginęła? – spytał.

– Trzy, cztery dni. Aż dziwne, że nie znaleziono jej wcześniej.

– Oglądałem miejsce, gdzie leżała. Mało kto tam łązi, pokrzywy po pas.

– To kto ją znalazł?

– Dzieciaki ją wypatrzyły, jak poszły rwać dzikie jabłka, opodal jabłonka rośnie.

Lekarz ponuro pokiwał głową.

– Jak wam poszło z wcześniejszymi ofiarami? – zmienił temat. –

Udało się zidentyfikować którąś?

– Nie. – Zander westchnął z rezygnacją i popił miodu. – Rozpytywaliśmy po burdelach, w szynkach i tak dalej, ale to daremny wysiłek. Masz choć blade pojęcie, ile w tym mieście mieszka dziwek, Beineke?

– Może z tą będziecie mieli więcej szczęścia. – Lekarz wręczył mu mały błyszczący przedmiot. – Po pierwsze, na środkowym palcu lewej dłoni znalazłem ten pierścionek.

Kapitan podniósł ozdobę do światła. Pierścionek był ze srebra. Ornament ze splecionych drucików otaczał duże niebieskie oczko.

– Po drugie, przed śmiercią ufryzowała włosy i związała je wstążkami. Błękitnymi. O, tu masz rysunek. – Beineke pokazał kartkę, na której naszkicował sposób ułożenia loków. Zander potarł czoło.

– Teraz, gdy o tym myślę, każda z nich była uczesana jakoś bardziej... – Zabrakło mu właściwego słowa, więc uczynił niesprecyzowany gest. – Pierwsza miała koronę z warkoczy. Zapamiętałem, bo mało która dziwka się tak czesze. U drugiej i trzeciej, jeśli się nie mylę, włosy zostały upięte wysoko, jak na bal. Czwarta nosiła te śmieszne obwarzanki. Szkoda, że nie wiemy, jak były ubrane w momencie śmierci. – Zamilkł. Przychodziły mu do głowy różne hipotezy. Niestety, wszystkie wydawały się trudne czy wręcz niemożliwe do sprawdzenia.

– No cóż, trop jest jeszcze w miarę świeży. W pobliżu miejsca, gdzie ją znaleziono, znajduje się kilka tawern. – Beineke pomachał kartką. – Ktoś mógł zapamiętać dziewczynę z taką fryzurą.

Zander pokiwał głową.

– Fryzjerzy – powiedział powoli, zastanawiając się na głos. – Może to jakaś myśl?

– A czy którąś z nich byłoby stać na fryzjera? Nie sądzę, Lybiusie. To panny z biednych dzielnic, nie zarabiały tyle, żeby jeść do syta. Czeszały się same albo z pomocą koleżanki.

– Też racja. – Kapitan podrapał się po nieogolonej szczęce i dopił zawartość kubka.

* * *

Nazajutrz o świcie Anavri zgodnie z umową zeszła do ogrodu. Ponieważ zasnęła i nie chciała tracić czasu na śniadanie, od kucharki dostała manierkę cydru oraz chleb z serem zawinięty w płótno, do zjedzenia po lekcji.

Brune znowu czekał nad stawem.

– Zabiorę cię w sfery – powiedział. – Marshia wie. Daj rękę.

Zdematerializowali się – Anavri wciąż jeszcze nie mogła wyjść ze zdumienia, jakie to jest łatwe, a zarazem jakie przedziwne uczucie temu towarzyszy. Gdy ochłonęła po podróży przez lodowaty wir kolorów, ujrzała, że stoją na skalistym pustkowiu. Nad szczytami gór wisiał olbrzymi księżyc. Jego blask rzucał wszędzie ostre czarne cienie, odrealniał kształty – nietrudno było uwierzyć, że gład widziany kątem oka to tak naprawdę przycupnięty potworek.

– Jesteśmy w dominium gnomów, niedaleko mojej enklawy – oznajmił Krzyczący. – Nic nie powinno nam tutaj przeszkadzać. Aura jest stabilna, nie wywołamy zachwiania, jeśli nie będziemy się bardzo starać.

– Dziwne miejsce – mruknęła Anavri. Choć nie przyznałaby się na głos, miała niemiłe wrażenie, że z cienia skał obserwują ją niewidzialne oczy. – Czy coś tutaj żyje?

– Gnomy, ale one siedzą pod górami, rzadko wychodzą na powierzchnię. Bywa, że przybłąka się samotny kręciel czy inna larwa, i to wszystko. Zresztą sięgnij umysłem w przestrzeń i sama zobacz.

Chwyciła oddech, przytłoczona bezmiarem ciszy i ogromem milczących skał. Brune mówił prawdę – byli tu sami, dwie istotki na pustkowiu. Nagle coś sobie uświadomiła.

– Myślałam, że Zmroczka tworzy zasłonę wokół naszego świata, ale tu też ją czuję! Wszystko ma aurę ze srebra i czerni, tak jak na ziemi! Jak to możliwe?

– Prądy srebra i czerni są wszędzie, we wszystkich wymiarach, tylko wokół świata ludzi splecione są w zasłonę, a tutaj nie. Magia jest wszędzie, Anavri. I na ziemi, i w sferach.

– A czemu właściwie mnie tu sprowadziłeś?

– Bo wpadłem na pewien pomysł, ale o tym za chwilę. Przede wszystkim mam dla ciebie talizman. – Sięgnął do kieszeni. – Daj rękę.

Zapiął na jej nadgarstku bransoletkę ze srebrnych ogniwek

i półszlachetnych kamieni. Malachit, turkus, mleczny kryształ górski. Anavri spróbowała powiązać je z tym, co wiedziała na temat znaczenia klejnotów w magii, ale nie umiała odgadnąć, do czego może służyć takie połączenie.

– Dopóki nosisz tę ozdóbkę, nie będziesz mogła się zdematerializować ani stać niewidzialna – wyjaśnił Brune. – Dzisiaj się nie wywiniesz od walki. Nie ma lekko.

Anavri spuściła wzrok, czując, że znów ogarnia ją pałący wstyd. *Jestem tchórzem, jestem takim tchórzem, że muszę mi zakładać obrożę ze smyczą, żebym nie uciekła.*

– Teraz zostawię cię tu samą – kontynuował. – Kiedy pojawi się zagrożenie, wal w przeciwnika takimi czarami, jakimi uznasz za stosowne. Kiedy pokaże białą chustkę, to znak, że masz przestać. Jakies pytania?

Zmarszczyła brwi.

– Kto będzie moim przeciwnikiem? Nie ty?

– W tym cały dowcip tej zabawy. W prawdziwym życiu mag też nie zawsze wie, z kim lub z czym ma do czynienia.

– Ale w prawdziwym życiu walki nie przerywa się na widok białej chustki. To nie będzie podstęp?

– Nie. Jakichś reguł musimy się trzymać.

– I mam się bronić tak, jak umiem?

– Masz walczyć tak, żeby przeciwnik nie zrobił ci krzywdy, a jeśli go pokonasz, stawiam Marshii butelkę najlepszego alkaryjskiego wina.

– Dobrze wiedzieć, że dostarczam wam tyle rozrywki – syknęła, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Tego tylko brakowało – żeby zakładali się o to, jak jej pójdzie.

– Żartowałem, dziewczyno. – Dotknął jej ramienia. – Przepraszam.

Przygryzła wargę.

– Do diabła z tym. Zaczynajmy już.

Krzyczący nakreślił dłonią znak ochronny nad jej czołem.

– To po to, żeby nam się sprawy nie wymknęły spod kontroli. Zaczynamy.

Zdematerializował się.

Anavri czekała. W martwej ciszy pustkowia czuła się coraz bardziej nieswojo. Rozejrzała się i cofnęła, tak żeby za plecami mieć duży głaz.

Minuty mijały.

Nagle uderzenie czerni sprawiło, że jej wnętrzości skreślił mdlący strach. Poczła obecność – nie Krzyczącego, jego umiałaby rozpoznać. Kogoś... lub czegoś. Zaciśnęła zęby.

Opanuj się. Chociaż raz się nie skompromituj, na litość.

Wyjrzała zza osłony głazu i zmartwiała, widząc kilkanaście kroków dalej zgarbioną sylwetkę w ciemnym, złachmanionym płaszczu z kapturem.

Brune?... Wzrost się zgadzał, lecz aura przybysza emanowała lodowatą wrogością, złem. Pod dziewczyną ugięły się nogi. Nie miała pojęcia, co Krzyczący wymyślił, jaką istotę tu ściągnął czy zwabił.

Przybysz odwrócił się ku niej. Z trudem powstrzymała się od krzyku, widząc jego oblicze – białe, zniekształcone guzowatymi naroślami, jakby trędownate.

Wciągnąwszy z sykiem powietrze, stwór spojrział wprost na nią krwawymi szparkami oczu. I wtedy Anavri straciła głowę. Rzuciła się do ucieczki w dół zbocza.

Dar pomagał jej utrzymywać równowagę, biec szybciej – prawie frunęła, przeskakując nad piargami. Nie oglądała się, ale czuła, że odległość między nią a ścigającym rośnie.

Nagle wzleciał w powietrze, furkocząc płaszczem, i wylądował kilkanaście kroków przed nią.

– Nie uciekniesz – zasyczał. Szczęknęła stal, gdy obnażył ostrze rapiera.

Anavri rozejrzała się w panice. Stali u wylotu żlebu, na łagodnej muldzie kamieni, żwiru i piasku, naniesionych tu przez wodę z topniejącego śniegu. Niżej zbocze stawało się bardziej strome, a jeszcze dalej przechodziło w przepaść.

Nagle nabrała uskrzydłającej pewności, że jeśli skoczy, pofrunie – uleci jak ptak. Lecz potem przyszła inna myśl.

To nie jest rozwiązanie. Każą ci walczyć, więc walcz.

Dziewczyna osłoniła się zaklęciem tarczy, rozpaczliwie próbując coś wymyślić. Nic nie przychodziło jej do głowy. Unieść telekinetycznie któryś z dużych głazów i cisnąć w niego? Nie, na to była zbyt słaba...

Wróg się nie spieszył. Nadchodził, szczerząc zęby w obrzydliwym uśmiechu, krok za krokiem skracając dystans.

Nie dopuścić go do siebie. Odepchnąć.

Odepchnąć!

Gwałtownie wyciągnęła dłonie. Powietrze między nią a wrogiem zadrgało. Stwór pochylił głowę – szedł wolniej, jakby brodził przez zgęstniałe błoto. Ale nieubłaganie posuwał się do przodu.

Anavri cofała się, lecz równocześnie czuła, że narasta w niej siła – czarna fala podsycana strachem, ale i budzącym się gniewem.

Nie dotkniesz mnie.

Gdy miała wrażenie, że zaraz zapłonie od środka, uwolniła wszystko.

Między nią a prześladowcą urósł świszczący wir, miniaturowa trąba powietrzna. Stwór osłonił głowę ramieniem, choć frunące kamyki odbijały się od niewidocznej sfery tarczy. Potem zgiął się w pół, jakby walczył z narastającym naporem wiatru. Trąba zatrzymała się pomiędzy nimi. Anavri zacisnęła zęby. Czy zdoła przywołać jeszcze więcej mocy? Pchnąć wir na niego? Z rezygnacją uświadomiła sobie, że nie – postawił tarczę, która była jak kamienny mur. Pozostawało kwestią czasu, które z nich osłabnie prędzej...

– Anavri! Już! Wystarczy!

Brune powrócił do własnej postaci. Śmiejąc się, machał do niej białą chustką.

Dziewczyna wypuściła moc, doznając takiej ulgi, jakby zrzuciła z pleców ciężar. Nie zdawała sobie sprawy, jakim wysiłkiem okupywała utrzymywanie czaru, aż do momentu, gdy to obciążenie znikło. Wir rozproszył się, kamyki posypały się jak deszcz. Brune przyłożył chustkę do czoła – z dwóch czy trzech małych skaleczeń płynęła krew. Anavri zorientowała się, że tarcza nie do końca go ochroniła.

– Przepraszam – szepnęła.

– Za co? Przecież o to chodziło! – Triumfalnie uniósł rękę. – Jak chcesz, to potrafisz! Każdego, kto nie umie postawić tarczy, oślepiłabyś i zmiotłabyś z nóg. Nieźle na początek.

– Nie pokonałam cię – powiedziała wolno.

– No, jeszcze tego brakowało. Ale było naprawdę dobrze, Anavri. – Jego oczy błyszczały entuzjazmem. – Rozgryzłem cię, dziewczyno! Po pierwsze, odblokowuje cię strach. Świetnie. Po drugie, nie masz ręki do ognia. Żywiol, po który sięgasz instynktownie, to powietrze. Dziwię się, że Marshii nie przyszło do głowy, żeby to sprawdzić.

Anavri machinalnie przytaknęła. Teraz, gdy napięcie opadło, robiło jej się coraz bardziej mdło i dziwnie. Nogi ugięły się pod nią, musiała usiąść na ziemi.

– Słabo ci? – Brune przykląkł przy niej. – Musisz się nauczyć, jak gospodarować mocą. – Objął ją ramieniem, dodając otuchy. – Mamy jeszcze dziesięć dni. Będzie dobrze.

* * *

Zander wysiadł z dorożki i wkroczył do ciemnego wnętrza starej strażnicy.

– Kapralu Beugl! – zawołał, widząc grubego strażnika z blizną na czole. – Weźcie dwóch ludzi i ruszajcie na Wschodnią. Jest nakaz, by aresztować rękawicznika Poussina za długi. Oto papier urzędowy. – Wręczył grubasowi dokument opatrzony czerwoną pieczęcią. Beugl zasalutował słuźbiście.

– Tajest, panie kapitanie!

– Ale dyskretnie, cicho, bez scen! Drzwi nie wyważać, żon przy nadziei nie straszyć! Żebym potem nie słyssał, że teść dłużnika wniósł na was skargę do burmistrza!

– Rozkaz!

Zander, utykając, wspiął się na piętro po skrzypiących drewnianych schodach i wszedł do ciasnej izby, gdzie na półkach stały zakurzone książki, a blat stołu niknął pod stertami szpargałów.

– Moźni magowie przysłałi wiadomość, panie kapitanie – powiedział sierżant Subbel, gdy tylko zobaczył zwierzchnika. – Przez latającego posłańca.

Wyciągnął zapieczętowany arkusik pergaminu. Zander złamał pieczęć i rozłożył list. Musiał podejść do okna, żeby go odczytać.

– Moźni magowie potwierdzają, że Zmrocza przez ostatnich sześć dni była mało podatna na zakłócenia – oznajmił po chwili. – Słońce jest w znaku Kruka, księżyc w nowiu, a konstelacja Królowej zamyka dom piąty, cokolwiek by to miało znaczyć. – Starannie złożył pergamin i schował go do skrzynki, gdzie trzymał dokumenty związane ze sprawą zamordowanych prostytutek.

– Czyli znowu to samo.

– Ano.

– Ale srebrni nadal nie zamierzają się włączyć w śledztwo?

– A jak myślisz? – Zander popatrzył na księgę z raportami, nad którą ślęczał podwładny. – Coś nowego?

– Niewiele, panie kapitanie. To znaczy – sierżant się zawahał – pani Maguet opowiedziała mi o człowieku, który tydzień temu w pijanym widzie groził brzytwą jej dziewczynom, jedną trochę pokaleczył.

Zander pokiwał głową. Znał panią Maguet. Czterdzieści lat wcześniej ponętna aktoreczka z wędrownego teatru, a teraz chuda jędza o twarzy zeszpeconej przez brzydką chorobę, prowadziła jeden z tańszych i podlejszych przybytków rozkoszy w dzielnicy portowej.

– Kto z nią rozmawiał?

– Najpierw konstabl Demertin, potem ja. Wszystko zanotowałem. Opisała tego człowieka, że mieszka po sąsiedzku, więc rozpytałem w okolicy i odszukałem go. To stary pijak, na wpół niedołęzny, z drewnianą nogą. Sąsiedzi dobrze go znają. Był szewcem, ale rozpił się po śmierci żony dwa lata temu, sprzedał warsztat, przepuścił większość dobytku. Nie wygląda mi na takiego, który mógłby wiele zdziałać nożem. Ręce mu się trzęsą.

Zander zmarszczył brwi.

– Chcę przeczytać ten raport.

Subbel klepnął księgę.

– Wszystko tu jest.

– A poza tym nic?

– Nic.

Zander znowu pokiwał głową. Myśłami był już gdzie indziej.

Przed oczami znowu miał zmasakrowane nożem, opuchnięte kobiece zwłoki o zsiniałej skórze. Ofiary łączył zawód, wiek i wygląd. Ginęły w dniach, kiedy było pewne, że ich śmierć nie zaburzy Ekwilibrium, i każda kolejna miała na ciele więcej ran. Ktoś czerpał chora radość z ich śmierci, ale czy był czarnym magiem, który karmi się cierpieniem? Czy może fałszywym magiem, odprawiającym okrutne rytuały w nadziei, że zyska w ten sposób potęgę albo władzę nad demonami? Czy też zwykłym ogarniętym żądzą krwi szaleńcem?

I czy bez pomocy Elity mieli jakkolwiek szansę na rozwikłanie tej sprawy?

Jedno wydawało się pewne. Intuicja Zandera, poparta latami

doświadczenia, szeptała mu to chłodno i ponuro.
Kimkolwiek był morderca, będzie zabijał dalej.

6. W szrankach

Dziesięć dni minęło szybko. Za szybko.

Marshia przyszła na ostatnią lekcję, żeby popatrzeć. Walczyli oczywiście w sferach. Brune znów stał się potworkiem o czerwonych oczach. Ilekroć przybierał tę postać, w Anavri budził się atawistyczny strach i broniła się mimo świadomości, kto kryje się za iluzją, a żmij jej nie oszczędzał. W trakcie ćwiczeń odkryli jeszcze jedno – najbardziej bała się zapędzenia w miejsce, skąd nie można uciec.

Zaczynała się oswajać z czernią. Nie sposób codziennie walczyć i nie oswoić się z darem w jakimś stopniu.

– Hm – mruknęła Marshia, kiedy skończyli pokaz. Anavri oddychała ciężko, ale tym razem nie kręciło jej się w głowie. Stała prosto i patrzyła na mistrzynię cokolwiek wyzywająco, przykładając chusteczkę do nosa, z którego sączyła się krew. Brune powrócił do własnej postaci.

– I jak? – zagadnął, wyjmując chustkę. Zmęczył się mniej niż jego uczennica, ale był szary na twarzy i też krwawił z nosa.

Marshia patrzyła na dziewczynę, ważąc w myślach werdykt.

– Nie jest źle – stwierdziła w końcu. – Jutro przerwa. Żadnej magii. Ale to żadnej, Brune, słyszysz, bo to do ciebie? Pojutrze macie być wypoczęci i w jak najlepszej formie.

* * *

Gdy nadszedł dzień pojedynku, Anavri od rana nie była w stanie nic przełknąć. Strach dławił ją w gardle zimną kulą. Widziała, że Zazel też chodzi jak struty.

Nie tylko oni odczuwali cień wiszącego topora. Kucharka przypaliła mleko, a służąca, która podawała do stołu, zapomniała przynieść masło i stłukła miseczkę z marmoladą. Nawet Lorraine, która rzadko przejmowała się doczesnymi sprawami, teraz była blada i wyglądała tak, jakby w nocy nie zmrużyła oka.

Marshia zarządziła, by Anavri i Zazel stawili się w jej pracowni zaraz po śniadaniu, na którym zresztą sama się nie pojawiła. Dziewczyna zgodnie z poleceniem przyszła już gotowa – w czarnym kabacie i spodniach, niczym paż w żałobie, z włosami upiętymi w koczek i schowanymi pod aksamitnym beretem. Przepasała się otrzymaną od mistrzyni szarfą z wyhaftowanymi symbolami. Złote i czerwone znaki układały się w zakłęcie, którego Anavri nie potrafiła odczytać, lecz poczuła jego działanie, gdy tylko zawiązała węzeł – stała się spokojniejsza i zarazem bardziej świadoma drżemiącego w niej daru, mrocznego gorąca, które pulsowało w głębi ciała jak drugie serce. Teraz zrozumiała to, co powtarzał jej Krzyżący. Dar był bronią, której mogła dobrać w każdej chwili.

W pracowni, jak zwykle zaciemnionej, powitały ich tańczące kolorowe refleksy. Jedno z wiszących na ścianach zwierciadeł jarzyło się tęczowymi wzorami, zmieniającymi się z prędkością przyprowadzającą o zawrót głowy. Cztery pozłacane rzeźby, które zawsze stały w rogach pomieszczenia, zniknęły. Właścicielki nie było, za to w tętniący barwami portal wpatrywał się – obcy szlachcic?...

Gdy przybysz się odwrócił, Anavri zamrugła, z trudem rozpoznając Krzyżącego. Gładko ogolony, zamiast podniszczonej codziennej odzieży miał na sobie smoliście czarny strój, od którego jedynie kołnierz i mankiety koszuli odbijały bielą, a przy boku rapier.

Albo był świeżo po czerpaniu, albo zażył jakiś narkotyk wzmacniający dar, bo moc otaczała go niemal namacalnie. Blizny przesłonił iluzją, lecz pozostały wyczuwalne; emanowały czernią tak silnie, że stwarzały wrażenie, jakby jego nieskazitelna twarz była maską kryjącą nieznane okropieństwo.

– Nie bój się – powiedział, gdy już wymienili słowa powitania. – Jako sekundanci jesteśmy nietykalni.

– Naprawdę w to wierzysz?

Skinął głową.

– Muszą się trzymać zasad, które sami ustalają.

– Kpisz sobie ze mnie? Demony i honor?

– Nie rozumiesz – odparł z uśmiechem. – W Otchłani każdy każdemu może w dowolnej chwili wbić nóż w plecy, jeśli dojrzy w tym korzyść przewyższającą ryzyko. Ale jawne łamanie reguł skutkuje utratą twarzy, co bywa gorsze niż przegrana w walce. Otchłań rządzi

się... specyficznymi prawami. Na równi z siłą liczy się tam to, jak cię postrzegają, komu służysz lub kto cię popiera. Nie zdziwiłbym się, gdyby twoja mistrzyni posiadała kontakty gwarantujące, że walka będzie uczciwa. To do niej podobne.

Drzwi pracowni otwarły się, więc zamilkli. Wkroczyła Marshia, również odmieniona nie do poznania, w rynsztunku bojowym. Skórzany kaftan i spodnie, wysokie buty, rękawice, kaptur i symbiotyczna maska na twarzy. W pasie szarfa, na szyi – kilka medalionów emanujących czarną aurą.

– Portal jest prawie gotowy – poinformowała. Zerknęła na ścienny zegar. – Za kwadrans ruszamy. Zazel, pozwól no do mnie.

Anavri stłumiła nerwowy chichot, spostrzegłszy, że chowaniec – jak to on – jest z lekka umazany marmoladą, lecz dziś mistrzyni nie zwracała uwagi na głupstwa. Dłuższą chwilę rozmawiała z nim cicho, przekazując ostatnie instrukcje.

– Enklawa została dzisiaj potrójnie zabezpieczona – powiedziała na koniec. – Ale gdyby sprawy potoczyły się źle... wiesz, co masz robić.

Zazel przytaknął z powagą.

* * *

Wyznaczone miejsce pojedynku znajdowało się w sferach, w królestwie salamander. Piaszczysta wysepka pośrodku czerwonego jak krew morza, pod brudnożółtym niebem. Prostokątne szranki otaczał zgiełkliwy tłum demonów, żywiołaków i astralnych stworów wszelkiej maści.

Gdy tylko wyłonili się z portalu, podszedł do nich bogato odziany młodzian o sinobiałej skórze i niemal dziewczęcych rysach. Przypominał porcelanową lalkę, do której ręka rzemieślnika wiedziona niewytłumaczalnym kaprysem przymocowała dwie pary błoniastych skrzydeł. Ucałował dłoń Marshii, a jej sekundantom grzecznie się uklonił.

– Jestem Heskery, sylf – przedstawił się. – Będę miał zaszczyt sędziować.

Krzyczący w Ciemności zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

– Sługa Doliny Światła?

– Agent Doliny Machin – sprostowała Marshia z enigmatycznym

uśmieszkiem, a Anavri odgadła, że obecność sędziego z niezależnej Doliny musi być efektem przydatnych kontaktów i powiązań, jakie uruchomiła jej mistrzyni.

– Proszę wybaczyć tak liczną publiczność – dodał Heskeri. – Przywiodła ich tu ciekawość.

– Zapewniam, że publiczność mi nie przeszkadza. – Marshia powiodła wzrokiem po zebranych. – Czyżby wojownik Laberhosa jeszcze się nie zjawił?

– Powinien tu być lada moment.

Drgnęli, gdy rozległ się huk, ale to tylko błazen w pstrokatym kubraku i masce z długim nosem odpalił garść fajerwerków. Zabrzmiały oklaski.

Od tłumu odłączył się mężczyzna w ciemnym odzieniu. Sądząc po aurze – zwykły człowiek, nawet nie *ka-ira*. Oblicze okrągłe, wygolone, rudawy wąsik, rozumne spojrzenie. Marshia przywołała go i powitała tonem świadczącym, że spodziewała się go ujrzeć. Skłonił się i przedstawił jako Denigis, felczer.

Anavri dostrzegła na szyi mężczyzny złoty wisior w kształcie smoka i przypomniała sobie, co Krzyżący mówił o prawach rządzących Otchłanią. Niezmiernie ją ciekawiło, czy sługa Charooza zjawił się tu na rozkaz swego pana, czy z własnej inicjatywy, a także jakim sposobem Denigis mógł przebywać w sferach, nie będąc magiem, i czy talizman miał z tym coś wspólnego.

Heskeri pokazał, po której stronie ogrodzonej przestrzeni powinni zająć miejsca. Ponieważ przeciwnika jeszcze nie było, Marshia oddaliła się, by porozmawiać z Denigisem, a Brune i Anavri stanęli razem przy linie. Siląc się na pozory opanowania, dziewczyna popatrzyła na tłum, starając się ignorować to, że kilka kroków dalej potworek z zabim pyskiem pokazuje jej nieprzyzwoity gest, a drugi, podobny do borsuka, cmoka i rusza jęzorem.

– Nie wpisujemy się w modę panującą na tym przyjęciu – stwierdziła. – Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam była sobie przyprawić głowy krokodyla.

Brune parsknął. Nagle spoważniał, zmarszczył brwi.

– Zostawię cię tu na moment – powiedział. Nie czekając na odpowiedź, dał nura pod liną i już go nie było, zniknął w ciżbie. Anavri zacisnęła zęby.

Rozejrzała się za Marshią i wypatrzyła ją kawałek dalej, nadal pogrążoną w rozmowie z felczerem. Nieco uspokojona odwróciła się i wtedy ujrzała, że po drugiej stronie liny stoi trefniś, który chwilę wcześniej odpalał fajerwerki. Człowiek – a może nie? Wysoki, mocno zbudowany, w kubraku uszytym z różnobarwnych łąt, w czapce z dzwonekami, spod której wymykały się rude kosmyki. Błazeńskie akcesoria zupełnie nie pasowały do jego postaci. Wyglądał dziwnie i niepokojąco. Aurę też miał dziwną – dominowało w niej wrażenie zimna i martwości.

Drewniana maska z pokracczym nochalem skrywała jedynie górną połowę jego twarzy. Anavri wzdrygnęła się, widząc, że odsłonięte usta są zaciśnięte, ponure. W całej jego postawie było coś zaciętego, złowróżbnego.

Nie odrywając od niej wzroku, skinął dłonią w białej rękawiczce.

– Mam cię – szepnął.

Anavri poczuła ukłucie na policzku. Potarła twarz. Gdy ponownie spojrzała w to samo miejsce, dziwnego osobnika już nie było. W powietrzu pozostał jedynie ślad kwaśnawej, niemiłej woni, jakby skisłej zupy.

Chwilę potem wrócił Brune. Odtrącił usiłującego chwycić go za rękaw zebraka, któremu spod łachmanów wystawały koźle nogi, i przeszedł pod liną.

– Zdawało mi się, że ujrzałem kogoś, kogo nie spodziewałem się tu zobaczyć – wyjaśnił. – Nieważne.

Powiedzieć mu? Nie powiedzieć? Dotknęła policzka, lecz wyczuła jedynie gładką skórę. Postanowiła milczeć. Właściwie nie była już pewna, czy cały incydent zdarzył się naprawdę. Może jej się przywidziało?

Zagrzmiało, aż wyspa zatrzęsała się w posadach. Nieopodal w powietrzu rozjarzył się krąg czerwonej poświaty, z którego najpierw wyfrunęła naga złotoskóra dziewczyna o skrzydłach ważki, potem wytoczył się pokracczy kształt zbudowany z wielu zrosniętych razem kończyn, a na końcu wylazł wielki, z grubsza człekokształtny stwór o trzech głowach. Jego lewe oblicze było wzdęte i zielonkawe, jakby nadgniłe, prawe – szkarłatne, środkowe zaś pokryte brunatną łuską, podobnie jak potężne ramiona i tors. Porośnięte futrem nogi kończyły się niedźwiedzimi stopami o długich pazurach. Gdy szedł, ziemia pod

nim drżała.

– Agelhagoth, Agelhagoth! – krzyknął ktoś. Rozległy się wiwaty.

Agelhagoth skłonił się publiczności, następnie wstąpił w szranki i zbliżył się do dwojga zmijów. Anavri wzdrygnęła się – mierzył co najmniej dziesięć stóp, oboje z Krzyczącym wyglądali przy nim jak dzieci. Bił od niego smród jak z dołu pełnego padliny.

– Sekundanci? – zagadnął głosem niczym pomruk gromu. – Czy zabaweczki?

Wyciągnął rękę, chyba chcąc zmierzić Krzyczącemu włosy, lecz natrafił na niewidzialną barierę zaklęcia tarczy.

– Uważaj – ostrzegł Brune. W ułamku sekundy spowił się cieniem i jakby urósł, oczy zalśniły mu złotem. Demon zaśmiał się ochryple.

– Nie znamy się na żartach? Tymczasem, zabaweczko.

Oddalił się, by stanąć po przeciwnej stronie ogrodzonego prostokąta. Jego sekundanci również zajęli miejsca.

Niebo ciemniało. Wokół szranków zapłonęły pochodnie i kosze pełne migotliwego czarodziejskiego ognia, w oczach zmieniającego barwę. Wśród tłumu przechadzał się stwór o łbie wilka, zonglujący zapalonymi kulami i laskami. Od czasu do czasu chwycił je długim jak u kameleona językiem i zjadał.

Heskeri zerknął na wyciągnięty z kieszonki zegarek w kształcie cebuli i nachmurzył się.

– Na co czekamy? – spytała Anavri.

– Charooz się spóźnia – odrzekł Brune.

– Kto taki?

– Władca Doliny Złota. Ten, któremu twoja mistrzyni pośrednio zawdzięcza obecną sytuację.

– On też ma tu przybyć?

– Tak zrozumiałem.

W tymże momencie rozległ się kolejny grzmot. Ponad morzem rozwarł się portal, z którego chlusnęła jasność i wyłonił się demon w smoczej postaci, otoczony korowodem tańczących błędnych ogników. Heskeri z wyrzutem pokazał mu czasomierz. Charooz tylko prychnął ogniście. Marshia zasalutowała mu krótko, niemal drwiąco, lecz udał, że jej nie zauważa.

Na znak sylfa Brune i Anavri rozeszli się każde do swego narożnika. Dziewczyna zacisnęła zęby, skupiając się na tym, żeby

opanować mdłości. *Głupia, tylko nie narób sobie wstydu.* Aby stłumić strach, przywołała moc, grzejąc się w czarnym ciepłe. Wiedziała, że jej źrenice zaczynają się jarzyć, więc potoczyła spojrzeniem po tłumie, a stojący najbliżej umilkli. Krzyczący popatrzył na nią i wyczytała w jego wzroku aprobatę.

Heskeri zatrzepotał skrzydłami i wzniósł się, zawisając w powietrzu. Zaklaskał w ręce. Gwar przycichł.

Sylf powitał widzów, przedstawił zawodników i streścił zasady konfrontacji, po czym odpłynął poza szranki. Marshia i Agelhagoth ukłonili się sobie sztywno. Zapadła cisza, aż iskrząca od napięcia.

– Jeden – rzekł Heskeri.

Olbrzym wyjął z ust lewej głowy białą pałeczkę i złamał ją.

Powietrze wokół Marshii zafalowało, zgęstniało. Jej postać na moment rozmyła się w mlecznym oparze, lecz gdy ten opadł, zmijka stała bez ruchu, nietknięta. Posłała demonowi wyzywające spojrzenie. W tłumie odezwały się gwizdy. Agelhagoth powoli zwrócił wszystkie trzy głowy ku ciżbie i gwizdzący umilkli. Heskeri klasnął w ręce.

– Dwa.

Olbrzym wyjął z ust prawej głowy czerwoną pałeczkę i skruszył ją jakby z gniewem.

Wokół Marshii zakotłował się ogień – rycząca furia żywiołu. Anavri osłoniła się tarczą; przez buchające płomienie widziała, że Krzyczący zrobił to samo. Nawet przez magiczną barierę czuła intensywne gorąco.

Heskeri zaczął czynić olbrzymowi wyrzuty za użycie czaru, który potencjalnie narażał sekundantów drugiej strony. Demon zbył te obiekcje pogardliwym milczeniem. Założył ramiona na piersi i czekał. Ogień huczał.

Gdy w końcu płomienie opadły, piasek na obwodzie kręgu chronionego przez tarczę był stopiony na szkło, lecz ten wokół stóp Marshii pozostał sytki. Zmijka stała niewzruszona. Żar nawet nie tknął jej odzieży. Oddychała może nieco szybciej, lecz jeśli na jej twarzy pojawiły się oznaki zmęczenia, to symbiotyczna maska nie pozwalała ich dostrzec.

– Bardzo ładnie! – zawołał drwiąco Heskeri. – Jeśli postarasz się trochę bardziej, spalisz jej ubranie. Niewątpliwie dostarczysz nam

ciekawego widoku.

Agelhagoth warknął głucho, złowrogo. Marshia patrzyła na niego, mrużąc oczy. Kącik jej ust drgnął w uśmiešku. Tłum zamarł, widzowie wstrzymali oddech.

Heskeri klasnął.

– Trzy!

Teraz olbrzym po raz pierwszy się uśmiechnął. Wszystkimi trzema ustami, demonstrując okropne, krzywe zębiska. Gdy w jego rękę pojawiła się trzecia, niebieska pałeczka, Anavri zamarła w przeczuciu czegoś straszego.

Sękaty palce tym razem nie złamały ani nie skruszyły pałeczki, lecz starły ją na migoczący proch. Olbrzym syknął z cicha i mimo zaklęcia tarczy, postać jego przeciwniczki na moment przesłoniły roztańczone błękitne płomyki. Gdy zgasły, Marshia chwiała się na nogach.

Ciężko upadła na piach. Agelhagoth skłonił się z kamienną miną, po czym rozwiął się w kłębach dymu, jego sekundanci również.

– Skończone! – ogłosił Heskeri.

Po chwili martwej ciszy wybuchł gwar. Podekscytowani gapie tłoczyli się wokół szranków, ciekawi, czy powalona żyje. Anavri zamrugła, by odpędzić łzy, i nagle poczuła, że moc wzbiera w niej czarnym, wściekłym wodospadem. *Hieny...* Gdyby mogła, potraktowałaby ich wszystkich ulewą ognia. Zapragnęła ujrzeć, jak wyją z bólu i obracają się w proch.

Czuła, że aura Marshii gwałtownie słabnie, przygasa. Wiedziała, co to znaczy. Jej mistrzyni umierała.

Brune przypadł do leżącej, ale syknął i cofnął się, potrząsając dłonią. Anavri odgadła, co się dzieje – ciało nieprzytomnej zmijki chłoneło siłę życiową od każdego, kto jej dotknął.

W szranki wbiegł Denigis, lecz ledwie popatrzył na ranną, stanął bezradnie.

– Ja nic tu nie pomogę, panie magu – stwierdził.

– Anavri, chodź tutaj! – zawołał szorstko Brune. Ocknęła się z odrętwienia, podeszła. Przyłożył jej rękę do skroni. Gdy skończył czerpać, oparła się o liny, zwiesiła głowę, oddychając ciężko.

Heskeri klasnął w rękę, zamachał na tłum.

– Koniec przedstawienia, moi drodzy! Żegnamy się!

Dołączył do niego gruby stwór wyglądający jak krzyżówka ropuchy

ze szczurem, unoszący się na niedużym dywanie. Otworzyli nad wodą wielki, jaśniejący czerwono portal i zaczęli zaganiać tam towarzystwo. Charooz już zniknął, nie wiedzieć kiedy. Anavri zarejestrowała to ledwie kątem oka. Patrzyła w napięciu, jak Krzyczący szybko i pewnie, bez słów, samymi gestami rzuca kolejne zaklęcia. Zmysłami maga czuła, co robił. Splatał wokół Marshii blokadę, by można było bezpiecznie jej dotykać.

Musiał na chwilę przerwać, żeby chwycić oddech, nie wyczerpać się lekkomyślnie. Wykorzystała ten moment, żeby zapytać cicho:

– Co jej się stało? Co to był za czar?

Nim odpowiedział, znajomym gestem potarł oczy, ucisnął czoło. Anavri z przestrawieniem uświadomiła sobie, że siła, którą od niej wziął, już się kończy. Zrobiło się jej głupio, że w ogóle zapytała, ale Brune wyjaśnił, nie okazując zniecierpliwienia:

– Gdy mag z krwi i kości staje do walki z demonem, jego największym ograniczeniem jest słabość ludzkiego ciała. Po tym, co Marshia pokazała, gdy zaatakował ją ogniem, Agelhagoth nabrał przekonania, że użyła fortelu, by obejść ten mankament. Uznał, że połączyła się z nami więzią umożliwiającą czerpanie naszej siły życiowej. Gdyby miał rację, tym jednym, ostatnim zaklęciem zabiłby i ją, i nas.

– A ona po prostu była tak silna? Sama z siebie?

Przytaknął, już znowu skupiony na rannej. Sprawdził jej puls, wyjął z kieszeni buteleczkę z ciemnego szkła i przywołał Denigisa.

– Trzeba jej podać odrobinę tego leku.

Felczer podważył nożem zaciśnięte zęby Marshii. Wspólnymi siłami włożył jej w usta nieco płynu. Następnie Brune sięgnął do kieszeni.

– W imieniu pani Lavallo dziękuję za pomoc – powiedział, wręczając tamtemu zwitek pergaminu. – Dalej poradzimy sobie już sami.

Zerknąwszy na to, co było napisane na pergaminie, Denigis pokraśniał z ukontentowania, jakby wręczono mu sakiewkę złota. Wsunął zwitek w zanadrze.

– Jeśli zajdzie potrzeba, to ja zawsze do usług... Chowaniec pani Lavallo wie, gdzie mnie szukać, starczy przysłać wiadomość...

– Dziękujemy – powiedział stanowczo Krzyczący, patrząc na felczera tak wymownie, że ten skłonił się nisko i odszedł. Dopiero

wtedy zmij wypowiedział formułę. W powietrzu załśniła słaba poświata i stopniowo ukazał się portal wypełniony migoczącymi tęczowymi wzorami, ten sam, którym przybyli. Anavri nagle uświadomiła sobie, że wokół panuje cisza.

– Możecie ruszać bez obaw – zapewnił Heskery, opadając na piasek.
– Wyspa jest pusta, zostaliście tylko wy i pan Denigis.

– Cofnij się – polecił chłodno Brune. Sylf spojrzał na niego jakby z politowaniem.

– Bez obaw. Nie życzę wam źle, człowieku.

– Świetnie. Bardzo mnie to cieszy. Ale cofnij się od portalu, zakłócasz aurę.

Heskery, wzruszywszy ramionami, usłuchał. Krzyczący podziękował mu krótkim salutem. Wiedział, że nikt niepowołany nie przeniknie przez zabezpieczony portal do solidnie ufortyfikowanej enklawy, co najwyżej któraś Dolina straci podwładnego. Skupił się na problemie, jak przetransportować ranną. Była jego wzrostu, a nawet nieco wyższa, mógłby ją dźwignąć, jedynie przerzuciwszy przez ramię, a i to z trudem. Zebrał się w sobie, przywołał moc i wyciągnął rękę. Ciało Marshii uniosło się w powietrze, lewitując. Anavri obserwowała to z niepokojem.

– Dasz radę tak...?

– Nie będę się z nią szarpał jak z workiem – mruknął.

* * *

Lorraine wyznawała zasadę, że na strach najlepsza jest książka. Zazel preferował ciastka.

Pierniczki, kruche kólecza, rogaliki z konfiturą, makaroniki z migdałami... Kucharka zawsze miała na podorędziu takie specjały. Usadowił się z talerzem w kącie i chrupał dyskretnie, przezornie starając się nie kruszyć.

Siedzieli w pracowni Marshii, czekając. Dziewczyna spokojnie przewracała poźółkle strony traktatu o sztuce wróżbiarskiej. Zazel co rusz zerkał to na otaczające ich zwierciadła, których tafle odbijały teraz jedynie wystrój wnętrza, to na przykryty czarnym aksamitem stół. Stała na nim rzeźbiona hebanowa kasetka. Tylko on wiedział, że w środku kryje się puzderko z polerowanego agatu. A w puzderku...

Zegar wydzwonił północ. Lorraine uniosła czujnie głowę.

– Wracają – powiedziała.

– Skąd wiesz?

W tym momencie zwierciadło na przeciwległej ścianie rozbłysło kolorami i kolejno wyłoniły się zeń trzy sylwetki. Najpierw blada Anavri, wyraźnie trzymająca się ostatkiem sił. Potem płynąca w powietrzu nieprzytomna Marshia, a za nią Brune.

– Do sypialni! – krzyknął od razu Zazel. – Tu jej nie pomożecie, do sypialni!

Lorraine pobiegła budzić służbę. Skądś cicho niczym duch przyfrunął Biss i osiadł na piersi Marshii. Prędko rozpiął jej kubrak, rozchełstał koszulę, po czym rozpląszczył się, przywierając mackami do szyi i do skóry nad sercem. Krzyczący domyślił się, że chowaniec używa swej pani siły życiowej, której tak rozpaczliwie potrzebowała.

Gdy ranna została bezpiecznie złożona w swoim łóżku piętro wyżej, a pokojówki zakrzętnęły się, żeby ją rozebrać, żmij i Anavri wrócili do pracowni po niezbędne specyfiki. Marshia na szczęście zawczasu poinstruowała Krzyczącego, co gdzie stoi. Zaczął gorączkowo przeglądać półki, zestawiając na stół wybrane buteleczki i słoiczki. Potem złapał ozdobną misę, a Anavri pomogła mu powstawiać do niej cały kram.

– Weź jeszcze kadzielnicę i ten słoik z białymi bryłkami – polecił.

– Co właściwie jest Marshii? – spytała, gdy już wracali na górę.

– Oberwała kłątwą, która wysysa z niej siłę życiową dużo szybciej, niż ludzkie ciało jest w stanie ją odtwarzać. – Głos żmija był suchy, wyprany z emocji. – Nie wiem na dobrą sprawę, jakim cudem jeszcze żyje. Musiała zastosować jakieś... środki zapobiegawcze, uniemożliwiające śmierć. Ale jeśli nie uda mi się przełamać albo przynajmniej osłabić tego czaru, niedługo jej narządy zaczną odmawiać posłuszeństwa. Nerki, wątroba... a przede wszystkim mózg.

Anavri nie pytała o nic więcej. Wiedziała z ksiąg, że istnieją sposoby pozwalające magowi uniknąć śmierci – lecz istniała granica, poza którą nie pomagały żadne fortele, bo przy życiu trwało już tylko ciało, nieodwracalnie pozbawione świadomości.

Marshia leżała bez ruchu w pościeli. Brune zapalił w kadzielnicy garść białych bryłek, które niemal nie dymiły, tylko wydzielały słodki, intensywny aromat. Zlustrował pokryte jedwabną materią ściany

sypialni, lśniący parkiet i przywołał pokojówkę.

– Przynies kilka arkuszy papieru listowego, pióro i atrament. Ale już!

Służąca, przyzwyczajona do spełniania poleceń apodyktycznej pani, nie odważyła się zakwestionować dziwnego rozkazu – furknęła tylko halkami i po chwili dostarczyła żądane przedmioty. Brune ukląkł przy nocnym stoliku i zaczął pospiesznie pisać zaklęcia. Jedna kartka, druga, trzecia... Anavri obserwowała to pełna podziwu, bo orientowała się już dostatecznie w arkanach Zakazanej Sztuki, żeby wiedzieć, jak trudnymi wzorami i symbolami się posługiwał. Była ciekawa, czy pisał te formuły z pamięci, czy też improwizował. Następnie rozłożył kartki na podłodze, tak by tworzyły krąg. Sypnął na nie szczyptą proszku z jednego ze słoiczków, stanął pośrodku i zamknął oczy. Trwał w bezruchu długo, na tyle długo, by pokojówka zaczęła niepewnie spoglądać na Anavri. Ta gestem nakazała jej ciszę.

Brune otworzył oczy, których źrenice płonęły żółto. Moc zgęstniała wokół niego jak cień. Służąca pisnęła i zatkała usta pięścią.

Zaczął szeptać słowa, z których Anavri rozumiała może połowę. Skończywszy, skinął na pokojówkę i przyłożył jej palce do skroni. Czerpał gwałtownie, Anavri widziała, jak dziewczyna przygryza wargę, żeby nie krzyknąć z bólu. Potem położył rękę na czole Marshii. Przecięta bliznami strona jego twarzy drgnęła, wykrzywiła się w brzydkim skurczu. Ciałem nieprzytomnej zmijki wstrząsnął dreszcz.

Pokojówka chwiejnie położyła się w nogach łóżka, na kołdrze. Chwilę później już spała, ścięta wyczerpaniem.

Brune zmienił ułożenie kart z zaklęciami, zawahał się, zaklął z cicha. Twarz miał teraz ziemistą, ściągniętą jakby z bólu, a otaczająca go aura mocy osłabła. Odkorkował jedną z przyniesionych fiolek, kapnął nieco płynu na swoją chustkę, przyłożył ją do nosa i przez kilka sekund głęboko wdychał. Potem usiadł u wezłowania Marshii i znów zaczął szeptać w mowie magów. W pewnej chwili skinął na Anavri, prosząc:

– Użycz mi sił.

Powtarzał tę prośbę jeszcze dwukrotnie. Czerpanie za każdym razem bolało bardziej. Po trzecim Anavri sądziła przez chwilę, że zemdleje – w uszach zaczęło jej dzwonić, przed oczami zawirowały

czarne płatki. Osunęła się na fotel w kącie, ciężko oddychając, i została tak, nie mając siły się poruszyć.

Brune przełożył kartki na podłodze i wrócił do Marshii. Wyjął z kieszeni gemmę ze smoczej kości – Anavri mgliście przypomniała sobie, że chyba już widziała ten przedmiot w jego posiadaniu – zacisnął ją w dłoni i dalej szeptał zaklęcia z niemal rozpaczliwą wytrwałością. Był coraz bledszy, słabł szybko mimo czterech czerpań – pięciu, jeśli doliczyć to na wyspie – ale jego źrenice nadal się jarzyły.

Wypełniająca komnatę woń kadzidła pomału stawała się dusząca, przyprawiała o zawrót głowy. Kwadrans mijają, a Anavri nadal siedziała w fotelu, jakby w stuporze. Krzyczący nagle przypomniał sobie o niej.

– Czemu jeszcze tu tkwisz? Idź, połóż się. – Pomógł jej wstać i klepnął lekko w plecy, kierując do drzwi.

W progu zachwiała się, oparła o framugę, ale Brune nie patrzył już na nią. Usiadł znów u wezłowia Marshii. Nie wiedział, czy zdoła ją uratować, ale zamierzał próbować tak długo, dopóki będzie w stanie.

* * *

Za oknami willi wstawał świt. Pokojówka nadal spała tam, gdzie padła, w nogach łóżka Marshii. Obok leżał Biss, równie wydrenowany z sił, oklapły jak martwa ośmiornica.

Brune potarł zaczerwienione, piekące oczy. Wstrząsały nim dreszcze i czuł, że jeśli szybko się nie położy, to sam lada chwila dołączy do śpiącego towarzystwa.

Drzwi skrzypnęły, do sypialni wsunął się Zazel.

– Nie szarżuj, bo i ty się rozchorujesz – ostrzegł. – Już niewiele ci brakuje.

– Nie martw się, bywałem bardziej zmęczony – mruknął Krzyczący. Sprawdził puls Marshii, poprawił kołdrę, następnie pozbiierał z podłogi kartki z zaklęciami. Wiedział, że więcej nie da rady działać, póki nie odpocznie.

Chowaniec wskoczył na łóżko i wpatrzył się z niepokojem w bezkrwistą, żółtawą twarz swojej pani, potem przeniósł spojrzenie na żmija.

– I jak?...

Brune osunął się na fotel. Kciukiem i wskazującym palcem pomasaował powieki.

– Zdołałem zablokować wpływ mocy. Ale nie jest dobrze, Zazel. Nie odzyskała przytomności i prędko nie odzyska. Serce bije słabo. Przy tak ekstremalnym wyczerpaniu łatwo może dojść do wtórnej infekcji. Płuca, drogi moczowe... a najprędzej wszystko naraz.

Chowaniec przymknął oczy. Milczał dłuższą chwilę.

– Myślisz, że wyjdzie z tego?

– Nie wiem, Zazel. Nie mam pojęcia. – Krzyczący uważnie zmierzył go wzrokiem. – Powierzyła ci coś przed walką, prawda?

– Zgadza się. – Stwór niespokojnie zadreptał w miejscu. Zniżył głos. – W pracowni na lewo od wejścia wisi oprawiona mapa sfer, pamiętasz ją?

– Tak.

– Pod nią w ścianie jest skrytka, w której stoi kasetka. W środku jest puzdereczko z agatu, a w nim igła. Jeśli uznasz, że nie ma już żadnych szans, trzeba ją złamać.

– Więc to dlatego ten czar jej nie zabił... Domyślałem się czegoś takiego. – Brune przetarł twarz. Milczał chwilę. – Wiesz, wolałbym sam nie podejmować tej decyzji. Już choćby dlatego, że nie jestem medykiem. Nie ufam swojej ocenie szans.

– Ja też nie. Ale gdy przyjdzie co do czego, ktoś będzie musiał zdecydować. Bo inaczej... – Zazel popatrzył na nieprzytomną panią i ciężko westchnął. – Ech, sam wiesz. Leżeć tygodniami, miesiącami jak warzywo... Kto jak kto, ale ona by tego nie chciała.

– Wiem.

7. Mucha w sieci

Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej.

Anavri przekonała się o tym, gdy ze snu wyrwało ją szarpnięcie za ramię. Otworzywszy oczy, ujrzała, że na kołdrze siedzi Zazel.

– Na litość bogów, stworze... – jęknęła.

– Jest problem, Anavri, mamy intruza w enklawie – zaraportował chowaniec. Dziewczyna wyczuła jego strach i zrozumiała, że sprawa jest poważna. Usiadła.

– Intruza? Jakim cudem? – Syknęła i przycisnęła dłoń do czoła, gdy ból odezwał się ponownie, niczym przebijający oko tępy drut.

– Ponieważ Marshia jest tak słaba, część zabezpieczeń również osłabła. Na razie skorzystał z tego jeden... oportunistą. – Zazel poruszył się niespokojnie. – Właśnie tapla się w stawie. Nawet nie wiem, co to za cholerstwo ani z którego dominium.

– Gdzie Brune?

– Śpi.

– To go obudź.

Chowaniec spojrzał na nią na poły karcąco, na poły z politowaniem.

– Jak sądzisz, czemu przyszedłem do ciebie zamiast do niego? – spytał cierpliwie. – Jest doszczętnie wyczerpany, Anavri. Wymęczył się tak, że wstawanie jest naprawdę ostatnią rzeczą, jaką powinien teraz robić.

– Ale ja nie wiem, czy sobie poradzę...

– Przynajmniej spróbuj.

Nie widząc innego wyjścia, pełna złych przeczuć narzuciła tunikę na koszulę nocną, włożyła trzewiki i podążyła za chowańcem do ogrodu. Tam przekonała się, że Zazel nie skłamał.

W stawie siedział potwór.

Wielki, tłusty, porośnięty rudą szczeciną, z oślimi uszami i czarnym pyskiem. Uwalił się bezwstydnie na płyciźnie, pękatym brzuszyskiem do góry.

Anavri zacisnęła zęby. Rozumiała już, czemu Zazel się wystraszył.

Pod pozornie jowialnym wyglądem obcej istoty wyczuwała siłę i zło. Intruz wiedział, że tam, dokąd przeniknął, zostanie łatwy łup. Na razie po prostu się bawił, obserwując reakcje mieszkańców, szykując się do następnego ruchu.

Przywołała moc.

– Wynocha z naszej enklawy! – krzyknęła, mając nadzieję, że niechciany gość nabierze się na jej świecące źrenice i pozorowaną stanowczość. Nic z tego. Stwór tylko rozwalił się jeszcze bezczelniej, ochlapał sobie pachy, po czym przewrócił się na brzuch i majtnął wyzywająco krowim ogonem, wyposażonym w wielki czarny chwost.

– A takiego! Dobrze mi tu!

– Coś ty za jeden?

– Jestem łabędziem! Nie widać? – Wyszczерzył zęby w obleśnym uśmiechu. – Może panienki przyjdą się kąpać? Czyściutka woda, samo zdrowie!

Panienki?... Czyli Lorraine też już odkryła tego zbója – uświadomiła sobie Anavri i nieobecność kuzynki natychmiast ją zaniepokoiła.

Jakby czytając jej w myślach, intruz zmrużył ślepią, które rozbłyły czerwono.

– A może panienki cenią sobie... inne atrakcje? Porządne ruchanko, na ten przykład? A może... – Nagle urwał, skonfundowany.

Ścieżką od strony willi nadchodziła Lorraine, a za nią Krzyczący w Ciemności. Potargany, w wymiętym ubraniu, ewidentnie wyrwany ze snu i z miną, która mówiła absolutnie wszystko. A nawet trochę więcej.

Gdy stwór go ujrzał, zawył i zanurkował. Żmij wysyczał parę słów – woda w jednym miejscu wzburzyła się, zakotłowała wściekle, zapieniła. W oddali zabrzmiał ledwie słyszalny grzmot, przez ziemię przebiegło drzenie. Potem zapadła cisza.

– Wyrzuciłem go z enklawy – powiedział Krzyczący, ocierając rękawem czoło.

– A raczej jego zwłoki – sprostowała Lorraine. Nie zaprzeczył. Wyglądał fatalnie i mrużył oczy, jakby dzienne światło sprawiało mu ból. Anavri chciała zapytać, czy dobrze się czuje, ale wiedziała, jak idiotycznie to zabrzmiałoby. Nie, nie czuł się dobrze, nie powinien wstawać, a tym bardziej posługiwać się teraz darem. I cholera wie, czy mu to nie zaszkodzi. Znów wezbrał w niej gorzki, palący wstyd.

Gdybyś nadawała się do czegokolwiek, poradziłabyś sobie sama.

W tym momencie Lorraine ziewnęła, przysłaniając usta dłonią. Też była blada, aurę miała przygaszoną jak po chorobie. Anavri zrozumiała, że kuzynka przed chwilą posłużyła Krzyczącemu jako żyła.

– Wracajmy do domu, co? – zasugerował chowaniec. – Zanim tu pomdlejecie.

* * *

Gdy Anavri ponownie położyła się spać, sen najpierw nie chciał przyjść. Dłuższy czas przewracała się z boku na bok, dręczona niespokojnymi myślami o tym, co będzie, jeśli mistrzyni nie wyzdrowieje.

Potem otworzyła oczy – i zamiast sypialni ujrzała mgłę, kłębiący się opar. Po chwili do jej uszu dobiegło ciche dzwonięcie. Zmartwiała, nie wiedząc jeszcze, czego właściwie się boi.

W jej nozdrza uderzył smród kwaśnej zgnilizny.

Z mgły powoli wyłoniła się znajoma barczysta sylwetka. Kubrak uszyty z różnobarwnych łąt, czapka z dzwoneczkami. Lecz tym razem trefniś nie miał na sobie maski. Jego oblicze sprawiło, że z gardła dziewczyny wydarł się jęk – było gorsze niż zniekształcone twarze trędowatych, niż pyski odmieńców, których czasem widywała na ulicach rodzinnego miasta. Na wpół ludzkie, na wpół owadzie, o wielofasetkowych ślepiach, lecz normalnych ustach i podbródku. Nad górną wargą sterczały postrzępione czułki.

Anavri w narastającej panice uświadomiła sobie, że jest sparaliżowana. Choć próbowała ze wszystkich sił, nie mogła się poruszyć.

Błazen-niebłazen wyciągnął nie rękę, lecz łapkę pluskwiaka, zakończoną haczykami. Dotknął policzka dziewczyny. Zapiekło żywym ogniem.

– Mam cię – oznajmił tonem pełnym triumfu.

Anavri zbudziła się, oddychając ciężko. Widząc wokół znajome meble, pomału się uspokoiła.

Sen mara...

Machinalnie potarła policzek. Uporczywie swędział w jednym

miejscu. Gdy wyczuła pod palcami ślad jak po ukąszeniu komara, ogarnął ją chłód.

Pobiegła do lustra. Tak, na policzku miała zaczerwienioną plamkę. Starając się nie poddawać panice, zdecydowała, że jednak powie o wszystkim Krzyczącemu.

Umyła się, ubrała, starannie rozczesała i zaplotła włosy. Przechodząc obok sypialni Marshii, zajrzała do środka, ale zastała tam jedynie pokojówkę czuwającą przy swojej pani.

Zegar w holu wskazywał czwartą po południu. W jadalni Zazel i Lorraine posilali się zimnym pieczystym oraz jajkami na twardo, zagryzając chlebem i marynatami. Anavri odgadła, że kucharka nie przyrządziła obiadu, bo nikt nie miał głowy go zadysponować.

– Bez zmian – poinformował Zazel, zanim zdążyła spytać.

Usiadła tam, gdzie stało wolne nakrycie. Patrzyli wprost na nią, ale żadne nie zainteresowało się, co to za ślad na twarzy.

– Gdzie Brune? – spytała, już domyślając się odpowiedzi, bo stół był nakryty na trzy osoby.

– Zniknął, by załatwić swoje sprawy w materialnym świecie – odrzekł stwór. – Wróci późnym wieczorem. Zjesz z nami?

– Ja...

– Zjesz.

Ukroił jej chleba, posmarował, usłużnie podsunął deseczkę z pokrajaną pieczenią, ogórki w occie, oliwki i marynowane pieczarki. Sam, rzecz jasna, też nie omieszkał się obsłużyć przy okazji.

– Dla towarzystwa – rzucił, szczerząc zęby znad pełnego talerza.

Chleb z masłem oraz zimna cielęcina stawały Anavri w gardle, ale mężnie wmusiła w siebie trochę jednego i drugiego. Chowaniec współczująco trącił ją nosem w ramię.

– Lepiej idź się jeszcze położyć. Nie najlepiej wyglądasz.

* * *

Wizja trwającej tygodniami opieki nad nieprzytomną chorą jawiła się Krzyczącemu w czarnych barwach. Wiedział, że sam sobie nie poradzi, nawet jeśli w enklawie Marshii są do dyspozycji pokojówki, kucharka i praczka.

Zastanawiał się, w którym momencie będzie musiał zwrócić się

o pomoc do Denigisa, choć nie podobało mu się, że musiałyby wpuścić do enklawy obcego człowieka, w dodatku agenta Otchłani. Ale Marshia, gdy rozmawiał z nią przed pojedynkiem, wyraźnie powiedziała, że dopuszcza taką możliwość, gdyby brakowało innych opcji. Sam zaś nie znał nikogo lepszego. Wśród klientów, których zaopatrywał w środki, jakich próżno szukać w aptekach, byli medycy, ale żaden nie zdawał sobie sprawy, że handluje z *ka-ira*. Żadnemu Krzyczący nie zaufałyby w takiej sprawie. Lekarzę, którą może byłby skłonny poprosić o pomoc, Haru Savin ze szpitala dla ubogich w Shan Vaola, kilka miesięcy wcześniej niechcący naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo; ostatnie, czego chciał, to znowu wciągać ją w swoje sprawy.

Wolałyby zwrócić się do Denigisa w ostateczności, lecz teraz zastanawiał się ponuro, co gorsze: wezwać felczera na wyrost czy nie wezwać go w porę. Najbardziej paląca była kwestia odwodnienia. Bał się cokolwiek podać nieprzytomnej. Wiedział, że *ka-ira* potrafi przeżyć bez wody i pożywienia dłużej niż zwykły człowiek, więc na razie czekał, licząc, że Marshia w ciągu dwóch czy trzech dni odzyska przytomność na tyle, by dało się ją napoić.

Jego własna wiedza medyczna nie była mała, kłopot w tym, że głównie książkowa. Potrafił ocenić stan chorego. Złagodzić ból, obniżyć gorączkę. Przygotować maści na rany, zaordynować dietę. Wyleczyć zapalenie płuc – być może. Ale nie umiał rzeczy, które potrafiłby felczer czy student medycyny. Chociażby – założyć sondę, przez którą można karmić i poić kogoś, kto samodzielnie nie połyka. O odleżynach wiedział tyle, że łatwo się robią, a fatalnie goją.

Nękało go też najtrudniejsze pytanie. To, które zadał Zazel. Czy Marshia z tego wyjdzie? Jeśli nie, wobec braku nadziei na poprawę zaczarowaną igłę trzeba będzie złamać, zamiast ryzykować, że demony lub srebrni w końcu wytropią i zaatakują enklawę, której zabezpieczenia nie mają pełnej mocy, gdy właścicielka pozostaje zawieszona między życiem a śmiercią.

Wiedział, że Marshia przygotowała się na taką ewentualność, a wszystkie sprawy organizacyjne i formalne omówiła ze swoją służbą w enklawie, z zarządcami majątków w materialnym świecie i z Zazelem. Ale co innego dopuszczać możliwość, a co innego być tym, kto musi podjąć decyzję.

Równocześnie miał na głowie własne sprawy i własne kłopoty.

Korzystając z różnicy czasu między enklawą Marshii a Zatoką Snów, trochę odespał zmęczenie, pożywił się tym, co mu zaoferowała wystraszona kucharka, wypił herbatę z odrobiną lucyferii, mając nadzieję, że śniadanie i lek stłumią ćmiący ból głowy, a potem wrócił do materialnego świata.

Dzielnica biedoty w mieście Kang, znana jako Labirynt Łez, oferowała liczne wątpliwe atrakcje. W spelunkach odwiedzanych głównie przez marynarzy pito i palono opium. Tawerna jednookiego Sankha zwanego Dawniej-Dwa zawsze cieszyła się szczególnym powodzeniem, ale przed południem nawet tam panowały względne pustki. Dlatego Brune zdziwił się, widząc przez otwarte okna, że w największej z pięciu izb zajęte są wszystkie ławy, a usługujące dziewczki ledwie nadążają z napełnianiem kufli.

W Kang większość przestępców należała do jednej z trzech kategorii: albo półnagi smagły dzieciak bez przednich zębów, albo ponure smagłe chłopisko z wąsem ocieniającym ruinę uzębienia, albo zasuszony smagły człowieczek, bezzębny i patrzący chytrze. Klientela Sankha składała się dziś głównie z potężnych zbirów, wąsatych i pokrytych tatuażami. I, jeśli zmysły maga nie myliły Krzyczącego, całe to towarzystwo, raczące się mętnym piwem, podłą gorzałką tudzież rumem o aromacie sfermentowanych brzoskwiń, było w wybitnie parszywym nastroju. Raczej niezwiązanym z jakością trunków.

Nim podszedł do wejścia, cofnął się w wąską przestrzeń między budynkami, gdzie pnąca *olotah* pleniły się na gnijących odpadkach, i przywołał iluzję. Zgarbił się, zeszpetniał. Do tawerny wsunął się jako szczurowaty człeczyna w brudnej szacie, zbijający z nóg wonią zastarzałego potu i czosnku. Szramy na policzku zastąpiła jedna poszarpana czerwona blizna. To był umówiony znak rozpoznawczy dla Sankha.

Jednooki gospodarz – wielki, pękaty i siwy – wysłuchiwał właśnie niewyraźnej tyrady jednego z klientów, który dla podkreślenia wagi swych słów potrząsał kuflem, rozlewając napitek. Brune stanął z boku, pod ścianą. Skinął Sankhowi ręką, po czym cierpliwie zaczekał, aż ten uciszy gadułę, wezwie jedną z dziewczek, każąc jej stanąć za szynkwasem, a sam podejdzie.

– Towar jest? – spytał zwięźle Dawniej-Dwa.

– No ba.

Sankh odchylił zasłonę z grubej tkaniny – niegdyś wzorzystej, lecz czas i brud uczyniły ją szaroburą – i wprowadził żmija na zaplecze. Pachniało tu dziwnie, mdło, jakby gorącym mlekiem. Nie to jednak sprawiło, że Krzyczący drgnął i uważnie się rozejrzał. Wyczuwał czerń, echo cierpienia – wyraźne, acz nikłe. Za słabe, by jego źródłem mogły być świeże ludzkie szczątki lub zdarzenie, do którego doszło pod tym dachem. Wyobraźnia podsunęła mu obraz zakrwawionej broni lub szat zabitego. Sankh postawiony przed wyborem, czy zapłacić pieniędzmi, czy w mniej konwencjonalny sposób, wolał to drugie. I dobrze. Akurat taka transakcja była tego dnia wyjątkowo pożądana.

Zaraz zobaczymy, co dla mnie masz.

– Maski nie chce kupić? – spytał Dawniej-Dwa, wskazując stojącą w kącie kadełkę. – Tanie są.

– Bo za kilka godzin zaczną się rozpadać? Oj, Sankh, gdybym ja tak oszukiwał jak wy...

– Złodziej rzadko potrzebuje maski na dłużej niż kilka godzin. Bywa, że wystarczy mu kwadrans. – Z bałaganu na koślawym stole szynkarz wyłowił drewnianą kasetkę. To ona emanowała czernią. – No, niech pokaże, co przyniósł. Zapłatę mam tutaj.

Brune podał mu dwie buteleczki z ciemnego szkła. Sankh odkorkował je, powąchał ostrożnie. Wyszczrzył w uśmiechu spróchniałe zęby, po czym wręczył żmijowi kasetkę.

Wewnątrz znajdowała się osmalona srebrna bransoleta.

– Ładnie – powiedział Krzyczący po chwili milczenia. – A możesz opowiedzieć, jak doszło do tej śmierci? Czy nie wiesz?

Dawniej-Dwa rozłożył ręce.

– Ano, była sobie taka jedna dziecinka, córka handlarza słodyczami. Stąd, z Labiryntu. Znałem ją. W piętnastym roku życia wydali ją za tkacza. Urodziła dwoje kalekich dzieci, co wkrótce po przyjściu na świat zmarły. Bywa. Mężowi się to nie spodobało. Chciał ją oddalić, ale krewni domagali się zwrotu posagu. No to pewnego pięknego dnia zdzielił ją kijem po głowie, a potem wepchnął w ognisko. Rozgłosił, że się potknęła i upadła tak nieszczęśliwie, prosto w płomień. Nikt mu nie udowodni, że stało się inaczej. Bracia zaświadczą za nim.

Brune zważył kasetkę w dłoni. Emanujący tak potężną dawką czerni przedmiot stanowił doskonale źródło mocy – samo trzymanie go w ręku sprawiało, że po ciele rozchodziło się ciepło, jak po łyku wódki. Lecz wystarczyła chwila dekoncentracji i do umysłu zakradały się obrazy: leżące ciało, głowa i ręka w ogniu...

Wyjął sztylet i ignorując zdziwione spojrzenie Sankha, wydrapał na wieczku kasetki dwa symbole. Czar kamuflujący, tłumiący aurę. Efekt był natychmiastowy – jak zasłonięcie lampy parawanem. Teraz zmij mógł już schować zapłatę do kieszeni. Skorzysta z niej później, na osobności.

– Dużo ma teraz zleceń? – zagadnął karczmarz.

– Trochę. A co?

– Kazano mi przekazać propozycję. Jedna z tutejszych grubych ryb chętnie zatrudni *ka-ira*.

– Jako kogo?

– Członka osobistej straży. Oraz – Sankh zniżył głos – kogoś, kto umie cicho załatwiać kłopotliwe sprawy.

– Nie jestem zainteresowany.

– Oferuje złoto. A prócz tego różne... dodatkowe atrakcje.

– Oficjalnie jestem alchemikiem. I tego się trzymajmy, Sankh.

– No cóż, dla alchemika nie będą mieli więcej zamówień.

Karczmarz powiedział to, stojąc po drugiej stronie stołu, odwrócony bokiem. Gdy sięgnął w zanadrze, tknięty brzydkim podejrzeniem, Brune spiął się, przywołując moc. Ale Dawniej-Dwa tylko wygrzebał zza pazuchy porcję tytoniu do żucia. Wsunąwszy ją do ust, uśmiechnął się, jak to on, z pozorami ojcowskiej troski i jakby przepaszająco. Nic w jego aurze nie sugerowało zagrożenia, więc zmij skarcił się w myślach za nadmierną nerwowość.

Zza zasłony dobiegły okrzyki i odgłosy szarpaniny, potem groźny bas wykidajły przerywającego kłótnię.

– Czemuż u ciebie taki ruch? – spytał od niechcienia Krzyczący.

– Wczoraj paru tutejszych ścięło się z przyjezdnymi, chłopcami Białego Kwiatu. Trzech zginęło, to trza dziś za nich wypić – wyjaśnił Sankh.

Pożegnali się, gospodarz wrócił za szynkwas, a zmij ruszył do wyjścia. Zmysłami maga wyczuwał ponure napięcie, wiszące nad salą jak ciemna chmura. Patrząc na oblicza pijących, słysząc

mamrotane przekleństwa, pomyślał, że przed zmierzchem w Labiryncie Łez niechybnie padną kolejne trupy.

Za jego plecami ktoś łomotnął kuflem w stół. Rozległy się groźne pomruki. Brune obejrzał się. Trzej kompani mający dobrze w czubie łypali na siebie, zaciskając pięści.

Dziewka roznosząca dzbany podeszła, wyraźnie chcąc rozładować sytuację. Wyszczrzyła ząbki, rzuciła jeden, drugi żarcik. Czyjaś ręka uszczypnęła ją w pierś, czyjaś zawędrowała pod spódnicę. Chichocząc piskliwie, dziewczyna tylko udawała, że się broni. Nagle ktoś ryknął:

– Nisha, ty zdziro!

Obnażony do pasa mężczyzna, cały w tatuażach, zerwał się dwa stoły dalej. W jego oczach błyszczało szaleństwo – prócz alkoholu musiał zakosztować niedawno lucyferii albo innych pobudzających ziół. Przepchnął się w stronę dziewczyny, wyciągając nóż.

Brune stał blisko i zadziałał, zanim pomyślał – zastąpił atakującemu drogę. Osłonił się czarem tarczy, lecz zaklęcie nie wystarczyło, by zablokować cios. Nóż skaleczył go niegroźnie w przedramię. Żmij chwycił typa za nadgarstek, założył dźwignię, zmuszając do upuszczenia broni. Szybciej i sprawniej niż powinien przy swej nikłej zaprawie w bójkach, lecz dar w takich sytuacjach pomagał, skracał czas reakcji. Szczęśliwie ostrze nie było zatrute.

Krótki impuls czarnej mocy wystarczył, by napastnik zgiał się wpół, wymiotując. Wykidajło prędko złapał go, powlókł do wyjścia i wypchnął za próg, częstując kopniakiem. W zamieszaniu i gwarze Brune skrył się pod iluzją niewidzialności i przemknął do drzwi, trzymając się blisko ściany, żeby nikt się z nim nie zderzył.

Na szczęście zdążył sobie przywłaszczyć upuszczony nóż. Jeśli nawet nieco jego krwi spadło na podłogę, została zdeptana w ścisku.

* * *

W enklawie Marshii pojawił się, zgodnie z zapowiedzią, późnym wieczorem. Pierwsze, na co zwrócił uwagę po przybyciu, to siąpiący kapuśniaczek. Brune nigdy wcześniej nie widział, by padał tutaj deszcz, choć rośliny w ogrodzie rosły bujnie i kwitły z przepychem. Teraz trawę pod krzewami azalii i rododendronów zaścielało zwiędłe kwiecie.

W progu powitał go Zazel, na widok którego zmij nie wiedział, czy się roześmiać, czy postukać w głowę. Stwór w jednej łapie trzymał pieczone kacze udko, w drugiej – kawał ciasta ze śliwkami, racząc się raz kęsem tego, raz tego. Brune założyłby się, że przez dwa dni, jakie upłynęły od pojedynku, chowaniec urósł i przytył. Jeśli opychał się z nerwów, dawało to efekty dużo szybciej niż w przypadku człowieka.

– Nie odzyskała przytomności – poinformował ponuro, nie czekając na pytanie. – Co ci się stało w rękę?

– Nie twój interes.

W sypialni Marshii okno było uchylone, a sam pokój świeżo wysprzątny. Pokojówka ostrożnie zaplatała włosy pani. W willi stale przebywały dwie młode służące – jedna drobniutka i blada, o wiecznie podkrążonych oczach, druga pulchna, smągła, z wąsikiem. Krzyczący już wcześniej zwrócił uwagę, że obie sprawiały wrażenie doświadczonych w pielęgnowaniu chorych, lecz przy Marshii najczęściej krzątała się ta drobna.

Skończywszy, wysunęła się z pomieszczenia. Brune odprowadził ją wzrokiem.

Zawsze go intrygowało, w jaki sposób Marshia zwerbowała służbę, której wydawała się całkowicie i bez zastrzeżeń ufać. Domyślał się, że dysponowała rozległymi posiadłościami w materialnym świecie, gdzie prawdopodobnie funkcjonowała pod kilkoma nazwiskami. Ale pieniądze nie stanowiły dostatecznego wytłumaczenia. Coś mówiło zmijowi, że prócz wysokich płac o wierności służących Marshii decydowało zręczne połączenie długów wdzięczności, szantażu i zastraszania. Tak postępowaly organizacje przestępcze, by zapewnić sobie lojalność podwładnych.

Zazel, który pożarł już i udko, i ciasto, wskoczył na kołdrę pani, by po psiemu obwąchać jej dłoń.

– Jest coraz słabsza – oświadczył cicho.

– Wiem, Zazel.

– Ta klątwa nadal ją wysysa. Już nie tak intensywnie jak na początku, ale swoje robi. Biss przychodził tu dzisiaj trzy razy, żeby wlać w nią energię. Co się przespał, to wracał. Powiedziałem mu w końcu, żeby nie szarżował...

Brune uciszył chowańca, bo właśnie mierzył Marshii puls. Jej wargi, jak zauważył, były spękane, spieczone – nawet jeśli służąca

pamiętała, żeby zwilżyć je wodą i smarować czymś tłustym, nie zdawało się to na wiele, gdy chora nie mogła pić.

– Nie umrze, nawet zupełnie pozbawiona siły życiowej – przypomniał po chwili. Wyjął własnoręcznie sporządzony amulet, zwiniętą złotą blaszkę z wydrapanymi znakami pisma magów, z przeciągniętą przez otwór jedwabną tasiemką, i zawiesił go Marshii na szyi. – Chyba że złamię igłę.

– Ale jeśli zbyt długo będzie pozostawać w takim stanie jak teraz, mózg odmówi posłuszeństwa. Przecież wiesz. Jeżeli nie zdejmiesz szybko klątwy... A na to chyba nie ma szans, prawda?

– Nie myl pojęć, Zazel. Zdjąć klątwę może tylko ten, kto ją rzucił. Ja mogę ją złamać, ryzykując, że nie uda się naprawić szkód, jakie spowodowała. Wiesz, jak to jest z łamaniem klątw. Na razie działałem ostrożnie i udało mi się zmniejszyć jej moc. Istnieje nadzieja, że z czasem osłabnie bardziej i da się z nią żyć. Klątwy słabną poza światem, z którego pochodzą, a tę rzucił demon.

– Da się z nią żyć? – powtórzył z oburzeniem chowaniec. – A jeśli wcześniej dojdzie do nieodwracalnych szkód? Paraliż, upośledzenie umysłu? Jak będzie wyglądało takie życie?!

Zmij milczał chwilę, potem odpowiedział wolno:

– Jakiś czas mieszkałem wśród odmieńców, Zazel. Oni nie zadają sobie tego pytania.

– Odmieńcy! Chyba kpisz, toż to całkiem insza inszość. Zresztą twoi wspaniali odmieńcy nie zaopiekują się chorym czy kaleką, który nie rokuje nadziei, pozwolą mu umrzeć. A jeśli urodzi im się dziecko, które nie jest w stanie samodzielnie funkcjonować, po prostu je duszą.

Brune zbył jego słowa milczeniem. Wpatrywał się w Marshię. Przez dwa poprzednie dni jej twarz była nieruchoma jak woskowa maska. Teraz dawało się zauważyć, bardzo jeszcze nikielne, oznaki powracającej świadomości. Drgnienie powiek, słaby ruch głową, ilekroć podnosili głos...

– Zawołaj pokojówkę, niech przyniesie wody. Nie zimnej, lekko ciepłej – poprosił. Chowaniec, który wiedział, że nie należy kwestionować jego poleceń, wybiegł.

W czasie nieobecności stwora Brune zwilżył róg ręcznika octem kwiatowym, który stał na toaletce, i delikatnie przetrął czoło Marshii. Tak jak się spodziewał, poruszyła się. Przyłożył ręce do jej skroni,

oddając własną siłę życiową – tyle, ile mógł, nie osłabiając się zanadto. Powieki chorej drgnęły, zamamrotała ledwie słyszalnie.

Zjawiła się służąca z tacką. Krzyczący ostrożnie uniósł Marshii głowę i zbliżył czarękę do jej ust, tak żeby je lekko zmoczyć.

– Starsza siostró – szepnął. – Pij. Pomalutku.

Najpierw nie zareagowała, ale potem wypła kilka łyków. Brune pilnował, czy przełyka. Gdy poczuł, że Marshia znów wiotczeje i odpływa w nieświadomość, pozwolił jej opaść na poduszki.

W drzwiach, nieproszona, wyrosła Lorraine, trzymając lichtarz. Wsunęła się do sypialni bezszelestnie niczym czarna zjawa.

– Brune – odezwała się z wahaniem. – Muszę z tobą pomówić.

– Za chwilę. – Dał jej znak, żeby zaczekała, po czym zwrócił się do chowańca i pokojówki. – Zazel, ty tu zostań. Pilnuj pani. Jak zobaczycie, że przytomnieje, znów dajcie się jej napić, tylko ostrożnie, żeby się nie zakrztusiła.

– Ja... – Stwór wyglądał na niezadowolonego, że nie weźmie udziału w rozmowie, ale Brune powtórzył stanowczo:

– Zostań.

Wyszedł za Lorraine.

Usiedli w saloniku na dole. Dziewczyna spuściła wzrok. Wyglądała blado i mizernie – ostatnie dni musiały być trudne także dla niej, biernego świadka wydarzeń.

– Niepokoję się o Anavri – oznajmiła.

– Czemu?

Podniosła na niego duże, nieco dziecinne zielone oczy. Zazwyczaj roztargnione, zapatrzone w przestrzeń, teraz jednak poważne i zmartwione.

– Wiesz, że widzę przyszłość?

– Marshia wspomniała mi o tym – odrzekł powoli.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Lorraine Alexia Nevers była po prostu medium. Słyszała głosy umarłych – tylko i aż. Ciekaw był, w jaki sposób Marshia zdołała w niej obudzić drugi, nieporównanie rzadszy i cenniejszy talent. Ludzie nieposiadający daru magicznego, a obdarzeni zdolnością jasnowidzenia – w dal patrzący, jak ich zwano w Siedmiu Krainach – trafiali się może raz na pięćset tysięcy urodzeń. A może raz na milion. Bardzo rzadko.

– Aż do dnia pojedynku dręczyły mnie wizje tego, co się może stać,

jeśli ci z Doliny Światła postanowią nie trzymać się reguł – podjęła. – W każdej chwili mogli uznać, że jednak bardziej im się opłaca postąpić zgodnie z prawem silniejszego i po prostu zabić was wszystkich tam w sferach, albo wziąć do niewoli.

– Braliśmy pod uwagę taką możliwość – przyznał Brune. W pełni zdawał sobie sprawę z tego, że Marshia musiała przed pojedyńkiem rozegrać finezyjną i niebezpieczną grę, wykorzystując subtelne powiązania między kilkoma Dolinami. – Ale, jeśli łaska, nie mów tego swojej kuzynce.

Lorraine nie uśmiechnęła się, żart chyba zupełnie do niej nie dotarł.

– Brune, odkąd wróciliście po walce, wyczuwam, że coś zagraża Anavri. Nie umiem powiedzieć, co... ale boję się o nią.

– Coś związanego z nią samą? Z jej darem? – Przypomniał sobie opowieść Zazela o tym, jak Anavri próbowała popełnić samobójstwo. Wtedy też nie kto inny, a panna Nevers w porę zaalarmowała dom.

Dziewczyna nerwowo bawiła się końcem ciemnego warkocza.

– Nie wiem. Nie umiem powiedzieć nic więcej. Wiesz, zazwyczaj widuję obrazy, trochę jak w przypadku wspomnień... tylko inaczej, bo wiem, że dotyczą rzeczy, które dopiero mają się wydarzyć. Tym razem mam tylko przecucie.

– Że Anavri jest w niebezpieczeństwie? Nic bardziej precyzyjnego? Skinęła głową.

– A potrafisz powiedzieć, jak dalekiej przyszłości ono dotyczy? – dążył ostrożnie Brune. – Czegoś, co się ma zdarzyć jutro, za tydzień, za miesiąc?

– Nie za miesiąc – odparła od razu. – I myślę, że nie za tydzień. Właśnie dlatego uznałam, że powinieneś wiedzieć. Kiedy Anavri próbowała sobie podciąć żyły, wyczułam, że dzieje się coś złego, kiedy było już prawie za późno.

Żmij zasępił się. Nie przypuszczał, aby Lorraine próbowała zwrócić na siebie uwagę, zmyślając – czuł jej niepokój. Nie był natomiast pewien, w jakim stopniu należy wierzyć jej talentowi. Cokolwiek wyczuwała, był to tylko jeden z wariantów przyszłości, który wcale nie musiał się ziścić.

– Zawołaj tu Anavri – poprosił. – Pomówię z nią.

Znów ta zakłopotana mina, palce skubiące warkocz.

– Ona teraz śpi, rozzłości się, jeśli ją obudzę.

Brune stłumił westchnienie. Zerknął na fikuśny, inkrustowany masą perłową czasomierz, który zdobił półkę nad kominkiem.

– Będę tu przynajmniej do północy. Kiedy Anavri się zbudzi, przyślij ją do mnie.

Gdy Lorraine wyszła, potarł czoło. Czuł znajomy, pulsujący ból za okiem. Energia, którą ofiarował Marshii, kosztowała go drogo, bo nie doszedł jeszcze do siebie po skrajnym wyczerpaniu dwa dni wcześniej. Bransoleta od Sankha, z której parę godzin wcześniej wysączył moc do ostatniej odrobiny, była jak jeden solidny posiłek dla kogoś, kto głodował kilka dni. Brune oczywiście nie poprzestał na tym – pokręciwszy się trochę po Labiryncie Łez, odszukał znajomą młodą żyłę i zaczerpnął od niej tyle, ile mógł, nie robiąc jej krzywdy. Ale i to nie wystarczyło. Kiedy rozmawiał z panną Nevers, na wpół świadomie odpychał chęć, by przyłożyć ręce do jej skroni i wyssać z dziewczyny siły.

Teraz zaś czekał go wieczór dalszych zmagania z kłątą Agelhagotha, co przypominało rozbrajanie wyjątkowo perfidnie skonstruowanych wnyków tak, żeby ani nie zabić schwytanej w nie zwierzyny, ani samemu się nie pokaleczyć.

Wyszedł na korytarz i sięgnął umysłem w kierunku komnat na piętrze. Tak jak się spodziewał, nie wyczuł niczego podejrzanego, więc zbył słowa Lorraine wzruszeniem ramion. Aktualne problemy były ważniejsze od hipotetycznych.

* * *

Dziwny sen wystraszył Anavri, lecz gdy ochłonęła, uznała, że przesadza. Ślad na policzku mógł być najzwyklejszą w świecie krostką albo ugryzieniem komara. Im dłużej się zastanawiała, tym bardziej skłaniała się ku przeświadczeniu, że wszystko to zbieg okoliczności. Przed pojedynkiem wystraszyła się kogoś, kto dziwnie wyglądał i być może chciał ją wystraszyć, dla kaprysu – bo sprawiała wrażenie młodej i niedoświadczonej. Sen przyplątał się, ponieważ odreagowywała napięcie poprzednich dni, a ślad na twarzy nie ma z jednym ani drugim żadnego związku.

Wciąż jeszcze osłabiona, wyciągnęła się na łóżku z książką wziętą

z biblioteki – były to pamiętniki pewnego korsarza, lektura, która prawdopodobnie nie znalazłaby uznania w oczach Marshii. Obie kuzynki już dawno zdążyły spenetrować księgozbiór mistrzyni, by podkraść zeń to i owo, różniły się tylko gustem. Lorraine chętnie czytywała podejrzaney jakości dzieła domorosłych astrologów, objawienia i prorocstwa, żeby później móc się z nich zaśmiewać razem z Zazelem, natomiast Anavri najbardziej lubiła opowieści o dalekich krainach i przygodach.

Dość szorstko zbyła kuzynkę, gdy ta zajrzała przez uchylone drzwi, proponując, by razem przeszły się po ogrodzie. Krótco potem przestała mieć wyrzuty sumienia, gdy w szyby zabębnił deszcz.

Pierwszy deszcz, jaki spadł w enklawie Marshii, odkąd Anavri tu przebywała. Gdy to sobie uświadomiła, ogarnął ją chłodny lęk. Teraz, gdy Marshia leżała chora, coś niedobrego działo się z enklawą i ani Brune, ani chowańce nie byli w stanie tego powstrzymać.

Wróciły ponure myśli o tym, co się stanie, jeśli mistrzyni umrze, lecz odepchnęła je. Nie miała teraz siły się nad tym zastanawiać.

Stopniowo ogarniało ją odrętwienie. Monotonny stukot kropel działał usypiająco. Anavri odłożyła książkę i zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, zmartwiała. Wokół panowały ciemności.

Z narastającym przerażeniem uświadomiła sobie, że nie może się poruszyć. Chciała przywołać moc i zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie. Była pozbawiona daru, unieruchomiona i bezbronna.

Tkwiała przywiązana do słupa pośrodku olbrzymiej, mrocznej jaskini. Pod ścianami stały metalowe kadzie i wznosiły się dziwaczne drewniane konstrukcje, jakby rusztowania. W powietrzu wisiał mdlący, kwaśny smród. Smród, który już znała.

– Mam cię, moja miła – zasyczał przyprawiający o ciarki głos. Demon w stroju błazna wkroczył w jej pole widzenia. Wyglądał jeszcze straszniej niż poprzednio, jego oblicze w niczym nie przypominało już ludzkiej twarzy. Przywodziło na myśl główkę pluskwiaka, a może chrabąszcza – olbrzymie ślepie, czułki, zuwaczki.

Tym razem nie miał jednak owadzych łapek z pazurkami, lecz szpony. A w tych szponach dzierzył... bladą symbiotyczną maskę.

Maskę, w której było coś znajomego.

Musiła minąć dłuższa chwila, nim Anavri uświadomiła sobie, że patrzy na swoją własną twarz.

– Jak się nazywasz? – spytał. Dziewczyna milczała, patrząc na niego wyzywająco.

Leciutko powiódł pazurem wzdłuż policzka maski, zostawiając na alabastrowej powłoce czerwoną ryś. Anavri pisnęła, bo poczuła, jak zimny, ostry szpon przesuwają się boleśnie po jej własnej skórze.

– Rozumiemy się? – spytał demon, świdrując ją wzrokiem.

– Tak – wykrztusiła.

– Jak się nazywasz?

– Anavri Vaneisen.

– Co cię łączy z Marshią Lavallo?

– Jestem... – Zająknęła się, ale gdy znów poczuła na policzku dotyk szponu, wykrztusiła: – Jestem jej uczennicą.

– Hm. – Przetrawiał to przez moment. – A ten człowiek w czarnej odzieży, który wam towarzyszył w dniu pojedynku, też jest uczniem pani Lavallo?

– Nie.

– Jej podwładnym?

– Też nie.

– Samodzielnym *ka-ira*, tak?

– Tak.

– Jak się nazywa?

Zawahała się, nie wiedząc, które z imion Krzyżującego lepiej wyjawić, by miało to potencjalnie mniej niebezpieczne skutki.

– Krzyżujący w Ciemności – wykrztusiła w końcu.

Cichy śmiech demona wwierteł się w jej mózg.

– Opowiedz mi o nim wszystko, co wiesz, Anavri. Wszystko.

* * *

Deszcz cicho szumiał za oknem. Pulchna służąca układała w komodzie czyste koszule. Brune zmierzył Marshii puls i z ulgą przekonał się, że nie miała gorączki. Najwyraźniej, wbrew jego obawom, mimo wszystko uniknęła infekcji. Pozwolił sobie na nadzieję, że idzie ku dobremu.

Oby odzyskała świadomość. Na razie nie było sposobu, by sprawdzić, czy mózg zmijki nie uległ uszkodzeniu, czy nie doznała na przykład paraliżu. Brune pomyślał ponuro, że nawet jeśli nie, to

i tak czeka ją długa rekonwalescencja, zważywszy, że mimo wysiłków nie udało mu się złamać klątwy – zakęcie Agelhagotha, choć już niemal niewyczuwalne zmysłami maga, nadal działało, nadwątłając organizm ofiary.

Westchnął w duchu. Wykorzystał wszelkie środki, jakimi dysponował; nie był w stanie zrobić nic więcej. Wiedział, że jeśli klątwa nie wygaśnie z czasem, są małe szanse, by Marshia kiedykolwiek wróciła do pełni zdrowia i możliwości magicznych. Z poźółkłą, odmienioną twarzą wyglądała fatalnie, jakby w ciągu kilkudziesięciu godzin postarzała się o dziesięć lat.

Biss przepłynął przez próg, ułożył się w nogach łóżka i zaczął sobie oblizywać końce macek.

– Co on jada? – zagadnął żmij, ot tak, by przerwać milczenie.

– Ryby z sadzawki, panie magu, żaby, myszy i krety – odrzekła pokojówka, jękając się z lekka i unikając jego wzroku.

Brune westchnął w duchu. Zawsze był dla tych dziewcząt uprzejmy, chyba wręcz uprzejmiejszy niż ich pani. Mimo to bały się patrzeć mu w oczy; wyczuwał lęk, ilekroć spoglądały na jego twarz, na blizny, do których sam był tak przyzwyczajony, że patrząc w lustro, ledwie je zauważał. Zaczynało go to irytować.

Biss warknął z cicha, unosząc łeb. Powędrowawszy za jego spojrzeniem, zarówno żmij, jak i służąca znieruchomieli.

Marshia miała otwarte oczy. Rozglądała się w oszołomieniu, półprzytomna, zdeorientowana.

– Śpij, starsza siostró – uspokoił ją Brune. – Wszystko jest dobrze.

Poruszyła wargami. Nachylił się, próbując zrozumieć, co usiłowała wyszeptać.

– Dzie... jes...m?

– W domu, jesteś w domu. – Dotknął jej twarzy. – Śpij – powtórzył, wzmacniając słowa łagodnym mentalnym rozkazem.

Powieki chorej opadły, jej oddech uspokoił się i z wolna pogłębił. Biss obrócił się na kołdrze i znów zwinął wygodnie, co pewien czas zerkając czujnie na panią.

Brune wyjął z kieszeni fiolkę z nalewką z jaskółczego ziela. Umoczywszy palec w rdzawym płynie, nakreślił na czole Marshii dwa symbole, a dwa inne na grzbietach jej dłoni.

– Nie zmywaj tego do jutra – powiedział cicho do pokojówki.

– Jest lepiej, prawda? – spytała nieśmiało.

– Tak sędzę – odrzekł ostrożnie. Zakorkował fiolkę i drgnął, gdy w oddali trzasnęły drzwi. – A tam co znowu?

Na korytarzu rozległ się tupot i do komnaty wpadła Lorraine. Błada, przerażona.

– Anavri... – wykrztusiła.

– Co z nią?

Lorraine wzięła głęboki oddech.

– Straciła przytomność. Nie mogę jej ocucić.

Brune poderwał się, klnąc tak szpetnie, że służąca oblała się rumieńcem.

– Jej pokój jest po drugiej stronie korytarza, pokażę ci – rzuciła panna Nevers.

Pierwszym, co uderzyło żmija tuż za progiem sypialni Anavri, był słaby, lecz wyraźny odór – jakby murszejącego drewna i psującej się żywności. Dziewczyna leżała w daytimej odzieży na niezaścielonym łóżku; jedna dłoń zwieszona bezwładnie, otwarta książka na podłodze. Aura tak przygaszona, jakby coś wysssało ją niemal do cna z sił; twarz wykrzywiona, zastygła w grymasie bólu.

Krzyczący szybko przykląkł obok łóżka, ujmując rękę Anavri. Drugą dłoń położył na jej czole i zamknął oczy.

* * *

– Skąd on pochodzi?

– Nie wiem.

– Gdzie mieszka? W enklawie razem z wami?

– Nie.

– Więc gdzie?

– Gdzieś w sferach. Nie wiem gdzie. – Anavri, choć przerażona, postanowiła udzielać możliwie ogólnikowych odpowiedzi i zatajać, ile tylko się da, bez mijania się z prawdą.

– Czym się zajmuje?

– Jest *ka-ira*, jak ja. Nic więcej nie wiem. – Zaszlochała. – Przysięgam, nie wiem...

Demon pochylił się niżej. Jego oddech cuchnął kwaśnym rozkładem, butwiejącymi liśćmi, bagienną zgnilizną.

– Co cię z nim łączy?

– Nic – wykrztusiła.

– Nie wierzę ci – zasyczał. Uniósł pazur i powoli zbliżył go do maski.

Wtedy Anavri poczuła uderzenie mocy, od którego aż pociemniało jej w oczach. Krępujące ją sznury pękły i opadły. Jedno, a potem drugie rusztowanie zawało się z trzaskiem, wzbijając chmury kurzu. Pośrodku jaskini zmaterializował się kształt utkany z mroku – potwór o żółtych źrenicach.

Demon wrzasnął z wściekłością. Schował maskę w zanadrze, po czym rozwarł usta i rzygnął strugą jadowicie zielonych płomieni. Te jednak zakotłowały się wokół zmija i zgasły, jakby wessała je ciemność.

Brune szedł. Zdeterminowany, straszny. Czerń kłębiła się wokół niego jak peleryna. Uczynił gest – z jego dłoni chlusnął najpierw siny ogień, a potem ciemność, wijąca się niczym kłębowisko węży.

Demon, trafiony jednym i drugim, zadygotał, ale stał. Przez sekundę zdawało się, że wchłonął pociski bez widocznej szkody. Jego zuwaczki rozwarły się jakby w złośliwym uśmiechu... Nagle targnął się, upadł, miotany drgawkami. Jego skóra i ubranie popękały i odpadły jak bandaże od mumii. Morfował w coś pokraccznego, zwierzęco-owadziego, o wielu odnóżach.

Trafiony kolejną garścią siniego ognia rozpękł się, rozpadł na milion ciemnych cząstek. Stworzonek. Część odfrunęła bzyzącą chmarą, inne rozbiegły się na pajęczych odnóżach, jeszcze inne – skacząc jak pchły.

Anavri wrzasnęła, bo te skaczące opadły ją w okamgnieniu. Były wstrętne – wielonożne, rozmiarów dłoni, o odwłokach zakończonych kolcem. Nim zdążyła się osłonić czarem tarczy, wczepiły się w jej ubranie i lały w górę jak olbrzymie kleszcze. Zerwała z siebie kaftanik, do którego przywarły trzy czy cztery, kilka kolejnych strząsnęła ze spódnicy i rozdeptała – towarzyszył temu obrzydliwy chrzęst. W panice zaczęła się otrzępywać, palce natrafiły na twarde pancerzyk kolejnego potworka – oderwała go od koszuli, cisnęła z rozmachem. Nagle jej ramię przeniknął przeraźliwy ból, połączony z mrowiącym uczuciem ni to gorąca, ni mrozu. Ręka opadła bezwładnie, palce zdrętwiały.

W następnej chwili mroczna przestrzeń pękła jak mydlana bańka i znaleźli się z powrotem w sypialni. Oszołomiony Brune kolejno rejestrował wrażenia, przytomniejąc. Twarda podłoga, na której klęczał. Ciepła wilgoć krwi płynącej z nosa oraz twarze Zazela i Lorraine, którzy patrzyli w niemym przerażeniu. Anavri osunęła się na poduszki, przyciskając prawe ramię drugą dłonią.

– Użądlił mnie – wykrztusiła.

– Pokaż!

Brune szarpnięciem rozdarł rękaw koszuli, zaklął. Trochę powyżej łokcia widniała sina plama wokół ciemnego, punktowego śladu. Prędko ściągnął z szyi chustkę i ciasno obwiązał ramię dziewczyny, zaciskając tak mocno, jak tylko rozsądek pozwalał. Lorraine, znów popisując się trzeźwością reakcji, uklękła ze wstążką zdjętą z toaletki, żeby zrobić to samo poniżej łokcia. Żmij wyjął z kaletki przy pasku fiolkę i posmarował użądlenie śliskim, opalizującym płynem.

– Czy to jest to, o czym myślę? – spytał cicho Zazel. – Uniwersalne antidotum Nerhaela?

Krzyczący potaknął, nie odrywając wzroku od ranki.

– Przygotowałem je jeszcze przed walką Marshii, na wszelki wypadek.

– Bogowie, ale skąd wzięłeś... – Chowaniec jakby się zreflektował, przypomniawszy sobie, że nie są sami. – Nieważne.

Zarówno zasinienie, jak i ciemny ślad powiększały się w oczach. Anavri zaszlochała. Żmij zacisnęła zęby – czuł jej ból, rwący, palący jak ogień.

– Może by zrobić nacięcie i wyssać? – spytała rzeczowo Lorraine, ale Krzyczący pokręcił głową.

– Gdyby to był ziemski skorpion albo wąż, wtedy owszem, ale ponieważ to magia Otchłani, lepiej, żeby nie popłynęła już ani kropelka jej krwi.

Głowa Anavri opadła na poduszki – dziewczyna odpłynęła w omdlenie. Panna Nevers poruszyła się niespokojnie.

– Nie możesz nic więcej zrobić?

– Niby co? Położyć na niej dłonie i wyleczyć? Czerń nie uzdrawia... Antidotum zaraz zadziała. Spokojnie.

Zasinienie zaczynało sięgać poza przewiązany obszar, a ciemna plama w jego centrum miała już średnicę cala. Wyglądała jak

wypalone piętno. Na jej obwodzie narastał obrzęk. Wbrew temu, co mówił, Brune nagle przeraził się, że jakimś cudem się pomylił – że eliksir jest nieaktywny i Anavri umrze. Ale po chwili zmysłami maga poczuł, że ból słabnie. Dziewczyna jęknęła i otworzyła oczy.

– Widzę... dziwnie – szepnęła niewyraźnie – ...szys...ko pływa...

– To normalne. Leż.

Sprawdził jej puls. Serce biło równo. Ujął prawą dłoń Anavri. Palce były zimne, lecz nie sine. Wiedział, że nie należy zbyt długo hamować przepływu krwi, lecz obawiał się poluzować opaskę. Wolał odczekać.

– Leż – powtórzył. – Zaraz poczujesz się lepiej.

Dopiero teraz zauważył płytkie skaleczenie na jej policzku. Na szczęście w przeciwieństwie do śladu po użądleniu nie emanowało złą, obcą aurą Otchłani. Zadrapanie, nic więcej.

Uświadomił sobie, że zaczyna odczuwać symptomy wyczerpania – dreszcze, ból w skroni i narastającą senność. Przestał już liczyć, który to już raz w ciągu ostatnich dni.

Lorraine uchyliła okno, żeby wpuścić do komnaty chłodne powietrze.

– Następnym razem należy się dukacik za usługę ostrzegania w porę – oznajmiła, mrużąc oko. Widząc, że Krzyczący chwiejnie opiera się o ścianę, spoważniała. – Co, znów potrzeba ci żyły?

– Jeśli będziesz tak miła – mruknął.

* * *

– Szlag, tylko tego nam brakowało – stwierdził z rezygnacją żmij, osuwając się na fotel w salonie. Zazel siedział na serwantce (jedni bogowie wiedzieli, jak dostawał się w miejsca, gdzie nie był w stanie wskoczyć ani się wdrapać) i właśnie nalewał sobie winiaku z pękatej flaszki.

– Szefie, kieliszeczek na ukojenie nerwów? – zaproponował.

Brune mruknął coś niepoehlebnego, ale ponuro przyjął zaofiarowany kieliszek. Zazel wychylił swój jednym haustem, nalał sobie drugi.

– Jak ona się czuje? – zapytał.

– Podle, a jak ty byś się czuł na jej miejscu? Popłakała się. Dałem jej zioła na uspokojenie i opatrzyłem rękę. Na szczęście antidotum

unieczyniło jad, zły czar, czy co to tam było. Ranka pewnie będzie się paprać, ale to najmniejszy problem.

– A to skaleczenie na buzi?

– Płytkie, zgoi się bez śladu.

Milczeli chwilę.

– Jak sądzisz, kto nas zaatakował? – podjął chowaniec, ruszając wąsami.

– Nie wiem. Logika każe przypuszczać, że ktoś z Doliny Światła albo pozostający na jej usługach.

– Myślisz?...

– Czy to nie narzucające się wytłumaczenie? Chcieli przejąć kontrolę nad Anavri i za jej pośrednictwem dokończyć to, czego nie udało im się dokonać podczas pojedynku. – Brune nerwowo przegarnął palcami włosy. – A mówiłem Marshii, że to głupi pomysł, aby ją brać na sekundantkę!

– Myślisz, że dopadli Anavri właśnie wtedy, w sferach?

– A gdzieżby indziej? Toż tam się kłębiło pół Otchłani, a nie łudzmy się, panienka Vaneisen równie dobrze mogłaby mieć wypisane na czole, że jest łatwym łupem. Myślę, że drań w jakiś sposób stworzył sobie do niej drogę, albo przed pojedynkiem, albo w trakcie. Dotknął jej, zahipnotyzował, nie wiem. A później, kiedy Marshia przeżyła starcie z Agelhagothem, postanowili wykorzystać tę furtkę, żeby zamknąć sprawę.

– Ale jak on się tu przedostał? Zabezpieczenia...

– Dopóki Marshia jest słaba, zabezpieczenia enklawy też są słabsze. Zrobiłem, co mogłem, żeby je wzmocnić... ale najwyraźniej to za mało. – Krzyczący rozłożył ręce. – I co teraz? Nie mogę tu siedzieć przez całą dobę, Zazel. Mam swoją robotę, już i tak pozaniedbrywałem zlecenia.

Chowaniec dopił winiak i oznajmił ze spokojem:

– Mam pomysł. Zabierz Anavri do twojej enklawy.

Brune osłupiał.

– Chyba żartujesz. Marshia...

– Marshia jest na wpół przytomna, do cholery! I nieprędko będziesz mógł ją zapytać o zdanie, które – wybaczone – w tej chwili mało się liczy! Teraz najważniejsze, to zapewnić bezpieczeństwo im obu. Trzeba je rozdzielić, to raz. Dwa, we własnym domu chyba jesteś w stanie

zagwarantować, że żaden skurwiel z Doliny Światła nie zdoła nawiązać kontaktu z Anavri, czy to w snach, czy na jawie, prawda?

– Teoretycznie tak, ale... – Krzyżący przetaił twarz. Nie mógł zaprzeczyć, że sugestia chowańca jest całkiem logiczna i rozsądna. Szkopuł tkwił w tym, że nie miał najmniejszej ochoty brać na siebie odpowiedzialności za cudzą uczennicę. W dodatku arystokratkę.

– Jeśli widzisz lepsze wyjście, proszę bardzo – podjął stwór. – Przyznam, że mi nic innego nie przychodzi do głowy.

– Ale u mnie?...

– Przeżyje. Nie jest z cukru.

– Tyle to i ja wiem. Ale wierz mi, ostatnie, czego teraz potrzebuję, to opieka nad wysoko urodzoną panną. Przyzwyczajoną do takiego otoczenia. – Wymownie wskazał salon Marshii.

– Powinno już do ciebie dotrzeć, że Anavri nie jest z tych grymaszących – odparł raźnie chowaniec. – Myślę, że postara się sprawiać ci jak najmniej kłopotu. Chleb z serem w każdym razie jada, widziałem.

Brune tylko prychnął, sięgając po butelkę z winiakiem. Dolał sobie. Wyjął z kieszeni karty, przetasował, rozłożył i od razu zgarnął z pełną niesmaku miną.

– Poza tym ktoś przecież musi udzielać jej lekcji – kontynuował Zazel. – Nie powinna mieć przerwy w szkoleniu.

Żmij odstawił kieliszek. Wyglądał na pokonanego.

– Dobrze – odparł z ociąganiem. – Daj mi czas do jutra, trochę tam posprzątam.

Chowaniec podskoczył.

– Świetnie! Już powiedziałem Anavri, żeby się spakowała.

Brune wzniosł oczy do nieba.

– Ja cię kiedyś zamorduję, Zazel.

– Zawsze do usług.

* * *

Dziewczyna była niska i grubawa, z wypomadowanymi czarnymi włosami, zakręconymi nad czołem w pretensjonalny lok. Otaczał ją smrodek konwaliowych perfum, potu i czosnku.

– Nazywasz się? – Kapitan dał znak Subbelowi, żeby notował każde

słowo.

– Kelike Tibs. – Głos miała zachrypnięty, przepity.

– Gdzie można cię znaleźć w ciągu dnia? – Wiedział z doświadczenia, że nie ma sensu pytać tych kobiet o adres. Zmieniały miejsce zamieszkania, ilekroć opiekun kazał im iść na tańszą kwatere albo gospodarz wściekał się, że zalegają z czynszem czy sprowadzają gości.

– W szynku Dolbiusa na Tkackiej. Pracuję dla właściciela.

– Co masz dla nas ciekawego?

Wyjęła z zanadrza zmięte drukowane obwieszczenie, które po piątym morderstwie ludzie Zandera rozwiesili w tawernach i domach rozpusty. Rozprostowała je i stuknęła brudnym paznokciem w rycinę.

– Razem z nami pracowała dziewczyna, która nosiła taki pierścionek i tak się czesała. Trzy tygodnie temu przestała się pojawiać. Dolbius gada, że wyjechała, ale dokąd niby? Nie miała żadnej rodziny.

– Opisz ją.

– Mała, dzieciak taki. Jasne włosy. Chuda jak patyk, cycki jak pryszczce...

Subbel prychnął cicho, notując. Kapitan spiorunował go wzrokiem.

– Miała tatuaż?

– Pewnie.

– Jak się nazywała?

– Jakoś z alkaryjska... – Kelike Tibs zmarszczyła uczernione brwi.

– Resa chyba. Tak, Resa. O nazwisko pytajcie Dolbiusa.

– Kiedy ostatni raz widziałaś ją żywą?

– Toż mówię. Trzy tygodnie temu. Tego dnia Dolbius chciał ją umówić z takim jednym na całą noc, a ona mu na to, że już ma ugadanego klienta. Zgniewał się, bo było powiedziane, żeby się nie umawiać bez pytania na nocki, ale jak mu powiedziała, ile dostanie, to machnął ręką i rzekł, coby szła.

– Ile miała dostać?

– Poczekajcie. Na wieczór się odsztafirowała, założyła lepszą sukienkę, ufryzowała włosy, a tamten przyjechał po nią dorożką. Widziałam go, bo mi dał połowę złota, cobym oddała zaraz Dolbiusowi. Sześćdziesiąt leri.

– Sto dwadzieścia leri za całą noc... – Kapitan potarł twarz. – To u was dużo czy mało?

– Dużo, normalnie za nockę bierzemy osiemdziesiąt. Znaczy, tyle bierzemy wszystkiego i dzielimy się z opiekunem, wiadomo, po połowie.

– Opisz tego mężczyznę. Rozpoznałabyś go?

Kelike Tibs rozłożyła bezradnie ręce.

– To była chwila... Na pieniądze żem bardziej zważała niż na niego. Nie pojawił się więcej u nas, tyle wam mogę rzec. – Zamknęła oczy, starając się przywołać wspomnienie. – Normalny był – dodała po dłuższej chwili. – Taki zwyczajny, no. Jenó ubrany tak...

– Chudy? Gruby?

– Przy kości. Chyba. Ale nie jakoś bardzo.

– Młody?

Wzruszyła tylko ramionami.

– Niestary. Chyba. – Uczyniła niesprecyzowany gest. – Ale i nie młodziak.

– W średnim wieku?

– Może.

– Miał wąsy? Brodę? Symbiotyczną maskę?

– Ani wąsów, ani brody. – Skrzywiła się z namysłem. – Teraz, gdy pytacie... Mógł mieć maskę, z tych cielistych. Albo tylko makijaż, jak to ci dandysi tera. Nie przyjrzałam się dobrze, bo w dorożce siedział.

– Coś jeszcze?

– Toż mówię, a wy mi cały czas przerywacie. Był dziwnie ubrany. – Panna Tibs potrząsnęła wskazującym palcem. – W kolorowy kaftan i czapkę taką głupkowatą, jak nie przymierzając błazen. Pomyślałam se, że ani chybi wybierają się na maskaradę. Tera modne są te przyjęcia z maskami.

– Modne – przytaknął powoli Zander, czując, że ogarnia go chłód.

8. Chata w górach

Anavri nie wiedziała, czy powinna się bać.

Zazel z właściwym sobie poczuciem humoru uznał za stosowne uszczęśliwić ją garścią anegdot o lochach Shan Vaola, gdzie mieszkali z Krzyczącym, zanim chowaniec trafił na służbę do Marshii. Wiedziała oczywiście, że teraz wybiera się w – przynajmniej teoretycznie – bardziej przyjazne miejsce, ale wyobraźnia i tak podsuwała jej różne niemiłe wizje. Gdy zaczęła go wypytywać o konkrety, stwór udzielił jednej jedynej, za to źle wróżącej rady:

– Spakuj męskie rzeczy. Suknia tylko by ci zawadzała.

Dziewczyna na własną rękę zdecydowała, że jeśli suknia jest kiepskim pomysłem, to włosy do pasa pewnie tym bardziej. W przypiływie chłodnej rezygnacji rozważała ostrzyżenie ich przy skórze, ale ostatecznie stanęło na skróceniu do ramion. Zastanawiała się, kogo poprosić o przysługę, i padło na Lorraine. Okazało się, że nie był to najlepszy pomysł. Wedle słów Zazela – on sam obciąłby je mniej krzywo.

Stojąc przed największym zwierciadłem w pracowni Marshii, po raz ostatni sprawdziła instrukcje, które zapisał dla niej Krzyczący. Z duszą na ramieniu wyrecytowała formułę i niemal podskoczyła, gdy tafla rozbłysła najpierw czerwono, potem niebiesko, by następnie rozjarzyć się mnóstwem wielobarwnych, zmieniających się wzorów. Anavri wkroczyła w portal.

Po drugiej stronie przywitały ją cisza i półmrok. Dziewczyna powęszyła, najpierw podejrzliwie, a potem z zaciekawieniem. Pachniało dymem, starym drewnem, kamforą i siarką. Ściany izby były z bali, sufit opadał ukośnie. Za oknem szarzało zachmurzone niebo.

– Witaj – powiedział z uśmiechem Brune.

Anavri postawiła torbę pod ścianą i rozejrzała się. Spodziewała się ujrzeć ponurą, zagraconą norę, więc odetchnęła w duchu na widok zupełnie schludnej pracowni. Większą część stołu zajmował sprzęt

alchemiczny, wyglądający tak, jakby skompletowano go z odczyszczanego złomu i przypadkowych szklanych oraz glinianych naczyń. Na półkach stały ingrediencje w słoikach, butelkach i fiolkach, a także księgi – w tym takie, które musiały sporo kosztować. Zwierciadło portalowe było w dużo gorszym stanie niż lustra w pracowni Marshii – pociemniałe, pęknięte w kilku miejscach. Resztki pozłoty łuszczyły się ze zniszczonej ramy.

– Chodź, pokażę ci resztę domu – powiedział żmij.

W drugiej, malutkiej izbie znajdowało się tylko posłanie i pozbawione zdobień skrzynie. W kuchni, tak samo ciemnawej jak pozostałe pomieszczenia, sporo miejsca zajmował stary piec i schludnie poukładane obok szczapy. Stół, ława, beczka z czerpakiem i wiadro, trochę naczyń na półce...

Jeśli pominąć księgi, żył jak biedota – powinno ją to przygnębić, ale domostwo wcale nie sprawiało przygnębiającego wrażenia.

– Chodź na ganek – zaprosił Brune.

Westchnęła z zachwytem, gdy ujrzała okolone kosodrzewiną jezioro i odbijające się w nim górskie szczyty. Miejsce wyglądało niemal ziemsko, lecz nie do końca. Trawa była błękitna, tu i ówdzie w cieniu głązów rosły storczyki, a wokół nich unosiły się olbrzymie ważki.

Żmij oprowadził dziewczynę wzdłuż granic enklawy – niedużej, jak się okazało. Od wschodu granicę tworzył uchodzący do jeziora potok, w którym Anavri zauważyła dziwne kolorowe twory, jakby miniaturowe koralowce. Od zachodu i północy – długa, zbita połąć kosodrzewiny.

– Od południa granica przebiega po wodzie – powiedział Brune. – Do enklawy należy tylko kawałek jeziora blisko brzegu.

Zerwał się chłodny wiatr, więc wrócili do chaty. Żmij zagadnął:

– Jak twoje ramię? Boli?

– Trochę – przyznała.

– Chodź do pracowni i pokaż, niech obejrzę – zarządził.

Anavri nieco się spieszyła, ale spełniła polecenie. Zdjęła kabat i podwinęła luźny rękaw koszuli. Brune rozmotął bandaż i delikatnie odkleił ostatnią warstwę, która nasiąkła wydzieliną. Wokół rozmiękłego strupa wznosiła się zaczerwieniona opuchlizna. Zdjął z półki słoiczek i posmarował ranę żółtawą maścią o przyjemnym zapachu, potem nałożył świeży opatrunek.

– Paprze się, tak jak myślałem – powiedział. – Zostanie ci ślad. Widzisz, czasem dar jednak się przydaje. To uządlenie zabiłoby normalnego człowieka. – Popatrzył krytycznie na jej wierzchnie odzienie. – Nie masz niczego cieplejszego?

– Tylko płaszcz.

Pokręcił głową i poszedł do drugiej izby. Po chwili wrócił i wręczył jej dwie wyszarzałe, niegdyś czarne sukienne tuniki z długim rękawem, mówiąc:

– Bierz, bo mi tu zamarzniesz.

Skonsternowana dziewczyna wymamrotała podziękowanie. Nieufnie obejrzała obie sztuki odzieży. Lekko pachniały dymem i skrzynią. Były czyste, ale i tak poczuła się dziwnie na myśl, że miałyby je nosić. Emanowała z nich czerń taka sama jak z murów szpitala albo rzeźni. Anavri wcale nie była pewna, czy brudna odzież brzydziłaby ją bardziej. Uświadomiła sobie też, że nigdy nie wyczuwała tak silnej aury na ubraniach czy przedmiotach należących do swojej mistrzyni. Jednakże nie odważyła się nic powiedzieć.

– Jesteś głodna? – zagadnął Brune. Gdy zaprzeczyła, uśmiechnął się. – Więc lekcja będzie najpierw, a kolacja później. Siadaj.

Położył przed nią arkusz pergaminu pokryty elegancko nakreślonymi symbolami.

– Wielki oneiromanta Zabbadi stworzył trzy formuły, za pomocą których można zabezpieczać swoje sny przed intruzami. Są trudne, ale powinnaś je poznać.

Długo i cierpliwie objaśniał jej znaczenie każdego znaku. Następnie wręczył tabliczkę, kredę i polecił najpierw skopiować pierwszą formułę, potem ją zetrzeć. Wreszcie zasłonił pergamin i kazał napisać całość ponownie, z pamięci.

– Już wiem, czym się będziesz zajmować przez najbliższe dni – stwierdził, gdy okazało się, że dziewczyna przy każdej próbie się myli.

Nauczona, że należy zawsze grzecznie jeść to, czym częstują, Anavri przeżyła kolejne zaskoczenie, gdy nadeszła pora kolacji, zwłaszcza że utkwily jej w pamięci narzekania Zazela, jak podle Brune go karmił, gdy mieszkali we dwóch. Miała ochotę śmiać się sama z siebie – ona nie była żarłocznym astralnym stworem, który najchętniej pochłaniał pieczony drób, bitą śmietanę i góry ciastek. Poczuli się najzupełniej szczęśliwi, widząc na stole chleb, bułeczki, ser pleśniowy, jabłka oraz

dobrą kiełbasę, pachnącą jałowcowym dymem. Znalazły się nawet suszone owoce i migdały na deser. A do tego zupełnie przyzwoite czerwone wino.

Brune patrzył na nią – jak sobie uświadomiła – ze skrywanym rozbawieniem. Zaczerwieniła się, gdy przypomniała sobie, że jej mistrzyni potrafi czytać z bliska emocje, więc on pewnie też.

– Masz dokładnie taką samą minę, jak Lorraine, kiedy jeden mój znajomy w Podziemiach poczęstował ją zupą i odkryła, że jej smakuje – stwierdził z wesołym błyskiem w oku, potwierdzając podejrzenia Anavri. Dziewczyna uśmiechnęła się. Znała z pierwszej ręki historię o tym, jak panna Nevers została porażona klątwą kamienienia, wywabiona z domu przez umarłych i spotkała na ulicy Krzyczącego, a ten zabrał ją do lochów rozciągających się pod miastem, ale najwyraźniej kuzynka zachowała niektóre szczegóły dla siebie.

– Z czego była ta zupa? Ze szczurów?

– Z porów.

Anavri parsknęła śmiechem. Nie wiedziała, czy to sprawka wina, czy posiłku, czy ciepła bijącego od pieca, ale humor znacznie się jej poprawił.

– Opowiedz o tych odmieńcach, z którymi kiedyś mieszkałeś – poprosiła.

Gawędzili jeszcze jakiś czas, miło i swobodnie. Gdy jednak nadeszła pora udania się na spoczynek, dziewczyna znów poczuła niepewność, choć ze wszystkich sił starała się tego nie okazać.

Brune zaoferował, że jej odstąpi siennik, ale powiedziała, że woli ławę w kuchni, bo przy piecu cieplej. Dostała baranią skórę do podścielenia i koce.

Tej nocy długo nie mogła usnąć. Leżała, nasłuchując. Wiedziała, że to nie całkiem racjonalne, lecz niepokój był silniejszy od rozsądku.

Formalnie Krzyczący w Ciemności był sprzymierzeńcem Marshii, przyjacielem. Ale tu, sama na jego terenie, Anavri po prostu się bała. Jak Anavri dziewczyna, nie Anavri zmiłka. Miała wpojone od dzieciństwa, że młoda panna nie powinna ufać żadnemu mężczyźnie, który nie jest jej ojcem ani bratem. Dlatego nasłuchiwała, czy nagle nie zaskrzypi podłoga, czy drzwi do kuchni się nie otworzą.

Głupia, on jest magiem – skarciła się w końcu. Gdyby chciał ci zrobić krzywdę, ma do dyspozycji sto sposobów. Przecież mógł

ci podać w jedzeniu albo winie coś, co pozbawia przytomności. Mógł? Więc się uspokój i przestań sobie wyobrażać nie wiadomo co.

Gdy w końcu zasnęła, przyśniły jej się lochy. Kamienne mury, połyskujące od wilgoci. Szła korytarzem oświetlonym przez szklane kule wypełnione fosforyzującą cieczą, mijając dziwne, pokraccze postacie w łachmanach. I czuła się wśród nich bezpiecznie. U siebie.

* * *

Krzyczący w Ciemności nie mógł zasnąć. Wpatrywał się w drewniane belki sufitu, a jego myśli krążyły wokół różnych spraw.

Myślał o chorej Marshii oraz o wyprawie do Ri Talma, której dotąd nie podjął, bo uniemożliwiły mu to okoliczności. Świadomość nierozwiązanej zagadki doskwierała mu jak wbita w palec drzazga.

W jego głowie krążyło też wspomnienie walki z demonem wewnątrz transu. Moment, gdy tamten rozpadł się na chmarę stworków, a potem użądłona Anavri, osuwająca się na ziemię.

Te obrazy budziły w nim niejasny, lecz głęboki niepokój, jakby jakieś wspomnienie usiłowało wydobyć się z mroków amnezji, niczym trup wypływający na powierzchnię bagna.

Brune zatęsknił nagle za słodkim, uspokajającym dymem makowej żywicy. Zatęsknił tak gwałtownie i dojmująco, że zanim zorientował się, co robi, już siadał na posłaniu. Lufka i woreczek leżały w skrzyni, na wyciągnięcie ręki... Opanował się jednak i położył z powrotem, stanowczo odpychając pokusę. Wcześniej poprzysiągł sobie, że nie sięgnie po opium tak długo, dopóki Anavri z nim mieszka.

Pozornie bez związku z czymkolwiek wrócił myślami do tego, jak zobaczył ją po raz pierwszy. Cmentarz, noc, czerwony księżyc zachwiania. Opium, o właśnie – tą drogą pobiegło jego skojarzenie, przecież wtedy akurat je palił, siedząc na nagrobku jej brata.

Nigdy później z nią o tym nie rozmawiał, ale domyślał się, czemu przyszła wtedy na cmentarz sama jedna. Mieszkając w Shan Vaola, słyszał o starym obyczaju nakazującym, by członkowie rodziny odwiedzali groby bliskich w każdą rocznicę śmierci – koniecznie po zapadnięciu zmroku, bo porą duchów jest noc – inaczej zmarły poczuje się urażony i będzie ich nawiedzał, by przypomnieć o należnym mu szacunku. I koniecznie tylko członkowie rodziny,

bo ludzi z zewnątrz duch mógłby urzec, doprowadzić do choroby lub szaleństwa.

Przypomniawszy sobie uczucia, które się w niej wtedy kłębiły. Emocje, które z niej wypłynęły. Smutek, wściekłość, bunt. Nienawiść do srebrnych i do losu. Doprawdy nic dziwnego, że w końcu obudziła się w niej czerń. Czy raczej – wylęła. Jak homunkulus w bani pełnej ingrediencji zmieszanych w odpowiednich proporcjach, ogrzanej ciepłem końskiego nawozu.

I z tą cierpką myślą Krzyczący w końcu zasnął.

* * *

Przybudówka za kuchnią służyła jako zmywalnia. Nie było tam ciepło, delikatnie mówiąc, ale wizja ablucji w jeziorze wyglądała jeszcze mniej zachęcająco.

Brune przyniósł saganek z wrzątkiem, postawił go obok wiadra z zimną wodą i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Anavri poczekała, aż stuknął drzwi w dalszej części domu. Dopiero wtedy zdjęła koszulę, starając się nie urazić ramienia, które pod bandażem nadal było lekko spuchnięte, gorące i obolałe.

Nagle zeszytniała, czując obecność na dworze, tuż za ścianą. Ktoś patrzył przez szparę w okiennicy. Poczuli się kompletnie bezradni.

Cholera... I co ja teraz zrobię?

Potem uświadomiła sobie, że wcale nie wyczuwa człowieka, tylko nieduże, złośliwe coś – i instynkt *ka-ira* zareagował za nią. Pchnięte niewidzialną siłą okiennice trzasnęły o mur. Na zewnątrz rozległ się wrzask i głuchy odgłos uderzenia. Anavri naciągnęła koszulę i podbiegła do okna.

Brzydki, porośnięty czarnym futrem stworek zbierał się z ziemi. Na jej widok bluznął stekiem przekleństw.

Okno pracowni zmija otwarło się, w powietrzu zabłysło sine wyładowanie. Intruz zawył potępieńczo i z dymiącą, nadpaloną sierścią pognął w mrok. Sekundę później Anavri usłyszała odgłos zamykanych okiennic.

Mogłeś mnie przeprosić – pomyślała.

Później, przy śniadaniu, postanowiła bezczelnie zapytać Krzyczącego, skąd pod samym jego domem wziął się nieproszony gość.

– Enklawy można zabezpieczać na różne sposoby – odrzekł, wzruszając ramionami. – Twoja mistrzyni wybrała najszczelniejsze bariery, jakie można postawić, ale kosztem tego, że kiedy ona słabnie lub choruje, zabezpieczenia także słabną, bo wymagają regularnego wzmacniania przez właściciela. Mnie wystarczy, jeśli wiem, że nie przedostanie się tutaj nic, co może mi zrobić krzywdę. Na astralne tałatajstwo można machnąć ręką, dopóki boją się rozrabiać.

Anavri pomyślała, że jest to z jego strony zaskakująca bez troska, żeby nie powiedzieć lekkomyślność. Już otwierała usta, ale ugryzła się w język, zreflektowawszy się, że z nich dwojga to ona nie wie nic o konstruowaniu enklaw i prawie nic o mieszkańcach sfer.

Po posiłku Krzyżący zniknął w czarodziejskim zwierciadle, zapowiedziawszy, że wybiera się na targ. Nie sprecyzował dokąd.

Wrócił po niedługim czasie, zziębnięty i zarumieniony od wiatru. Wyłożył na stół owsiane placki, krążek sera oraz... chłopski serdak z króliczych skórek.

Anavri w duchu wyraziła wdzięczność wobec losu, że Marshia nie widzi tego podarku, ale grzecznie podziękowała. Ku jej uldze serdak był nieużywany; pachniał futrem i zimnym, obcym powietrzem.

Na dworze mżyło, góry tonęły we mgle. Brune zarządził, żeby poćwiczyła pisanie znaków, więc dziewczyna usadowiła się przy piecu z tabliczką oraz pergaminem zawierającym przykłady formuł. Podobało jej się, że ideogramy pisma magów zamykają w sobie sedno czaru, możliwe do wyrażenia w różnych słowach oznaczających to samo – zamiast zapamiętywać inkantację, wystarczyło znać znaki odpowiednie dla danego celu oraz regułę ich rozwinięcia w słowa i zdania. W praktyce korzystanie z nich było jednak piekielnie skomplikowane, w każdym razie Anavri tak to odbierała. Mnóstwo zasad, których nijak nie umiała sobie wbić do głowy. Fakt, że jeszcze niezbyt dobrze posługiwała się mową magów, nie ułatwiał sprawy. Niby znała alkaryjski, ale nie tak, by móc swobodnie w nim czytać trudne księgi, zaś staroalkaryjski, na którym bazowała mowa magów, trochę się odeń różnił. A kiedy biedziła się nad najprostszymi zaklęciami, wcale nie pocieszało jej to, że bardziej skomplikowane czary zawierają tajemnicze wtręty w jeszcze starszych językach albo inne elementy, których sensu nie umiała odgadnąć – powtarzane refreny czy ciągi sylab, brzmiące jak zwykły bełkot.

Brune usiadł obok i przez chwilę przyglądał się jej poczynaniom.

– Nie tak. Nie w tej kolejności. Pozwól. – Wziął od niej tabliczkę, krede i kilkoma zręcznymi pociągnięciami nakreślił całą formułę. Następnie starł ją. – Proszę, powtórz.

– Nigdy nie zapamiętam, jak należy to robić prawidłowo – jęknęła.

– Źle do tego podchodzisz. Próbujesz się uczyć na pamięć, a zasady pisania znaków są właśnie po to, żeby kolejność wynikała sama, starczy wiedzieć, co chcesz osiągnąć zaklęciem. – Rzucił okiem na pergamin. – Napisz mi drugą formułę z Rikali.

Anavri starannie wyrysowała z pamięci pięć znaków czaru pozwalającego oczyścić zatrutą studnię czy strumień. Była pewna, że jest dobrze, ale Brune pokręcił głową.

– Źle. Na drugiej pozycji woda. Na trzeciej skorpion, na czwartej łabędź.

– Wiem – powiedziała zrezygnowanym tonem, już widząc, gdzie się pomyliła.

Rozpraszał ją tym, że usiadł za blisko. Kiedy zdała sobie sprawę, jak bardzo ją to peszy, poczuła złość na samą siebie.

A potem znieruchomiała, bo w jego myślach ujrzała swoją własną twarz. Alabastrowo bladą, o nieskazitelnej urodzie.

Ja przecież tak nie wyglądam.

Podobam ci się... A jednak. Ta świadomość wzbudziła w niej dreszcz.

Krzyczący, znów jakby wyczuwając jej zakłopotanie, wstał.

– Jutro rano ty się wybierzesz na targ – oznajmił, zmieniając temat.

– Dokąd?

– Masz do wyboru kilka miast i osad, przy zwierciadle leży mapa z zaznaczonymi miejscami, do których można się przez nie wybrać. Osobiście polecam ci Ponte Sull, bo tam nie ma obawy, że napatoczysz się na srebrnych. Zrobisz zakupy.

– Jakie?

Roześmiał się.

– Zwykle, chleb i tak dalej. Ale najpierw pokażę ci, jak się podaje zwierciadłu cel podróży.

Przyniósł mapę oraz kartkę z zapisanymi formułami i jakby nigdy nic rzeczowo zaczął objaśniać tajniki funkcjonowania artefaktu. Aż

pomyślała, że może dar i wyobraźnia splątały jej figła.

* * *

Przez uchylone okno napływał wilgotny chłód poranka. Górskie szczyty do połowy niknęły w chmurach. Krzyczący, który właśnie skończył dokładać do pieca, uniósł głowę, gdy dziewczyna weszła do kuchni.

– I co? – zagadnął. – Jak poszło?

Anavri z uśmiechem postawiła torbę na stole i zaczęła z niej wypakowywać zakupy. Brune zauważył, że zadrapanie na jej policzku już prawie się zasklepiło.

– Chleb. Masło. Jajka. Wędzona makrela. – Obok położyła kilka miedzianych monet. – Reszta.

Uniósł brew, licząc pieniądze.

– Przyznaj się, to nie była twoja pierwsza wyprawa między prostych ludzi?

– Nie. – Promieniała zadowoleniem, że go zaskoczyła. – Marshia nieraz wysyłała mnie w przebraniu w różne miejsca, kazała kupować rozmaite rzeczy albo załatwiać dla niej drobne sprawy. Akurat na ten pomysł wpadła przed tobą.

No tak, logiczne. Z ulgą doszedł do wniosku, że Anavri wcale nie jest takim wypieszczonym pieskiem pokojowym, jak się początkowo obawiał. Ciekaw był, czego jeszcze zdążyła się nauczyć pod kuratelą Marshii, a się nie pochwaliła.

– Przygody? – zapytał, kiedy jedli.

– Jakiś dzieciak próbował mnie okraść.

– I?

Wzruszyła ramionami, ostrożnie wyjmując ość z makreli.

– Nie udało mu się.

Popatrzył na nią uważnie.

– Ostrożnie z używaniem czarów przy ludziach. Nigdy nie wiesz, kto może się znajdować w pobliżu.

Skinęła głową, przyjmując upomnienie.

– Handlarze w tym Ponte Sull okropnie oszukują – podjęła. – Mażą rybom skrzela krwią, żeby wyglądały na świeższe. Nadmuchują mięso, a do śmietany dosypują mąkę, żeby była gęstsza. To... dość

upiorne, wyczuwać takie rzeczy. – Zawahała się. – Ty też tak masz?

– A jak sądzisz? Dar nie tylko daje ci zmysły maga, ale też wyostrza te zwykłe, węch przede wszystkim. Przy odrobinie wysiłku, spotkawszy pijaka, byłabyś w stanie określić po zapachu, jakie trunki w siebie wlał. – Widząc pełną niesmaku minę dziewczyny, westchnął. – Żartowałem.

Anavri postanowiła zmienić temat, żeby znowu nie wyjść na pozbawioną poczucia humoru królową.

– Mag ma jeszcze inne dodatkowe zmysły poza wewnętrznym wzrokiem?

– Nie, to raczej na wewnętrzny wzrok składa się kilka zmysłów. Zobacz: możesz widzieć aury, słyszeć cudze myśli, wyczuwać cierpienie, siłę życiową, emocje...

Dziewczyna zamyśliła się. Faktycznie mogłaby powiedzieć, że od czasu przemiany każdy z jej zmysłów odbiera dodatkowy zestaw bodźców: oczy nauczyły się widzieć inaczej, uszy – inaczej słyszeć... Ale te nowe wrażenia były zbyt dziwne i niejednoznaczne, żeby dało się je sprowadzić do tak prostego opisu. Choć zarazem intuicyjnie zawsze wiedziała, co jej mówią.

Choćby ten kupiony poprzedniego dnia serdak, jego aura. Anavri nie potrafiła zdefiniować, czy ją widzi, czy wyczuwa węchem, czy może odbiera wrażenia przez skórę, jak ciepło czy zimno. Mimo to umiała stwierdzić, że te skórki dawno temu były czymś żywym (skupiwszy się, potrafiłaby przywołać z powrotem najłżejsze echo małych króliczych doznań: trawa, liście mleczka, siano, ciemno, chrupać), oraz że serdaka nikt przed nią nie nosił.

Albo... Brune. Dla zwykłych ludzi jego blizny były po prostu trzema szramami, jak od noża. Dopiero widziane wzrokiem maga budziły dreszcz. Emanowały czernią niby rozkopany, zbezczeszczony grób.

Kiedy przywoływał moc, jego aura naprawdę przypominała krzyk. Anavri pamiętała, że na samym początku, po przemianie, gdy bardzo silnie odbierała wszelkie wrażenia związane z darem, z trudem wytrzymywała w jego towarzystwie. Nie chciała wiedzieć, co zadało te rany. Co zostawiło taki ślad.

– Herbaty? – zagadnął. Dopiero teraz zorientowała się, że on już skończył jeść, a ona siedzi z kawałkiem chleba w ręku, gapiąc się w przestrzeń.

– Poproszę. Jaką lekcję dziś planujesz? – zapytała, żeby pokryć zmieszanie.

– Przywoływanie wiatru. – Uśmiechnął się do niej. – To powinno ci się spodobać.

* * *

W enklawie Krzyczącego, podobnie jak w enklawie Marshii, nie widywało się słońca, ale niebo wyglądało inaczej, bardziej ziemsko. Świt rozlewał się po nim jak rumieniec; później przybierało mleczny wygląd, jakby zasnutego mgiełką. Zachód ponownie malował je kolorami. Anavri lubiła siadywać na przyzbie i patrzeć na odbijające się w jeziorze barwy. Te same co na ziemi, lecz o łagodniejszych tonach, akwarelowo rozmyte.

Była w dobrym nastroju, jak zawsze, ilekroć udawało jej się opanować jakiś nowy czar, który nie wymagał nadmiernego rozbudzania w sobie czerni. Aby przeprowadzić lekcję, Brune zabrał ją na ziemię, na pustą, trawiastą równinę gdzieś daleko na zachodzie, w Ariskenie. Cudownie było czuć zmysłami maga prądy powietrza i wzory, w jakie się układały – od podmuchów wiatru nisko nad ziemią po płynące wysoko obłoki.

Zdała sobie sprawę, że chyba spodoba jej się to dziksze, swobodniejsze życie, poza klatką konwenansów. Bardzo szybko przyzwyczała się do domowej codzienności tutaj, a obecność Krzyczącego nie przyprawiała jej już o paraliżujące speszenie. Coś ukłuło ją w sercu, kiedy uświadomiła sobie, że naprawdę zaczyna go lubić... jak brata.

Wracał właśnie znad wody, w koszuli i spodniach, z mokrymi włosami. Nie po raz pierwszy pozazdrościła mu odporności na zimno. Potem zreflektowała się, że dzięki darowi i tak jest bardziej zahartowana niż kiedyś – dawna panienska Vaneisen pewnie szybko dostałaby tutaj kataru. A już z całą pewnością nie zaryzykowałaby przebywania na dworze wczesnym wieczorem, kiedy pojawia się rosa.

– Nie przeziębisz się, królewno? – rzucił żartobliwie Brune, jakby czytając jej w myślach.

– I kto to mówi?

Zaśmiał się, wchodząc do chaty. Po chwili wrócił ciepiej ubrany,

usiadł obok dziewczyny i też zapatrzył się na jezioro. Anavri z rozbawieniem pomyślała, jaką minę mieliby wszyscy wysoko urodzeni nudziarze, którzy ją znali w Shan Vaola – krewni, znajomi, potencjalni narzeczeni – gdyby mogli ją teraz zobaczyć.

– O czym myślisz? – zagadnął Brune.

– O tym, że to niesamowite móc w ciągu chwili wyruszyć stąd w tyle miejsc – skłamała. – Podróżujesz czasami ot tak, dla przyjemności?

– Oczywiście. Kiedy Marshia wyzdrowieje, zabiorę cię tu i ówdzie.

– Najpiękniejsze miejsce na świecie to chyba Wyspy Śpiewu – powiedziała w zadumie Anavri, patrząc na dogasającą zorzę.

– O? – zdziwił się Krzyczący. – Nie mów, że tam byłeś?

– Jak najbardziej. – Roześmiała się, widząc jego zaskoczenie. – Kiedy miałam dziesięć lat, popłynęliśmy tam całą rodziną na zaproszenie gubernatora. Moja matka już wtedy chorowała na płuca, a medycy twierdzili, że ciepły klimat jej pomoże.

– I co? Dobrze wspominasz tę podróż?

– Pewnie! – Uśmiechnęła się łobuzersko. – To była przygoda!

Ogarnęły ją wspomnienia. Cudownie niebieskie niebo, fale w tym samym odcieniu. Fabien wspinający się razem z marynarzami po rejach. Sympatyczny pierwszy oficer, który pokazał dwójce szlachetnie urodzonych dzieci, jak działa busola i jak się czyta mapy. Był zaskoczony, że dziewczynka chwyta wszystko równie szybko jak brat.

Smagli wyspiarze, noszący powłóczyste szaty i mówiący niezwykłym, brzękliwym językiem. Słodkie egzotyczne owoce, dziwne rośliny i zwierzęta. Ale przede wszystkim morze – turkusowe, wspaniałe, ciepłe. Wielkie fale, które rozbijały się na piasku nawet w pogodne dni.

W Shan Vaola w czasie letnich upałów jeździło się powozem na plażę położoną z dala od miasta, na terenie należącym do Vaneisenów. Służąca rozkładała parawanik, żeby pani z córeczką mogły się przebrać. Anavri od najmłodszych lat wiedziała, jak przyjemnie wbiega się w fale, które przylepiają koszulę do ciała, a czasem grożą zwaleniem z nóg. Ale dopiero podczas tamtej podróży na południe nauczyła się pływać.

– To na Wyspach Śpiewu po raz pierwszy spotkaliśmy Marshię –

dodała. – Była wtedy zaufaną towarzyszką gubernatora i nazywała się inaczej.

Skinął głową.

– Marilyce d’Auvil. Wiem.

Anavri znów cofnęła się myślami o tych kilka lat. Uśmiechnęła się, wspominając, jak zbierała kolorowe muszle i nie zauważyła, że zaplątał się wśród nich małż z zawartością, który potem zaśmierdł.

Targowisko, które nawet oglądane tylko z daleka wydawało się fascynujące, pełne obcych przedmiotów i zapachów... Śniade, prawie nagie dzieci, zdziwione, że można mieć taką jasną skórę... Przypomniała sobie, jak im wtedy zazdrościła, że urodziły się w tym rajskim miejscu, gdzie nie muszą nosić sukienek i bucików, odrabiać lekcji i przestrzegać etykiety.

– Chciałabym tam kiedyś wrócić – szepnęła na poły do siebie. Krzyczący spojrział na nią z uśmiechem.

– To dałoby się zorganizować.

– Ale mówiłeś, że zwierciadło...

– Nie przez zwierciadło. Trzeba byłoby wytyczyć portal. Nie stąd, z jakiegoś innego miejsca, żeby nie zostawiać śladu prowadzącego tutaj. Odległość jest spora, ale przy odpowiednim układzie gwiazd wszystko da się zrobić. – Klasnął w ręce. – Tablice astronomiczne mam, pożyczę od Marshii globus niebieski, wyznaczy się datę i trasę...

– Ten wielki, pozłacany? Nie pożyczysz ci.

– A założymy się?

Widząc entuzjazm, z jakim zaczął planować hipotetyczną wyprawę, Anavri chcąc nie chcąc również musiała się uśmiechnąć. Potem jednak spoważniała, tknięta podejrzeniem, że Krzyczący próbuje jej po raz kolejny dać do zrozumienia, ile korzyści można mieć z czarnej mocy.

Zapomnij o tym, na bogów. Wolalabym być biedną chłopką, bosą i niepiśmienną, niż zmijką podróżującą po całym świecie.

Rozglądając się od niechcienia, nagle zmartwiała.

– Brune!

– Aha?

– Idzie do nas kurza łapa!

– Że co?

– Kurza łapa!

Popatrzył w kierunku, który wskazywała, i też znieruchomiał.

Kurza łapa, wysoka na co najmniej półtora sążnia, wyłoniła się zza kosodrzewiny i niespiesznie szła w ich stronę. Poruszała się krótkimi podskokami, bez trudu balansując na nierównym, kamienistym podłożu. U podnóża pagórka zatrzymała się i obróciła. Anavri nie mogła się oprzeć wrażeniu, że dziwadło tęsknie spogląda w kierunku chaty.

– Co to? – wyjąkała.

– Jakaś odmiana dusiołka, jak przypuszczam.

– Ładny mi dusiołek!

– To nie jest groźne – uspokoił ją. – Gdyby było, nie zdołałoby się tu przedostać.

Ale minę miał, jak zauważyła, niepewną.

Patrzyli, jak intruz powoli się oddala, skacząc brzegiem jeziora.

– Zaraz dotrze do granicy enklawy – powiedział z ulgą Krzyczący. I tak się stało. Ujrzeli tylko migot, drganie powietrza – i kurza łapa zniknęła.

* * *

Z nastaniem zmroku wiatr się wzmógł. Świstał i zawodził w kominie.

Po kolacji Brune i Anavri zostali w kuchni, grzejąc się przy piecu. Żmij, który jeszcze przed historią z pojedynkiem upolował w antykwariacie zniszczony wilgocią, niemal nieczytelny pergamin z zaklęciami, starannie kopiował go teraz na świeży arkusz. Dziewczyna, znużona uczeniem się znaków, odłożyła tabliczkę, wyczarowała małą kulę światła i ćwiczyła wysyłanie jej w różne zakątki pomieszczenia.

Przepalona szczapa rozpadła się na kawałki. Anavri dołożyła do ognia. Jej czarodziejskie światełko unosiło się wokół okna, jakby miało ochotę umknąć na zewnątrz.

– Jak można pokonać demona? – spytała ni stąd, ni zowąd.

– Dobre pytanie – odrzekł Brune. – Zależy, z jakim masz do czynienia.

– Człowiek jest zawsze słabszy, prawda?

– Wcale nie. Mnóstwo ostatnich demonów nie dorównuje mocą choćby średnio wyszkolonemu magowi. Poza tym na ziemi istnieją sposoby na mieszkańców Otchłani. Prawa, które rządzą naszym

światem, zostały ustalone przez bogów, a bogowie zadbali o to, żeby nawet zwykły śmiertelnik nie był bezbronny wobec przybyszy z innych światów. Dlatego niektóre demony można zranić stałą, inne odegnąć ogniem, a jeszcze inne boją się wody, soli albo krwi.

– Czy sposoby, o których mówisz, działają też w sferach?

– Kiedyś działały. Teraz... zależy, w którym dominium. Część sfer faktycznie podlega już władzy Otchłani, są tam miejsca, gdzie ziemską magia nie działa w ogóle.

Czarodziejskie światełko myszkowało wśród gruszek leżących na parapecie. Anavri przywołała je i zgasiła ruchem dłoni.

– Sądzisz, że ten, kto próbował nas zaatakować, spróbuje znowu? – spytała.

– Nie można tego wykluczyć. – Brune odłożył gęsie pióro do naczynka z czarnym atramentem i sięgnął po drugie, tkwiące w naczynku z czerwonym. Nakreślił znak, krzywiąc się, bo na karcie wylądował mały kleks.

– Myślisz, że gdyby doszło do walki, bylibyśmy w stanie się obronić, teraz, kiedy Marshia jest tak słaba?

– Tłumaczyłem ci już, że w Otchłani to nie siła decyduje o wygranej, lecz sojusze i wspólne interesy. Wśród zgrai, która się zgromadziła wtedy na wyspie, są tacy, co daliby nam tego drania na srebrnym półmisku, gdyby tylko uznali, że na tym skorzystają. – Uśmiechnął się złośliwie. – Ten pojedynek zaskarbił twojej mistrzyni kilku możliwych przyjaciół, niechętnych Dolinie Światła. Niewykluczone, że prędzej czy później skorzystamy z ich pomocy.

Anavri skinęła głową, po czym zamilkła na chwilę. Uniosła dłoń, sprawiając, że światełko znów ożyło i wzbiło się w powietrze, żeby zatańczyć pod belkami sufitu.

– Brune? – odezwała się z wahaniem.

– Tak?

– Czarna moc karmi się cierpieniem od czasu Skażenia, prawda? Spoważniał, odłożył pióro.

– To uproszczenie – odparł powoli. – Jeśli wnikliwie poczytasz starsze traktaty o podstawach sztuki magicznej, zobaczysz, że sprawa nie jest tak jednoznaczna. Czerń zawsze czerpała siłę z emocji, więc również z cierpienia, strachu i bólu. Argil d'Engle, Ludvig Stenn i inni autorzy piszą, że Skażenie zmieniło jedynie... jakby to ująć...

proporcje. Kiedyś oprócz siły życiowej mogliśmy się karmić wszystkimi emocjami, jakie istnieją, a teraz... już tylko cierpieniem.

Anavri w zadumie skinęła głową. Sprawiała, że światełko na chwilę zawisło nad głową Krzyczącego; umknęło jednak, gdy ten bezwiednie machnął ręką, jakby opędzając się od muchy.

– Skoro klątwy z czasem wygasają, myślisz, że i ta Marshii kiedyś wygaśnie?

– Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie nawet demony tego nie wiedzą. – Brune krytycznie przyjrzał się kopiowanej formule i uderzył się dłonią w czoło. – Psiakrew, zagadałaś mnie i mało brakowało, a zepsułbym całą kartę.

Przekreślił ostatni znak i wznowił pisanie. Pióro cicho skrzypiało po pergaminie. Anavri, przewidując, że próby kontynuowania rozmowy nie będą mile widziane, zgasła czarodziejskie światełko i zapatrzyła się w okno. Mimo mroku wyraźnie widziała dwa dusiołki myszkujące pod krzewami kosodrzewiny.

Znajomy, gorzki smutek znów chwycił ją za gardło, gdy pomyślała, że dwieście lat wcześniej wszystko wyglądałoby inaczej. Ona i Brune nie byłiby przestępcami. Fabien nie zostałby stracony.

Dlaczego? Dlaczego ja? Dlaczego my? W myślach zadała to pytanie po raz tysięczny, dobrze wiedząc, że nigdy nie otrzyma na nie odpowiedzi.

9. Czarne i czarniejsze

Marshia Lavallo, która w normalnych warunkach trzymała służbę oraz uczennice żelazną ręką, przyzwyczajona do bezwzględnego posłuchu, fatalnie znosiła obłożną chorobę. Gdy po kilku dniach zawieszenia między snem a jawą definitywnie wróciła do przytomności, nie trwało długo, nim cały dom odczuł skutki jej podłego nastroju.

Ranek był wilgotny, nieprzyjemny. Niebo enklawy przybrało jednolicie szarą barwę. Zazel jak zwykle powitał Krzyczącego w drzwiach willi. Marudnie streścił sytuację, następnie zaś skorzystał z okazji i czmychnął do ogrodu. Brune początkowo był skłonny uważać, że chowaniec przesadza, ale idąc na górę, już na schodach usłyszał podniesiony głos Marshii, która bez litości kogoś rugała; pulchną służącą, jak się okazało. Kiedy zmij wszedł do sypialni, odprawiła ją ruchem ręki. Dziewczyna wybiegła z pokoju roztrzęsiona, z trudem powstrzymując łzy. Brune już się szykował, by to gniewnie skomentować, lecz gdy spojrzenie Marshii spoczęło na nim, zrozumiał, że jest następny w kolejce.

– Dlaczego uznaliście za stosowne wyprawić stąd Anavri? – spytała ostro.

W kilku zdaniach streścił całą historię. Marshia, wsparta na poduszkach, słuchała z coraz bardziej sceptyczną miną, splótłszy ręce na piersi. Miała wypieki, jak zauważył, a jej oczy błyszczały niezdrowo. Gorączkowała, lecz jeśli źle się czuła, starannie ukrywała ten fakt.

– Dlaczego, jeśli wolno spytać, założyliście, że temu demonowi chodziło o mnie? – spytała, gdy skończył.

– Czy to nie logiczne?

– Logiczne! – Popatrzyła na niego z politowaniem. – Dotąd zdawało mi się, że pod tym dachem tylko Lorraine jest jasnowidzem. Rozmawialiście z Anavri, mój przedsiębiorczy i szybko działający młodszy bracie? Pytaliście ją, czego ten intruz od niej chciał? Może

przepisu na pierniczki?

– Wtedy czepiłby się raczej kucharki – mruknął Krzyczący, lecz próbował żartować jedynie dla fasonu. Tknęło go, że złośliwości złośliwościami, ale może rzeczywiście należało dziewczynę dokładniej wypytać o przebieg zdarzeń.

– Opowiedz mi w szczegółach, co widziałeś na własne oczy – poleciła Marshia. – Żadnych domysłów, żadnego zgadywania.

Wziął głęboki oddech.

– Wszedłem do sypialni i zobaczyłem, że Anavri jest nieprzytomna, w transie. W pokoju cuchnęło. Położyłem jej rękę na czole i to wystarczyło, żebym mógł przeniknąć tam, gdzie się znajdował jej duch.

– Ktoś albo nie umiał zadbać, żeby ci się to nie udało, albo rozmyślnie nie zadbał – zauważyła Marshia. Jej oczy się zwały, uważnie łowiła każde słowo. – Co ujrzalesz?

– Znalazłem się w jaskini. Było ciemno. Zobaczyłem Anavri przywiązaną do słupa oraz istotę w stroju błazna. – Brune zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć całą scenę. – Miał ciało człowieka i głowę owada, jeśli się nie mylę, czy innego poczwarnego stwora. Trzymał coś w ręku...

– Co konkretnie?

– Nie wiem. – Pokręcił głową, sfrustrowany. – Nie przyjrzałem się, to były sekundy. Zaatakował mnie...

– Jak?

– Zielonym ogniem. Którymś z tych ichnich otchłaniowych czarów. Zablokowałem to i przysmażyłem sukinsyna, a wtedy rozpadł się na mnóstwo dziwaczych stworków. Część uciekła, inne rzuciły się na Anavri. Jeden ją użądlił. Sekundę później tamto miejsce zniknęło i znaleźliśmy się z powrotem tutaj.

Marshia skwitowała jego relację kiwnięciem głowy i nieokreślonym mruknięciem. Wyglądała na zaszępioną. Krzyczący zląkł się, że sprawa jest jeszcze poważniejsza, niż przypuszczał.

– Co o tym sądzisz? – spytał, gdy milczenie się przedłużało.

– Ja? Nic. Chciałabym poznać wersję Anavri. Z twoich słów niewiele da się wywnioskować prócz faktu, że ktoś wolał uciec, niż podjąć z tobą walkę. Wygląd napastnika mógłby stanowić wskazówkę, gdyby dotrzeć z rysopisem do odpowiednich osób, ale to szukanie igły

w stogu siana. – Odchyliła się do tyłu i przyknęła oczy.

– Daj rękę, muszę ci zmierzyć puls – poprosił Brune.

Tak jak podejrzewał, miała gorączkę. Wyjął z torby kasetkę z fiolkami, znalazł na stoliku czysty pucharek i nalał doń wina. Marshia ułożyła się wygodniej, okryła kołdrą.

– Widzę, że bardzo ochoczo pospieszyłeś się z zaoferowaniem Anavri gościny – stwierdziła najsłodszy z swych jadowitych tonów.

– Postanowiłeś skorzystać z okazji, gdy tylko się nadarzyła? Co, pokojówki nie są w twoim typie?

Brune, nie spiesząc się, rozmieszał w winie łyżeczkę proszku i zakorkował fiolkę.

– Starsza siostró – powiedział chłodno – rozumiem, że źle się czujesz, ale naprawdę nie musisz odreagowywać na mnie, do tego w tak prymitywny sposób.

Marshia zacisnęła usta. Pomyślał, że celnie trafił. I dobrze. Chora czy nie, nie zamierzał pozwalać, żeby traktowała go jak błoto. Wręczył jej pucharek.

– Co to? – spytała nieufnie.

– Yadhmarska kora. Nie podoba mi się, że gorączkujesz.

Wypiła, krzywiąc się. Po ostatnim łyku osunęła się na poduszki. Widział, że zagryza wargi, żeby powstrzymać mdłości. Wypłukał pucharek, nalał doń trochę wody i podał jej. Upiła łyczek, by zmyć intensywnie gorzki smak lekarstwa.

– A mnie się nie podoba, że Anavri przebywa u ciebie – podjęła już normalnym, niezaczepnym tonem. – Między innymi ze względu na jej ojca. Mam wobec niego pewne... zobowiązania, tak to nazwijmy.

– Wybraliśmy takie wyjście, jakie uznaliśmy za najrozsądniejsze.

– Nie wątpię. – Milczała chwilę z nieodgadnioną miną. – No cóż, przyślij tu jutro pannę Vaneisen. Chcę z nią pomówić.

– Przyślę. A ty powiedz, jak mogę się skontaktować z Heskerim.

– Po co? – Marshia wsparła się na łokciach.

– Zapytam go o rysopis naszego nieproszzonego gościa. Chyba że uważasz to za zły pomysł?

– Zapytać możesz – odrzekła po namyśle. – Choć wątpię, by zgodził się udzielić informacji za darmo. Był mi winien przysługę, ale wyświadczył ją, zgadzając się sędziować w pojedynku.

– Mimo wszystko spróbuję, jeśli sądzisz, że można mu ufać.

– Ufać? – Marshia roześmiała się; śmiech przeszedł w kaszel. – Agentowi Doliny Machin? Chyba żartujesz. Ale jest szansa, że powie coś użytecznego, jeśli mu zaoferujesz dostatecznie kuszącą zapłatę.

– Rozumiem.

– Dam ci formułę pozwalającą porozmawiać z nim przez zwierciadło. Pertraktuj na własną odpowiedzialność, bez powoływania się na mnie. – Zakaszlała ponownie, zaczerpnęła tchu. – I oczywiście ani słowa o moim zdrowiu. Jeśli zapyta, powiedz, że wróciłam już do pełni sił.

– Dobrze. – Brune przezornie zachował dla siebie refleksję, że to kłamstwo może w praktyce mieć bardzo krótkie nogi. Uznał, iż w rozmowie z sylfem roztropniej będzie przemilczeć temat.

* * *

Zakładając rano jedną z pożyczonych tunik, Anavri mimochodem uświadomiła sobie, że czarna aura tych ubrań już jej nie przeszkadza. Nie tyle przestała być wyczuwalna, co już nie raziła, jak monotonny zgiełk, do którego człowiek z czasem się przyzwyczaja.

Po śniadaniu Brune oznajmił, że wybiera się do Marshii i prędko się nie zjawi, po czym wysłał dziewczynę nad jezioro z listą ćwiczeń medytacyjnych. Anavri rozłożyła koc na trawie, usiadła na nim i posłusznie zabrała się do ich wykonywania. Mniej więcej po kwadransie doszła do wniosku, że liczenie oddechów i marznięcie w bezruchu to jedno z bardziej bezsensownych zajęć, z jakimi kiedykolwiek miała do czynienia. Nabrała podejrzeń, że Brune chciał jej po prostu wypełnić czas, a zabrakło mu lepszego pomysłu; uznała, że równie dobrze może się zająć czymś przyjemniejszym.

Wróciła do chaty, by odnieść koc. Tak jak się spodziewała, Krzyczącego już tam nie było. Oparła się pokusie, żeby pod jego nieobecność wybrać się przez zwierciadło w jakieś ładne miejsce; zamiast tego postanowiła pozwiedzać enklawę.

Zerwał się wiatr i dał silnymi porywami, lecz Anavri lubiła taką pogodę. Jakiś czas brodziła w potoku, przyglądając się dziwnym kolorowym tworom, które w nim rosły, a później ruszyła na spacer wzdłuż jeziora. Odkryła, że żyją w nim najzwyczajniejsze ziemskie pstrągi, które można karmić chlebem. Wypatrzyła kołującego w oddali

orła, ale żadnych więcej żywych stworzeń nie zauważyła. W końcu położyła się na dużym głazie i zapatrzyła na sunące po niebie chmury. Ocknęła się dopiero, kiedy zorientowała się, że żmij ją woła.

– Ktoś tu nie lubi medytować – stwierdził od niechcienia, gdy przybiegła. Zaczerwieniła się, ale Brune machnął ręką. – Też nigdy nie lubiłem. Następnym razem zadam ci ćwiczenia na kondycję dla szermierzy.

Anavri speszyła się jeszcze bardziej. Miała nadzieję, że to tylko żart.

Gdy weszła do kuchni, ze zdziwieniem ujrzała, że na stole siedzi Zazel. Jak to on, zdążył się już dobrać do orzechów w woreczku. Kruszył je zębami, śmiejąc przy tym niemiłosiernie. Na jej widok wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Jak się masz? Może orzeszka?

– Zazel, zlituj się, nie rób mi tu chlewu. – Brune zabrał chowańcowi orzechy, ignorując gwałtowny protest, a łupiny zgarnął i wsypał do pieca. – Na minutę nie można cię spuścić z oka, przeklęty żarłoku. Wina chcesz?

– Pewnie.

Żmij postawił na stole butelkę i trzy kubki oraz chleb i ser pleśniowy. Gdy usiedli i nalał wszystkim wina, zapadła cisza. Anavri poczuła się obserwowana.

– Co tak patrzycie? – Odruchowo dotknęła wygojonego już zadrapania na twarzy.

Zazel popatrzył na Krzyczącego, Krzyczący na Zazela. Żmij odchrząknął.

– Anavri, musimy porozmawiać o tej... przygodzie z demonem.

– Czego on tak w zasadzie od ciebie chciał? – wyrwał się chowaniec.

Zaniemówiła. Pytanie w pierwszej chwili wydało jej się absurdalne. A potem uświadomiła sobie, że nie umie na nie odpowiedzieć.

– Nie wiem – odparła po pauzie.

– Mówił coś? Cokolwiek? – zapytał rzeczowo Brune.

– Nie pamiętam – wyjąkała.

– Skup się. Spokojnie, nigdzie się nam nie spieszy.

– Nie pamiętam – powtórzyła bezradnie.

Dotąd starała się nie wracać myślami do przerażającego zdarzenia, zaś teraz zdała sobie sprawę, że w pamięci pozostały jej tylko

pojedyncze obrazy. Jaskinia, demon o głowie owada wyłaniający się z ciemności, a później rozpadający się na chmurę stworków... Pamiętała swój paralizujący strach i bezsilność, lecz na tym koniec. Zarazem dręczyło ją wrażenie, że nie jest w stanie przywołać z powrotem czegoś ważnego.

Brune odstawił kubek i podszedł do niej.

– Zamknij oczy. Odpręż się – polecił, lecz wtedy chowaniec podskoczył i zatupał.

– Żadnych takich! Zostaw ją! Oszalałeś?!

– No co? – obruszył się Krzyczący.

– To, że nawet nie próbuj! Idiota!

– O co chodzi? – wystraszyła się dziewczyna. Żmij westchnął.

– Zazel cuduje. Jestem dosyć dobry w czytaniu myśli. Mógłbym ostrożnie zajrzeć ci do głowy, istnieje szansa, że zobaczyłbym, co się wydarzyło, niezależnie od tego, czy masz kłopoty z pamięcią pod wpływem szoku, czy może nasz owadzi przyjaciel rzucił na ciebie czar zapomnienia.

– Rzecz w tym, że przez rok czy dwa po przemianie każdy młody *ka-ira* ma silne mechanizmy obronne – wmieszał się chowaniec. – Gdy dar sądzi, że jesteś w niebezpieczeństwie, reaguje szybciej, niż zdążysz o tym pomyśleć. Dlatego ten mądrała nie będzie ci grzebał we wspomnieniach! Po moim trupie! Jeszcze tego brakuje, żebyś go instynktownie zaatakowała!

– Mechanizmy obronne?! – nie wytrzymała Anavri. – Doprawdy? W takim razie czemu nie zadziałały, kiedy ten skurwiel mnie schwytał?!

Krzyczący popatrzył na Zazela, Zazel na Krzyczącego. Żmij wzruszył ramionami.

– Może z tego samego powodu, dla którego miałaś problemy z nauczeniem się walki. Blokady mają to do siebie, że lubią się ujawniać w nieodpowiednich momentach.

Oblała się rumieńcem i zamrugła, żeby odpędzić łzy. Brune chyba zauważył, że była o włos od płaczu, bo zrobił gest, jakby chciał ją pogłaskać po włosach, a może objąć. Zrezygnował jednak i sięgnął po kubek z winem.

– No cóż, spróbuję przeprowadzić na własną rękę małe śledztwo – oświadczył, zmieniając temat. Zazel wytrzeszczył ślepią.

– W Otchłani?!

– Tam, gdzie będzie trzeba.

– Jeśli zabierzesz się do tego z taką samą finezją, jaką pokazałeś przed chwilą, to życzę powodzenia – mruknął chowaniec. Mamrocząc coś jeszcze, dokroił sobie sera, po czym zamilkł, żując ponuro.

Brune rozlał do kubków resztkę wina i zwrócił się do dziewczyny:

– Marshia chce cię widzieć jutro z rana.

Skinęła głową, pochmurniejąc.

– A na dzisiejsze popołudnie mam dla ciebie misję – podjął z uśmiechem. – Stały klient z Kang jest mi winien sto pięćdziesiąt leri, odbierzesz je. Ja muszę wrócić do enklawy Marshii.

– Po co? – zdziwił się chowaniec. – Sam mówiłeś, że teraz najbardziej potrzebuje spokoju i odpoczynku.

– A czy powiedziałem, że zamierzam ją niepokoić? Chcę przeprowadzić krótką rozmowę z jej pracowni, to wszystko.

– Pozwoliła ci?

Brune spokojnie dopił wino.

– Zazel – powiedział z westchnieniem – powinieneś już zdawać sobie sprawę, że w niektórych sytuacjach niewiedza jest błogosławionym i pożądanym stanem.

* * *

Kang, położone najdalej na południe spośród pięciu dużych miast nad Zatoką Snów, było zupełnie inne niż Shan Vaola i Tay. Bielone domy o kopulastych dachach i malowanych na niebiesko okiennicach; wąziutkie uliczki, którymi nie przejechałby żaden wóz; bramy, w których sklepikarze wykładali i rozwieszali wszelkiego rodzaju towary, od haftowanej odzieży po wyroby garncarskie. Anavri rozglądała się ciekawie, chłonąc atmosferę.

Musiła przyznać, że styl życia jej nauczyciela posiada swoisty, szalony urok. Kupić ser na jarmarku w górskiej wiosce, alkaryjskie wino u właściciela winnicy w Alkarze; jeden stały klient w Kang, drugi w Ponte Sull, trzeci jeszcze gdzie indziej...

Mieszkańcy Półwyspu Kangijskiego, choć mówili po talmeńsku, smagłością cery, strojem i obyczajami bardziej przypominali Yadhmarczyków. Nosili powłóczyście szaty, kobiety obwieszały się

bizuterią, niektóre osłaniały głowy chustami na południową modłę. W ciżbie na szczęście trafiali się też ludzie o jasnej skórze; było ich wystarczająco wielu, by Anavri nie rzucała się w oczy. Za radą Krzyczącego skryła się za iluzją, udając chłopca. Przed wyruszeniem dostała zabawną wyszywaną czapkę oraz granatową kamizelkę obszytą czerwoną taśmą – Brune miał w skrzyni trochę akcesoriów z różnych stron świata, właśnie na takie okoliczności. Widząc krzątających się wokół wyłożonego towaru czeladników kupieckich w takich samych czapkach i kamizelkach, schludnych koszulach i ciemnych spodniach, uspokoiła się do reszty.

Brune napisał jej na kartce szczegółowe wskazówki, narysował nawet mapkę, ale i tak dość długo szukała właściwego adresu. Bała się pytać miejscowych o drogę, żeby nie zwracać na siebie uwagi. W końcu stanęła przed sklepikiem z kilimami i trzy razy upewniła się, że to właściwe miejsce. Drugi sklep od wylotu uliczki, na następnym domu widniał szyld balwierza, zaś kawałek dalej zaułek zamykała stara świątynia, nie wiedzieć którego bóstwa, z dzwonem podwieszonym pod kopułką. Wszystko się zgadzało.

Dziewczyna ostrożnie pchnęła drzwi, na których czerwoną farbą wymalowany był kot, zgodnie z tutejszym zabobonem przynoszący szczęście mieszkańcom. Drgnęła, gdy zawieszony pod nadprożem dzwonek donośnie obwieścił jej obecność. Rudy kocur, który drzemał na stercie poskładanych kilimów, zeskoczył i uciekł na zaplecze. Anavri wsunęła się do chłodnego, ciemnego, pachnącego wełną wnętrza. Grzecznie ukloniła się starszemu człowiekowi w niebieskiej szacie, który na jej widok odstawił filiżankę z napojem.

– Alchemik Zachos przysyła mnie po należność za żabi proszek – powiedziała nieśmiało, mając nadzieję, że sklepikarz nie wzruszy ramionami i nie każe jej zmykać gdzie pieprz rośnie. Mężczyzna zacmokał.

– Proszę, proszę. Nie wspominał mi, że się dorobił ucznia. – Czarne oczy objęły ją taksującym spojrzeniem. – Ile masz lat, chłopcze?

Anavri wyczuła jego obleśne myśli i ogarnął ją zimny gniew.

Znowu próba?...

Zwalczyła impuls, żeby przywołać moc i popatrzeć mężczyźnie w twarz jarzącymi się źrenicami. Pamiętała podstawową zasadę – nie ujawniać się, gdy nie jest to bezwzględnie konieczne.

– Dwadzieścia – odrzekła zamiast tego, siląc się na obojętny ton. – I mam odebrać sto pięćdziesiąt leri.

Sklepiarz patrzył na nią z namysłem. Czuła, że obracał w ustach jakąś sprośność, lecz ostatecznie nic nie rzekł. Odniosła wrażenie, że zraziła go informacja, iż nie ma do czynienia z nastolatkiem. Z wolna sięgnął w zanadrze i wręczył jej sakieweczkę.

– Muszę przeliczyć, przepraszam – zastrzegła Anavri. Kiwnął głową z kwaśną miną. Na szczęście okazało się, że kwota jest w porządku. Pożegnawszy się, dziewczyna pospiesznie opuściła sklepik, pełna niesmaku i smutku, że Brune handluje z takimi ludźmi.

Ponieważ miała czas, postanowiła jeszcze chwilę pokręcić się po mieście i kupić na targu coś smacznego na poprawę humoru. Sakiewkę ze złotem przezornie włożyła do wewnętrznej, zapinanej kieszeni w kamizelce, a na podorędziu zatrzymała kilka miedziaków, które zabrała właśnie z myślą, że nabędzie sobie jakiś drobiazg.

Już trochę lepiej orientowała się w plątaninie zaułków i wiedziała, w którą stronę musi pójść, żeby dotrzeć do głównego placu targowego. Jednak w którymś momencie pomyliła przecznice i nagle odkryła, że idzie uliczką, gdzie nie ma sklepów, a budynki są wyższe niż gdzie indziej, szare i ponure, prawie pozbawione okien. Zauważyła tylko jedne drzwi, skryte w podcieniu; metalowy szyld w kształcie dwóch splecionych węży powiedział jej, że w budynku mieści się szpital. Uznała, że pozostałe to prawdopodobnie przytułki albo manufaktury, gdzie pracują ubodzy.

Nie chciała zawracać, bojąc się, że do reszty straci orientację. Oceniała, że następny zakręt w lewo powinien ją wyprowadzić na gwarną ulicę wiodącą wprost na targ. Minęła zgarbionego staruszka, który wolno przesuwiał miotłą po ziemi, i skręciła za róg.

Wkroczywszy na oświetlony słońcem placyk, stanęła jak wryta. Aura bólu i męki uderzyła ją z porażającą siłą.

Pośrodku placyku wznosiło się niskie drewniane rusztowanie. Przywiązany doń człowiek nie żył od kilku dni, sądząc po stanie zwłok, wzdętych i sinych, a mimo to trup emanował czernią tak silnie, że dziewczynie zrobiło się mdło na samą myśl o tym, jak ten ktoś musiał cierpieć przed śmiercią.

Wokół stało kilkoro gapiów – obdarci chłopcy, dwóch mężczyzn

o wyglądzie marynarzy, kobieta z dzieckiem na biodrze... Dalej, za bramą jednego z okalających placów domów, widać było ulicę, gdzie przewalał się tłum.

Anavri z jakąś chorą fascynacją wróciła wzrokiem do zamęczonego skazańca. Twarz była nierozpoznawalna pod warstwą zakrzepłej krwi; oczy wyłupiono. Ubranie i skóra częściowo wisiały w spalonych strzępach.

– Przeklęta – powiedział jeden z marynarzy do drugiego. Dziewczyna zeszywniała z przerażenia, nim się zorientowała, że mężczyzna wskazuje zwłoki. – Morderczyni, ze dwudziestu ludzi pono zabiła czarami.

Dopiero teraz, przyjrawszy się dokładniej, Anavri zorientowała się, że patrzy na trupa kobiety. Dostrzegła też przybitą na rusztowaniu deskę, na której wymalowany był biały pentagram i nabity na ostrze włóczni czarny wąż.

Przełknęła z trudem ślinę, modląc się, by nie zwymiotować. Cofnęła się pod mur i rozejrzała się w panice, pewna, że jej zachowanie lada chwila wzbudzi podejrzenia, ale nikt na nią nie patrzył. Gdy nieco ochłonęła, odeszła pospiesznie. Modliła się tylko o jedno – by nigdzie w pobliżu nie znajdowali się śludzy Elity.

Zwierciadło było portalem umożliwiającym wyprawy w wiele miejsc, ale chcąc dostać się z powrotem do enklawy, należało się zdematerializować, wizualizując sobie brzeg jeziora. Anavri wiedziała, że portal pozostaje nie do wytropienia, gdy podróżuje się nim tylko w jedną stronę, oraz że echo dematerializacji zanika po kilku sekundach. W teorii. Lecz strach przed srebrnymi magami, dotąd mglisty, teraz niemal odbierał jej zdolność rozsądnego myślenia. Przekonawszy się naocznie, że są realnym, a nie tylko hipotetycznym zagrożeniem, poczuła się boleśnie odsłonięta, niedoświadczona i słaba.

Gwar i tłok targowiska wzmogły jej niepokój – bała się, że w chaosie głosów i nakładających się aur nie wyczuje w porę niebezpieczeństwa. Zboczyła w zaułek, zbiegła po jednych, potem drugich schodkach, by dostać się na bulwar, który o tej porze też kipiał życiem. Popisywali się tu zonglerzy i grajkowie, a obdarte dzieciaki przemykały wśród przechodniów, wypatrując, kogo by pozbawić sakiewki.

Anavri przeszła po drewnianym moście na lewy brzeg rzeki, gdzie

domy i sklepiki wyglądały biedniej. Naciągnęła kaptur na twarz i przygarbiła się. Wyszukała śmierzący zaułek, w którym mieściły się rzeźnia i garbarnia – zgodnie z tym, co mówił Krzyczący, najbezpieczniejsze były miejsca, gdzie kręciło się dużo prostych ludzi, zapracowanych i mało spostrzegawczych, najlepiej w dodatku brudne i odstręczające. Osłoniwszy się niewidzialnością, przeszła przez dziurę w parkanie garbarni, i wstrzymując oddech, wkroczyła między kadzie pełne moczących się skór. Robotnicy nie zwracali na nią uwagi. Upewniwszy się raz jeszcze, że nie wyczuwa wokół niczego niepokojącego, zdematerializowała się.

* * *

Punktualnie o czwartej po południu Brune stanął przed najmniejszym zwierciadłem w laboratorium Marshii i odczytał formułę z pergaminu, który dała mu rano.

Tafla ożyła błękitnymi płomieniami. Gdy zgasły, zmij zaniemówił.

Jego oczom ukazało się pomieszczenie będące skrzyżowaniem eleganckiej sypialni ze świątynią zbrodniczego kultu. Naprzeciwko łoża z baldachimem znajdował się ołtarz z posążkiem skrzydlatego bożka o wielu rękach, oświetlony przez kilkanaście świec. W naczyniu u stóp figury wiło się coś częściowo zwęglonego, od czego Brune czym prędzej odwrócił wzrok, zaś na obitych niebieskim jedwabiem ścianach zamiast obrazów wisiały głowy potępieńców. Żywe, mrugające i wykrzywające niemo usta.

Heskeri siedział w fotelu, okryty pudermantlem. Dwie nagusieńkie dziewczyny – sukuby, poprawił się w myślach Krzyczący, widząc, że obie mają różki oraz długie, wijące się ogony – zajmowały się nim. Jedna czesała mu włosy, druga masowała stopy. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu skrępowany tym, że zastano go w dezabilu.

– Jakże się miewa Marshia? – zapytał, gdy wymienili powitalne grzeczności.

– Dobrze – odrzekł wymijająco Brune.

– Doszła już do siebie? Nie kontaktowała się ze mną od czasu pojedynku.

– Widać nie było takiej potrzeby.

– Rozmawiasz przez jej zwierciadło – zauważył chytrze Heskeri.

– Rozmawiam. Jakiś problem? Razi to twoje poczucie przyzwoitości?

Sukuba z grzebieniem zachichotała. Sylf uszczypnął ją w udo.

– Czego chcesz? – zapytał rzeczowo.

– Drobiazgu. Chciałbym ci przedstawić rysopis pewnej osoby i zapytać, czy ją znasz.

– A proszę bardzo. – Heskeri przechylił się w przód. Wyglądał na zainteresowanego.

– Demon, który pojawia się w stroju błazna i z głową owada, a zaatakowany, rozpada się na chmurę jadowitych stworków. Był obecny na wyspie w czasie pojedynku, choć przypuszczam, że pod inną postacią. Mówi ci to coś?

Sylf nie odpowiedział od razu. Szepnął coś sukubie masującej mu stopy; wstała z gracją i odeszła, kołysząc biodrami.

– Zajmujesz się alchemią, prawda? – zagadnął.

– Zgadza się.

Sukuba wróciła, niosąc złoty pucharek z dymiącą zawartością, który wręczyła Heskeriemu. Ten, przymknąwszy oczy, upił łyk, chuchnął i uśmiechnął się chytrze.

– Moja pamięć, drogi magu, szwankuje. Myślę, że fioleczka eliksiru Trespinusa mogłaby ją skutecznie wspomóc.

– Do czego sylfowi eliksir Trespinusa?

– Do czego człowiekowi informacje, o które mnie prosisz?

– Punkt dla ciebie – powiedział Brune po chwili milczenia. – Ale ja ci nie przygotuję tego świństwa. Nie mam z czego, gdzie ani jak.

Heskeri pokręcił głową i napił się z pucharka. Z zadowoleniem przeżuł jakiś składnik dymiącego napoju. Coś wyglądającego jak maleńki, półprzezroczysty homunkulus przelazło przez brzeg naczynia, spadło i przykleiło się do pudermantla.

– Nie ma eliksiru, nie ma informacji.

– Rozumiem. – Żmij wrzucił ramionami. – W porządku. Dzięki za jasne postawienie sprawy.

Ta sukuba, która zajmowała się czesaniem, szczupła, o alabastrowym ciele, puściła do niego oko. Brune złapał się na tym, że kontempluje jej wdzięki, choć było to nad wyraz nieprofesjonalne z jego strony.

Heskeri poklepał ją po pośladkach i uśmiechnął się wyrozumiale.

– Gdybyś zmienił zdanie, w Chereon, w ósmym dominium astralnym jest karczma, nazywa się „Pod Wisielcem”. W każdą pełnię księżyca sędziuję tam w walkach dusiołków. A teraz do widzenia. Jestem zajęty.

* * *

Zmierzchało. Skulona na kamieniu nad wodą, Anavri płakała bezgłośnie.

W latach po śmierci matki, kiedy Fabien jeszcze żył, nauczyła się dusić płacz w sobie, płakać bez dźwięku, samymi tylko łzami. Nie chciała wiecznie być szlochającą małą dziewczynką, pocieszaną przez ojca i brata.

Wytarła nos chusteczką, wzdrygnęła się, roztarła ramiona. O tej porze nawet króliczy serdak nie chronił przed chłodem, ale nie miała ochoty pokazywać się Krzyczącemu. Nie chciała, żeby znów stał się świadkiem jej słabości.

Poznała go już na tyle, by wiedzieć, że Brune jest mistrzem dyskretnego trzymania się na dystans, więc liczyła, że pozwoli jej pobyc samej, nie wnikając, co się dzieje. Najwyraźniej jednak dłuższa nieobecność dziewczyny go zaniepokoiła, bo drzwi chaty się uchyliły. Krzyczący zszedł po zbocz, zatrzymał się w pewnej odległości.

– Anavri?

Zignorowała go. Odczekawszy chwilę, wrócił do chaty, zamykając za sobą drzwi. Ale po niedługim czasie pojawił się znowu. Podeszedł i kucnął obok dziewczyny.

– Chodź pod dach, po co masz tu marznąć – powiedział cicho.

Poddała się i wróciła z nim, milcząc.

Zaraz za drzwiami w sieni stała niecka pełna umytych, suszących się szklanych naczyń. W kuchni pachniało goździkami i kwaskową słodyczą. Brune rozlał parującą zawartość garnczka do dwóch kubków i podsunął jeden dziewczynie, udając, że nie widzi śladów łez na jej twarzy.

– Masz, napij się na rozgrzewkę.

– Co to takiego?

– Alkaryjski miód, trójniak, z przyprawami.

Anavri otarła oczy i nieufnie upiła łyżeczek ciemnozłotego płynu.

Trunek był cierpkawo-słodki, z palącą nutą korzeni. Krzyczący usiadł naprzeciwko, obracając w dłoniach kubek.

– Teraz mi powiesz, co cię trapi? – spytał łagodnie.

Zamrugła, znów czując napływające do oczu łzy. Najłatwiej byłoby zbyć pytanie milczeniem, ale Brune patrzył na nią z troską, która sprawiła, że dziewczynie przypomnieli się ojciec i Fabien.

Opowiedziała mu w skrócie, co widziała w Kang. Kiwnął głową, pochmurniejąc.

– Zdarza się – powiedział. – Przykro mi, że trafiłaś na coś takiego. Srebrni bardzo rzadko wystawiają zwłoki na widok publiczny.

– To była wielokrotna morderczyni – przypomniła cicho. – Tak mówili ludzie...

– Albo srebrni skazali ją pod takim zarzutem. Nie bądź naiwna, Anavri.

Milczeli dłuższą chwilę. Dziewczyna napiła się miodu, przełykając z trudem, walcząc ze szlochem. Przypomniały jej się sny, które nawiedzały ją w pierwszych miesiącach po tym, jak stała się *ka-ira*. Srebrni magowie szturmujący enklawę Marshii, zabijający mieszkańców. Przebieg zdarzeń bywał rozmaity – czasem Anavri podejmowała rozpaczliwą walkę, czasem zostawała obezwładniona na samym początku i mogła jedynie obserwować ciąg dalszy. Zakończenie za każdym razem było takie samo.

Oczyścimy cię, kaleka owco... Czasem palili ją żywcem, czasem oblewali witriolem. A potem zabierali, by dokończyć dzieła w Domu Godnego Odejścia.

– Po co wy mnie szkolicie? – spytała zaczepnie. – Po co sobie zadajecie tyle trudu, żeby mnie kształcić w czymś, co...

– Bo tak każe prawo magów, przecież wiesz. Ja bym to nazwał honorowym zobowiązaniem.

– Ale przecież tak czy owak czeka mnie albo śmierć z rąk srebrnych, albo szaleństwo.

Brune spoglądał na nią, nic nie mówiąc. Nie skarcił ostro, jak Marshia. Po prostu patrzył. Anavri dała za wygraną i upiła kolejny łyk miodu.

– Jak długo będę się musiała uczyć? – spytała ciszej.

Wzruszył ramionami.

– Od ciebie zależy, jak szybko opanujesz podstawy. Zaklęcia tworzy

się według kilkunastu kluczy. Proste można improwizować, jak wiesz. Kilkadziesiąt dobrych formuł, które opracowali inni, powinnaś znać na pamięć, i wiedzieć, w których księgach znajdziesz kolejnych kilkaset, żeby nie wywazać otwartych drzwi, próbując wymyślać je sama. Magia teleportacyjna jest trochę trudniejsza...

– Trochę?

– Musisz znać mapy nieba, mapy sfer i zasady otwierania portali. Nieważne, nie w tym rzecz. Wojownik albo koncertujący muzyk muszą ćwiczyć regularnie od młodego wieku. Mag jest bardziej jak malarz, poeta czy kompozytor. Kiedy raz opanujesz warsztat, możesz go potem doskonalić, poszerzać, ale już prostymi środkami da się dużo uzyskać.

– Tyle nauki – mruknęła z goryczą Anavri. – Tyle pracy. I po co to wszystko? Żebym została przestępcą. Ty pracujesz dla przestępców. Warzysz trucizny, eliksiry niewidzialności dla złodziei... Albo lecznicze proszki dla chorych na brzydkie choroby, jak ten zboczeniec z Kang... Och, nic nie mów. Wstręt mnie bierze, wiesz?

Brune odwrócił wzrok, obracając kubek w rękę.

– Są różne sposoby na życie – powiedział po chwili milczenia. – Istnieje mnóstwo miejsc, gdzie sprytny mag może się przycziąć pod fałszywą tożsamością. Dwory i wioski zagubione na pustkowiu... albo na odwrót, wielka polityka. Nasza Marshia latami była zaufaną towarzyszką gubernatora na Wyspach Śpiewu, wyjechała stamtąd dopiero po jego śmierci. Dopóki rządził, żyła w luksusie, szanowana, i z tego co wiem, nikt nigdy nie poznał jej tajemnicy.

Kim zostałaby Fabien – przemknęło dziewczynie przez głowę – gdyby go nie zabili? Odepchnęła tę myśl.

Krzyczący otworzył drzwiczki pieca, żeby dołożyć do ognia. Anavri dopiero teraz zauważyła na jego dłoniach czerwone plamy oparzeń, posmarowane maścią.

– Co ci się stało?

– Nic takiego. Czasem przy pracy warto zakładać rękawice.

– Kiedyś zrobisz sobie krzywdę – mruknęła.

– Złego licha nie bierze – odparł, śmiejąc się. Anavri odnotowała, że rękaw jego wytartej tuniki wzbogacił się o parę wypalonych dziur.

Po raz kolejny ukłuła ją myśl, że przecież czarny dar musiał zniszczyć mu życie. Brune nigdy nie wspominał o tym, kim był, zanim stał się zmijem, ale jego wykształcenie, maniery, niektóre

przyzwyczajenia, a nawet wygląd mówiły same za siebie. Szlachecka krew.

Upadłeś tak nisko... i zachowujesz się, jakbyś tego nie dostrzegał. Co musi spotkać człowieka, aby przestał się przejmować rzeczami, które są ważne dla normalnych ludzi?

Czy mnie też za jakiś czas będzie wszystko jedno?

Znów pomyślała o trędowatych, których czasem można było zobaczyć na wiejskich drogach. W żółtych kapturach zasłaniających zniekształcone twarze, poruszali się o kulach, z kołatkami, którymi ostrzegali zdrowych. W wioskach litościwi ludzie wystawiali dla nich miski z jedzeniem za opłótkami, jak psom. Nigdy nie potrafiła pojąć, jak można tak żyć, ale oni żyli, bardziej upodleni od zwierząt.

Wiedziała, z jakim oburzeniem Marshia i Brune zaprzeczyliby, że czarny dar to nie choroba. Dla Anavri, prawdę mówiąc, różnica nie była duża. Coś mrocznego i obcego zagnieździło się w jej umyśle, naznaczyło ją świecącymi źrenicami, a pewnego dnia obróci się przeciwko niej i ją pożre. O ile srebrni nie dopadną jej wcześniej.

– Nienawidzę daru – szepnęła. – Dlaczego ja? Dlaczego...?

Brune nic nie rzekł, może nie chcąc odpowiadać truizmami. Anavri wbiła wzrok w podłogę. Miód rozluźnił ją; już nie czuła w gardle dławiącej kuli, a jedynie pustkę i otepienie.

– Dlaczego każecie mi z tym żyć? – spytała. Brune westchnął.

– Lekarz ma obowiązek udzielić pomocy chorym, jeśli jest w stanie, matka wychować dziecko, a my mamy obowiązek się tobą zająć, młodsza siostrzyczko. Dar to dar, darów Zmroczy się nie odrzuca. Nie wątpię, że już to słyszałaś od Marshii.

– Ale jaki w tym, do cholery, sens? – Popatrzyła na niego zaczepnie.

– Karmimy się cierpieniem, nasz talent jest skażony, przeklęty, tak? Srebrni nas likwidują tak, jak likwiduje się wściekłe psy. Może mają rację?

Brune odstawił kubek.

– Zazel opowiadał ci, w jaki sposób czarna magia uległa skażeniu i kiedy do tego doszło?

– Opowiadał – przyznała. – Ale co to ma...

– Spuścizna bogów. Stulecia... nie, tysiąclecia wiedzy. Przekreśliłabyś to wszystko, bo demon rzucił klątwę?

– Ta klątwa spowodowała, że kilkudziesięciu czarnych magów

oszałało i zaczęło mordować niewinnych ludzi – przypomniała cicho.

– W ciągu paru lat od jej rzucenia, Anavri. Nikt tak naprawdę nie wie, w jakim stopniu jej skutki nadal się utrzymują. Czerpiemy siłę z cierpienia, owszem, i nie potrafimy uzdrawiać, ale reszta... Dar magiczny sam z siebie stwarza pewne niewielkie zagrożenie chorobami umysłu, zawsze tak było i dotyczy to nie tylko czerni, srebra też. Porządne szkolenie pozwala zminimalizować ryzyko. Teraz popatrz: zniszczono czarną szkołę. Od stu kilkudziesięciu lat rodzą się talenty, nawet jeśli cudem uda im się przetrwać, mają utrudniony dostęp do wiedzy. Kto rozstrzygnie, ile nowych przypadków szaleństwa jest skutkiem oddziaływania klątwy, a ile wynika z kiepskiego szkolenia czy jego braku?

– Więc tylko kiepsko wyszkoleni popadają w szaleństwo? – spytała ironicznie. – Jesteś pewien?

– Uwierz mi, naprawdę nie należy wierzyć w to, co Elita i wysługujący się im uczeni wypisują w paszkwilach na nasz temat – odparł ze znużeniem. – Popatrz na Marshię. Jest dużo, dużo starsza, niż wygląda, i nie wygląda na to, żeby dar zaszkodził jej w jakikolwiek sposób, prawda?

– Ale srebrni...

– Srebrni to srebrni – mruknął cierpko Brune. Łyknął miodu. – Naucz się wreszcie czytać między wierszami, dziewczyno. Twój guwerner, czy kogo tam miałaś, uczył cię historii? Orientujesz się choć z grubsza, jak wyglądało tło tych wydarzeń sprzed półtora wieku? Za wszystkim stała polityka, jak zawsze. Sprawdź, w ilu państwach srebrni posiadali już wcześniej silne wpływy, w ilu zyskali je dopiero po Skażeniu... A potem wyrzucić z pamięci wszystko, co głosi Elita na temat zagrożeń związanych z czernią. Chyba że planujesz w najbliższym czasie oszaleć i rozpętać mi w enklawie wichurę stulecia. Albo zadźgać Zazela pilniczkiem do paznokci.

– Bardzo śmieszne – syknęła. – Wiesz, mógłbyś ze mnie teraz nie żartować.

– Przepraszam – zmitygował się. – Wybacz.

Zrobił ruch, jakby chciał ją pogłodzić po włosach, ale przypomniał sobie, że ma wysmarowane ręce, więc jedynie objął ją ramieniem. Pachniał dymem, tłustą maścią oraz ciepłym, żywym człowiekiem. Dziewczyna uświadomiła sobie, że przyjemnie jest siedzieć tak blisko

niego, i momentalnie się spieszyła. Odsunęłaby się, ale było jej głupio. Brune (wyczuł coś? nie wyczuł?) wypuścił ją z objęć i dolał sobie miodu.

– No cóż, jeśli brak lepszego leku, zawsze można spróbować trunku, jak mawia jeden mój przyjaciel, szczurołap – powiedział lekkim tonem, unosząc kubek. – Zdrowie.

Teraz Anavri miała ochotę wstać i wyjść.

Rynszokowiec. Zrobiło jej się jeszcze bardziej wstyd.

A także, w głębi serca, odrobinę żal.

10. Ciekawe wieści

W środku nocy obudził go jakiś dźwięk, a może tylko przeczucie, że coś się dzieje. Przytomniejąc w okamgnieniu, Brune usiadł na posłaniu. Najpierw pomyślał, że to znowu dusiołek broi w piwnicy. Potem przypomniał sobie, że po incydencie z podglądaniem dziewczyny obłożył chatę dodatkowymi zaklęciami.

Włożył buty i w pierwszej kolejności poszedł do kuchni. Anavri na jego widok poderwała się z ławy, blada, roztrzęsiona.

– Próbował mnie znów dopaść – wykrztusiła. – Ten... w stroju błazna!

– Kiedy, jakim cudem?!

– Przed chwilą!

– Nie ma takiej możliwości, dziewczyno. Nie mógł się tutaj przedostać, pojmujesz? Nie przy aktywnych zabezpieczeniach i nie wtedy, kiedy ja tu jestem.

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

– Pojawił się w moim śnie – szepnęła. – Tak jak poprzednio. Uciekłam mu i zbudziłam się... ale wiem, że on tam czeka. W mojej głowie. – Z jej gardła wyrwał się zdławiony szloch. – Co ja mam zrobić, Brune? Noszę go w sobie... opętał mnie... tak jak piszą w gry... grymuarach... – Rozpląkała się już jawnie, kryjąc twarz w dłoniach.

Krzyczący, niewiele myśląc, zgarnął koce z ławy.

– Chodź – polecił.

Anavri posłusznie weszła za nim do sypialni, przysiadła na sienniku. Siąknęła nosem, otarła łzy wierzchem dłoni. Miarą jej przestrachu było to, że nie wyczuł zakłopotania.

– Śpij tutaj. Chyba że mnie boisz się bardziej niż swoich snów.

– Ja... – Teraz jednak się spieszyła. Brune przeklął się w duchu za to, że przy niej zawsze żartuje nie w porę.

– No dobrze, wiem, że podręczniki dobrych manier nie przewidują takiej sytuacji – powiedział, usiłując pokryć uśmiechem zmieszanie. – Jeśli coś rzeczywiście straszy w twojej głowie, muszę na własne oczy

zobaczyć, co to jest. Dlatego chcę, żebyś się uspokoiła i spróbowała z powrotem zasnąć, a ja zajrzę do twojego snu.

Miał bardzo prozaiczny powód, kazać jej w trakcie tego eksperymentu leżeć na sienniku, a nie na ławie – istniało małe, ale realne prawdopodobieństwo, że jeśli Anavri rzeczywiście nękana jest przez obcą obecność, a we śnie wywiąże się walka, to dziewczyna może dostać ataku epileptycznego. Ale nie chciał jej tego mówić, żeby się nie przestraszyła jeszcze bardziej.

– Nie chcę. Nie chcę go znowu spotkać – zaprotestowała. Choć przecież umiał wyczuwać kłamstwa, teraz nie potrafił poznać, czy bardziej paraliżuje ją autentyczny strach przed demonem, czy skrępowanie dobrze wychowanej panny.

– Nic ci się nie stanie. Obiecuję. Połóż się, Anavri.

Dziewczyna po dłuższej chwili wahania zwinęła się na sienniku. Była napięta jak struna, dygotała.

– Spróbuj się odprężyć – powiedział Brune, starając się, by zabrzmiało to jak najłagodniej. – No, zamknij oczy.

Starannie okrył ją kocem. Ponieważ nadal drżała na całym ciele, użył daru, żeby ją wyciszyć, zabrać jej strach, a w zamian zesłać ciepłą senność, jak miękką, otulającą przędzę. Potrwało to chwilę, ale w końcu Anavri się rozluźniła, zamknęła oczy. Brune czekał cierpliwie, aż zacznie oddychać wolno i równo. Gdy wyczuł, że dziewczyna zasypia, położył rękę na jej czole, zamknął oczy i skupił się.

Po chwili już stał w jej śnie. W mrocznej jaskini z rusztowaniami. Wyjął sztylet i przemienił go w rapier. Rozejrzał się czujnie, lecz wokół było pusto. Ani śladu panny Vaneisen.

Coś zaszeleściło, zaklekotało. Z mroku powoli wyłonił się czarny, pokręcony, wielonożny kształt, zwierzęco-owadzi. W łapach trzymał białawy przedmiot, w którym Krzyczący rozpoznał symbiotyczną maskę.

Widok przyprawił go o dreszcz; z głębi umysłu wypłynęło stare, niewyraźne wspomnienie.

Dziewczyna o jasnych włosach przyciska ręce do ust, sparaliżowana strachem. Mężczyzna w barwnym kaftanie rozcapierza palce, zakończone szponami...

Blizny na policzku zamrowiły bólem, a Krzyczący, otrzeźwiony,

opanował się.

– Chcesz mieć ze mną do czynienia, skurwielu? – zapytał spokojnie.

Potwór cofnął się niepewnie. Brune mocniej ujął rapier.

Był gotów walczyć, lecz tknęło go, że to nie jest rozwiązanie. Nie znajdował się we własnym śnie i to nie on powinien stawić czoła wrogowi.

Rozejrzał się – i teraz zobaczył Anavri. Wisiała przywiązana do belki jednego z rusztowań, ze skrępowanymi rękoma i nogami. Nie była zakneblowana, lecz po jej przerażonej minie i panicznych ruchach głową poznał, że nie mogła wydać głosu.

– Przełam to! – krzyknął. – Walcz!

Czuł, jak Anavri usiłuje za wszelką cenę zapanować nad rzeczywistością koszmaru – zerwać pęta, krzyknąć, przebudzić się. Zrobić cokolwiek. I nagle więzy rozpadły się, zmieniły w pył, a jego uczennica spłynęła ku ziemi, rozkładając ręce niby skrzydła. Jej włosy uniosły się, zafalowały, zamigotały od pełzających błękitnych iskier.

Ciemna postać cofnęła się i jakby zmaląła. Twarz dziewczyny wykrzywił grymas, zmrużone oczy załśniły niebieskawym światłem.

– Jak śmiesz nawiedzać moje sny? – zasyczała. – Ty gnoju, ty plugawcze, ty mrówczy pomociu...

Z każdą kolejną obelgą wydawała się nabierać sił. Cienie zgęstniały wokół niej; czarna moc przybrała widzialną postać, otulając dziewczynę niczym płaszcz. Zimny podmuch wzbil kurz, rusztowania niebezpiecznie zatrzeszczały. Anavri wyciągnęła dłoń; wokół palców zaiskrzyły wyładowania, formując się w kulę siniego ognia. Brune zaśmiał się w duchu. Wreszcie zaczynała pokazywać, na co ją stać. Lepiej późno niż wcale.

Wróg uniósł się groźnie, zaklekotał zuwaczkami, lecz pocisk z sykiem sięgnął celu, a sekundę później powietrze przeciął drugi. Zaskwierczało, zadymiło, zaśmierdziało siarką i palonym rogiem. Stwór cofnął się, a potem umknął w ciemność. Uciekł.

– Udało się – powiedziała dziewczyna słabym głosem. – Przepędziłam go...

– To nie był on – sprostował Brune. Było mu przykro, że musi powiedzieć prawdę, ale nie widział innego wyjścia. Okłamywanie w takich sprawach nie prowadziło do niczego dobrego.

– Jak to?!

– Masz problem ze strachem, Anavri. To nie pierwszy koszmar, jaki ci się przyśnił, odkąd stałaś się *ka-ira*, prawda?

Powoli, z wahaniem skinęła głową.

– Rzeczy, których się boisz, ale o których nie chcesz mówić, wracają w snach. Tym razem to nie demon do ciebie przyszedł, tylko twój własny lęk. Chodź. Wracamy.

Siłą woli sprawił, że rzeczywistość koszmaru rozviała się. Sekundę później znaleźli się z powrotem w sypialni. Anavri, zakłopotana, odsunęła się od Krzyczącego, wbiła wzrok w podłogę.

– Przepraszam – szepnęła.

Zawahał się, nie wiedząc, co powiedzieć. Rozumiał już, dlaczego tak fatalnie dogadywały się z Marshią. Anavri była delikatna. Podatna na obawy, na lęki, na zadრęczanie się złymi myślami. Nie tchórzliwa, nie słaba, ale podejrzewał, że Marshii nie robiło to różnicy. Czarnowłosa żmijka, sama zrównowazona, pragmatyczna i lodowato twarda, nie odróżniała delikatności od słabości, a lęku od tchórzostwa. Zaś bunt dziewczyny wobec skażonego daru przesądzał sprawę – Marshia musiała to uważać za szczyt głupoty. Brune zdał sobie sprawę, że dogłębnie współczuje pannie Vaneisen.

– Jesteś silna, kiedy się postarasz – powiedział. – Widzisz, wystarczy chcieć.

– Wiesz, co myślę na ten temat – wymamrotała.

– Znowu zaczynasz? – Machnął ręką. Nie chciał jej teraz prawić morałów. – Pogadamy kiedy indziej. Kładź się i śpij.

Anavri zawahała się, zbита z tropu. Gdy Brune zrozumiał rozterkę dziewczyny, nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Teraz, gdy już było wiadomo, że nie grozi jej niebezpieczeństwo, oczywiście powinna czym prędzej wrócić na własne posłanie w drugim pomieszczeniu. Sęk w tym, że – jak wyczuwał – wcale nie miała ochoty się przenosić do ciemnej kuchni i próbować tam zasnąć sama. I wcale się nie dziwił.

– Tam albo tutaj, jak wolisz – uściślił, wzruszając ramionami.

Sytuacja może i była niezręczna, ale w jego odczuciu nie aż tak bardzo – szeroki siennik, oddzielne koce, oni oboje w dziennych ubraniach. Darował sobie komentarz, że naprawdę, ale to naprawdę nie jest zainteresowany dziewczyną, która nie jest zainteresowana nim.

– Zostanę tu, jeśli nie masz nic przeciwko – wyjąkała, wbijając

spojrzenie w podłogę.

– Nie mam.

Trochę później, gdy już zasypiał, nagle usłyszał jej szept.

– Brune?

– Mhm?

– Miał maskę w ręku.

– Co takiego? – Oprzytomniał w okamgnieniu. – O czym ty mówisz?

– Przypomniałam sobie. Wtedy, kiedy po raz pierwszy mnie uwięził we śnie, trzymał symbiotyczną maskę, tak samo jak teraz.

Brune zamknął oczy, usiłując znów odtworzyć tamten moment na sekundę przed tym, jak wróg cisnął w niego zielonymi płomieniami.

– Ja nie pamiętam, nie zdążyłem się przyjrzeć – powiedział po dłuższej chwili. – Jesteś pewna?

– Tak.

– Powiedz o tym jutro Marshii. Albo nie, sam jej powiem.

– Myślisz, że to ważne?

– Nie wiem. – Przypomniał sobie skaleczenie na twarzy dziewczyny. Dręczyło go irytujące poczucie, że przegapił coś kluczowego. Jego własne blizny zaswędziały; potarł je dłonią. – Prosiła, żeby jej powtórzyć każdy szczegół, jaki sobie przypomnisz. A teraz śpij.

* * *

Nie raz i nie dwa razy karcony za wścibstwo, Zazel w duchu uważał, że jest po prostu czujny. Jak na porządnego chowańca przystało.

Truchtając korytarzem, usłyszał strzępy rozmowy dolatujące z pokoju pani. Gdy poznał głos Anavri, cofnął się bez namysłu i wpełzł pod stolik z wielką porcelanową wazą, skąd mógł podsłuchiwać, przycisnąwszy ucho do ściany.

– Nie będziesz zmieniać mistrzów jak rękawiczki, moja droga – usłyszał Marshię. Mówiła chłodno, nie kryjąc niechęci. – Albo jutro wracasz tutaj, albo zostajesz z nim.

– Zostaję z nim – odrzekła spokojnie Anavri.

– Przemyślałaś to? Chcesz zostać już na stałe jego uczennicą?

– Tak, jeśli mam wybór, to owszem.

Marshia wybuchnęła kryształowo dźwięcznym śmiechem, zabarwionym starannie odmierzoną domieszką pobłażliwości i pogardy.

– Co, znalazł się mężczyzna chętny do zaoferowania opieki, więc trzeba łapać okazję? Anavri, nie musisz się tak spieszyć, z twoim pochodzeniem i urodą mogłabyś mierzyć wyżej. Sądziłam, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Jeśli będę kiedyś potrzebowała bogatego sponsora, wymierzę stosownie do potrzeb – odcięła się dziewczyna ku zaskoczeniu chowańca. – Skoro już muszę się uczyć Zakazanej Sztuki, chcę, żeby to Brune mnie uczył.

– Oczywiście. Nazywaj to, jak sobie chcesz. – Ton Marshii wprost ociekał słodkim jadem. – W porządku. Ty zostajesz u niego, wszystkie suknie i inne rzeczy, których teraz nie potrzebujesz, zostają na razie u mnie, później uzgodnimy szczegóły. A teraz idź już. Jestem zmęczona.

Zazel przezornie przywarował w kryjówce. Usłyszał skrzypnięcie drzwi, potem stukot obcasów. Odczekał, aż dziewczyna odejdzie kawałek, wylazł spod stolika i pobiegł za nią.

Spodziewał się, że będzie z trudem powstrzymywała łzy, lecz czekało go zaskoczenie. Anavri zaciskała usta, lodowato wściekła.

– Jestem dorosła, Zazel – rzuciła, widząc go. – Mam dwadzieścia lat. A ona nie jest moją matką. Niech się... – Uczyniła dłonią wymowny gest. Chowaniec dyplomatycznie zachował milczenie.

– Wiem, że podsłuchiwałaś – podjęła dziewczyna spokojniej. – Wyczułam cię za ścianą, paskudo. Uważaj z wtykaniem nosa w cudze sprawy, żebyś sobie kiedyś nie osmalił wąsów.

– Myślę, że podjęłaś słuszną decyzję – powiedział Zazel.

Zaśmiała się krótko.

– Jedyłą rozsądną. I myślę, że ona też świetnie o tym wie.

Gdy chwilę później chowaniec udał się do swojej pani, żeby sprawdzić, czy ta czegoś nie potrzebuje, Marshia miała minę, jakby napiła się octu.

– No cóż, jedno nie ulega wątpliwości – powiedziała. – Brune wyszkoli ją lepiej niż ja. I tylko dlatego zgadzam się na ten układ. Co do całej reszty, stworze, umyвам ręce. Rozumiesz?

Zazel z powagą skinął głową.

* * *

Smród śmietniska dławi, wyciska łyzy z oczu. Ramię mężczyzny zaciska się mocniej. Już wiem, co stanie się za chwilę. Ostatkiem sił szamocę się, lecz jest dużo silniejszy.

Nie, proszę...

Ostrze rozcina mi szyję.

Krztuszę się krwią, bezskutecznie próbując zaczerpnąć tchu. I już wiem, że to koniec.

Lorraine otworzyła oczy, oddychając ciężko. Rozejrzała się nieprzytomnie po obrośniętej kapryfolium altanie, gdzie jak każdego popołudnia zaszyła się z książką.

Nienawidziła wizji, które przychodzą znienacka.

Wiedziała, że ujrzała coś, co wydarzyło się teraz, przed sekundą. Ale nie było żadnego sposobu, by określić, w której krainie, w jakim miejscu skoła kobieta z poderżniętym gardłem.

* * *

Obawy Zazela potwierdzały się. Wyglądało na to, że klątwa Agelhagotha, choć po wszystkich wysiłkach Krzyczącego osłabła do ułamka pierwotnej mocy, prędko nie wygaśnie.

Marshia, nadal zbyt słaba, żeby wstać z łóżka, z wielkim trudem akceptowała fakt, że jej ciało odmawia współpracy i nie wiadomo, jak długo ten stan potrwa. Z każdym dniem frustrowało ją to bardziej. Rozmowa z Anavri dopełniła czary goryczy. Nie trwało długo, nim chora zmijka wyładowała całą wściekłość na Lorraine oraz Zazelu pod pretekstem, że fatalnie zarządzają domem. Wybuch ten uspokoił ją na tyle, że z Krzyczącym, który zjawił się w willi niedługo potem, rozmawiała już normalnie. Ale i tak propozycję towarzyszenia swemu dawnemu panu podczas popołudniowej wyprawy do materialnego świata Zazel powitał jak wybawienie.

Został umieszczony w torbie i zakamuflowany iluzją nadającą mu wygląd spasionego mopsa. Przyrzekł uroczyście, że będzie greczny, i przez następne dwie godziny dotrzymywał przyrzeczenia.

Siedział cicho, podczas gdy Krzyczący załatwiał dla Marshii kolejne sprawy. W Tay odszukać na przedmieściu dom pewnego astrologa, oddać kilka zapieczętowanych zwitków pergaminu i odebrać sakiewkę złota – potem wizyta w banku (Zazel, szturchnięty, schował się w torbie i udawał, że go nie ma) oraz bibliotecę uniwersyteckiej (bibliotekarz podejrzliwie zerkał na ruszającą się torbę, ale napotkał wzrok żmija i nic nie rzekł). W Gyarze odwiedzić w najstarszej dzielnicy pewną podejrzaną aptekę, wręczyć równie podejrzanemu właścicielowi kolejny zapieczętowany zwitek, dokonać zakupów na kwotę dwustu leri i zapłacić pięćdziesiąt (aptekarz wyglądał na skacowanego i w ogóle nie zainteresował się mopsem wystawiającym nos z torby)...

Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy z najstarszej dzielnicy zawędrowali na rynek, gdzie wokół straganów kłębił się tłum. Pachniało kiełbaskami, naleśnikami, racuchami i innymi smakołykami smażonymi na gorącym tłuszczu. Zazel zamlaskał i spojrzał na żmija z nadzieją. Potem z ciżby wyłonił się chłopiec z zawieszoną na brzuchu drewnianą skrzynką, wrzeszcząc:

– Pierogi gorące sprzedaję, z kapustą, kurą, zajęczyzną, piero-o-ogi świeżutkie, pierogi!

Zazel stracił resztki samozaparć i jął marudzić, że jest głodny. Brune, który nie miał ochoty ryzykować śmierdzącej zajęczyzny w pierogach, nabył na straganie z pieczywem dwa ciepłe, chrupiące podpłomyki i wręczył jeden chowańcowi. Stwór odął się, obrażony.

– Skąpisz mi jak zawsze! Żeby tak chociaż z serem, z sosem...

– Żebyś mi upačkał torbę? Zazel, źle cię karmią?

– Źle! Odkąd Marshia jest chora, kucharka się nie stara.

– Bądź twardy, stworze. Życie nie pieści.

Chowaniec z rezygnacją zajął się podpłomykiem. Gdy przełknął ostatni kąsek, znów z nadzieją wystawił nos.

– Tam pod tym czerwonym daszkiem sprzedają piwo, napijemy się?

– Nie.

– Chociaż kufelek na przepłukanie gardła...?

– Cicho, stworze! Bo naprawdę zamienię cię w mopsa!

W tejże chwili obaj spostrzegli, że kawałek dalej, obok straganu z łakociami, stoi żołnierz w napierśniku ze znakiem pentagramu i leniwie obserwuje tłum. Zazel momentalnie zamilkł i skrył się

w torbie, a Brune dyskretnie ją zapiął. Rozejrzał się i wycofał powoli. Jego własna aura niknęła w tłumie, lecz to działało w obie strony – sam też nie był w stanie wyczuć z oddali zagrożenia.

Miał do załatwienia jeszcze jedną, ostatnią sprawę, i po namyśle uznał, że jednak woli dokonać zakupu tutaj. Wypatrzył kram z maskami, przy którym nie brakowało klientów, a w szczególności klientek; zdawało się, że w większości są to służące, przysłane przez swoje panie.

Wokół rozłożonego na stojakach towaru unosił się charakterystyczny słodkawy zapach. Symbiotyczne maski sprzedawane w Gyarze, nawet te tanie, cielistej barwy, były dobrej jakości i od wielu lat utrzymywały się tutaj w modzie. Poczekawszy chwilę, Brune za dwadzieścia leri stał się właścicielem najprostszej maski kobiecej; zawinięto mu ją najpierw w szmatkę nasączoną płynem odżywczym, a potem w ciasno tkane konopne płótno, z radą, by została nałożona w ciągu dwóch czy trzech godzin.

Zauważył, że na bocznej płachcie kramu wisi kilka sfatygowanych listów gończych opatrzonych znakiem pentagramu, i z rozbawieniem wypatrzył wśród nich własną podobiznę. Na tyle niepodobną, że mając blizny zakamuflowane iluzją, nawet się nie przejął, tylko bez mrugnięcia okiem przyjął resztę i podziękował kramarzowi.

* * *

– Mam dla ciebie interesujące wieści – oznajmiła Marshia.

Jej wymizerowaną twarz barwił rumieniec. Od Zazela Krzyczący zdążył się już dowiedzieć, że zmijka nadal gorączkuje wieczorami mimo yadhmarskiej kory. Obawiał się zwiększyć dawki, bo i tak już były duże, na tyle spore, żeby powodować rozstrój żołądka. Biss, który co dzień wytrwale używał swojej pani siły życiowej, także wyglądał na chorego; jego ślepia przygasły, uszy oklapły i większość czasu spędzał zwinięty na fotelu albo w nogach jej łóżka.

– Ja też mam ciekawą informację – odrzekł Brune.

– Jaką?

– Najpierw mi powiedz, czy byłaś dziś w stanie coś zjeść.

– Kleik na śniadanie, bulion na obiad – mruknęła. – Nie mogę już patrzeć na jedno i drugie.

– Odstawimy tę cholerną korę – zdecydował.

Marshia usiadła prosto, krzywiąc się w źle wróżącym grymasie.

– Nie znasz się na niczym. Sprowadź tu jutro Denigisa.

– Naprawdę sądzisz, że można mu ufać?

– Zaryzykuję. Ty powinieneś pozostać przy pichcieniu narkotyków dla gildii przestępczych, zamiast udawać, że wiesz coś o fachu, którego nie studiowałaś.

– Denigis też nie jest lekarzem – przypomniał cierpko. – I nie zaryzykuję ściągania go tutaj tylko po to, żeby skorzystać z jego felczerskiej wiedzy, nie ma mowy. Chyba że pilnie należy ci upuścić krwi albo wyrwać zęba.

Był pewien, że wywiąże się kłótnia, lecz złość Marshii przygasła równie nagle, jak zapłonęła.

– Racja, z Denigisa taki sam dyletant jak i z ciebie. To co mi chciałeś powiedzieć?

– Wspomniałem ci już o masce, którą widziałem w rękach demona. Pozwoliłem sobie nabyć na targu w Gyarze podobną.

– Po co?

– Anavri nie umiała sobie przypomnieć prawie nic na temat tego incydentu z uwięzieniem w transie. Coś mi mówiło, że jej pamięć nie ucierpiała wskutek szoku, tylko celowego działania. Widok przedmiotu kojarzącego się z daną sytuacją często pomaga przełamać czar zapomnienia.

– I?

– Gdy pokazałem jej maskę, nagle przypomniała sobie, czego chciał od niej nasz przyjaciel w stroju błazna. Wyobraź sobie, że wypytywał ją o mnie. Kim jestem, gdzie mieszkam, co robię.

– O ciebie? – Marshia wyglądała na zaskoczoną. – Masz wrogów w Otchłani, młodszy bracie?

– No cóż, zakładam, że Dolina Cierni nie darzy mnie sympatią, odkąd spaliłem ich sługę w twojej dawnej enklawie.

– Dolina Cierni już nie istnieje, władczynię pojмали słudzy Doliny Światła. – Żmijka pstryknęła palcami. – A do czego była mu potrzebna ta maska?

– A, to drugi ciekawy szczegół. Anavri mówi, że skaleczenie na jej policzku wzięło się stąd, że demon zranił pazurem maskę, która stanowiła podobiznę jej twarzy.

Marshia skinęła głową.

– Podejrzywałam coś w tym guście, odkąd zobaczyłam to zadrapanie. Nieśmiertelne lalczki i szpileczki. Klasyka. Proszę, nalej mi wody. Zaschło mi w gardle.

Z kubkiem w ręku oparła się o poduszki.

– Teraz ja ci coś powiem – rzuciła z uśmiechem. Wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie. – Mam trochę przydatnych kontaktów w gildiach przestępczych nad Zatoką Snów i w całym Talme. W skali organizacji to płotki, ale są świetnymi źródłami informacji, jeśli umie się ich odpowiednio pociągnąć za język. Pozwoliłam sobie wydać dzisiaj nieco złota w zamian za bogaty asortyment wieści z najróżniejszych miejsc. Nigdy nie zgadniesz, czego się dowiedziałam.

– Mów.

– W Eume od niedawna grasuje tajemniczy morderca prostytutek. Podrzyna ofiarom gardła i – uwierzyłybyś? – zdejmuje im skórę z twarzy ze zręcznością kata lub chirurga. Plotka głosi, że jedną z ofiar widziano krótko przed śmiercią w towarzystwie człowieka w dziwnej, kolorowej, jakby błazeńskiej odzieży.

– Intrygujące – odezwał się Brune po dłuższej chwili. – Zaiste ciekawy zbieg okoliczności.

– Och, najlepsze zachowałam na koniec. – Zrobiła pauzę. – Podobno wszystkie dotychczasowe ofiary były jasnowłose.

11. Śmietnisko

Na tyłach jadalni, mieszczącej się w drewnianym baraku, piętrzyły się góry odpadków. Smród zwał z nóg. Największa sterta, przy samej ścianie, sięgała prawie do krawędzi dachu. Nieruchomy kształt u jej podnóża wyglądał z dala jak zepsuty manekin.

Kobieta była naga. Leżała na wznak, z rozkrzyżowanymi rękami. Zander jednym rzutem oka ocenił szczegóły nocnej zbrodni. Widok był znajomy pod każdym względem – rana w poprzek gardła, krwawe pozostałości twarzy, rozcięty brzuch i wyprute wnętrzności. Wokół ciała rozlała się ciemna kałuża.

– Nie zostawił śladów – odezwał się jeden z konstabli. Kapitan, wyrwany z zadumy, spojrzał na niego.

– He?

– Tyle krwi, a on w nią nie wdepnął. Nigdzie nie widać śladów stóp.

– Był ostrożny. – Zander splunął. Odór sprawiał, że nastrój pogarszał mu się z każdą chwilą.

– Po ciemku?

– Hm. Fakt, dobre pytanie.

– Może to odmieniec – zasugerował drugi konstabl. – Niektórzy z nich widzą w ciemnościach.

– Może.

– Panie kapitanie – odezwał się z wahaniem sierżant – ale jak się tutaj dostał z ofiarą? Chyba jej nie przydźwigał na plecach?

– Że jak niby? – Zander obrócił nań zdumiony wzrok. – Subbel, piłeś czy jak? Tyle krwi! Zabił ją i zmasakrował tutaj. Na podwórzu, pod oknami. Pogadajcie z mieszkańcami obu kamienic. Ktoś mógł coś słyszeć w nocy.

– Jeśli nawet słyszeli, nikt się nie przyzna.

– Przepytajcie wszystkich. Spytajcie w szczególności, czy w ostatnim czasie nie widziano, by kręcił się tu jakiś człowiek w kolorowym odzieniu, wyglądający jak błazen czy inny pajac, bodaj z nim psi tańcowali. Ty, Subbel, przedstawisz mi potem raport.

Sierżant ponuro skinął głową.

– Panie kapitanie, ale nadal nie pojmuję, jak się tu dostał razem z nią – podjął z właściwym sobie cierpliwym uporem. – Zabił ją tutaj, zgoda, ale musiał ją tu przyprowadzić, zwabić. Na śmietnisko? W środku nocy?

Zander pokiwał głową. Z namysłem popatrzył znów na trupa, a potem na barak jadłodajni.

– Była drobnej postury, jak wszystkie poprzednie... Jeśli jest silny, na upartego mógł ją obezwładnić na ulicy i wspiać się z nią po ogrodzeniu na dach, a potem zeskoczyć w śmieci. Albo zmusił ją, żeby z nim tu przysłała przez tylne drzwi którejś z kamienic. Mniemam w każdym razie, że nie przyfrunęli na latającym dywanie. Hej, wy! Zmykajcie stąd, ale już! – Okrzyk skierował do dzieciaków, które zaglądały na podwórze przez szpary w parkanie. Uciekły z piskiem.

W rogu podwórza, przy ścianie szopy, leżało trochę desek. Na polecenie Zandera dwaj konstable przynieśli je i ułożyli tak, żeby dało się dojść do ofiary, nie grzęznąc w odpadkach i błocie. Nagle jeden z nich się pochylił.

– Panie kapitanie, spójrzcie. Może to tylko kawałek szmaty, ale wygląda jak chustka albo fragment sukni.

Zander przykląkł, żeby ocenić znalezisko. Pstryknął palcami.

– Z koronką, jeśli mnie wzrok nie myli. I, moi drodzy, to nie jest chustka, a coś większego. – Spróbował ostrożnie wyciągnąć zagrzebaną sztukę odzieży, ale ta tkwiła głęboko w obierkach i zgniłych warzywach. – Cholera! Przydałaby się łopata. Subbel, skocz no do tej garkuchni.

Sierżant pobiegł do jadłodajni i prędko wrócił, co prawda nie z łopata, ale z szuflą. W tym czasie jeden z konstabli odrzucił na bok połamane krzesło i zaczął ryc w odpadkach fragmentem oparcia. Po chwili udało im się wyciągnąć na światło dzienne przesiąkniętą śmierdzącą cieczą łachman, który jeszcze niedawno był elegancką suknią. Krzywiąc się, sierżant rozpostarł znalezisko na ziemi. Zander przykląkł, ujął upapraną falbankę w dwa palce.

– Robi się coraz dziwniej – powiedział w zadumie. – To jedwab, chłopcy. Cieniutki, na pewno drogi. No, no, to bezsprzecznie nasze najciekawsze odkrycie jak dotąd.

– Zakrwawiona... – zauważył sierżant.

– I popruta. – Kapitan pokręcił głową. – Poderżnął dziewczynie gardło, poczekał, aż umrze, wtedy odarł ją z sukni i kontynuował dzieło. – Przeniósł spojrzenie na trupa i zmarszczył brwi. – Panowie, nie wiem, czy was też uderza jeden szczegół.

– Ofiara ma tatuaż prostytutki jak wszystkie poprzednie – przemówił od razu Subbel. – Nie była żadną aktorką ani kurtyzana, tylko zwykłą dziwką, za przeproszeniem pana kapitana. Dziwne, że miała na sobie tak kosztowną suknię.

Zander przytaknął ponuro.

* * *

Anavri szykowała sobie kolację, gdy Brune wszedł do kuchni i usiadł przy piecu. Gdziekolwiek spędził dzień, nie uznał za stosowne ubrać się inaczej niż w najbardziej zniszczoną roboczą odzież. Z tygodniowym zarostem i splątanymi, związanymi byle jak włosami prezentował się tak, że Marshia na pewno nie darowałyby sobie komentarza. Dziewczyna uświadomiła sobie, że ją też to drażni, choć właściwie nie powinno – jego interesy, jego wizerunek.

– Mogę ci to zacerować. – Wskazała strzępiące się mankiety tuniki.

– A pergaminy już przepisałaś?

Pokręciła głową.

– Więc lepiej tym się zajmij, zamiast marnować czas na głupstwa – skwitował. Nie wydawał się zniecierpliwiony, raczej zaprzątnięty myślami o czymś innym.

Anavri wreszcie zidentyfikowała niemiły obcy zapach, który przyłgnał do jego ubrania – woń smażeniny, nieświeżej omasty i dymu fajkowego.

– Co dawali na obiad? – zagadnęła, nie mogąc się powstrzymać.

– Hę? – Drgnął.

– Czuć cię garkuchnią – powiedziała zaczepnie.

– Nie wątpię – mruknął. Spochmurniał. – Chcesz wiedzieć, jak spędziłem popołudnie?

– Jak?

– W Eume grasuje zwyrodnialec, który morduje jasnowłose prostytutki i zdiera im skórę z twarzy. Ostatnią ofiarę znaleziono

na śmietniku za tanią jadłodajnią. Posiedziałem w tym przybytku dłuższy czas, słuchając plotek, pogadałem z kucharkami, ale dowiedziałem się tylko tyle, że nikt nic nie widział i nie słyszał. Nikt nigdy nic nie widzi i nie słyszy.

Anavri poczuła w brzuchu lód.

– Powiedziałeś, że morduje jasnowłose kobiety? I że zdziera ofiarom skórę z twarzy?

– Zgadza się.

– Czy myślisz o tym samym, co ja?

– Obawiam się, że tak. Żeby było ciekawiej, jedną z ofiar podobno widziano przed śmiercią w towarzystwie człowieka w błazeńskim stroju. Brzmi sugestywnie, prawda?

– Bardzo. – Zamilkła na chwilę. – Sądzisz, że to naprawdę on?

– Nie mam pojęcia. Ale zamierzam to sprawdzić. Nie dysponujemy żadnym innym tropem.

– Dlaczego demon miałby zabijać śmiertelne kobiety? W Świętej Księdze napisano, że jeśli demon własnoręcznie zabija człowieka, nie zdobywa duszy.

– Zgadza się. – Brune ze znużeniem potarł czoło. – Ja też tego nie rozumiem. Ale próbuję się dowiedzieć więcej.

Anavri przypomniała sobie poczwarną owadzią postać, syczący śmiech i zimny dotyk szponu na policzku.

Zdziera im skórę z twarzy. Wzdrygnęła się.

* * *

Zander wiele w życiu widział i nie dawał się łatwo zwieść pozorom. Ale gdyby nie wiedział, kim jest z zawodu Merja Sydd, przenigdy nie dopatrzyłby się w niej ladacznicy i właścicielki domu publicznego. Od kapelusza z papuzim piórkiem po sute spódnice wyglądała jak modnie ubrana, ale w każdym calu godna szacunku mieszcza.

Zaczynała jako uboga tancereczka pod skrzydłami kolejnych opiekunów. Potem rozchorowała się i wylądowała na ulicy, lecz była na tyle ładna i inteligentna, że los dał jej drugą szansę. Wypatrzona i przygarnięta przez właściciela jednego z licznych domów rozpusty w Eume, odnalazła się tam tak dobrze, że po kilku latach, po śmierci swojego dobroczyńcy, przejęła po nim interes. Mówiono, że lokal

rozkwitł pod jej rządami i teraz chętnie bywała tam zamożna klientela.

Zander dobrze znał pannę Sydd, choć nigdy nie miewała zatargów ze strażą miejską. Wiedział, że płaciła za ochronę gildii przestępczej, lecz bez tego nie mogłaby nawet marzyć o prowadzeniu interesu. W Eume przestępcy wiedzieli, ile mogą zainkasować i od kogo, sami pilnowali, by nikt niezrzeszony nie wchodził im w paradę, zaś straż miejska wiedziała, na co ma przymykać oko. Wszystko było odmierzone i wyliczone, kontrolowane przez srebrnych. Tak, by sprzyjać zachowaniu Ekwilibrium.

Merja Sydd, znając te układy, starała się żyć dobrze ze wszystkimi, którzy mogli jej się później odwzajemnić wyświadczeniem przysługi. Dlatego nie miała nic przeciwko temu, żeby wybrać się do szpitala więziennego na prośbę kapitana straży, który chciał dyskretnie zasięgnąć jej rady.

Wpłynęła dostojnie do gabinetu Beinekego, roztaczając woń frezji. Zander, zawsze uprzejmy w stosunku do eleganckich kobiet, ucałował jej zadbaną dłoń.

– Mam tu suknię, którą znaleziono na śmietniku obok trupa zamordowanej dziewczyny – wyjaśnił, gdy już wymienili powitalne grzeczności. – Chcę wiedzieć o tym łaszku wszystko, co zdołasz mi o nim powiedzieć.

Wskazał suknię rozwieszoną na manekinie z pobliskiego warsztatu krawieckiego. Po długotrwałych zabiegach z wykorzystaniem dużych ilości mydła, ciepłej wody i octu, praczka odmieniła cuchnącą szmatę nie do poznania. Nie zdołała usunąć z materiału wszystkich plam, ale przywróciła mu pierwotną barwę kwiatu dzikiej róży. Prawie udało jej się też wywabić ohydny smród odpadków.

Merja przyjrzała się manekinowi ze wszystkich stron.

– Co to? – zagadnęła wskazując rozdarcia, które na polecenie Zandera sfastrygowano, żeby mniej się rzucały w oczy.

– Jak powiedziałem, Merjo, to suknia znaleziona przy zamordowanej dziewczynie. Dopowiedz sobie resztę.

Panna Sydd cofnęła się, blednąc pod makijażem.

– Chodzi o tego potwora, który pozbawia dziewczęta twarzy? Na oko Harana! Mogliście mnie uprzedzić! – Wyjęła z zanadru srebrny medalik i uczyniła znak chroniący od uroku.

– Bądź pewna, że nie szczędzimy wysiłków, aby go schwytać, czego najlepszym dowodem jest fakt, że zasięgam twojej rady – rzekł ze znużeniem Zander. – Tak, chodzi o jego najnowszą ofiarę. Dziewczynę już zidentyfikował jej alfons. Nazywała się Saike Pyll, mieszkała na poddaszu w portowej dzielnicy z trzema koleżankami. Pracowały w narożnej tawernie, ich klientami byli głównie marynarze. Wracając do sukni, co możesz mi o niej rzec?

Merja z namysłem przyłożyła kciuk i palec wskazujący do ust.

– Ładna rzecz – zawyrokowała po pauzie. – Drogi materiał, dość modny fason, choć odkąd do łask wrócił krój chalkiryjski, coraz rzadziej nosi się spódnice z kilkoma falbanami. – Podeszła do manekina i wzięła kaftanik w dwa palce, żeby obejrzeć z bliska szwy. – Wydaje mi się... tak, była przerabiana tu i tu. Na moje wyczucie zmieniała właścicielki.

Kucnęła, żeby obejrzeć spódnicę, ale tylko pokręciła głową. Wstała i raz jeszcze zlustrowała kaftanik ze wszystkich stron, marszcząc brwi.

– Tu coś było przyszyte – orzekła. Kapitan podszedł, zaciekawiony. Dekolt miał kształt rombu; Merja wskazała palcem najgłębszy punkt wycięcia. Gdyby nie ona, Zander nigdy nie zwróciłby uwagi na lekko zaciągnięty materiał i sterczące nitki.

– Jakaś ozdoba?

– Kokarda, róża z materiału, coś w ten deseń. W ubiegłym roku przez kilka miesięcy panowała moda na jedwabne róże, po tym, jak księżna Adani... ach, nieważne.

Zander powrócił myślami do śmietniska, usiłując sobie przypomnieć, czy coś mogło się odpruć od sukni, kiedy ją wyciągali z odpadków. Nie był przekonany, ale nie mógł wykluczyć takiej opcji.

– Mało wiem o fatalaszkach – zastrzegł – więc niech cię nie dziwi moja ignorancja. To suknia balowa?

– Nie, nie, za skromna. Stosowna do teatru czy na małe przyjęcie.

– Ile mogła kosztować, jak sądzisz?

– Nowa? Półtora tysiąca leri za materiał, najbidniej, i czterysta albo więcej dla krawca.

– Tak jak myślałem – odezwał się Zander po chwili milczenia. – O wiele za kosztowna dla takiej Saike Pyll.

Merja uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Przede wszystkim trzeba wam wiedzieć, że to nie jest odpowiednia suknia dla naszego fachu. Kaftanik sznurowany z tyłu, bardzo niepraktyczne. Płytki dekolt, długie rękawy. Cieniutki jedwab, łatwo go gdzieś zahaczyć, nadpruć. A ile trzeba dopłacić praczce, żeby się to nie zniszczyło w praniu... Nie, w szafach moich dziewcząt raczej nie znajdziecie takich sukien, a co dopiero u tych, które pracują na ulicy. Ta cała Saike mogłaby ją sobie ewentualnie kupić na życzenie klienta, gdyby jej dał pieniądze, albo dostać w prezencie i zakładać na specjalne okazje.

– Suknię za dwa tysiące leri?

Panna Sydd roześmiała się.

– Panie kapitanie, za pozwoleniem, znacie się na wielu rzeczach, ale nie na cenach używanych strojów. Kiedy ktoś umiera na zgniłą gorączkę albo nedgvarskie parchy, albo z powodu klątwy, albo zostaje wysłany do szpitala dla trędowatych, prawo nakazuje spalić jego noszoną w ostatnim czasie odzież i osobiste rzeczy, ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć lepsze ubrania zostają cichcem odsprzedane. Dajcie mi kilka dni, a kupię podobną suknię za dwieście... no, powiedzmy za trzysta leri.

– Gdzie?

– Och, na początek sprawdziłabym targ przy Złotej oraz sklep wdowy Briccot naprzeciwko karczmy „Pod Trzema Żabami”.

Zander zanotował nazwę sklepu na tabliczce.

– Dzięki ci, Merjo. Bardzo mi pomogłaś.

– Drobiazg. – Popatrzyła na niego, kręcąc w palcach frędzle szala. – Czy to prawda, że ten niegodziwiec zabił już sześć kobiet? I że wszystkie były jasnowłose?

– Zgadza się.

– To na pewno czarny mag. – Merja ożywiła się. – Ci zwyrodnialcy robią potworne rzeczy. Piją krew dziewcząt, warzą eliksiry z niemowlęcych wnętrzności. Dlaczego srebrni nie ruszą swoich dostojnych zadków i go nie złapią?

– Srebrni, jak wiadomo, działają wedle własnego uznania. – Zander wzruszył ramionami. – Merjo, czy w ostatnim czasie nikt podejrzany nie zawitał w twoje progi? Twoje dziewczyny nie zwróciły uwagi na nic, co mogłoby nas zainteresować?

Wyczuł moment zawahania, lecz panna Sydd pokręciła głową.

– Nie, panie kapitanie. Ale jeśli coś mi się obije o uszy, nie omieszkać was powiadomić.

* * *

– Robi się coraz bezczelniejszy – zauważył Beineke, patrząc na obmyte zwłoki. – Śmietnik na tyłach kamienic, na widoku?

– Zgadza się – potwierdził ponuro Zander. – Co mi powiesz o pannie Pyll?

– Jest trochę lepiej odżywiona niż poprzednie ofiary. Zdrowa. Nie ma przekłutych uszu. Raczej nie szamotała się z napastnikiem, nie widzę zadrapań ani połamanych paznokci. Sąsiedzi niczego nie słyszeli w nocy, jak mniemam?

– Słusznie mniemasz. Ale to może oznaczać tylko tyle, że nie chcą z nami rozmawiać.

– Skądinąd rozsądnie. Kto wie, do czyich uszu mogłoby to później dojść.

– Co masz na myśli? – Kapitan popatrzył bacznie na lekarza. Ten spuścił wzrok, chrząknął.

– Słyszałeś plotki, Zander.

– Które konkretnie?

– Wiesz, że duch zmarłego maga może się odrodzić w innym ciele?

– Tak powiadają.

Beineke starannie zmierzył wzrost zmarłej, zanotował wynik na tabliczce i odstawił miarkę.

– Prawie półtora wieku temu, kiedy czarni magowie zaczęli masowo popadać w szaleństwo – podjął, nie podnosząc oczu – był taki jeden, który mordował kobiety. Zarzynał je nożem, potem obdzierał ze skóry, patroszył jak zwierzęta. Miał na sumieniu prawdopodobnie kilkadziesiąt ofiar. Znasz tę historię.

– Znam. Srebrni pojмали go i zabili tak, aby jego duch nie mógł już powrócić. Zamęczyli fachowo, po ichniemu, w Domu Godnego Odejścia. – Zander splunął do soplwaczki. Smród prosektorium – mieszanka woni trupów, piwnicznej stęchlizny, ługu, octu oraz siarki używanej do wykadzania – przeszkadzał mu tego dnia bardziej niż zwykle. – Chciałbym dostawać dukata za każdym razem, gdy mi ktoś przypomni o tej historii, wtedy miałbym z niej jakiś pożytek.

Do śledztwa nie wnosi ona nic a nic, zaręczam ci. Burmistrz napisał w tej sprawie do Opiekunki Miasta zaraz po tym, jak znaleziono trzecie zwłoki. Wielebna Akhania odpisała wprost, że duch czy też reinkarnacja Adriena de Vere żadnego związku z tymi morderstwami nie ma i mieć nie może. Duchy zabitych w godnej umieralni nie wracają.

Lekarz pokiwał głową.

– Ale dlaczego srebrni nadal nie raczą się zaangażować w śledztwo? Przecież mordercą może być równie dobrze *ka-ira* niemający nic wspólnego z tym de Vere. Albo lepiej – zainspirowany tak efektownym wzorcem...

– Srebrni twierdzą, że sprawcą tych zbrodni nie jest nikt obdarzony czarnym darem – uciał Zander. – Nie pytaj mnie, na jakiej podstawie to stwierdzili, ale nadal utrzymują, że mają w tym względzie absolutną pewność. Zaś zwykli mordercy wkraczają w zakres ich kompetencji tylko wtedy, kiedy naruszają Ekwilibrium.

Beineke zaśmiał się sucho.

– Ale fakt, że drań już po raz szósty uderzył w takim dniu i o takiej porze, żeby nie miało to żadnego wpływu na Ekwilibrium, jakoś nie daje im do myślenia? – Zniżył głos. – A czy braliście pod uwagę, że to może być ktoś powiązany nie z Zakazaną Sztuką, ale... właśnie z Elitą?

Zander powoli pokręcił głową.

– Dopuszczam taką możliwość, przyjacielu, ale gdyby tak było... – Nie dokończył. Milczał chwilę, zanim podjął ciszej, niemal szeptem: – Gdyby tak było, to zanim dotarłbym po nitce choćby w pobliże kłębka, ta sprawa kosztowałaby mnie stanowisko, a może i życie. Ale nie sądzę. Pamiętasz, jak rok temu na przedmieściach zaczęła się szerzyć cholera? Akhania już nazajutrz przysłała swoich akolitów, żeby rzucili zaklęcia oczyszczające na studnie i rzekę. Nie przypuszczam, aby pozwoliła, aby coś takiego trwało tak długo.

– Znasz logikę srebrnych. To tylko prostytutki, Lybiusie. Dziwki. Szumowiny. Może zgodnie z ich logiką te śmierci nie tylko nie szkodzą Ekwilibrium, ale w jakiś sposób pomagają je utrzymać?

– Gdyby tak było, podejrzewam, że nakazano by nam porzucić śledztwo.

– Jesteś pewien?

Zander westchnął. Niezależnie od własnych podejrzeń czy przypuszczeń, nie miał żadnego wpływu na decyzje Elity. Za to Opiekunka Miasta mogła go w każdej chwili odwołać od śledztwa czy wręcz zwolnić ze stanowiska. Miał bardzo niewielkie pole manewru i nie zamierzał się narażać srebrnym.

Przynajmniej dopóki nie widział dobrego powodu.

Posępnie zapatrzył się na ciało panny Pyll, przypominając sobie rozmowę z alfonsiem, łysym typem o wypomadowanych, uczernionych wąsach. Alfons nie był chętny do współpracy, na pytania odpowiadał krótko i niekonkretnie, a nastraszony – hardo powołał się na znajomości w radzie miejskiej, choć nie wydawało się prawdopodobne, aby rzeczywiście takowe posiadał. Ale powiedział jedną rzecz, która zapadła Zanderowi w pamięć.

Saika Pyll była dziewczyną z dobrego domu, córką ziemianina, którą jakiś nicpoń uwiódł, przywiózł do Eume i tu porzucił. Nadal umiała się ubrać i wysławić jak panna z towarzystwa. I z jej wdzięków nierzadko korzystali dobrze urodzeni panowie. Czasem nawet towarzyszyła im na przyjęciach, choć nie w ostatnim czasie, bo – jak dyplomatycznie ujął to wąsacz – trochę chorowała, co mogło oznaczać albo ciężę, którą usunięto wywarami z jakiegoś trującego zielska, albo atak syfilisu. Niedawno wróciła do zdrowia.

Zander nie mógł się opędzić od myśli, że chcąc nadrobić straty poniesione przez chorobę – skoro wedle słów alfonsa nie mogła pracować przez bite dwanaście dni – mogła się zgodzić na coś, na co opiekun by się nie zgodził, gdyby go spytała o pozwolenie.

Dojrzewała w nim decyzja, aby rozmówić się z pewną osobą, choć nie wiedział, w jaki sposób nakłonić ją, aby podzieliła się swą wiedzą z przedstawicielami prawa.

* * *

Ile jest ryb w morzu, ile liści w lesie, tyle sposobów znają demony, aby szkodzić śmiertelnikom. Mogą straszyć, nękać, niewolić; mogą opętać żyjącego człowieka i dla zabawy pozbawić go zmysłów bądź zmusić do służenia sobie. Wszelako najwięcej radości sprawia im porwanie duszy, do której zdobyły prawo.

Brune zamknął księgę, przetarł zmęczone oczy. W domostwie panowała cisza. Gdzieś w kącie cykał świerszcz.

Anavri spała od jakiegoś czasu, zwinięta pod kocami. Wyraźnie wyczuwał echo jej snów. Śniła o ciemności i pustce, o błędzeniu po kamienistych bezdrożach, gdzie chichoczące głosy naigrawały się z niej.

Uległ pokusie, żeby klęknąć obok siennika i zapatrzeć się na dziewczynę. Na jej policzkach lśniły ślady łez. Nosila w sobie tyle zapiekłej rozpacz, tyle czerni, że pociągało go to może nawet bardziej niż jej uroda.

Wodząc dłonią w powietrzu, obrysował twarz Anavri, kontur jej ust. Potem, właściwie nie zastanawiając się nad tym, co robi, położył się przy niej. Bliziotko, tuż obok.

Zamknął oczy, pozwalając, żeby rzeczywistość zawężyła się do kilku doznań. Ciepło ciała dziewczyny. Przyjemny zapach jej włosów. Oraz aura, w której młodość, witalność i czerń łączyły się w tak kuszącą mieszankę.

Anavri zbudziła się. Wyczuł, że lekko się odsunęła. Potem, ku jego zaskoczeniu, powoli rozsznurowała koszulę pod szyją.

– Chcesz, żebym ci zapłaciła w ten sposób? Za opiekę?...

Powiedziała to obojętnie, z taką rezygnacją, że Brune natychmiast otrzeźwiał – i poczuł nie tyle złość, co wstyd. Anavri wiedziała coś niecoś na temat praw magów i coś niecoś na temat półświatka, trudno było ją winić za to, że zinterpretowała jego zachowanie w sposób najbardziej przystający do tych wyobrażeń. Usiadł na krawędzi siennika, bezwiednie obejmując się ramionami. Dziewczyna również usiadła, patrząc na niego nieufnie.

– Co to miało być? – spytała ostrzej. Czuł, że do jej strachu dołączyła teraz irytacja. – O co ci w zasadzie chodzi?

– Przyciągnęło mnie to wszystko, co się kłębi w twojej głowie – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Jesteś świetną żyłą, kusisz. Przepraszam.

Oboje doskonale wiedzieli, że nie powiedział całej prawdy, ale zręcznie było na głos udawać, że chodzi tylko o to.

– Więc proszę, naczep się – rzuciła Anavri, wyraźnie wyzywającym tonem.

Przyłożył ręce do jej skroni. Jak zwykle przez sekundę czuł jej

emocje tak, jakby były jego własnymi. Bezsilna wściekłość i rozpacz, a głębiej – głuche poczucie beznadziei i obrzydzenia do samej siebie.

Wchłonął to wszystko, pozostawiając ją senną i otępiałą.

Zwalczył impuls, by ją delikatnie pocałować. Rozumiał, że w tych okolicznościach zakrawałoby to na gorzką drwinę.

Anavri owinęła się kocem i położyła z powrotem, plecami do niego. Chwilę później już spała.

Brune otworzył księgę, lecz nie był w stanie usiedzieć w miejscu. Czerpanie ożywiało, podkreślało niczym odpędzający znużenie kordiał z lucyferii. W końcu stwierdził, że równie dobrze może się wybrać do Eume, by kontynuować śledztwo.

* * *

Zwierciadło działało jak portal jednostronny; każdy, kto spróbowałby prześledzić wstecz trasę podróży, wylądowałby na rubieżach dominium gnomów, wśród niedostępnych skał, i mógłby tam sobie błądzić do sądnego dnia. Mimo to konieczna była ostrożność; ulicami Eume chadzały nocą patrole golemów. Wiedząc, że echo zaklęć teleportacyjnych wygasa najszybciej w pobliżu wody, Krzyczący po raz kolejny pojawił się nad rzeką, na tym brzegu, na którym rozpościerała się dzielnica biedoty. Rzucił okiem na niebo; było czarne i wygwieżdzone. Ani śladu kolorowych smug. Zgodnie z tym, co pisano w księgach, Eume leżało w punkcie, gdzie prądy Zmroczy były wyjątkowo stabilne, na tyle stabilne, że jeden materializujący się *ka-ira* nie zagrażał ich równowadze. Mimo to Brune odnotował w myślach, że wobec szykujących się częstych wizyt tutaj, czas się postarać o permanentny portal w jakimś dogodnym miejscu, dobrze ukryty i zakamuflowany. Miał nadzieję, że otwarcie i zabezpieczenie takowego nie przekroczy jego umiejętności.

Marshia, gdyby była zdrowa, oczywiście poradziłaby sobie bez trudu. Ta myśl do reszty zepsuła mu humor.

Jakiś czas błądził cuchnącymi uliczkami, zanim odszukał jadłodajnię, gdzie poprzedniego dnia wysłuchiwał plotek. Z ulgą utwierdził się w przewidywaniach – tak w budynku, jak i na tyłach było pusto. Nikt nie trzymał straży na śmietniku, gdzie znaleziono ciało, bo i po co.

Upewniwszy się zmysłami maga, że jest sam, zmij zręcznie wspiał się na ogrodzenie, a z niego na dach budy. Skrzywił się, czując odór wysypiska.

Na niebie wisiał księżyc w pełni. Brune cicho podszedł do krawędzi dachu i spojrział w dół. Nie miał najmniejszej ochoty zeskakiwać w odpadki, ale liczył, że nie będzie musiał – już stąd czuł czarną plamę przerażenia i bólu wypaloną w aurze podwórza. Zamknął oczy i skupił się.

Po chwili zorientował się, że to, co nie udało mu się za dnia, nie uda się i teraz. Wtedy w przywołaniu wizji przeszkadzała mu obecność ludzi. Teraz, choć w pobliżu nikogo nie było, zamiast sceny morderstwa nadal widział tylko późniejsze sceny. Strażników oglądających miejsce zbrodni, dzieciaki gapiące się przez dziurę w parkanie.

Wyjął karty, lecz i one nie zdradziły mu niczego ponad to, co już wiedział.

Zeskoczył z powrotem na ulicę i oddalił się, zasepiony. Gdyby Marshia była zdrowa, mogliby wykorzystać jej umiejętności w zakresie magii wróżebnej i coś na pewno by uzyskali – jeśli nie imię mordercy, to na przykład wizję jego twarzy. Teraz Brune widział tylko jedną możliwą drogę uzyskania odpowiedzi, których potrzebował. Lorraine. Ale raz, wcale nie był przekonany, czy dziewczyna poradziłaby sobie lepiej od niego, a dwa – nie chciał jej narażać na szok. Jeśli wierzyć Zazelowi, w jej głowie już i tak działy się dziwne rzeczy.

Rozważał pójście jeszcze do jakiejś tawerny, ale zmienił zdanie i skręcił w ulicę opadającą ku rzece. Nagle przystanął, czując w pobliżu obecność.

– Hej, kotku – usłyszał przymilny głos.

Dziewczyna wynurzyła się z bramy i podeszła, stukając obcasami. Była chudziutka, o jasnych, potarganych włosach. Suknię miała za dużą, źle dopasowaną; spódnica zwisała krzywo, zbyt szeroki dekolot odsłaniał ramiączka halki.

Krzyczący odruchowo przymrużył oczy, żeby w świetle księżycy nie dostrzegła jego źrenic. Pomyślał, że mała nie ma pojęcia, kogo zaczepiła, i że zapewne z ofiarami mordercy było dokładnie tak samo.

Za grosz instynktu samozachowawczego, pójdą z każdym, kto

zapłaci.

– Dwadzieścia leri za miłą godzinę? – zagadnęła z nadzieją.

Pod zapachem tanich perfum i potu kryła się mdła woń choroby. Brune westchnął w duchu, widząc na dekolcie ulicznicy plamy wysypki, których puder nie mógł zamaskować.

Sięgnął do kieszeni. Miał przy sobie trochę pieniędzy zabranych na wypadek, gdyby musiał zapłacić komuś za informacje. Wcisnął dziewczynie w rękę dwie srebrne monety i ujął ją za ramię.

– Słuchaj – powiedział szorstko – wracaj do domu i nie chodź więcej sama po nocy. Trzymaj się koleżanek. Słyszałaś chyba, że w mieście grasuje morderca, który lubi dziewczyny z jasnymi włosami?

Wyczuł jej przerażenie. Cofnęła się, zamarła, otwierając usta. *Rychło w czas* – pomyślał ironicznie.

– Mam siostrę podobną do ciebie – wyjaśnił pospiesznie. – No, zmykaj, na co czekasz?

Otrząsnęła się wreszcie i umknęła niezgrabnym truchcikiem, stukocząc obcasami.

Pokręcił głową, patrząc za nią. Nie miał złudzeń – przestraszył ją na moment, to wszystko. Gdy się otrząśnie, nadal będzie myślała tylko o zarobku. Jak one wszystkie.

Gdy wrócił do enklawy, Anavri jeszcze spała. Położył się obok, owijając się kocem. Tym razem usnął od razu.

Nazajutrz jego uczennica ani słowem nie nawiązała do wieczornego incydentu, a Krzyczący tym bardziej nie zamierzał doń wracać. Był zły na siebie. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko, żeby wygadała się Marshii.

* * *

Geromius Meckler dożywał swoich dni w starej kamienicy na przedmieściu, w zawalonej rupieciami i odpadkami suterenie.

Niegdyś uczony doktor i wykładowca uniwersytecki, obecnie schorowany, niedołężny starzec, wegetował w tej cuchnącej dziurze utrzymywany przez siostrzenicę i jej męża, bo jego własne dzieci już nie żyły. Lata zajmowania się teorią Zakazanej Sztuki w jakiś sposób zaszkoziły jego umysłowi. Podobno stosunkowo często spotykało to demonologów i fałszywych magów, którzy zbyt długo obcowali

z niebezpieczną wiedzą.

Pamięć i intelekt Mecklera były nadal ostre jak brzytwa, ale jego dziwactwa wystarczyły, żeby go uwięzić w tej podłej izbie wśród karaluchów i stert śmieci, które sam tu znosił całymi workami. Bał się słonecznego światła, na dwór wychodził tylko przed świtem i po zachodzie słońca. Panicznie bał się kobiet, omijał je szerokim łukiem. Nadal czytał książki, ale bał się pisać, bo obawiał się, że jego ręka bez udziału woli zacznie kreślić słowa zaklęć, które oddadzą go we władzę Otchłani.

Ale zapytany o rytuały magiczne, o tytuły dzieł z takiej lub innej dziedziny czy o życiorysy sławnych magów – odpowiadał składnie i szczegółowo.

Zander znał go z czasów, kiedy Meckler jeszcze był zdrowym na umyśle i szanowanym, choć niezbyt zamożnym jegomościem – wdowcem, ojcem dorastającej córki, która jako jedyna z jego dzieci nie zmarła w niemowlęctwie. Przed pięciu laty zginęła na ulicy, zatratowana przez konie, które poniosły, a wkrótce potem stary zaczął dziwaczeć lawinowo. Rychło utracił posadę na uczelni, a później było z nim już tylko coraz gorzej.

Tym niemniej, starych znajomych rozpoznawał i nie wzdragał się przed rozmową – zwłaszcza zachęcony dodatkowym argumentem w postaci koszyka, zawierającego butelkę wina, pszenny chleb, ciasto, dobry ser i kielbasę, oraz obietnicą pieniędzy.

Jednakże informacje, które potrafił podać, okazały się dość rozczarowujące.

– Adrien de Vere... Pamiętam tę historię, o tak. Czytałem dokumenty i listy – wymamrotał, spoglądając mętными oczyma w przestrzeń. – Swego czasu chciałem nawet napisać monografię o tragicznym szaleństwie tego geniusza, bo to był geniusz, panie kapitanie, geniusz muzyki i magii, nim czerń mu odebrała rozum i zmieniła go w potwora. Mordował przez całe lata, nim w końcu go zdemaskowano i uwięziono. Było tak, jak powiadacie, młode kobiety zabijane nożem, skóra zdarta z twarzy, wycięte wnętrzności. Straszne, straszne rzeczy. – Wolno pokiwał trzęsącą się głową. – Ale dusze zabitych w Domu Godnego Odejścia nie wracają.

– A czy... – Zander zawahał się, chcąc sformułować pytanie w możliwie klarowny sposób. – Czy zabijał dlatego, że był szalony, czy

też mógł w tym mieć jakiś cel? Rytualny cel?

– Zakazana Sztuka nie zna rytuałów polegających na składaniu ofiar z ludzi, mości panie – odparł Meckler takim tonem, jakby sądził, że wiedza ta powinna być oczywista dla każdego przedstawiciela prawa. – Nie, nie. Adrien był szaleńcem, to nie ulega wątpliwości. Podwójnie niebezpiecznym przez to, że za dnia umiał się idealnie maskować.

– A gdyby założyć, że teraz pojawił się... naśladowca? Ktoś, kto z jakiegoś względu zainspirował się zbrodniami Adriena? Czy wedle waszej wiedzy jest coś, co mógłby w ten sposób zyskać? Moc? Jakieś magiczne korzyści?

Staruszek powoli pokręcił głową. Myślał dłuższą chwilę.

– Nie wiem – powiedział w końcu. Chrząknął. – Musicie zrozumieć, wśród adeptów krążyło i krąży mnóstwo ksiąg, które rozpowszechniają fałszywe informacje na temat Sztuki. Wiele jest kłamliwych pism, które wyszły spod pióra szarlatanów lub szaleńców; są też takie, które sami magowie stworzyli celowo, podrzucili profanom niczym fałszywą mapę do skarbu, aby miejsce jego ukrycia skuteczniej zachowywać w tajemnicy... Kto wie, co w takich kłamliwych księgach i pergaminach można znaleźć i jak może zinterpretować ich treść chory umysł, rozgorączkowany tęsknotą za potęgą czerni?

– Tęsknotą – powtórzył Zander. – Czyli wy także wierzycie, że morderca nie jest czarnym magiem, opętanym przez wywołane darem szaleństwo i żądzę krwi?

– Skoro srebrni tak twierdzą, kimże jestem, by podważać ich słowo?

– A na jakiej podstawie mogą tak twierdzić?

– Nie wiem – odrzekł Meckler tonem, w którym pobrzmiwała złość. – Ja, kapitanie, nie byłem nigdy specjalistą od czerni, szaleństwa ani żądzę krwi. Jestem znawcą mowy magów, ich tajemnego pisma, formuł i rytuałów. Tylko tyle.

Zander stłumił chęć, by zakląć. Odór sutereny działał mu na nerwy, a ta rozmowa donikąd nie prowadziła.

– Ale coś wam doradzę – zamamrotał staruszek, unosząc wskazujący palec. – W laboratoriach na Wyspie Łabędzi pracuje jegomość, którego w swoim czasie dobrze znałem. Kiedyś był mistrzem Elity i tropicielem skażonych talentów. Ujął wielu szalonych czarnych

magów, ale potem został ciężko ranny w walce, tak ciężko, że utracił moc. Formalnie nie jest już mistrzem, w ogóle nie jest już srebrnym magiem, więc nie obowiązują go przysięgi milczenia, pojmujecie? Może wam powiedzieć rzeczy, których pełnoprawny członek Elity by nie powiedział. Nazywa się Kelf Dakin.

– Jeśli pracuje na Wyspie Łabędzi, nie sądzę, abym był w stanie się z nim skomunikować – powiedział powoli Zander.

– Zwróćcie się do Opiekunki Miasta. Jeśli ona nie wyrazi zgody na tę rozmowę, to rozmowa się nie odbędzie, ale myślę, że powinna się zgodzić. – Stary uśmiechnął się bezzębnie. – Oczywiście będziecie musieli mu udostępnić dokumentację, raporty i tak dalej, aby miał pełen obraz sytuacji... ale prawdę rzekłszy, jest wielce prawdopodobne, że Dakin wie już na temat tych morderstw bardzo dużo, jeśli nie wszystko, bo dam głowę, że sama Akhania konsultuje się z nim w tej sprawie.

Zander podziękował mu i położył na stole kilka złotych monet. Meckler zgarnął je łapczywie.

Wyszedłszy wreszcie ze śmierdzącej sutereny na dwór, kapitan z ulgą wciągnął w płuca chłodne powietrze. I z ironią zadał sobie pytanie, czy stara znajomość z tropicielem skażonych talentów, o której wspomniał Meckler, nie wyglądała przypadkiem tak, że Meckler, uczony doktor, specjalista od sztuk tajemnych, donosił Elicie na ludzi, których podejrzewał o czarny dar.

* * *

Heskeri łyknął z pucharka, otarł usta.

– Nawiązał ze mną kontakt, tak jak przewidywałeś – oznajmił.

Demon w stroju błazna pokiwał owadzią głową.

– Co mu rzekłeś?

– To, co miałem rzec wedle ustaleń. Że gotów jestem przekazać informacje. Podałem cenę, wysoką, ale taką, którą mógłby zapłacić, gdyby się postarał. Nie zgodził się, więc na tym na razie poprzestaliśmy.

Demon zamyślił się. Jego oblicze zafalowało, stopniowo przyjmując ludzki wygląd.

– Nawiąż kontakt raz jeszcze. Powiedz, że zmieniłeś zdanie, że

udzielisz informacji za niższą kwotę. Byle nie za niską, żeby czegoś nie zwąchał. Niech to wygląda naturalnie.

– Pojmuję. Gdzie wyznaczyć spotkanie?

– „Pod Wisielcem”, ale nie w noc pełni. Trzy dni później. Muszę poczynić pewne... przygotowania.

Sukuba podeszła, żeby im dolać dymiącego trunku. Demon wyciągnął dłoń i delikatnie powiódł szponem wzdłuż jej biodra. Cofnęła się, jej ogon zamajtał niecierpliwie, po kociemu. Zasyczała, odsłaniając ostre kielki.

– Nie drażnij mi dziewczyn – poprosił zrezygnowanym tonem Heskery, wiedząc, że nic to nie da. Zawahał się. – Jeśli wolno wiedzieć... czego ty właściwie chcesz od tego maga?

Oblicze demona wykrzywiło się nagle, zdeformowało, jakby ktoś chwycił symbiotyczną maskę i zgniótł ją, wykrzywił w karykaturę ludzkiego oblicza. Głos przeszedł w niski pomruk.

– Chcę patrzeć, jak umiera w mękach. Tak jak Adrien de Vere, niech jego imię będzie przeklęte, zdychał w katowni srebrnych.

– Rozumiem. Tak tylko pytałem, z ciekawości. – Sylf wzruszył ramionami.

* * *

Anavri spędziła większość dnia na dworze. Krzyczący, który rano zachowywał się tak, jakby nie miał ochoty na nią patrzeć (złośliwie pomyślała, że pewnie jest mu wstyd), nie zadał jej wprawdzie ćwiczeń dla szermierzy, ale za to polecił doskonalić telekinezę z kamieniami, od najmniejszych do dużych. Zapowiedział, że kiedy wróci od Marshii, chce zobaczyć, jak dziewczyna lewituje na środek jeziora taki kamień, którego on nie byłby w stanie podnieść bez magii. Bała się pytać, jak serio zostało to powiedziane, toteż ćwiczyła wytrwale. Z takim zacięciem, że gdy doszła do otoczek wielkości jabłka, poczuła, że traci siły. Było ciepło, nie chciało jej się wracać do chaty, więc zwinęła się na trawie, na rozpostartej kurtce, i na krótko zapadła w sen. A gdy się obudziła, ćwiczyła dalej. Ale teraz szło jej wyraźnie gorzej, widziała, że się przemęczyła.

– Nie, daj już spokój – powiedział Brune z za jej pleców, kiedy usiłowała utrzymać kolejny chybocący się kamyk w powietrzu. –

Wystarczy.

Drgnęła, tracąc koncentrację. Otoczak głucho łupnął o ziemię.

– Nie czułam, jak podchodziłeś.

– Byłaś skupiona na kamieniu. – Siedział na zboczu. Anavri zdała sobie sprawę, że musiał ją obserwować już od jakiegoś czasu. – Starczy tej zabawy. Jesteś słabsza, niż sądziłem, cholera.

– Czy wyglądam na kogoś, kto ma predyspozycje do rzucania głazami? – zirytowała się.

Prychnął.

– Nie gadaj głupstw, dobrze wiesz, że siła daru ma się dokładnie nijak do fizycznej. Czy Marshia wygląda jak wykidajło z tawerny? Chodź do domu, powinnaś coś zjeść.

W chacie tym razem pachniało kadzidłem. Z pracowni dobiegał podejrzany bulgot. Przez uchylone drzwi Anavri zobaczyła umieszczoną w stojaku szklaną banię, pod którą migotał sinawy czarodziejski płomień. Bursztynowa zawartość bani gotowała się lepko i ospale.

– Kiedy zdążyłeś to nastawić? – zdziwiła się dziewczyna.

– Wróciłem koło południa.

– Czemu tak wcześnie?

– Mam wieści. Ale to za chwilę. Chodź, kucharka Marshii dała mi specjalnie dla ciebie kruche paszteciki z grzybami. Ona was chyba lubi, ciebie i Lorraine znaczy.

– A Zazela mniej, odkąd zakradł się do kuchni i wpadł do miski z kremem. – Anavri zachichotała na samo wspomnienie.

Bez entuzjazmu popatrzyła na wypakowany z torby prowiant – nie miała apetytu. Wydrenowanie z siły życiowej zabijało w jej przypadku głód, zamiast go wzmacniać, zauważyła to już dawno. Zmusiła się, żeby zjeść pasztecik. Brune rozdmuchał ogień w piecu i nastawił wodę na herbatę.

– Jesteś zmęczona – zauważył.

– Trochę.

– Połóż się dzisiaj wcześnie i wyśpij się. Chcę, żebyś była jutro w pełni sił.

– Czemu?

– Pamiętasz tego sylfa, który sędziował podczas pojedynku? Heskieriego?

Przytaknęła, zaintrygowana.

– Próbowałem od niego wydobyć informacje na temat naszego przyjaciela w błazeńskim stroju. Zadeklarował, że nie powie ani słówka, póki mu nie przygotuję, bagatela, fiołki eliksiru Trespinusa. Równie dobrze mógłby mnie poprosić o okruszek księżycy. Wiesz, o jaką substancję chodzi?

– Nie...

– Elikwir Trespinusa to bodaj najsilniejszy środek wzbudzający pożądanie, jaki istnieje. Działa na ludzi, demony i żywiołaki. Destyluje się go ze zwłok pary kochanków, którzy zmarli razem, w swoich objęciach.

– Słodkie – mruknęła Anavri.

– Heskeri stwierdził początkowo, że dopóki nie dostanie eliksiru, nic nie powie. A teraz dał Marshii znać, że zmienił zdanie i chce się ze mną jutro zobaczyć. Zadowolony się butelką salamandrowej esencji w charakterze zapłaty, właśnie mu ją szykuję. Wyruszmy razem, ty i ja.

– Ja też? Po co?

Uśmiechnął się.

– Zdobywać doświadczenie.

12. Karczma w sferach

Anavri zawiązała w pasie szarfę z wyhaftowanymi symbolami i z powątpiewaniem spojrzała po sobie. Czuła się jeszcze bardziej niepewnie niż wtedy, gdy miała być sekundantką Marshii.

Rękaw jej tuniki krył drobny sekret – w pochwie przypiętej do przedramienia tkwił nóż o ostrzu posmarowanym krwią oraz nalewką z żarnowca. Jedyna broń, jaką Krzyczący skłonny był dziewczynie powierzyć, a i to z zastrzeżeniem, że do używania tylko w ostateczności. O ile w starciu na zaklęcia stała się już przeciwnikiem, z którym należało się liczyć, o tyle parę lekcji walki nożem znaczyło tyle co nic.

Brune zanurzył pióro w naczynku z czerwonym atramentem.

– Daj rękę.

Narysował ochronne znaki na grzbietach jej dłoni, potem wręczył dziewczynie dwa zwitki papieru pokryte drobnym pismem.

– Idź na dwór i spal je nad wodą – polecił. – Możesz potem zaczekać na zewnątrz. Zaraz ruszamy.

Wychodząc z domu, Anavri wzdrygnęła się i roztarła ramiona; ranek był zimny. Zeszła nad jezioro. Cisnęła zwitki w powietrze, przytrzymała je telekinetycznie i podpaliła. Jeden zajął się żółtym płomieniem, drugi niebieskim. Patrzyła, jak zmieniają się w popiół.

Brune nie pojawiał się, więc usiadła na kamieniu i patrzyła na góry. W czystym powietrzu precyzyjnie rysowały się najmniejsze szczegóły krajobrazu – widać było każdą skałkę, każdą kępkę kosodrzewiny.

Mdliło ją z nerwów. Odetchnęła, próbując się rozluźnić.

Skrzypnęły drzwi. Z domu wyszła Marshia Lavallo w męskim stroju – czarnej kurtce, spodniach i wysokich butach, wypucowanych do połysku. Elegancka jak zawsze, w koszuli z żabotem.

– Anavri, nie garb się! – zawołała ostro. – Popraw kołnierz! Jak ty wyglądasz?

Dziewczyna oniemiała.

– Pani Lavallo? – spytała niepewnie. – Ale przecież...

Marshia wybuchnęła wesołym śmiechem, który dziwnie do niej nie pasował.

– Słowo daję, kiedy znudzi mi się bycie magiem, poszukam pracy w teatrze – powiedział Brune swoim normalnym głosem. Dotknął twarzy, zdejmując iluzję, po czym przywrócił ją. Anavri aż otwarła usta ze zdumienia, bo zmiana była tak nieduża i jednocześnie tak uderzająca.

Nigdy wcześniej nie doszukiwała się między nimi podobieństwa, wydawali się tak różni na pierwszy rzut oka – wymuskana, dumna Marshia i Brune w swoich zniszczonych ubraniach. A przecież faktycznie wyglądali jak rodzeństwo: zbliżonego wzrostu, jednakowo szczupli i śniadzi. Lśniące czarne włosy, delikatniejsze rysy i odmieniony głos – to wystarczyło, żeby Krzyczący w Ciemności stał się tym młodzieńcem, w którego przeistaczała się Marshia, przywdziewając męski strój.

– Ona wie? – zapytała dziewczyna, ochłonawszy ze zdumienia.

– Dowie się po fakcie.

– Po co ta maskarada?

– W Otchłani znają Marshię lepiej niż mnie. Niech się rozniesie, że wróciła do zdrowia i szuka tego sukinsyna, który napastował jej uczennicę. Może sprowokuje to drania do działań, które pozwolą nam wpaść na jego trop.

– Myślisz, że się nie zorientują? Aura...

– Zazel dał mi ubranie Marshii, to częściowo załatwia problem aury. Mój talent jest słabszy, ale złożą to na karb tego, że dopiero co wyzdrowiała. Zakłęcie imitujące głos działa nie najgorzej. Jest szansa, że się nabiorą. Siła sugestii działa cuda.

– Skoro tak twierdzisz – mruknęła Anavri. Znalazłszy się blisko niego, sama byłaby skłonna przysiąc, że stoi obok rodzzonego brata Marshii, ale nie samej Marshii. – A jeśli nie?

– Nie bój się. – Brune dotknął jej ramienia. – To umówione spotkanie, nie powinno być kłopotów.

– Nie obawiasz się zdrady?

– Taka ewentualność zawsze istnieje – przyznał po chwili milczenia. – Gdyby doszło do walki, rób tak, jak ćwiczyliśmy. Tarcza, wicher, zdejmujesz talizman i dematerializujesz się do enklawy. I tyle.

O mnie się nie trap, bywałem w gorszych opałach.

Anavri skinęła głową. Wyczuła, że jego nonszalancja jest udawana, że tak naprawdę jest spięty i niespokojny. Bał się, tylko umiejętnie to ukrywał. Zwykłego człowieka mógłby zwieść, ale jej nie.

* * *

Myląc na wszelki wypadek trop, zmaterializowali się najpierw na zasnutych mgłą bagniskach, w siąpiącym deszczu, a dopiero potem w miejscu docelowym.

Gdy tylko kontury świata się wyostrzyły, Anavri zmarszczyła nos, z powrotem zapinając na przegubie zaczarowaną bransoletkę. Niebo parzyło oczy siarkowożółtą barwą. Powietrze pachniało spalenizną. Stali na wyłożonej kamiennymi płytami drodze, biegnącej przez jałowy krajobraz – wzgórze barwy ołowiu, bez jednego źdźbła trawy.

– Chereon – powiedział Krzyczący. – Ósme dominium astralne. To jedno z tych miejsc w sferach, które właściwie należą już do Otchłani.

Przed nimi, w kotlinie, znajdowało się skupisko budynków o dziwacznej architekturze, najeżonych wieżyczkami i gargulcami. Z jednego z dachów poderwał się czarny, dwugłowy stwór. Załopotał błoniastymi skrzydłami i odleciał ociężale.

– Osada?... – spytała dziewczyna.

– Powiedzmy. Kiedyś ta ziemia należała do salamander, ale wyniosły się, bo nie były w stanie znieść sąsiedztwa Otchłani. I Otchłań zagarnęła ten teren, ale kolonizują go stopniowo. Jakies dwie mile stąd wznoszą się nowo zbudowane katownie Doliny Ostrzy. Tu, w tych budynkach, gnieździ się jedynie garść wyrzutków. Poślednich demonów, wyjętych spod prawa żywiołaków, pewnie kilka mormolyke. Ale, co ważniejsze, mieści się tu również karczma, w której chcemy zasięgnąć języka. Nazywa się „Pod Wisielcem”.

– Słodkie – mruknęła Anavri. – I nie rozszarpią nas tam od progu?

– Zobaczymy. Trzymaj się blisko mnie i nie reaguj na zaczepki.

Stłumiła złość, choć niepoważna odpowiedź sprawiła, że od razu się w niej zagotowało. Doprawdy wolałaby mieć pewność, że towarzysz wie, co robi.

Gdy podchodzili do osady, ich oczom ukazały się spiętrzone na jej

obrzeżach sterty rupieci. Były tam rozwalone wozy bez kół, prujące się kołdry, szmaty, garnki, krzesła, sienniki, deski i zardzewiałe żelastwo, lecz Anavri wypatrzyła też walające się w brudzie srebrne i złote monety, biżuterię i drogie szaty.

– Widzisz te kosztowności? – spytała szeptem.

Brune pokręcił głową.

– To wszystko śmieci. I lepiej się w nie za długo nie wpatrywać. Na tym wysypisku żyją różne paskudne stwory.

Jakby na potwierdzenie jego słów jedna ze stert poruszyła się, coś spadło z brzękiem. Zza stosu połamanych mebli wypełził pokraczny kształt. Baryłkowate cielsko porośnięte zlepionymi kłakami burej sierści, długa, giętka, bezwłosa szyja, a na jej końcu główka kobiety.

– Wspomóżcie przemienioną księżniczkę – zachrypiał głosem jak z dna beczki. Brune zignorował go.

Zabrzmiało dzikie hałakowanie i kilkanaście kroków dalej nad rupieciami zatańczył wir – miniaturowa trąba powietrzna. Kręciel lub inny złośliwy wietrzny duch.

– Należy się opłata za bezpieczne przejście – zaskrzeczał. – Dukat od pana i całus od paniutki!

– Żryj kurz – warknął zmij; jego oczy zalśniły żółto. Duch zaklął brzydko, lecz nie odważył się zbliżyć, podążał za nimi w pewnej odległości. Anavri, spięta, w przeczuciu niebezpieczeństwa przywołała moc.

Gdy już prawie wkraczali między budynki, nagle nad ich głowami, młynkując, przeleciała sztacheta. Brune odwrócił się, w jego rękę błysnęło ostrze.

– O nie, tak się ze mną nie będziesz bawił – syknął. Przymierzył się i cisnął sztyletem w sam środek wiru. Zabrzmiał wrzask. Wir rozproszył się, śmieci, kamyki i gwoździe posypały się ze stukotem. Brune wyciągnął rękę, a sztylet przyfrunął z powrotem do niego.

Karczma mieściła się przy ryneczku, w budynku z podcieniami. Gdy się doń zbliżyli, Krzyczący zmarszczył brwi. Z daleka słyhać było głośnie muzykę, przytupywania i gwizdy.

– Psiakrew, wesele tu dziś mają czy co? – mruknął. Anavri wyczuła jego nagły niepokój i stanowczo zmusiła się, żeby opanować strach.

Nikt nie pilnował wrót karczmy, weszli do środka niezatrzymywani. Przystąpiwszy próg, Anavri wstrzymała oddech,

gdy uderzyły ją gorąco i zaduch, odór dymu tytoniowego i zwierzęcego potu. Goście usadowieni przy stołach po lewej stronie lokalu palili wielkie fajki wodne. Coś przebłyskiwało przez kłęby dymu – uświadomiła sobie, że to szklance wypełnione fosforyzującym zielonym trunkiem. Kilka kobiet – kobiet? – monstrualnie grubych, o obwisłych piersiach i kończynach porośniętych futrem, uwijało się z tacami.

Muzyka ogłuszała, jej gorączkowy rytm sprawiał, że nogi same rwały się do przytupywania. Na wolnej przestrzeni pośrodku sali hulał tłum tancerzy. Widok był niesamowity, bo wszyscy nosili maski. Nie symbiotyczne, lecz drewniane i porcelanowe, powykrzywiane w złowrogich grymasach. Na podwyższeniu z prawej stali muzykanci – ogoniaści, czerwonoocy, równie groteskowi jak całe otoczenie. Jeden produkował się na przedziwnym instrumencie przypominającym szkielet wielkiej ryby, drugi wydobywał straszliwe dźwięki z dudów, trzeci grał na dużej fletni, czwarty, niski i pękaty, walił dwoma piszczelami w kilka bębnow.

Brune mocniej ścisnął dłoń dziewczyny. Usłyszała telepatyczny komunikat:

Możliwe, że Heskero gra na dwa fronty. Jeśli tak, czekają tu na nas. Bądź czujna.

Anavri w myślach przeklęła jego gotowość do pakowania się prosto w paszczę lwa. Ale posłusznie dała się pociągnąć w tłum.

Brune starał się manewrować wzdłuż ściany, lecz chwilę później prosto na nich wytoczył się osobnik z bawolimi rogami, barczysty jak szafa. Beknął gromko i wyciągnął łapę z wyraźnym zamiarem uszczypnięcia Anavri. Ta uchyliła się odruchowo. Puściła dłoń zmija tylko na sekundę, ale to wystarczyło. Znalazła się na drodze korowodu tancerzy i nim zdążyła się obejrzeć, goły do pasa koźlonogi stwór porwał ją w tan, obejmując w pół. Cuchnął adekwatnie do wyglądu, a uchwyt miał niczym z żelaza. Nie wiedziała, jak się uwolnić, nie zwracając na siebie uwagi, więc usiłowała dotrzymać kroku niechcianemu partnerowi, nie depcząc mu w ścisku po racicach. Brune zniknął jej z oczu.

* * *

W izdebce na piętrze, opróżnionej z mebli, na drewnianej podłodze wymalowano czarną i czerwoną farbą mnóstwo wzorów. Pentagramy, heksagramy, spirale, kwadraty, kręte linie splatające się w labirynt. Pośrodku tego wszystkiego płonąła pojedyncza świeca.

Mężczyzna w stroju błazna stał przy oknie, patrząc w zadumie na pustą ulicę. Jego rysy powoli przemieniały się z ludzkich w owadzie i z powrotem. Gdy zastukano do drzwi, przemówił szorstko:

– Wejść.

Do pomieszczenia wsunął się pękaty stworek z łebkiem bekasa.

– Wasza jadowitość... – przemówił, klekocząc dziobem. – Ci *ka-ira* są już na dole, w karczmie.

Błazen-niebłazen odwrócił się od okna, zastygając na chwilę w ludzkiej postaci.

– Wiem – odrzekł. – Kontynuujcie plan.

– Jesteście pewni? Towarzysz dziewczyny nie odpowiada opisowi.

Wygląda raczej jak...

– To on – zasyczał demon, a jego twarz na powrót stała się główką owada. – Poznałbym go na końcu świata. Działajcie dalej tak, jak było umówione. I niech zmiennokształtny dopasuje się do tego, co widzi.

– Wedle rozkazu. – Stworzenie skłoniło się i wycofało.

Wzrok demona po raz setny powędrował w kierunku wzorów. Świeca, sporządzona z krwi salamandry, żółci gnoma, tłuszczu undyny i oddechu sylfa, ustawiona była pośrodku trzech koncentrycznych kręgów, a tuż koło niej wypisano czarnym kolorem trzy znaki.

Imię.

* * *

Muzyka zmieniła się; bęben bił teraz w marszowym rytmie, a krąg tańczących rozdzielił się na dwa mniejsze kręgi, które obracały się przy wtórze klaskania. Koźlonogi puścił dziewczynę równie nagle, jak ją pochwycił. Anavri wywinęła się z korowodu, przylgnęła do ściany, by jej nie zdeptano. Rozejrzała się, zdezorientowana i przestraszona. Z ulgą dostrzegła przy wyjściu znajomą sylwetkę. Przepchnęła się w tamtą stronę.

– Wychodzimy – oznajmił Brune, gdy tylko ją zobaczył. Raz jeszcze

omiótl ciżbę niespokojnym spojrzeniem. Anavri zauważyła, że iluzja na jego twarzy częściowo się rozviała – znów widać było szramy na policzku.

– Twój kamuflaż... – szepnęła, ale uciszył ją ruchem ręki. Posłusznie ruszyła za nim, zachowując pytania na później.

Kiedy opuścili budynek, Brune poprowadził ją w stronę wylotu uliczki. Dopiero gdy oddalili się nieco od karczmy, Anavri wyczuła coś, co ją zmroziło.

Aura. Tak podobna, że omal nie zwróciłaby uwagi... ale jednak minimalnie inna.

Przerażenie rozlało się lodem po ciele dziewczyny, prawie ścinając ją z nóg. Nim zdążyła pomyśleć, instynkt *ka-ira* zareagował za nią.

Niewidzialność. Zniknąć.

Skryta za iluzją, rzuciła się biegiem z powrotem do karczmy.

– Wracaj! – ryknął ten ktoś, kto podszył się pod Krzyczącego. Gdy obejrzała się przez ramię, morfował, rósł w oczach; jego odzież opadła, skórę pokryła sierść. Zakłapał paszczą...

W tym samym momencie dobiegająca z budynku muzyka urwała się. Karczma zafalowała jak oglądana przez rozgrzane powietrze. Anavri poczuła potężne wahnięcie mocy i dotarło do niej, że dzieje się coś strasznego.

* * *

Krzyczący rozejrzał się za dziewczyną, klnąc w duchu. Zniknęła, choć przed sekundą miał ją w zasięgu wzroku.

Zdał sobie sprawę, że muzyka znów się zmieniła; dominowały w niej niskie, wibrujące tony. Nieregularne uderzenia bębna potęgowały narastający w nim niepokój, przecucie zagrożenia. Gdyby był sam, czym prędzej opuściłby to miejsce, ale nie mógł przecież zostawić uczennicy!

W tłoku nie mógł nawet marzyć o tym, by ją wyczuć zmysłami maga. Rozpaczliwie potoczył wzrokiem po ciżbie, a ponieważ nigdzie nie widział dziewczyny, zaczął powoli przesuwać się w stronę wyjścia.

Nagle wolna przestrzeń wokół niego powiększyła się. Zdziwiony ujrzał, że istoty, które dotąd tłoczyły się pod ścianami i przy stolikach, dołączają do tańczących. Chwilę później znalazł się w centrum

obracającego się powoli podwójnego kręgu tancerzy, którzy teraz przemieszczali się sztywno, urywanymi ruchami, niczym kukiełki na sznurkach.

Nawet nie zdążył się przestraszyć, gdy jedna z zamaskowanych istot wystąpiła z korowodu, ściągnęła pelerynę oraz maskę i cisnęła je na podłogę.

Mężczyzna w kubraku uszytym z kolorowych łąt uśmiechnął się brzydko. Skinął ręką. Brune chciał przywołać moc, postawić tarczę, lecz – jak w złym śnie – dar go nie posłuchał.

Takie rzeczy przydarzają się Anavri, nie mnie! – zdążył pomyśleć, nim objął go paraliż; ciało przestało słuchać rozkazów woli. Unieruchomiony, mógł już tylko patrzeć i czuć, jak aura karczmy zmienia się, kształtowana przez czar, który dopiero nabierał mocy. Nie srebrny i nie czarny – czar Otchłani.

Dopiero teraz zmij pojął, że pułapka zamykała się wokół niego, odkąd przekroczył próg karczmy. Muzyka, figury dziwnej tańca – to wszystko miało swój cel, niczym kamyczki układające się w mozaikę.

I nie potrafiłem tego dostrzec... Ślepy, ślepy dureń!

Naokoło podnosiła się mgła, przesłaniając sylwetki tancerzy. Błazen-niebłazen oblizwał blade usta czarnym, ruchliwym językiem.

– Witaj, Deuvenie de Ragues – powiedział. – Nie sądziłem, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

* * *

Anavri wiedziała, że iluzją kupiła sobie co najwyżej dodatkową sekundę – była w stanie zmylić wzrok ścigającego, lecz nie jego węch i słuch. Błyskawicznie przekalkulowała możliwości. Mogła się zdematerializować, zbiec w sfery, ale bała się uciekać sama. A jeśli nie zdoła zmylić tropu? Cokolwiek się tu działo – wołała stawić temu czoła z Krzyczącym. Nawet jeżeli to jemu groziło teraz większe niebezpieczeństwo niż jej.

Wiedziała – czuła – że nadal znajdował się w karczmie. W biegu rozpięła bransoletkę, zacisnęła ją w dłoni i skupiła się.

Brune!

Ścigający ją potężny wilkopodobny stwór zawył z wściekłością, gdy

ofiara, od której dzielił go już ledwie jeden sus, zniknęła – tym razem nie pod iluzją, lecz naprawdę.

* * *

Szepty.

Otaczały go, narastając w upiornym crescendo.

Naokoło gęstniała mgła, ziębiąca aż do kości. Nie mógł się poruszyć, nie mógł choćby drgnąć.

W uszach dźwięczało mu jedno jedyne zdanie, powtarzane wciąż i wciąż przez chór tancerzy w maskach.

Mam cię, Deuvenie de Ragues.

* * *

Wylądowała w lodowatej szarości. Straciła równowagę, znalazła się na czworakach. Zdezorientowana pokręciła głową. Zmysłami maga czuła, że jest w karczmie, czuła obecność tłumu dziwnych istot, lecz wszystko wokół było nieruchome i w niewytłumaczalny sposób odmienione. Jakby aura tego miejsca została zamrożona i skryształizowała się w obcy, przerażający wzór.

Sekundę później to wrażenie prysło. Anavri odetchnęła. Zimny opar rozwiewał się; wkrótce już mogła się rozejrzeć. Zobaczyła, że klęczy pośrodku kręgu tancerzy, którzy zastygli, widocznie unieruchomieni zaklęciem. Tuż obok stał Brune, też jak skamieniały, z uniesioną ręką i wyrazem zaskoczenia na twarzy. A naprzeciw niego błazen-niebłazen, dzierżący w szponach... małą złotą klatkę.

Zarejestrowała to wszystko w ułamku sekundy, wstając.

Niebłazen otrząsnął się pierwszy. Przypadł do pękatego stworka z długim dziobem, wygrażając pięścią.

– Osły! – zaryczał. – Mówiłem, że macie wywabić dziewczynę na zewnątrz! Zepsuła czar!

Zabrzmiał chóralny wrzask wściekłości, a wtedy Brune też ocknął się z odrętwienia. Uczynił gest, jakby czymś rzucał – i fala mocy poleciała rozszerzającym się okręgiem, w którym gdzieś migotały płomienie. Rozległ się łomot przewracanych sprzętów, krzyki i przeraźliwe wycie. Anavri kątem oka ujrzała ogień wykwitający

jaskrawo w jednym, dwóch, trzech miejscach – tam, gdzie znajdowały się kałuże rozlanego trunku. Potem Brune chwycił ją za rękę i zdematerializowali się razem.

Wylądowali z chlupotem w bloku po kolana. Wokół rozciągały się moczary porośnięte martwą roślinnością, a z góry siąpiła ciemna maź, cuchnąca padliną. Smród wyciskał łzy z oczu. Anavri zakrzuszyła się, zakryła usta tuniką.

Brune zachwiał się i wsparł na niej całym ciężarem – cudem nie przewrócili się oboje. Dziewczyna podtrzymała go, przestraszona. Szczekał zębami od dreszczy wywołanych wyczerpaniem.

– Użycz mi sił – poprosił ochryple.

Schyliła głowę i zacisnęła zęby, gotując się na znajome ukłucie bólu. Zacerpnał ostrożnie, żeby jej zanadto nie osłabić.

– Co to było, tam w karczmie? – spytała cicho.

– Próbowano mnie spętać i pozbawić mocy – wyjaśnił. – Prawie im się udało. Magia Otchłani, psiakrew. – Splunął, jakby chcąc się pozbyć plugawego smaku. Anavri chciała spytać, czy nie jest ranny, ale w tym momencie czujnie uniósł głowę.

– Szuka nas – szepnął. – I znajdzie. – Twarz drgnęła mu w tiku. – Kiedy ci powiem, przeniesiesz nas... Tam, dokąd wskażę. Przygotuj się.

Chwilę później w zasięgu wzroku zmaterializował się niebłazen, rozbryzgując błoto. Widząc osłabionego przeciwnika, wybuchnął śmiechem. Równocześnie w umyśle dziewczyny pojawiła się wizja. Stare mury, ociekające wilgocią, plamy fosforyzującego mchu.

Anavri zebrała się w sobie, przełamując osłabienie po czerpaniu i błogosławiąc fakt, że dematerializacja zawsze przychodziła jej tak łatwo. W następnej chwili stali w miejscu, którego obraz zwizualizował dla niej Krzyżący. Wewnątrz mrocznej budowli o starożytnym wyglądzie, ze sklepieniem wspartym na kolumnach. Nieopodal wznosił się ołtarz, zaś na posadzce leżał posąg, zwalony z postumentu i pęknięty na trzy części. Wciąż jeszcze można było dostrzec, że połowę jego oblicza pomalowano niegdyś na białą, drugą zaś – na czerwoną.

Brune wyprostował się, odetchnął. Wyglądało na to, że wraca do siebie.

Demon zjawił się kilka sekund po nich, lądując z takim impetem, że

mury zadrżały. W czasie pościgu porzucił błazeński strój oraz ludzką postać; przypominał teraz gigantycznego karalucha. Wstrętny i groteskowy, budził zarazem obrzydzenie i grozę.

– Co to za miejsce? – zasyczał, ruszając czułkami.

– Świątynia Eresha w dziewiątym dominium astralnym – powiedział Brune zmienionym, ochrypłym głosem. Wyjął coś z zanadrza, zacisnął w palcach, i zdawało się, że nagle urósł. Jego źrenice zapłonęły. – Splugawiliście ją, zniszczyliście posąg, zbezczęściliście ołtarz. Ale tutaj, skurwielu, to ja jestem silniejszy.

Uniósł dłoń, w której trzymał tajemniczy mały przedmiot, i szepnąwszy coś, przeistoczył się w ożywiony cień o żółtych ślepiach. Czując wzbierającą wokół czerń, przerażona Anavri zakryła rękami głowę i zamknęła oczy. Rozległ się huk, od którego świątynia zadygotała w posadach.

Gdy dziewczyna odważyła się opuścić ręce, panowała cisza, przerywana jedynie kapaniem wody. Brune powrócił do własnej umazanej szlamem postaci. Oddychał ciężko.

– Piorun Borseliusa – wyjaśnił urywanym głosem. – Najsilniejszy czar bojowy, jaki znam.

– Zabiłeś drania?!

– Nie tak łatwo zabić demona. Uciekł. Wystraszył się, kanalia – dorzucił z mściwą satysfakcją.

Anavri nie umiała przestać myśleć o tym, co ujrzała chwilę wcześniej.

Czym ty jesteś, na bogów?

Nie odważyła się zadać tego pytania na głos. Spytała jedynie:

– Co to za talizman?

– Gemma Eresha. – Pokazał jej owal ze smoczej kości z wyrzeźbionym wizerunkiem bóstwa.

– To nie jest prawdziwy talizman – zauważyła niepewnie. – Nie ma aury...

– Ale działa, jak miałaś okazję się przekonać. – Brune wsunął gemmę do kieszeni. W tej samej chwili przez budowlę przebiegło drżenie, ze sklepienia osypało się kilka kamyczków. Popatrzył do góry.

– Lepiej zabierajmy się stąd – rzucił. – Nie zdziwię się, jeśli te mury zaraz runą.

– Dematerializacja?

– A jak sądzisz? Czy to dobry pomysł, żeby zostawiać tutaj ślad po portalu?

– No tak – zawstydziała się. Po chwili podjęła: – Jeśli dematerializacja, to może lepiej ja. Ty zachowaj siły.

Po namyśle przyznał jej rację.

– Tu będzie trudno – ostrzegł ją jedynie. – Aura tego miejsca jest zaburzona... Zwizualizuj to miejsce w dominium gnomów, gdzie kiedyś ćwiczeliśmy walkę. Powoli. Nie spiesz się.

– Wiem – mruknęła. Ujęła go za rękę i przywołała moc.

Zdematerializowali się, lecz coś poszło nie tak. Zamiast wielobarwnej przestrzeni między sferami otoczyły ich wirujące białe płatki. Mroźny wiatr wyciskał łzy z oczu, właczał oddech do gardła.

Anavri poczuła, że ręka zmija wysuwa się z jej dłoni. Brune krzyknął ostrzegawczo, lecz jego głos zginął wśród szumu zawiei.

W następnej chwili mróz i śnieg ustąpiły miejsca wilgotnej szarówce. Dziewczyna wylądowała z takim impetem, że straciła równowagę. Odruchowo podparła się rękami, a te zatoneły w czymś śliskim i mokrym. Pod sprężystym podłożem z mchów zachlupotało, rozszedł się bagienny, torfowy zapach.

Anavri dźwignęła się ostrożnie i rozejrzała, wdzięczna darowi, że rzucił ją w miejsce, w którym nie groziło jej natychmiastowe utonięcie.

Te mokradła wyglądały dużo bardziej ziemsko niż poprzednie. Spowite były mgłą, w której posepnie majaczyły krzywe pnie olch, wyciągających gałęzie niby chude palce. Nieopodal grunt obniżał się, przechodząc w zarośnięte trzcinami trzęsawisko.

– Brune! – krzyknęła przerażona, widząc, że jest sama.

Po przeraźliwie długiej chwili coś poruszyło się wśród kęp. Krzyżący wynurzył się z ciemnej wody i wspiął na suchszy grunt. Odgarnął z oczu zlepione włosy, strząsnął z siebie rzęsę i splunął, cedząc ohydne przekleństwa.

Anavri, ogarnięta ulgą, stłumiła śmiech. W dzieciństwie miała dużego pręgowanego kota, który nie chciał grzecznie siedzieć w domu, tylko wylaził na włóczęgi. Pewnego razu gdzieś oblano go pomyjami. Przyszedł, miaucząc z pretensją, śmierdzący, z posklejaną sierścią. Umycie go ręcznikami maczanymi w ciepłej wodzie wymagało pomocy Fabiena, bony i pokojówki. Na twarzy zmija malowała się teraz – wypisz, wymaluj – tamta kocia mina dogłębnego obrzydzenia.

– Żyjesz? – zawołała dziewczyna, lecz uciszył ją ruchem ręki. Odwrócił się i czujnie zlustrował trzęsawisko. Na wszelki wypadek przypadła do ziemi, ale nic nie wynurzało się z toni. Krzyczący, najwidoczniej uspokojony, ściągnął buty i wylał z nich wodę.

Nagle rozległ się ostry, dziwny pisk, a potem wszystko stało się bardzo szybko. Brune odtoczył się na bok. Gigantyczny nietoperz, pikujący w miejsce, gdzie żmij znajdował się przed sekundą, zgarnął tylko but, a odlatując, upuścił go w bagno. Chlupnęło. Potwór wzbił się i odleciał ciężko, majestatycznie.

Brune pozbierał się i patrzył za nim, oniemiały. Uniósł dłoń, ale zrezygnował – poczwara była już zbyt daleko. Syknął więc jedynie rozkazująco w mowie magów. Trzewik wyleciał z błota i wylądował w jego wyciągniętej ręce.

– No co? – warknął żmij, napotkawszy spojrzenie uczennicy. – Nie będę wracał w jednym bucie.

– C-co to było? – wyjąkała.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Spieprzamy stąd, królewno.

W tym momencie ziemia pod ich stopami zafalowała, prawie zwalając oboje z nóg. Zabulgotało, zamlaskało, zachlupotało. Z trzęsawiska powoli zaczęła się wynurzać obrosnięta mchem i trzcinami głowa wielkości wyspy. Otworło się żółte oko...

Anavri zareagowała szybciej. Złapała towarzysza za rękę, przywołując obraz enklawy w górach. W następnej sekundzie, niematerialni, płynęli już przez wielobarwną przestrzeń między sferami.

Bagienny olbrzym z głupawym zdumieniem wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą stali ludzie.

* * *

Zmaterializowali się na progu domostwa i chwiejnie weszli do kuchni. Trzy dematerializacje krótko po czerpaniu kompletnie pozbawiły Anavri sił. Brakowało jej energii nawet na to, żeby narzekać. Popatrzyła tylko z obrzydzeniem po sobie i przetarła rękawem umorusaną twarz, jeszcze bardziej rozmazując na niej ciemne smugi. Nie chciała siadać na ławie w mokrym i brudnym ubraniu, więc z rezygnacją opadła na podłogę. Po chwili już spała z głową opartą

o kolana.

Brune też był zmęczony, ale nie aż tak. Rozpalił w piecu i nastawił sagan wody, ciesząc się, że tego ranka przewidująco dopełnił beczkę. Wiedział, że musi się skupić na prostych czynnościach. Upewnić się, że w enklawie są bezpieczni, potem umyć się, przebrać, zjeść coś. Chwilowo nawet nie czuł głodu.

Zostawiwszy śpiącą dziewczynę, wyszedł na dwór, żeby zająć się wzmocnieniem czarów ochronnych wokół domu. Wiedział, że przynajmniej na to musi znaleźć siłę. Kiedy skończył kreślić na ziemi znaki i szeptać zaklęcia, zbadał jeszcze otoczenie zmysłami maga, lecz nie wyczuł niczego podejrzanego.

Woda zdążyła się podgrzać prawie do wrzenia, więc wyniósł sagan do zmywalni, na ogniu postawił drugi i delikatnie zbudził Anavri, którą perspektywa doprowadzenia się do porządku trochę ożywiła. Gdy wyszła, usiadł na jej miejscu i zapadł nie tyle w drzemkę, co w niemrawe odrętwienie. Dwa razy zmusił się do wstania – żeby dołożyć dREW i żeby zestawić wrzątek z pieca.

Nie był pewien, ile czasu minęło, zanim w drzwiach pojawiła się jego uczennica, już umyta i przebrana w suchą odzież.

– Namoczyłam moje rzeczy w ceberku – powiedziała. – Dobrze się czujesz?

Mruknął coś na odczepnego. Dźwignął się z trudem i znowu wyszedł na zewnątrz, bo z niesprecyzowanych względów czuł niepokój.

Raz jeszcze obszedł dom naokoło. Nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Wrócił do kuchni. Anavri siedziała przy piecu, rozczesując mokre włosy.

– Coś nie gra? – spytała.

– Sam nie wiem, psiakrew – mruknął. Wyjrzał za okno. Księżyc prawie skrył się za szczytami gór. W materialnym świecie zapewne dochodziła północ.

– Brune? Nic ci nie chcę mówić, ale...

Westchnął.

– Nic nie mów. Idę się myć.

Kiedy po dłuższej nieobecności zjawił się z powrotem, czując się zdecydowanie lepiej, Anavri znowu spała, zwinięta w kłębek na ławie. Przyniósł koc i okrył ją, potem zszedł do spiżarki po jedzenie.

Ogień w piecu zdążył przygasnąć do mrugającego żaru. Brune

dolozył drewna i nastawił wodę na herbatę. Jadł, patrząc to na dziewczynę, to w okno, i zastanawiał się, czy lada chwila sam nie zaśnie z połówką suchara w ręku.

Anavri zbudziła się, kiedy napar już naciągał. Usiadła na ławie, przecierając oczy.

– Co jest w tej flaszcze? – spytała.

– Rum. Chcesz trochę do herbaty?

– Polej – odparła po zastanowieniu.

Podał jej parujący kubek. Anavri ukroiła sobie sera i sięgnęła po miseczkę z suszonymi morelami.

Brune skończył jeść, dopił herbatę, potem położył głowę na rękach i przymknął oczy. Ciepła woda, posiłek oraz odrobina rumu sprawiły, że wszystkie wydarzenia minionego dnia nagle wydały mu się nieistotne. Myśli odpływały, trzask ognia uspokajał.

Zdawało mu się, że minęła tylko chwilka, zanim usłyszał głos dziewczyny.

– Hej! Nie śpij, bo cię okradną!

Otrząsnął się z wysiłkiem, przetaił oczy.

– Idziemy spać – stwierdził. – Enklawa mnie ostrzeże, gdyby coś się działo.

Wstając, Anavri zachwiała się i przytrzymała stołu.

– Niech cię szlag, upiłeś mnie! – stwierdziła ze śmiechem.

– Jesteś po prostu senna – uspokoił ją, nieco mijając się z prawdą. Wypili niewiele, ale rum był mocny, a oni zmęczeni. Jemu też lekko szumiało w głowie.

Zmusił się, żeby wyjść jeszcze na dwór i po raz ostatni sprawdzić, czy aby na pewno domostwo jest dobrze zabezpieczone. Kiedy wszedł do sypialni, dziewczyna już leżała na pościeli, oddychając cicho i równo.

Brune położył się i otulił kocem. Był pewien, że usnie, gdy tylko zamknie oczy, ale nie. Zmęczenie oraz żywe jeszcze wspomnienie upiornego rytuału w karczmie źle podziały na jego wyobraźnię. Na granicy świadomości pełzały nieprzyjemne obrazy – czarne kształty, wykrzywione twarze, jakby echa czegoś zapomnianego, co usiłowało wrócić...

Tknięty niewytłumaczalnym lękiem, usiadł. W chacie panowała cisza. Słyszał bicie własnego serca.

I nagle, bez ostrzeżenia, spadły na niego majaki.

Miasto spowite dymem, ogarnięte zarazą – stosy płonące na ulicach, pod ścianami domów trupy i jęczący chorzy.

Jasnowłosa dziewczyna umiera, krzycząc; na jej rękach i twarzy – plamy wybroczyn. Nie mogę jej w żaden sposób ulżyć, bezsilnie ściskam siną, zimną dłoń.

Kukła ulepiona z popiołów, rozsypująca się w proch...

– Szlag... – jęknął. Oddychał tak szybko, że zaczynało mu się kręcić w głowie i nie był w stanie nad tym zapanować. Wbił zęby w wierzch dłoni; dopiero ból go otrzeźwił.

Anavri zbudziła się i patrzyła z przerażeniem.

– Co ci jest?!

– Wyczerpanie – mruknął. – Odezwało się z opóźnieniem. – Odzyskał już spokój na tyle, żeby kłamać bez zajknięcia.

Wstał i trzęsącymi się rękami odrzucił wieko skrzyni. Szybko znalazł to, czego potrzebował. Woreczek z opium, lufka.

Chciał zapalić podwójną dawkę, na szczęście w ostatniej chwili przypomniał sobie, że przecież po kilku tygodniach bez narkotyku wzrosła mu wrażliwość.

Usiadł na sienniku z lufką w palcach i przywołał ogień. Płomyk ogrzał szklaną bańkę, brunatne grudki zaczęły się topić i uwalniać opary. Brune chciwie wciągnął słodkawy dym, przytrzymując go w płucach.

Nigdy, ale to nigdy dotąd opium nie przyniosło mu takiej ulgi – czuł, jak z każdym oddechem rozluźniają się spięte mięśnie pleców, zaciśnięte szczęki.

Po chwili podniósł na dziewczynę lekko przymglony wzrok.

– Jeśli zapach ci przeszkadza, idź do kuchni.

13. Opinia specjalisty

Ulice Eume tonęły w mlecznym oparze. Miasto ospale budziło się do życia. Otwierano sklepy, wozy z turkotem pełzły w stronę placów targowych, zebracy wlekli się, by zająć najlepsze miejsca.

Zakutany w pelerynę z kapturem Zander spiesznie szedł bulwarem. W zanadrzu miał list od Opiekunki Miasta oraz drugi od człowieka, z którym miał się spotkać, a w głowie mnóstwo wątpliwości.

Na przystani poniżej spichlerzy czekał na niego akolita. Nie miał na sobie białej szaty, tylko normalne odzienie – ciemny kaftan, spodnie, wysokie buty – lecz na jego piersi błyszczał srebrny medalion w kształcie pentagramu.

– Kapitan Lybius Zander, ze straży miejskiej? – Usłyszawszy potwierdzenie, odwrócił się ku łodzi przycumowanej przy nabrzeżu i zaklaskał w dłonie.

Tuż nad linią wody zapłonęły czerwone ślepia. Dziób miał kształt poczwarnego pyska, smoczego czy rybiego. Łódź była golemem.

– Niech wsiadają – rozkazał stwór zgrzytliwym głosem.

Oślupiały Zander popatrzył na akolitę. Ten zapraszająco skinął głową.

Gdy obaj zajęli miejsca, młodzieniec tylko pstryknął palcami, a cuma sama się rozwiązała i zwinęła. Zabrzmiał pomruk maszynerii, woda za rufą zapieniła się i łódź odbiła od nabrzeża. Zander, niechętny wynalazkom srebrnych, stłumił niepokój, gdy pomyślał o odległości dzielącej Eume od Wyspy Łabędzi.

Płynęli wzdłuż najstarszej części miasta. Drewniane rudery majaczyły we mgle jak zwidy senne. Trzaskały okiennice, raz i drugi zabrzmiało pianie koguta. W niektórych tawernach jeszcze się bawiono; podmuch wiatru przyniósł dźwięki skrzypek, pijackie okrzyki, piskliwy kobiecy śmiech.

– Jak postępuje śledztwo? – zagadnął akolita. Kapitan, wyrwany z zadumy, spojrzał na niego.

– Nadal brakuje nam punktu zaczepienia.

– Sześć ofiar, jak słyszałem?

– Sześć.

– Osiem lat temu w Yever Laren grasował człowiek, który porywał dzieci – oznajmił młodzieniec takim tonem, jakby mówili o pogodzie. – Zabił ponad dwadzieścioro. Miał kryjówkę w miejskich kanałach i gromadził tam zwłoki. Zjadał serca i mózgi. Spał na kościach.

– I co się z nim stało? – zapytał uprzejmie Zander.

– Podczas wielkiego zachwiania przyszedł rozkaz, że mamy się nim zająć. Pojmaliśmy drania, a potem na rynku odbyła się egzekucja. Z Wyspy Skorpionów sprowadzono bestię, która pożarła go żywcem. Byłem przy tym.

Kapitan spróbował ocenić wiek chłopaka, ale dał za wygraną. Srebrni, poza nielicznymi wyjątkami, przez długie lata zachowywali nienaturalnie młody wygląd w połączeniu z urodą, która miała w sobie coś rozczarowującego, jakby wszystkie te przystojne, okolone długimi włosami oblicza wychodziły spod jednej sztancy.

Dotarli do ujścia rzeki. Gdy wydostali się na otwarte wody zatoki, łódź przyspieszyła. Zander ciaśniej owinął się płaszczem i ukrył twarz w podniesionym kołnierzu. Nie na wiele się to zdało, zimne podmuchy nadal dawały mu się we znaki.

Miał szczerą nadzieję, że eks-mag Dakin, dawny łowca skażonych talentów, będzie miał coś konstruktywnego do przekazania.

* * *

Na Wyspie Łabędzi, skalistej i niemal pozbawionej roślinności, wznosił się kompleks białych budynków. Arkady, kolumny, krużganki, spiczaste dachy. Zander nie miał czasu się dobrze przyjrzeć. Akolita poprowadził go schodami wyciętymi w skale do bocznego wejścia, a potem wąskimi, ciemnymi korytarzami. Woń starych murów i soli mieszała się z napływającym skądś ostrym zapachem octu i siarki. Minęli uchylone drzwi, za którymi trzech mężczyzn w błękitnych szatach wyciągało linami z kadzi kształt wyglądający niepokojąco – jak olbrzymia, pozbawiona skóry noga.

Akolita zatrzymał się przed kolejnymi drzwiami, zastukał i zajrzał, po czym się cofnął.

– Proszę, wchodźcie – oznajmił. – Ja tu zaczekam.

Pomieszczenie okazało się pracownią o oknach wychodzących na morze. Stało tam kilka częściowo rozmontowanych golemów. Na posadzce walały się części. Przy stole siwobrody mężczyzna w błękitnej szacie i roboczym fartuchu pochylał się nad czymś, co wyglądało jak duża pancerna rękawica, ale po jednej stronie miało pęk sterczących drutów. Na widok wchodzącego wstał z uśmiechem. Zdjął monokl, ściągnął skórzane rękawiczki i podał poplamioną atramentem rękę.

– Kapitan Zander? Jestem Kelf Dakin, konstruktor golemów. – Uścisk dłoni był mocny, życzliwy. – Proszę, proszę siadać.

Zander zajął miejsce na ławie pod oknem. Wyrżał. Chmury rozpraszały się, na falach migotało słońce.

Konstruktor przyniósł skądś karafkę czerwonego wina i dwa kieliszki. Nalał.

– Przez lata byłem tropicielem skażonych talentów, ale kapryśna Zmrocza w końcu zabrała mi i dar, i zdrowie. – Z cierpkim uśmiechem uniósł skraj szaty i zaprezentował metalową protezę nogi. – Niemniej w swoim czasie niejedno widziałem, a pamięć mam dobrą. Co chcecie wiedzieć?

– Czy udostępniono wam raporty na temat morderstw i naszego śledztwa?

– Wiem tyle, ile wie Opiekunka Miasta. – Dakin sięgnął po leżące na stole pergaminy, wręczył je rozmówcy. Istotnie były to te same raporty, które Zander przedłożył Akhanii.

– Jeśli czytaliście dokumenty, wiecie mniej więcej tyle samo, co straż miejska.

– Sześć morderstw... – Starzec pogładził brodę. – Nie znaleźliście więcej ciał?

– Jak dotąd nie.

– Będą kolejne trupy. – Dakin wbił wzrok w kapitana. Zander dopiero teraz zauważył, że konstruktor po jednej stronie głowy ma sporą, wrosniętą w ciało metalową płytkę, od której aż do ciemienia ciągnie się półksiężycowata blizna. – To więcej niż pewne. Sprawca zasmakował w zadawaniu śmierci i dopóki pozostaje na wolności, nie przestanie mordować.

– Skąd bierze się przeświadczenie Elity, że nie jest obdarzony mocą?

– Z tego, że nie jest.

Kapitan powstrzymał chęć, żeby wstać, okręcić się na pięcie i wyjść. Jeśli tak miała wyglądać rozmowa z ekspertem srebra...

– Panie Dakin...

– Proszę się nie unosić, kapitanie. Spróbujcie wina, jest wyśmienite. – Konstruktor, nieporuszony, umoczył usta w kieliszku i splótł dłonie, stykając je czubkami palców. Zander milczał.

– Mógłbym się powołać na czary wróżebne, które rzuciła jej dostojność Akhania – podjął po pauzie Dakin – ale odpowiedzielibyście, że *ka-ira* może sprawić, by wróżby dały fałszywy wynik, więc zamiast tego powołam się na doświadczenie, które potwierdza to, co powiedziały nam zaklęcia. Sprawa jest prosta. Czarni magowie wariują inaczej i zabijają inaczej.

– Na czym polega różnica?

– Na tym chociażby, że czarny mag nie miałby powodu, żeby masakrować ciała, ani przed śmiercią, ani po. Znaleźlibyście ofiary wyssane z życia, prawdopodobnie bez żadnej widocznej rany. Maga interesuje siła życiowa.

– Tylko siła życiowa? Przecież oni czerpią siłę z cierpienia.

– Kwestia skali, kapitanie. – Konstruktor uśmiechnął się pobłaźliwie. Mniej więcej połowę zębów miał z metalu. – Kwestia skali. Trzeba pamiętać, że przebywając w pobliżu ofiary, do pewnego stopnia czują to, co ona. Nie, zgodnie z moim doświadczeniem *ka-ira*, który pragnie się nasycić bólem, zdecydowanie preferuje subtelniejsze metody tortur, niepowodujące... jak by to ująć... radykalnych uszkodzeń ciała. Jeżeli ma zabić, to woli zabić szybko, a przede wszystkim nigdy nie będzie wykrwawiał ofiary, jeśli może tego uniknąć. Przecież w ten sposób marnuje moc, którą może od niej uzyskać.

– A szalony czarny mag? Na ile to by zmieniło postać rzeczy?

– To nadal inny rodzaj szaleństwa niż ten, z którym macie do czynienia. – Dakin w zadumie pogładził brodę. – Owszem, czarni magowie zawsze byli bardziej podatni na choroby umysłu od zwykłych ludzi. Jest o tym mowa już w starych pismach. Kiedy pojawiła się skaza, na pewien czas ogromnie wyostrzyła te tendencje, co przyniosło straszliwe skutki. Słyszeliście zapewne o tym, jak Lea de Saricci zesłała deszcz ognia i siarki na Othlon, ogarnięta urojeniem, że miasto

opanowały demony Otchłani, podszywające się pod mieszkańców... Ale szaleństwo, które dotyka *ka-ira*, jest – że się tak wyrażę – ostre, o burzliwym przebiegu. Jego objawy w dziewięciu przypadkach na dziesięć bardzo utrudniają życie samemu zainteresowanemu. A w dzisiejszych czasach chory *ka-ira* żyje tyle, ile chory drapieżnik w przyrodzie. Krótko.

– Innymi słowy...

– Innymi słowy jest mało prawdopodobne, by szalony czarny mag przetrwał na tyle długo, żeby zabić sześć kobiet, a jeszcze mniej prawdopodobne, żeby zabił je w taki sposób. – Dakin poklepał raporty.

– A Adrien de Vere? – spytał prosto z mostu Zander. – Znacie jego historię?

– Znam, oczywiście.

– Dostrzegacie podobieństwa?

– Kapitanie Zander. – Dakin oparł łokcie na stole. – Sprawę Adriena znam jedynie z dokumentów, a przez lata narosło wokół niej tyle plotek, pogłosek i ubarwień, że nie jestem pewien, czy wy znacie tę samą wersję wydarzeń. Tym niemniej, dysponując tą wiedzą, którą dysponuję, mogę wam rzec tyle, że jest to sprawa... nietypowa. Nawet bardzo. Gdy chodzi o szalonych czarnych magów, byłbym skłonny sklasyfikować Adriena jako wyjątek potwierdzający regułę.

– To znaczy?

– Prawie wszyscy *ka-ira*, z jakimi miałem do czynienia w mojej karierze, byli równie zdrowi na umyśle, jak ja czy pan. Zabijali w samoobronie, z zemsty albo na zlecenie, a ci najbardziej zdemoralizowani – po to, żeby wyssać ofiary z mocy. Mówiąc między nami, oto jeden z fatalnych skutków rozbicia czarnej szkoły. Dopóki istniała, jej adeptom wpajano twarde zasady. A jak jest teraz? Młody *ka-ira* albo umiera podczas budzenia się daru, albo go łapiemy i likwidujemy w Domu Godnego Odejścia. Może przeżyć tylko, jeśli w porę trafi pod opiekę czarnego mistrza, czyli w obecnych warunkach – starszego, doświadczonego przestępcy. Nie masz powodu, żeby szanować świat, jeśli cały świat na ciebie poluje.

Zander pokręcił głową. Był zaskoczony, że słyszy takie rzeczy z ust kogoś, kto pracuje dla Elity. Nagle przemknęło mu przez myśl, że może to rozmyślne pociąganie za język, i że kto wie, czyje jeszcze uszy słuchają tej rozmowy... Przezornie zmienił temat.

– Wróćmy zatem do naszego mordercy. Co możecie mi o nim powiedzieć?

Dakin zerknął za okno, na słońce. Podniósł mechaniczną rękę i potrząsnął nią. Skrzywił się, gdy jeden z palców odpadł.

– Już ja sprawdzę, który akolita przy tym grzebał, żeby go jasna rtęć – mruknął. Sięgnął po kałamarz, pióro i zanotował coś na karteczce. – Proszę wybaczyć. Do wieczora musimy poskładać ten prototyp z powrotem. – Wskazał najbardziej rozbebeszony z metalowych tworów. Założył monokl, naciągnął rękawiczki, ujął szczypczyki i zaczął znowu dłubać w trzewiach pancерnej łapy.

– Trzeba wam wiedzieć, że istnieją różne rodzaje szaleństwa, kapitanie – odezwał się, nie podnosząc głowy. – Macie do czynienia z kimś, kto traktuje te nieszczęsne młode kobiety tak jak wilk zwierzynę. Ale zarazem na pewno nie jest to bredzący i śliniący się lunatyk. Ten człowiek wygląda i zachowuje się normalnie. Moglibyście rozmawiać z nim i nie domyślić się, że coś jest nie w porządku. O, co tu mamy?

Z głębin mechanizmu wyciągnął szczypczykami zwitek pergaminu, rozprostował i aż poczerwieniał z gniewu.

– Niech no dorwę geniusza, który to pisał... Sól, siarka, koza?! – Z obrzydzeniem cisnął pergamin na stół. – Przysięgam, że z każdym rokiem stają się coraz głupszi!

Chwilę siedział w milczeniu, potem spojrzał na Zandera, jakby przypomniawszy sobie o nim.

– Wracając do waszego sprawcy, jedno można o nim powiedzieć z całą pewnością – podjął jakby nigdy nic. – Jest inteligentny. W przeciwieństwie do moich uczniów, którzy nie rozróżniają najprostszyc magicznych symboli. I ogromnie dumny z tego, co robi. Raduje go fakt, że wprawił w przerażenie całe miasto. Nie zdziwiłbym się, gdyby odwiedzał w tajemniczy miejsca zbrodni, żeby przeżywać na nowo to, czego dokonał. Czuje się niepokonany. Z rozkoszą będzie się z wami bawił w kotka i myszkę. Nadmierna pewność siebie może go w końcu zgubić. Zachowajcie czujność.

Ujął szczypczykami drucik, zgiął go i zetknął z drugim. Rozległ się trzask, sypnęło iskrami. Ręka golema podskoczyła na stole, na przemian zaciskając i rozwierając palce.

– Dostajemy mnóstwo donosów – zauważył Zander. – Ale jak dotąd

nie trafiło się wśród nich nic użytecznego, poza zeznaniem Kelike Tibs.

– Tak... Nie lubię zakładów, ale gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że następną osobą, która zezna coś istotnego, też będzie dziewczyna lekkich obyczajów. Drań musi jakoś wybierać ofiary. Mógł co najmniej raz zrezygnować z powziętego planu, jeśli okoliczności nie były sprzyjające. Miejcie oko na podłe dzielnice, trzymajcie rękę na pulsie i liczcie na łut szczęścia. – Dakin westchnął. – To chyba wszystko, co mogę doradzić, kapitanie. Obawiam się, że teraz muszę wracać do pracy. – Wskazał łapę golema, niemrawo drapiącą palcami blat.

* * *

Opium uspiło go, lecz tylko na kilka godzin. Zbudził się otępiały, zdezorientowany. Przez szpary zamkniętych okiennic przenikała już szarość poranka.

Anavri wyniosła się do kuchni, wyczuwał jej obecność za ścianą. Spała.

Brune przypomniał sobie obrazy – wspomnienia? zwiady? – które go przyprawiły o atak paniki. Znów przygryzł kostki zaciśniętej pięści.

Marshia nie wyzdrowiała i nie wiadomo, kiedy wyzdrowieje. Odpowiadasz za jej enklawę. Przyjąłeś uczennicę. A teraz zaczynasz się sypać.

Odruchowo namacał w kieszeni gemmę. Potem wsunął dłoń pod koszulę, dotknął skórzanego woreczka, w którym trzymał swój drugi talizman, dwie karty. Mag i Błazen. Jego tożsamość od czasu, gdy w Shan Vaola rozpoczął nowe życie. Kotwica mająca go czynić silniejszym – magicznie i psychicznie.

Był prawie pewien, że jeśli szaleństwo, z którego go niegdyś uzdrowiono, odnowi się, nie pomogą żadne talizmany i żadne czary. Odepchnął tę myśl.

Nagle zmarł, bo coś go tknęło.

Jasnowłosa dziewczyna umiera, krzycząc, na jej twarzy i rękach – plamy wybroszyn...

Co powiedział ten stary snycerz w Alkarze? Deuven de Ragues i jego siostra wyjechali do Ri Talma i zmarli tam podczas wielkiej

zarazy.

Podczas wielkiej zarazy.

Siostra. Jasnowłosa dziewczynka z portretu.

Deuven i jego siostra zmarli w Ri Talma... Zamknął oczy, starając się za wszelką cenę skupić, powiązać ze sobą obrazy... uchwycić to, co mu umykało. Przypomniawszy sobie przeblysłą wizję, której doznał, gdy znalazł się wewnątrz koszmaru śnionego przez Anavri.

Dziewczyna o jasnych włosach przyciska ręce do ust, sparaliżowana strachem. Mężczyzna w barwnym kaftanie rozcapierza palce, zakończone szponami...

Morderca w kolorowej odzieży, który zabija jasnowłose kobiety.

Jasne włosy Anavri.

Demon w stroju błazna.

Skojarzenia wirowały w jego ogłupiałej od maku głowie, uparcie nie chcąc się ułożyć w sensowną całość. Naraz przeszył go dreszcz.

...rozcapierza palce, zakończone szponami...

Zdziera im skórę z twarzy.

Demon z symbiotyczną maską w szponach. Skaleczenie na policzku Anavri.

Mam cię, Deuvenie de Ragues.

Krzyżujący przycisnął dłonią blizny, czując, że zaczynają go palić.

Wyjeżdżając z rodzinnego majątku, Deuven de Ragues jeszcze nie miał szram na twarzy. *On zmarł w Ri Talma. Ja obudziłem się w Shan Vaola. Z ranami na policzku.*

Coś wydarzyło się w Ri Talma. Syknął bezsilnie.

Nie mogę teraz rzucić wszystkiego i rozpocząć tam śledztwa! Zresztą wątpliwe, by to coś dało. Minęło czterdzieści lat!

Wrócił myślami do kawałków układanki. W nieskończoność obracał je w myślach, starając się wyłowić powiązania, które pozwoliłyby połączyć to wszystko w spójny obraz. Bez skutku.

Niech to szlag.

* * *

Zander popił grzanego wina. Skrzywił się – było kiepskie, kwaśne. W porównaniu z tym, którym poczęstował go Dakin, zupełna rozpacz. Pewnie zalatywałyby mysimi szczynami, gdyby nie dodane doń

goździki.

Około południa zepsuła się pogoda; w powrotnej drodze z Wyspy Łabędzi zmókł i zmarzł. Czuł teraz, że wszystkie stare rany i złamania – a było ich trochę – zaczynają przypominać o sobie. Wiedział z doświadczenia, że jeśli nie zażyje wieczorem laudanum, czeka go przykra noc.

Odstawił kubek i z namysłem złożył razem palce.

Przed nim siedziało chude jak patyk jasnowłose dziewczątko. Jedna z pięciu panienek lekkich obyczajów, które nie miały nic przeciwko temu, żeby na ulicę wychodzić teraz w używanych eleganckich sukniach, kupionych za bezcen w sklepie wdowy Briccot. Drobne wynagrodzenie za każdą noc oraz suknia w prezencie – uważały to za uśmiech losu, choć Zander uczciwie uprzedził je o ryzyku.

Fielle miała szesnaście czy siedemnaście lat i dużą słabość do jałowcówki. Do innych trunków zresztą też. Ale była spostrzegawcza i, o dziwo, niegłupia. Tak w każdym razie sądził do tej pory.

– Doprawdy bardzo to podejrzane, że cię przestrzegł i kazał zmykać do domu – rzekł z westchnieniem, wysłuchawszy jej relacji o tym, co się wydarzyło dwie noce wcześniej.

– Wystraszył mnie – powtórzyła z uporem dziewczyna. – A to było zaraz obok tej jadłodajni...

Sierżant Subbel wyczekująco spojrział na kapitana. Zander stłumił westchnienie.

– Przyjrzałaś mu się? Czy było za ciemno?

– Przyjrzałam się! – Fielle wyraźnie się ożywiła. – Księżyc świecił!

– To go opisz.

– Pod trzydziestkę, waszego wzrostu, może ciut niższy – wyrecytowała bez zająknięcia. – Szczupły taki, z włosami do ramion. Ciemno odziany... A na twarzy miał blizny. – Przyłożyła trzy palce do policzka. – Trzy szramy, jak od noża.

Zander zmarszczył brwi. Z czymś mu się to kojarzyło, ale nie mógł sobie przypomnieć z czym.

Sierżant nagle palnął się w czoło i wskazał jeden z listów gończych wiszących na ścianie.

– To on?

Fielle przymrużyła oczy, wpatrując się w rycinę przedstawiającą

ponurego, zarośniętego typa o spadających na twarz czarnych włosach.

– Młodszy – zawyrokowała. – Oj, i w ogóle inny, nie taki zbój. Ale bliźny się zgadzają.

Kapitan i sierżant popatrzyli na siebie. Zander przeczytał podpis pod ryciną.

– Brune Keare, alias Krzyczący w Ciemności. *Ka-ira* z Shan Vaola. Poszukiwany za przestępstwa przeciwko srebru. I jaka elegancka kwota, proszę, proszę. – Poskrobał się po brodzie. – Chciałbym wiedzieć jedno: czy w Shan Vaola grasował w ostatnich miesiącach jakiś tajemniczy morderca prostytutek.

– Pismo do Opiekunki Miasta? – ożywił się Subbel. – Jak zapytają przez te ichnie kryształowe kule, od ręki dostaniemy odpowiedź.

Zander po namyśle przytaknął.

– Napiszemy.

Zapłacił Fielle, a gdy wyszła, z westchnieniem oparł nogi na stole.

– Brune Keare – powtórzył Subbel, patrząc na list gończy. – *Ka-ira* poszukiwany za przestępstwa przeciwko Elicie... – Popatrzył na dowódcę z niepewną miną. – Kapitanie, sądzicie, że to właśnie jest ten drań, którego szukamy?

Zander wrócił myślami do rozmowy z Dakinem, potem do tego, co zeznała Fielle. Jego pierwsza, intuicyjna reakcja na podejrzenia dziewczyny była jednoznaczna. A z doświadczenia wiedział, że gdy słucha swoich przeczuć, rzadko się myli.

– Nie – odrzekł po chwili milczenia. – Nie sądzę, sierżancie.

– W takim razie czemu miałyby węszyć na miejscu zbrodni?

– Może prowadzi śledztwo na zlecenie którejś z gildii przestępczych. Oni też nie są szczęśliwi, że ktoś im zabija dziewczynki. – Zander prychnął. – Sam bym już rozważał wynajęcie żmija, gdybym znał jakiegoś.

– Ładną nagrodę wyznaczono za jego głowę...

– Życzę zdrowia temu, kto spróbuje ją zgarnąć. A w liście do Opiekunki Miasta ani słowa o nim, pojmujesz? Jeśli mają się dowiedzieć, że widziano go w Eume, to nie od nas. Ostatnie, czego mi teraz trzeba, to rozkaz, byśmy się zajęli takim ptaszkiem.

14. Burzowe córki

Będzie burza – powiedział Brune, osłaniając oczy dłonią. Powietrze enklawy było duszne, góry spowijała mgiełka. – I to wkrótce.

Korzystając z przerwy, Anavri usiadła na trawie. Nie chciała się przyznać do zmęczenia. Spędzili całe przedpołudnie, ćwicząc po kolei wszystkie proste czary, jakich dziewczyna uczyła się przez ostatnie tygodnie. Zakłęcie paraliżujące i obrona przed nim, zapalenie i gaszenie ognia, przywoływanie i uciszanie wiatru, telekineza, drobne iluzje. Szło jej... rozmaicie. Może nie tragicznie, ale gorzej, niżby chciała.

– Mogłoby być lepiej – oznajmił Krzyczący, siadając obok niej. – Kiedy wreszcie przełamiesz ten cholerny opór przed używaniem mocy?

– Staram się!

– Jeśli za miernik wzięć to, jak silną tarczę stawiasz... Praktycznie we wszystko, co robisz, byłabyś w stanie rzucić więcej energii.

Nie odpowiedziała. Zorientowała się, że machinalnie zrywa źdźbła trawy, więc splotła ręce na piersi.

– Bałbym się wypuścić cię teraz w świat – ciągnął Brune. – Może za rok, dwa... Kłopot w tym, że nie wiem, czy zdołamy ci dać tyle czasu.

– Mam jeszcze ojca – przypomniała. – Coś byśmy wymyślili...

– Wszystko jedno. Każda maska, każda fałszywa tożsamość to kilka lat spokoju, nie dłużej. I wierz mi, kiedyś przyjdzie taki moment, że będziesz musiała uciekać zupełnie sama, nie mając nikogo i niczego, na czym mogłabyś polegać... oprócz daru.

– Zakładasz, że zależałoby mi na ucieczce – mruknęła. Miała nadzieję, że Brune w odpowiedzi uderzy w moralizatorski ton, jak to się czasem zdarzało Marshii. Liczyła na pretekst, żeby mu po raz kolejny wykrzyczeć w twarz, jak bardzo nie dba o życie, które jej ofiarowali, a raczej siłą wepchnęli w gardło. Ale on tylko patrzył na jezioro.

– Wiesz, co srebrni robią z tymi, których dopadną – odezwał się

po chwili. – Twój brat...

Do Anavri zmienacka powróciło wspomnienie, tak bolesne jak nadeptanie na kawałek szkła. Wspomnienie tego, jak po raz pierwszy się dowiedziała, że Fabien się... zmienił.

Był sierpień i dopiero co wróciła z nadmorskiej wiejskiej posiadłości Vaneisenów, dokąd pojechali z ojcem, tylko we dwójkę, bo Fabien z jakiegoś względu musiał zostać w mieście. Pod ich nieobecność brat zachorował na niebezpieczną gorączkę, ale wyzdrowiał – czuł się już dobrze, choć zmizerniał. Wyszła z nim na spacer po ogrodzie, bo chciał się pochwalić, jak wytresował swojego charta. Rzucił mu patyki, pies je przynosił, Anavri śmiała się i klaskała, aż za którymś razem rozochocony chart skoczył na nią i ubrudził jej białą muślinową sukienkę – pierwszą jasną sukienkę, jaką założyła od śmierci matki – zabłoconymi łapami. Rozzłościła się, a wtedy brat powiedział:

– Nie gniewaj się, pokażę ci sztuczkę.

Potem skinął tylko dłonią, szepnął coś, a sukienka znów była czysta.

Wtedy Anavri jeszcze nie wiedziała, tak naprawdę, co się z nim stało i co to oznacza. Fabien zobowiązał ją przysięgą do milczenia – więc milczała. Nie powiedziała nikomu o tym, jak zabawiał się, lewitując pióra i książki, gdy sądził, że nikt go nie widzi. Ani o tym, jak czasem przychodził nad ranem do jej sypialni, blady, drżący, wyczerpany, i kładł ręce na czole siostry – czuła wtedy świdrujący ból w skroniach i na chwilę robiło jej się ciemno przed oczami, a Fabien odzyskiwał siły. Milczała jak grób – aż do dnia, gdy w willi zjawił się przerażony służący z informacją, że panicza aresztowali srebrni...

Nagle poczuła napływające łzy i nie mogła wykrztusić słowa. Zamknęła oczy, oddychając powoli, nie pozwalając, żeby szloch wyrwał się na zewnątrz.

Brune nakrył jej dłoń swoją. Natychmiast poczuła, że emocje opuszczają ją, odpływają, ustępując miejsca zobojętnieniu.

Spojrzała na niego z ukosa. Zmysłami maga czuła, że umyślnie przedłużał kontakt. Powinno jej to przeszkadzać, ale nie przeszkadzało. Złapała się na myśli, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby ją objął, jak wtedy, gdy rozmawiali nad grzany miodem. Znów poczuć to ciepło...

Brune uśmiechnął się ledwie zauważalnie i zabrał rękę. Anavri

oblała się rumieńcem.

– Odpoczęłaś? – zagadnął jakby nigdy nic.

– Powiedzmy – mruknęła.

– To sprawdzę ostatnią rzecz. Jakich kamuflaży potrafisz użyć oprócz niewidzialności i przemiany w chłopca?

Iluzje zmieniające wygląd były podstępne – albo zaskakująco łatwe do opanowania, albo bardzo trudne. Znikania i przemiany w chłopca Anavri nauczyła się błyskawicznie, instynktownie. Wystarczyło wyobrazić sobie, że znika lub staje się Fabieniem, tym sprzed kilku lat. A co jeszcze? Umiała dowolnie zmienić kolor włosów, lecz to – jak nie omieszkała jej kiedyś wytknąć Marshia – było tylko płochą zabawą. Umiała się przemienić w Lorraine, choć nie potrafiła naśladować głosu kuzynki. I na tym koniec. W zwoju, z którego się uczyła, radzono, aby stworzyć sobie kompletną postać, nieistniejącą, lecz łączącą cechy osób znanych magowi – nie tylko wygląd, ale także strój, sposób poruszania, nawyki – i nauczyć się ją wizualizować, szepcząc formułę, a po jakimś czasie czar zacznie działać, zmieniając aparycję maga, ilekroć skupi się on na wymyślonym obrazie. Jednak Anavri jak dotąd nie opanowała tej sztuki.

– Czyli jest nad czym popracować, tak jak myślałem – podsumował Brune, gdy skończyła demonstrować, co potrafi. – W porządku, teraz patrz.

Przymknął oczy. W następnej chwili dziewczyna zachnęła się z niesmakiem, bo jego miejsce zajął staruch w łachmanach, ze wstrętną koźlą brodą i pijacką gębą. Anavri nie miała doprawdy nic przeciwko biedocie, nieraz dawała jałmużnę żebrzącym dzieciom, ale co innego dziecko, a co innego...

Brune roześmiał się cicho i iluzja rozplynęła się, poczynając od twarzy – ubranie jeszcze przez chwilę wydawało się obszarpane i brudne.

– No co? Przecież to tylko złudzenie.

Przymknął oczy i znów zmienił się w ohydneho dziada.

– Bogowie litościwi... – jęknęła. – Po co wybierać akurat taką postać?

– Bo to niegłupie. Ludzie nie mają ochoty ci się bliżej przyglądać. Żaden kieszonkowiec cię nie okradnie. I zdziwiłabyś się, jak często stróże prawa zostawią śmierdzącego menela w spokoju, bo brzydzą się

z nim szarpać.

– Nie wątpię – mruknęła.

Ciekawe, ile czasu potrzeba, żeby naprawdę się doprowadzić do takiego stanu. Miała niemiłe podejrzenie, że dużo mniej, niż mogłoby się wydawać.

Nagle przypomniała sobie, co Marshia rzuciła kiedyś o Krzyczącym, radząc cierpko, by nie traktować go jak wzór stylu życia, bo ma za sobą kilka miesięcy bezdomności i całkiem możliwe, iż kiedyś znów się stoczy. Anavri puściła to wówczas mimo uszu, wiedząc, że mistrzyni potrafi – nie kłamiąc – złośliwie wypaczać fakty. Brune, nawet jeśli trochę było po nim widać powiązania z półświatkiem, zawsze wydawał się rozsądny i rzutki – ktoś, kto w każdych okolicznościach spada na cztery łapy. Lecz teraz nie była już tego taka pewna.

Potem pomyślała o tym, jak rok wcześniej przebudził się w niej dar. Co by się stało, gdyby nie była córką Alaina Vaneisen, gdyby nie pieniądze ojca, Krzyczący oraz Marshia? Co by ją czekało?

Rynsztok. Albo srebrni. Albo najpierw rynsztok, potem srebrni.

Uświadomiła sobie, że dopiero teraz, z opóźnieniem, ta myśl naprawdę przyprawia ją o ciarki.

Brune wrócił do własnej postaci. Zmarszczył brwi, patrząc na dziewczynę.

– Nie powinnaś się bać iluzji, nawet jeśli przypominają ci o czymś, o czym wolałabyś nie myśleć – powiedział. Anavri spuściła głowę. Po raz kolejny udowodnił, że jest dobry w czytaniu między wierszami.

– Wiem. Jeszcze się nie oswoiłam, pojmujesz? Potrzebuję czasu.

– Dostałaś go już dosyć – mruknął.

– Widocznie potrzebuję więcej.

– Zrozum wreszcie, teraz to dar, i tylko dar, może cię ochronić – powiedział nie tyle z przyganą, co z troską. Anavri spuściła głowę, żeby nie patrzeć mu w oczy.

– Powtarzałeś mi to dziesiątki razy. Zostawmy ten temat, dobrze?

– Dobrze – zgodził się nieoczekiwanie. – Nie złość się.

Chwilę siedzieli w milczeniu, potem Brune wyjął spod kurtki flet i zaczął grać. Dziewczyna wbrew sobie zasłuchiwała się, zapominając o gniewie. Na ile mogła ocenić, grał coś trudnego i szło mu świetnie.

Kolejna zagadka. Zapytana, czym Krzyczący może się zajmować

w wolnych chwilach dla rozrywki, Anavri jeszcze niedawno obstawiałyby, że pewnie czymś rodem z półświatka, co wzbudziłoby rozbawienie i pogardę Marshii. Rzucanie nożem do celu, sztuczki z kartami, szulerka...? Gdyby nie zamieszkała z nim pod jednym dachem, nigdy nie domyśliłaby się, że jego ukrytą pasją jest muzyka. Grał prawie codziennie, najczęściej wieczorami, siedząc na kamieniu nad jeziorem. Czasem budziła się w nocy i słyszała płynące z dworu melancholijne dźwięki fletu. W pracowni na półce leżał plik pożółkłych ze starości nut. Nazwiska twórców nic jej nie mówiły.

– Co to za utwór? – spytała, gdy skończył. Żmij uśmiechnął się nieznacznie.

– Mój własny.

– Komponujesz? – zdziwiła się.

– Czasami. Oho, słyszysz?

Z oddali doleciał słaby pomruk.

– Grzmi – potwierdziła dziewczyna. Już od jakiegoś czasu wyczuwała subtelną, lecz jednoznaczną zmianę Ekwilibrium. Spojrzała na niebo, które po jednej stronie z mlecznego stawało się ciemnoszare. – Czy burza może dotrzeć do twojej enklawy?

– Owszem. Ale jesteśmy w dominium gnomów, nie sylfów. Tutejsze burze nie są groźniejsze od ziemskich.

Znów zagrzmiało, bliżej. Zerwał się wiatr, zmarszczył wodę.

– Wiesz – odezwał się Brune po chwili milczenia – zastanawiam się, czy miałabyś ochotę zobaczyć coś ciekawego. Ale ostrzegam, że zmokniesz.

* * *

– Na co czekamy? – spytała Anavri.

Opuściwszy enklawę, wspięli się na grzbiet powyżej chaty, szli nim kilkanaście minut, potem odbili w bok, schodząc kawałek trawiastym zboczem. Teraz siedzieli w zagłębieniu, skryci pod dużym głazem. W dolince przed nimi widniało jezioro, większe niż to, nad którym mieszkali.

Ściemniało się szybko. Grzmoty rozbrzmiewały coraz bliżej, wiatr nasilał się. Od lewej pełzył potężny wał chmur, migoczący błyskawicami.

– Postaw tarczę – poradził Brune. – Deszczu nie zablokuje, ale piorun w górach to nic dobrego.

Siny zygzak przeciął niebo i kolejny grzmot huknął, zdawałoby się, tuż nad nimi. Spadły pierwsze grube krople. Wiatr przycichł, jakby zbierając siły do kolejnego ataku.

Anavri chwyciła oddech, gdy w mroku zalśniło coś, co nie było błyskawicą. Jarzący się błękitno kształt spłynął z góry niczym olbrzymia tropikalna meduza. Chwilę później pojawił się kolejny, za nim kolejny... Tajemnicze istoty, spowite fosforyzującymi szatami, miały twarze i sylwetki kobiet. Szybowały z gracją, a ich długie włosy płynęły i falowały, jakby żyjąc własnym życiem, rozmigotane mnóstwem iskierek.

– To burzowe córki – wyjaśnił Krzyczący. – Czasem przyfruwają tutaj z dominium sylfów.

Zabrzmiał szum, który stopniowo narastał. Kolejna błyskawica ukazała sunącą ku nim ścianę deszczu. Chwilę później lało jak z cebra, a burzowych córek przybywało. Anavri oceniała już ich liczbę na ponad trzydzieści. Miała nadzieję, że kimkolwiek są te istoty, nie przeszkadza im obecność obcych.

Jakby czytając jej w myślach, jedna ze świetlistych postaci podpłynęła blisko i skinęła im dłonią. Brune wstał i z uśmiechem odwzajemnił pozdrowienie. Patrząca z dołu dziewczyna chwyciła oddech, gdy kolejne błysnięcie na moment przemieniło jego twarz w oblicze upiora.

Nie, uspokój się, to tylko złudzenie. Przez te cholerne blizny i źrenice.

Powietrzna istota odfrunęła, by dołączyć do pozostałych. Brune usiadł z powrotem, zaś Anavri odetchnęła. Kiedy znajdował się tak blisko, wyczuwała ciepłą, ludzką część jego aury i tylko to pomogło jej zwalczyć irracjonalny strach, który nagle ją ogarnął.

Burzowe córki zawisły kręgiem nad taflą jeziora. Z początku cicho, potem coraz głośniejsze rozbrzmiewało niezwykle, wielogłosowe zawodzenie bez słów, melodyjne, uwodzicielskie. Zaczęły się wyginać i poruszać w skomplikowanych figurach.

– Tańczą – powiedział cicho zmij.

– Piękne – szepnęła rozpromieniona Anavri. Nie mogła oderwać wzroku od wirujących świetlistych kształtów. Jej ubranie kompletnie

przemokło, lecz nie zwracała na to uwagi.

Ulewa nie słabła, ale grzmoty oddalały się, błyskało coraz rzadziej. W końcu śpiew przycichł, a burzowe córki jedna za drugą zaczęły ulatywać w ciemność, aż błękitna poświata ustąpiła miejsca nocy.

– Koniec spektaklu – oznajmił Brune. Pod kapturem mokre włosy lepiły mu się do twarzy. – Wracamy.

* * *

Po burzy zerwał się porywisty wiatr i choć szli szybko, do enklawy dotarli przemarznięci. Krzyczący już szykował się do przeprosin, ale ku jego zdumieniu, kiedy weszli do sieni, Anavri śmiała się od ucha do ucha.

– Gdyby tak Marshia mogła nas teraz zobaczyć! – Ściągnęła kurtkę, wyzęła włosy i otrząsnęła się jak pies.

Przebrali się w suche rzeczy, mokre rozwiesili do wyschnięcia, rozpalili w piecu i usiedli, czekając, aż zagotuje się woda na herbatę. Deszcz nadal bębnił o dach. Anavri, w tunice żmija, która sięgała jej do kolan, owinęła się przyniesionym z sypialni kocem. Patrzyła w ogień, a Brune patrzył na nią.

Gdyby nie znał jej wcześniej, nie uwierzyłby, że to ta sama arystokratka, która jeszcze niedawno chodziła w czarnych sukniach i koronkowych rękawiczkach. Wystarczyło, żeby trochę pobiegała w męskich ciuszkach, a jej sztywne maniery stopniały. Wpajane od dzieciństwa nawyki przestawały działać; zaczynała się ruszać jak chłopak. Ciekawiło go, czy miała tego świadomość.

Jak i tego, że w obecnym wcieleniu jest uderzająco apetyczna, bardziej niż wtedy, kiedy była lodową królową w jedwabiach.

Silniejszy podmuch wiatru uderzył deszczem w zamknięte okiennice.

– W Shan Vaola medyk już by straszył, że jutro dostanę zapalenia płuc – mruknęła Anavri, wyciągając bosa nogi w kierunku pieca. Brune w pierwszym odruchu taktownie odwrócił wzrok, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerkać kątem oka.

Nagle zorientował się, że powiedziała coś, czego nie usłyszał, zanadto pochłonięty wpatrywaniem się w jej smukłe łydki, własnymi niestosownymi myślami oraz wyrzucaniem sobie niestosowności

tychże.

– Powtórz, zamyśliłem się – poprosił.

– Woda się gotuje, chcesz rumu do herbaty?

– Może odrobinę.

Zdjęła czajnik z pieca, potem przyniosła butelkę.

Brune przyjął z jej rąk parujący kubek. Anavri poprawiła pogrzebaczem drwa i usiadła z powrotem, od niechcienia odrzucając do tyłu zmierzwione, schnące włosy, a zmij ponownie odkrył, że nie może od niej oderwać oczu. Była ładniejsza niż burzowe córki.

Siedzieli w milczeniu, póki ogień nie zaczął przygasać. Kiedy dziewczyna chciała dołożyć drewna, Krzyczący powstrzymał ją gestem.

– Jest późno. Idziemy spać.

W jakiś czas później, leżąc twarzą do ściany, uświadomił sobie, że chyba nieprędko uda mu się zasnąć. Przed oczami stała mu Anavri w przemokniętej odzieży, roześmiana i zarumieniona.

Nie mógł się opędzić od myśli, że teraz ma ją tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Jej ciepłe ciało pod szorstkim sukniem. Szczupłe uda... Nagle wyobraził sobie, że podwija ten wełniany łach i bierze ją, chętną, uległą.

Leżał, wpatrując się w mrok, a w uszach dźwięczały mu kusocielskie głosy burzowych córek.

15. Nieuchronne konsekwencje

Dolbius wręczył klientowi kufel z pianą przelewającą się przez brzeg, a po namyśle nalał też sobie. Łyknął z ponurą miną. Głowa pękała mu z bólu po wesołej nocy, choć wypił mniej niż marynarska brać, która nad ranem, miast zalec pod stołami i zachrapać, wytoczyła się z jego przybytku kontynuować zabawę gdzie indziej.

Do szynku weszła Kelike Tibs, stukając obcasami.

– Wyjrzyjcie, przyplątał się tu jakiś taki... – Wskazała człowieka, który tuż za progiem rozmawiał z inną dziewczyną Dolbiusa, rudowłosą Lettą. Zniżyła głos do szeptu. – Wypytywał mnie o Resę.

– Jeszcze jeden natręt ze straży?

– No właśnie nie ze straży!

– Pogadam z nim – mruknął szynkarz. – Wracaj na róg.

Wyszła posłusznie. Dolbius łyknął jeszcze piwa, podciągnął portki i ruszył zbadać sytuację. W młodości występował na jarmarkach jako siłacz i nadal potrafił jedną ręką podnieść awanturującego się klienta, a następnie cisnąć nim o ziemię.

Letcie wystarczyło jedno spojrzenie na pracodawcę, by wycofała się lękliwie. Człowiek, z którym rozmawiała, nie okazał niepokoju.

Nietutejszy. Szczupły, niepozorny. Ubrany za porządnie na pospolitego opryszka, za porządnie na tę dzielnicę. Śniada, nijaka twarz.

– Czego chce od moich dziewczyn? – zapytał ostro szynkarz, biorąc się pod boki.

– Informacji – odrzekł spokojnie przybysz. Bure oczy spoglądały chłodno. – Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Saike Pyll.

Gildia przestępcza z Tay – pomyślał Dolbius. Albo Król Pająk przysłał tu swego agenta...

Jakby czytając mu w myślach, nieznajomy wyjął z kieszeni dwie monety i pokazał je na dłoni, po czym zacisnął palce.

– Trzydzieści leri za uczciwe odpowiedzi. Wyczuję kłamstwo – zaznaczył ostrzegawczo.

Nie rzekł hasła. Dolbius tylko cmoknął. Kimkolwiek był ten człowiek, nie miał glejtu od Kleszcza, zebraczego króla Eume. Działał na własną rękę, samowolnie. I tylko patrzeć, jak ludzie Kleszcza zajądają od niego wyjaśnień.

– Nie będę z wami gadał – oświadczył zwięźle szynkarz, po czym odwrócił się na pięcie. Lecz odejść mu się nie udało. Poczuł, że niewidzialna ręka chwyta go za ramiona, okręca – i oto znów stał twarzą w twarz z nieznanym. Bure oczy wpatrywały się w niego, nie mrugając.

– Opowiedzcie mi o ostatnim kliencie Resy – rozkazał przybysz. A Dolbius rozwarł usta, chrząknął i posłusznie zaczął mówić.

Gdy się ocknął, siedział za szynkwasem. Rozejrzał się zdezorientowany, potarł czoło. Miał wrażenie, że przyśniło mu się coś niemiłego, lecz nie pamiętał co. Przekłęta głowa bolała go jeszcze bardziej niż przedtem.

Psiakrew, jednak mi zaszkodziła ta cholerna gorzała – pomyślał.

* * *

W sadzawce w enklawie Marshii żyła undyna – nieśmiała istota, która rzadko pokazywała się za dnia. Czasem śpiewała wieczorami – jej tęskny głos niósł się nad wodą, budząc w słuchających niejasny smutek.

Lorraine wydawało się, że wodna panna darzy ją sympatią, chociaż nigdy nie zamieniły nawet słowa. Undyna kryła się w toni, ilekroć widziała w oddali Marshię, Anavri albo chowańce, natomiast zupełnie nie bała się młodej wróżbitki.

Pogoda w enklawie wróciła już do normy – ku uldze mieszkańców deszcze się skończyły. Znów można było, łącząc obowiązek z przyjemnością, wychodzić z lekturą do ogrodu. Panna Nevers usiadła na trawie w cieniu krzewów jaśminu i otworzyła traktat o yadhmarskich technikach wróżenia.

Undyna podpłynęła i ułożyła się na płyciźnie. Krople wody spływały z jej morskozielonych włosów. Rozplotła warkocz i zaczęła się czesać srebrnym grzebykiem. Dziewczyna dyskretnie zerkała na nią znad lektury, jak zawsze zachwycona urodą astralnej istoty.

Powierzchnia stawu migotała w słońcu. Łabędzie czyściły sobie

pióra w zatoczce. Undyna zawołała do nich cicho, wyciągając dłoń, lecz zignorowały ją.

Lorraine odwróciła kartę książki. Uśmiechnęła się na widok ryciny przedstawiającej ciemnowłosego wróżbitę z fajką do opium i dym układający się w postać ponętnej kobiety. Postanowiła, że pokaże ten obrazek Zazelowi, który niewątpliwie go doceni.

Nagle jej uśmiech zgasł. Ogarnęło ją chłodne przeczucie – już wiedziała, co zaraz nastąpi. W następnej sekundzie migoczące odblaski zatańczyły w jej oczach, zawirowały jak błędne ogniki.

Płynęła... spadała, porwana przez znajomy nurt wizji. Odległą częścią świadomości zarejestrowała stuk, gdy książka wysunęła się z jej rąk.

Undyna popatrzyła na dziewczynę z niepokojem, lecz Lorraine tego nie spostrzegła. Wzdrygnęła się, śledząc w powietrzu obrazy widoczne tylko dla jej oczu.

* * *

Farael de Lyche skinął na usługującą dziewczkę i wymownie postukał w pusty kufel. Podeszła z dzbanem, nalała.

Piwo serwowane w podziemnym szynku było mętne i niedobre, kwaśnawe, zalatujące drożdżami. Mimo to Farael sączył je z przyjemnością. Napawał się każdą minutą przebywania w ludzkim ciele, które odczuwało smaki i zapachy na prosty ludzki sposób.

Wiele lat wcześniej, nim stał się demonem, był człowiekiem, a choć dzięki przemianie zyskał nieśmiertelność i potęgę, brakowało mu nieskomplikowanych fizycznych przyjemności. Demony odbierały świat inaczej niż istoty z krwi i ciała. Pięć zwierzęcych zmysłów zastąpiła zawikłana synestetyczna mieszanka wrażeń, doprawiona instynktami drapieżnika.

Czekał, chłonąc specyficzną atmosferę tego miejsca. W przebraniu ulicznego komedianta, z twarzą skrytą pod makijażem, nie wyróżniał się tu przesadnie. W Podziemiach nie brakowało dziwaczych indywiduów. Szynk, mieszczący się na drugim poziomie nieopodal magazynów z suknem, nie należał może do miejsc, gdzie pojawiała się ich najwięcej, lecz Farael wolał nie ryzykować odwiedzin w słynnym Salonie Scaraveshii ileś kondygnacji niżej, bo wiedział, że bywają tam

osoby, które mogłyby rozpoznać jego prawdziwą naturę.

Na powierzchni zapadał zmierzch, a tutaj ruch dopiero się ożywiał. W sinym blasku wypełnionych świeciwem lamp twarze klientów wydawały się półmartwe, z czarnymi dziurami zamiast oczu. Kilku odmieńców rechotało przy gorzałce, zagryzanej kiszonymi ogórkami, chlebem i wędzoną rybą. Trzech zakapiorów rznąło w karty; na stole przed nimi leżały kupki miedzianych i srebrnych monet. Na ławie pod ścianą przysypiał staruch, któremu na plecy zwieszał się potężny, zlepiony brudem kołtun. Obok kulila się wychudzona kobieta w podartej koronkowej sukni, powalanej czymś, co wyglądało jak zakrzepła krew. Mamrotała do siebie, kreśląc znaki w powietrzu, a obecni wyraźnie unikali patrzenia w jej stronę. Faraelowi starczyło spojrzeć na jej aurę, by wiedzieć, że to nie żadna zmiyka, tylko najzwyczajniejsza w świecie wariatka.

Z lewej zabrzmiał chichot. Dwie nastoletnie dziweczki wdzięczyły się do przyszczatego, brzydkiego jak noc zbira. Farael wsunął do ust kawałek sera z kminkiem. Tutejszy ser, w odróżnieniu od piwa, był całkiem niezły.

Od strony wejścia dobiegł brzęk. Barczysty starszy mężczyzna w zabłoconej roboczej odzieży schylił głowę, żeby przejść przez niskie drzwi. Odstawił w kącie pęk zardzewiałych pułapek na szczury i podszedł do szynkwasu.

– Piwa – zażądał ochryple. Gdy dostał kufel z pianą przelewającą się przez brzeg, łyknął obficie, obtarł siwe wąsy.

Farael przypomniał sobie, co mu powiedział chłopaczek od żebraczego króla. Wstał i podszedł do szczurołapa. Ten, popatrzawszy na niego spode łba, odsunął się razem z kuflem.

– Szukam informacji o pewnym człowieku – oznajmił od niechcienia, na poły w przestrzeń de Lyche. – Płacę złotem.

Stary okazał niechętnie zainteresowanie.

– Niby o kim?

Farael wyciągnął zza pazuchy zmięty list gończy. Rozprostował go, pokazał.

– Nie znam – warknął szczurołap. Jego umorusana twarz pociemniała jak gradowa chmura.

De Lyche pokiwał głową. Wyczuwał kłamstwo, lecz nie zamierzał reagować. Mógłby oczywiście zmusić mężczyznę do mówienia, ale

równie dobrze mógł też poczekać na kogoś, kto zechce udzielić informacji dobrowolnie. Miał czas.

Usiadł z powrotem, zerkając kątem oka na szczurołapa, który pił swoje piwo z miną, jakby było to nader paskudne lekarstwo. Opróżniwszy kufel, splunął zamasyście na posadzkę i wyszedł, zabierając pułapki.

Farael czekał, pojadając kawałki sera.

Staruch z kołtunem zbudził się, potoczył naokoło nieprzytomnym wzrokiem. Dźwignął się z trudem i chwiejnie powlókł się do wyjścia. Wyszedł też pryszczaty zbir w towarzystwie obu dziwek, chichoczących z coraz większym entuzjazmem.

Do szynku wsunął się krępy mężczyzna w łachmanach. Rozejrzał się i podszedł wprost do stołu, gdzie siedział de Lyche. Farael uśmiechnął się w duchu.

Nowo przybyły śmierział jak nieszczęście, ale jego czarne oczy patrzyły bystro i złośliwie.

– Pono pytaliście o kogoś – rzucił.

Farael bez pośpiechu sięgnął w zanadrze i pokazał mu list gończy. Obdartus pokiwał głową, uśmiechając się szeroko.

– Aaa, ten półgłówek od śmieciarzy, co się później okazał być zmijem. Brune Keare, tak go zwali. Znałem go z widzenia. Ale tera już nie ma go w mieście.

– To nieistotne. – De Lyche wyjął z kieszeni dwie naszykowane złote monety, pokazał je rozmówcy na dłoni, a potem zacisnął pięść. – Ja zdecyduję, czy to, co mi powiecie, jest warte czterdzieści leri, dwadzieścia czy nic. Rozumiemy się?

– No ba. – Nowo przybyły pokiwał głową; uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Jak was zwał?

– Skoff. Jestem kanalarzem.

Farael skinął na dziewczkę, nakazał gestem, by przyniosła przybyszowi piwa. Gdy wróciła z pełnym kuflem, Skoff łyknął solidnie, otarł usta, oparł łokcie na stole.

– No, to co chcecie wiedzieć?

– Opowiedzcie mi o tym człowieku, Skoff. Skąd się wziął w mieście, co tu robił.

– Skąd się wziął w mieście, tego nie wiem. – Kanalarz podrapał się

po nosie brudnym palcem. – Była taka banda śmieciarzy, odmieńców... Pono to oni go gdzieś znaleźli, przygarnęli. Bo na początku, uważacie, zdawało się, że jest niespełna rozumu. Gadał od rzeczy i takie tam.

– Chcecie powiedzieć, że zaczynał jako śmieciarz? – De Lyche uniósł brew. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewał.

– Ano. – Skoff wyszczerzył popsute zęby w złośliwym uśmiechu. – Wszyscy to wiedzą. Ale długo z tymi odmieńcami nie pomieszkał, bo wpakował się w jakieś kłopoty i wkurzył Helshora, wiecie, żebraczego króla. Helshor kazał mu walczyć z dziesiątką swoich poddanych naraz, i nagle się okazało, co ten niby niedojda umie. Usmażył wszystkich dziesięciu na skwarki, ot tak. – Pstryknął palcami i łyknął piwa. – A potem hop, z dnia na dzień się pozbierał. Założył w Podziemiach warsztat i ze śmieciarza przeistoczył się w alchemika. Po mojemu udawał obłąkanie, bo się przed kimś ukrywał. A jak już nie musiał, to przestał. – Znów łyknął potężnie, smarknął i otarł nos rękawem. De Lyche pokiwał głową, dając do zrozumienia, że uważa takie wyjaśnienie za całkiem prawdopodobne.

– A żebraczy król nie chciał się na nim mścić? – zdziwił się jedynie.

– Gdzie tam. Po cholere? Zaproponował mu współpracę, a tamtych odżałował, co miał nie odżałować. Sam ich, koniec końców, pchnął do walki.

– No tak, zrozumiałe. – Farael zanotował w pamięci, że chętnie poznałby bliżej tutejszego władcę żebraków. Podobało mu się tak pragmatyczne podejście do spraw. – A Keare się zgodził, tak?

– Ano. Nie jest... nie był samobójcą.

– I potem zabijał dla żebraczego króla? – De Lyche musiał się bardzo postarać, żeby w jego głosie nie zabrzmiał entuzjazm, który mógłby wzbudzić podejrzenia rozmówcy.

– Czy zabijał, to nie wiem. Głównie pichcił mikstury.

– Czarodziejskie?

– Różne. Leki, maści od uroków, takie tam. Płyn dla złodziei, od którego rozpadają się kłódki i kraty. Pewno i trucizny... Pies go wie.

– A zaklęcia, talizmany? Nie sprzedawał ludziom takich rzeczy?

– Wiecie, faktycznie to dziwne – stwierdził Skoff po namyśle. – Od tej historii z dziesięcioma żebrakami wszyscy wiedzieli, że Keare

to *ka-ira*, alem nigdy nie słyszał, żeby poza alchemią zajmował się czymś jeszcze. Żeby się dowiedzieć więcej, musielibyście rozpytać wśród ludzi Helshora. Ale tego wam nie polecam. – Zaśmiał się chrapliwie, lecz widząc kamienną minę rozmówcy, speszył się, gubiąc wątek.

– Z tym warsztatem to też była ciekawa rzecz, ino nie znam detali – podjął po chwili. – Przejął pracownię wraz z całym sprzętem po takim jednym pijaku, dziwnym typie, co chadzał w drewnianej masce. – Zniżył głos. – Powiadają, że go ciuknął.

– A za co ścigają go srebrni?

Kanalarz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Za kilkanaście zniszczonych golemów, jednego martwego Trójokiego i jedną zaginioną arystokratkę. Ale jak do tego doszło, nie pytajcie, bo nie wiem.

– Jakaś grubsza awantura, co?

– Taa... Można tak rzec. Grubsza. Obława była, żebym tak szezł. Tu, w Podziemiach. Chłopaki od Helshora przez tydzień później o niczym innym nie gadali. Cholera wie, czym Keare tak zalazł srebrnym za skórę.

Dopił resztkę piwa. Farael skinął na dziewczynę, żeby napełniła kufel.

– Napijcie się jeszcze.

– A nie pogardzę. – Skoff siorbnął piany.

– Przypomnijcie mi, kiedy ten żmij zjawił się w Shan Vaola.

– Jakoś wczesną wiosną łośkiego roku. Chyba. Zresztą pies wie, trza by odmieńców popytać.

– A kiedy wynikła historia z golemami?

– W listopadzie. Srebrni urządzili obławę, a Keare z niej uszedł, zabijając Trójokiego. Ale za co chcieli go dorwać, tego nie wiem. Grunt, że krótko po owej chryi z golemami przepadł jak kamień w wodę. I od tamtej pory nikt go nie widział.

– A ta zaginiona arystokratka... Nie była czasem młodziutka, jasnowłosa i szczupła?

– Młoda na pewno. – Skoff uśmiechnął się obleśnie. – Jak wyglądała, tego wam nie rzeknę, ale ludzie szepczą, że była szalona. Córka fałszywego maga, co też niejedną brudną sprawkę miał na sumieniu. A potem ktoś go klątwą ubił. Tfu! – Splunął i uczynił

znak chroniący przed złymi mocami.

Farael w zadumie wpatrywał się w stół.

– Jak się nazywała? – zagadnął. Skoff rozejrzał się nieufnie, sprawdzając, czy nikt nie siedzi w zasięgu słuchu, lecz sąsiednie stoły były puste. Grupa karciarzy w drugim końcu sali rozrosła się do sześciu osób, a zgiełku robili za dziesięciu, na przemian klnąc i rechocząc z nieudanych zagrań. Mimo to kanalarz znów ściszył głos.

– Lorraine Nevers. Ale jam wam tego nie rzekł.

– Oczywiście – zapewnił de Lyche. – A o tym żmiju wiecie coś jeszcze? Cokolwiek?

Skoff poskrobał się po kudłach. Myślał długo. W końcu pokręcił głową.

– To wszystko.

De Lyche położył na stole jedną złotą monetę. Kanalarz przez chwilę wyglądał, jakby chciał zaprotestować, lecz zrezygnował; może dostrzegł w oczach rozmówcy coś, co kazało mu zamilczeć. Zgarnął zapłatę, podziękował, kłaniając się nisko i wyszedł spieszenie, jakby w obawie, że dobroczyńca może się rozmyślić.

Farael uśmiechnął się do siebie.

Moneta została obłożona klątwą. Nazajutrz Skoff znajdzie w sakiewce jedynie plamę śmierdzącej mazi, lecz wtedy będzie już za późno. Jeszcze dzień, dwa i od stóp do głów obsypią go wrzody, które będą się pogłębiać niemal w oczach, przechodząc w ropiejące rany. Ciało zacznie mu odchodzić od kości i nim umrze, będzie cuchnął gorzej niż wzdęty koński zewłok. A jeśli w ciągu najbliższej doby czy dwóch zdąży się jeszcze zabawić z jakąś kobietą, ta zarazi się od niego.

Przywołał dziewczynę i zapłacił, dorzucając hojny napiwek. Bez ukrytych niespodzianek. Jedną czy dwie podejrzane śmierci łatwo przypisać wypadkowi, zwłaszcza że w kanałach nietrudno się wpakować w jakieś trujące świństwo, wylane przez alchemików albo przez srebrnych; więcej mogłoby już wzbudzić czyjeś zainteresowanie.

Zmierzając w stronę wyjścia z Podziemi, natknął się na żebrzącą rudowłosą dziewczynę, która jeszcze niedawno musiała być całkiem ładna. Jej wynędzniałą twarz pokrywały plamy i krosty, przeżarty przez chorobę nos zapadł się i zakłęśł.

Farael rzucił jej srebrną monetę. Jałmużny też nie obłożył żadnym czarem. Przyspieszenie śmierci tej kobiety byłoby aktem miłosierdzia.

Wspiął się schodami na powierzchnię, na targ warzywny, już opustoszały, zaśmiecony po całym dniu. Spóźnieni przekupnie ryglowali kramy. Pokryty sierścią odmieniec z długim, wlokącym się po ziemi ogonem zbierał do kosza zgniłe jarzyny i owoce oraz końskie łajno.

De Lyche skierował kroki w stronę portowej dzielnicy. Miał sprecyzowane plany na resztę wieczoru. Pójdzie jeszcze do jakiejś tawerny, zaśpiewa, pożartuje, powróży temu i owemu, postawią mu wino... Był w rozrywkowym nastroju.

A jeśli nadarzy się okazja, spróbujemy się rozpytać o Lorraine Nevers. Choć przeczucie podpowiadało mu, że to fałszywy trop.

Skręcił w pustą uliczkę. Nagle instynkt zmroził go ostrzeżeniem. Farael odwrócił się – i stanął oko w oko z młodą kobietą w szarej sukni.

Choć przybrała ludzki kształt, jej aura mówiła wszystko. Dolina Popiołów.

Chwila milczenia. Mierzyli się wzrokiem, a napięcie tężało między nimi.

– Rozpytujesz się o mojego agenta? – zagadnęła słodko demonessa, mrużąc oczy z beczelnością kotki przechadzającej się przed uwiązany psem. – Będiesz pisać jego biografię?

Oblicze Faraela wykrzywiło się w mimowolnym grymasie, głos przeszedł w syk.

– Zniszczę go, córko Spalonego Władcy. Tak jak zniszczyłem Adriena de Vere. A wcześniej zrobię porządek z tobą.

W jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Zaraz się przekonamy.

Patrzyli na siebie. Napięcie tężało.

Teraz.

Farael przemorfował w okamgnieniu i zaatakował pierwszy, licząc, że ją zaskoczy. Powietrze rozdarł bezgłośny huk, czarny blask. Żebrak siedzący w pobliskiej bramie wrzasnął i zakrył oczy. Fala uderzeniowa rąbnęła w najbliższe kamienice, tłukąc gomółkowe okna. Struga zielonych płomieni okopciła ceglany mur.

Demony, porzuciwszy ludzką postać, zakotłowały się niczym dwa burzowe smoki w królestwie sylfów.

Aurę miasta rozdarło zachwianie – po niebie rozbiegła się

pajęczyna ognistych linii, poszerzających się w oczach. Ulicą Zegarmistrzów z hukiem i wizgiem pomknął powietrzny wir, miniaturowe tornado. Z okien, które przetrwały pierwsze starcie, posypało się szkło i poobrywane okiennice. Ludzie w panice chowali się w bramach, padali na ziemię.

Wszystko ucichło równie nagle, jak się zaczęło. Wir rozproszył się; wszystko, co niósł z sobą, osypało się ciężkim gradem, ze stukotem padając na kocie łby. Na długą chwilę zapadła cisza. Potem z bram i okien zaczęły się wychylać przestraszone twarze. Ktoś zaklął, patrząc na zaścielające bruk odłamki szkła i połamane deski. Gruby mężczyzna zajęczał, chwytając się za zakrwawioną głowę. Jakaś kobieta wrzasnęła piskliwie, histerycznie. Pod murem leżało nieruchome ciało żebraka, częściowo przysypane gruzem i kawałkami dachówek.

Z nieba, wciąż jeszcze rozjarzonego mnóstwem krzyżujących się płomienistych pręg, wolno opadały płatki sadzy czy też czarnego śniegu.

Od strony zatoki nadleciał jeden latający dywan, za nim drugi. Widząc postacie w białych szatach, ludzie cichli, odwracali głowy, byle nie padł na nich wzrok magów.

Jeden z dywanów zatrzymał się nad rynkiem, zawisając na niedużej wysokości. Magini czy akolitka w srebrnej masce uniosła ręce. Strużki krwi spływały wzdłuż przedramion, pokrytych płytkami cięciami. Zaintonowała chrapliwą, budzącą dreszcze pieśń.

Zachwianie powoli gasło.

* * *

Daleko w trzecim dominium astralnym grupka brodatych gnomów piła wino przy omszałym głazie nad jeziorem o szmaragdowej tafli, położonym wśród zalesionych wzgórz, na których wiecznie panowała rdzawozłota jesień.

Rozpierzchli się w panice, porzucając dzban i kielichy, gdy woda zakotłowała się, a potem trysnęła fontanną wysoko w górę. W powietrze śmignęły dwa potwory, jeden ścigał drugiego, a choć ich dzikie wrzaski mroziły krew w żyłach, jeszcze bardziej przerażające były kule wijącej się, płynnej ciemności, które po chwili zaczęły

świszczeć w powietrzu wokół walczących. Tam, gdzie rozbryzgi padły na ziemię, zaczynały pełzać czarne węże, rozbiegały się czarne stonogi i wielkie włochate pająki. Gnomy co tchu umknęły w las, byle dalej.

Tymczasem walka trwała. Ciemne wielonożne monstrum zmagalo się z szarą mglistą istotą, to wzbijając się wyżej, to spadając, by we wścieklej kotłowaninie wyrzucać w górę gruzy ziemi i trawy. Nagle mglista postać przemieniła się w szarego smoka, który załopotał skrzydłami i zionął kłębami lodowatego oparu, od którego liście i trawa pokrywały się szronem. Wtedy ciemny wij rozszczepił się na kilkanaście segmentów, z których każdy jeszcze w powietrzu przekształcił się w mniejszą krabowatą poczwarę, całą złożoną z odnóży, kolców i szczypiec. Wszystkie rzuciły się na smoka, lecz ten już transformował w mgłę.

Wszystkie części ciemnego monstrum z przeraźliwym trzaskiem spotkały się, szczepiły i spoiły na powrót. Wij rozwarł paszczę i rzygnął kaskadą ledwo widocznych widmowych migotów, które pochłaniały mgłę, niszczyły ją w oczach. Jej kłęby rwały się, przeistaczały w cienkie, rozwiewające się strzępki.

Pozostałości mgły zawirowały, złączyły się i oto w powietrzu znów unosiła się niewyraźna kobieca postać. Skinieniem dłoni posłała ku przeciwnikowi niewidzialną falę energii. Chybiła. Kilka drzew złamało się i zważyło z przeraźliwym trzaskiem.

Potwór rzucił się na nią, ponownie zionąc tym widmowym ogniem, który wydawał się wypalać dziury w samym powietrzu. Demonessa dmuchnęła ku niemu lodowatym, śmiercionośnym oparem. Dwie wrogie moce zderzyły się – i wtedy przestrzeń wokół nich pękła, rozdarła się po raz kolejny. Dwa demony runęły w nicość zimniejszą od śmierci, splatając się i wgryzając w siebie niczym dwa mityczne węże pożerające nawzajem swoje ogony.

* * *

Anyah powoli odzyskiwała świadomość.

Z jękiem otwarła oczy. Starcie, które słabszego demona obróciłoby w proch, niemal wydrenowało ją z mocy. Farael de Lyche dryfował kilka kroków od niej, nieprzytomny, przemieniony w amorficzną, cuchnącą chmurę demonicznej niematerii.

Otaczała ich ciemność.

Tkwili uwięzieni w niebycie, gdzieś poza czasem. Pat.

* * *

Na zewnątrz znów szumiała ulewa.

Dzień upłynął Anavri nad księgami i pergaminami. Krzyczący pojawił się dopiero w porze kolacji, a po posiłku znów gdzieś zniknął. Dziewczyna czytała do momentu, aż poczuła znużenie; wtedy się położyła.

Już prawie zasypiała, kiedy wyczuła za drzwiami znajomą obecność, a chwilę później usłyszała skrzypnięcie podłogi. Brune zamruczał niechętnie pod nosem. Niósł parujący kubek, grzejąc o niego dłonie.

– Hm? Nie dosłyszałam.

– Zimno – powiedział głośniej. Włosy miał mokre i splątane.

– Kąpałeś się w jeziorze? – spytała zaskoczona. – Przy tej pogodzie?

– Nie chciało mi się bałaganić w zmywalni – mruknął, siadając na brzegu siennika i owijając się kocem.

Anavri po raz kolejny pomyślała tęsknie o domostwie Marshii i o willi swojego ojca. Potem wyobraziła sobie, co pomyślałby Alain, gdyby ją teraz zobaczył, i aż ścisnęło ją w gardle.

Ledwie zauważyła, kiedy zmij dopił herbatę i położył się. Aż po jakimś czasie uświadomiła sobie, że Krzyczący nie śpi, a ona jest w stanie wychwycić jego myśli. Też ponure, ale z zupełnie innego powodu.

Znowu widział ją oczami duszy. Ściślej – wyobrażał ją sobie w takich okolicznościach, że mając tego świadomość, właściwie powinna wstać, zabrać swoje koce i wynieść się czym prędzej do kuchni.

Młodsza, naiwna Anavri poczułaby niechęć i strach, ale Anavri *ka-ira* rozumiała już trochę więcej. A w każdym razie – rozumiała samotność. Pod wpływem impulsu podjęła decyzję.

– Brune? Wiem, o czym myślisz.

Znieruchomiał. Wyczuła nagły chaos jego emocji.

– Co?

– Wiem. A ty wiesz, że ja wiem. Chcesz, żebym ci zapłaciła w ten

sposób?

– Nie – uciął.

– Dlaczego?

– Kwestia szacunku do siebie.

– A jeśli nie będziemy w to mieszać sprawy długu? Tylko... po prostu? Chcesz?

– Leży mi na sercu twoje dobro – powiedział powoli, nie odrywając wzroku od ściany. – Chcenie nie ma tu nic do rzeczy.

– Reputacja panny? Nie rozśmieszaj mnie. Brune, czy ja mam twoim zdaniem jakąś reputację do tracenia? Rozważacie z Marshią wydanie mnie za męża?

– Możesz pewnego dnia spotkać kogoś, komu...

– Ty spotkałeś?

Drgnął, a Anavri przeraziła się, że powiedziała za dużo.

Odwrócił się i popatrzył na nią z trudną do określenia miną.

– No dobrze, uprzejmość każe podziękować, czuję się skomplementowany – rzucił, z pozoru kpiąco, lecz zakrył przy tym dłonią policzek, jakby chcąc powstrzymać tik. – Ale może mi wyjawisz, skąd ten pomysł?

Uznała, że zamiast kłamać, najlepiej wyznać pół prawdy.

– Od jakiegoś czasu nie mam wiele do powiedzenia w kwestii tego, co mi się przytrafia. A w tej sprawie chciałabym mieć coś do powiedzenia, gdy chodzi o... okoliczności.

Zorientowała się, że użyła niezbyt dobrego argumentu, kiedy Brune uniósł brew.

– Co, mając jako alternatywę astralnego potwora w stawie, z dwojga złego wolałabyś mnie?

Splonęła rumieńcem.

– Nie to miałam na myśli... to znaczy...

– Oj, Anavri – zlitował się Krzyczący. – Żartowałem.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie.

– Więc?... – spytała w końcu dziewczyna.

– Muszę się zastanowić.

Ejże, czy mi się zdaje, czy się ze mną droczysz? Ale dobrze, może i zasłużyłam.

– A swoją drogą, też mi rolę dajesz – stwierdził ni stąd, ni zowąd, teraz już z dobrze jej znanym krzywym uśmiechem. – Niekoniecznie

się poczuwam w tej dziedzinie do zadań... psiakrew, na pedagoga.

Musiała parsknąć, i chyba taka była jego intencja.

Przecież się domyślam, że wielu przygód nie miałeś. Raczej nie jesteś z tych. A może?...

Nie wiedzieć kiedy nastrój subtelnie się zmienił. Brune wpatrywał się w nią żółtymi ognikami źrenic, i Anavri znów ujrzała siebie w jego myślach, śliczną jak alabastrowa rzeźba. Kusząco rozchylone usta. Wspomnienie, jak kiedyś pocałował ją na cmentarzu pod szkarłatnym księżycem. Jak niedawno zmieniał jej opatrunki.

Mógł sobie udawać, że jest opanowany i chłodny, mógł to tłumić w imię dobrych manier i troski o nią, ale pragnął jej tak, że już echo wychwytywane z jego myśli ogrzewało słodko jak alkaryjski miód z korzeniami. Anavri wiedziała, że ze swoim smutkiem, żalobą, z całą goryczą, jaką budzi w niej dar, jest dla niego podwójnie pociągająca.

Ona z kolei miała jeden powód, którego nie potrafiłaby wyrazić na głos. Chciała skruszyć ostatnie ogniwo, jakie ją jeszcze łączyło z tamtą niewinną Anavri Vaneisen, która wieki temu bawiła się z bratem w ogrodzie wśród białych róż. Zanurkować w mrok, w muł. Splugawić swoje nowe wcielenie, z którym nigdy się nie pogodziła.

Podejrzewała, że lepiej, aby Brune nie domyślił się jej prawdziwej motywacji.

Zostańmy lepiej przy wersji, że ty bardzo chcesz, a ja nie mam nic przeciwko.

Spięła się, gdy jej dotknął, ale równie szybko się uspokoiła. Pozwoliła, żeby ją przygarnął do siebie, przytulił.

– Co? – zdziwił się, kiedy otrząsnęła się mimo woli.

– Włosy. Masz mokre.

– Przepraszam. – Uśmiechnął się tym swoim ładnym półuśmiechem bez tiku. Potem pocałował ją, laskocząc zarostem.

Pozwoliła, żeby rozsznurował jej koszulę, poddała się jego dłoniom. Nie wiedziała, co jest przyjemniejsze, jego dotyk czy spragnienie, które wyczuwała – jak żar, w miarę rozdmuchiwania tłący się coraz jaśniej – które zaczynało się udzielać także jej.

Stłumiła odruch, żeby się zasłonić przed jego wzrokiem.

Chciałaś tego. Nie wstydz się, dziewczyno.

* * *

Karisa naciągnęła satynowe rękawiczki do łokci, zabrała torebkę i wyszła, zamykając drzwi na klucz. Zeszła po schodach, stukając obcasami. Zignorowała wrogie spojrzenie rzucone przez bosą córkę sąsiadki, która na półpiętrze chodziła tam i z powrotem, lulając niemowlę. Zza zamkniętych drzwi mieszkania dochodziły wrzaski matki, rugającej pozostałe dzieciaki. Nędza z biedą, głód, wszy i wódka... Karisa знаła to dobrze. Wyrosła w takiej samej rodzinie.

Pomyślała z nadzieją, że jeśli dobrze pójdzie, może dzięki nowemu klientowi wreszcie będzie mogła spłacić alfonsa, znaleźć lepszego i wynieść się z tej podłej dzielnicy. Raz na zawsze zostawić za sobą smród rynsztoków.

Prawdziwy cud, że ten szlachcic zwrócił na nią uwagę, gdy jak co wieczór stała na rogu, przed zakładem balwierskim. Choć może nie taki znowu cud. Była ładna, dbała o siebie, nie piła... W każdym razie nie za wiele. Nie nadużywała bielidła ani różu i mimo swoich dwudziestu dwóch lat wyglądała świeżo. Lepiej niż niektóre szesnastolatki.

Spieszył się, więc nie zdołała go skusić nawet na kwadransik na zapleczu, ale postawił jej szklaneczkę wina i powiedział, że podobają mu się jej włosy. Nic dziwnego. Dbała o nie, szcotokowała starannie i wplatała czerwone wstążki. Nie stać jej było na sukienkę z czerwonego jedwabiu, a wszyscy mówili, że dobrze jej w czerwieni.

Podobał jej się. Może nieprzesadnie urodziwy, ale za to bogaty.

A i ona (Karisa uśmiechnęła się do swoich myśli, kołysząc torebką) musiała wpaść mu w oko. Zażyczył sobie, by mu towarzyszyła nazajutrz na eleganckim przyjęciu. Dał lekką ręką pieniądze na kupno sukni. I kupiła. Czerwony atłas, z fantazyjną skośną falbaną i dekoltem odsłaniającym dokładnie tyle, ile trzeba. Nie za wiele, skoro przyjęcie miało być eleganckie.

A do tego rękawiczki. Najnowszy krzyk mody.

Gdybyż zechciał z niej zrobić stałą kochankę...

Wyszła na ulicę i zobaczyła, że dorożka już czeka. Gdy Karisa podeszła, drzwi otwarły się. Wewnątrz siedział jej klient.

Zamrugnęła. Ubrany był jak na maskaradę. Kaftan szyty z różnobarwnych kwadratów i także pantalony, białe pończochy, staroświeckie buty z wielkimi sprzączkami i kapelusz.

– Nie rzekliście mi, że idziemy na bal maskowy – powiedziała

z wyrzutem.

– Och, mam coś dla ciebie. – Pokazał jej maseczkę na oczy z czarnego aksamitu. – Nic więcej nie potrzebujesz.

– Skoro tak twierdzicie. – Wsiadła i zajęła miejsce obok niego. Uśmiechnął się, patrząc na jej strój i fryzurę.

– Wyglądasz uroczo.

* * *

Anavri przytuliła się do Krzyczącego. Objął ją.

No to masz. Z rynsztokowym magiem – pomyślała z łagodną ironią.

Chwilę wcześniej tak intensywnie odbierała jego odczucia, że teraz musiała się skupić, aby znowu wiedzieć, które myśli są jej własnymi.

Więc koncentrowała się na tym, że w domostwie panuje cisza, tylko deszcz jednostajnie szumi na zewnątrz. Że tępy ból przypomina o tym, co się wydarzyło, ale poza tym jest jej ciepło i zaskakująco przyjemnie.

Czuła, że Brune także uśmiecha się do siebie. Jakoś jej to nie dziwiło.

Teraz był odprężony i szczęśliwy, a ona mogła się grzać w jego emocjach.

16. Ciąg dalszy

Na odległych rubieżach astralnych czas płynie inaczej. Anyah nie miała jak kontrolować jego upływu. Nie wiedziała, czy w świecie żywych minęły dni, czy miesiące.

Demony nie znają zmęczenia ani snu. Czekwała, wiecznie czujna, z nadzieją, że słudzy Doliny Popiołów prędzej czy później przybędą, by ją uwolnić z pułapki.

Lecz nie przybywali. Z narastającą rezygnacją zastanawiała się, czy to dlatego, że nie są w stanie jej odnaleźć w nieskończonej przestrzeni sfer, czy też w oczach ojca wykazała się taką niekompetencją, że postanowił ją zostawić na pastwę losu.

Czekala. Nic innego jej nie pozostało.

Aż w końcu, gdy traciła już nadzieję, poczuła wahanie aury, tak gwałtowne, jakby sam Spalony Władca przybył po swoją córkę. Ciemność zawirowała. Zalśniła w niej linia seledynowej poświaty, która wydłużyła się i rozszerzyła w okrąg – wylot portalu.

Wyłonił się zeń siwowłosa mężczyzna o bladym obliczu i czarnych jak smoła ustach, w kaftanie z wielkimi bufiastymi rękawami. Za nim pojawili się słudzy – człekokształtne, bezokie poczwary o długich szponach. Demonessa zamarła.

Hrabia Sathoon spojrział z politowaniem na bezpostaciowy kłęb mroku, który do niedawna był Faraelem de Lyche.

– No i co, przyjacielu? Może powinienem cię tu zostawić za karę?

Czarna masa zafalowała, trudno ocenić – ze strachu czy z oburzenia. Hrabia niedbale skinął dłonią, a mroczny opar zawrzał niczym lawa albo rzeka mrówek. Zabulgotało, zachrupotało, trzasnęło i Farael de Lyche powrócił do swej owadziej postaci. Nim zdążył wyrzec choćby słowo, zniknął w seledynowym rozbłysku.

Sathoon przeniósł wzrok na demonessę. Obliznął czarne wargi.

– Jesteś moja, Anyah. Długo na to czekałem.

Wiedziała, że opór nie ma sensu. Milczała, patrząc wyzywająco. Sathoon skinął na towarzyszące mu stwory.

– Zabierzcie ją.

* * *

Lenda, gruba kucharka adwokata Surpina, stanęła w progu kuchennych drzwi, z rozmachem wychlusnęła na dwór wodę po myciu podłogi i odstawiła wiadro. Pomasowała krzyż i odkaszlęła, oganiając się od much.

Zmarszczyła brwi, bo nagle zabrzmiało głośnie bzyczenie, a zza sągu drewna na opał wzbila się chmara owadów. Kot, który je spłoszył, beztrąsko podbiegł do płotu i przecisnął się pod sztachetami.

Lenda na polecenie chlebobawcy pilnowała, by nikt nie wysypywał odpadków na podwórzu, i nie dalej jak wczoraj natarła za to uszu nowej pomywaczce z sąsiedniego domu. Uznała, że widać pannica zasłużyła sobie na kolejną reprimendę. Poszła zajrzeć za sąg – i stanęła jak wryta.

Spod desek wystawały gołe nogi o sinych, opuchniętych stopach.

Zakrztusiła się, odwróciła na pięcie i pobięła.

* * *

Schodzili po łagodnie nachylonym zboczu. Wiatr targał im włosy, ważki śmigły nad błękitną trawą. Było ciepło. Brune ściągnął tunikę, przewiązał się nią w pasie i zawinął rękawy koszuli.

Co drugi, trzeci dzień zostawiał swoje kolby i retorty i zarządzał, że pora zażyć trochę ruchu. W dominium gnomów nie żyło nic, co mogłoby wydeptywać ścieżki, wędrowali więc tam, gdzie teren był na tyle łatwy, żeby dało się przyjemnie iść na przełaj. Parę miesięcy wcześniej Anavri nie uwierzyłyby, że może jej się podobać chodzenie na piechotę po dziwnych, dzikich miejscach.

Ona nie zawinęła rękawów, a twarz osłaniała słomianym kapeluszem z targu. Nie miała ochoty opalić się jak chłopka.

Zatrzymali się w dolince, gdzie wśród ziemsko wyglądających łopuchów pluskał potok, a na rozciągających się wokół łąkach kwitły złotawe kwiaty podobne z kształtu do maków, woniejące piżmem. Spod stóp Anavri poderwała się skrzydlata jaszczurka. Dziewczyna zanotowała w pamięci, by przy następnej okazji poszukać w bibliotece

Marshii traktatu o roślinach i zwierzętach sfer.

Napili się wody z potoku, potem usiedli w cieniu samotnego drzewka. Brune wyciągnął się na trawie, podkładając ręce pod głowę. Zerknął na dziewczynę z ukosa, z półśmiechem, i zaraz uciekł wzrokiem.

Anavri posmutniała, gdy zreflektowała się, że przed przemianą, spętana przez żalobę po bracie, nie zdążyła poznać nikogo, kto mógłby tak na nią patrzeć.

Gdyby nie dar, jej życie wyglądałoby tak, jak powinno wyglądać życie dobrze urodzonej, zamożnej panny. Ojciec prędzej czy później znalazłby dla niej męża. Kogoś majątnego, ma się rozumieć, ale przede wszystkim kogoś o dobrym sercu, kto traktowałby ją z szacunkiem i czułością. Nie jak wybrakowaną, do wzięcia tylko ze względu na posag. Kto zignorowałby cień, jakim na jej nazwisku kładła się tragiczna śmierć brata.

A tak...

Doskonale wiedziała, czemu podjęła taką, a nie inną decyzję. Bo czuła, że Brune jej pragnie i się z tym męczy. Bo miała pragmatyczną świadomość, że w ten sposób zyskał dodatkową motywację, by ją chronić. Bo wiedziała, że już nie grożą jej konsekwencje, których bałaby się rok wcześniej – jest *ka-ira*, w razie czego po prostu nakaze swojemu ciału poronić. Ale przede wszystkim dlatego, że w pewnym sensie nie mogła się uszargać bardziej i upaść niżej. To był inny sposób, żeby zejść w głęboką ciemność; jak tamtej nocy, kiedy sięgnęła po brzytwę i cięła raz za razem z zimną determinacją.

Brune przymknął oczy. Anavri spoglądała na niego w zadumie.

Zaskoczył ją ciepłem. Może do tego się wszystko sprowadzało. Jednak wystarczyło, by zaczęła na niego patrzeć inaczej.

Świadomość, że komuś zależy, radykalnie zmienia perspektywę.

Teraz usiłowała uporządkować swoje pokrętne, sprzeczne uczucia. Krzyczący – czego w sumie należało się spodziewać – nie był skłonny potraktować pamiętnej nocy jak jednorazowego wyskoku. Nazajutrz powiedział to wprost, krótko i szczerze, po czym pozostawił Anavri decyzję, co dalej.

A ona, postawiona wobec wyboru, tak naprawdę wcale wyboru nie miała. To była jedna z tych sytuacji, których już nie da się odwrócić

i udawać, że nic nie zaszło. Jak mawiała czasem Lorraine – nie da się odkwitnąć kwiatu.

Było tak, jakby istniały dwie Anavri – ta, która wycofywała się w lodowatą skorupę, oraz ta, która pozwalała się przygarnąć i ogrzać. Pierwsza uznała, że skoro nadarza się możliwość, trzeba zostać kochanką rynsztokowego maga, jeśli gwarantuje to korzyści, lecz traktowała ów krok jak kolejne upodlenie. Kolejną gorzką kpinę z tego, kim była kiedyś, kolejną plamę na nazwisku Vaneisen.

Druga myślała teraz, że lubi na niego patrzeć. Dostrzegać, jakby na nowo, szczegóły, które znała od dawna, ale które dopiero teraz budziły w niej sympatię.

Jego śniade dłonie – zgrabne, o smukłych palcach, choć ze śladami od mikstur i atramentu, nie do domycia. Włosy, które chyba o jeden raz za dużo zostały potraktowane iluzją brudu i skołtunienia, bo uparcie nie chciały wyglądać schludnie, nawet czyste i związane. Ładne rysy, kiedy nie wykrzywiał ich tik. Ładne zęby.

Przyduże ubrania maskowały to, jaki jest chudy, na granicy wyniszczenia. Tak wyglądali ludzie uzależnieni od lucyferii, na etapie, gdy jedli i spali coraz mniej, a zanim jeszcze zmieniali się w żywe szkielety. Anavri wiedziała, że Brune czasami zażywa lucyferię na bóle głowy, sporadycznie pali opium, lecz nie sądziła, by to stanowiło przyczynę. To czarny dar tak go wypalał. Ona sama zawsze była szczupła, ale pamiętała, że po przemianie schudła jeszcze bardziej, wszystkie suknie naraz zrobiły się luźne.

Chętnie spytałaby go, kiedy stał się *ka-ira*, ile lat już tak żyje. Często podkreślał, że Marshia jest starsza i bardziej doświadczona, ale sam przecież posiadał olbrzymią wiedzę.

Ciekawe, jak często pakuje się w kłopoty. Naocznie przekonała się już, że blizny na policzku stanowią najpoważniejszą z pamiątek, jakimi mógł się poszczycić. Miał kilka płytszych szram na przedramionach – ślady pojedynków czy zwykłych bójek? I złamany nos, jak na przestępcę przystało. Nie żeby to się rzucało w oczy, ale ona widziała.

Powróciła spojrzeniem do tych nieszczęsnych blizn na twarzy.

Brune wydawał się nimi nie przejmować, lecz w Anavri budziły niepokój. Białawe, wgłębione, biegły tak równo, jakby ktoś umyślnie ciął po trzykroć w jednej linii. Rany musiały być głębokie, ta górna –

może aż do kości policzkowej. Skóra wokół nich, nierówna, z plamami przebarwień, kojarzyła się nieprzyjemnie z wygojonym oparzeniem. Dziewczyna przypomniała sobie pamiętniki jednego z kapitanów, którzy eksplorowali morza i lądy rozciągające się na południowy zachód od Wysp Śpiewu. Opisał między innymi żyjące w dżungli karłowate plemię, które stosowało barbarzyńskie metody leczenia. Gdy sądzili, że w ranie zamieszkał zły duch, okładali ją liśćmi puszczającymi drażniący sok.

– Czemu tak patrzysz? – zagadnął Krzyczący, siadając.

– Te szramy... – Zawahała się. – Skąd je masz?

– To długa historia – odrzekł wymijająco. Anavri wyczuła, że beztroski nastrój prysł. Z jakiegoś powodu Brune zareagował na niewinne w sumie pytanie napięciem, prawie złością. Nie spodziewała się tego po nim.

– Przepraszam – powiedziała nieśmiało.

– Głupstwo. – Ale mówiąc to, odwrócił głowę, zapatrzył się na potok. Nie miała pojęcia, czemu nagle zepsuła mu humor.

– Jutro znów wybieram się do Eume – odezwał się po dłuższej pauzie.

– Udało ci się coś ustalić?

– Niewiele. – Zawahał się. – Wróble ćwierkają, że mordercą jest ktoś z wyższych sfer.

– Wierzysz takim plotkom?

– Plotki bywają warte więcej, niżbyś sądziła. Gadałem z dziewczynami, one od tygodni szepczą między sobą o tej sprawie. – Znów zamilkł, pograżając się w myślach. – Musi się wydawać nieszkodliwy – mruknął po chwili, na poły do siebie.

– Co takiego?

– Myślę, że sukinsyna trochę osób widziało, kilka dziewczyn z nim rozmawiało, tylko z jakiegoś względu nikt go nie podejrzewa. – Uśmiechnął się cierpko. – Może właśnie dlatego, że nikt nie będzie podejrzewał szlachcica.

* * *

Blask słońca wlewał się do sypialni przez duże okna, migocząc we wszystkim, w czym tylko się dało. Na rzeźbionych stoliczkach i w

oszkłonych szafeczkach, strategicznie rozmieszczone, pyszniły się dziesiątki kosztownych cacek. Wachlarze. Szkatułki. Medaliony z miniaturami. Malowane porcelanowe talerze, wazoniki i figurki.

Łoże zdobił królewski baldachim oraz starannie udrapowane zasłony z haftowanego yadhmarskiego atłasu, różowego z zewnątrz, złocistego od wewnątrz. Właściciel komnaty pólleżał oparty o spiętrzone poduszki. Długie zwierciadło na przeciwległej ścianie odbijało jego korpulentną postać, odzianą w koszulę, szlafrok i domową włóczkową czapkę. Trzymając się ściśle zaleceń lekarzy, zwykł po posiłkach odpoczywać na leżąco, a głowę chronić przed przeciągami.

Leniwie błądził spojrzeniem wzdłuż zasłon łoża. Od wewnętrznej strony poprzypinał do nich szpilkami swe zdobycze, w pierwszej chwili nierzucające się w oczy wobec przepychu komnaty, przeładowania barwami i ozdobami.

Koronkowa mitenka. Biała pończoszka z dzierganym wzorem. Kremowy tiulowy kwiat do wpinania we włosy. Żółta podwiązka. Błękitna wstążka. Jedwabna kokarda w kolorze dzikiej róży...

Po jednej pamiątce od każdej ofiary.

Morderca westchnął z satysfakcją, patrząc na swoje trofea. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć czerwonej atłasowej rękawiczki, która nie tak dawno należała do dziewczyny imieniem Karisa.

Uwielbiał je, kiedy były wystrojone, pięknie uczesane, wesołe i ufne. Gotowe pójść z nim wszędzie, skuszone złotem oraz wizją przyjemnej nocy; uwierzyć, że przy przystani odbywa się przyjęcie na łodziach, a w starej kamienicy potajemnie zabawiają się z dziewczętami spragnieni wrażeń młodzi arystokraci.

Ufały mu prawie do ostatniej chwili. Gdy przestawały ufać, było już za późno. Znajdowały się z nim same w ciemności. I wtedy wyjmował nóż.

A kiedy ginęły, miał pewność, że nikt się zbytnio nie przejmie tym faktem. Żaden zamożny krewny nie poruszy nieba i ziemi, by wymierzyć mordercy sprawiedliwość.

Kto by pomyślał, że służenie demonowi może być tak łatwe... i tak przyjemne.

Wiedział, że jego pan też jest zadowolony.

* * *

– Nie mogę już patrzeć na te formuły – stwierdziła Anavri, odkładając grymuar. Po dniu spędzonym na świeżym powietrzu uważała za stosowne trochę popracować, ale wiedza zupełnie nie wchodziła jej do głowy.

Brune, który cerował nadpaloną tunikę – dziewczyna zaoferowała pomoc, ale machnął tylko ręką, stwierdzając, że szkoda jej czasu – odłożył igłę i pstryknął palcami.

– A to chodź, poćwiczysz coś ciekawszego.

„Coś ciekawszego” w praktyce zawsze oznaczało naukę walki. Nudne rzędy znaków w grymuarze nagle zaczęły wyglądać zdecydowanie bardziej zachęcająco, ale Anavri wstała bez słowa.

Wyszli na dwór, na łączkę nad jeziorem. Była pora zachodu słońca – niebo miało złotawą barwę, wiatr przycichł.

– Odejdź kawałek, do samego brzegu – polecił Krzyczący.

Gdy znalazła się prawie przy głazach, Anavri ni z tego, ni z owego poczuła, że niewidzialne ręce łapią ją i unoszą kilka cali nad ziemią. Zaskoczona odwróciła głowę. Brune stał bez ruchu kilkanaście kroków dalej. Źrenice jarzyły mu się żółto.

– Hej! – zawołała z pretensją. – Puść mnie!

– Głupie uczucie, prawda? – zapytał. Zagotowało się w niej, ale nim zdążyła się odezwać, postawił ją z powrotem.

– To wredna sztuczka, którą niektórzy lubią stosować z zaskoczenia. Czar tarczy przed tym nie chroni. Jedyne, co możesz zrobić, to telekinetyczna kontra. Próbujesz chwycić przeciwnika i siłujecie się.

– Takie magiczne zapasy?

– Tak, takie zapasy. Poćwiczymy?

– Ale ja nie mam z tobą szans.

– Kontra nie musi być tak silna jak atak. Spróbujemy. To powinno być dla ciebie łatwiejsze niż poruszanie przedmiotami.

Ku jej zdumieniu okazało się, że telekinetyczne siłowanie się rzeczywiście wygląda tak, jak mówił. Gdy wisząc w powietrzu, próbowała chwycić przeciwnika, zmuszony był ją puścić. Po niedługim czasie reagowała już na tyle szybko, żeby zablokować atak, zanim jeszcze jej stopy oderwały się od ziemi.

Ćwiczyli dosyć długo, a ponieważ dziewczynie szło nadspodziewanie dobrze, Brune trochę zanadto się rozpędził – kolejne ataki stawały się coraz silniejsze, Anavri musiała wkładać coraz więcej energii w ich zablokowanie. W jej głowie zaczynał już pulsować ból, lecz rozochociona nie zwracała na to uwagi. Nagle poczuła, że gwałtownie słabnie. Przed oczami zawirowały jej czarne płatki.

Brune nie zorientował się w porę i kolejny telekinetyczny impuls uniósł ją w powietrze jak kukiełkę. Anavri zdążyła tylko wstrzymać oddech, zanim chlupnęła w głęboką wodę.

Lodowate zimno momentalnie ją otrzeźwiło. Przez nieszczęsną bransoletkę nie mogła się odruchowo zdematerializować. Dwoma panicznymi kopniakami zrzuciła buty, potem otworzyła oczy, modląc się, żeby nie złapał jej skurcz. Poczowała, że się wznosi – niewidoczne ręce już ją pochwyciły i ciągnęły. Po chwili wynurzyła się z wody; ta sama niewidzialna siła przytrzymywała jej głowę nad powierzchnią.

Brune był już widać na tyle zmęczony, że nie chciał ryzykować telekinetycznego przeniesienia dziewczyny na brzeg, więc przynajmniej pilnował, żeby się nie utopiła. Skądinąd całkiem rozsądnie, bo nie wiedział przecież, czy Anavri potrafi pływać i czy nie straciła przytomności. Ale rozzłościło ją to tylko jeszcze bardziej.

– Umieć pływać! – krzyknęła. – Puść mnie!

Puścił. Dopłynęła na płyciznę i wyszła na brzeg, dygocząc, ociekając wodą, nie zwracając uwagi na to, że żwir kłuje ją w boscie stopy. Brune podbiegł do niej, ewidentnie przestraszony tym, co zmalował.

Wyminęła go. Była wściekła; resztką rozsądku powstrzymała się przed tym, co zrobiłaby na pewno, gdyby należał do jej sfery – spoliczkowaniem go z całej siły.

– Możesz wyłowić moje buty – rzuciła przez ramię. – Leżą gdzieś na dnie.

Miała skrytą nadzieję, że przyjdzie mu to trudniej niż zafundowanie jej kąpieli. Ale nie. Kiedy już się przebrała i przyszła do kuchni po coś gorącego do picia, Krzyczący w milczeniu wskazał mokre trzewiki, wypchane sianem i ustawione przy oknie.

Wydeła tylko usta. Wtedy uznał za stosowne jednak ją przeprosić.

– Powiniennem bardziej uważać. – Lekko dotknął jej ramienia. – Hej, nie złość się.

– Zapomnij – mruknęła tonem dającym do zrozumienia, że nadal się gniewa i gniewać będzie.

Brune poprawił pogrzebaczem drwa i postawił czajnik na piecu. Wyczuła, że niespecjalnie się przejął, i nagle zawstydzila się, że zachowuje się jak obrażalska królowna, a on ma to – słusznie – w nosie.

Gdy usiadł z powrotem, oparła głowę o jego ramię. Pachniał znajomo – dymem, kamforą, maścią na spierzchnięte ręce, ziołowo-siarkową wonią pracowni, która na długo zostawała na włosach i ubraniu.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem Brune objął ją, pocałował delikatnie. Anavri przymknęła oczy. Skupienie się na przyjemnych fizycznych doznaniach pomagało odepchnąć atawistyczny, zabobonny strach, który czuła, ilekroć za bardzo wsłuchiwała się w jego myśli.

Czy nawet – nie w myśli, bo w tych nie kryło się nic przerażającego. Dopiero głębiej, pod jego ciepłą ludzką naturą, czaiła się czerń – niczym uspiony wulkan albo jama pełna węży.

Ilekroć Anavri znajdowała się na tyle blisko, żeby to wyczuć, miała wrażenie, że spogląda w przepaść, stojąc na skalnej półeczce, która w każdej chwili może się ukruszyć.

Nawet mimo świadomości, że ta sama siła drzemie również w niej.

Brune odsunął się i popatrzył na nią uważnie.

– Czego się boisz?

– Nie boję się – skłamała z niewzruszoną miną. Nie wyglądał na przekonanego, lecz nie nalegał na odpowiedź.

Woda zaczęła się gotować, więc wstał, żeby zrobić herbatę.

– Rozważ, czy nie mogłabym ci się do czegoś przydać w Eume – powiedziała Anavri, zmieniając temat. Pokręcił głową.

– Ty się ucz. To ważniejsze niż zadawanie pytań w knajpach i burdelach. – Postawił przed nią parujący kubek.

Zawahała się. Od jakiegoś czasu chodził jej po głowie pomysł, o którym bała się wspomnieć na głos, żeby się nie zbłaźnić.

– Dlaczego mnie nie wykorzystasz jako przynęty? – zapytała wreszcie.

– Co takiego? – Drgnął.

– W Eume. Morderca zabija szczupłe, jasnowłose prostytutki. Mogłabym tam pospacerować wieczorną porą, ubrana i umalowana

jak dziwka. A nuż zainteresowałyby się akurat mną?

Pokręcił wolno głową.

– Na ile znam układy w Eume, obca dziwka nie może tak po prostu stanąć sobie na rogu ulicy. Miejscowe panienki albo ją przegonią, albo doniosą alfonsowi i on jej każe ruszać precz, a w najgorszym razie dołoży pięścią na drogę. Wszystkie dziewczyny albo pracują dla kogoś, albo płacą komuś haracz. To po pierwsze. Po drugie, jak wytłumaczyłabyś dziesięciu kolejnym chętnym, czemu nie zamierzasz z nimi iść?

Anavri zacisnęła usta, czując, że się rumieni. *Jak zwykle musiałas zrobić z siebie kretynkę.*

– Też to rozważałem – dodał po pauzie. – Ale to nie jest dobry pomysł i tyle. Pomijając wszystko inne, Marshia by nas obdarła ze skóry za coś takiego. I miałyby rację.

Zapadło milczenie.

Więc sam rozważałeś taką opcję. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy poczuć gorycz. Jednak zaczynał ją doceniać jako pełnoprawnego *ka-ira*. Z drugiej strony – gdyby mu naprawdę zależało, to czy lekką ręką narażałby ją na niebezpieczeństwo? Odepchnęła tę myśl.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Krzyczący dopił herbatę i spojrzał na dziewczynę, uśmiechając się kącikiem ust. Anavri wyczuła jego myśli i ogarnęło ją ciepło, nawet jeśli było jej trochę wstyd, że zachowuje się – Marshia na pewno tak by to ujęła – jak spuszczone ze smyczy.

Trzeba korzystać z życia, bo kto wie, co będzie jutro.

Jak to on, nic nie powiedział, po prostu patrzył wyczekująco. Skinęła głową i również się uśmiechnęła.

* * *

Brune naciągnął tunikę przez głowę. Anavri już dawno – nie bez smutku – odnotowała, jak oczywiste są dla niego odruchy człowieka żyjącego w ciągłym zagrożeniu. Zawsze kładł się ubrany i z bronią pod ręką. Nawet tu, w teoretycznie najbezpieczniejszym schronieniu, jakim dysponował.

Okrył się kocem i chwilę później już spał.

Mimo woli uśmiechnęła się blado. Traktował jej ciało... jak opium.

Zgłuszyć się, odprężyć przed snem.

Dokończyła się ubierać i legła na swojej połowie siennika. Wiedziała, że mimo koców rano obudzi się zmarznięta.

Zdażyła się przyzwyczaić do wszystkiego. Do spania w ubraniu, do tego, że jeśli chce się umyć w ciepłej wodzie, musi ją sobie sama zagrzać na piecu. Zgrzebne płótno w charakterze prześcieradła, zwinięta kurtka jako poduszka. Anavri uśmiechnęła się nie bez ironii, gdy wspomniała swój dom w Shan Vaola oraz willę Marshii. Puchowa pościel, ogrzana przez pokojówkę szkandelą, gdy noc była zimna. Koszula nocna z koronkami.

Zastanowiła się, czy brakuje jej tego wszystkiego, i doszła do wniosku, że nie. Brakowało jej poczucia bezpieczeństwa. Tylko i wyłącznie. Ale ten luksus, jak wiedziała, straciła bezpowrotnie.

Drgnęła, gdy Brune ni stąd, ni zowąd westchnął i zamamrotał. Nie zbudził się jednak. Przekręcił się na bok i znów oddychał równo, spokojnie.

Ona nie była senna. Patrzyła na jego śniadą twarz, we śnie uderzająco młodą. Zarówno Krzyczący, jak i Marshia wydawali się nie mieć wieku – wyglądali tak, jakby liczyli sobie zarazem lat trzydzieści i tysiąc.

Przesłoniła dłonią blizny, myśląc smutno, że nawet gdyby skrył je za iluzją, nadal czułaby ich obecność. Echo koszmaru, na stałe wypalone w jego aurze – nie do stłumienia, nie do wymazania.

Przypomniała sobie jego pieśczoły, niecierpliwy oddech.

Ogień i czułość. Słodkie jak ten przeklęty alkaryjski miód. A ona chłoneła jego emocje, więc rozpałała się razem z nim.

Chwilami czuła się tak, jakby z dnia na dzień stała się starsza o ładnych kilka lat.

Wiedziała, co starał się zrobić jako nauczyciel: wyszkolić ją jak najlepiej w jak najkrótszym czasie, ze świadomością, że może go zabraknąć w każdej chwili. Nie była pewna, jak to się ma do drugiej połowy ich relacji.

Może jesteś tylko rozrywką, czymś przyjemnym na odprężenie. Wyszkolić, pchnąć w świat i zapomnieć?

Nie– odpowiedziała sobie od razu. Oprócz zachwyty i cieszenia się chwilą, w jego myślach wyczuwała spokojną rezygnację kogoś, kto... zbyt wiele już w życiu cenił i stracił. I chociaż niezupełnie przystawało

to do romansów opiewanych w balladach, domyślała się, co Brune uważa za oczywiste bez słów. Bądź przy mnie tak długo, jak długo chcesz. Jeśli zapragniesz odejść, idź.

Nie odnosiła też wrażenia, że schwycił ją jak łakomy kęs – ją, arystokratkę, dziewczynę, która w innych okolicznościach mogłaby zostać nawet żoną księcia. Poznała go na tyle, żeby wiedzieć, że gdyby była dzieckiem Podziemi, w którym obudziła się czerń, traktowałby ją tak samo. Liczył się dar – i wynikająca zeń świadomość, że są jak wilki z tego samego stada.

Martwiło ją co innego. To, co szeptała pragmatyczna część jej natury.

Jesteś młodą zmijką, Anavri. Wspólniczką, a nie trofeum, które się chroni. Wiesz, co to znaczy? Prędeż ty zginiesz, walcząc u jego boku, niż on, chroniąc ciebie.

* * *

Choć rozsądek nakazywał, by te wizyty były jak najrzadsze, Alain Vaneisen co kilka miesięcy pojawiał się w enklawie Marshii.

To, co ich kiedyś łączyło, dawno wygasło, lecz nadal nie umiał patrzeć obojętnie na kobietę, którą znał dawniej jako Marilyce d'Auville, zaufaną przyboczną gubernatora Wysp Śpiewu. Kochankę gubernatora, choć o tym nie mówiło się głośno.

Sama w głębokiej żałobie, pomogła Alainowi przetrwać pierwsze miesiące po stracie Lydii. Przyjaźń, która się między nimi zawiązała, pomалу zaczęła się przeradzać w coś więcej. Nie było w tym niczego dziwnego; nawet w ich sferze śmierć nie oszczędzała ludzi w kwiecie wieku, a powtórne małżeństwa zawierano nierzadko tuż po tym, jak upłynął zwyczajowy rok żałoby.

Lecz potem spadł grom z jasnego nieba. Tajemnicze zniknięcie Marilyce, aresztowanie Fabiena i wydany przez srebrnych wyrok.

Czasem Alain zastanawiał się gorzko, dlaczego nie darzy jej nienawiścią. Latami obwiniał ją o śmierć syna. Dotąd dręczyła go myśl, czy gdyby Marilyce ufała mu na tyle, żeby wyjawić prawdę o przemianie Fabiena oraz o sobie samej, coś by to zmieniło, czy Fabien nadal by żył.

Jednakże nigdy nie umiał znienawidzić pani d'Auville. Zaś ona, jak

się okazało, przez wszystkie te lata podejrzewała, iż to on wydał srebrnym własne dziecko – i także z ulgą powitała prawdę.

Wiedząc już, kim ona jest, nigdy nie zdobyłby się na to, żeby darzyć ją innymi uczuciami niż przyjaźń i szacunek zabarwiony rozsądną dawką lęku, niemniej w przyjaźni zamierzał wytrwać tak długo, jak długo będzie to potrzebne i pożądane. Niezależnie od ryzyka. Pokrętny los sprawił, że teraz Marshia opiekowała się jego córką i jego siostrzenicą. Alain czuł się jej dłużnikiem, choć zapewniała z uśmiechem, że jest odwrotnie.

Powtarzał sobie z ironią, że od jego strony wygląda to prawie tak, jakby wysłał dziewczęta, by pobierały nauki na dworze. Dostawał listy, doręczane w nocy – wolał nie wnikać, przez jakiego posłańca. Dwukrotnie odwiedził Anavri i Lorraine w enklawie, szczęśliwy, że – choć w izolacji od świata – żyją tak, jak powinny żyć młode panny z ich sfery.

A potem stało się coś niedobrego.

Najpierw korespondencja urwała się na długie tygodnie. Alain mógł jedynie czekać w napięciu, pełen obaw. Potem przyszedł list od córki. Pisała, że mistrzyni choruje, nie podając szczegółów. Krótco potem odezwała się również Marshia. Potwierdziła, że zapadła na zdrowiu, dając do zrozumienia, że dalsze pytania nie będą mile widziane. Alain wiedział, że choćby nalegał na wyjaśnienia, i tak ich nie otrzyma. Zadowolony się zapewnieniem w liście od Anavri, że zarówno ona, jak i Lorraine mają się dobrze, czekał cierpliwie, choć targany niepokojem.

Gdy teraz ujrzał Marshię, przeraził się. Bardzo schudła i zdawało się, że w lawinowym tempie postarzała się o dziesięć lat. Podkrążone, zapadnięte oczy, zmatowiałe włosy, sterczące obojczyki. Dłonie szkieletu – same kości oplecione żyłami, obciążone skórą. I woskowa, wynędzniała twarz, jak maska pośmiertna. Tak samo wyglądała Lydia, gdy umierała na suchoty.

Natychmiast odgadł, że zmijka otarła się o śmierć, że nadal ciężko niedomaga. Ostrożną próbę dowiedzenia się, co zaszło, zbyła lodowato. Alain czym prędzej porzucił drażliwy temat, lecz w sercu została zadra. Bolało go, że nigdy nie dowie się prawdy. A jeszcze smutniejsza była świadomość, że córka także należy już do tamtego świata, świata ponurych tajemnic – że ona też nie powie mu, co się stało.

Siedzieli we trójkę w salonie, rozmawiając przy herbacie i ciasteczkach. Gra w normalność. Uprzejme uśmiechy, zakaz zadawania kłopotliwych pytań. Vaneisen akceptował ten bolesny teatrzyk, bo nie miał wyboru.

Anavri odstawiła filiżankę na stolik.

Nie ubierała się już na czarno, co Alain przyjął z ulgą. W sukni z niebieskiego jedwabiu i takichże pantofelkach, ze srebrną kolia na szyi i wpiętą nad uchem gałązką jaśminu, prezentowała się nienagannie. Lecz bystre ojcowskie oko spostrzegło i odnotowało intrygujące szczegóły. Ścięta włosy, sięgały teraz zaledwie do ramion. Nadal wyglądała niepokojąco szczupło i mizernie, ale lekko się opaliła i nie sprawiała już wrażenia tak delikatnej jak dawniej.

Czytając między wierszami, zaczynał nabierać podejrzeń.

Przypomniawszy sobie śniadego zmija z bliznami na policzku, który zjawił się w willi Vaneisenów tamtej strasznej nocy, gdy Anavri majaczyła w gorączce wywołanej przez rozbudzoną czerń. Najprawdopodobniej uratował dziewczynie życie, chroniąc ją przed srebrnymi magami, którzy mogliby wytropić jej świeżo wykluty talent. Później zaś, wbrew obyczajom *ka-ira*, nie upomniawszy się o zapłatę.

Alain pomyślał, że dobrze byłoby porozmawiać z tym człowiekiem w cztery oczy, a potem zreflektował się, że cóż mogłoby to zmienić?

Córka nie należała już do niego. Nie miał najmniejszego wpływu na to, co się z nią dzieje. Wiedział też, że sam nie byłby w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa, zaś tamten przestępca o zeszpeconej twarzy i z żółtymi ognikami w oczach – owszem.

Patrząc na Marshię, pomyślał cierpko, że chętnie zapytałby ją o to i owo, ale w cztery oczy. W tym samym momencie Anavri wstała.

– Zawołam tu Lorraine, niech się chociaż przywita – powiedziała. Alain skinął głową, nabierając chłodnej pewności, że córka czyta w myślach.

Gdy zostali sami, zwrócił się do Marshii.

– Dlaczego on ją teraz szkoli, a nie ty? – spytał wprost. Zachowała nieprzeniknioną minę.

– Już ci mówiłam, chorowałam. Ciężko. Nadal jestem bardzo osłabiona. Nie mogliśmy pozwolić, żeby Anavri miała miesięczną przerwę w kształceniu, więc Brune zgodził się mnie zastąpić, a ponieważ okazało się, że pod jego opieką szybciej robi postępy,

zdecydowaliśmy, że powinna kontynuować naukę z nim.

– Rozumiem. – Alain milczał chwilę. Pytanie, które chciał zadać, nie przechodziło mu przez gardło.

– Będzie z nim bezpieczna? – odezwał się po chwili.

– Tak bezpieczna, jak to tylko możliwe, mój drogi. – Usta Marshii drgnęły w ironicznym uśmiechu. – Nie jestem w stanie zagwarantować, że nie nauczy się kłąć albo walczyć na noże... Ale Brune jest zdolnym magiem – podkreśliła. – I naprawdę lepszym nauczycielem dla niej niż ja. A bezpieczeństwo... Już nigdy i nigdzie nie będzie bezpieczna, Alain. Dopóki żyjemy, będziemy się starali nią opiekować. Kiedy nas zabraknie, zostanie sama.

Vaneisen skinął głową. Rozumiał wszystko.

Za oknem zabrzmiały dziewczęce głosy. Wyrżał przez okno. Obsadzoną bukszpanami ogrodową ścieżką szła Lorraine Nevers, szalona córka równie szalonego fałszywego maga. W czarnej sukni, ale bez żałobnego welonu, roześmiana, wyglądająca na szczęśliwą. A za nią Anavri. Wyższa, poważniejsza. Smutniejsza.

Vaneisen przypomniał sobie czasy, gdy jego córka była jeszcze dzieckiem i biegała po ogrodzie, huśtała się na huśtawce, bawiła się z bratem... Z bratem, który jako pierwszy padł ofiarą przekleństwa Zmroczy.

Skazona krew... Czyja? Alaina, Lydii? Teraz to nie miało znaczenia.

Anavri uniosła głowę, napotkała wzrok stojącego w oknie ojca, uśmiechnęła się doń. Vaneisen znów poczuł ukłucie w sercu.

Taka śliczna.

Wydałby ją za kogoś wysoko postawionego, zamożnego. Mądrego, troskliwego. Wyszukałby najlepszego męża pod słońcem.

Ale to także nie miało teraz znaczenia.

Bylebyś tylko żyła.

* * *

Brune odsunął księgę, którą od jakiegoś czasu wertował, zamiast czytać. Jego myśli pobiegły w takim kierunku, że raptem nabrał chęci, aby zajrzeć w przyszłość.

Sięgnął po karty i zaczął je tasować, nadal rozmyślając o Anavri. Złapał się na tym, że po raz kolejny wspomina poprzednią noc.

Wszystkie noce. Szczupłe, miękkie ciało dziewczyny, rozchylone usta, rozrzuconą przędzę jasnych włosów.

Pokręcił głową, konstatując z łagodnym rozbawieniem, że przynajmniej taki narkotyk jest zdrowszy niż opium. Potem spoważniał.

Ilekcio Anavri znajdowała się blisko, wychwytywał echa jej myśli i uczuć. Utwierdzał się wtedy w przekonaniu, że obiektywnie – na szczęście – nie zrobił głupstwa; mieli ze sobą więcej wspólnego, niż się zdawało na pierwszy rzut oka. Czasem trochę go bawiła, na przykład kategorycznym podejściem do spraw, o których niewiele wiedziała. Ale przede wszystkim martwił się o nią. O jej przyszłość. Młodziutkiej, wciąż jeszcze niewinnej dziewczyny obciążonej czarnym darem.

Chciałby powiedzieć, że utrzymuje dystans, bo Anavri nie jest pewna, jak traktować ich relację. Tak naprawdę bał się, że ona na tej relacji fatalnie wyjdzie. Nie z jego winy, tylko siłą rzeczy.

Zdecydowanie lepiej się czuł, odpowiadając wyłącznie sam za siebie.

Tasował karty raz po raz, ale jakoś nie mógł się zdobyć na to, żeby je rozłożyć.

Wtem odniósł przemożne wrażenie, że jest śledzony. Odwrócił się gwałtownie, rozejrzał. Pusto. Nic. Mimo to miał lodowatą pewność, że instynkt maga nie kłamie – że właśnie teraz, w tej chwili, śledzą go niewidzialne oczy. Coś czai się tuż obok, obserwując każdy jego ruch, niemal dysząc mu w kark...

Panika chwyciła go niczym żelazne kleszcze. Przywołał moc, gotów zmusić intruza do ujawnienia się i walczyć – lub uciekać.

W następnej sekundzie ochłonął, wyczuwając za ścianą znajomą obecność. To jego uczennica wróciła od Marshii.

Wrażenie bycia śledzonym zniknęło. Gdy Brune nieco ochłonął, przeszedł go dreszcz.

Szlag. Co się ze mną dzieje?

Zdał sobie sprawę, że znowu machinalnie tasuje karty. Ale nie mógł przestać, musiał coś zrobić z rękami. Nie całkiem racjonalnie bał się, że jeśli choć na chwilę zastygnie w bezruchu, tamto wróci.

Przestał dopiero wtedy, kiedy Anavri wsunęła się do izdebki.

Już przebrana do snu w koszulę i spodnie, wydawała się zgaszona i smutna. Usiadła na sienniku, powoli wyjęła spinki i zaczęła

rozczesywać włosy.

Brune odetchnął bezgłośnie. Pochłonięta własnymi myślami, nie zauważyła, że dłonie wciąż jeszcze mu dygoczą. Ukrył je w rękawach, splatając ręce.

– Widziałaś się z ojcem? – zagadnął, starając się, by jego głos brzmiał normalnie.

– Tak.

– I?

– Wszystko jest w porządku.

Dał za wygraną, wyczuwając, że dziewczyna nie ma ochoty rozmawiać. Ale po chwili milczenia Anavri nagle się odezwała.

– Brune, co będzie, kiedy już skończysz mnie szkolić?

– Zobaczymy – odrzekł.

Ze zdumieniem spostrzegł, że w jej oczach zaczynają się szklić łzy, i pojął, o co naprawdę próbowała spytać. Nie wprost, jak to ona.

Wiedział, co powinien powiedzieć. Ale nie chciał jej tego mówić. Nie ze świadomością, do ilu rzeczy się nie przyznał, bo nie miał siły tego rozgrzebywać, wyjaśniać, tłumaczyć. Wymazana przeszłość. Wiszące nad nim widmo szaleństwa. Bo Anavri, nawet jeśli zaczynała już co nieco rozumieć, pod niektórymi względami pozostawała wrażliwą panienką z dobrego domu. Sami ją chronili przed wiedzą o brzydszych stronach czerni, podawali łagodniejszą wersję – on, Marshia, Zazel. Więc wolał nie wiedzieć, jak by zareagowała, gdyby poznała prawdę o kilku sprawach. Na przykład gdyby się dowiedziała, jak zaczął w Shan Vaola.

– Będzie dobrze – powiedział łagodnie. Sam bardzo chciał w to wierzyć.

Anavri kiwnęła głową. Pospiesznie wytarła oczy, wyraźnie próbując udawać, że to nie łzy, tylko zmęczenie. Skończyła rozczesywać włosy i związała je w kitkę, po czym spojrzała z ukosa. Odczytując niewerbalne zaproszenie, Krzyczący objął ją.

Przytulili się łagodnie, ale żadne nie spieszyło się do czegoś więcej. Nie tym razem.

Później, tuż przed zaśnięciem, Brune pomyślał z dreszczem, że może i dobrze, iż nie sprawdził, co mówią karty.

17. Wizja panny Nevers

W ogrodzie Marshii mieszkał chochlik, który dbał o kwiaty. Podobnie jak undyna niechętnie pokazywał się mieszkańcom enklawy, ale Lorraine wydawał się darzyć niejakimi względami.

Po kolacji wyszła na krótką przechadzkę i spotkała go zaraz za werandą, podlewającego piwonie. Wyglądał pociesznie. Zielony, łuskowaty, brzuchaty i siwobrody. Na widok dziewczyny odstawił konewkę i skłonił się grzecznie.

– Jak się czuje pani Lavallo? – zagadnął.

– Lepiej – odrzekła wymijająco. Pamiętała surowy zakaz Marshii w kwestii rozpowszechniania informacji na temat stanu jej zdrowia.

– To dobrze – westchnął chochlik, a dziewczyna natychmiast pojęła, że przejrzał jej kłamstwo. – Oby wkrótce zajęła się enklawą. Róże chorują, coś mi zżera rododendrony... A łabędzie odleciały.

Lorraine popatrzyła w stronę stawu i dotarło do niej, że chochlik mówi prawdę. Łabędzi nie było, choć nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio je widziała.

Uświadomiła sobie też, że turkusowa barwa nieba nie wiedzieć kiedy wyblakła do szarawego błękitu. Choć Brune, Zazel i Biss regularnie odnawiali zaklęcia ochronne, konstrukcja enklawy pomału słabła, niewzmacniana przez właścicielkę – a na to nie mogli już nic poradzić. Baśniowy azyl pomału przestawał być bezpiecznym schronieniem. Może już przestał? Lorraine wzdrygnęła się na tę myśl.

Astralny ogrodnik rozejrzał się tymczasem, jakby sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje.

– Ten mag z bliznami na twarzy – podjął, zniżając głos – nadal u was bywa?

– Oczywiście.

– Nie powinniście tak mu ufać – zadeklarował chochlik, marszcząc czoło. – Czuć go Otchłanią.

– Co za bzdury! Brune jest w porządku – obruszyła się Lorraine. – Nie znasz go!

Nie wyglądał na przekonanego. Złapał konewkę, zszedł do stawu, żeby ją napełnić, i wrócił do podlewania.

Myśli Lorraine pobiegły ku Krzyczącemu i Anavri. Ona nie podzielała obaw Marshii i Zazela. Uważała, że bardzo dobrze się stało. Choć jedna iskierka optymizmu w ostatnich tygodniach.

Nagle ujrzała ich wzrokiem wieszczki, idących przez łąkę porośniętą błękitną trawą i złotawymi kwiatami. Ładnie wyglądali razem.

Gdy tylko skupiła się na tym obrazie, jego miejsce zajął inny. Brune całujący Anavri w czerwonym świetle sączącym się z uchylonych drzwiczek pieca; jej rozsypujące się włosy, lekko rozsznurowana koszula. W sumie nic takiego, ale Lorraine pokręciła głową i potarła oczy, żeby znów widzieć tylko teraźniejszość. Ostatnie, czego chciała, to podglądać.

Cały ranek spędziła nad kryształową kulą, na polecenie Marshii próbując zwizualizować tajemniczego mordercę z Eume. Bez skutku. W końcu mistrzyni dała za wygraną, widząc, że bez jakiegoś punktu zaczepienia nawet zdolności podopiecznej na nic się zdadzą. Sama Marshia była zaś wciąż jeszcze zbyt słaba, aby pokusić się o rzucenie choćby prostego zaklęcia wróżebnego.

Lorraine wróciła myślami do tego, co wiedziała o tajemniczych morderstwach. W duchu podejrzewała, że sprawca może być fałszywym magiem, tak jak jej nieżyjący ojciec. Wprawdzie Marshia nie przychyliła się do tej hipotezy, ale dziewczyna wiedziała swoje. Hrabia Nevers na pewno bez mrugnięcia okiem zadałby okrutną śmierć choćby i dwudziestu osobom, gdyby gdzieś wyczytał, że przelana krew obudzi w nim upragniony czarny dar.

Naraz, bez ostrzeżenia, przed oczami dziewczyny zapłonęły obrazy. Lorraine jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach. Serce waliło obłądnym rytmem, jakby chciało się wyrwać z piersi.

– Hej, dobrze się czujesz? – spytał z niepokojem chochlik. Pokręciła głową, rozdarta między rzeczywistością a koszmarem.

Ból, przeraźliwy ból...

Zaciskam ręce na czymś ciepłym i śliskim.

Na moich własnych jelitach. Mężczyzna

mężczyzna ma twarz upiornego kłowna grymas od ucha do ucha

to uśmiech

uszminkowane usta szepczą coś i ostrze podrzyna mi gardło
gorąca krew dławi krzyk
ciemno

Spadała przez lodowatą szarość, pełną szeptów.

Gdy się ocknęła, leżała na trawie, a chochlik pochylał się nad nią.

– Zawołać panią Lavallo? – spytał z przestraczeniem.

– Nie trzeba. Nic mi nie jest. – Zerwała się na nogi, odsuwając go,
i pobiegła do willi.

* * *

Zazel szóstym zmysłem chowańca zawsze wyczuwał, kiedy pani go potrzebuje.

Odnalazł Marshię na tarasie. Siedziała w wiklinowym fotelu, owinięta kocem, choć dzień był ciepły. Zgaszona. Bez emocji.

Chowaniec stanął obok i tak długo patrzył wyczekująco, aż gestem zaprosiła, żeby wskoczył jej na kolana. Umościł się na kocu, przytulając nos do rękawa żmijki.

Czuł jej smutek i rezygnację. Chciał zapytać, jakie myśli ją gnębią, ale wiedział, że jego pani albo przemówi z własnej inicjatywy, albo nie powie nic. Czekał więc.

– Mam nadzieję, że Anavri wie, co robi – odezwała się Marshia. Jej głos brzmiał martwo. – Gdybym była jej matką... Ale nie jestem. Alain musi mi wybaczyć.

Zazel milczał. Nie chciał się dzielić opinią, o którą nie został zapytany.

Marshia patrzyła w przestrzeń.

– Kochałam gubernatora Wysp Śpiewu – powiedziała nagle. – Jedyne mężczyzna, jakiego gotowa byłam poślubić. Wrogowie po dziś dzień rozpowiadają o nim różne kłamstwa... Ja znałam prawdę, stworze. Rządził twardo, ale sprawiedliwie. Wieształ piratów, buntowników i szpiegów, bo nie dało się inaczej.

Chowaniec potaknął. Żmijka z westchnieniem poprawiła się na fotelu, ciaśniej owinięła kocem, przygarbiła.

– Gdy miał sześćdziesiąt lat, nieuleczalnie zachorował. Rak gardła,

Zazel. Duży wrzodziejący guz, nie do zoperowania. Straszliwie cierpiał, mimo leków, mimo laudanum, mimo moich czarów. W końcu poprosił, żebym go uwolniła od bólu.

Zazel z troską patrzył na swoją panią. Wyczuwał, że to nie wspomnienia tak ją smuca. Historia z gubernatorem wydarzyła się przed laty; rana, choć głęboka, dawno się zagoiła.

Marshia nagle przycisnęła dłoń do ust. Z jej gardła wyrwał się krótki, zdławiony szloch.

– Dużo myślałam w ostatnich dniach, stworze – odezwała się po pauzie, ciszej, głosem pozornie wypranym z wszelkich uczuć. – Srebrni prędzej czy później wytropią tę moją wysepkę, której już nie jestem w stanie chronić. Pytanie nie brzmi: czy, ale: kiedy. Więc chyba nadszedł moment, kiedy trzeba się zastanowić, czy warto dalej to ciągnąć...? Póki jeszcze mam wybór.

– Nie, Madelena – rzekł nadspodziewanie ostro Zazel. Podniósł się na łapach, żeby przyszpilić ją spojrzeniem. – Ani się waż tak mówić. To jeszcze nie twój czas.

Drgnęła, zdumiona.

– Moje... Ale skąd...?!

Wytrzymał jej wzrok.

– Jestem chowańcem. Wiem różne rzeczy.

– Komu służyłeś w przeszłości? – spytała zmienionym, zimnym głosem.

– Nie wolno mi tego wyjawiać, przecież wiesz.

– W porządku. – W źrenicach źmijki zatlił się purpurowy blask. – Co o mnie wiesz, stworze? Tylko bez krętactw. Wyczuję, jeśli skłamiesz.

Zazel i teraz nie spuścił oczu.

– Dawno temu, przed Marilyce d’Auvil, przed Maeke Feil, nazywałaś się Madelena Rizzi. Pochodzisz z Talme. Byłaś córką kurtyzany, półkrwi Nedgvarki; swego ojca nie znałaś. A gdy obudził się w tobie dar, zostałaś uczennicą Argila d’Engle zwanego Sokołem, którego mistrzem, jeszcze przed Skażeniem, był Adrien de Vere.

Marshia po dłuższej pauzie zaśmiała się suchym, wymuszonym śmiechem.

– Powinnam cię zabić, Zazel. Albo przynajmniej uciąć jęzor. Wiesz stanowczo za dużo.

Stwór nakrył łapką jej dłoń.

– Jestem twoim chowańcem, Madeleno. Służę ci aż do śmierci. – Uśmiechnął się z zawstydzeniem. – Jakkolwiek patetycznie by to nie brzmiało.

Zapadło milczenie, lecz nie trwało długo. Oboje drgnęli, gdy zza krzewów wybiegła Lorraine, blada, zdyszana. Zwolniła dopiero przed gankiem. Marshia wyprostowała się na krześle, w okamgnieniu znów rzeczowa i skupiona na teraźniejszości.

– Co się dzieje?

– Miałam wizję... – wykrztusiła dziewczyna, wodząc błędnym spojrzeniem od chowańca do mistrzyni. – Skontaktujcie się z Krzyżącym.

– A po co ci on?

– Musi mnie zabrać do Eume.

* * *

– Mam dla ciebie zadanie – oznajmił Brune. – W zasadzie powinienem był o tym pomyśleć już wcześniej.

Jedli jajecznicę na maśle wprost z patelni, żeby zaoszczędzić sobie zmywania. Anavri sięgnęła po chleb. Górskie powietrze zaostrzało jej apetyt, kiedy magia go nie tłumiała.

– To znaczy?

– Pamiętasz szarfę, którą Marshia dała ci przed pojedynkiem?

Przytaknęła.

– Była na niej formuła wzmacniająca dar. Zawsze uważałem, że lepiej polegać na sobie niż na takich... protezach – skrzywił się lekko – ale powinnaś mieć podobną na własność. Na wszelki wypadek.

Anavri przygryzła wargę. Popsuł jej humor, choć wiedziała, że zrobił to zupełnie niechcący.

Wyczuł jej emocje. Jak zwykle. Dotknął jej dłoni.

– Marshia korzysta z szarf, jak widziałas. I nie ona jedna. To raczej ja jestem wyjątkiem w tym względzie.

Miała ochotę zapytać dlaczego, ale zmilczała.

– No cóż, przynajmniej raz będę mógł powiedzieć, że dałem ci zajęcie odpowiednie dla panny z dobrego domu. – Brune mrugnął, ale Anavri nie uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Będziesz musiała

kupić czarną jedwabną szarfę i wyhaftować na niej znaki.

– Gdzie można kupić coś takiego?

– W Kang, na przykład. Mnóstwo ludzi przepasuje tam nimi stroje, widziałaś zresztą.

Skinęła głową, pochmurniejąc jeszcze bardziej. Odłożyła łyżkę. Jajecznicą nagle przestała jej smakować.

* * *

Znalazłszy się w Kang, Anavri z przestachem odkryła, że sam widok kopulastych dachów w jaskrawym południowym słońcu przyprawia ją o dygot rąk i chęć ucieczki. Im bardziej starała się odpychać wspomnienie zwłok na placyku, tym uporczywiej powracało. Miała ochotę uciec stąd jak najdalej. Ale nie chciała po raz kolejny wyjść na bezużytecznego tchórza. Zacisnęła więc zęby i ruszyła w stronę targowiska.

Pokręciwszy się trochę między kramami, znalazła taki, gdzie były i jedwabne szarfy, i wstążki, i nici we wszystkich kolorach. Rozmawiając z uprzejmym kupcem, odrobinę się uspokoiła. Ale odetchnęła dopiero, kiedy już dokonała zakupu, wycofała się w okolice garbarni i zdematerializowała, by wylądować bezpiecznie na brzegu górskiego jeziora.

Gdy wróciła do chaty, zastała Krzyczącego w pracowni, montującego aparaturę. Orientowała się już wystarczająco w jego akcesoriach, żeby poznać, że wziął inne rurki i naczynia niż zwykle.

– Co będziesz robić? – zagadnęła.

– Truć i szkodzić. – Otworzył okno.

– Mogę tu zostać?

– Jeśli chcesz. – Umocował do zestawu retortę pełną szarych bryłek, ustawioną na zardzewiałym trójnogu. Pod nim położył talizmanik – gemmę z agatu. Szepnął słowo i pod retortą zatliły się ledwie widoczne płomyki. Z zasady nie używał magii, kiedy mógł poradzić sobie bez niej, ale widać tym razem uznał, że zaklęcie sprawdzi się lepiej niż węgiel drzewny i malutki ręczny miech.

– Kiedy cię nie było, Marshia wezwała mnie na słówko – oznajmił, wycierając ręce o tunikę. – Podjęliśmy pewną decyzję.

– Jaką?

– Zaraz ci powiem. Przy okazji dała mi igły, nici i twój tamborek. – Wskazał stolik. – Pokaż szarfę. O, to dobry jedwab, ile kosztował? Kiedy usłyszał cenę, wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony.

– Przyznaj się, użyłaś dodatkowych argumentów?

– To znaczy?

– Wpłynęłaś na wolę kupca? Leciutko i dyskretnie?

– Nie.

– Naprawdę? Po prostu tak dobrze się targujesz? – Lekko zmierzwił jej włosy. – No proszę. Trochę pomieszkałaś z rynsztokowym magiem i już objawiasz ukryte talenty.

Anavri jak zwykle nie była pewna, czy powinna się roześmiać, czy poczuć urażona. Brune musiał to wyczuć, bo porzucił kpiarski ton.

– Napisałem ci formułę. Trzeba ją powtórzyć na szarfie tyle razy, ile razy się zmieści w całości. To, co jest na czarno, haftuj złotą nicią. – Podał jej kartkę z sześcioma znakami wymalowanymi czarnym i czerwonym tuszem oraz kawałek kredy. – Możesz się za to od razu zabrać. Im szybciej skończysz, tym lepiej.

Dziewczyna usiadła na stołeczku w bezpiecznej odległości od aparatury. Dłuższą chwilę zastanawiała się, jak najrozsądniej będzie rozmieścić symbole. Potem umocowała tamborek na szarfie, starannie wyrysowała kredą pierwsze dwa znaki i zabrała się za wyszywanie.

W pracowni zaczynało pachnieć goździkami. Zerknęła na Krzyczącego, który w skupieniu wpatrywał się w chłodnicę. Podsunął pod jej wylot naczynko, do którego zaczął kapać żółtawy płyn.

Anavri pograżyła się w zadumie.

Podziwiała jego wiedzę i umiejętności. Był cierpliwym nauczycielem. Choć rzadko chwalił ją na głos, zawsze wiedziała, kiedy jest zadowolony. Nauczył ją cenić dar, choć nie wiedziała, czy akurat za to powinna być mu wdzięczna.

Żółtawa substancja przestała spływać. Brune na miejsce naczynka podstawił pustą kolbkę. Anavri uśmiechnęła się smutno.

Od dziecka przyzwyczajano ją do myśli, że pewnego dnia zostanie wydana za kogoś, kogo jej wybiorą. A po tym, jak jej życie nieodwracalnie się rozsypało, dostała w prezencie od losu jedną rzecz. Mogła sypiać z kimś, z kim było jej przyjemnie. Nawet jeśli czuła się

z tym trochę jak żebrak, który ukradł ciastko.

Z drugiej strony – jednak przeszkadzały jej pozorne drobiazgi. Jego znoszone ubrania, koszule z wystrzępionymi mankietami, powiedzonka rodem z rynsztoka. Świadomość, z kim prowadził interesy.

Mogłaby mu to wszystko wyznać, ale podejrzewała, że zbyłby ją wzruszeniem ramion.

Owszem, mogła go sobie wyobrazić na salonach, ale dobrze wiedziała, że gdyby chciał się tam znaleźć na stałe, już dawno by to zrobił.

– Nareszcie spływa – odezwał się Brune. Drgnęła.

– Co takiego?

Wskazał kolbkę, do której zaczynała skapywać bezbarwna ciecz.

– Księżycowy olejek – powiedział. – Poszerza percepcję. Przyda się nam niedługo.

Wziął ze stołu fiolkę i wręczył jej.

– Proszę, a to dla ciebie.

– Co to jest? – zdziwiła się.

– Perfumy. Nie chwaląc się, mojego wyrobu. – Oczy błysnęły mu łobuzersko. – Miałem ci je dać wczoraj, ale zapomniałem.

Zaintrygowana Anavri odkorkowała fiolkę i powąchała zawartość, po czym kapnęła odrobinę na nadgarstek. Zapach był przyjemny, zmysłowy. Wychwyciła nutę fiołków, kadzidła i chyba cynamonu.

– Dzięki – powiedziała, uśmiechając się ciepło. Nagle zawstydziła się wszystkich niedawnych myśli. Nie zasłużył na to, żeby go oceniała jak rybę na targu.

Brune umknął wzrokiem, jak to on, lecz czuła, że też się ucieszył.

– To powiedz, co wymyśliliście z Marshią – przypomniała.

– Jutro zabieram Lorraine do Eume.

– O? Po co?

– Żeby sprawdzić, co będzie w stanie ujrzeć tam na miejscu. Miała wizję jednego z morderstw, tak mówi Marshia.

Anavri znieruchomiała.

– Miała wizję? W enklawie? Jak to możliwe?

– Nie wiem. Lorraine twierdzi, że to już drugi raz. Widziała i czuła wszystko z perspektywy ofiary, co raczej nie było przyjemne. – Skrzywił się. – Nie wiem, jak działa jej talent, Marshia też chyba

do końca nie jest pewna, bo zasadniczo wróżbici mogą widzieć takie rzeczy tylko pod warunkiem, że mają jakikolwiek punkt zaczepienia, na przykład przedmiot, który należał do uczestnika wydarzeń... Ale najwyraźniej panna Nevers jest wyjątkiem.

– A skąd wie, że widziała morderstwa w Eume, nie jakieś inne?

– Za pierwszym razem nie wiedziała. Za drugim w wizji pojawił się sprawca, umalowany człowiek w kostiumie błazna. Lorraine twierdzi, że jeśli zabiorę ją w pobliże miejsca, gdzie znaleziono którąkolwiek z ofiar, jest szansa, że zobaczy więcej. Sam już wcześniej rozważałem wybranie się tam z nią. Przyznam, że brakuje mi lepszych pomysłów.

– A jeśli jej to... zaszkodzi? – spytała Anavri. – Wzięliście to pod uwagę?

Aż za dobrze pamiętała dawną Lorraine, z czasów, gdy obie jeszcze mieszkały w Shan Vaola. Tę Lorraine, o której odchyłach szeroko plotkowano – która potrafiła przy świadkach pogryźć sobie rękę do krwi i błagać umarłych, których głosy słyszała, żeby zostawili ją w spokoju. Nawet jeśli kuzynka pod kuratelą Marshii wyzbyła się właściwie wszystkich dziwactw – duża ich część, jak teraz podejrzewała Anavri, mogła być efektem zamieszkiwania pod jednym dachem z rąbnętym hrabią Nevers, który sam nie takie rzeczy wyczyniał – to dalibóg nie znaczyło, że należy ją lekkomyślnie wystawiać na doznania, które mogłyby wstrząsnąć kimś starszym i bardziej doświadczoneym.

Brune wzruszył ramionami.

– Wiesz, obawiam się, że panna Nevers nie takie rzeczy już widywała w swoich wizjach.

– To ma być argument? – obruszyła się.

– Jeśli Lorraine mówi, że może się czegoś podjąć, to ja jej wierzę na słowo. – Spoważniał. – Sądzę, że gdyby nie potrafiła dojść do ładu z tym wszystkim, co widuje, zwariowałaby dawno temu.

Anavri musiała przyznać mu rację. Jak na to, przez co przeszła i co nosiła w głowie, panna Nevers bez wątpienia była teraz uderzająco zrównoważoną osobą. Tym niemniej...

– Nie boisz się srebrnych? – spytała jeszcze, sięgając po ostatni argument.

– Będę ostrożny. Pójdziemy ukryci pod iluzją.

– No cóż, uważaj na nią. – Zawahała się. – Gdybym mogła się

przydać...

– Nie sądzę. – Pokręcił głową. – Haftuj szarfę. Coś mi mówi, że niedługo okaże się potrzebna.

* * *

Lorraine w odróżnieniu od Anavri nie okazała strachu ani niesmaku, widząc Krzyczącego w przebraniu żebraka.

– Co zrobiłeś temu ubraniu, żeby śmierdziało? – zapytała z ciekawością.

– Iluzja obejmuje też zapach. Trudno, żeby nie. – Rozproszył na chwilę czar.

– A umiałbyś zrobić na odwrót? Wyczarować mi suknię balową i perfumy?

– Gdybym poćwiczył, to może tak. Jak w życiu, łatwiej coś zohydzić, niż upiększyć. Poza tym nie mam wprawy, gdy chodzi o eleganckie stroje. A perfum przecież i tak używasz. – Pociągnął nosem. – Mogłem ci powiedzieć, żebyś sobie dzisiaj darowała.

– O, mnie też chcesz zakamuflować? – ucieszyła się.

– A jak to sobie wyobrażałaś?

– To zrób ze mnie starą wariatkę! Zawsze chciałam, żeby ludzie się mnie bali.

– Co ty nie powiesz, Lorraine. – Brune uśmiechnąłby się, gdyby nie obawa, że tik wykrzywi mu twarz. – Zabierz płaszcz, w Eume pada.

Pół godziny później stali na nabrzeżu. Lorraine zerknęła na zmija i stłumiła chichot. Westchnął.

– Bądź poważna. Mamy tu coś do załatwienia.

Zgięta w pół, okutana w brudne łachy, pomarszczona, siwowłosa i rozczochrana, panna Nevers najwyraźniej świetnie się bawiła. Czar tłumził nawet jej aurę – dla zmysłów maga wydawała się starą kobietą, zmęczoną i schorowaną, choć Brune nie był pewien, czy to wystarczyłoby, żeby zmylić srebrnych. Pozostawało liczyć, że podczas krótkiej eskapady nie spotkają nikogo obdarzonego mocą.

Poszli w kierunku przystani. Mżyło. Na przeciwległym brzegu, przy spichlerzach, rozładowywano barcę z towarem.

Minęli dwóch robotników pchających taczki z narzędziami. Jeden, odmieniec z nochalem niby kawał ciasta, powiódł za nimi wzrokiem.

Krzyczący nagle poczuł chłód, choć wiedział, że nie ma możliwości, aby ktoś dopatrzył się trzech blizn pod iluzorycznymi zmarszczkami i brudem. Zląkł się, że popełnił błąd, wyruszając do Eume w przebraniu, którego wiele razy używał w Shan Vaola. Wyszedł z założenia, że jeden stary dziad jest podobny do drugiego, ale... Na wszelki wypadek zgarbił się jeszcze bardziej i nasunął kaptur na czoło.

– To tutaj? – zapytała dziewczyna, gdy zatrzymali się przy pomoście. Kawałek dalej kończyło się nabrzeże, a zaczynały trzciny. Kilku uliczników bawiło się, ciskając kamieniami do rzeki.

– Tak. – Krzyczący upewnił się, że robotnicy są już poza zasięgiem wzroku. Przyprowadził Lorraine tutaj, zamiast na śmietnisko, bo wiedział, że na nabrzeżu będą zwracali na siebie mniej uwagi niż w okolicach jadłodajni, gdzie mogli ich na przykład zaczepić miejscowi żebracy. Plama czerni, wciąż jeszcze wyczuwalna w aurze pomostu, znacznie osłabła od czasu, gdy był tu po raz ostatni – wszelkie magiczne echa szybciej wygasały w pobliżu wody – ale wiedział, że dla Lorraine nie powinno to mieć znaczenia.

Panna Nevers podeszła na skraj nabrzeża i popatrzyła w dół. Brune na wszelki wypadek ujął ją za łokieć. W burej wodzie kołysało się trochę śmieci – patyki, zdźbła słomy, zgniłe jabłko.

– Widzisz coś? – spytał. Dziewczyna zachichotała.

– Wczoraj rozładowywano tutaj barkę z sianem i okazało się, że w sianie śpi włóczęga.

Żmij westchnął.

– Lorraine, bądź poważna. I cofnij się, bo jeszcze wpadniesz do rzeki. – Odciągnął ją w tył. Zmarszczyła z namysłem czoło.

– Mówiłeś, że zwłoki tej kobiety utkwily między palami? O tam? – pokazała palcem.

– Tak słyszałem.

Zapatrzyła się we wskazane miejsce. Po chwili Krzyczący poczuł, że jej mięśnie sztywnieją. Znieruchomiała z półotwartymi ustami, gapiąc się w przestrzeń.

Tak, jak poinstruowała go Marshia, policzył wolno do dwudziestu i poruszył dłonią przed oczami dziewczyny. Żadnej reakcji.

– Lorraine?... – szepnął ostrożnie.

Kolana załamały się pod nią i upadła, zanim zdążył ją podtrzymać.

Jej ciało wygięło się w łuk, potem zaszamotała się, kopiąc w drgawkach. Na jej ustach pojawiła się piana. Żmij prędko ukląkł, przytrzymał jej głowę, modląc się, by atak szybko przeszedł.

Po chwili drgawki ustąpiły, a ciało Lorraine zwiotczało. Oddychała teraz głęboko, chrapliwie. Czekał, niespokojny. W końcu otworzyła oczy, a po jej policzkach spłynęły łzy.

– Och, Brune, widziałam... Widziałam...

– Ciii. Nic nie mów, nie ruszaj się, leż.

Zamknęła oczy. Żmij czuł, że atak wykrwawił ją z siły życiowej; była o krok od zapadnięcia w sen. Położył dłoń na jej czole, przekazując Lorraine własną energię.

– Dasz radę wstać? – spytał po chwili. W pewnej odległości już zaczynały się zbierać zaciekawione dzieciaki.

Zaprzeczyła bezradnie.

– Kręci mi się w głowie...

– Zaniosę cię – zdecydował. – Obejmij mnie za szyję.

Ostrożnie wziął ją na ręce, dziękując losowi, że jest drobna i lekka. Nie rozproszył kamuflażu, więc miał świadomość, jak ciekawie muszą wyglądać – zapijaczony żebrak niosący równie doświadczoną przez życie towarzyszkę. Za sobą usłyszał śmiechy.

– Hej, patrzajta! Niesie dziad babę!

W ślad za okrzykami poleciało kilka grudek ziemi i ogryzek. Żmij zacisnął zęby, szykując się do sprawienia, żeby któryś z chłopaczków się przewrócił i boleśnie potłukł.

Lorraine otwarła jedno oko.

– Szkoda, że ojciec nie może mnie teraz zobaczyć – powiedziała z perfidnym uśmieszkiem. Brune pomyślał, że nigdy nie zrozumie jej poczucia humoru.

* * *

– Najśmieszniej będzie, jeśli porośniemy piórami albo ten eliksir zwęgli nam języki – stwierdził radośnie Zazel.

– Och, przestań – mruknęła Anavri.

Krzyżący rozlał do kieliszków nieco wina, następnie zaś odmierzył do każdego po łyżeczkę bezbarwnej cieczy i zamieszał.

– Księżycowy nektar? – zapytała Marshia, uważnie obserwująca

jego poczynania. – Jakie proporcje?

– Jedna część olejku na dwadzieścia dziewięć części wódki. To mała dawka – poruszył kieliszkiem – ale powinna nam wystarczyć.

– To świństwo daje jakieś efekty uboczne? – spytała nieufnie Anavri. – Tylko bez żartów, pytam poważnie.

Perspektywa, że za chwilę ujrzy wizję okrutnego morderstwa, niepokoiła ją mniej niż konieczność wypicia podejrzanej mikstury.

– Nektar mojego wyrobu nie daje żadnych. Rozcieńczam oddestylowany olejek, zamiast robić tynkturę bezpośrednio na księżycowej glinie. Pamiętasz te szare bryłki? Zanieczyszczenia w tynkturze powodują zatrucie już przy minimalnym przekroczeniu bezpiecznej dawki. Zawroty głowy, wymioty, kłopoty z sercem i tak dalej. *Ka-ira* się wyliże, ale zwykły człowiek może od tego nawet umrzeć.

– Dobrze, dobrze. Wykład z farmacji zrobisz jej później – przerwała Marshia. – Siadajcie.

Anavri przeniosła się z fotela na kanapę. Brune zajął miejsce obok niej, tak że siedzieli wszyscy czworo rzędem. Zazel usadowił się na stoliku przed swoją panią.

Marshia skinieniem dłoni kazała kotarom się zasunąć. W salonie zapanował półmrok.

– To jak, moi drodzy? Wszyscy gotowi?

Anavri przełknęła ślinę i przytaknęła, podobnie jak Krzyczący oraz Lorraine. I Zazel, ale Marshia pokręciła głową.

– Ty nie. Ten eliksir jest tylko dla ludzi. Będziesz nas pilnował. Chowaniec nie wyglądał na uszczęśliwionego.

* * *

Anavri otworzyła oczy, oszołomiona, mokra od potu. Oddychała ciężko. Wciąż jeszcze czuła na języku gorzki smak mikstury.

Ból, chwilę wcześniej rozdzierająco realny, przycichł do ćmienia, gdy do jej umysłu dotarło, że to, co widziała, nie było prawdziwe.

Tylko sen. Zły sen. Opanuj się.

Ponowne przywołanie wizji nie okazało się trudne. Lorraine nie potrzebowała księżycowego nektaru. Sprawiała teraz wrażenie

najmniej wstrząśniętej z nich czworga. Brune, szary na twarzy, przesunął dłoń po oczach, jakby chciał zetrzeć wspomnienie tego, co ujrzał i poczuł – siedmiu kolejnych morderstw, widzianych z perspektywy ofiar. Nawet Marshia wydawała się poruszona.

– I co? – zapytała rzeczowo. – Widzieliście wszystko?

Trzy potaknięcia.

– Wypatrzyliście coś przydatnego?

– Ręka – powiedział natychmiast Brune. – Widziałem rękę zabójcy z pierścieniem. Złoto i zielony kamień.

Anavri pokiwała głową na znak, że ona także.

– Ja też widziałam rękę i pierścień z zielonym okiem – przytaknęła Marshia. Zastanawiała się chwilę, po czym pstryknęła palcami. – Zaczekajcie.

Wyszła, a po chwili wróciła, niosąc kałamarz, kilka kartek papieru listowego i cztery gęsie pióra.

– Niech każde z nas narysuje z pamięci ten pierścień – powiedziała.

– Nie podglądajcie.

– Ja nie dam rady – oświadczyła z miejsca Anavri. Głos jej drżał. – Zapamiętałam błysk złota, to wszystko.

Marshia zacisnęła usta, ale skinęła głową, nie komentując. Odkorkowała kałamarz i gestem zaprosiła Krzyżującego oraz Lorraine, żeby wzięli po kartce.

Na kilka długich minut zapadła cisza, przerywana jedynie skrzypieniem piór. Brune mruknął zdegustowany, przekreślił szkic i zaczął od nowa. Lorraine przyknęła oczy i zastygła w skupieniu, a potem paroma szybkimi kreskami narysowała pierścień z dużym, owalnym, płasko oszlifowanym kamieniem i dwa zachodzące na klejnot esy-floresy, po jednym z każdej strony.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

– Ja też. – Marshia wyciągnęła przed siebie kartkę z niemal identycznym rysunkiem.

– Powiedzmy, że coś mam. – Brune z westchnieniem pokazał obrazek. On także naszkicował płaski owalny kamień i dwa uproszczone zawijasy.

– Znak Eresha, Władcy Much – wyrzekła powoli Marshia. Popatrzyła na Krzyżującego z dziwną miną. – Dwa węże w zielonym polu.

– To sygnety – dorzuciła milcząca od dłuższej chwili Anavri – tyle że sporządzony na alkaryjską modłę, herb nie jest wyrzeźbiony w kamieniu. Mój ojciec ma podobny, tylko z innym wzorem – wyjaśniła, kiedy spoczęły na niej cztery zdziwione spojrzenia.

Brune zmęczonym ruchem potarł oczy.

– Eresh to patron medyków, uzdrowicieli, mędrców. Pytanie brzmi, dlaczego, do cholery, jakiś zwyrodnialec miałby nosić sygnety z jego znakiem. – Powiedział to spokojnie, lecz Anavri ze zdziwieniem wyczuła, jaki jest spięty. Bardziej niż wcześniej. Oraz jak głęboko zaintrygowana – nie, zaniepokojona – jest Marshia, jakby nagle dostrzegła w całej sprawie coś zupełnie nowego, nieoczekiwanego, jakieś trzecie dno. Dziewczyna skupiła się, usiłując lepiej odczytać ich uczucia i zrozumieć, co jej umknęło, czego nie powiedzieli na głos.

Zazel chrząknął z cicha.

– Pokaż mu tę księgę.

Marshia spiorunowała go wzrokiem.

– Kiedyś musisz – nie ustępował chowaniec. – Pokaż mu.

Żmijka zawahała się. Potem wstała, wyszła i wróciła z grymuarem w oprawie z zielonkawego safianu. Otworzyła księgę na stronie, na której oprócz tekstu widniało kilka rycin, i podsunęła Krzyczącemu.

– Powinno ci to pokazać już dawno temu. Czytaj.

Brune wziął wolumin i zaczął czytać od wskazanego miejsca. Chwilę później znieruchomiał. Anavri wyraźnie czuła jego emocje. Błysk olśnienia, a potem gwałtowny, szarpiący za serce strach.

Kiedy odłożył dzieło, twarz wykrzywiła mu się w tiku. Przykrył policzek dłonią. Upłynęła dobra minuta, zanim był w stanie wydobyć z siebie głos.

– Przepraszam – powiedział cicho. – To... Muszę to sobie poukładać w głowie. – Mówił z wyraźnym trudem, policzek i usta nadal drgały mu w mimowolnych skurczach. Anavri nigdy jeszcze nie widziała go tak roztrzęsionego.

– O co chodzi? – nie wytrzymała. – Czy my też możemy się dowiedzieć?

Marshia spojrzała na Krzyczącego. Ten wzruszył ramionami i podał Anavri księgę.

Dziewczyna popatrzyła na ryciny i gwałtownie chwyciła oddech.

Były to cztery portrety. Dwa przedstawiały mężczyzn, z których jeden był zeszpecony bliznami po oparzeniach, a oblicze drugiego znaczyły białe plamy, może trąd. Na trzeciej ilustracji widniała kobieta z twarzą zasłoniętą woalem, na czwartym zaś – człowiek w masce.

Z fletem w ręku.

Serce zabiło jej szybciej.

Obok portretów widniały imiona i krótkie życiorysy, a nad tym wszystkim figurowało kilka zdań wstępu. Wstrzymując oddech, przebiegła wzrokiem cały fragment.

Oto zaś cechy wyróżniające tych, których swym błogosławieństwem obdarzył Eresh, ten, który leczy i zabija. Zamiłowanie do alchemii. Biegłość w posługiwaniu się ziołami i truciznami, w sporządzaniu leków. W czasach przed Skażeniem – także zdolność uzdrawiania. Siła woli, umiejętność przepędzania demonów.

Wreszcie – znak na twarzy. Jakaś forma oszpecenia, mniej lub bardziej rzucającego się w oczy. Blizny, biała plama lub znamię. Bóstwo czasem naznacza przy urodzeniu, czasem dopiero później, rękami losu.

Anavri przestała czytać. W głowie miała zamęt.

– To... – Popatrzyła na Krzyczącego, potem na Marshię. – Och, szlag. Niewiarygodne.

– Mogę przeczytać? – wtrąciła Lorraine, która dotąd trwała w cierpliwym milczeniu. Brune skinął głową, więc Anavri wręczyła kuzynce księgę i znów wpatrzyła się w swojego nauczyciela tak, jakby widziała go po raz pierwszy. Wszystko się zgadzało w stopniu budzącym dreszcz.

Twoje blizny. Alchemia. Gemma. Och, szlag. Szlag.

Przypomniała sobie, jak leczył Marshię. *I tamta świątynia w sferach...* Wszystko pasowało.

– Wierzycie w to, co tu napisano? – spytała tymczasem Lorraine, podnosząc wzrok znad księgi.

– No cóż, niektórzy kwestionują fenomen błogosławieństwa – powiedziała Marshia tonem osoby, która za wszelką cenę stara się zachować obiektywizm i trzeźwe spojrzenie. – Uważają, że wszystkie przypadki, jakie opisano, to zdarzenia losowe, zbieżność faktów i nic

poza tym.

– Przyznam, że do tej pory zaliczałem się do sceptyków – dorzucił Zazel. – Bogowie, było nie było, odeszli z tego świata. Ale...

– Ale ciężko uwierzyć, by to tutaj miało być zbiegiem okoliczności – podsumowała Marshia.

– A ty? – Lorraine spojrzała na Krzyczącego. – Wierzysz w to, że możesz być...

– Tak – odrzekł natychmiast. – To znaczy wierzę, że owszem, coś w tym jest. – Wyjął z kieszeni gemmę ze smoczej kości i pokazał wszystkim rysunek na niej, wizerunek bóstwa o stopach oplecionych wężami. Zaśmiał się nerwowo; twarz nadal mu drgała, usta krzywiły się bezwiednie. – Od ponad roku noszę przy sobie ten drobiazg, bo odkryłem, że mi pomaga w czarach. Zabawne, co?

– Ostatnim magiem, o którym piszą, że został obdarzony błogosławieństwem Eresha, był Adrien de Vere, skazany za wielokrotne morderstwa – powiedział cicho Zazel. – Ale srebrni zabili go w Domu Godnego Odejścia. Jego dusza nie powinna móc...

– Od każdej reguły bywają wyjątki – mruknął Krzyczący. Znów przycisnął dłonią blizny, jakby go zabolowały.

– Bez obaw, nie jesteś ponownym wcieleniem Adriena de Vere – oznajmiła sucho Marshia. – Miałbyś białe plamy na skórze. Miała je Arauke, miała Araine, a później Adrien.

– Bóstwo może naznaczać w różny sposób... – zaprotestował cicho.

– W rodzie de Vere naznaczało wybranych właśnie tak – ucięła. – Wszystkie źródła są zgodne w tej kwestii.

– Mówimy o ponownym wcieleniu, a nie o byciu potomkiem – wtrącił Zazel, ale Marshia natychmiast przerwała:

– W tym przypadku to bez znaczenia.

Krzyczący przesunął dłonią po twarzy. Wydawał się już spokojniejszy.

– Mówi ci coś nazwisko: Amparo d’Aville? – zagadnął nieoczekiwanie.

– Nie – odrzekła po zastanowieniu. – Dlaczego pytasz?

– Nieważne. – Pokręcił głową. Marshia z namysłem oparła podbródek na dłoni.

– D’Aville... To alkaryjskie nazwisko. Mam gdzieś traktat o genealogii ważniejszych rodów z Alkary. Ale po co ci to?

– Mniejsza z tym. – Machnął ręką. – Słuchajcie, chyba straciliśmy z oczu to, co najważniejsze. Mamy demona w stroju błazna, który próbował straszyć Anavri oszpecceniem i z jakiegoś względu chce mi zrobić krzywdę, oraz kogoś w stroju błazna, kto morduje jasnowłose kobiety, zdiera im skórę z twarzy i prawdopodobnie nosi sygnet ze znakiem Eresha. Zakładamy, że są jedną i tą samą osobą, chociaż... – Zająknął się nagle. – No właśnie. Właściwie na jakiej podstawie zakładamy, że są jedną i tą samą osobą?

Na chwilę zapadło milczenie. Przerwała je Marshia.

– Morderca może być agentem demona. Niektóre demony lubią odbierać agentom część wolnej woli, czynić ich swymi marionetkami, wówczas taki człowiek do pewnego stopnia upodabnia się do istoty, która go kontroluje. Gdy demon zabija osobiście, nie zdobywa duszy, więc cóż lepszego, niż przyjąć na służbę jakiegoś zwyrodnialca kochającego mordować. Potem trzeba tylko pilnować, żeby się zanadto nie rozochocił.

Brune wyjął z kieszeni karty, przetasował, rozłożył.

– A wiesz, że możesz mieć rację – powiedział powoli. – Agent, naśladowca... Mający w Eume dość dużą swobodę działania. Po mojemu raczej zafascynowany i zapatrzony w mistrza niż pozbawiony wolnej woli...

– Jeśli założyć, że morduje agent, to gdzie jest teraz demon i co robi? – odezwał się Zazel. – Nie chcę wam nic mówić, moi drodzy, ale czy bierzecie pod uwagę możliwość, że w czasie, gdy Brune tropił mordercę w Eume, demon tropił jego?

Zapadła cisza. Przerwała ją Marshia.

– Co jeszcze udało ci się ustalić w Eume? – zwróciła się do Krzyczącego.

– Nic ponad to, o czym już wam mówiłem. Plotka głosi, że mordercą jest ktoś z wyższych sfer. Gdyby założyć, że zabija agent, nie demon, wówczas pierścień rzeczywiście pasowałby do kogoś wysoko urodzonego.

– Na mnie nie liczcie, pokazałam wam już wszystko, co mogłam – odezwała się Lorraine. Czarnowłosa źmijka pokręciła głową.

– Nie potrzebujemy wizji. Potrzebujemy odpowiedzi. A w braku tychże, kochani, potrzebujemy podpowiedzi co do strategii. – Popatrzyła na stojące na stolyczku obok kanapy miniaturowe

urządzenie astrologiczne z połączanego metalu, działające dzięki nakręcanej sprężynie i ruchom kół zębatych, pokazujące aktualne pozycje najważniejszych planet i gwiazd. – Słońce jest teraz w znaku Kozicy, Księżyc w znaku Szczura, to nie są sprzyjające okoliczności do rzucania czarów wróżebnych... Spróbujemy z kulą. – Zwróciła się do Lorraine. – Przynieś mi, proszę, z pracowni kryształową kulę oraz lichtarz z białą świecą.

– Czy to rozsądne? – wmieszał się z troską Zazel. – Kula cię bardzo zmęczy...

Spojrzenie Marshii mogłoby zmienić wino w ocet.

– Zazelku, jeśli czujesz neodpartą potrzebę udzielania się jako niańka, znam w Shan Vaola pewną damę, która ma sześcioro dzieci w wieku od roku do ośmiu lat. Lorraine, na co czekasz? Idź i przynieś to, co kazałam.

Otrzymawszy żądane przedmioty, kazała dziewczynie postawić lichtarz na stoliku i pstryknięciem palców sprawiła, że świeca zapłonęła. Następnie ujęła kulę w obie dłonie i wpatrzyła się w nią. Z pozoru nic się nie działo, lecz Anavri wyczuła wahnięcie aury; kula ssła z Marshii siłę życiową. Po chwili kryształ zaśnił słabym purpurowym blaskiem, a następnie przygasł.

Czarnowłosa zmijka uniosła głowę. Na jej skroniach perlił się pot.

– Musimy znaleźć mordercę – oświadczyła. – Żywego lub martwego. Tylko wówczas będziemy w stanie wyjaśnić całą tę sprawę.

– Jeśli można – przemówił nieśmiało Zazel – mam pewien pomysł.

18. Na tropie

W pobliżu głównego rynku w Eume ulice, podobnie jak w Shan Vaola i Tay, były brukowane i czystsze niż w innych częściach miasta, a kamienice wyglądały bogato i okazale. Wystrojone damy przechadzały się z parasolkami chroniącymi od słońca, oglądając wystawy sklepów i pracowni krawieckich. Jednakże nawet tutaj żebracy zaczepiali porządných obywateli, kpiąc w żywe oczy ze straży miejskiej.

Jeden, szczególnie śmierdzący i szczególnie bezczelny, upodobał sobie zaułek, gdzie mieściły się sklepy z zamorskimi towarami oraz doskonała cukiernia. Kulejąc, zaczepiał przechodniów i groził, że upaprze im odzież błotem, jeśli nie dostanie monety.

Od strony rynku nadszedł śniady mężczyzna w ciemnym podróżnym ubraniu i butach do konnej jazdy, wyczyszczonych na błysk. Żebrak zastąpił mu drogę. Popisując się znajomością języków, zajęczał w łamanym nedgvarskim. Mężczyzna powiedział cicho coś, co sprawiło, że kuternoga wycofał się, łypiąc wrogo. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, splunął.

Brune dotknął policzka, wzmacniając iluzję. Machinalnie poprawił chustkę na szyi i strzepnął mankiety czystej białej koszuli. Gael Zachos miał tu wyglądać tak nienagannie, jak to możliwe w podróży, i odrobinę zamożniej niż w alkaryjskich górach.

Kamienica zamykająca zaułek była okazała, jej fasadę zdobiły rzeźbione lwy i pegazy. Mieściła się tutaj najlepsza pracownia jubilerska w mieście.

W ciemnawej sieni pachniało mydlinami; służąca szorowała drewniane schody. Jedne drzwi były zamknięte na kłódkę, drugie – uchylone. Dochodziły stamtąd ciche głosy, przytłumiony stukot i pobrząkiwanie. Brune zajrzał do pomieszczenia, które okazało się warsztatem. Trzej młodzieńcy w fartuchach pracowali pilnie, pochyleni nad stołem. Jeden miał w rękach niedokończoną kolię, przed drugim leżał złoty, wysadzany drogimi kamieniami diadem,

trzeci zawzięcie coś szlifował.

Nim źmij zdążył ich zapytać o mistrza, z głębi domu nadbiegł młodzian bez fartucha, w nowiutkim błękitnym ubraniu z mosiężnymi guzikami – pierwszy czeladnik. Przeprosił wylewnie, kłaniając się. Odemknął kłódkę i zaprosił przybysza do kantorka, a po wysłuchaniu, o co chodzi, zawołał pryncypała.

Mistrz Griss nadszedł po chwili, sapiąc niczym miech. Okazał się starszym, niezmiernie otyłym mężczyzną, odzianym elegancko, w pastelowe barwy. Wąsy miał przyczernione i intensywnie pachniał hiacyntową pomadą.

Brune powtórzył wyuczoną na pamięć opowiastkę, którą ułożyli we trójkę z Marshią i Zazelem, a mianowicie, że jest historykiem z Ponte Auria, który podróżuje po Siedmiu Krainach, zbierając materiały do kroniki. Przez Talme jechał jakiś czas razem z drugim młodym szlachcicem, poznanym po drodze i dość gadatliwym, który wyjawiał, że jest sekretarzem pewnego arystokraty mieszkającego w Eume i pojechał na północ, by odkupić cenny sygnet skradziony swemu panu, a teraz wraca. Trzeciego dnia ich wspólnej podróży towarzysz zaległ w podłym zajeździe, złożony nagłą gorączką. Zanim zmarł, prosił, by sygnet oddano właścicielowi, ale mówił tak niewyraźnie, że nie dało się zrozumieć nazwiska.

– Czuję się zobowiązany spełnić prośbę umierającego – zakończył z powagą Brune, myśląc nie bez wstydu, że jeszcze rok wcześniej nie potrafiłby tak przekonująco kłamać. – Liczę, że będziecie mi umieli powiedzieć, do kogo należy ten pierścień.

Wyjął sygnet i wręczył go jubilerowi. Ten w zadumie obrócił go w pulchnych palcach, podniósł do światła, następnie wyjął z szuflady biurka monokl i założył go. Czując na sobie spojrzenie czeladnika, źmij z kamienną twarzą utkwiał wzrok w osie, która z bzykiem obijała się o szybki okna.

Iluzję nałożyła Marshia, a splecenie czaru zajęło jej dobre dziesięć godzin. Wykorzystała pierścień z malachitem z własnego skarbczyka. Brune miał szczerą nadzieję, że imitacja złotych węży jest dostatecznie przekonująca.

– Malachit – zawyrokował wreszcie mistrz Griss, odkładając sygnet i wyjmując monokl z oka. – I dobre złoto. Alkaryjska robota, sądząc po stylu zdobień. Niestety nie mam pojęcia, czyj to sygnet, panie

Zacharos. Znam herby wszystkich ważniejszych rodów w Eume, ale tuście mnie zażyli.

Sapnął ciężko. Wyciągnął z zanadrza chustkę, otarł spotniałą twarz. Zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Wyjeżdżacie już dzisiaj? – odezwał się wreszcie.

– Nie. Dlaczego?

Mistrz Griss wyjrzał przez okno. Słońce stało wysoko na bladym jesiennym niebie. Z dworu dobiegło zawodzenie; żebrak znów kogoś zaczepiał przy samej kamienicy.

– Dochodzi południe... Spróbujcie się wybrać do hrabiego Kohna. Dziś o tej porze na pewno będzie w domu. Hrabia zna się na heraldyce jak nikt, to jego wielka pasja. Jeśli on nie będzie wiedział, czyj to pierścień, to wątpię, by ktoś inny zdołał wam pomóc.

– Zechce się spotkać z nieznanym? – Brune wyraził ostrożne zdziwienie.

– Na pewno, to niezmiernie uprzejmy i uczynny człowiek. Zresztą napiszę do niego liścik. – Jubiler machnął na czeladnika. – Sett, a ty rusz się wreszcie i przegoń tamtego nicponia sprzed drzwi.

* * *

Hrabia Kohn mieszkał w pięknej, otoczonej ogrodem rezydencji na obrzeżach miasta. Przeczytawszy list od jubilera, od razu kazał poprosić interesanta do gabinetu. Okazał się mniej więcej czterdziestopięcioletnim jegomościem, szpakowatym i dystygowanym. Zdecydowanie nie należał do tych salonowców, którzy aż do popołudnia przyjmują gości w szlafrokach.

Cierpliwie wysłuchał opowieści, kiwając ze zrozumieniem głową.

– Nie mam pojęcia, czyj to pierścień, panie Zachos – oświadczył, założywszy binokle i uważnie przyjrzawszy się sygnetowi. – Doprawdy ogromnie mi przykro. Rodzina Lan-Kaderi ma w herbie złotego węża w czerwonym polu, a Tarellowie i Sarellowie pieczętują się trzema srebrnymi węzami na błękitnym tle. Ale dwa węże, znak Eresha... Właściciel, nawet jeśli mieszka w Eume, na pewno nie pochodzi z tych stron.

Brune wrócił myślami do traktatów o heraldyce, które przeglądał u Marshii i w których nie znalazł żadnych użytecznych informacji.

– A jakie rody używają tego herbu? – zapytał z nikłą nadzieją, że może ktoś, kto od lat zajmuje się tą dziedziną, powie mu więcej.

Hrabia z namysłem potarł podbródek.

– Znak Eresha to bardzo stary herb, panie Zachos. Pieczętowało się nim kilka wysokich rodów w Alkarze. Jeśli pozwolicie... – Sięgnął po leżącą na biurku księgę w skórzanej oprawie, ostrożnie przewrócił kilka pożółkłych kart. Wskazał miniaturę przedstawiającą dwa złote węże na zielonym tle. – Przeczytajcie sobie, co tu piszą.

Żmij pochylił się z bijącym sercem. Przebiegł wzrokiem nazwiska figurujące obok ilustracji. De Larois, de Fost, de Salmy, d’Erbe... i de Vere.

– A tutaj, nad Zatoką Snów? – upewnił się jeszcze.

– Nad Zatoką Snów, o ile mi wiadomo, tego herbu nie używa żaden ród. Trzeba wam wiedzieć, że znaki powiązane ze starymi bóstwami pojawiają się prawie wyłącznie w herbach alkaryjskich i chalkiryjskich, aczkolwiek... – Hrabia przerwał, bo zastukano do drzwi. – Zapraszam! – zawołał.

Do gabinetu wkroczyła dama po czterdziestce, mocno krągła, ale wciąż jeszcze atrakcyjna, z grzywą ufryzowanych ciemnorudych włosów. Krzyczący odgadł, że musi to być małżonka hrabiego. Ciekawie zerknęła na żmija i szepnęła coś mężowi.

– Dobrze, ale za chwilę – odrzekł Kohn. – Mam gościa.

– My tylko na minutkę – zadeklarowała błagalnie dama. – Irija musi się zaraz przebierać i jechać.

– Dobrze już, dobrze. – Hrabia uśmiechnął się z rezygnacją. – Niech tu przyjdą. – Odwrócił się do żmija z przepaszającą miną. – Moje córki chcą się pochwalić sukniami, w których wystąpią na jesiennym balu. Gael Zachos, moja małżonka Hilja – dodał, widząc, że jego żona przypatruje się nieznanemu.

Brune skłonił się i ucałował wypielegnowaną dłoń. Hrabina wyjrzała na korytarz, klasnęła w rękę.

– No chodźcie, pokażcie się papie!

Sekundę później do gabinetu wtargnął cały korowód. Trzy dziewczyny w balowych sukniach, tu i ówdzie pobieżnie sfastrygowanych czy pospinanych szpilkami, dwie zaafierowane służące, niemłoda szwaczka z miarą na szyi oraz obskakujący je wszystkie piesek pokojowy – biała kula futra z puszystym ogonem.

Na zmija w ogóle nie spojrzwały, jakby był meblem.

Córki hrabiego Kohna zdecydowanie wdały się w mamę, gdy chodzi o gabaryty. Kolor włosów też odziedziczyły po niej.

Najmłodsza i najbardziej ruda była też najokrąglejsza, niezbyt fortunnie ubrana na śmietankowo i z mnóstwem falbanek, co ją upodabniało do torciku z kremem. Średnia, kasztanowowłosa, piegowata jak indycze jajo, odważnie przywdziała jedwab we wściekle trawiastym odcieniu. Najstarsza, w zaawansowanej ciąży, miała na sobie żółtą atlasową suknię bez talii, za to z dekoltem wyciętym bardzo głęboko, na granicy przyzwoitości.

Wszystkie najwyraźniej lubowały się w koronkach, lub też koronki były w tym sezonie bardzo modne. Przy dekoltach, przy rękawach, a przede wszystkim na spódnicach. Brune zupełnie nie posiadał rozeznania w cenach tkanin i damskich strojów, ale podejrzewał, że każda z dziewczyn ma na sobie równowartość jakiejś bajecznej kwoty.

Hrabia przetarł binokle chustką i zlustrował córki.

– Do twarzy ci w tym kolorze – oznajmił, patrząc na najstarszą. Potem spojrzął na najmłodszą i złapał się za głowę. – Na litość bogów, Margrit, w co one cię ubrały? Wyglądasz jak ciastko z bitą śmietaną.

Jej siostry wybuchnęły śmiechem. Margrit spłonęła rumieńcem jak piwonia.

– No, no, papa tylko żartuje. – Hrabina zgromiła męża wzrokiem, a ten natychmiast zmienił ton.

– Żartowałem, kochanie. Ślicznie ci w tej sukni.

– Pokaż, jak dygasz – zachęciła matka.

Dziewczyna zgarnęła dłońmi falbaniaste spódnice i złożyła głęboki ukłon. Szwaczka złapała się za głowę.

– Panienko, szpilki! Uwaga na szpilki!

Piesek zaczął ujadać. Brune musiał odwrócić twarz do okna, żeby ukryć uśmiech.

– Papo, a ja jak wyglądam? – Średnia uniosła ramię, stając w pozie tancerki.

Fragment kaftanika odczepił się i zwisał, odsłaniając gorset z fiszbinami zasnurowany tak, że niemal pękał, dużo batystu i jeszcze więcej piegowatej pulchności. Panna zasłoniła się z piskiem, służąca rzuciła się ze szpilkami na ratunek. Druga z przeprosinami zgarnęła pieska, który obwąchiwał buty Krzyczącego.

Kiedy tornado koronek już przemknęło przez gabinet i drzwi się zamknęły, hrabia opadł na krzesło i otarł czoło.

– Urwanie głowy! Co roku to samo: przed jesiennym baleem panny żyją tylko tym, co która na siebie włoży. Wszystkim trzem córom musiałem sprawić nowe suknie, bo jedna utyla, druga schudła, trzecia przy nadziei, a zięć w podróży. Szaleństwo!

Brune spuścił oczy, dbając, by zachować uprzejmie obojętny wyraz twarzy.

– Co to za uroczystość? – zapytał, starając się nie okazać, jak bardzo go interesuje ta informacja.

– Wielki bal z okazji jesiennej równonocy, wydawany każdego roku przez księcia Kei-Led-Sarros.

* * *

– Jeśli rzeczywiście jest wysoko urodzony, powinien się tam pojawić – zawyrokowała Marshia. – Trzeba będzie zdobyć zaproszenia.

– Nie mam w Eume odpowiednich kontaktów – zastrzegł Brune.

Uśmiechnęła się z wyższością.

– Ale ja mam. Postaraj się tylko o odpowiedni strój.

– Da się zrobić.

– Jak już się postarasz, przynieś go tutaj. Chcę na własne oczy zobaczyć, w czym planujesz wystąpić.

– Nie omieszkam.

– Poszukałam dla ciebie informacji na temat Amparo d’Aville – zmieniła temat. – To rzadkie imię, co trochę ułatwiło sprawę. Wyobraź sobie, że udało mi się znaleźć to i owo.

– Mów, co odkryłaś.

– Najpierw sprawdziłam, co pisze Ristin de Mout w swoim traktacie o alkaryjskich rodach szlacheckich. – Marshia wskazała leżącą na stoliku opasłą księgę. – Ród d’Aville ma dość rozległe posiadłości we wschodniej Alkarze. Pieczętują się białym łabędziem w czarnym polu. – Odchrząknęła. – Siedemdziesiąt dziewięć lat temu drugi syn ówczesnej głowy rodu, młodzieniec imieniem Ferin, pojął za żonę Amparo de Vere.

Krzyczący, który właśnie nalewał sobie herbaty, prawie upuścił porcelanowy czajniczek.

– Córkę...?!

– Nie. Amparo była córką Artena de Vere, młodszego brata Adriena. Z całą pewnością nie posiadała daru.

– Skąd to wiadomo?

– Była dwukrotnie badana przez srebrnych. Raz w wieku piętnastu lat, drugi raz sześć lat później, krótko po śmierci stryja. Inaczej nikt nie zgodziłby się jej pojąć za żonę.

– W traktacie o genealogii umieszczono takie informacje? – zdziwił się Brune.

– Nie. Informacja o badaniach, którym poddano Amparo, pochodzi z pergaminu wymieniającego szlachetnie urodzonych, którzy byli podejrzewani o czarny dar i szykanowani w związku z tym. – Spochmurniała. – Jeden z wielu dokumentów zebranych z myślą o księdze, która nigdy nie powstała, bo srebrni zlikwidowali człowieka, który planował ją napisać. Autora tego oto dzieła. – Stuknęła w grymuar w oprawie z zielonkawego safianu. – Argil d’Engle był moim mistrzem, Brune. Spora część mojej biblioteki to książki i materiały, które odziedziczyłam po nim.

Krzyczący tylko skinął głową, nie okazując zaskoczenia, ale Marshia musiała je wyczuć.

– Tak, jestem sporo starsza, niż mogłeś sądzić. – Skrzywiła się lekko. – Nieważne. Wracając do Amparo, krótko po ślubie wraz z mężem wyjechała na kontynent, do Camarry, bo Ferin został mianowany alkaryjskim ambasadorem na tamtejszym dworze. Zginął dwa lata później, gdy w kraju wybuchła wojna domowa. Ani w traktacie genealogicznym de Mouta, ani w dokumentach, które zdążyłam pobieżnie przejrzeć, nie ma już żadnej dalszej wzmianki o Amparo. Mogła stracić życie podczas wojny, tak jak jej mąż...

– Raczej nie – wmieszał się Brune. – Jej grób znajduje się w Alkarze, w Górach Pajęczych.

– Skąd wiesz? I może zdradzisz mi w końcu, dlaczego właściwie szukasz informacji o niej?

– Za długo by wyjaśniać – mruknął, ale Marshia patrzyła na niego wyczekująco. Westchnął. – Dobrze, skoro nalegasz. Krótko przed tym, jak wynikła historia z pojedynkiem w sferach, odbyłem małą wyprawę do Alkary, w moje rodzinne strony.

– W twoje rodzinne strony? Myślałam, że...

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Wziąłem sobie do serca twoje słowa, że siła maga jest tym większa, im więcej mag wie o sobie. Spróbowałem pójść tropem moich zaginionych wspomnień.

– Powiadasz. – Uniosła brew. – No, opowiadaj, opowiadaj. Co wywęszyłeś w tej Alkarze?

– Żeby się nie rozgadywać: udało mi się ustalić, że jestem... byłem... adoptowanym synem pewnego szlachcica, Sandora de Ragues, dawnego oficera najemnych wojsk. Ludzie w jego majątku mówią, że przywiózł mnie z lasu jako małego chłopca. Nie ma pewności, czy jestem jego bękartem spłodzonym z jakąś chłopką, czy po prostu mnie znalazł, blakającego się, i przygarnął.

– Jak romantycznie, niczym w jakiejś opowieści rycerskiej – mruknęła kpiąco Marshia. Machnął tylko ręką.

– Nie ja to wymyśliłem.

– Wierzę. A co ma do tego wszystkiego Amparo d’Aville?

– Jej grób znajduje się na tym samym cmentarzyku, co grób mojego przybranego ojca. Wnoszę zatem, że musiała umrzeć w tamtej okolicy. Na nagrobku wyryto znak Eresha.

– Herb jej rodziny, nie rodziny jej męża. – Marshia z namysłem oparła podbródek na dłoni. – No proszę, czyli twoja i moja Amparo to faktycznie może być ta sama osoba. Ale nadal nie odpowiedziałeś na pytanie, czemu aż tak cię interesuje.

– Powiedzmy, że przyszło mi do głowy pewne podejrzenie... – Brune przełknął ślinę. Zdał sobie sprawę, że jest boleśnie spięty; cała ta rozmowa budziła w nim niejasny, mrozący lęk. – Gdybym miał rację, byłbym potomkiem rodu de Vere.

– Lata się chyba nie zgadzają. Delikatnie mówiąc.

– Właśnie sęk w tym, że mogą się zgadzać. – Uśmiechnął się i to był błąd; tik wykrzywił mu twarz. – Ja też jestem starszy, niż wyglądam, siostró.

– Powiadasz. – Przyjrzała mu się badawczo. – Ale to nadal bardzo, bardzo daleki strzał, Brune. Jeśli mam być szczerą, moim zdaniem herb na grobie Amparo zanadto podziałal ci na wyobraźnię. Znak Eresha na jej grobie i gemma w twojej kieszeni to trochę za mało, żeby się doszukiwać powiązania.

Krzyczący tylko pokręcił głową, dopijając herbatę.

Niekoniecznie, starsza siostró. Niekoniecznie. Policzmy.

Czterdzieści lat temu Deuven de Ragues zmarł w Ri Talma. Ile mógł mieć lat? Był po studiach. Wrócił pamięcią do dokumentów, które studiował w archiwach uczelni. Dwa lata studiów w Ponte Auria, cztery w Ri Talma... Co mówił Bried? Że młody de Ragues po studiach podróżował po świecie, wrócił do Alkary dopiero po kilku latach – krótko przed śmiercią Sandora, potem wyjechał z siostrą... Powiedzmy, że byłby przed trzydziestką.

Prawie osiemdziesiąt lat temu Amparo de Vere wyszła za mąż za Ferina d’Aville, który zginął dwa lata później.

Jak by nie liczyć, od śmierci Ferina brakuje przynajmniej kilku lat. Ale to przecież nic nie znaczy.

Był jeszcze jeden argument, ale taki, o którym nie należało wspominać Marshii. Jeden z obrazów, jakie powracały w przeblaskach wizji czy też snów na jawie, które nawiedzały go ze zmienną częstotliwością od dwóch lat.

Człowiek w czarnym stroju i białej masce, grający na flecie.

Tknięty nagłą myślą, Brune sięgnął po księgę w zielonkawej oprawie, otworzył na stronie zaznaczonej zakładką.

– Adrien de Vere miał ciemne włosy, prawda? – zapytał. – Tak by wynikało z ryciny.

– Rycina może kłamać.

– Ale tu gdzieś jest o tym wzmianka, pamiętam. – Przebiegł wzrokiem linijki tekstu. – O, mam. Siwe pasma w ciemnych włosach.

– Trzech na czterech Alkaryjczyków ma ciemne włosy. Do czego zmierzasz?

– Cały czas myślę o Amparo. Ten grób niedaleko grobów mojej przybranej rodziny. Znak Eresha... I ciemnowłose dziecko znalezione w lesie. Nie znamy dokładnej daty śmierci Amparo, ale jeśli dobrze liczę...

– Będę ci powtarzać do znudzenia – przerwała Marshia. – Gdybyś pochodził z rodu de Vere, błogosławieństwo Eresha ujawniłoby się u ciebie jako białe plamy na skórze. Przy tym rozważ jeszcze jedno, wprawdzie mówisz po talmeńsku ze wschodnim akcentem...

– A moim ojczystym językiem jest alkari, nie mam co do tego

wątpliwości – wtrącił Brune, lecz zignorowała go, kontynuując:

– ...ale twoja cera nie jest alkaryjska z żadnej strony. Jeśli szukasz swoich rodziców, na twoim miejscu szukałabym raczej na południu. Na moje oko możesz być Chalkiryjczykiem albo mieć domieszkę krwi nedgvarskiej, jak ja.

Nie dałaś mi dokończyć. Jeśli dobrze liczę, urodziłem się kilka lat po tym, jak zginął mąż Amparo. Ale kto powiedział, że mój ojciec musiał być Alkaryjczykiem?

Jeżeli się nie mylę, istotne jest tylko to, kiedy zmarła Amparo. Ten jej grób. Tak blisko Hain-Rague.

Nie potrafił się powstrzymać przed spekulowaniem, choć wiedział, że do dyspozycji ma tylko bardzo nikłe przesłanki.

Czyżby Amparo uciekła z Camarry, a później ukrywała się, bo po wojnie jednak obudził się w niej dar i ścigali ją srebrni? Mogłaby wrócić w ojczyste strony, zdać się na pomoc krewnych...

Ktoś mógł bać się później jawnie wyprawić jej pogrzeb na rodzinnym cmentarzu... ale zadbać o to, by miała przyzwoity pochówek gdzie indziej...

– Starsza sestro – odezwał się na głos. – Sprawdzisz dla mnie jeszcze jedną rzecz?

– Tak?

– Czy ród de Vere ma posiadłości w Górach Pajęczych i czy któraś z nich leży niedaleko majątku o nazwie Hain-Rague?

Marshia otworzyła traktat de Mouta i rozłożyła jedną z wklejonych weń map.

– Owszem – powiedziała po chwili. – Zamek Mert-Vere, jakieś trzy, cztery dni drogi konno od Hain-Rague. W momencie, gdy to dzieło wychodziło drukiem, dziedzicem był tam Herpin de Vere. Wnuk Artena, bratanek Amparo. Dokładniej, syn jej starszego brata Arpina.

– Ile lat temu ukazał się traktat de Mouta?

Marshia zerknęła na stronę tytułową.

– Trzydzieści.

– I można chyba założyć, że przez całe wcześniejsze stulecie ten

zamek był w posiadaniu rodziny de Vere?

– Są starym, bogatym rodem, więc sędzę, że tak. – Wzruszyła ramionami. – Ale to też może być zbieg okoliczności, Brune.

Krzyczący tylko pokręcił głową. Był już pewien, choć nie miał właściwie żadnych dowodów.

Tylko grób, znak na grobie i kilka pozornie przypadkowo zbieżnych faktów. Oraz przeczucie maga.

* * *

Lorraine i Anavri siedziały na werandzie, popijając wodę z odrobiną soku malinowego i pogryzając pierniczki. Z ogrodu dobiegał miarowy szcęk nożyc ogrodniczych; chochlik przycinał chorujące róże. Lorraine odgoniła trzmiela, który bzyząc, krążył wokół jej twarzy.

– Jak ci idzie nauka? – zagadnęła ni stąd, ni zowąd. Anavri wzruszyła ramionami.

– Jakoś idzie.

W oczach panny Nevers zaigrały łobuzerskie ogniki.

– Wiesz, Brune mi powiedział, że odkąd cię za karę wrzucił do jeziora, uczysz się pilniej.

– Co takiego?! – Anavri o mało nie oblała się zawartością pucharka. Lorraine zachichotała.

– Żartowałam. Powiedział tylko, że ćwicyliście telekinezę i niechący wepchnął cię do wody.

– Bardzo śmieszne – odparła Anavri urażonym tonem.

– To jest śmieszne, tylko ty się nie znasz na żartach – odparła panna Nevers i jakby nigdy nic wsunęła do ust czwartego pierniczka.

Zanim Anavri zdążyła się odgryźć, na werandzie pojawił się Zazel.

– Anavri? Można cię prosić na słówko?

Wzruszyła ramionami, odstawiła pucharek i zeszła za stworem do ogrodu. Chciała usiąść na trawie w cieniu krzewów jaśminu, ale Zazel zaprowadził ją dalej, do oplecionej kapryfolium altany. Gdy usiadła, chowaniec przeszedł się tam i z powrotem po ławeczce, skubnął wąsa. Pierwszy raz widziała go tak zakłopotanego.

– O co chodzi? – spytała. – No dalej, wykrztuś to.

– Jak by to... – Zazel zadreptał w miejscu, znów poskubał wąsa. Zacerpnął tchu. – Jakie są... hm... twoje intencje względem

Krzyczącego?

– Co proszę?

– Czy ty go kochasz, Anavri?

Prychnęła, żeby ukryć nagłe zmieszanie.

– Czemu pytasz?

– Bo się martwię.

– O mnie?

– O was oboje.

– Chyba pomyliły ci się role, wiesz? Jesteś chowańcem Marshii, a nie moją starą ciotką.

Zazel jakby nabrał pewności siebie. Wypuścił wąż z palców i zmierzył ją spojrzeniem.

– Anavri, niejedno już widziałem na tym świecie, więc pozwól, że będę szczery. Nie należy dawać magowi do zrozumienia, że ci zależy na... hmm... relacji, jeśli zależy ci wyłącznie na korzyściach, które z niej płyną.

Zaniemówiła. Potem zagotowało się w niej. Chowaniec musiał to wyczuć, bo cofnął się przezornie.

– Nie złość się – powiedział poważnym tonem, który rozgniewał ją jeszcze bardziej. – Martwię się o twoją przyszłość. Nie w skali tygodnia, tylko powiedzmy roku czy dwóch. Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że od maga silniejszego niż ty nie odchodzi się ot, tak?

– A czemu zakładasz, że będę chciała odejść?

– Bo nie jestem ślepy. Widziałem w życiu kilka zakochanych kobiet, a ty, no cóż... sama najlepiej wiesz, co czujesz. – Patrzył na nią, jak sobie uświadomiła, z niejakim politowaniem. – Poza tym sama niedawno powiedziałaś Marshii, że jeśli będziesz kiedyś potrzebowała bogatego sponsora, wymierzysz stosownie do potrzeb.

– Zazel, wiesz, że za to, co teraz powiedziałaś, powinnam cię strzelić w pysk? – spytała spokojnie Anavri.

– Strzel, jeśli chcesz. Przytaczam tylko twoje własne słowa.

Chętnie rzuciłaby lodowatą ripostę w stylu Marshii, ale jak na złość nic nie przychodziło jej do głowy. W końcu wybuchnęła:

– Zniosłam zeźmijenie, zniosłam demony, które chciały mnie zabić, zniosę różne rzeczy, ale żeby głowa na pajęczych nogach krytykowała moje życie osobiste?! Słowo daję! – Wstała i wyszła z altany.

– Anavri! Wracaj! – krzyknął ostro chowaniec, ale zignorowała go.

Szybkim krokiem weszła między tuje i jaśminy. Bała się, że jeśli Zazel będzie kontynuował temat, puszcza jej nerwy i stwór naprawdę oberwie po spasionym pysku.

Zagłębiła się w labirynt ogrodowych alejek i szła tak długo, aż ujrzała przed sobą omszały kamienny mur, stanowiący granicę enklawy. Ozdobne krzewy były tutaj bujniejsze, rzadko przycinane, tworzyły niemal gąszcz. Usiadła na murawie i zamyśliła się.

Dotąd sądziła, że jest wobec Krzyczącego jak najbardziej uczciwa. *Tylko spójrz prawdzie w oczy, dziewczyno. Wyszłaś z założenia, że któreś z was zginie na tyle szybko, że w ogóle nie ma potrzeby zastanawiać się nad tym, co będzie za kilka lat.*

No właśnie. A co mogłoby być za kilka lat?

A gdyby – zapytał podchwytliwie głosik w jej głowie – pojawił się ktoś, kto mógłby ci zaoferować zarówno bezpieczeństwo, jak i życie godne twojego nazwiska? Ktoś taki, jak ten gubernator Marshii?

Wiedziała, że tego właśnie pragnąłby dla niej ojciec.

Nagle z dreszczem pomyślała, że może istotnie powinna być ostrożna. Przypomniała sobie wszystkie opowieści o magach, którzy na przykład przemieniali wiarołomne kochanki w kamień.

Ale nie, do Krzyczącego to nie pasowało. Coś mówiło jej, że gdyby za rok czy dwa postanowiła ruszyć w swoją stronę, przyjąłby to może bez radości, ale ze spokojem. Czułby się wtedy zwolniony z odpowiedzialności za nią.

A ty, Anavri? Czego ty byś chciała?

Przypomniała sobie jego ciepły półuśmiech, milczącą czułość, z jaką czasem dotykał jej twarzy, i coś ścisnęło ją za gardło.

To było tak cholernie skomplikowane.

Od najmłodszych lat żyła ze świadomością, że pewnego dnia wybiorą jej męża, a ona będzie musiała zaakceptować ten wybór. Najgorsze, co mogłaby zrobić, to zakochać się w kimś niegodnym jej nazwiska i lekkomyślnie je skalać, okrywając rodzinę hańbą i przysparzając jej kłopotów.

Ale teraz, na litość, twoje nazwisko naprawdę nie ma znaczenia – zaszeptał znajomy głosik w głowie. Nie jesteś już córką Alaina Vaneisen, tylko przestępczynią skazaną na śmierć za sam fakt, że istniejesz. I ma to jeden bardzo pozytywny uboczny skutek: jesteś wolna. A chyba nie zamierzasz oszukiwać samej siebie, że Brune

nicdla ciebie nie znaczy? Zazel może sobie tak sądzić, ale co głowa na pajęczych nogach wie o kobietach?

Zobaczmy, co będzie – odparła w myślach. Skąd pewność, że Brune jest zainteresowany czymś więcej niż sypianie z uczennicą, która jest ładna i jest na wyciągnięcie ręki? Skąd wiadomo, że mu się za jakiś czas nie znudzę?

Ale dobrze znała odpowiedź.

Drgnęła, wyczuwając zmysłami maga, że ktoś się zbliża. Sekundę później spomiędzy krzewów wyłoniła się Lorraine. Z roztargnieniem otrzepała włosy oraz suknię ze zwiędłych płatków tulipanowca.

– Czego chciał od ciebie Zazel? – zainteresowała się.

– Próbował mi udzielać życzliwych rad.

– To znaczy?

– Mniejsza z tym. – Anavri objęła się ramionami. Nie miała chęci kontynuować tematu.

– Znasz go. Martwi się o ciebie.

– Niech się raczej martwi o Marshię.

Lorraine spuściła wzrok. Usiadła na trawie. Zapadła cisza, przerywana jedynie ćwierkaniem ptaków i bzyczeniem owadów.

Anavri nagle odczuła pokusę, żeby wykorzystać okazję do zwierzeń, powstrzymała się jednak. Nie przypuszczała, by młodsza o trzy lata panna Nevers, która słyszy głosy umarłych i widuje na jawie dziwne rzeczy, umiała jej poradzić coś mądrego.

W gałęziach tulipanowca zaskrzeczała sójka. Biały motyl trzepotał wokół obsypanego różowym kwieciami rododendronu. Lorraine powędrowała za nim wzrokiem.

Naraz wzdrgnęła się i teatralnie zapatrzyła w przestrzeń. Anavri westchnęła w duchu, nie po raz pierwszy zastanawiając się, czy kuzynka przypadkiem nie udaje.

Po chwili w dal patrząca zgarbiła się, ciężko oddychając.

– Miałaś wizję?

Pytanie zostało zadane z ironią, ale panna Nevers skinęła głową.

– W bibliotece jest czarna księga, a w niej zaklęcie, którego musisz się nauczyć.

– Że co?

– Księga – powtórzyła cierpliwie Lorraine. – W oprawie z czarnego aksamitu, z mosiężnymi okuciami. Stoi w bibliotece w drugiej szafie

po lewej, na czwartej półce od góry. Nadążasz?

– Druga szafa po lewej, czwarta półka od góry – powtórzyła Anavri, tłumiąc westchnienie. Nie po raz pierwszy ogarnęło ją podejrzenie, że Lorraine wcale nie relacjonuje wizji, tylko plecie trzy po trzy, bo bawi ją obserwowanie reakcji słuchaczy. – I co z tą księgą?

– Jakoś w połowie znajduje się miniatura przedstawiająca króla i królową z odciętymi głowami, pogrzebanych w ziemi. Na następnej stronie, zaraz u góry, jest zaklęcie. Naucz się go.

– Lorraine, to nie pora na żarty.

– Nie żartuję! – obruszyła się panna Nevers. – Słuchaj! Kiedy ruszycie polować na tego zwyrodnialca, coś pójdzie nie tak. Nie potrafię powiedzieć co. Ale jeśli macie przeżyć, musisz znać zaklęcie z czarnej księgi. Ty, nie Brune. I on nie może wiedzieć, że je znasz, bo inaczej wszystko na nic.

– Ty jednak mnie nabierasz! – rozgniewała się Anavri. – No wiesz co?

– Skoro mi nie wierzysz, po prostu sprawdź. Przecież wy wyczuwacie kłamstwo.

Anavri zawahała się, bo wprawdzie Krzyczący uczył ją, jak wykorzystywać tę umiejętność, ale dotychczas ćwiczyła tylko na nim. Położyła kuzynce dłoń na czole.

– Przepraszam – powiedziała niechętnie po chwili. – Bogowie, ale czemu zawsze widzisz tylko takie... strzępki?

– Przecież to oczywiste – odrzekła ze spokojem w dal patrząca. – Przyszłość wciąż się zmienia, jedne ścieżki są bardziej prawdopodobne, inne mniej. Dobrze widać tylko to, co jest pewne, bo już się wydarzyło. Na przykład to, że zdenerwowałeś Zazela, więc zakradł się do kuchni i zwinął sześć ptysiów.

– Idę do biblioteki – oznajmiła Anavri.

Wracając do willi, zdała sobie sprawę, że czuje się nieswojo, jakby słowa Lorraine poruszyły w niej ukrytą strunę lęku.

Gdzieś w gwiazdach zapisana jest nasza śmierć.

Na werandzie minęła Zazela, który zajadał ptysia z kremem; na ławce przed nim leżały jeszcze dwa. Popatrzył na nią z głęboką dezaprobatą, ale nic nie rzekł, może nie chcąc mówić z pełnymi ustami.

Zza przymkniętych drzwi saloniku dobiegały odgłosy rozmowy.

Krzyczący nadal naradzał się z Marshią. Niezatrzymywana przez nikogo, dziewczyna weszła do biblioteki.

Druga szafa, czwarta półka od góry...

Serce zabiło jej szybciej.

Jest. Gruba księga w czarnej oprawie z mosiężnymi okuciami.

Gdy Anavri ostrożnie wyjęła wolumin, zdała sobie sprawę, że ręce lekko jej drżą.

* * *

Po rozmowie z Marshią Krzyczący miał kompletny mętlik w głowie. Lecz wspomnienie grobu na rodzinnym cmentarzu oraz gemma Eresha kazały mu drążyć dalej, wytrwale poszukiwać prawdy, skoro wszystko wskazywało, że znalazł właściwy trop.

Świetnie wyposażony antykwariat w Shan Vaola, gdzie można było dostać różne zakazane przez prawo księgi i zwoje, już zlikwidowali srebrni – aresztowali starego antykwariusza, a jego zbiory publicznie spalili na rynku. Ale w Gyarze przy jednej z bocznych uliczek mieścił się niepozorny sklepik ze starzyzną, gdzie oprócz przeróżnych rupieci czekały na nabywców dwa zniszczone klawesyny, kilka rozstrojonych mandolin i gitar oraz skrzynia pełna pozółkłych, zakurzonych arkuszy z nutami.

Właścicielem sklepu był garbaty odmieniec o smętnym, tępych obliczu, o dziwo świetnie znający się na muzyce. Skuszony obietnicą złota, osobiście wyjął ze skrzyni całą zawartość i rozłożył na podłodze, a potem pomógł Krzyczącemu przejrzeć całą stertę. Po dobrej godzinie wreszcie udało się znaleźć to, czego zmij szukał.

Brune bez mrugnięcia okiem zapłacił obiecaną kwotę. Później, w enklawie, z bijącym sercem wyjął z torby swoją zdobycz. Gdy rozłożył nuty na stole w pracowni, jego wzrok natychmiast przykuła karta zawierająca krótki opis utworów. Widniała na niej rycina – portret kompozytora. Niżej, w ozdobnym wieńcu z kwieciami i bluszczem, umieszczono jego imię i nazwisko.

Adrien de Vere.

Odziany na czarno, z alkaryjska. Urodziwa na swój sposób twarz o ostrych rysach i zapadniętych policzkach. Wąskie usta, brwi jak nakreślone węglem, ciemne włosy do ramion, ze smugami siwizny.

Na portrecie nie ukazano białych plam na skórze będących znakiem Ereshowego błogosławieństwa. Brune zadrżał. Nawet z poprawką na to, że rycina nie musi być dokładna, podobieństwo wydawało się uderzające.

Przejrzał nuty. Utwory na fortepian, skomplikowane, trudne. Trzy nokturny, wszystkie w zbliżonym stylu. Umiał sobie mniej więcej wyobrazić ich brzmienie: melancholijny główny motyw, a w tle wysokie, ciche nuty, dźwięczące bez ustanku niczym krople deszczu.

Sam mógłby skomponować coś podobnego.

Tknięty nagłym impulsem zerknął na zegar, a potem poszedł do kuchni. Anavri, która ku jego zadowoleniu zawsze umiała sobie wyszukać jakieś zajęcie, kiedy akurat nie miał dla niej czasu, zabawiała się, lewitując kilka jabłek i każąc im zakreślać ósemki wokół siebie.

– Zamierzam zapalić opium, nie budź mnie, kiedy zasnę – powiedział.

Zmarszczyła brwi.

– Znowu będziesz się truł tym świństwem?

– W wolnej chwili poczytaj sobie o oneiromancji. Chcę... chcę coś sprawdzić.

– No cóż, nie będę ci przeszkadzać – stwierdziła Anavri, wzruszając ramionami, po czym uniosła telekinetycznie jeszcze jedno jabłko, złapała je i zaczęła chrupać, nadal utrzymując w powietrzu pozostałe.

Brune wziął z pracowni nuty, po czym zamknął się w sypialni. Wyjął woreczek z brunatnymi grudkami i lufkę, usiadł na sienniku, tłumiąc lęk, że to, co zamierza zrobić, jest idiotyczne – że kogo jak kogo, ale szalonych morderców nie należy przyzywać z powrotem.

Wdychając słodkawy dym, zapatrzył się na portret Adriena, a potem sięgnął darem w głąb własnego umysłu, poszukując... obecności. Śladów jaźni, która – jeśli wierzyć temu, co powiadano – dawno temu została zamordowana, unicestwiona w Domu Godnego Odejścia.

Starszy bracie, jeśli jakaś częśćka ciebie żyje w Zmroczy, jeśli mnie słyszysz, przyjdź. Zaklinam... zaklinam cię na święte imię Eresha, na jad i na mandragorę, na hyzop i żywą wodę...

Lecz nie poczuł niczego – wzrokiem maga widział tylko szarą pustkę.

Wypaliwszy całą porcję narkotyku, położył się i okrył kocem, po czym pozwolił, by sprowadzona przez opium senność otuliła go, wymazując myśli – zapadł się w nią jak w łagodnie falującą głębię. Wkrótce już płynął z wiatrem, rozpadał się na strzępy chmur. Kadzidlane skrzydła niosły go przez wypełniony pastelowymi barwami niebyt.

A potem otworzył oczy... i ujrzał miejsce, które znał.

Pokój o pobielonych ścianach i zamkniętych okiennicach. Na stoliku płonęły trzy świece w kręgu z soli – jeden z najprostszych czarów ochronnych.

Na łóżku (Brune poczuł cokolwiek nielogiczny opór przed podglądaniem, nim przypomniał sobie, że to tylko sen), w czystej białej pościeli, Deuven de Ragues znajdował się w słodkiej i niedwuznacznej sytuacji z nagą, cudownie bezwstydną dziewczyną.

Brune czuł jedynie rozmyte, senne zadowolenie dawane przez opium. Płynął pod sufitem komnaty, niewidzialny, lekki jak powietrze, i widział dwa splecione ciała, niczym na rycinach przedstawiających alchemiczne zaślubiny słońca i księżyca, ognia i wody, siarki i rtęci.

Nagle dziewczyna spojrzała wprost na niego i poczuł, że gardło ściska mu lodowaty strach. Znał te niebieskie oczy i włosy ostrzyżone jak po chorobie. Te szczupłe, blade ramiona, drobne piersi i zapach owocowych perfum. Znał...

– Ćśśś. – Przytknęła palec do ust, a coś w jego głowie zaszepotało: *Nie tutaj... nie tego szukałeś...*

Obraz rozmył się – Brune znów szybował przez pastelową mgłę. A potem, jak to we śnie, nieoczekiwanie znalazł się w konkretnej rzeczywistości – zaczął śledzić rozgrywającą się historię, której bohaterów już znał. Skądś wiedział, że to, na co teraz patrzy, wydarzyło się kilka dni wcześniej niż scena, którą ujrzał przed chwilą.

Deuven wchodzi do kamienicy wyglądającej na własność zamożnego kupca – fasada jest bogato zdobiona, na parterze mieści się sklep ze złoconym szyldem – i wspina się po schodach na drugie piętro, do wynajętego mieszkania. Otwiera drzwi kluczem. Wnętrze, choć prosto umeblowane, tchnie aurą schludności i pewnej elegancji. Pachnie tu lawendą i starym drewnem.

Stół w saloniku nakryty jest odświętnym obrusem, a służąca sprząta naczynia po herbacie. Zmysły maga mówią Deuvenowi, że mieli gościa – rzecz niezwykła, bo prawie nikt ich tutaj nie odwiedza.

Faivrin stoi przy oknie, wyglądając na ulicę. Choć ma na sobie skromną codzienną suknię, jak zwykle wygląda nienagannie – w białym szydełkowanym kotnierzyku, z ułożonymi włosami – lecz jest blada, sprawia wrażenie przygaszonej i zgnębionej. Na sofie, gdzie siedziała przed chwilą, leży niedokończona robótka z wpiętą igłą. Do Deuvena nagle dociera, jak nieszczęśliwa jest jego siostra tu, w Ri Talma, jak strasznie tęskni za łąkami i górami Hain-Rague. On ma tu swoje życie: eksperymenty na wydziale alchemii, lekcje muzyki, których udziela, utwory komponowane na zamówienie, znajomych z uczelni, bractwo szermiercze... a w wolnych chwilach potajemnie zgłębia księgi o Zakazanej Sztuce. Tymczasem Faivrin powoli gaśnie – bo ileż można siedzieć w pokoju i haftować, patrząc w okno. Młodzieniec czuje falę wyrzutów sumienia, że wcześniej tego nie spostrzegł, zajęty własnymi sprawami.

– Był tu baron de Lyche – mówi jego siostra. – Chciał się z tobą widzieć.

– Zjawił się tutaj? Osobiście? – Deuven jest zaskoczony; arystokraci w Ri Talma raczej nie składają niezapowiedzianych wizyt przyjezdnym z prowincji, którzy żyją skromnie i nie bywają w towarzystwie.

– Wracał z balu i wstąpił po drodze. Chce zamówić u ciebie muzykę na pogrzeb.

– Czyj?

– Tego nie powiedział. – Faivrin spuszcza wzrok, kręcąc w palcach kosmyk włosów. Potem nagle spogląda na brata. – Deuven, powiedz mi, co ty teraz robisz po całych dniach?

– Jak to, co robię? – Młodzieniec, choć pytanie go zaskoczyło, uśmiecha się. – Przecież wiesz. Komponuję, udzielam lekcji i pomagam Tegriniemu w tych jego badaniach nad destylacją duszy...

– Nie zajmujesz się magią, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie – kłamie bez zmrużenia oka i bez najmniejszych wyrzutów sumienia. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nieważne. – Faivrin siada na sofie, bierze robótkę i wraca do wyszywania różyczek na błękitnym szalu.

Wszystko rozpląnęło się w kolorowy wir, rozfalowane obłoki makowego snu, miękkie jak łabędzi puch. Lecz teraz przez ciepłą mgłę narkotyku przebijał niepokój.

Potem wirujące barwy ponownie ułożyły się w obraz tamtej skromnie urządzonej sypialni o bielonych ścianach.

Deuven – ubrany tak, jakby dopiero co przyszedł z miasta, w płaszczu i wysokich butach – siedzi na łóżku, zgarbiony, przytłoczony. Jego ukochana, w czarnej żałobnej sukni, stoi przy oknie. Na stoliku znów palą się trzy świece, okiennice są zamknięte. A z oddali dolatuje powolne, posępne bicie dzwonu.

Brune intuicyjnie wiedział, że we śnie jest późna noc i że w Ri Talma szaleje zaraza. Zmysłami maga czuł, gdzieś tam, w oddali, koszmar umierającego miasta. Znowu zarazem był Deuvenem i patrzył z zewnątrz jako beznamiętny widz.

– To katastrofa – mówi cicho młodzieniec. – Szpitale wypełnione są po brzegi. Ludzie powiadają, że księżę zwrócił się do magów Elity, lecz nie zgodził się zapłacić ceny, której zażądali, więc odmówili pomocy. – Patrzy na dziewczynę. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mnie namówiłaś, żebym wysłał Faivrin na wieś, zanim jeszcze wybuchła zaraza.

Dziewczyna odpowiedziała coś, czego Brune nie usłyszał. W jego umyśle zaczynał się rozlewać lodowaty, mdlący lęk. Świadomość, że Deuven jest w błędzie, że już wkrótce stanie się coś strasznego, tragicznego, czemu nie można w żaden sposób zapobiec.

Faivrin wcale nie wyjechała z miasta.

A potem się ocknął, spocony i dygoczący. I ukrył twarz w dłoniach.

* * *

Komnata pośrodku nicości miała żebrowane sklepienie i ściany z pociemniałej cegły. W rogu wznosiła się prymitywna rzeźba z szarego piaskowca, przedstawiająca ludzką postać z głową lwa.

U stóp posągu ustawiono przenośny ołtarzyk, przykryty czarną jedwabną tkaniną. Stały na nim dwa naczynia ze srebra: kadzielnica oraz miseczka brunatnej cieczy.

Pochodnie na ścianach płonęły, nie spalając się.

Spętana potrójnym kręgiem symboli nakreślonych na posadzce krwią byka i jadem bazyliuszka, Anyah trwała w bezruchu, ledwie widoczna, niczym smuga mgły. Przytomna. Sathoon chciał, by miała świadomość upływającego czasu.

Już przestała go przeklinać, choć jej nienawiść mogłaby palić miasta. *Tchórz, podły tchórz, oportunistyczna hiena*. Nie pokonałby jej w równej walce, lecz nie trzeba być wielkim łowcą, żeby zamknąć w klatce ranione, leżące bez sił zwierzę.

Nie chciała mieć sama siebie wizjami tego, co z nim zrobi, gdy już ją uwolnią. Zbyt realny był strach, że skoro Dolina Popiołów dotąd się o nią nie upomniała – to już się nie upomni. Bo czas płynął. I płynął.

I płynął.

Czasem Anyah szeptała do siebie, patrząc w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Gdy tak tkwiła w bezruchu, uwięziona w kręgu, powracały do niej wspomnienia. Te z czterech ostatnich dziesięcioleci i te dawniejsze, z czasów, gdy była ludzką dziewczyną, córką ludzkiej kobiety. Zanim jeszcze zmarła i dostała się we władzę demonicznego ojca.

Miejsce, w którym uwięził ją Sathoon, sprzyjało rozpamiętywaniu. Oczywiście było tylko iluzją, stworzoną na obraz i podobieństwo tamtego lochu dawno temu. Tamtej tajnej komnaty w podziemiach uniwersytetu. Anyah nie czuła już satysfakcji na wspomnienie zwycięskiej walki, pierwszej i ostatniej, którą stoczyła wspólnie z siostrą.

Zrzuciwszy ciało Alessy jak niepotrzebną skorupę, wyrzuciła ją z pamięci na tyle lat – tylko po to, by teraz znów widzieć i przeżywać dawno minione zdarzenia z perspektywy swej znieprawionej ludzkiej połówki, swego naczynia. Była tak słaba, ta istota z krwi, ciała i śluzu, a jednak tak upokarzająco silna, gdy dzierżyła pod kontrolą swe demoniczne drugie ja. A teraz Anyah musiała oglądać na nowo obrazy z tamtego życia, widziane oczami bliźniaczki – wspomnienia z lat, gdy sama, jak teraz, tkwiła uwięziona i niema.

Klasztor, gdzie tamta się wychowała – pomiot demona i zgwałconej

przez niego nieszczęśnicy, dziecko o dwóch duszach, któremu mniszki dały schronienie tylko dlatego, że bały się je zabić lub porzucić w lesie, by szczęło. Stary mędrzec, który znalazł ją tam, gdy miała dziewięć lat i ręce pogryzione do krwi, bo koszmary, które śniła, sny o popielistej dolinie i uwieczonych, krzyczących duszach, doprowadziły ją na skraj obłądu. Wierzył, że kształcąc Alessę w wiedzy tajemnej, umożliwi jej znalezienie jakiegoś sposobu, by przechytryć Spalonego Władcę. Przeliczył się, och, jak okrutnie się przeliczył – lecz sam już nie dożył chwili, gdy jego przybrana córka zmarła na zarazę, a Anyah, nareszcie wolna, umknęła do Otchłani.

Nazywała się Alessa. Niebieskooka dziewczyna, która umiała mówić językami ludzi i demonów, która jeszcze za życia poznała Otchłań, ale która kochała ludzką miłością i po ludzku bała się bólu. A przeznaczenie w końcu ją doścignęło w ogarniętym zarazą Ri Talma.

W owym czasie Sathoon służył Dolinie Światła. Rękami swego agenta sprowadził epidemię na bogate, portowe, uniwersyteckie miasto, pragnąc zdobyć tysiące dusz. Alessa z pomocą demonicznej siostry wytropiła go i pokonała, zmuszając do opuszczenia świata żywych, lecz zarazem podpisała wyrok na siebie.

Tamto starcie, tamta rozpaczliwa walka w podziemiach uniwersytetu miała jeden wspaniały skutek, choć z małym opóźnieniem – uczyniła demonessę wolną. A teraz Anyah tkwiła uwięziona w komnacie będącej idealną kopią miejsca, gdzie Alessa własnoręcznie przypieczętowała swój los. Może Sathoon chciał tylko okrutnie zadrwić z pojmanej, a może kierowało nim coś jeszcze. Anyah nie wiedziała co.

Najchętniej wyrzuciłaby z pamięci wspomnienia o zmarłej siostrze. Bała się ich. Były niczym korniki drążące korytarze wewnątrz martwego drzewa – osłabiały ją, osłabiały jakąś fundamentalną część jej natury.

Czuła też strach.

Czarodziejska więź między nią a Krzyczącym w Ciemności pozostawała silna, na tyle silna, by Anyah z każdą chwilą była bardziej świadoma zagrażającego mu niebezpieczeństwa. Lecz nic nie mogła zrobić.

Bezsilność była najtrudniejsza do zniesienia.

* * *

– Ujdzie – zawyrokowała Marshia, obejrzawszy kaftan, który Krzyczący przedłożył jej do oceny. – Czemu, na litość, tak się upierasz przy czerni?

– Przyzwyczajenie. – Wzruszył ramionami. Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy podejrzliwie powąchała materiał. – Bez obaw, nie czuć go stęchlizną. Jest nowy.

– Ale nie szyty na miarę, co?

– Nie.

Marshia pokręciła głową.

– Nigdy się nie zmienisz.

– Jest dobry. – Westchnął. – Mam przymierzyć?

– Obejdzie się. – Obejrzała ciemnozielony jedwabny pas, przetykany czarnymi i srebrnymi nitkami, i odłożyła go bez komentarza. – Skoro masz być na czarno, to koniecznie koronkowe mankiety przy koszuli. Nowej. Sugeruję batyst. Poza tym zapomnij o wysokich butach. Trzewiki ze sprzączką.

– Wiem.

– I się nie krzyw, tylko ciesz, że nie każę ci utrefić włosów. Loki są teraz bardzo modne.

– Cieszę się. – W duchu zadał sobie pytanie, czy to możliwe, żeby długotrwała choroba wyzwoliła w Marshii wisielcze poczucie humoru.

– Dzisiaj znowu popatrzyłam w kulę – oznajmiła, zmieniając temat, a Brune natychmiast spoważniał. – Morderca pojawi się na tym balu. Wytropicie go. Ale nie będzie łatwo. Wynikną nieprzewidziane komplikacje.

– Jakież szczegóły?

– Wpakujecie się w kłopoty. Ty jesteś słabym ogniwiem.

– Dzięki – odrzekł ironicznie. – A czemu konkretnie?

Marshia zmierzyła go twardym spojrzeniem.

– Dobrze wiesz czemu. Przez ten bałagan, który nosisz w głowie.

– No cóż, niewiele mogę na to poradzić.

– Wiem – przytaknęła z powagą. – Dlatego nie podoba mi się, że Anavri będzie wystawiona na niebezpieczeństwo. Gorzej – że narażenie jej stanowi sedno planu.

– No cóż, niech się przyzwyczajają. – Tknęło go nagłe podejrzenie. – Nie wspominałaś Anavri o moich utraconych wspomnieniach, mam nadzieję?

– O, więc zataiłaś to przed nią? – W głosie Marshii usłyszał nutkę złośliwej satysfakcji, jakby jej podejrzenia się potwierdziły. – Nieładnie. Powinnam jej powiedzieć prawdę, żeby miała pełny obraz sytuacji.

– Nie rób tego. Proszę. Sam jej powiem.

Mówiąc to, mimo woli spuścił wzrok. Marshia musiała wyczuć kłamstwo. Ale nic nie rzekła, jedynie skinęła głową.

* * *

W enklawie panował spokój. Ciepły wietrzyk niósł zapach kwiatów i przystrzyżonej, podeschniętej trawy. Gdyby nie wyblakłe, szarawe niebo, można by ulec złudzeniu, że wszystko jest tak jak dawniej.

Brune siedział na werandzie, rozważając pomysł, który już kiedyś brał pod uwagę, ale doszedł do wniosku, że niczego użytecznego się nie dowie. W końcu uznał, że chyba nie ma nic do stracenia. Wstał.

Znalazł pannę Nevers w odległym zakątku ogrodu. Huśtała się na huśtawce zawieszanej na gałęzi wielkiego kasztanowca. Na widok zmija przyhamowała, wbijając obcasy w trawę.

– Co, już obiad?

– Nie. – Na wszelki wypadek sięgnął umysłem w przestrzeń, upewniając się, że w pobliżu nikogo nie ma. Anavri mierzyła balowe suknie pod okiem Marshii, Zazel i Biss grali w warcaby w salonie, służba zajęta była przygotowaniami do obiadu, a chochlik pielął klomby przed willą. – Lorraine, chcę, żebyś zajrzała w moją przeszłość.

– Czemu? – zdziwiła się.

– Dowiesz się, kiedy spojrzysz.

– A co? Pożyczyłeś od Marshii książki i nie pamiętasz, gdzie je schowałeś? – Widząc jego minę, pokręciła głową. – Dobrze, już dobrze. Spróbuj. Daj rękę.

Ujęła jego dłoń w swoje, drobne i chłodne. Po chwili zadygotała, jakby owionął ją lodowaty powiew.

– Tam jest tylko mgła – szepnęła. Podniosła na niego zaskoczony

wzrok. – Ty... Straciłeś wspomnienia?! Dlatego nigdy nic nam nie mówiłeś o sobie? Czy Marshia wie?

– Wie – uciął. – Popatrz jeszcze raz. Zajrzyj głębiej.

– Tam jest tylko mgła – powtórzyła. – Nic więcej. Przepraszam... Bogowie, dlaczego nie poprosisz Marshii o pomoc? Ona się lepiej zna na takich rzeczach jak amnezja...

– Poczekaj. – Zdjął z szyi skórzany woreczek z dwiema kartami i odłożył go na trawę. – Spróbuj teraz.

Lorraine ponownie wzięła go za rękę. Tym razem zamknęła oczy i znieruchomiała.

– Widzę człowieka z białymi plamami na twarzy, który gra na flecie – przemówiła po chwili. – Widzę kogoś, kto leży w łóżku i wygląda... bogowie – otrząsnęła się ze zgrozą – jest chyba chory na jedną z tych chorób... Ręce ma czarne, skóra odchodzi z nich płatami. Podajesz mu coś do wypicia. Może próbujesz go leczyć? Widzę miasto... Wszystkie okna są pozamykane, nie widać przechodniów. Na rogach dymią stosy. W dali idzie kondukt pogrzebowy, a w rynsztoku leży trup. Wleczesz się ulicą, zataczasz się, jesteś chyba chory... nie, czekaj, ty krwawisz, masz rany na policzku. – Wzdrygnęła się i odetchnęła głęboko. – Nic więcej – zakończyła stanowczo. – Przykro mi. Czy to ci pomogło?

Idioto, naprawdę liczyłeś, że ona zobaczy coś ponad to, co sam już wiesz?

– Tak, myślę, że tak – skłamał. – Dziękuję, Lorraine.

– Drobiazg.

Usiadła wygodniej na huśtawce i znów zaczęła się od niechcienia lekko bujać.

Po sekundzie zawahania Brune przyłożył dłoń do jej czoła i wyszeptał zaklęcie zapomnienia.

* * *

– Nie da się zasznurować ciaśniej – stwierdziła Anavri. – Ten kaftanik jest za duży i tyle.

– Odwróć się.

Spełniła polecenie i napotkała spojrzenie Zazela. Usadowiony na stoliczku wśród bibelotów, pogryzał kawałek kiełbasy.

Demonstracyjnie odwrócił wzrok, dając do zrozumienia, że nadal jest na nią obrażony.

– Tak chyba będzie dobrze – zawyrokowała Marshia, przyjrzawszy się kaftanikowi krytycznym okiem. – Może być. Jest chyba lepiej niż w tej błękitnej i o niebo lepiej niż w tej złotej. Dygnij.

Dziewczyna westchnęła ukradkiem, spełniając polecenie. Na sofie leżało pięć przymierzonych wcześniej sukien. Sukien Marshii. Takich, które wyszły już z mody, bądź też właścicielka uważała, że nie wygląda w nich dość korzystnie. Anavri miała co prawda dwie własne balowe kreacje, zabrane z domu, ale nie było sensu narażać którejs z nich na zniszczenie.

Myśląc o tym, co ją czeka, po raz kolejny stłumiła ukłucie strachu.

Marzyłaś, żeby powrócić na salony – przemówił złośliwy głosik w jej głowie – *i proszę, masz, czego chciałaś.*

Jakby rola przynęty nie była dostatecznie niemiała, panna Vaneisen aż za dobrze pamiętała ostatnie przyjęcie, w jakim uczestniczyła w Shan Vaola. Dopadły ją tam halucynacje wywołane przez budzący się dar. Wspominając to, dotąd czuła dreszcze.

– Będiesz potrzebowała czegoś na szyję – powiedziała w zadumie czarnowłosa żmijka. Choć nawet na niego nie spojrzała, Zazel od razu zeskoczył ze stolika, po drodze przewracając alabastrową figurkę pastuszka. Marshia, mrużąc pod nosem, ustawiła posążek prosto, następnie zaś otworzyła mahoniową kasetkę.

– Weź to. – Wręczyła zdziwionej dziewczynie ozdobę ze srebra. Z łańcuszka zwieszał się wisior w kształcie ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Anavri od razu wyczuła moc uspioną w przedmiocie, niczym życie w pniu drzewa.

– To albatros – powiedziała Marshia z nieznacznym uśmiechem. – Brune powiedział mi, że najłatwiej przychodzą ci czary związane z powietrzem. Myślę, że ten wisior będzie ci dobrze służył. Koniecznie go załóż, zanim wyruszyście na bal.

– Czemu?...

– To talizman wzmacniający siłę maga. Dostałam go kiedyś, dawno temu, od mojego mistrza. Czy wiesz, co mi powiedział, wręczając go? – Dotknęła policzka dziewczyny. – Gdy znajdziesz się w mocy wichru, pamiętaj, że masz skrzydła.

* * *

– Co o tym sądzisz? – zapytała Anavri. Rozpostarła ręce i obróciła się tanecznie na czubkach palców. Brune gwizdnął przez zęby.

Suknia była z liliowego jedwabiu w zgaszonym, jakby przydymionym odcieniu. Dwuczęściowa. Suta, marszczona spódnica z czterema falbanami oraz kaftanik z rękawami do łokcia, sznurowany od góry do talii.

– Nie szkoda jej?

– Marshia twierdzi, że ten fason wyszedł z mody przed kilku laty.

– To jej suknia? – zdziwił się.

– Oczywiście. Ja nie mam aż tylu, żeby ryzykować zniszczenie którejś. Poza tym przecież miała być za duża, prawda?

Brune przyjrzał się jeszcze raz, krytycznym okiem.

– Nie zauważyłbym, gdybyś mi nie powiedziała – stwierdził szczerze. – Ale skoro powiadasz, że jest niezbyt modna, to bardzo dobrze.

Nie po raz pierwszy pomyślał, że właściwie nie wiadomo, czy cała eskapada ma sens. Należało przypuszczać, że morderca raczej nie wybiera się na bal po to, żeby polować, skoro dotąd zaspokajał swe okrutne żądze w podłych dzielnicach. Mieli nadzieję, że Anavri po prostu zwróci jego uwagę w wystarczającym stopniu, by mogli go wyłowić z tłumu.

Musiała wyglądać na tyle elegancko, aby wtopić się w otoczenie, ale zarazem jej strój miał budzić w uważnym obserwatorze podejrzenie, że owa śliczna dziewczyna to ktoś, kim można się zainteresować bez konsekwencji. Nawet nie tyle kurtyzana, co na przykład uboga szlachcianka bez posagu, sierota zbałamucona przez bogatego nicponia – salony widziały dziesiątki takich historii. Zabawka na kilka nocy, która jeszcze nie wie, że jest tylko igraszką. Przebrana w używaną kreację jego poprzedniej kochanki.

– Spódnica jest za długa – dodała Anavri. – Skrócę najniższą falbanę. Głupio byłoby się potknąć w niewłaściwym momencie. Pantofelki na szczęście mam swoje. – Zademontrowała zgrabny atłasowy bucik.

* * *

Starczyło spojrzeć na mapę, by się przekonać, że Zatoka Snów ma kształt nieregularnej pięcioramiennej gwiazdy. Nie było dziełem przypadku, że w pięciu suwerennych miastach, które leżały na jej wierzchołkach – Shan Vaola, Tay, Eume, Yever Laren i Kang – władzę sprawowali srebrni magowie, którzy w większości innych miast i państw Siedmiu Krain ograniczali się do funkcjonowania jako doradcy władców (poza Alkarą i Chalkirem, gdzie od czasu Skażenia nienawidzono ich i gdzie nie mieli żadnych wpływów). Były to największe porty nad zatoką, owszem, kwitł tam handel, jak najbardziej – lecz Elicie chodziło o coś innego. O wzór, w jaki się układały.

Rządząc w tych miastach, srebrni mogli wpływać na Ekwilibrium na całym obszarze zatoki. Starali się o to przez długie wieki, lecz dopóki istniały dwie szkoły magii, wpływy Elity nad Zatoką Snów nie były tak silne, by przeważać nad interesami książąt, dożów i arystokracji. Zmieniło się to dopiero w poprzednim stuleciu, po upadku czarnej szkoły.

Obecnie w pięciu miastach faktycznie rządzą Opiekunowie – sędziwi, potężni mistrzowie Elity. Im podlegali burmistrzowie oraz rady miejskie. Opiekunowie nie zaprzęтали sobie głów takimi drobnostkami, jak opłaty za wywóz śmieci czy wysokość grzywny dla kupców sprzedających towary złej jakości – to do radnych należało ustalanie tak prozaicznych rzeczy – lecz zachowywali nad wszystkim kontrolę, a w każdej spornej sprawie ich słowo było ostatnim.

Istnieli jeszcze nominalni władcy, którzy panowali, lecz nie rządzą – istoty wyhodowane w kadziach, białoskóre i wątłe, podobne do porcelanowych lalek. Ich twarzy nikt nigdy nie widział; jeśli pokazywali się publicznie, to zawsze ukryci za symbiotycznymi maskami, w brokatowych reprezentacyjnych szatach. Najłaskawszy z Tay, Najmożniejszy z Eume, Najjaśniejszy z Yever Laren, Najmiłociwszy z Kangu i Najdostojniejszy z Shan Vaola. Ich tytuły po przetłumaczeniu na mowę magów układały się w potężne zaklęcie ochronne, zmniejszające częstotliwość zachwiał nad Zatoką Snów. Czarodziejskie rebusy, wzory ukryte w tkance rzeczywistości... Srebrni lubili takie rzeczy.

Brune liczył się z możliwością, że magowie Elity pojawią się na balu zorganizowanym przez księcia będącego – jak oznajmiła

Marshia – bliskim krewnym królów Talme i Ariskenu, niezbyt jednakże zainteresowanego polityką, pędzącego gnuśny żywot sybaryty. Srebrni z zasady gardzili ziemskimi rozrywkami, lecz gdyby przyjęcie miał zaszczycić swą obecnością sam Najmoźniejszy, wówczas z dużym prawdopodobieństwem towarzyszyłaby mu dostojna Opiekunka Miasta. A jeśli nie ona, to ktoś ją reprezentujący; jakiś mistrz i dwóch czy trzech akolitów w charakterze obstawy.

Żmijowi nie uśmiechała się konfrontacja, której wynik, przy przewadze liczebnej srebrnych, mógł być tylko jeden. Pozostawało dołożyć starań, by do takowej nie doszło.

Pałac księcia Kei-Led-Sarros leżał nieco na południe od miasta, wśród wzgórz, otoczony ogrodami przechodzącymi w obszerny, malowniczy park. Brune nie omieszkał zawczasu zwiedzić otoczenia rezydencji. Dwukrotnie zabrał ze sobą Anavri, żeby i ona zapoznała się z rozkładem terenu. Do pałacu nie odważył się jej wprowadzić – iluzje niewidzialności były bardziej zawodne od iluzji zmieniającej wygląd, spostrzegawcze oko mogło je przeniknąć z bliska – lecz przez okna widzieli, że w całym wschodnim skrzydle budynku trwa gorączkowa krzątania służby, pucującej wszystko od posadzek po żyrandole. W trakcie drugiej wizyty mieli okazję popatrzeć, jak przed niski budynek pałacowej kuchni zajeżdżają wozy wypełnione workami i beczkami. Podczas gdy je rozładowywano, gruby mężczyzna w fartuchu – może pierwszy kucharz – oraz drugi, starszy, wyglądający na ochmistrza, wdali się z woźnicami w głośną wymianę zdań, wymachując arkuszem papieru, zapewne listą.

– Oho, coś się chyba nie zgadza – mruknęła z uśmiechem Anavri. Ona i Brune siedzieli na ławeczce obok nieczynnej teraz fontanny, otoczonej kręgiem ozdobnych krzewów, których liście przybrały już żółtą barwę.

– Nic tak nie usprawnia organizacji przyjęcia jak porządna awantura – podsumował Krzyczący, bo ochmistrz właśnie kopnął najbliższą beczkę, po czym, nie przebierając w słowach, poinformował woźniców, jak prowadzić się ich matki, babki tudzież prababki.

– Boję się, wiesz? – mruknęła dziewczyna, nagle zmieniając temat.

Brune popatrzył na nią.

– Hej, to tylko bal. Nie takie rzeczy masz już za sobą. Pamiętasz tamtą karczmę w sferach?

Wzruszyła ramionami.

– To było coś innego.

Lekko dotknął jej dłoni.

– Będzie dobrze – powiedział, trochę na przekór własnym myślom.

Jego także dręczyły obawy, do których nie zamierzał się przyznawać. Związane z tym, co powiedziała mu Marshia na temat bycia słabym ogniwem.

No cóż, do balu miał jeszcze kilka dni. I z wolna dojrzywało w nim postanowienie.

Zrobię to – zdecydował w myślach, patrząc, jak ochmistrz wyciąga z beczki za ogon dużą rybę, najwyraźniej niezadowolającej jakości, po czym ciska ją na ziemię.

19. Co można odkryć w archiwach

Wiatr niósł kropelki zimnej mżawki. Brune nasunął kaptur na głowę i popatrzył na wznoszące się po drugiej stronie rzeki budynki uniwersytetu.

W Ri Talma większość budowli była z czerwonej lub brunatnej cegły, często o wąskich, ostrołukowych oknach. Wzdłuż burej rzeki wznosiły się spichlerze. Wieże uniwersytetu z daleka były w oczy zieloną patyną na miedzianych dachach. Sam widok tej panoramy przyprawiał Krzyczącego o dreszcz.

Zmij odczekał, aż miną go turkoczące dorożki i wyładowany kapustą chłopski wóz, po czym z westchnieniem wkroczył na kryty drewniany most. Wiedział, że nie powinno go tutaj być. W każdym razie – nie teraz. Nie powinien podejmować ryzyka, że odkryje coś, co będzie dla jego rozchwianego amnezją umysłu niczym zdjęcie pokrywy z gara pełnego węży, ropuch i robactwa. Ale ta sprawa ciągnęła się już tak długo, że najzwyczajniej w świecie stracił cierpliwość i był zdeterminowany wreszcie ją wyjaśnić.

Albo szczury, albo szczurołap, jak mawiał stary Veljanov.

* * *

Za okratowanymi oknami miejskiego archiwum szarzał zmierzch. Od murów ciągnął ziąb, pachniało kurzem, starym papierem i myszami.

Brune wzdrygnął się, roztarł ramiona i zapiął kurtkę. Po kilku godzinach ślęczenia przy niewygodnym pulpicie marzył o odpoczynku i kubku herbaty, zmusił się jednak do cierpliwości. Jeszcze nie znalazł tego, o co mu chodziło.

Przysunął świecę bliżej. Źrenice źrenicami, ale do tego, żeby odcyfrowywać stare dokumenty – poplamione, ze śladami pleśni, z porozmazywanym i wyblakłym atramentem, nierzadko nabazgrane nieczytelnym charakterem pisma – nawet on potrzebował światła.

Wcielenie się w Gaela Zachos, młodego podróżującego historyka, znów było oczywistym wyborem, i na szczęście po raz kolejny okazało się, że ta tożsamość otwiera drzwi niczym magiczne zaklęcie. Bez trudu zaskarbił sobie życzliwość archiwistów. Wystarczyły uśmiech i trochę uprzejmych słów, popartych bardziej namacalną, błyszczącą argumentacją. Teraz siedział przy niewygodnym pulpicie w sali pełnej szaf – jednej z wielu – przeglądając zakurzone, oprawione w skórę tomiszcza. Rejestry zgonów sprzed czterdziestu lat, z roku wielkiej zarazy.

Wyglądało na to, że epidemia – tu napisano, że ślepiccy, a nie dżumy, jak wcześniej sądził – grasowała w Ri Talma mniej więcej od połowy lipca, ale dopiero w sierpniu sytuacja stała się naprawdę poważna. Zapisane maczkiem listy zmarłych ciągnęły się i ciągnęły, a Brune czytał je z ponurą determinacją, od czasu do czasu przecierając zmęczone oczy. Aż w końcu, pod datą osiemnastego sierpnia, znalazł to, czego szukał:

Faivrin de Ragues, lat 23. Przyjezdna z Alkary. Ofiara zarazy. Grób zbiorowy.

Zacisnął zęby, gdy przez głowę znów przeleciał mu przebłysk wspomnienia.

Jasnowłosa dziewczyna umiera, krzycząc...

Odepchnął ten obraz wysiłkiem woli. Chwilę siedział, patrząc w przestrzeń. Potem odszukał i otworzył kolejną księgę – raporty straży miejskiej z tamtego roku.

Brnąc przez gąszcz różnych charakterów pisma, przekreśleń i notatek na marginesach, odnalazł właściwą datę. Nie zapisano pod nią dużo, całe cztery zdania. Sucha notka o liczbie zgonów, włamań, napadów, dwie egzekucje złodziei, wzmianka o jakimś skandalu cmentarnym z udziałem pijanych grabarzy... Ostrożnie przewrócił stronę i zamarł na widok wetkniętej tu luźnej pergaminowej karty, opatrzonej pieczętką z pentagramem.

W dniu osiemnastego sierpnia, w piątym tygodniu wielkiej zarazy...

Musiał chwycić oddech, uspokoić łomoczące serce. Intuicja maga

mówiła mu, że w całym tym piachu natrafił na samorodek złota.

Dłuższą chwilę wpatrywał się w wyblakłe, lecz bez problemu dające się odcyfrować zdania. Wyćwiczone, kaligraficzne pismo zdradzało, że treść dokumentu podyktowano. Górna połowa karty została kiedyś, w nie wiadomo jak odległej przeszłości, zachlapaną wodą i część słów rozlała się w nieczytelne plamy, lecz na szczęście najważniejszy fragment relacji zachował się nietknięty.

Czytając, Brune czuł narastające ciarki, które nie miały nic, ale to nic wspólnego z chłodem ciągnącym od starych murów.

...w dniu osiemnastego sierpnia, w piątym tygodniu wielkiej zarazy... doniesiono o wielce niepokojących... jak krzyki i... z willi barona Faraela de Lyche. W mieście panował podówczas coraz większy chaos, grasowali włamywacze i rabusie, zatem... (reszta zdania była nieczytelna.) Ruszyliśmy tam bez zwłoki – ja, mój pomocnik i dwóch strażników miejskich, których personalia zostały zapisane na początku niniejszego dokumentu. Gdy nikt nie odpowiadał mimo łomotania w drzwi, strażnicy wyważyli je.

Wewnątrz było pusto, służba zbiegła. Nigdzie nie dostrześliśmy śladów włamania. W willi znajdowała się mnogość cennych mebli, dywanów, porcelany, sreber i przeróżnych kosztownych przedmiotów, i – na ile byliśmy w stanie stwierdzić – nic nie wskazywało, by dom nawiedzili złodzieje. Baron de Lyche, jak się okazało, przebywał w środku. Znaleźliśmy go nieżywego na podłodze gabinetu, odzianego w kolorowy błazeński strój, zboczony krwią na piersi. Zadano mu pchnięcie w samo serce, przypuszczalnie szpadą lub rapierem. W rękę ścisnął symbiotyczną maskę, martwą od kilku godzin, już rozpadającą się w maź. Wokół leżały karty pokryte magicznymi symbolami, a także – niech wszechwiedzący Haran będzie mi świadkiem – mnóstwo martwych czarnych stworzeń, jakich nigdy przedtem ani potem nie dane mi było oglądać, nieznaną nauce, ni to krabów, ni skorpionów, wielkości ludzkiej dłoni. Jedni bogowie wiedzą, co tam się wydarzyło.

Przysięgam na Harana, Eresha i Leleyę, że wszystko powyższe jest prawdą i nic więcej nie wiadomo mi w tej sprawie. Zeznanie złożyłem dobrowolnie w dniu szóstego września. Podpisano: Cyril Blanchet, lekarz z cechu medyków w Ri Talma.

I zawijas podpisu.

Niżej dopisano czerwonym atramentem, innym charakterem pisma:

Świadek nie kłamie. Wypuścić.

I odcisnięta pieczęć w kształcie pentagramu.

Na marginesie widniała jeszcze krótka notatka, nabazgrana maczkiem:

Strój błaz. symbolika Otchłani sprawdzić.

Krzyczący powoli wypuścił powietrze z płuc.

Wcale go nie zdziwiło, że srebrni węszyli wokół tej sprawy – oczywiście dopiero po fakcie, bo jakżeby inaczej. *Choć dla Deuvena de Ragues może i lepiej, że po fakcie* – pomyślał zaraz, uśmiechając się cierpko.

Może lepiej. A może gorzej. Odruchowo dotknął szram na policzku. Im cieplejszy robił się trop, tym silniejsze stawało się przekonanie, że szuka odpowiedzi, których wcale nie chciałby znaleźć.

Słyszając czyjś głos, Krzyczący drgnął, omal nie wywracając świecy. Nie od razu dotarło do niego, kto stoi w drzwiach sali.

To był główny kustosz archiwum, starszy, wąty mężczyzna z kozią bródką. Uśmiechnął się przepraszająco.

– Późna pora, kolega już poszedł – powiedział tonem, z którego wynikało, że nie chciałby wypraszać sympatycznego Gaela Zachos, ale też nie może się zgodzić, by został w archiwum na noc. – I jak? Znaleźliście coś?

– Tak. – Brune zmusił się, by powrócić do terażniejszości. – Tak, dziękuję. – Nie bez wyrzutów sumienia popatrzył na piętrzącą się obok pulpitu stertę ksiąg. – Może pomogę wam poodnosić to wszystko na miejsce?

– Poradzę sobie, młodzieńcze. – Stary człowiek machnął ręką. – Lata praktyki.

Żmij wsunął mu w dłoń jeszcze jedną złotą monetę. Archiwista protestował słabo, raczej wyłącznie dla zachowania formy, bo jego oczy rozpalily się wdzięcznością. I trudno się dziwić; sądząc po tym, jak

połataną miał opończę, zarabiał tu marne grosze.

Już wychodząc z budynku, Brune uzmysłowił sobie, czego nie zdążył sprawdzić. Ale podejrzewał, że nie ma to szczególnego znaczenia. Coś mówiło mu, że nigdzie w rejestrze zgonów nie znalazłby wzmianki o śmierci i pogrzebie Deuvena de Ragues.

Na zewnątrz z ulgą wciągnął w płuca świeże, pachnące deszczem powietrze. I pomyślał, że chyba musi porozmawiać z członkami tutejszego cechu medyków.

* * *

Dwa dni później musiał przyznać, że zapędził się w ślepą uliczkę. Cyril Blanchet nie żył od szesnastu lat. Wdowa po nim niechętnie zgodziła się na rozmowę z obcym i nie miała nic ciekawego do powiedzenia. Pochodziła z południa, do Ri Talma przybyła i wyszła za mąż już po wielkiej zarazie. Wedle jej wiedzy, Cyril nie pozostawił żadnych pamiątek ani innych zapisków.

Próba ustalenia, kim był ów baron de Lyche, który zginął w tajemniczych okolicznościach, również spełzła na niczym. Nie pomogły ani poszukiwania w bibliotece miejskiej, ani ponowna wizyta w archiwum. Brune znalazł, i owszem, drzewo genealogiczne rodu de Lyche oraz listę dóbr ziemskich, jakie posiadali w Chalkirze Północnym, lecz żaden z członków tej rodziny na przestrzeni czterech pokoleń nie nosił imienia Farael.

Mogło to świadczyć, że rzekomy baron posługiwał się fałszywą tożsamością i równie fałszywym tytułem. Co w praktyce, jeśli był przyjezdnym dysponującym dużymi pieniędzmi, wcale nie musiało stanowić wielkiego wyzwania. Wystarczyło, by wkradł się w łaski kilku wpływowych osób, a później umiejętnie grał swoją rolę.

Brune nie chciał na razie prosić Marshii o pomoc, żeby nie zdradzać, czym się zajmuje niemalże w przeddzień balu. Na szczęście prawdziwe personalia barona nie były kluczowe, w każdym razie nie na tym etapie.

Dzięki pomocy nieocenionego kustosa archiwum zmijowi cudem udało się wyszperać kopię aktu sprzedaży willi, którą Farael de Lyche nabył dwa lata przed wielką zarazą. Dopisek załączony do dokumentu na oddzielnym karteluszkę informował, że chodzi o sprzedaż

zadłużonej posiadłości, co ani trochę nie zdziwiło Krzyczącego, podobnie jak fakt – sam w sobie dość niezwykły – że cała wysoka kwota uiszczona została w złocie jednorazowo, a nie w kilku ratach. Nie to jednak interesowało żmija, tylko adres.

Potem Brune ponownie otworzył księgę z raportami straży miejskiej. Tym razem przeglądał ją długo, klnąc półgłosem, ilekroć natrafiał na zaplamione lub nieczytelnie zapisane karty.

Aż w końcu znalazł. Jedną notatkę, drugą, trzecią, czwartą. W mniej więcej miesięcznych odstępach. Pokiwał głową, uśmiechając się posępnie do swoich myśli.

Czterdzieści lat wcześniej w Ri Talma ktoś także mordował prostytutki. Prowadzono śledztwo w tej sprawie. Ale potem wybuchła zaraza.

* * *

Skryta w cieniu lip i kasztanowców willa wyglądała spokojnie i sielsko. Nie była może tak okazała jak domostwo hrabiego Kohna w Eume, ale otaczał ją równie rozległy i zadbany ogród, teraz już w jesiennych barwach.

Brune najpierw upewnił się zmysłami maga, że po terenie rezydencji nie biegają luzem psy, potem oparł dłoń o zamkniętą furtkę i wyszeptał kilka słów. Zamek puścił ze szcęknięciem. Żmij cicho wszedł na wyżyrowaną, obsadzoną tujami ścieżkę, spowijając się iluzją niewidzialności.

Prawie natychmiast przystanął, zaciskając zęby. Tak jak się spodziewał, sam zarys tego domu na tle ciemniejącego nieba – słońce skryło się już za horyzontem – ożywił to, co tkwiło w jego głowie, zakryte całunem amnezji. Pogrzebane głęboko – ale nie dość głęboko. Pocił się, serce waliło jak młotem, w gardle wzbierały mdłości. Zmusił się, żeby oddychać wolniej. I podchodził bliżej, krok za krokiem.

W końcu ciężko usiadł na ławce, w obawie, że lada chwila wyląduje twarzą w trawie. Ogarnęło go znajome uczucie odrealnienia, jakby od rzeczywistości oddzieliła go gruba szyba. Jeszcze sekunda – i Brune jęknął, kuląc się, gdy obrazy zalały go niczym powracająca fala. Nie walczył z nimi. Pozwolił się ponieść wizji.

Uboga sypialnia o obdrapanych ścianach, niemal pozbawiona mebli. Okno przysłonięte jest płachtą, a na łóżku leży mężczyzna. Znam go... znam go z uczelni, z czasów studenckich. Bibliotekarz z wielkiej biblioteki uniwersyteckiej.

Jęcząc, szarpie wełniany pled dłońmi, które aż po nadgarstki przybrały czarną barwę, a skóra odchodzi od nich płatami. Stężenie palącego bólu w jego aurze niemal odbiera mi oddech. Jego twarz jest opuchnięta, posiniąta, nierozpoznawalna.

– Kto wam to zrobił? – pytam cicho, wzmacniając pytanie wołą maga. – Proszę mi powiedzieć. Wiem, że się domyślacie. Kto rzucił tę klątwę?

Obawiam się czytać z jego umysłu, bo ta męka, to nieprawdopodobne palenie, jakby ciało chorego powoli zżerał kwas, jest dla mnie niczym surowe mięso dla wilka – przyłożywszy mu rękę do czoła, mógłbym niechcący wchłonąć ból wraz z życiem.

Pochylam się, żeby lepiej słyszeć. Bezkrwiste usta mamroczą:

– Baron de Lyche... eksperymenty z Zakazaną Sztuką... odkryłem... wyniósł księgi z biblioteki... Napisałem donos do władz miasta i do srebrnych... musiał... się dowiedzieć...

– Jakie eksperymenty?

– Zaraza... – szepcze ledwo dosłyszalnie chory. – Przywołanie zarazy.

Potem nagle chwyta mnie czarnymi palcami za rękaw, wczepia się kurczowo. Wzrok ma błędny.

– Błagam, nie zniosę dłużej tego bólu, zróbcie coś – wyrzuca z siebie i z jego gardła wyrywa się szloch.

Wedle moich szacunków zostało mu jeszcze kilkanaście godzin powolnego konania. Wbrew temu, co sądzi, tej klątwy nie rzuciła Zakazana Sztuka, tylko Otchłan, i próba zdjęcia czaru jedynie nasiliłaby jego cierpienia. Z tego samego powodu nie zamierzam się pożywić jego bólem – tego jeszcze brakuje, aby świństwo rodem z Otchłani przeniosło się na mnie.

– Dobrze, dam panu lek – mówię cicho.

Mam przy sobie buteleczkę laudanum, zaś przy łóżku stoi dzbanek z wodą i kubek. Rozcieńczam w wodzie taką dawkę medykamentu, która najpierw uspi nieszczęśnika, a potem ofiaruje mu lekką śmierć, i przytykam kubek do ust chorego, pomagając mu wypić.

Przy drzwiach sypialni wisi stare, pęknięte lustro. Wychodząc, przez mgnienie oka widzę w nim znajomą twarz. Swoją własną. Kilka lat młodszą i bez blizn.

Przeskok; obraz się zmienił.

Wchodzę do willi. Drzwi są otwarte, nie pilnuje ich żaden odźwierny. Byłaby to zadziwiająca beztroska, zważywszy, ile znajduje się tu kosztownych mebli, złotych i srebrnych naczyń, zamorskich dywanów, tkanin i bibelotów, lecz spowijającą domostwo aurą złej, obcej magii – magii Otchłani – wyjaśnia wszystko.

Wyjmuję sztylet. Nie boję się; obudzona czerń pulsuje we mnie, czujna i gotowa. Powoli wchodzę po marmurowych schodach na piętro, kierując się tam, gdzie zmysłami maga wyczuwam obecność ludzi.

Dwie osoby za zamkniętymi drzwiami. Mężczyzna i młoda kobieta.

Zamieram w połowie długości obwieszonych landszaftami korytarza. Nawet z tej odległości rozpoznaję aurę dziewczyny. Wiem też – bez trudu jestem w stanie wyczuć – co tam się dzieje.

Nagle ogarnia mnie nienaturalny spokój; wszystkie emocje wydają się tężeć jak obrócone w lód. Ten rodzaj lodu, który pozwala zrobić absolutnie wszystko.

Niesiony tym spokojem, znieczulony chłodem, podchodzę bliżej. Wyczulone uszy ka-ira chwytają każde słowo.

– Dalej, słodziutka – szepcze męski, schrypnięty głos z obleśnym zadowoleniem. – Inaczej ty stracisz swoją śliczną buzię, a twojego brata zadenuncjuję srebrnym.

Decyzja zapada w ułamku sekundy. Otwieram drzwi.

Perspektywa zmieniła się. Teraz Krzyżący patrzył już nie oczami Deuvena de Ragues, ale z zewnątrz, jakby unosił się pod sufitem komnaty.

Mężczyzna w stroju błazna podnosi się z sofy. Jego aura... w ogóle nie jest aurą człowieka. Przystojna męska powierzchowność skrywa coś plugawego, ciemnego, co cuchnie skwaśniałą żywnością i zawilgłymi szmatami – schowanego w tym ciele jak za maską.

– Witaj, Deuvenie – syczy drwiąco. – Wiedziałem, że przyjdiesz. Jak

tam zdrowie bibliotekarza?

Faivrin kryje twarz w dłoniach i zaczyna płakać. Niezdarnie poprawia suknię, której rozdarty dekolt odsłania czerwone ukąszenie na bladej krzywiźnie piersi.

– Dlaczego – Deuven mówi z trudem, głosem zdławionym przez wściekłość – dlaczego moja siostra?

Mężczyzna w stroju błazna zaczyna się śmiać. Każda z nut tego śmiechu przypomina zatrutą igłę.

– Bo cię kocha, mój drogi, a jest rozsądną osobką. Łatwo dała się przekonać, że jeśli będzie mi posłuszna, nie doniosę władzom, że posiadasz czarny dar.

– Widziałam... widziałam twoje źrenice – dodaje cicho, przez łzy Faivrin. Z trudem przełyka ślinę. Deuven zmysłami maga czuje jej przeraźliwy wstyd, upokorzenie, fizyczny ból po tym, co skurwiel z nią robił – ale najgorsza ze wszystkiego jest świadomość, że siostra w głębi serca obwinia nie tego drania, lecz jego.

A potem przeszywa go myśl o tym, jak zareagowałby Sandor, gdyby wiedział. „Miałeś ją chronić – huczy mu w głowie. – Przysiągłeś, że się nią zaopiekujesz. Przysiągłeś to ojcu, gdy leżał na łożu śmierci...”

– Mam dla ciebie propozycję, mój flecisto, skoro już się tu zjawilesz – mówi tymczasem de Lyche, a każde jego słowo wprost ocieka bezlitosną kpinką. – Wiem, że jesteś zdolny. Mój pan z chęcią przyjmie cię na służbę.

Odpowiedź Deuvena nie pada w słowach. Pocisk siniego światła ze świstem przecina komnatę – lecz rozsypuje się w nieszkodliwe iskry, trafiawszy na niewidzialną barierę. Młodzieniec dopiero teraz spostrzega rozłożone na podłodze karty z wymalowanymi symbolami. Nie są to znaki pisma magów, lecz hieroglify Otchłani: oczy, skrzydła, smoki i czarne słońca.

Baron de Lyche wybucha śmiechem. Rechocze jak z najlepszego żartu. Potem podnosi ze stołu symbiotyczną maskę, a Deuven zamiera.

Maska jest idealną podobizną twarzy Faivrin.

– Wiesz, co to jest? – pyta de Lyche, kierując wzrok na młodzieńca. Ten milczy. Wiedza, jaką posiada na temat czarów Otchłani, każe mu przeczuwać najgorsze.

W dłoni barona nie wiedzieć skąd pojawia się długa igła.

- Zaatakowałeś mnie, głupcze, więc pora na małą demonstrację.
- Nie waż się – mówi szybko Deuven, ale de Lyche tylko się śmieje.

Potem wbija igłę w maskę.

Faivrin zakrywa ręką policzek i jęczy błagalnie. Baron kłania się lekko niczym prestidigitator po udanej sztuczce. A potem... potem z fałdów błazeńskiego stroju wyciąga nóż o zakrzywionym ostrzu.

– Na kolana i prosz o wybaczenie, de Ragues – mówi od niechcienia. – Zanim na zawsze odbiorę jej urodę. Liczę do dwóch. Jeden...

Deuven mruży oczy, wpatrzony w maskę. Szepcze coś ledwie dostłyszalnie. Krzyżący rozpoznaje formułę i domyśla się, co młodzieniec chce zrobić. „Nie dasz rady – myśli z rozpaczą – bez szans, musiałbyś dotknąć tej cholernej maski”. Ale Deuven de Ragues jest może młodym, lecz bynajmniej nie początkującym ka-ira, a oprócz wściekłości, sił dodaje mu również paniczny strach o siostrę.

Dlatego sekundę później nóż rozcina nie twarz Faivrin, tylko policzek młodzieńca, od skroni do kącika ust.

(Krzyżący odruchowo przycisnął dłonią szramy, smagnięty bólem).

Deuven kuli się, jakby dostał biczem, ale natychmiast się prostuje. Czerń wzbiera w nim jak wrząca lawa, już nie byłby w stanie jej powstrzymać, choćby chciał. A nie chce. Jedno skinienie i chroniąca wroga bariera kruszy się jak zmieciona huraganem. Sztylet sam przemienia się w rapier. Potem dwa kroki – i pchnięcie prosto w klatkę piersiową.

Baron chwieje się z otwartymi ustami, oniemiały. Powoli osuwa się na klęczki, patrząc z niedowierzaniem, jak jego kolorowy kaftan nasiąka krwią. Deuven cofa się pod ścianę, nadal z rapierem w ręku, na wszelki wypadek osłaniając siebie oraz siostrę zakłębieniem tarczy.

Niepotrzebnie. Raptem de Lyche zgina się wpół i zaczyna kaszleć, potem krztusić się, aż nagle z jego ust wysypuje się mnóstwo ciemnych paskudztw, pokraccznych wielonożnych stworków. Padają na podłogę z głuchym stukiem niczym wysypane z kosza kraby albo małże. Przez chwilę wiją się niemrawo, przebierając odnóżami, potem nieruchomieją jeden po drugim.

Baron zamiera pod ścianą; plama krwi na jego kaftanie rośnie, a pierś już nie porusza się w oddechu. Skończone.

Młodzieniec oddycha ciężko, ale zmysłami maga czuje, że to już koniec; jaźń wroga zgasła jak zdmuchnięta świeca. Chwilowo nic im nie zagraża. Deuven przemienia rapier z powrotem w sztylet, wyciera go o zastonę i chowa.

– Chodź – mówi, łapiąc siostrę za rękę. – Wynośmy się stąd.

Z rany spływają ciepłe strużki, ciekną mu po szyi, wsiąkają w kaftan i koszulę. Młodzieniec wyciąga z kieszeni chustkę, przykładając ją do twarzy. Policzek pali go żywym ogniem.

Faivrin płacze. Szlocha głośno, rozpaczliwie i bezradnie, jak skrzywdzone dziecko. Nie chce na niego spojrzeć. Panicznie się go boi i ten strach rani Deuvena głębiej niż cokolwiek innego.

Brune przyłożył dłoń do ust, wbijając zęby w skórę tak silnie, że ból nadspodziewanie szybko przywrócił mu przytomność. Blizny na policzku paliły; dotknąwszy ich, wyczuł krew.

Szlag.

Nie sądził, że zareaguje aż tak. Ale w sumie trudno się dziwić.

Spokojnie. Daj sobie chwilę, zaraz ochłoniesz.

Oparł łokcie na kolanach, a czoło na rękach, zagryzając usta. Nadal walczył z mdłościami, czoło i koszula zwilgotniały mu od potu, chociaż wieczór był chłodny.

Gdy nieco doszedł do siebie, uderzyło go, że w odzyskanym wspomnieniu rana na twarzy była tylko jedna. A ponieważ intuicja maga podpowiadała mu, że wspomnienie jest prawdziwe, powstawało pytanie, w jaki sposób dorobił się dwóch pozostałych? Nie miał pojęcia, czy to istotne.

Drugie pytanie, jakie przyszło mu na myśl, to: kiedy i gdzie Deuven de Ragues stał się *ka-ira*, skoro w Ri Talma już nim był? I to bynajmniej nie niedoświadczonym, świeżo po przemianie, skoro zdołał z morderczą skutecznością zaatakować nie jakiegoś agenta Otchłani, lecz demona w ludzkiej postaci.

Zacisnął pięści, gdy przed oczami znów stanął mu uśmiechnięty obleśnie typ w błazeńskim stroju. *Przynajmniej dałem draniowi nauczkę co się zowie – pomyślał. Tylko najwyraźniej nie do końca skutecznie. Szlag.*

Drgnął, gdy coś przebiegło przez klomby, ale to był tylko kot. Wskoczył na taras rezydencji, zręcznie przeciskając się między

obrośniętymi winoroślą słupkami barierki, i zaczął z miauczeniem drapać w drzwi. Te po chwili otwały się i niemłoda, pulchna kobieta w białym fartuchu wpuściła zwierzaka do środka, łając go z cicha.

Brune odetchnął, definitywnie wracając do rzeczywistości. Dziwne, ale widok służącej go otrzeźwił. Ot, scenka ze zwyczajnego życia, jakie toczyło się tutaj dzień po dniu. Żmij uświadomił sobie, że wszelkie ślady czerni, cierpienia, złej magii już dawno zniknęły z aury tego domostwa. Teraz była to po prostu willa kogoś bogatego, kto przypuszczalnie nie miał pojęcia, jakie wydarzenia rozegrały się kiedyś pod tym dachem.

Uspokój się wreszcie. To już się stało, minęło. To przeszłość. Upłynęło czterdzieści lat.

Znów pomacał szramy na policzku i z ulgą stwierdził, że zdążyły się zasklepić. Wyjął chustkę, zwilżył ją wodą z manierki i na ile mógł, wytarł rozmazaną na twarzy krew. Potem wstał i bezszelestnie odszedł.

20. Bal

Na drodze prowadzącej do pałacu pełno było powozów. W zapadającym zmierzchu niosły się turkot kół, podniecone głosy i śmiechy. Nikt nie zwrócił uwagi na dwójkę elegancko ubranych młodych ludzi, którzy wyszli z cienia tuj i wmieszali się w strumień gości wchodzących po schodach.

Na wszelki wypadek mieli przy sobie zaproszenia, lecz nikt nie zażądał ich okazania. Przy otwartych na oścież drzwiach stał gruby majordomus z przylepionym uśmiechem, w biało-zielonej liberii. Kłaniał się raz po raz, zapraszając do wnętrza.

Szeroki hol zalewało drżące światło świec, których płomyki kołysały się w przeciagu. Damy zsuwały z ramion narzutki, poprawiały fryzury przed lustrami sięgającymi od sufitu do podłogi. Anavri rozejrzała się ciekawie. Oceniała wystrój jako dość chłodny i surowy. Zielonoszare marmury, freski na sklepieniu, minimalna ilość złocień.

Niepokoila się, że mogą być ubrani nie dość strojnie, zwłaszcza Brune. Ale szybko odetchnęła, widząc, że czarne męskie stroje są tu najwyraźniej w modzie.

Zanim przybyli do pałacu, Krzyżący nieznacznie zmienił sobie iluzję wyglądu – ostre rysy i zapadnięte policzki ustąpiły miejsca okrągłej, młodszej twarzy o skośnych oczach sugerujących domieszkę nedgvarskiej krwi. Zważywszy na listy gończe (na samą myśl przechodził ją dreszcz), Anavri w pełni go rozumiała.

Znów nie mogła wyjść z podziwu, jak dalece ubranie go przeobraziło. Poruszał się inaczej niż na co dzień, wyprostowany, po szlachecku pewny siebie. Zdawałoby się – lekceważący groźbę zdemaskowania. Dziewczyna miała wrażenie, że ona boi się za nich oboje. Lecz wpajane od dzieciństwa odruchy wzięły górę – skupiła się na tym, by stąpać z gracją, odpowiednio wysoko trzymać głowę i delikatnie się uśmiechać.

Dołóż wysiłku, żeby sprawiać należyte wrażenie, a wszystko będzie dobrze.

Przeszli do wielkiej sali, gdzie znajdował się podest dla orkiestry. W trzech olbrzymich kryształowych żyrandolach płonęły setki świec. Pomieszczenie obficie udekorowano kwiatami oraz zielonymi szarfami, zapewne po to, by złagodzić majestatyczną surowość białego marmuru i kolumn. Tańce jeszcze się nie rozpoczęły, muzycy dopiero stroili instrumenty. Skrzypek i klawesynistka grali coś lekkiego, przyjemnego, żeby stworzyć tło.

Gości przybywało z każdą chwilą. Rozbrzmiewały uprzejme powitania, śmiechy oraz grzecznościowe rozmówki o niczym.

– Co teraz? – szepnęła Anavri, patrząc na rozfalowaną barwną cizbę.

– Spróbujemy użyć zmysłów maga, żeby przeczesać ten tłum. Jeśli drań tu jest, wyczujesz go, wierz mi. Będzie się wyróżniał jak spleśniała truskawka w koszyku świeżych owoców.

Dziewczyna z powątpiewaniem skinęła głową. Już widziała, jak trudne to będzie, bo poszczególne aury zlewały się w jeden chaos.

Jak próba wychwycenia dźwięku pojedynczych skrzypiec, gdy gra cała orkiestra.

– Może się rozdzielimy? – zaproponowała cicho.

– Właśnie się zastanawiam... – Brune zmarszczył brwi. – Nie. Póki co trzymajmy się razem.

Anavri przełknęła ślinę. Zapach kwiatów, perfum i rozgrzanego wosku przytłaczał, przyprawiając o zawrót głowy. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć o tym, że w tłumie mogą się znajdować słudzy srebra incognito.

Lawirując wśród tłumu, niespiesznie obeszli całą salę, na chwilę zatrzymując się przy drzwiach do kolejnej komnaty, gdzie marmury były dla odmiany różowe. Tutaj fresk na sklepieniu przedstawiał ucztę bogów, z Haranem wznoszącym kielich i tańczącą Leleyą. Na długich stołach czekał poczęstunek – najróżniejsze rarytasy. Służba w biało-zielonych strojach krążyła, donosząc ostatnie półmiski. Anavri zauważyła mimochodem, że niektórzy z usługujących są zarumienieni i mają podejrzenie wesołe miny – zapewne zdążyli już ukradkiem sobie podpić, korzystając z okazji.

– Cholera – szepnął Brune.

– Co? – Spięła się momentalnie.

– Rozumiem, że piramida z ciastek wygląda efektownie, ale po co

jeszcze wtykać w nią pawie pióra?

Anavri powstrzymała się od komentarza. *Pierwszy raz widzisz coś takiego? Nie byłeś w życiu na zbyt wielu balach, co?*

* * *

Zegar w pierwszej sali cicho wydzwonił ósmą. Z holu wchodziły ostatnie, spóźnione pary.

Książę Kei-Led-Sarros, który okazał się niemłodym, mocno otyłym jegomościem, wygłosił krótkie przemówienie, uprzejmie witając gości, i dał sygnał do rozpoczęcia tańców. Teraz grano walca. Zabawa rozkręcała się.

Brune, z kieliszkiem wina w dłoni, oparł się o balustradę galeryjki otaczającej salę balową. Weszli tutaj w nadziei, że może z góry łatwiej im będzie ogarnąć kłębowisko aur.

Anavri nagle z napięciem wpatrzyła się w jeden punkt, więc powędrował za jej wzrokiem. Zamarł na widok postaci w srebrzystej masce i białych, haftowanych złotem ceremonialnych szatach, ale zaraz potem uspokajająco ścisnął dłoń dziewczyny.

– To było do przewidzenia. Nie wyczuje nas – szepnął samym poruszeniem ust. Wbiła w niego przestraszone spojrzenie.

– A twoja iluzja?...

– Nie z tej odległości. Spokojnie.

Z ulgą zobaczył, że mistrz Elity oddala się wraz z księciem i kilkoma dostojnikami. Zniknęli w bocznych drzwiach.

Muzyka stała się szybsza, suknie tancerek wirowały, rozmywały się w kolorowe plamy. Anavri nieco się odprężyła. Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Mogę ci zadać niedyskretne pytanie?

– Hmm?

– Umiesz tańczyć?

– Ileś lat temu umiałem. – Wzruszył ramionami. – Gdyby to było bezwzględnie konieczne, pewnie mógłbym sobie przypomnieć. Ale nie jest.

Patrząc na tutejsze elegantki i elegantów w fantazyjnych strojach, często balansujących na granicy dobrego smaku, na ich twarze skryte pod grubą warstwą makijażu, a niejednokrotnie również za maskami,

nagle przypomniał sobie przyjęcie u Vincenta Ambers.

Wypadało zaakceptować prawdę – nawet niespecjalnie bolesną – to już nie był jego świat.

Odepchnął te myśli, znów skupiając się na przepatrywaniu tłumu. Uśmiechnął się pod nosem, gdy spostrzegł dwie młodsze córki hrabiego Kohna, za którymi krok w krok dostojnie sunęła mamusia, niczym fregata poprzedzana przez dwa jednomasztowce.

Orkiestra płynnie przeszła z walca do menueta – i nagle zaczęło się dziać coś złego. Melodia była znajoma w ten jedyny w swoim rodzaju, mrozący krew w żyłach sposób; Brune uświadomił sobie, że niejasno pamięta ją sprzed lat, sprzed... przemiany. Przycisnął dłoń do czoła. Nuty sączyły się niczym strumyczek trucizny. Czuł, że już lekko odpływa w znajomą mgiełkę odrealnienia. Z dreszczem przypomniał sobie słowa Marshii.

Ty jesteś słabym ogniwnem.

Nie, proszę. Pokręcił głową i mocno uszczypnął się w dłoń, żeby oprzytomnieć.

– Chodźmy zajrzeć jeszcze raz do sali jadalnej – powiedział.

Poszli. Po drodze muzyka się zmieniła i Krzyczący ochłonął, karcąc się w myślach.

Przy stołach zgromadziło się już trochę gości, głównie tych starszych wiekiem, którzy zamiast tańczyć, woleli raczyć się pysznościami. Anavri zatrzymała się zaraz za progiem, ale Brune przeszedł się niespiesznie w głąb sali, udając, że podziwia wyłożone na udekorowanych salata półmiskach ryby w galarecie, stosiki ostryg, pasztety w kształcie zwierząt, zimne pieczone ptactwo, marynowane rydze, przepiórcze jajka w śmietanie i inne specjały. Po chwili wrócił.

– Tu też nie widzę nikogo podejrzanego – stwierdził, a potem jakby nigdy nic dodał: – No proszę, taka feta, a kawior niezbyt świeży. Oj, komuś chyba wyliczą za to jutro baty, albo przynajmniej potną z pensji.

– Jeśli nie zamierzasz nic jeść, chodźmy stąd – szepnęła Anavri. Czuła, że żołądek ma zaciśnięty na supeł, a zapach potraw tylko potęgował mdłości. Krzyczący omiół zastawione stoły wzrokiem, w którym obok ciekawości kryło się lekkie obrzydzenie.

– Racja. Chodźmy. – Podał jej ramię.

W drzwiach minęli się z młodzieńcem odzianym w pastelowe atłasy,

o włosach zakręconych w loki i naróżowanych policzkach. Zaraz za nim szedł grubas w pasiastym stroju z wielkim koronkowym kołnierzem. Żmij obejrzał się za obydwojoma, kręcąc głową.

– Błaznów tu nie brak, jak widzę. Tylko gdzie ten, o którego nam chodzi?

* * *

Jeszcze jeden bękart z nedgvarskiej krwi, który udaje szlachcica – taka była pierwsza myśl Zandera na widok śniadego, szczupłego mężczyzny w czarnym odzieniu. Zrazu powędrował wzrokiem dalej, lecz chwilę później znów wyłowił z ciżby domniemanego Nedgvarczyka i przyjrzał mu się baczniej. Sam nie wiedział, co zwróciło jego uwagę.

Wśród zgromadzonych nie brakowało młodych ludzi w czarnych strojach na alkaryjską modłę – najnowszy krzyk kapryśnej mody, której w tym roku znudziły się papuzie barwy – ale wszyscy oni byli weseli i zajęci tylko tym, żeby dobrze się bawić. Ten człowiek nie zachowywał się jak ktoś, kto przybył tu mile spędzać czas. W jego ruchach znać było skupienie, napięcie. Przymrużone oczy chłodno lustrowały tłum.

Oczy myśliwego.

Zander zeszywniał, gdy uderzyło go to porównanie.

Towarzysząca nieznajomemu dziewczyna w liliowej sukni była jasnowłosa i bardzo szczupła, delikatna jak płatek kwiatu. Zander preferował kobiety o nieco obfitszych kształtach, ale nawet on nie mógł się powstrzymać, żeby nie powędrować za nią wzrokiem.

Poruszała się jak arystokratka, od dzieciństwa uczona, jak się nosi eleganckie stroje. Mimo to coś wyróżniało ją spośród pozostałych, i nie chodziło ani o urodę, ani o figurę. Po namyśle udało mu się zdefiniować, o co – jej suknia była stanowczo mniej strojna niż kreacje większości obecnych na sali dam. Sam się zdziwił, że dostrzega takie szczegóły.

Najpierw z przestachem pomyślał, że czyżby... Ale potem zreflektował się, że chyba jednak nie. Zarówno w zachowaniu mężczyzny, jak i dziewczyny wyczuwał tę samą chłodną determinację, jakby oboje wiedzieli dokładnie, po co tu przyszli. Obserwując ich przez chwilę, utwierdził się w tym wrażeniu.

Dyskretnie powędrował śladem podejrzonej pary, trzymając się z boku, tak żeby przez cały czas widzieć ich twarze. Czekał cierpliwie, aż znajdą się w półmroku, w miejscu, gdzie światło będzie padać z ukosa.

I doczekał się. Zobaczył.

Błysk w oczach obojga. Żółty w źrenicach mężczyzny, niebieskawy u dziewczyny.

* * *

Menuet dobiegł końca, tancerze i tancerki zegnali się uprzejmymi ukłonami. Kapelmistrz dał znak i muzycy zagrali pierwsze takty sarabandy.

– Chodźmy na taras – zdecydował Brune.

Na zewnątrz Anavri z ulgą odetchnęła chłodniejszym powietrzem. Kropił deszcz, więc prawie nikt nie wychodził do ogrodu.

Odeszli kawałek od przeszklonych drzwi, ale tak, by pozostać pod zadaszeniem. Krzyczący oparł się o balustradę.

– No i jak wrażenia? – spytał z westchnieniem.

– Bał jak bał. Mnóstwo ludzi. Niekoniecznie wysoko urodzonych. Głowę dam, że widziałam kilka bogatych kupieckich córek. Żadna szanująca się szlachcianka tak by się nie ubrała.

– Nikt nie wydał ci się podejrzany?

– Był taki człowiek, zwróciłeś na niego uwagę? W zielonym kaftanie, z siwymi wąsami, bardzo gruby...

– Chyba wiem, o kim mówisz. Ciężko chory, Anavri. Taką aurę dają lata bólu. Ktoś jeszcze?

– Raczej nie.

Pokiwał głową.

– Tak myślałem. Ja mam wrażenie, że wyczułem kilku zawodowych zabójców oraz co najmniej jednego wariata, ale bez morderczych skłonności. Pytanie, co dalej? Dochodzi dziesiąta.

Anavri miała właśnie zasugerować, aby jeszcze raz przeszli przez wszystkie sale, gdy Brune dotknął jej ramienia.

– Spójrz tam – syknął.

Dziewczyna stała na przeciwległym skraju tarasu, chyba dopiero co przyszła z ogrodu. Była drobna i jasnowłosa, uczesana w elegancki

kok. Miała na sobie pelerynkę podszytą łabędzim puchem oraz błękitną suknię z falbanami, która leżała na niej jeszcze gorzej niż liliowy kaftanik na Anavri. Ale tym, co zwróciło ich uwagę, była aura, na odległość emanująca determinacją, a także wyraźnym, choć trzymanym na wodzy strachem.

– Przynęta – szepnął Krzyczący, wyrażając na głos ich wspólną konkluzję. – Ale kto...?

Dziewczyna obejrzała się na nich bez zainteresowania. Popatrzyła w górę, na oświetlone okna pałacu, a potem, jakby w odpowiedzi na niewidoczny znak, zeszła z powrotem do ogrodu. Zaczęła powoli odchodzić wyżwirowaną ścieżką.

– Idę za nią – zdecydował Brune. – Spróbuję ją nakłonić, żeby wróciła do budynku.

– A ja?

– Wracaj do środka i rozejrzyj się tam jeszcze raz. Jeśli zauważysz kogoś podejrzanego, śledź go, w miarę możliwości tak, żeby cię nie spostrzegł. Ja was znajdę.

* * *

Morderca dłuższą chwilę kontemplował spiętrzoną na półmisku, nieco już naruszoną kompozycję, na którą składały się ciastka z kremem, pomarańcze oraz kwiaty nasturcji, zanim wybrał jedno ciastko i je zjadł. Zdawkowo odpowiedział na pozdrowienie rzucone przez daleką kuzynkę, hożą damę uwieszoną na ramieniu dostojnego, siwego małżonka.

Irytowały go cała ta rozgadana zbieranina, gorąco, mdlący zaduch świec, perfum i pomady. A przede wszystkim irytowały go kobiety, piękne, wydekoltowane, wypachnione i roześmiane. Dekolty odsłaniające śnieżnobiałe szyje i ramiona, starannie ufryzowane włosy, przyozdobione wstążkami i świeżymi kwiatami...

Nie dla niego, nie w tych okolicznościach. Za duży tłum, za dużo oczu – nawet jeśli pusty ogród kusił. Tym bardziej nie wchodziło w grę przyprowadzenie tutaj towarzyszki. Zapamiętano by ją.

Co roku to samo – napatrzeć się bezowocnie, a dopiero następnej nocy postarać się o bardziej... konkretną rozrywkę.

Jednakże przyszedł, bo nie wypadało nie przyjść. Poza tym

jedzenie, jak co roku, było znakomite. Zwłaszcza pasztetnicy i cukiernicy wzbili się na wyżyny swej sztuki. Uznał, że może sobie jeszcze pozwolić na kawałek tarty z brzoskwiniami. Nie podobało mu się, że w ostatnich latach zanadto przytył.

Tarta była równie smaczna jak wszystko, co jadł tego wieczoru. Nieco poprawiło mu to humor.

Jak nakazywał dobry obyczaj, zadbano, by po jedzeniu można było obmyć ręce. Na dwóch stolikach z boku stały naszykowane w tym celu srebrne misy i dzbany.

Uśmiechnięty służący połał dłonie mordercy uperfumowaną wodą, w której pływały płatki róż, a drugi podał ręcznik.

* * *

W ogrodach było pusto. Kropił deszcz. Rozwieszane tu i ówdzie na gałęziach lampiony miały zachęcać do przechadzki alejkami, lecz wobec niesprzyjającej pogody goście woleli zostać pod dachem. Jasnowłosa dziewczyna z pozorną beztroską przeszła po mostku nad strumykiem, stukając obcasikami.

Dziwka. Ich aury nie dawało się pomylić z żadną inną.

Brune trzymał się w pewnej odległości, stąpając cicho jak kot. Postanowił, że podejdzie do niej, gdy tylko przestaną być widoczni z tarasu.

Raptem zeszywniał, bo wyczuł w pobliżu obecność ludzi. W krzewach jaśminu kryło się trzech, nie, czterech mężczyzn, spiętych i czujnych. Z tej odległości nie widział ich ani nie potrafił odczytać ich myśli. Był jednak w zasadzie pewien, że to strażnicy miejscy.

Szlag. Nie miał najmniejszej ochoty, żeby wkroczyli do akcji. A panna w błękitnej sukni jak na złość była trzeźwa, nie wypila tego wieczoru nawet kieliszka. Nie mógł wpłynąć na jej umysł z odległości, potrzebował bezpośredniego kontaktu.

Przystanął, zastanawiając się, co dalej. Czuł – nie wiedział, czy dzięki darowi, czy też ponosiła go wyobraźnia – że tamci z krzaków wpatrują się w niego bacznie, czekając, co zrobi. Czy jest tylko przypadkowym uczestnikiem zabawy, który wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem, czy też... nie.

Popatrzył w niebo, jakby oceniając, czy deszcz przybiera na sile,

po czym zawrócił w stronę tarasu. Skoro dziewczynę obserwowało czterech uzbrojonych ludzi, to ktoś tu nie był głupi i nie chciał jej narażać na większe ryzyko, niż potrzeba.

Brune przyspieszył kroku, myśląc nie bez niepokoju o pozostawionej w pałacu uczennicy.

* * *

Stojąc pod kolumnami w pierwszej sali, pod samą ścianą, Anavri nagle uświadomiła sobie, że dzieje się z nią coś złego. Godziny spędzone na wsłuchiwanie się w zgiełk ludzkich głosów, myśli i uczuć, napięte do granic ostateczności nerwy – wszystko to pomалу kruszyło jej wytrzymałość. Ziarnko paniki, które nosiła w sobie, odkąd tu przybyli, zaczynało kiełkować.

Zwalczyła odruch, żeby uciec do holu, choć tłum nagle wydał się jej podobny do wielogłowej hydry, kłębiącej się, napierającej. Zamiast tego oparła czoło o chłodną powierzchnię najbliższej kolumny i zamknęła oczy, oddychając głęboko.

Opanować ten chaos wrażeń. Uspokoić się, wyciszyć.

I wtedy ktoś nakrył jej dłoń swoją. Raczej zaskoczona niż przestraszona, Anavri zabrała rękę, cofnęła się i odwróciła, żeby popatrzeć nieznanemu prosto w twarz. Spodziewała się, że ten z ukłonem przeprosi ją za pomyłkę. Ale on tylko się uśmiechnął.

– Wybacz. Wziąłem cię za moją siostrzenicę.

W pierwszym odruchu zirytowała się, że obcy jegomość zwraca się do niej tak, jakby była jeszcze dziewczynką noszącą krótkie sukienki. Wprawdzie rzeczywiście mogłaby być jego córką, ale...

Zmrużyła oczy, przypatrując mu się uważnie. Coś zwróciło jej uwagę – nie była jeszcze do końca pewna co.

W normalnych warunkach nie spojrzalaby na niego dwa razy. Średniego wzrostu, grubawy, raczej po czterdziestce niż przed, i mniej więcej tak interesujący, jak talerz budyniu. Rzednące włosy zaczesane na bok, blade, wygolone oblicze o krągłych policzkach i wodnistych oczach. Odziany bogato – w żółty atlasowy kaftan, pięknie haftowany w rośliny i zwierzęta, ze złotym łańcuchem na szyi – lecz urody mu to nie przydawało.

Jego aura była... zimna. Martwa. Jak zdechła ryba, jak coś

oślizgłego wyrzuconego przez fale, na co można niechętnie nadebrać na plaży. Ale dawało się to wyczuć tylko z bardzo bliska.

Pchnięta niejasnym impulsem, intuicją, Anavri popatrzyła na dłonie nieznanego. Gdy ujrzała na jego palcu sygnet z malachitem, ogarnął ją lodowaty spokój.

Mężczyzna nadal wpatrywał się w nią, wyraźnie zafascynowany.

– Jesteś piękna – powiedział. – Jak masz na imię?

Anavri tylko się uśmiechnęła, starając się zawrzeć w tym uśmiechu dyskretną obietnicę.

– Chodźmy na zewnątrz – zaproponowała. – Tu jest tak duszno.

* * *

Stojący przy otwartym oknie Zander wstrzymał oddech, gdy ujrzał, że człowiek w czarnym stroju wychodzi do ogrodu w ślad za Fielle. Był prawie pewien, że to nie przypadek. Pytanie tylko, co tu się tak naprawdę, do cholery, działo.

Jego ludzie dostali rozkaz, by interweniować dopiero wtedy, gdy nie będzie wątpliwości, że mają przed sobą poszukiwanego zwyrodnialca. Książę wspaniałomyślnie wyraził zgodę na obecność strażników miejskich w ogrodzie podczas balu, ale gdyby coś poszło źle, na przykład gdyby ucierpiał ktoś przypadkowy, to wybuchłby skandal, a Zanderowi groziłyby konsekwencje dyscyplinarne, włącznie z pozbawieniem stanowiska i zdegradowaniem.

Wychylił się przez parapet i zmrużył oczy, śledząc dwie sylwetki, teraz już ledwie widoczne w mroku. Sekundy wydawały się wlec w nieskończoność, ale w końcu czarno ubrany mężczyzna popatrzył w niebo i zawrócił w stronę tarasu, a przynęta została w ogrodzie, cała i zdrowa. Zander nawet z tej odległości dostrzegwał w mroku jej jasną suknię. Widział, jak Fielle zgodnie z instrukcją dochodzi powoli do końca alejki i również zawraca.

Czarno ubrany wszedł na taras. Zander zawahał się, czując pokusę, żeby podejść i odezwać się do niego, uprzejmie zaproponować rozmowę. Powstrzymała go jedynie świadomość, że gdzieś w rozbawionym tłumie kręci się przedstawiciel Elity, jakiś nadęty Ktoś ar Skądś. Z doświadczenia wiedział, że oczy srebrnych zwykle patrzą we właściwe miejsce dokładnie wtedy, gdy wolałoby się, żeby

patrzyły gdzie indziej.

Za jego plecami, na parkiecie, nagle rozbrzmiały śmiechy i piski. Podochocone towarzystwo bawiło się teraz ciut odważniej, choć nadal w granicach dozwolonych przez etykietę. Zaczęły się szybsze tańce z przytupywaniem, spódnice unosiły się wyżej; sądząc z okrzyków, jakaś panna zgubiła podwiązkę. Zander odwrócił się i poczuł chłodny dreszcz, choć w zasadzie to nie on powinien się zdenerwować. Mistrz Elity stał na galeryjce, z kieliszkiem wina w dłoni, lustrując tłum przez lorgnon.

* * *

Brune miał już wejść z tarasu z powrotem na salę balową, gdy przez przeszklone drzwi dostrzegł coś, co go zmroziło – postać na galeryjce. W białych szatach i srebrnej masce.

Zamarł, zastanawiając się, co dalej. Nie wiedział, czy lorgnon w dłoni tamtego jest zwykłym pozłacanym cacuszkiem, jakie damy zabierają do teatru, czy może są na nim wyryte formuły dające... różne możliwości. Na przykład przenikanie wzrokiem iluzji. Zdecydowanie nie chciał, żeby srebrny mag przyjrzał się przezeń jego twarzy.

Na wszelki wypadek w przeddzień balu przygotował drogę szybkiego odwrotu – portal w pałacowym ogrodzie, otwarty i zakamuflowany zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od Marshii, prowadzący daleko w sfery. Ale wolał, by nie zaistniała konieczność skorzystania z niego.

Przezornie cofnął się pod balustradę, poza zasięg światła padającego przez drzwi. Na szczęście na taras wysypała się akurat grupa rozchichotanej młodzieży. Dziewczęta wachlowały się, niektórzy z młodzieńców wychylili już o kilka kieliszków za dużo, mówili za głośno i stąpali nieco chwiejnie. Z daleka emanując witalnością i beztroską, swymi aurami zagłuszyliby obecność żmija, nawet gdyby nieostroźnie przywołał teraz moc. Czego oczywiście nie zamierzał robić.

Z miejsca, gdzie stał, nadal widział galeryjkę. Utkwił wzrok w sylwetce srebrnego maga, zaciskając zęby.

No, rusz się wreszcie, draniu. Idź poplotkować z księciem, posiedzieć w sali jadalnej, no idź...

Ale mistrz Elity jak na złość nie zamierzał się ruszyć. Sączył wino i przypatrywał się tańczącym. Brune modlił się, by Anavri – gdziekolwiek była – nie dostrzegła go i nie spanikowała.

* * *

Anavri nie zauważyła srebrnego maga, bo znajdowała się już na zewnątrz.

Taras ciągnął się wzdłuż wszystkich trzech sal i z każdej można było na niego wyjść. Zgromadziły się tam grupki gości, którym sprzykrzyła się duchota w środku. Dziewczyna rozejrzała się za Krzyczącym, ale niestety nigdzie go nie ujrzała. Za dużo ludzi.

Była sama. Z mordercą.

Wiedziała, że nie może spuścić tego człowieka z oka, bo znów zniknie im w tłumie. Musiała kontynuować grę. I powzięła już decyzję.

Trzymał ją za rękę, więc bez trudu mogła sięgnąć ku niemu umysłem. Nadal lodowato spokojna, skupiona, ostrożnie spróbowała go nagiąć do swojej woli.

I tak gapił się na nią jak sroka w kość. Musiała mu tylko troszkę pomóc.

Poddał się zaskakująco szybko i łatwo. Anavri stłumiła mdłości, bo nagle bardzo wyraźnie wyczuła – ujrzała – jego myśli. Wstrętne jak rozwleczona padlina. Wspomnienia tego, co robił dziewczętom podobnym do niej.

Odgrodziła się mentalnie od tego plugastwa, na ile tylko mogła – jakby szła zaśmieconą i cuchnącą uliczką, zatykając nos. Uśmiechnęła się do mężczyzny najbardziej kusząco, jak umiała, wzięła go pod ramię i zaczęła prowadzić w głąb ogrodu, wybierając te alejki, gdzie lampionów nie było albo pogasły. Zignorowała siąpiący deszcz, myśląc złośliwie, że na szczęście ma na sobie suknię Marshii, nie własną. Upewniła się zmysłami maga, że w pobliżu nikogo nie ma; wyczuwała obecność ludzi, lecz kawałek dalej, za strumykiem i stawkami.

Z zadowoleniem przekonała się, że wybrana przez nią alejka zagłębia się w najbardziej zarośniętą część ogrodu, ocienioną przez stare drzewa. Pachniało tu mokrą roślinnością i ziemią, na ścieżce leżała warstwa opadłych liści.

Jeszcze kawałek. Za te krzaki.

Anavri skupiła się, zbierając siły do rzucenia czaru. Wiedziała, że musi uderzyć raz, bardzo mocno, mocniej niż kiedykolwiek podczas lekcji z Krzyczącym. Tu już nie było miejsca na błędy.

Nagle uświadomiła sobie, że ma przecież do dyspozycji ohydne, lecz idealne w tej sytuacji źródło siły. Zamiast skupiać się na wypychaniu z umysłu wspomnień tego potwora, powinna się na nie otworzyć i powoli podsycać w sobie obrzydzenie, wściekłość oraz chęć pomszczenia zabitych kobiet.

Aż uśmiechnęła się w myślach. Krzyczący byłby z niej dumny.

Wyszeptała mordercy do ucha pikantną propozycję – niepotrzebnie, szedł za nią jak piesek na smyczy – i skręciła za kępę cisów. Zerknęła ku pałacowi, upewniając się, że nie są widoczni z okien.

Mężczyzna nie chciał jej atakować. Był najedzony, lekko podпиты, ogłupiony jej wolą i chyba niejasno przypuszczał, że zaczepiła go znudzona wysoko urodzona pannica, szukająca przygód.

Popatrzył na nią z pytającym uśmiechem. Anavri skoncentrowała się i przywołała z powrotem najpaskudniejsze fragmenty wizji sprowadzonej przez Lorraine. Krew – rozdzierający ból – strach – i tę uśmiechniętą od ucha do ucha pulchną głowę pod błazeńską czapką.

W jej ciele z wolna rozżarzał się czarny ogień.

Zmrużyła oczy i zaatakowała, wkładając w piorun Sulpisa tyle mocy, że ją samą przymroczyło na moment.

Sekundę później było po wszystkim. Oddychając ciężko, patrzyła na leżące ciało. Nie musiała sprawdzać pulsu, wiedziała, że mężczyzna nie żyje.

Nie chcieli go żywego. Po co ryzykować. Marshia będzie umiała wydobyć wszelkie potrzebne informacje nawet nie ze zwłok, ale z ich fragmentu. Wystarczy kosmyk włosów, a dla pewności – także skrawek odzieży z odrobiną krwi. I sygnet.

Patrząc na twarz mordercy, usta otwarte do krzyku, który nie zdążył zabrzmieć, Anavri odkryła, że nie czuje ani szoku, ani wyrzutów sumienia. Jakby zabiła wściekłe zwierzę.

* * *

Echo czarnego zaklęcia było dla Krzyczącego jak trzaśnięcie z bicia

nad samą głową. Zdrętwiał. Czy srebrny mag w budynku wyczuł to samo? Mimo całego zgiełku zabawy? Coś mówiło zmijowi, że tak i że mają dosłownie minutę, że już powinni uciekać.

Zwinnie przecisnął się między ludźmi zgromadzonymi na tarasie, zbiegł do ogrodu i ruszył w stronę, gdzie dopiero co wyraźnie wyczuwał obecność Anavri – przywołując moc, odsłoniła się. Tylko na moment, ale to mu wystarczyło.

Serce łomotało gorączkowo.

Dzięki zmijowemu wzrokowi wypatrzył dziewczynę bardzo szybko, choć stała w cieniu krzewów, w miejscu, gdzie zwykli ludzie bez latarni by jej nie dostrzegli. A przed nią, na trawie... leżały zwłoki.

– Nieźle – skomentował, podchodząc. – Mam tylko nadzieję, że nie zabiłaś jakiegoś przypadkowego lowelasa.

Nie mógł sobie darować głupiego żartu, mimo zdenerwowania. A może właśnie dlatego – żeby odreagować.

– Kretyn – mruknęła Anavri. Z uznaniem zauważył, że nie wyglądała na roztrzęsioną.

Bystro przyjrzał się martwemu mężczyźnie, odnotowując niezbyt może gustowny, lecz bez wątpienia drogi strój, złoty łańcuch na szyi, ozdobne klamry trzewików.

Nagle drgnął, bo odniósł wrażenie, że w twarzy tamtego coś uległo zmianie, powieki poruszyły się, choć przecież nie żył, jego serce nie biło. Krzyczący przykląkł i z napięciem wpatrzył się w jego rysy. Doświadczenie kazało mu spodziewać się absolutnie wszystkiego.

Nie, zdawało mi się – powiedział sobie. Oblicze trupa zastygło w głupkowskim wyrazie zaskoczenia; oczy miał otwarte, lecz nieruchome i ponad wszelką wątpliwość niewidzące.

– Sygnet – powiedziała sucho Anavri, wskazując dłoń zabitego. Brune ujął ją, by przyjrzeć się pierścieniowi, lecz równie pospiesznie wstał.

– Dzieje się coś złego! Cofnij się! – rzucił. Teraz jednak poczuł jakiś niepokojący sygnał – nikłe, podstępne pulsowanie czerni.

Nie aura trupa, ale artefaktu. Ten cholerny sygnet! Talizman albo...

Zwłoki tymczasem... zmieniały się. Skóra zsiniała, rysy nabrzmiały, jakby proces rozkładu zachodził w przyspieszonym tempie. Potem ciało powoli zaczęło się obracać w ciemną, cuchnącą maź. Brune raz

już widział coś podobnego, dawno temu – gdy zdjął z pewnego człowieka klątwe gnicia, wżartą tak głęboko, że jej usunięcie spowodowało natychmiastową śmierć porażonego.

– Bogowie! – Anavri odskoczyła, unosząc suknię, jakby bała się, że plugastwo do niej przywrze. A Krzyżący uświadomił sobie, że rozpoznaje czar, którego vibracje wyczuwa. Świat wokół nich zaczął mętnieć, rozmywać się w szarości.

– Daj rękę – rzucił ostro. – Szlag by to... Sygnet uaktywnił portal.

Dziewczyna zwróciła ku niemu przerażone spojrzenie.

– Dokąd?!

– Nie wiem. Przygotuj się na najgorsze.

A w duchu, już na własny użytek, dodał:

Jeśli się nie mylę, to przynajmniej srebrny mag już nam nie nabruździ.

* * *

Zander, który nadal stał w otwartym oknie, nagle wstrzymał oddech.

Dziewczyna. Ta w liliowej sukni. Schodziła z tarasu, prowadząc za rękę... grubawego jegomościa w żółtym kaftanie.

Zagłębili się w mrok ogrodu. Kapitan patrzył za nimi, marszcząc brwi. Coś mówiło mu, że młoda żmijka – bo nie miał wątpliwości, że wcześniej widział błysk w jej źrenicach – nie przyszła tu po to, żeby przygruchać sobie jakiegoś skorego do amatorów bogacza.

Lecz w naturze Zandera nie leżało wyciąganie pochopnych wniosków na podstawie arcyńkich przesłanek. Czekał więc, gapiąc się w ciemność pod drzewami. Minuty mijały... i mijały... a tamci nie wracali. Ani grubas, ani dziewczyna.

Kapitan z nagłą podjął decyzję. Przepchnąwszy się przez tłum, wyszedł do ogrodu. Odczepił z najbliższej gałęzi lampion i przyświecając nim sobie, pobiegł w stronę, dokąd oddaliła się jasnowłosa wraz ze swoją... zwierzyną?

Dotarłszy do rozwidlenia alejek, intuicyjnie wybrał tę, która prowadziła dalej od światła, w mrok, tam, gdzie ogród przechodził w park. Wszędzie było spokojnie, ciszę mącił tylko plusk strumyka. Chwilę później, nie panując nad sobą, Zander zaklął głośno. Zwolnił

kroku i, już zupełnie spokojny, podszedł do leżącego pod krzakiem ciała. Choć czego jak czego, ale trupów widział w swoim życiu mnóstwo, skrzywił się i cofnął, próbując opanować mdłości.

Jego podwładni już nadbiegali od strony mostka nad strumieniem. Stanęli osłupiali na widok zwłok, które powoli rozlewały się w kałużę smolistej, cuchnącej mazi.

Z pałacu biegł ku nim srebrny mag, płacząc się nieco w długich szatach. On również stanął jak wryty, ujrawszy to, co leżało w trawie.

– Kapitanie... Zoran? – wydyszał. – Co tu się stało?!

– Może wy będziecie w stanie nam to wyjaśnić, wasza świetlistość – odrzekł uprzejmie Zander. Wiedział, że może to zostać – i zostanie – odczytane jak jawna drwina. Ale po prostu nie mógł się powstrzymać.

21. Błazen i jasnowłosa

Farael de Lyche uśmiechnął się. Był to uśmiech zimny jak grób skąpcza.

Demon popełnił tego wieczoru błąd – nie śledził swojego agenta. Ufał, że na przyjęciu, pod nosem sług Elity, *ka-ira* nie podejmą żadnych nierozsądnych kroków.

Cóż, stało się. Bywa.

Kiedy Farael poczuł, że jego człowiek umiera, natychmiast zaczął działać. Zaczarowany sygnet, który dotąd umożliwiał mu komunikację z agentem, stwarzał też inne możliwości. Dzięki niemu demon mógł się na przykład przenieść do głowy swego sługi, rozejrzeć się jego oczami. Fakt, że ów zginął chwilę wcześniej, nie stanowił w tym przypadku przeszkody.

Przekonawszy się, że jest za późno, by pomóc agentowi, Farael paradoksalnie się uspokoił. *Skoro tak, dzisiejszej nocy zginą oboje* – postanowił, patrząc na znieawidzoną parkę zmijów. Błyskawicznie podjął decyzję i poprzez pierścień uaktywnił portal, zgarniając ich oboje, nim zdążyli zareagować. Potem zabrał również sam sygnet, zbyt cenny, by go pozostawić na pastwę tej całej ludzkiej hołoty, która już za chwilę zbierze się wokół, by z przerażeniem gapić się na martwego agenta. Nie interesowało go, do jakich wniosków dojdą, miał na głowie ważniejsze sprawy.

Nadeszła pora, by zagrać w otwarte karty.

* * *

Kiedy pałacowy ogród zniknął i zawiśli w mglistej nicości, Krzyczący odgadł, czyja to sprawka. Dlatego warknął:

– Tarcza!

Postawili osłonę w tym samym momencie. Ani o sekundę za wcześniej, bo szarość nagle przeciął czerwony blask i wszystko wokół zagotowało się huczącą wściekłością żywiołu.

Wymiar ognia.

Poprzez huk i ryk Brune usłyszał przenikliwe, wysokie chichoty. Chwilę później z ognistego inferno wyłoniły się skrzydlate istoty o wykrzywionych złośliwie obliczach. Miotają wyzwiska i groźby, plując iskrami. Wyraźnie widział ruchliwe płomyki ich jęzorów. Ifryty.

Mimo tarczy żar był niewiarygodny, dusił, dławił oddech. Brune wiedział, że powinni czym prędzej uciekać, lecz nie mógł nic zrobić. Wszystkie siły rzucił w podtrzymywanie czaru, który ich chronił przed spaleniem; bał się zdekoncentrować choćby na ułamek sekundy.

Anavri była odważniejsza – lub po prostu ufała, że jej udział w zaklęciu tarczy nie jest kluczowy, że Krzyczący da radę osłonić ich oboje. Mocno zacisnęła palce na dłoni towarzysza i zdematerializowała jego oraz siebie.

* * *

Wylądowali w ciemności. Gorącej, lepkiej, śmierdzącej mdło i zawiesiście.

Błoto. Rozkładające się roślinne szczątki. Piżmo. Grzybnia. Nutka padliny i jeszcze czegoś słodkawego, zwierzęcego, przypominającego koński pot. Krzyczący najpierw pomyślał o podziemnym targowisku w Shan Vaola, gdzie woń przypraw i smażonych potraw mieszała się ze smrodem odpadków i niemytych ciał. Ale to nie było do końca to.

Zesztywniał, gdy uświadomił sobie, że owszem, zna ten zgniławo-
mdlący organiczny zapach. Z przedmieść Kang, z Labiryntu Łez. I że wokół, w mroku, falują ciemniejsze kształty, podobne do wodorostów. Coś miękkiego i śliskiego musnęło jego twarz.

– *Olotah* – syknął, podrywając się. – Szlag!

Anavri krzyknęła, tupiąc nogą – pnącze już zdążyło owinać się wokół jej kostki. Przydeptała je i szarpnęła mocno, uwalniając stopę, ale kolejne rośliny już pełzły ku nim; wyciągały łodygi jak lepkie macki. Ich drobne wypustki poruszały się łakomie, wietrząc świeżą krew.

Olotah, które rosły w Kang, były padlinożerne. Ale te tutaj najwyraźniej nie tylko.

Brune osłonił się czarem tarczy, wyczuwając, że dziewczyna zrobiła to samo. Zaczęli się rozglądać, oceniając otoczenie. Nawet

w nieprzeniknionym mroku ich oczy, lepsze od kocich, nadal rozróżniały zarysy obiektów. Pieczara miała strome ściany i dość wysokie sklepienie, z którego zwieszały się stalaktyty.

Anavri dygotała z obrzydzenia i zgrozy. Dopiero co zabiła człowieka i nie zrobiło to na niej większego wrażenia, ale pełzające krwiożercze pnącza – tego było już za wiele.

– On gdzieś tu jest – szepnęła. – Czuję go...

Brune dobył sztyletu i przemienił go w rapier. Zauważył, że rozszerzone źrenice dziewczyny jarzą się sino. Strach wzmacniał w niej czerń. Zaatakowana, będzie się bronić z determinacją szczura zapędzonego w kąt.

Czując gwałtowne wahnięcie aury, zdążył tylko krzyknąć:

– Uwważaj!...

Demon wypadł z gęstwiny pnączy, a ściślej – wyfrunął jako chmara ciemnych stworków, które w locie połączyły się w potworną istotę najeżoną kolcami i mackami. Z chrzęstem i klekotem opadł na ziemię, zakolysał osadzonym na giętkiej szyi łbem, nabierając materialności. Był większy i straszniejszy niż w którejkolwiek z dotychczas przyjmowanych postaci. Skupisko fosforyzujących ślepi, dwie pary żuwaczek, szczytce jak u modliszki, liczne odnóża, segmentowany odwłok i dwa ogony zakończone żądłami. Anavri również wyciągnęła ukryty za dekoltem sztylet, zdając sobie sprawę, jak żalosna jest to broń.

Schowaj to, skup się na zaklęciach – usłyszała w głowie telepatyczny rozkaz nauczyciela.

Demon dał kilka chrzęszczących, ociężałych kroków naprzód. Nagle wyskoczył w powietrze niesamowitym, nieprawdopodobnym susem i zawisł pod sklepieniem, lewitując, po czym z trzaskiem rozpadł się na dwie części. Dwa czarne, kolczaste stwory, z których każdy miał kłapiącą paszczę, kilka odnóży, jedno groźne szczytce i skorpion ogon.

Jedna z poczwarał śmignęła w stronę Krzyczącego, druga ku Anavri.

Dziewczyna kątem oka dostrzegła, jak Brune atakuje ohydę rapierem, lecz nie zobaczyła, z jakim skutkiem, bo w tejże sekundzie w jej stronę poleciały dwa pociski zielonkawego światła. Odbiły się od sfery zaklęcia ochronnego i rozpląnęły w obłoku śmierdzącego dymu.

Napastnik wściekle zasyczał, zaklekotał zuwaczkami. Skupiona na tym, by przede wszystkim podtrzymać tarczę, Anavri zaczęła szykować czar ofensywny. Rozbudzona moc, wzmocniona przerażeniem, ale i wolą walki, pulsowała w jej żyłach jak czarny strumień.

Stwór machnął ogonem, jego ślepia rozjarzyły się. Rozwarł paszczę. Tym razem w stronę Anavri poleciał strumień jadowicie zielonych płomieni. Rozbryztał się nieszkodliwie o sferę tarczy, lecz dziewczyna odruchowo się cofnęła. Naraz poczuła, że chwyta ją dziesiątki łodyg, szarpiąc za suknię, oplatając się wokół rąk i nóg. Nie była w stanie równocześnie blokować pocisków i chronić się przed pnączami.

Brune walczył – rapierem trzymał wroga na dystans, a wolną ręką ciskał w niego zaklęciami, które rozsypywały się w nieszkodliwe iskry. Widać demon też potrafił się magicznie osłaniać.

Anavri, pobudzona strachem, poczuła, że czerń narasta w niej, załamuje się jak fala – i jej ciało na moment zaiskrzyło się wyładowaniami czaru paralizującego. *Olotah* puściły ją, cofnęły się, sycząc gniewnie. Przeklinając krępującą ruchy suknię, skoczyła naprzód, ciskając we wroga garściami sinego ognia. Bez efektu – umknął, pociski rozprysnęły się o skalną ścianę. Zawrócił, zanurkował, kłapiąc paszczą; dziewczyna przetoczyła się po ziemi, ostre kły chybiły o włos. Podrywając się, z bliska poczęstowała go piorunem Sulpisa. Rozległ się trzask i skwierczenie, stwór zawył, ale bardziej z wściekłości niż z bólu. Nie włożyła w zaklęcie dość mocy. Dysząc, zdała sobie sprawę, że połączenie wysiłku fizycznego i magii mężczy jeszcze szybciej niż każda z tych rzeczy oddzielnie.

Brune umknął przed pikującą na niego z góry poczwarą, z kocią zwinnością uchylił się przed ciosem skorpioniego ogona i wysliznął się z zasięgu pnączy, które już-już miały go pochwycić.

Tak go nie dorwiemy! – usłyszała w głowie jego głos. – *Ty się przez chwilę tylko osłaniaj, nie atakuj, a ja...*

Anavri nigdy nie dowiedziała się, co planował zrobić. Demon ich uprzędził.

Przed Krzyczącym znikąd wyrosła skalna ściana, odcinając go zarówno od wroga – wrogów? – jak i od dziewczyny. To była iluzja – to musiała być jakaś perfidna iluzja! – lecz Anavri nagle przestała wyczuwać jego obecność.

Dwie połówki demona, czy jak tam należało je określić, z głośnym trzaskiem znów połączyły się w całość i potwór skupił swe wysiłki na Anavri. Rzygnął na nią ulewą zielonego ognia, aż powietrze wypełniło się swądem jakby palonych włosów i piór. I jeszcze raz, i jeszcze. Dziewczyna skuliła się odruchowo – zakłęcie tarczy dotąd ją chroniło, lecz jak długo będzie potrafiła się bronić? Czuła, że zaczyna jej brakować sił na podtrzymywanie osłony, rozpaczliwie mobilizowała rezerwy. Jeszcze kilka sekund...

Nagle przypomniała sobie inkantację z czarnej księgi. W chłodnym błysku olśnienia pojęła, co powinna zrobić, choć nie miała pewności, czy nie przypieczeruje w ten sposób wyroku na siebie.

Pozostawało zdać się na przepowiednię Lorraine, licząc, że teraz właśnie nadszedł ten właściwy moment.

Nie miała nic do stracenia. Obrona przed zielonym żarem w przerażającym tempie wysysała z niej siły. Jeszcze chwila i zakłęcie tarczy straci moc.

Anavri zablokowała kolejny pocisk, przetoczyła się, lądując w gąszczu *olotah*, i znieruchomiała pod ścianą. Na ułamek sekundy, zanim ruchliwe macki otoczyły ją niczym kokon, szeptem wypowiedziała formułę z czarnej księgi.

* * *

Brune przez może dwie sekundy gapił się w osłupieniu na skalną ścianę, która wyrosła mu tuż przed nosem.

Iluzja?! Jak na iluzję wydawała się cholernie materialna. Dotknął jej, wyczuł zimny kamień. Uderzył pięścią – zabołało.

W pierwszym odruchu chciał rąbnąć w przeszkodę zakłęciem, lecz powstrzymała go myśl, że jeśli to rzeczywiście jest iluzja, pocisk przeleci na drugą stronę i może zrobić krzywdę dziewczynie. Zaklął, sięgnął do kieszeni po spinkę do włosów Anavri, którą przezornie zabrał właśnie z myślą o takich okolicznościach, zacisnął ją w dłoni i zdematerializował się z powrotem w większej pieczarze.

W samą porę, by ujrzeć, jak jego uczennica pada pod gradem zielonego ognia i nieruchomieje, a jej aura gaśnie jak zdmuchnięta świeca. Sekundę później jej ciało zniknęło pod kotłującą się masą pnączy.

Zdawało się, że czas zwolnił bieg, sekundy rozciągały się w nieskończoność.

– Anavri! – krzyknął z rozpaczą Brune. Chwilę później poczuł, że przenika go bolesne, mrozące aż do kości zimno, i jego mięśnie przestały słuchać nakazów woli. Zaszokowany nawet nie zauważył, kiedy przestał podtrzymywać czar tarczy.

Sparalizowany, mógł jedynie patrzeć, jak demon się zbliża. Powoli, bez pośpiechu. Paskudne skojarzenie z ofiarą pająka nasunęło się samo.

– No i co, śmiertelniku? – zasyczał stwór. Pochylił się, niemal muskając czułkami skórę żmija, zionąc mu w twarz oddechem śmierdzącym jak coś, co zdechło i zgniło w błotnistej jamie. Brune wysiłkiem woli zachował kamienną minę. – Jak sądzisz, co teraz z tobą zrobię?

Żmij nie mógł odpowiedzieć, zaklęcie paralizujące odebrało mu również mowę. Jego wzrok wyrażał za to więcej, niż mogłyby wyrazić słowa. Ale demon, rzecz jasna, nie przejął się tym.

– Powiem ci, ty kuglarzu, nędzna kukiełko z krwi i kości – ciągnął, klekocząc zuwaczkami. Wyjął ze skalnej szpary jakiś mały przedmiot i podsunął Krzyczącemu przed oczy. Przedmiot okazał się świecą z dziwnego, czerwonego wosku. – Wiesz, co to jest?

Zrobił pauzę dla większego efektu, po czym kontynuował:

– To świeca, mój drogi, sporządzona z krwi salamandry, żółci gnoma, tłuszczu undyny i czegoś tam jeszcze, nie pamiętam. Teraz narysuję tu siedem kręgów Zaathosa, krzyż skorpiona i łabędzią gwiazdę. Ten sam wzór, który srebrni rysują w Domach Godnego Odejścia. A potem się tobą zajmę. Powoli. Jesteś silny, więc dopilnuję, żebyś zdychał naprawdę długo. Tak jak Adrien de Vere, gdy Elita wreszcie dobrała mu się do skóry.

Nie mogąc wypowiedzieć ani słowa, Brune skupił się, patrząc wprost w te znienawidzone ślepie, ni to owadzie, ni pajęczce. Wiedział, że nie mając innego wyboru, musi spróbować wciągnąć wroga w rozmowę. Zyskać czas.

– *Powiedz mi przynajmniej, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi* – zażądał telepatycznie. O dziwo, demon złapał haczyk.

– Masz rację. To żadna radość zabić kogoś, kto nie wie, za co ginie.

Krzyczący odetchnął w duchu. Na dobry początek udało się zyskać

przynajmniej kilka sekund.

Jego wróg z powrotem przybrał ludzką postać. Jakże znajomą. Postać wysokiego, barczystego, rudowłosego mężczyzny w stroju jarmarcznego akrobata – kubraku uszytym z kolorowych łąt i takichże nogawicach. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ewidentnie napawając się swoją przewagą, następnie przemówił:

– Jesteś spadkobiercą Adriena de Vere, śmiertelniku. Maga obdarzonego błogosławieństwem Eresha, oby przekłete były imiona ich obu. A ja, Farael de Lyche, złożyłem przysięgę, że zniszczę Adriena i jego potomstwo. Wyrwę ich z korzeniami niczym chwast, wypalę wszelki ślad po nich.

Brune wstrzymał oddech. Może sprawiły to usłyszane słowa, może coś jeszcze, ale nagle uświadomił sobie, że zna oblicze wroga nie tylko ze wspomnienia, które wróciło doń w Ri Talma – że widział je już wcześniej. A po chwili pojął gdzie. W wizji, którą kiedyś, dawno temu, jeszcze w Shan Vaola ujrzał we śnie.

Muzyk o okrągłej, nieco zniewieściałej twarzy i rudych włosach, grający na szpinecie w domu publicznym. Podpisujący pakt z Otchłanią. Okaleczony...

Skupił się, odpychając te obrazy. Serce waliło mu teraz nie tylko ze strachu, ale też w przeczuciu, że może za chwilę wreszcie uda mu się poskładać fragmenty układanki w całość. Zebrał się w sobie, by zadać kolejne pytanie; teraz, gdy był tak osłabiony, nawet telepatia przychodziła mu z trudem, a wróg nie okazał się na tyle łaskawy, żeby przywrócić mu zdolność mówienia.

– *Wyjaśnij mi, jeśli łaska, o co chodzi z tym cholernym Adrienem?*

– Był moim wrogiem. Szczegółów nie musisz znać.

– *Ale co to ma wspólnego ze mną?*

Demon nadal się uśmiechał.

– Jesteś synem Amparo d’Aville, Deuvenie. Czy raczej powinienem rzec: Amparo de Vere. Rodzonej córki Adriena, choć ukrywano jej pochodzenie. Nie będę ci tłumaczył, jak do tego doszedłem. Ważne, że zamierzam cię wreszcie zlikwidować raz na zawsze.

– *A przysługuje mi ostatnie życzenie?*

De Lyche uniósł brwi.

– O? Jakież to?

– *Zanim stałeś się demonem, byłeś człowiekiem.* – Brune popatrzył

mu prosto w oczy. – *Muzykiem, jak ja. Skoro nie chcesz opowiadać o Adrienie, opowiedz mi coś więcej o sobie. Chciałbym... chciałbym zrozumieć, jakim sposobem stałeś się tak potężny.*

– Nie musisz tego wiedzieć – warknął de Lyche, ale Krzyczący wyczuł jego wahanie. Uśmiechnąłby się, gdyby mógł – dokładnie tego się spodziewał. W pysze wroga dostrzegł swoją szansę.

Grać na czas. Z braku lepszych pomysłów: grać na czas.

– *Masz mnie na widelcu. Nigdzie się nie wybieram. Opowiedz.*

Demon milczał chwilę, jakby się zastanawiając. Nagle jego postać zafalowała; stał się niższy, pulchniejszy, do złudzenia podobny do swego martwego agenta. Błażeński przyodziewek zmienił się w eleganckie czarne odzienie i białą koszulę z koronkowym żabotem.

– Zgadza się, kiedyś byłem muzykiem – oznajmił z uśmiechem de Lyche. – Pianistą, wirtuozem. W zamian za obietnicę wielkiej kariery zgodziłem się przystać na służbę w Otchłani. – Jego spojrzenie stało się rozmarzone. – Spełniono wszystkie moje życzenia, zmiju. Dostałem czterdzieści siedem wspaniałych lat, pełnych sławy i uwielbienia. Niezliczone koncerty, bogatych patronów, złoto i kobiety. A potem... Potem, gdy nadeszła odpowiednia pora, ofiarowano mi nową postać.

Pstryknął palcami i w jego dłoni pojawił się ciemny, krabopodobny, ruszający się stworek. De Lyche wrzucił go do ust i rozgryzł, z chrzęstem miażdżąc twardy pancerzyk. Nagle jego twarz wykrzywiła się w okropnym grymasie, a potem obsypały ją wrzody, rosnące w oczach, rozwierające się w makabryczne rany. Z krwawych dziur wyłoniły się rosnące w oczach szczypce, odnóża, czułki. Porozdzierane ciało morfowało w oczach, przybierając owadzie kształty. Potwór zaklekotał żuwaczkami, co brzmiało do złudzenia jak śmiech, a potem znów zmienił się w wysokiego, barczystego mężczyznę w kolorowej odzieży.

– Ale to przeszłość – zakończył. Krzyczący, wyczuwając, że nadszedł dobry moment, zaryzykował kolejne pytanie.

– *Ty byłeś muzykiem i Adrien był muzykiem. Czyżby coś więcej niż zbieg okoliczności?*

Demon ku zaskoczeniu zmija skinął ręką, a Brune poczuł, że od szyi w górę paraliż ustępuje. Z westchnieniem ulgi pokręcił głową, rozluźniając zeszywniały kark. Wiedział, że choćby chciał, nie zdąży

wypowiedzieć żadnej formuły, która mogłaby zagrozić przeciwnikowi, ale i tak ucieszył go ten, co by nie mówić, gest uprzejmości wobec pokonanego. Nie na długo jednak.

Farael de Lyche pochylił się i rozerwał mu kaftan, wsunął dłoń pod koszulę na piersi, a Brune odniósł wrażenie, że do skóry przytknięto mu rozżarzone żelazo. Zwarł zęby, zdecydowany, że prędzej zemdleje, niż jęknie.

– Krzyczący w Ciemności, tak teraz na ciebie mówią? – zapytał wróg z okrutnym uśmiechem. – No to pokrzycz, śmiertelniku. Pokrzycz dla mnie.

– Wymyśl coś... mniej banalnego – wysyczał żmij bez tchu.

Następne ogniste dotknięcie sprawiło, że zamknął oczy i zagryzł usta, dysząc.

– To za to, że byłeś na tyle bezczelny, żeby po raz drugi pytać o Adriena – powiedział de Lyche. Uniósł rękę, demonstrując pierścień z malachitem. – Był moim wrogiem, więc go zniszczyłem, żmiju, ot i cała historia. Oto sygnet, który mu odebrałem na pamiątkę mego zwycięstwa.

Brune pod wpływem impulsu postanowił zaryzykować.

– Założę się, że masz po prostu kompleks słabszego, demonie – wykrztusił. – Nienawidzisz Adriena, bo kiedyś pokazał ci, ile jesteś wart. I przypuszczam, że przyszło mu to bez trudu. – Uśmiechnął się z całą bezczelnością, na jaką było go stać. – My też się już przecież raz spotkaliśmy. W Ri Talma, pewnie pamiętasz. Pokonałem cię wtedy, pozbawiłem ciała.

Zdażył tylko zobaczyć, jak oblicze demona wykrzywia wściekłość, a potem świat rozbłysł zielonym ogniem.

Gdy Brune się ocknął, jego ciało przeszywały miliony rozżarzonych igieł. Jęknął półprzytomnie. Stopniowo docierało do niego, że leży na ziemi, twarzą na zimnej skale. Kiedy dźwignął się na rękach, ogarnęły go mdłości. Nie miał nic w żołądku, więc zwymiotował żółcią. Przed oczami wirowały mu czarne płatki.

Ból powoli mijał. Żmij odczekał, aż ustąpią zawroty głowy, potem ostrożnie usiadł. Po jego ciele przebiegały nieprzyjemne, ni to zimne, ni gorące mrówki, dłonie i stopy miał zdrętwiałe, niemal pozbawione czucia – te zielone płomyki nie parzyły, tylko robiły coś nieciekawego z układem nerwowym. Czuł jednak, że ich działanie stopniowo mija.

Stało się to, na co liczył – atakując go, wróg sam skruszył czar paralizujący. Niestety, Brune chwilowo nie miał siły podjąć jakichkolwiek działań – próba wstania skończyłaby się omdleniem – i nie wątpił, że demon doskonale o tym wie.

Splunął, marząc o łyku wody, i oparł się o kamienną ścianę, zastanawiając się, czy przez cały czas tylko odwleka nieuniknione.

– Owszem – przytaknął ze spokojem de Lyche. – Pamiętam. I między innymi dlatego postaram się dostarczyć ci przed śmiercią wielu atrakcji. Czekałem na to latami.

– Pochlebiasz mi, demonie.

– Jestem dziś w łaskawym nastroju, śmiertelniku. – Farael ni z tego, ni z owego pstryknął palcami. – Do tego stopnia, że zamiast historii o Adrienie z chęcią opowiem ci inną. Nie chciałbyś wiedzieć, jak zmarła twoja siostra?

Krzyczący znieruchomiał, ale opanował się, nie okazując emocji.

– Mów.

Farael de Lyche uśmiechnął się drapieżnie. Potem skinął dłonią, a Brune wstrzymał oddech, gdy w jego umyśle pojawiły się obrazy. Nie wiedział, czy widzi wspomnienie demona, lecącego jak bezcielesny, mściwy cień za człowiekiem, który go odarł z cielesnej postaci i upokorzył, czy też swoje własne.

Zapada zmierzch. Deuven i Faivrin powoli idą przez miasto, oszołomieni, w szoku. Młodzieniec jedną ręką prowadzi siostrę, drugą przyciska do twarzy zakrwawioną chustkę. Rozgląda się z niepokojem, lecz nie ma obawy, że ktoś dociekliwy ich zaczepi; ulice są puste. Zasnuwa je dym z tłących się stert suchych liści i śmieci. Z oddali dobiega powolne, żałobne bicie dzwonu. W rynsztoku leży trup o dziwnie zmętniałych oczach, jakby powleczonych mleczną błoną.

Na schodach kamienicy Faivrin odwraca się i mówi z niepokojem:

– Potrzebujesz medyka...

– Nie trzeba, nic mi nie będzie – odpowiada Deuven z wysiłkiem. Kłamie, bo cięcie wcale nie było płytkie. Każde wypowiedane słowo powoduje ból.

„W cholerę z tym” – myśli. Nie ma siły szukać lekarza w ogarniętym zarazą mieście. Liczy, że sławetna żywotność ka-ira sprawi, że rana szybko się zagoi, nawet bez szwów.

Już w milczeniu wspinają się na drugie piętro. Okna w ich mieszkaniu są pozamykane, zasłony zaciągnięte, więc prawie nie czuć woni dymu. Teraz oprócz lawendy pachnie tu kamforą i octem kwiatowym, które rzekomo mają przeganiać miazmat zarazy.

Młodzieniec odwraca się do siostry, przytula ją. Czuje, że Faivrin drży, że tłumi szloch. Chciałby powiedzieć coś mądrego, dodać jej otuchy, ale nie wie jak.

Nagle dziewczyna wyrywa mu się z okrzykiem przerażenia i bólu.

– *Coś mnie użądliło! W tydkę!*

W panice zrzuca trzewik i zdziera pończochę, z której wypada czarny stworek... Deuven rozdeptuje paskudztwo, ale jest za późno. Jego siostra osuwa się na sofę.

– *Słabo mi – szepcze, a on już wie; zmysłami maga wyczuwa truciznę krążącą w jej żyłach, rozchodzącą się po ciele. Ta świadomość mrozi go, odbiera siły.*

Faivrin zamyka oczy. Oddycha płytko, z wysiłkiem. Deuven odgarnia spódnicę i halki, domyślając się, co zobaczy.

Nie wie, czy powinien robić to, co nakazuje mu wykształcenie – założyć opaski powyżej i poniżej rany, naciąć skórę, wywołać krwawienie – skoro przecież czuje, że to nie ma najmniejszego sensu. Więc stoi bez ruchu i tępo wpatruje się w rosnącą siną plamę na tydce dziewczyny, otoczoną wałkiem wzbierającej szybko opuchlizny.

– I co, śmiertelniku? – zasyczał Farael de Lyche. – Wystarczy? Zaspokoilem twoją ciekawość?

Brune tylko jęknęła cicho, wpatrzony w ciemność.

* * *

Zamaskowana zaklęciem, które gasiło jej aurę, stwarzając pozory śmierci, Anavri czekała cierpliwie. Ignorując cuchnącą bliskość *olotah*, które pokryły jej ciało od stóp do głów, lecz nie mogły przeniknąć cieniutkiej bariery zaklęcia tarczy. Nie dopuszczając do siebie myśli, że może to, co zaplanowała, nie uda się i Brune zginie. Oboje zginą.

Smród pnący przyprawiał ją o mdłości, lepkie pędy zasłoniły twarz, prawie uniemożliwiając oddychanie, ale rejestrowała to zaledwie częścią świadomości. Nie potrzebowała wzroku –

zmysłami maga czuła, co działo się w jaskini.

Nie wiedziała, jakim cudem jest tak spokojna. Jakby wszystko w środku niej obróciło się w lód. Nie bała się. Czekwała tylko na odpowiedni moment.

Czuła, jak słaby jest teraz Krzyczący. Wiedziała, że musi mu dać trochę czasu.

* * *

De Lyche odwrócił się, wyjął z kieszeni kredę i zaczął rysować na skalnej ścianie znaki, w których żmij rozpoznał symbole gwiazd i planet składające się na pierwszy krąg Zaathosa. Najwyraźniej rzeczywiście zamierzał spełnić swoją groźbę i przygotować jaskinię do rytuału odebrania magowi mocy. Brune śledził każdy ruch wroga. Zaświtała mu nadzieja. Wyrysowanie tych wszystkich symboli zajmie dobry kwadrans, a to znaczyło... Nagle jednak, jakby o czymś sobie przypominając, demon od niechcienia machnął ręką i żmij poczuł, że mięśnie ponownie mu sztywnieją, spętane paraliżem.

Zacisnął zęby. A było już tak blisko... Osłabienie powoli mijało – może nawet byłby w stanie podjąć walkę, gdyby nie ten cholerny czar paralizujący.

Skupił się i ostrożnie sprawdził, czy nie da się cholerstwa osłabić siłą woli, nagiąć. Jakby usiłował powoli wysunąć ręce z krępującego je sznura. Bez skutku; magiczne okowy trzymały mocno.

Wtem ujrzał ruch pod ścianą i zdrętwiał – z gąszczu *olotah* wysunęła się dłoń. Uczyniła gest – i dwa oślepiające sine pociski ugodziły w de Lyche'a, który wrzasnął i zwałił się na spąg. Powietrze wypełnił swąd spalonych włosów i odzieży. Krzyczący poczuł, że zaklęcie paralizujące gwałtownie traci moc, a równocześnie usłyszał krzyk swojej uczennicy.

– Brune! Teraz!

* * *

Rąbnawszy demona podwójnym piorunem Sulpisa, Anavri impulsem mocy zdarła z siebie pędy *olotah* z taką siłą, że porozrywane strzępy łodyg pofrunęły we wszystkie strony. Potem przycisnęła dłonie do ust.

Brune w pierwszej chwili nie zareagował na jej krzyk i w przerażeniu pomyślała, że wszystko na nic – że albo nie zdołała na odległość zdjąć z niego paraliżu, albo jest po prostu zbyt osłabiony, żeby cokolwiek zdziałać. Ale potem nagle podniósł głowę, wstał, a jego źrenice rozjarzyły się żółto.

Demon zdążył się już pozbierać i odwrócić ku niemu, unosząc rękę, lecz zamiast rzucić czar, zamarł w tej pozycji. Wydał ogłuszający ryk wściekłości, a dziewczyna zrozumiała, co zrobił Krzyczący. Przytrzymał oszołomionego wroga telekinezą – na sekundę czy dwie, ale to wystarczyło. Wsunął dłoń w zanadrze; domyśliła się, że zacisnął palce na swojej gemmie. Dał krok naprzód i wpatrzył się w oblicze demona, przyszpilając go spojrzeniem. Obaj znieruchomieli. Anavri wstrzymała oddech. Wiedziała – odgadła – co się dzieje.

Pojedynek woli.

Zmysłami maga czuła, jak moc gęstnieje wokół nich obu, aż powietrze wydawało się iskrzyć od nagromadzonej energii. *Olotah* zamarły, chyba nawet one wstrzymały oddech.

Sekundy mijały nieznośnie wolno.

Nagle demon zadygotał i jakby oklapł, zmałał, a Krzyczący wyprostował się i, zdawałoby się, urósł. Jego oczy wypełniał teraz płynny, złoty ogień, a wokół całej sylwetki pełzały cienie.

* * *

Farael de Lyche w mrozącym olśnieniu pojął, że już nie stoi oko w oko ze słabą istotą z ciała i krwi.

Przeciętą bliznami twarz wroga wykrzywił grymas. Deuven de Ragues uśmiechał się, emanując nienawiścią, euforią zabijania – najczystsza esencją czerni.

* * *

– Wracaj do Otchłani, gdzie twoje miejsce! – syknął Krzyczący. Podsycona bólem i wściekłością czerń wezbrała w nim, niemal odbierając zdolność myślenia. Czuł, że usta drgają mu w tiku, a szramy na policzku pękają i zaczynają krwawić. Dał jeszcze jeden krok naprzód i chwycił wroga za ramiona, przyciskając go plecami

do skalnej ściany.

De Lyche wrzasnął rozpaczliwie. Jego koncentracja załamała się – i nagle moc wlała się w zmija wrzącym wodospadem. Brune jęknął, lecz nie cofnął się, chłonąc złą siłę, choć czuł, że go pali, budzi w całym ciele ogień – jakby pił duszkiem mocny alkohol. Czerpał.

Czerpał jak nigdy wcześniej.

Farael de Lyche zachwiał się i zaczął maleć w oczach. Wypuszczony z uścisku, wił się i miotał po ziemi, nie przestając wyć. Jego jaźń, pozbawiona mocy, słabła i rozpadała się. A Krzyczący w Ciemności jakimś cudem nadal stał na nogach. Powoli docierało do niego, co właśnie zrobił. On, śmiertelnik, zwyciężył demona w pojedynku woli.

Pokonany był już tylko czarnym, ohydny strzępem, trzepoczącym się bezsilnie niczym wrona ze spalonymi skrzydłami. Potem rozsypał się na mnóstwo drobniutkich cząstek, jakby ziarenek maku, a one obróciły się w proch, w nicość.

Brune oparł się ciężko o skalną ścianę. Nie czuł euforii zwycięstwa. Stopniowo docierało do niego, że coś jest cholernie nie w porządku. Nogi uginały się pod nim, a w całym ciele zaczynały się budzić bolesne ukłucia, jak wtedy, kiedy krew napływa z powrotem do zdrętwiałej kończyny. Oddychał z narastającym trudem, mając wrażenie, że każdy haust powietrza przeszywa płuca setką szpilek. I nagle zrozumiał.

Śmiertelnik, nawet mag, nie może się równać z demonem – istotą ponadcielesną, której forma nie jest naczyniem dla mocy, lecz tej mocy wytworem, maską przybraną na użytek materialnego świata. Siła Faraela była zbyt potężna, by ciało śmiertelnika mogło ją pomieścić – Brune wchłonął jej tyle, że teraz wypalała go od środka.

Jaskinia zamazała mu się przed oczami. Odpływał, spadał w ciemność.

– Żyjesz?! – usłyszał krzyk Anavri. Dobiegał jakby z oddali, z głębi mrocznego tunelu. Żmij mgliście zdał sobie sprawę, że dziewczyna podbiegła do niego. Chciał ją ostrzec, żeby nie próbowała go dotykać.

Za późno, chyba złapała go za rękę.

Na moment odpłynął w nieświadomość. Otrzeźwiły go gorąco i złowrogie trzaski.

Ogień.

Ogarnął go paniczny strach. *Tarcza!* Ale gdy ostatnim wysiłkiem spróbował przywołać moc, przed oczami zawirowały mu czarne kręgi i osunął się w omdlenie.

Kiedy oprzytomniał, leżał na ziemi. Z ulgą odkrył, że choć czuje duszący swąd spalenizny, płomienie go oszczędziły. Zacisnął zęby, opanowując mdłości.

Po chwili dotarło do niego, co go boli. Oparzenie na piersi, rany na policzku i głowa. Wprost pękała od znajomego bólu, spowodowanego wyczerpaniem. Półprzytomnie dotknął twarzy, namacał rozognione, krwawiące rany. *Psiakrew* – syknął w duchu. Tylko tego mu było jeszcze trzeba.

– Żyjesz? – powtórzyła Anavri, klękając przy nim.

Jej włosy rozsypały się na ramiona, twarz miała umorusaną śluzem pnący i sadzą, a liliowa suknia nadawała się już wyłącznie na eksponat pod tytułem: jak można zmaltretować kosztowny balowy strój. Brune zaklął bezgłośnie, gdy pomyślał, że przypuszczalnie jego nowiutkie, eleganckie ubranie po wypraniu też będzie można tylko sprzedać gałganiarzowi.

No cóż, takiego zakończenia balu przewidzieć nie mógł.

Zdał sobie sprawę, że nie słyszy złowrogiego syczenia *olotah*. Rozejrzawszy się, zobaczył, że znajdują się pośrodku pogorzelniska, wyczuł echo użytej niedawno magii i odgadł, co zrobiła Anavri. Użyła go jako żyły, osłoniła ich oboje czarem tarczy i wypaliła cały krwiożerczy gąszcz do gołej ziemi, pozbawiając Krzyczącego niebezpiecznej nadwyżki obcej mocy, a dym i gorąco kanalizując w portal prowadzący gdzieś na pustkowiu.

A sądziłem, że sobie nie radzisz z ogniem. Najwyraźniej w desperacji się przełamała. W myślach podziękował bogom za zdrowy rozsądek, który kazał jej pomyśleć o portalu. *Przecież podusilibyśmy się w tej jaskini, czar tarczy nie chroni przed dymem...*

Teraz delikatnie próbowała otrzeć mu chustką – *skąd ona wytrzasnęła czystą chustkę do nosa?* – krew z policzka.

– Proszę, nie umieraj – powiedziała cicho.

Brune wysilił się na słaby uśmiech.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Wyraz twarzy Anavri był bezcenny. Ale refleksu nie straciła.

– Demona szlag trafił, pnącza chciały nas pożreć, Marshia nie wie,

czy żyjemy, a ciebie się głupie żarty trzymają? Daj rękę.

Wyciągnął dłoń. Dziewczyna pomogła mu wstać.

– A tak w ogóle – dorzuciła jakby nigdy nic – popatrz, co znalazłam na ziemi.

Wyjęła zza dekoltu coś owiniętego w kawałek oderwanej falbany, rozmotła materiał i pokazała Krzyczącemu sygnet z dwoma wężami.

– Ostrożnie z tym – mruknął. – Cholera wie, jakimi czarami jest obłożony.

– Żadnymi. Czujesz coś?

Pokręcił głową. Istotnie, pierścień nie miał teraz żadnej wyczuwalnej aury i wydawał się zupełnie niegroźny. Ale nie należało ufać przedmiotom, które wcześniej znajdowały się w posiadaniu demona Otchłani. Brune w pierwszym odruchu chciał powiedzieć dziewczynie, żeby otworzyła miniaturowy portal do królestwa salamander i wrzuciła draństwo w ogień, ale powstrzymał się.

Jeśli to naprawdę był kiedyś sygnet Adriena de Vere...

– Chcesz go obejrzeć? – spytała Anavri, wyczuwając jego zainteresowanie.

– Nie teraz – mruknął. – Później. Zawiń go i schowaj.

* * *

Przesłuchanie w podziemnej komnacie na Wyspie Łabędzi trwało już, jak oceniał Zander, dobrze ponad godzinę. Czas wydawał się pełznąć niemiłosiernie wolno.

Kapitana posadzono na krześle pod ścianą. Nie skuto mu rąk ani nie założono srebrnej obroży z wygrawerowanymi symbolami – jeszcze. Ale zarówno kajdanki, jak i obroża leżały na kamiennym blacie stołu. Obok stał duży słój z grubego szkła, zawierający zebraną z ziemi obrzydliwą ciemną maź – to, co pozostało ze zwłok zabitego.

Zander wiedział już, kim jest ofiara. Srebrni użyli zaklęć wróżebnych, z których słynęli, odczytali odpowiedź z gwiazd, a może z ptasich kości, i poinformowali go o tym fakcie zaraz na początku przesłuchania.

Czuł chłód w brzuchu, ale patrzył na magów bez drgnienia. Zawieszona pod sklepieniem latarnia wypełniona fosforyzującą mazią nadawała ich obliczom trupi wygląd.

Opiekunka Eume, dostojna Akhania ar Vithanare, liczyła sobie przypuszczalnie dobrze ponad sto lat. Włosy, ułożone w staranną fryzurę, miała zupełnie białe, lecz twarz młodą i piękną. Szaty magini, ciężkie od złotych i srebrnych haftów, wydawały się podwójnie nie na miejscu w tym zatęchłym podziemiu.

Z kolei srebrny mistrz Mohellen ar Vanth zamienił ceremonialny ubiór, w którym występował na balu, na prosty szary strój. Pozbył się też symbiotycznej powłoki. Jego prawdziwe oblicze było blade, o wydatnym nosie i miękkich, niemal kobiecych ustach. Na policzkach miał nieco dziobów po ospie, co tłumaczyło, czemu preferował noszenie maski. Zander czuł do niego niewytłumaczalną odrazę.

Jak dotąd przesłuchanie wyglądało tak, że Akhania milczała, w zadumie okręcając wokół palca śnieżny kosmyk, a Mohellen zadawał pytania. Cicho, spokojnie i uprzejmie, ale coś w jego głosie sprawiało, że ciarki pełzały Zanderowi po plecach, zaś wzrok co chwila uciekał w kierunku skrytej częściowo w mroku aparatury. Żelazny fotel, wyposażony w obejmę na nogi i skórzane pasy, a wyżej – zamontowane na stojakach szklane banie z wystającymi rurkami...

By dodatkowo nie pogarszać swojej sytuacji, Zander postanowił przemilczeć kwestię zmięzania z trzema bliźniami na twarzy, którego Fielle rzekomo miała widzieć w pobliżu miejsca, gdzie odnaleziono jedno z ciał. Prawdę rzekłszy, nie był pewien, co w tym przypadku okaże się gorszym wyborem: milczenie czy dobrowolne wyznanie wszystkiego. Ostatecznie wygrała jednak obawa przed ujawnianiem tego, co przy odrobinie szczęścia nie musiało zostać ujawnione. Zander wiedział, że jego ludzie również będą milczeć, choć nie pomoże to wiele, jeśli srebrni wykorzystają swą umiejętność czytania w ludzkich myślach i wspomnieniach. Liczył jednak, że może sprawy nie zajdą tak daleko; jego podwładnych zwolniono po zaledwie pobieżnym przesłuchaniu, zaś wszystkie pytania magów dotyczyły wydarzeń na feralnym balu. A gdyby jednak... no cóż, zawsze może się bronić, że po prostu nie dał wiary zeznaniom wystraszonej dzierlatki, że posądził ją o zmyślanie, krótko mówiąc – że nie było czym zawracać głowy możliwym magom.

– Powtórzcie, co mówiliście, ale tym razem składniej i po kolei, jeśli łaska – zażądał srebrny mistrz. – Chcę mieć pewność, że dobrze was zrozumiałem.

Zander odchrząknął. Gardło miał wyschnięte na wiór.

– W czasie balu dostrzegłem w tłumie dwoje ludzi, których zachowanie wzbudziło moje podejrzenia – podjął martwym, nieswoim głosem. – Mężczyznę w czarnym odzieniu, który wyglądał jak półkrwi Nedgvarczyk, i jasnowłosą dziewczynę. Poszedłem ukradkiem za nimi i przekonałem się, że ich źrenice świecą w mroku.

– Dwoje *ka-ira*, czy tak, kapitanie? I zatailiście ich obecność na balu przede mną? – Czy w oczach Mohellena błysnęły złośliwe iskierki? – Co uczyniliście potem?

– Nic. – Zander przełknął ślinę. – Uznałem, że nie stanowią zagrożenia, więc postanowiłem... postanowiłem ich obserwować. Jakiś czas później ujrzałem, jak dziewczyna wychodzi do ogrodu razem z człowiekiem w żółtym kaftanie. Tym samym, którego chwilę potem znaleziono nieżywego.

– Gratuluję wam zatem trafnego oglądu sytuacji. – Srebrny mistrz uśmiechnął się, już nie tając rozbawienia.

Zander milczał. Ogarnęła go fatalistyczna pewność, że po zakończeniu przesłuchania jednak wyląduje w lochu. Podziękował gwiazdom za to, że nie posiada rodziny.

– Dwoje *ka-ira* – powtórzyła w zadumie Akhania ar Vithanare, wypuszczając z palców biały lok. – Na balu z okazji jesiennego przesilenia? I zabili mordercę, którego nikt inny nie umiał dopaść, proszę, proszę. Przekazuję śledztwo w twoje ręce, Mohellenie. Trzeba dotrzeć do sedna tej sprawy.

– A dowódca straży?

– Od jutra wróci do swoich zwykłych obowiązków. Najwyższa pora, by skupił się tylko na nich. – W głosie srebrnej magini zadźwięczał ślad rozbawienia. – Dziś rano pijani pachółkowie znów wszczęli burdę na targu końskim, a cech piekarzy skarży się na jakieś nieporządki przy zbieraniu opłat za kramy...

Zander wstrzymał oddech, jeszcze nie śmiąc żywić nadziei, że wyjdzie z tego wszystkiego cało. Akhania ar Vithanare podeszła do niego, zdejmując z szyi swój srebrny medalion.

– Patrz tutaj, Lybiusie – powiedziała łagodnie. Błyszcząca ozdoba zawisała tuż przed oczami Zandera, kołysząc się powoli. – Nie mrugaj. Jesteś zmęczony, prawda? Bardzo, bardzo zmęczony...

* * *

Pochodnie w więzieniu demonessy, które tak długo płonęły, nie spalając się – w pewnej chwili zgasły. Ot tak. Po prostu.

Anyah powitała ciemność obojętnie, nawet z pewną ulgą. Była dziecięciem mroków, bez światła widziała więcej – inaczej – widziała kształty i znaki, samą osnowę magicznych barier i iluzji, pośród których tkwiła. Nic jej to jednak nie dawało – dobrze wiedziała, że choćby całymi latami analizowała te sploty, ich mocniejsze i słabsze punkty, nie zdoła zerwać pęt. Sathoon nie dorównywał mocą jej ojcu, ale dobrze wiedział, jakich formuł użyć.

Potem zaświtała jej myśl, że może zgaśnięcie pochodni było sygnałem, że coś poszło nie po myśli Sathoona? Może do jego siedziby przeniknęły jakieś obce siły? Lecz ta nadzieja zgasła równie prędko, jak się pojawiła. Zmysły demonessy nie kłamały – w ogromie zimnej, mrocznej potęgi, który ją otaczał, nie zmieniło się absolutnie nic.

Gdy tak trwała w pozbawionym światła lochu, jej myśli znów popłynęły ku Krzyczącemu w Ciemności. Ku Deuvenowi de Ragues, który wtedy w Ri Talma pokonał Sathoonowego agenta. Oboje, on i Alessa, wygrali i oboje przegrali. Bo ona, zwyciężywszy wroga kosztem własnego życia, zmarła na zarazę, a Deuven dostał się we władzę jej ojca.

Anyah, choć była demonem i myślała jak demon, zachowała słabe echa emocji swej śmiertelnej siostry – niczym kształty z białego prochu, które pozostają, gdy płonące drewno czy papier doszczętnie się wyżarzą. Dlatego ilekroć myślała o swoim podopiecznym, nie czuła wzdargi wobec słabej ludzkiej istoty, lecz smutek i pragnienie uchronienia go od dalszych krzywd. Ale przede wszystkim smutek. Alessie, w nagrodę za to, co zrobiła, przyszło odnaleźć spokój w śmierci. Deuven nadal żył. Ale nosił na twarzy trwałe ślad po wydarzeniach, które go złamały, i był jak spalony wewnątrz, zobojętniały. Stracił siostrę, ukochaną, imię i pamięć – wszystko, co było mu bliskie. Wszystko prócz czarnego daru.

Gdyby Anyah mogła cofnąć czas... lecz to już nie było ważne. Nici sploty się tak, a nie inaczej. Ona w Dolinie Popiołów, Deuven spętany cyrografem i wysłany z powrotem do świata żywych. Bez wspomnień – by go odmienić, pchnąć na inną ścieżkę losu. Spalony Władca wiedział coś niecoś o odradzaniu się czarnych talentów i nie chciał mieć wśród swoich sług drugiego Adriena de Vere. Gdyż nawet jeśli srebrni

magowie wierzyli, że zabili Adriena tak, by jego duch nie mógł się więcej odrodzić, to ewidentnie się pomylili.

To także nie miało już znaczenia. Dziedzic Adriena stał się Krzyczącym w Ciemności, agentem Doliny Popiołów. A Anyah nie miała innego wyjścia, jak tylko go strzec.

Nadal, przynajmniej formalnie, była jego stróżem. Miała nadzieję, że Spalony Władca oddelegował jakiegoś innego demona, by pełnił jej obowiązki.

Drgnęła, gdy w mroku pojawiła się zielonkawa poświata – fosforyzująca plama na murze. Rosła powoli. Następnie ściana w tym miejscu zaczęła falować i wybrzuszać się bezgłośnie, aż pękła, uwalniając wysoką postać w bogatych szatach. Hrabia Sathoon zwrócił się ku uwięzionej.

– Jakże się miewasz, córko Spalonego Władcy?

W milczeniu wbiła w niego wzrok, który mógłby przemieniać wodę w rzekach w truciznę i strącać ptaki z niebios. Sathoon roześmiał się cicho.

– Czy wiesz, co stało się przed chwilą? Twój dawny ukochany definitywnie pokonał mojego sługę, Faraela de Lyche. Złamał go w pojedynku woli i zniszczył jego jaźń.

Nie zaszczyciła go reakcją.

– Dla mnie, Anyah, to oznacza tylko jedno. Zwycięzca musi zająć miejsce pokonanego. Myślę, że to będzie ciekawsze, niż po prostu pozbawienie go życia.

Milczała.

– Prędzej czy później przyślą go tu po ciebie, a ja... ja wtedy sprawię, że zacznie mi służyć. Lepiej i wierniej niż służył wam. – Sathoon uśmiechnął się czarnymi wargami. – Tymczasem tkwij tu sobie, droga przynęto. Tkwij i rozmyślaj. Czasu masz dość.

Dłuższą chwilę czekał na jakąś reakcję. Nie doczekawszy się, wzruszył ramionami i powoli wsiąkł z powrotem w ścianę. Poświata zgasła.

Do uszu demonessy dobiegł jego cichnący śmiech. A potem znowu była tylko ciemność.

22. Szukając tego, co zabrał czas

Wiatr, który dął przez cały dzień, teraz przycichł, a fale się wygładziły. Anavri zanurkowała i wynurzyła się bliżej płycizny. Słońce już zaszło; niebo i ocean barwiła rdzawozłota łuna, wyżej przechodząca w przymgloną czerwień, a potem w fiolet. Rozbłyskiwały pierwsze gwiazdy.

Brune szedł brzegiem plaży z butami w rękę, brodząc w wodzie sięgającej niewiele powyżej kostek. Patrzył w jej stronę, jak się zdawało, z niejaką zazdrością. Dziewczyna stłumiła wyrzuty sumienia. To nie jej wina, że nie umiał porzucić ostrożności nawet na pół godziny. On też lubił pływać, ale znajdowali się w obcym miejscu i uważał za stosowne być przez cały czas w pełnej gotowości bojowej.

Jaki poziom paranoi trzeba osiągnąć, żeby bać się kąpieli w morzu? Pytanie było retoryczne i nie zamierzała go zadawać, żeby nie psuć humoru ani jemu, ani sobie.

Wróciła na brzeg, roześmiana, odgarniając z twarzy mokre włosy. Poczowała, że spojrzenie Krzyżącego prześlizgnęło się po jej ciele oblepionym cienką tkaniną, teraz półprzezroczystą od wody, ale nie wywołało tego ciepłego dreszczu radości co zazwyczaj. Choć od konfrontacji z demonicznym błaznem minęły dwa tygodnie, jej nauczyciel nadal wyglądał fatalnie. Cerę miał ziemistą, oczy podkrążone, a prawy policzek w strupach – rany nie chciały się zasklepić. Anavri wiedziała, że oparzenie po dotknięciu Faraela na szczęście już się zagoiło, pozostawiając tylko czerwony ślad. Z ksiąg знаła upiorne historie o tym, co może z ludzkim ciałem zrobić magia Otchłani – o niegojących się latami wrzodach, wżerających się w kości, straszniejszych niż trąd.

Wspomnienie walki w jaskini nadal przyprawiało ją o ciarki. Chwilami łapała się na tym, że będąc blisko Krzyżącego, wyteża zmysły maga, szukając śladów cudzej obecności. Nie umiała wyrzucić z pamięci tamtego momentu, kiedy Brune chłonał moc demona.

Pospiesznie przebrała się w suche rzeczy. Zawahała się z mokrą koszulą w rękę, po czym skupiła się, przymykając oczy. Rozległ się syk, a z płótna buchnęły kłęby pary. Po kilku chwilach materiał był suchy, choć sztywny od soli.

– Wiem, nie wypada używać magii do takich rzeczy – mruknęła, widząc pełne dezaprobaty spojrzenie Krzyczącego. Zwinęła ciepłą jeszcze koszulę i upchnęła do torby, po czym rozczesała i związała włosy.

– Wracajmy do wioski – powiedział. – Chłopiec od Kash-Olga mówił, żeby przyjść po zmroku.

Nie przybyli tu dla rozrywki, mieli zadanie do wykonania.

Szli bez pośpiechu, ciesząc się pięknem wieczoru. Zorza stopniowo przygasiała. Niebo migotało gwiazdami, układającymi się w konstelacje inne niż na północy i zachodzie. W zaroślach grały cykady.

Anavri najpierw wyczuła zapach dymu i pieczonej ryby, potem w mroku przed nimi zamigotały ogniska – zbliżali się do wioski. Byli tu już za dnia. Osada niczym nie różniła się od innych rybackich wiosek na wyspach: drewniane chatynki na palach kryte liśćmi palm, obrośnięte kwitnącym różowo pnączem *ilik*, suszące się sieci, wyciągnięte na brzeg łodzie z wydrążonych pni. Smagli, półnaczy ludzie żywili się tym, co dawało im morze, i byli szczęśliwi, nie mając prawie nic.

Wyspy Śpiewu przez trzy stulecia stanowiły kolonię Cesarstwa Nedgvaru, a potem, w latach tuż po drugiej wojnie chalkiryjskiej i śmierci starego cesarza, kiedy imperium na jakiś czas osłabło targane przez wewnętrzne konflikty i walki, zbuntowały się i odłączyły – ich namiestnik, posiadający na wyspie Ilhan swój pałac i nedgvarski dwór, obwołał się *ukun-balem*, królem archipelagu. Zaledwie kilkanaście lat później wyspiarskie państewko dostało się pod władzę rosnącej w siłę Alkary, która – dzięki układom z królestwem sylfów i portalom oceanicznym skracającym żeglugę – coraz bardziej niepodzielnie panowała na wschodnich morzach. Jednakże Alkaryjczycy nie zdeponizowali tamtejszego władcy; po prostu ustanowili gubernatora, któremu *ukun-bal* miał odtąd podlegać. Wyspiarze, przyzwyczajeni od stuleci do takiej czy innej władzy zwierzchniej, przyjmowali wszystkie te zmiany obojętnie – nie

miały one większego wpływu na ich codzienne życie.

Zdawało się, że wichry historii przetaczają się nad archipelagiem, nie tykając go. Przed trzystu czy pięciuset laty tutejsze chatynki, sieci i palmy wyglądały tak samo, kwiaty *ilik* pachniały równie upajająco, a po zachodzie słońca panował taki sam spokój. Przed kapliczką bóstwa tlił się kaganek, obok stały miseczki z ofiarami – nieco ryżu, ryby i ciasta.

Krzyczący przyłożył dłoń do twarzy, kryjąc oszpecony policzek za iluzją, po czym skierował się w stronę chaty stojącej na uboczu, pod rozłożystym drzewem. Przed nią, wprost na piaszczystej ziemi, siedziało dwóch odmieńców. Jeden, zielonołuski, o głowie pokrytej dziwnymi kolcami, wydawał się drzemać; drugi, tęgi i brzydki niczym toporna gliniana figura, ogryzał kość. Omiótł ich spojrzeniem zmrużonych ślepi, lecz nic nie rzekł. Brune minął obu bez słowa, więc Anavri również udała, że ich nie widzi. Skupiła się, wyęzając zmysły maga, i wyczuła wewnątrz chaty obecność jeszcze jednego, dużo starszego odmieńca. Kash-Olg był wioskowym czarownikiem – na Wyspach Śpiewu przypisywano odmieńcom tajemne, półboskie moce.

W chacie śmierdziało dymem oraz ostrym, piżmowym potem. Pośrodku znajdował się ułożony z kamieni krąg, w którym płonęło niewielkie ognisko. Odmieniec siedział na posłaniu z przybrudzonych tkanych koców. Był blady i olbrzymi, zwały jego cielska lśniły od oleju palmowego. Pod skórą, która wydawała się zupełnie pozbawiona pigmentu, rysowały się sine żyły. Głowę miał łysą, za to na klatce piersiowej gęstwinę rudawych kędziorów, a oblicze wstrętnie zdeformowane – z dziurą w miejscu nosa i rozstawionymi bardzo szeroko, wybałuszonymi oczami. Ze środka jego czoła sterczał krótki róg, a z potylicy drugi. Krzyczący skłonił się i wypowiedział po alkaryjsku uprzejme powitanie. Brzydał wyszczerzył w uśmiechu okropne zębiska o pomarańczowym szkliwie.

– Wy siadaje, alkari. – Przeniósł spojrzenie na Anavri, omiatając ją wzrokiem pełnym obleśnego zainteresowania, ale kiedy z kamienną miną odwzajemniła jego spojrzenie, jakby się zreflektował i kontynuował: – Wy interes, tak? Kash-Olg mnóstwo handluje z alkari marynarz. Ma sto i jeden dobry zaklęć dla statki, ma zioła od trzęsi-gorączka, ma kori-kori od złe oko... – Wskazał zwieszające

się z żerdzi wisiorzki z muszli, kostek i piór.

– Dostojny Kash-Olgu, dama, którą niegdyś dobrze znałeś, pragnie cię pozdrowić, wyrażając nadzieję, iż minione lata były pomyślne dla ciebie i twoich współplemieńców. – Brune wyjął z kieszeni oprawioną w złoto miniaturę z portretem Marshii i pokazał odmieńcowi. Ten przełknął ślinę; na moment wyraźnie go zatkało. Potem zaczął mówić, lecz urwał i tylko gestykulował bezsilnie.

– Mów po nedgvarsku – powiedział Krzyczący. – Moja uczennica będzie tłumaczyć.

Kash-Olg zerknął na dziewczynę z powątpiewaniem, ale wypowiedział kilka słów w brzękliwej, twardo brzmiącej mowie Cesarstwa.

– Sadziłem, że wielce światła pani Marilyce nie żyje – przetłumaczyła Anavri, którą uczono nedgvarskiego i alkaryjskiego od szóstego roku życia, a dzięki kilkumiesięcznemu pobytowi na Wyspach Śpiewu rozumiała okropny żargon, który pozostał wyspiarzom w spadku po stuleciach nedgvarskiej władzy, będący skrzyżowaniem mowy Cesarstwa i dziesięciu dialektów miejscowego języka. Pozwoliła sobie przełożyć słowa Kash-Olga tak, jakby wypowiadał je w czystym nedgvarskim.

– Wielce światła pani Marilyce pozdrawia swojego starego przyjaciela i przekazuje mu za naszym pośrednictwem skromny upominek.

Brune nacisnął ukrytą sprężynę w medalionie, a gdy wieczko odskoczyło, wyjął schowaną wewnątrz zwiniętą złotą blaszkę i wręczył stworowi. Był to talizman, którego niepozorny wygląd nie odzwierciedlał drzemiącej wewnątrz mocy. Kash-Olg najwyraźniej potrafił docenić jego wartość, bo zaczął wylewnie dziękować, wzbijając się na wyżyny tutejszej kwiecistej uprzejmości.

– Pani Marilyce, licząc, iż stary przyjaciel dobrze ją pamięta, pragnie go poprosić o drobną przysługę – kontynuował Krzyczący. Słowa te spowodowały uderzającą zmianę w zachowaniu odmieńca, który natychmiast spał się i nachmurzył, pełen nieufności.

Anavri, na wpeł instynktownie badając otoczenie zmysłami maga, nagle uświadomiła sobie, dlaczego posłanie odmieńca posiada delikatną, ledwie wyczuwalną aurę życia – koce były zawieszane. Wzdrygnęła się z obrzydzenia i omal nie przegapiła kolejnej

wypowiedzi Kash-Olga.

– Szlachetny przybyszu, spełnię prośbę pani Marilyce, jeśli tylko leży to w mej mocy. – Wypowiadając te słowa, stwór zadrzał.

Brune wyjął z kieszeni sygnet zawinięty w kawałek jedwabnej tkaniny i rozwinął go.

– Pani Marilyce prosi, byś obejrzał ten pierścień, który do niedawna należał do demona, i rzekł nam, czy kryje on coś, czego oczy magów nie mogą zobaczyć, a w szczególności czy może stanowić zagrożenie.

Wiedzieli od Marshii, że Kash-Olg, od trzydziestu lat prowadzący spokojny żywot jako wiejski czarownik wśród wyspiarzy, ma w sobie krew salamander i że był kiedyś chowańcem potężnego srebrnego maga, nieprzejednanego tropiciela demonów. Znał się doskonale na podstępach i sztuczkiach Otchłani.

Ani Marshia, ani Krzyczący, ani Zazel, ani Lorraine nie wyczuwali w sygnecie żadnego ukrytego niebezpieczeństwa: żadnej zamaskowanej klątwy ani portalu, który uaktywniłby się tylko w określonym miejscu bądź czasie. Nie byli jednak skłonni do końca zaufać swojej wiedzy – a chcieli wykorzystać pierścień do wejścia w trans wróżebny, by dowiedzieć się więcej na temat mordercy w kostiumie błazna oraz jego mocodawcy. Marshia zadeklarowała, że opinia Kash-Olga będzie dla niej definitywna i rozstrzygająca sprawę.

Odmieniec ujął pierścień w dwa palce i zamknął oczy. Trwał tak przez dłuższą chwilę, po czym westchnął głęboko i spojrzał na nich nieco błędnym wzrokiem.

– Nic – oznajmił.

– Jest bezpieczny?

– Jest bezpieczny – potwierdził Kash-Olg.

– Niezmiernie nas to cieszy. – Brune wyciągnął rękę, by odebrać od niego sygnet.

Gdy ich palce się zetknęły, odmieniec nagle zadrzał i gwałtownie się cofnął, wytrzeszczając ślepie. Anavri poczuła wzbierający w nim gniew, walczący o lepsze z falą zwierzęcego przerażenia, i jej samej zrobiło się zimno.

– Ty! – wybuchnął, przechodząc z powrotem na łamany alkaryjski.

– Ty z Otchłań!

Krzyczący wstał szybko, unosząc dłonie w pojedynczym geście. Chyba chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Kash-Olg wsunął palce

do ust i przenikliwie gwizdnął. Drzwi chaty otwarły się i stanęli w nich tamci dwaj, nachmurzeni, groźni.

Głupcy – pomyślała wzgardliwie Anavri. Krzyczący szepnął coś, połowa twarzy zadrgała mu brzydko. Trzej odmieńcy zastygli jak obróceni w kamień, tylko ich przerażone oczy nadal żyły. Brune chwycił Anavri za rękę i zdematerializował ich oboje.

– O co mu chodziło? – odważyła się spytać dziewczyna, gdy zmaterializowali się na brzegu morza w bezpiecznej odległości od wioski, niedaleko miejsca, gdzie trwało jeszcze echo portalu, którym przybyli tu poprzedniego dnia.

– Nie mam pojęcia – mruknął Krzyczący. Schował sygnet w zanadrze i potarł twarz, która nadal krzywiła się w tiku. Obawy Anavri powróciły ze zdwojoną siłą.

– Wyczuł w tobie... tamtego?

– Nie ma takiej możliwości – uciał.

Dziewczyna pod wpływem impulsu wyteńczyła zmysły maga, próbując wniknąć w jego aurę, emocje, po raz kolejny sprawdzić...

Zmęczony. Zirytowany nieprzewidzianym incydentem. Niezasklepione rany na policzku bolały go, potęgując rozdrażnienie. Ale to był ponad wszelką wåtpliwość Brune, jej Brune.

Musiał wyczuć, co zrobiła, lecz udał, że niczego nie zauważył.

– Będę potrzebował twojej pomocy, żeby z powrotem otworzyć portal – powiedział jakby nigdy nic.

– Wracamy do domu?

– Wracamy.

* * *

Składając Marshii relację z wyprawy, Krzyczący przemilczał to, jak zakończyła się rozmowa z odmieńcem. Anavri nie rzekła ani słowa, choć nie spodobało jej się, że nie wyjawiał całej prawdy.

Dowiedziawszy się, co powiedział Kash-Olg, Marshia wyraziła zgodę na przeprowadzenie eksperymentu z sygnetem. Pierwej jednak, jak oznajmiła, sama zamierzała dokładniej zbadać pierścień, mając już pewność, że nie czyha w nim żadne ukryte niebezpieczeństwo. Kazała Krzyczącemu wrócić za dwa dni, tym bardziej że przybycie portalem z dalekich wysp było męczącym wyczynem i oboje z Anavri

potrzebowali odpoczynku. Zmija ciekawiło, co takiego planowała zrobić, lecz gdy spróbował ją o to spytać, odpowiedziała wymijająco i dość oschle.

No cóż, postaraj się tylko nie uszkodzić ani sygnetu, ani siebie. Miał to na końcu języka, lecz zmilczał. W myślach wyraził jedynie nadzieję, że zmijka wie, co robi.

Gdy zjawił się w umówionym dniu o wskazanej porze, Marshia czekała w pracowni, a wraz z nią Lorraine. Mistrzynie sprawiała wrażenie zmęczonej, panna Nevers zaś – zrezygnowanej, lecz fatalistycznie gotowej na wszystko. Na fotelu w kącie przysiadł Zazel, z miną wyjątkowo ponurą i pełną dezaprobaty. W komnacie jak zwykle panował półmrok, zasłony były zaciągnięte. Na okapie kominka paliła się pojedyncza świeca. Na stole oprócz karafki z winem, buteleczki z księżycowym eliksirem i kieliszków Brune zauważył starą, zniszczoną księgę oraz trzy tajemnicze fiołki pełne oleistego płynu. Zawartość pierwszej była seledynowa, drugiej – czerwona i mętna, trzeciej zaś – żółtawa jak mocz. Zmarszczył brwi, z daleka wyczuwając, jak niezwykłą miały aurę – nigdy jeszcze nie czuł podobnej wokół martwego przedmiotu. Ciepłą, rozwibrowaną i w jakiś sposób... ludzką.

– Sygnet należał w przeszłości do trzech osób – oznajmiła Marshia. Choć pod jej oczami ciemniały kręgi ze znużenia, wydawała się nadzwyczaj zadowolona z siebie. – Pozwoliłam sobie wydestylować z niego i wydzielić esencję aury każdej z nich.

Krzyczący chciał się odezwać, ale zamilkł, gdy w pełni dotarło do niego, co powiedziała. Po raz kolejny uświadomił sobie, jaka przepaść dzieli jego umiejętności od umiejętności Marshii Lavallo – która wszak dysponowała teraz jedynie ułamkiem swojej wcześniejszej mocy. On sam nie wiedziałby nie tylko, jak się zabrać za takie zadanie, ale nawet w jakiej księdze szukać instrukcji.

– Nie było to tak trudne, jak mogłoby się wydawać – dorzuciła z nutką chępliwości, jakby odgadując jego myśli. – Metalowy przedmiot, noszony przez lata wprost na ciele; aura nawarstwia się i utrwala. Brune, mamy tu Adriena de Vere, demona w stroju błazna oraz agenta demona, mordercę z Eume.

– Adriena de Vere? – powtórzył Krzyczący. Zdał sobie sprawę, że jego głos lekko drży.

– Tak. – Marshia podniosła fiołkę z seledynowym płynem. – Niestety jakość tego preparatu pozostawia wiele do życzenia. Upłynęło zbyt wiele lat, aura jest słaba i zanieczyszczona naleciałościami pozostałych dwóch. Ale ponieważ Adrien był potężnym magiem, coś niecoś się jeszcze ostało. Myślę, że do przywołania wizji wystarczy.

– Myślałem... – Brune odchrząknął, czując suchość w gardle. – Myślałem, że zamierzamy po prostu użyć sygnetu.

– Gdybyśmy użyli sygnetu, ujrzelibyśmy tylko morderstwa w Eume oraz śmierć agenta – odezwała się milcząca dotąd Lorraine. – Echo późniejszych zdarzeń nakłada się na wcześniejsze, maskuje je i zaciemnia.

– Tak jest – potwierdziła Marshia. – Dlatego oddestylowanie aur było jedyną rozsądną opcją. Agent demona nie jest nam teraz do niczego potrzebny. – Odstawiła fiołkę z żółtawą zawartością na bok. – Interesują nas Adrien i demon. Myślę, że najrozsądniej będzie sprawdzić, co ich łączy. Wykorzystując do przywołania wizji aury dwóch jaźni, powinniśmy być w stanie zobaczyć, w jakich okolicznościach skrzyżowały się ich ścieżki. – Spojrzała na Lorraine, która potaknęła.

Brune skinął głową, usiłując opanować mrozący lęk, wzbierający mdłościami w gardle i utrudniający trzeźwe myślenie. Świadomość, że nie ma sensu bać się rzeczy, które wydarzyły się dawno temu, wcale nie pomagała mu się uspokoić.

Marshia ustawiła na stole kadzielnicę i nasypała do niej białawych bryłek ze słoja. Ostrożnie kapnęła na nie po jednej kropli z dwóch pozostałych fiołek, po czym zamknęła kadzielnicę i wyszeptała kilka słów w mowie magów. Rozległ się syk i cichy trzask, a przez otwory w ozdobnej srebrnej przykrywce zaczął się sączyć dym. Rozlała wino do kieliszków i odmierzyła do każdego po łyżeczkę księżycowego eliksiru.

Zazel, który dotąd obserwował wszystko w milczeniu, poruszył się. Przystąpił z nogi na nogę, wyraźnie niespokojny, zerknął z ukosa na Krzyczącego, odchrząknął.

– Zamierzasz wziąć udział w rytuale, pani?

– Muszę. Lorraine nie poradzi sobie sama.

– Pani, błagam! – Chowaniec wydawał się autentycznie poruszony. Spojrzał na Krzyczącego, wyraźnie oczekując poparcia, ale zmij

milczał. – Narażasz swoje zdrowie! Nie wróciłaś jeszcze do pełni sił...

– Przeszkadzasz, Zazel. – Żmijka otworzyła księgę na stronie zaznaczonej zakładką.

– Wyrażam uzasadnioną troskę! – rozsierdził się stwór. – Pani, błagam, bądź rozsądna! Dopiero co odzyskałaś...

– Wynoś się! – Marshia straciła cierpliwość tak nagle, że Krzyczący aż drgnął, a potem pomyślał, że widać obawy chowańca wcale nie są bezpodstawne. Żmijka zdenerwowała się właśnie dlatego, że Zazel miał rację. – No już! Słuchać się ciebie nie da!

Chowaniec otworzył usta, ale równie gwałtownie je zamknął. Z gniewną miną zeskoczył z fotela, rzucił ostatnie pełne wyrzutu spojrzenie Krzyczącemu i truchtem wybiegł z pracowni.

– Usiądźcie bliżej – poleciła Marshia. – Pijmy eliksir i bierzmy się za rękę. Szkoda czasu.

* * *

Obrażony Zazel zląkł na dół, na werandę, gdzie siedziała Anavri, bawiąc się czarodziejskim świeatełkiem. Nie miała najmniejszej ochoty uczestniczyć już w żadnych transach, a ponieważ Krzyczący nie nalegał na jej obecność, korzystała z chwili wolnego czasu. Na widok chowańca zgasiła czar i wstała.

– Zazel, chcesz się przejść?

Zazel, który zawsze wolał towarzystwo od braku towarzystwa, nie miał nic przeciwko. Wyszli na dwór.

– Słuchaj – odezwała się nieśmiało Anavri – może ty mi powiesz, co się tu u was stało?

W czasie, gdy ona i Krzyczący przebywali na Wyspach Śpiewu, w enklawie zaszła zmiana, o którą dziewczyna bała się pytać Marshię. Ogród zniknął. Na jego miejscu zostały tylko pagórki porośnięte rzadką, szarą trawą. Niebo straciło turkusowy odcień; było teraz zamglone, mleczone.

– Chochlik i undyna się wynieśli – wyjaśnił Zazel. – Uznali, że tutaj nie jest już bezpiecznie. Z osłonami nie jest dobrze, Anavri. – Zniżył głos. – Marshia wyprawiła część służby do materialnego świata i powzięła... kroki na wypadek, gdyby stało się najgorsze, to znaczy gdyby wytropili nas tutaj srebrni.

– Aż tak źle? – spytała równie cicho dziewczyna. Chowaniec uśmiechnął się blado.

– Źle, Anavri, ale może jeszcze nie tragicznie. Nawet bardzo słabo zabezpieczoną enklawę nie tak łatwo znaleźć. Musieliby wiedzieć, gdzie nas szukać, w którym dominium i kwadrancie, oraz wiedzieć, przynajmniej w przybliżeniu, którądy przebiega spojenie z materialnym światem. – Zawahał się, po czym posępnie dorzucił: – Lub też wiedzieć, gdzie znajduje się któryś z dwóch portali stałych. Ten do enklawy Krzyczącego mnie nie martwi, natomiast ten do jej rezydencji w Lossorze... – Westchnął ciężko. – Ale skądś musimy przecież brać jedzenie, drewno na opał i tak dalej. Marshia zaklina się, że ufa swojej służbie... Oczywiście, dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. – Znów popatrzył w kierunku willi. – Gdyby to ode mnie zależało, wyprawiłbym Lorraine do materialnego świata, w bezpieczne miejsce, ale ona nie chce zostawić Marshii, a Marshia nie kwapi się jej do tego zmuszać.

– A astralne potwory?

– Biss na szczęście jest w dobrych relacjach z sylfami. Zaprzyjaźnił się z paroma i uprosił, by nas chroniły przed drapieżcami z astralu, dopóki Marshia nie wyzdrowieje... choć oczywiście trudno powiedzieć, czy za jakiś czas nie dojdą do wniosku, że to nigdy nie nastąpi. No i zapowiedziały z góry, że w razie kłopotów ze srebrnymi nie mamy co liczyć na ich pomoc. Królestwo powietrza chce zachowywać dobre stosunki z Elitą.

– Jak sądzisz – Anavri zawahała się, zniżyła głos – czy jest szansa, że Marshia kiedyś wróci do pełni sił?

– Nie wiem. – Zazel poważnie popatrzył na nią ciemnymi ślepiami.
– Nie mam pojęcia, Anavri. Formalnie jest już zdrowa, a czy kiedyś odzyska dawną sprawność... – Westchnął.

Długą chwilę stali w milczeniu, patrząc na nieruchomą tafłę stawu pośrodku szarawej, smutnej łąki. Choć nie było zimno, Anavri nagle wzdrygnęła się i roztarła ramiona.

Czuła chłód złego przeczucia.

Na wpół instynktownie sięgnęła zmysłami maga w kierunku willi, próbując odnaleźć komnatę na piętrze, gdzie odbywał się eksperyment z sygnetem.

* * *

Gorycz księżycowego eliksiru w ustach stopniowo stawała się mniej wyczuwalna, w miarę jak odpływali w trans. Krzyczący w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że ciepła, drobna dłoń Lorraine i zimna, wypielegnowana Marshii zniknęły – dryfował w pustce, pozbawiony ciała.

W ciemności zeglowały obrazy. Budynki, ludzie, chmury, miejsca, twarze.

Potem ich miejsce zajął jeden. Brune wzdrygnął się na widok pogrążonej w mroku jaskini – wyglądała znajomo. Unosił się pod jej sklepieniem, niewidzialny. A potem dostrzegł postać skradającą się wśród skalnych odłamów.

Ubrany od stóp do głów na czarno, w pelerynie z odrzuconym na plecy kapturem, Adrien de Vere ze swą białą twarzą przypominał posępną zjawę. W głębi jego źrenic pełgały seledynowe błyski.

Nagle przystanął – może usłyszawszy coś niepokojącego – a powietrze wokół niego zadrgało, zdradzając, że uaktywnił czar tarczy.

Brune wstrzymał oddech, czując, że w jaskini materializuje się znajoma obecność, zwiastowana przez zgniły, kwaśny odór i złowrogą aurę Otchłani.

Spomiędzy skał wyłoniła się postać. Potężny mężczyzna, przedziwnie odziany – pół kubraka i jedną nogawicę miał zielone, a drugą połowę odzieży w czarne i czerwone pasy. Czerwony kaptur kończył się wielkim chwostem. Obrazu dopełniała biała porcelanowa maska.

– Jesteś daleko od domu, magu – zabrzmiał syk, przywodzący na myśl jamę pełną wijących się, nienazwanych paskudztw.

– Przyszedłem walczyć.

Brune stęzał wewnątrz – to był, zdawałoby się, jego własny głos. Schrypnięty, cichy, niebrzmący bynajmniej jak głos bohatera.

Rechot, który odbił się echem od ścian i sklepienia, nie dobył się z jednego gardła.

– Powiedz raczej, że przyszedłeś, by się dobrowolnie oddać w nasze ręce. – Kobięcy głos, zwodniczo melodyjny, jak miód zaprawiony trucizną. Od ściany oderwał się cień, szybko nabierając ludzkich

kształtów. Wysoka, nienaturalnie smukła kobieta potrząsnęła grzywą włosów, które przypominały ożywiony mrok, wiły się i przelewały. Ona także miała na sobie kolorową odzież, jakby wyszła z maskarady, gdzie występowała w przebraniu wschodniej księżniczki, a na twarzy maskę z zielonego aksamitu.

– Jesteście nadzwyczaj pewni siebie. – Kącik ust Adriena drgnął w uśmiechu.

– My? – Dama zaśmiała się dźwięcznie. Potem skinęła dłonią, a cienie pod ścianami uformowały się w kolejne dwie sylwetki. Pękate, nieforemne, w strojach uszytych z barwnych szmat, w drewnianych maskach z długimi nosami. Wstrętny odór zgęstniał. Dwie niezgrabne postacie wysunęły się do przodu, a Brune ujrzał, że zamiast rąk mają olbrzymie łapy ze szponami, zaś ich stopy są ptasie.

– Jeden przeciw czworgu? Naprawdę sądzisz, że ten żaloszny czar tarczy wystarczy, by ci zapewnić ochronę? Tu, w naszej siedzibie?

Adrien spokojnie wyjął spod kurtki flet. Wypowiedział kilka obcych słów – w jakimś starożytnym, zapomnianym wariacie mowy magów – a potem zaczął grać.

Zabrzmiała dzika, nieprawdopodobna muzyka. Brzmiał w niej huk nawałnicy na morzu, wicher przyginający świerki w górach Alkary i śpiew sylfów na odległych rubieżach sfer. Dwa pomniejszych demony uczyniły krok naprzód, potem drugi... a potem zaczęły tańczyć, chwiejnie, niezdarnie jak kukielki poruszane sznurkami. Najpierw jedna, potem druga maska spadły, odsłaniając pokraccze, owłosione oblicza, wykrzywione w grymasie przerażenia – to melodia zmuszała ich do tańca.

Dama wrzasnęła przeraźliwie, odrzucając głowę do tyłu. Ona i jegomość w białej masce w jednej sekundzie przemienili się, przetransformowali w czarne monstra, ni to ptasie, ni owadzie, kolczaste, grzebieniaste, szponiaste i nastroszone. Runęli na maga z wizgiem i trzepotem, raz, drugi, trzeci, lecz nie mogli go dosięgnąć.

Muzyka zmieniła się, zabrzmiały w niej niższe tony – jakby pogrzebowy dzwon uderzał gdzieś daleko, a jego głos niósł się z wiatrem ponad wzgórzami – i oni również zaczęli tańczyć. Tańczyli, a ich pokraccze kształty kurczyły się, całe płaty czerni odrywały się od ich potwornych ciał i odpełzały w mrok, kryjąc się w skalnych szczelinach, byle dalej od maga i jego upiornej, niszczycielskiej

melodii.

A Adrien de Vere grał. Grał, nie okazując zmęczenia. Pokaz czarnej sztuki na poziomie nieosiągalnym nawet dla Marshii.

Gdy przestał grać, cisza spadła jak topór. Cztery demony wiły się w męce i nieruchomiały jeden po drugim.

Adrien pochylił się nad jednym z pokonanych. Monstrum transformowało z powrotem w istotę ludzką, lecz było już najwyraźniej zbyt słabe, by przemienić się całkowicie – z rękawów dwukolorowego kubraka nadal wystawały czarne macki, podrygujące niemrawo. Stwór dyszał chrapliwie, co jakiś czas z bulgotem zachłystując się świecąca ektoplazmą, która wyciekała z jego ust, szybko parując. Adrien z uśmiechem zdjął z jego twarzy maskę i uniósł ją, by się przyjrzeć, po czym przyczepił ją u pasa. Trofeum.

I wtedy pieczara rozmyła się, rozplynęła w ciemności.

– Poczekajcie – głos Lorraine, dobiegający jakby z bardzo daleka, z góry, zniekształcony, z głuchym pogłosem. – Będzie więcej... Uwaga!

Ciemność skłębiła się, zawirowała i przeistoczyła się w inne ponure, mroczne miejsce. Brune stęzał w przeczuciu czegoś strasznego, lecz nie walczył. Prowadzony wolą Lorraine, pozwolił, by wizja otoczyła go i wchłonęła.

Już nie myślał o tym, że śni. Był tam. Czuł.

Ciasna, pozbawiona okien cela śmierdzi wymiocinami, moczem i krwią.

Akolita w białej szacie, trzymając lampę pełną fosforyzującej mazi, staje nad leżącym na pryczy wychudzonym człowiekiem. Lewa ręka więźnia tkwi unieruchomiona w dziwnej żelaznej konstrukcji, nad którą w stojaku umieszczono szklaną banię z przezroczystym płynem. Wychodzące z niej cieniutkie rurki kończą się igłami wklutymi w żyły leżącego. Ten ma zamknięte oczy, oddycha z trudem; jego pokryta białymi plamami twarz jest ściągnięta, wyniszczona. Włosy ostrzyżono mu przy skórze, a szczeciniasty siwy zarost, tylko tu i ówdzie ciemny, nadaje teraz Adrienowi wygląd starca.

Akolita wymierza mu policzek.

– Spójrz na mnie, ścierwo.

Adrien z wysiłkiem rozkleja powieki, lecz jego oczy są mętne, niewidzące, w głębi źrenic już nie widać seledynowego poblasku.

Na szyi i grzbietach dłoni ma ślady po przypalaniu, a palce pokryte zakrzepłą krwią – wyrwano mu paznokcie – lecz nie pogruchotano mu kości, nie powyłamywano stawów, nie postużono się rozpalonymi do czerwoności kleszczami ani wrzącą oliwą. Wbrew temu, co głoszą plotki, umiejętnie podsycane przez samą Elitę, w Domach Godnego Odejścia zadaje się ból na daleko subtelniejsze, bardziej eleganckie sposoby niżli w świeckich katowniach.

Cuchnie zatechłym potem i płonie od gorączki. Ma za sobą wstępną, trwającą kilkanaście dni procedurę rozbudzania i rozjątrzenia czerni, która – nie znajdując ujścia – poczęła trawić jego ciało. Teraz do jego krwi sączy się mieszanka trucizn zabijających dar. W niektórych Domach stosuje się tę metodę zamiast szybszego, lecz trudniejszego i bardziej ryzykownego rytuału Zaathosa. Proces jest bolesny i trwa długo, zwłaszcza w przypadku tak silnego maga.

Akolita mierzy puls więźnia, sprawdza poziom cieczy w bani, podkręca kurek regulujący przepływ. Potem odwraca się.

– *Panie de Lyche? Jeśli pragniecie coś rzec więźniowi, mogę...*

– *Nie trzeba – odpowiada znajomy głos. – Chciałem tylko sobie na niego popatrzeć.*

Wychodzą obaj, zabierając lampę. Drzwi zatrzaszkują się, zgrzyta przekręcany klucz. Kroki oddalają się, cichną. W ciemności znów słyhać tylko chrapliwy, umęczony oddech.

Wizja rozwiała się. Lorraine, bardzo blada, naląła sobie wina i napiła się. Krzyczący przetarł oczy, próbując ukryć, jak bardzo jest rozdygotany.

– *Bardzo interesujące – powiedziała Marshia. Ona również, podobnie jak panna Nevers, zachowywała chłodny spokój badacza. – Nieoficjalna wizyta w Domu Godnego Odejścia? Ktoś tu musiał sobie zaskarbić doprawdy niezwykłą wdzięczność Elity.*

– *Denuncjacja? – spytał cicho Krzyczący, przypominając sobie nienawiść, z jaką Farael de Lyche wypowiadał się o Adrienie.*

– *Nie można tego wykluczyć. A pamiętasz pierwszą wizję?*

– *Te potwory w jaskini?*

– *Błazny – odezwała się spokojnie Lorraine. – Widzieliście, jak wyglądali?*

– *Bractwo Błaznów... – Marshia zamknęła oczy i rozmasowała*

powieki. – Psiakość, kiedyś już obija mi się o uszy ta nazwa... Bractwo Błaznów z Doliny... z Doliny... Na siedem pałaców Harana! Mam w swoich zbiorach *Traktat o Otchłani* Argala ar Toth. Sprawdzę to.

– Adrien rozprawił się z czterema członkami demonicznego bractwa – powiedział powoli Brune – a później piąty, ocalały, uknuł zemstę?

– Mogło tak być – potaknęła Marshia.

– Ale przecież powiada się o nim, że zaprzedał duszę Otchłani?

– Innej Dolinie? – Uśmiechnęła się z ironią. – Lub to też kłamstwo, braciszku. Zwykle, ordynarne kłamstwo. Po tylu latach niemal nie do odróżnienia od prawdy.

– Fiolki nie pokażą nam więcej?

– Fiolki pokażą wam tylko to, co ja będę w stanie wam pokazać – wmieszała się Lorraine. – To... trochę trudne do wyjaśnienia, ale widzę naraz fragmenty wielu obrazów, jakby kawałki roztrzaskanej mozaiki. Wyławiam jeden, który wydaje się obiecujący, i podążam jego tropem, a wtedy wy widzicie to, co się wyłania.

Krzyczący również nalał sobie wina i upił łyżeczek, żeby pozbyć się z ust goryczy eliksiru. Potem, tknięty nagłą myślą, spytał:

– Czy wśród tych wielu obrazów widziałas też aresztowanie Adriena?

– Chyba widziałam... Przez chwilę. – Dziewczyna objęła się ramionami. – Ale nie umiałabym sprawić, żebyście wy też zobaczyli. Za dużo bólu i zamętu. On walczył... Zabił kilku mistrzów Elity, nim go pojмали.

Marshia splotła dłonie. Blask świecy pełgał w jej źrenicach purpurowymi odbłaskami.

– A morderstwa?

– Które?

– Te, które rzekomo popełniał Adrien. Za które go skazano. Widziałas choć jedno?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak. – Lorraine powiedziała to cicho, ze smutkiem. – Widziałam dziesiątki obrazów z jego życia. On nie mordował kobiet, to kłamstwo. Został fałszywie skazany.

Marshia spojrzała na Krzyczącego, uśmiechając się cierpko.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

Brune wrócił pamięcią do raportów straży miejskiej, które przeglądał w archiwum. Pokręcił głową. Kawałki układanki, choć nieliczne, pasowały do siebie w logiczny sposób. Morderstwa prostytutek w Ri Talma przed czterdziestu laty. Morderstwa popełniane w Eume przez agenta w błazeńskim stroju. I brak morderstw wśród obrazów, które dotyczyły Adriena.

Przestał obracać w palcach swoją gemmę i wsunął ją z powrotem do kieszeni.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział. – Do trzech razy sztuka.

Marshia zmierzyła go badawczym wzrokiem.

– A dasz radę?

– Tak. – Przetarł twarz i wziął głęboki oddech. – Tak, nic mi nie jest.

Nie wyglądała na przekonaną, ale skinęła głową. Dosypała nieco bryłek do kadzielnicy i zatrzasnęła przykrywkę, po czym ponownie wzięli się za ręce, zamykając oczy.

Słodkawy dym, wrażenie kołysania, senność...

Ciemność znów ożyła sunącymi powoli obrazami – ludzie, miejsca, twarze, budynki, chmury. Brune poczuł ciarki, gdy wśród tego chaosu uchwycił znajomą panoramę Ri Talma, a potem ozdobioną złoceniami salę, czarno odzianą postać grającą na flecie i zasłuchaną publiczność.

– Uwaga – głos Lorraine wydawał się dopływać jak z wielkiej dali. – Mam.

Wszystko nagle przesłoniły abstrakcyjne wzory, czarne i białe.

Mozaiki.

Mury i posadzka w mrocznym korytarzu wyłożone są mozaikami – malutkie kamyczki układają się w znaki pisma magów, a te w formuły. Potężne zaklęcia, których echo wibruje w powietrzu, sprawiając, że włosy lekko się jeżą, a po plecach pełźnie chłód.

Dom Godnego Odejścia.

Fresk na sklepieniu przedstawia grupę magów w białych szatach, z rozwianymi włosami, otoczonych wieńcem ognia i chmur.

Na ustawionej pod ścianą ławie, pod okratowanym okienkiem, siedzi i czeka Farael de Lyche w lamowanej futrem pelerynie i eleganckim kapeluszu. Wygląda na znudzonego. W końcu skądś dobiega głębokie, przejmujące bicie dzwonu – trzy uderzenia –

i umieszczone w niszy drzwi otwierają się. Młodzieniec w błękitnej szacie kłania się nisko, gestem zaprasza gościa do środka.

Dwa wąskie okna w gabinecie również są zakratowane. Półki uginają się pod ciężarem książek i dokumentów, w kącie na stoliku stoi srebrne astrolabium. Mag w białej szacie podnosi się zza stołu, na którym leżą budzące niepokój akcesoria: ludzka czaszka ze zwitkami pergaminu zatkniętymi w oczodoły, dwie woskowelaleczki z powbijanymi igłami, zasuszone żaba skrępowana czerwoną nicią, ucięta zmumifikowana dłoń, przebita szpikulcem... De Lyche kłania się uprzejmie, acz nie uniżenie, po czym wymieniają powitalne grzeczności. Młodzieniec w błękitnej szacie, postuszny krótkiemu poleceniu zwierzchnika, wychodzi, a po chwili wraca, niosąc kasetkę ze smoczej kości, którą stawia na stole i otwiera. Wewnątrz, na aksamitnej wyściółce, spoczywa złoty sygnet z malachitowym okiem i dwoma węzami.

– Zgodnie z obietnicą, panie de Lyche. Drobną rekompensata za przysługę. – Mag uśmiecha się jakby z ironią i kładzie sygnet na wyciągniętej dłoni demona w ludzkiej postaci. Ten z nieruchomą twarzą kłania się lekko.

– Polecam się na przyszłość, szlachetni magowie.

Nagle rozległ się przeraźliwy huk; świat zadrżał, a potem osypał się jak rozbite szkło. Krzyżący, brutalnie przywrócony do rzeczywistości, rozejrzał się nieprzytomnie i napotkał tak samo zdezorientowane, przestraszone spojrzenie Lorraine.

Huknęło ponownie. *Ale to nie burza!* – uświadomił sobie, gdy poczuł, że aura enklawy faluje niczym wzburzone morze. Jej konstrukcja chwiała się w posadach.

– Osłony! – krzyknęła Marshia. – Musimy sprawdzić, co się dzieje!

Zanim zdążył odpowiedzieć, chwyciła go za rękę i zdematerializowała ich oboje. Chwilę później stali w terenie, który nieco przypominał otoczenie jego własnej enklawy, stworzonej prostszą techniką – u niego z materialnego świata przeniesiona została tylko chata, a nie willa wraz z przyległym obszarem, jak tutaj. Naokoło rozciągał się skalisty, pozbawiony roślinności płaskowyż, dalej przechodzący w linię poszarpanych górskich szczytów. Enklawa – która dla patrzących z zewnątrz powinna pozostawać niewidzialna,

jak uświadomił sobie zmij – była wyrastającą z kamienistego podłoża błękitną, opalizującą kopułą, podobną do wielkiej bańki mydlanej, siejącej tęczowymi odblaskami. Od zewnątrz oplatała ją ledwo widoczna pajęczyna z fioletowego światła – jeden z czarów zabezpieczających. Teraz w tej pajęczynie coś się szamotało, rozciągając ją. Coś wielkiego, częściowo opancerzonego blachami, częściowo białego i bezwłosego... o kilku parach trzepoczących rozpaczliwie skrzydeł i kilku giętkich szyjach zakończonych bezokimi pyskami, kłapiącymi w powietrzu. Segmentowane metalowe odnóża wściekle ryły ziemię, wyrzucając w powietrze drobne i większe kamyki.

– To wysłannik srebrnych! – krzyknęła Marshia. – Bogowie, zniszczy enklawę!

23. Rytuał Cymmergusa

Jakby potwór morski złapał się w sieć! – pomyślał w panice Krzyczący, patrząc na istotę szamoczącą się w magicznej pułapce. Przez myśl przemknęło mu, że jeśli stworzenie zdążyło się telepatycznie skontaktować ze swymi panami, nie ma sensu walczyć, trzeba rzucać wszystko i natychmiast uciekać.

Lecz Marshia już kreśliła w powietrzu znaki. Zagryzła wargi, na czoło wystąpił jej pot. Otoczył ją świetlisty nimb energii, z każdą chwilą jaśniejszy. Uniosła ręce, nad którymi uformował się wirujący, oślepiająco biały dysk i miotnęła nim w intruza.

Świat zbieleł. Krzyczący w ostatniej chwili zdążył odwrócić głowę, osłaniając ją ramionami, i zacisnąć powieki. Rozległ się ogłuszający trzask, jakby piorun strzelił tuż obok, a potem upiorne, pełne bólu wycie. Gdy żmij otworzył oczy, ujrzał z przerażeniem, że stworzenie nadal się szamocze, rozpaczliwie próbując się uwolnić. Dwie jego głowy zwisały teraz bezwładnie, z paszcz spływał mleczny płyn, który w zetknięciu z gruntem syczał i dymił niby żrący kwas. Kilka fragmentów metalowego pancerza odpadło, odsłaniając połacie bladej skóry z czerwonymi plamami oparzeń. Mechaniczne odnóża nadal ryły ziemię, choć słabiej; jedno, złamane, sterczało pod dziwnym kątem. Jedno skrzydło usiłowało łopotać ze zdwojoną siłą, drugie oklapło niczym nadpalony łachman.

Marshia klęczała, dysząc ciężko. Z nosa płynęła jej krew, kapiąc na kamienie. Nim Krzyczący, nadal osłupiały, zdążył powiedzieć choć słowo, żmijka osunęła się na ziemię, tracąc przytomność.

Chwilę potem obok nich zmaterializowała się Anavri z oczami jarzącymi się sino. Brune chwycił ją za rękę, czerpiąc raczej instynktownie niż świadomie. Nie miał pojęcia, jakiego czaru użyła Marshia – sam znał tylko jedno zaklęcie, które miało szanse podziałać przeciwko wysłannikowi srebrnych. Piorun Borseliusa. Skupił się, przywołując z pamięci to, czego potrzebował

(spopielona równina, jęczący potępieńcy)

(loch, gorączka, rwący ból ran na twarzy)
by wzbudzić i podsycić w sobie czerń.

Wokół jego dłoni zaczęła formować się i rosnąć kula mroku. Nim jednak czar nabrał mocy, stwór targnął się, rozwarł największą ze swoich paszcz i rzygnął fontanną lepkiego mlecznego jadu.

Krzyczący, skupiony na szykowanym zaklęciu, zareagowałby o ułamek sekundy za późno – uratowała go Anavri, osłaniając tarczą jego, siebie i Marshię. Białe rozbryzgi spłynęły po przezroczystej sferycznej barierze. Stwór wydał świdrujący wizg, który przesywał uszy tysiącem igieł. Mleczna trucizna kapiała z jego kłów, a ślepia przypominały teraz dwa srebrne noże. Targnął się rozpaczliwym wysiłkiem – i kilka fioletowych pasm pękło. Enklawa zadygotała w posadach, a Brune uświadomił sobie, że jeszcze chwila i czarodziejska sieć pęknie.

Wsunął dłoń za pazuchę, zacisnął palce na gemmie Eresha, skupił się

(demon wrzeszczący bezsilnie wśród huczącego ognia)

i pozwolił, by na nowo wezbrała w nim czerń – niczym gorący, niszycielski wir. Poczul, że tik boleśnie wykrzywiał mu twarz. Ułamkiem świadomości zarejestrował przerażone spojrzenie Anavri, a potem przestał myśleć. Była tylko wrząca w nim siła – i wróg.

Bezgłośnie eksplozja czerni. A potem cisza.

* * *

Zimno.

Zimno i świst wiatru.

Anavri przytomniała powoli. Gdy przypomniała sobie, gdzie jest i co się stało, usiadła z jękiem. Stopniowo dotarło do niej, że enklawa nadal stoi, jak stała. W powietrzu wirowały płatki śniegu, osiadając na kamienistym podłożu.

Tam, gdzie chwilę wcześniej szamotał się wysłannik srebrnych, widniał wyrwany eksplozją lej o zboczach upstrzonych mleczną, lśniąca mazią oraz fragmentami rozrzuconych mechanizmów – śrubki, kółka zębate, przewody, poskręcane kawałki blachy... Na dnie leja wilo się to, co pozostało z rozszarpanego ciała, które najwyraźniej bardzo niechętnie rozstawało się z życiem. Dziewczyna poczuła

mdłości na ten widok i czym prędzej odwróciła wzrok.

Marshia leżała bez ruchu, twarzą ku niebu. Biss, który zjawił się nie wiedzieć kiedy, siedział na niej, mocno przywierając mackami do szyi i piersi – wlewał w nią siłę życiową.

Brune niezdarnie zbierał się z ziemi. Ostrożnie dotknął krwawiących ran na policzku, zaklął z cicha.

– Żyjesz? – spytała Anavri.

– Zakładam, że tak – mruknął, klękając przy Marshii. Pospiesznie sprawdził jej puls. Anavri obserwowała to bezradnie, wiedząc, że nie jest w stanie w żaden sposób pomóc. Dygotała od dreszczy, było jej słabo i mdło.

Nagle spostrzegła, że kawałek dalej unoszą się w powietrzu trzy postacie – trzech skrzydlaci młodzieńcy w bogatym rynsztunku bojowym, w złożonych pancerzach i hełmach. Wiatr rozwiewał pasma ich jasnych włosów, a twarze mieli szlachetne i piękne niczym na obrazku. Sylfy.

– Dobrze sobie radzisz w walce jak na tak młodą *ka-ira* – powiedział jeden, o skrzydłach w pięknym, nasyconym odcieniu ultramaryny. – Ale wasza enklawa potrzebuje lepszych zabezpieczeń.

– Co tu robicie, przyjaciele? – spytał Krzyczący.

– Obserwujemy – odrzekł drugi sylf. Skrzydła miał barwy porannej jutrzeńki, a jego hełm ozdobiony był białym pióropuszem. – Patrzymy i wyciągamy wnioski.

– Zdaje się, że w starciach między srebrem a czernią macie obowiązek zachowywać neutralność, mam rację?

– Zgadza się – potwierdził ten pierwszy. – Nieformalnie nie przepadamy za srebrnymi, lecz nasza królowa pragnie pozostawać z nimi w dobrych stosunkach. – Z niechęcią popatrzył w stronę tego, co pozostało z wysłannika. – Jeśli srebrni tu przybędą, nie obronicie się, magu.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – odparł Krzyczący, siląc się na spokój. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby wzmocnić te osłony.

I wytrzymały – dodał w myślach. Wiedział jednak, że sylfy mają rację. Nie potrzeba nawet srebrnych magów, wystarczy, że zostaną zaatakowani przez większą liczbę takich stworów jak ten, który dogorywał nieopodal, a będzie po enklawie. *I zapewne po nas.*

– Osłony jak osłony, magu. Podstawa dobrych zabezpieczeń to kamuflaż – odezwał się nieco przemądrzałym tonem trzeci sylf, szaroskrzydły, wyglądający najmłodziej i najdelikatniej. Krzyczący wzruszył ramionami.

– Wierz mi, zrobiliśmy tu, co mogliśmy.

– Czyli w praktyce niewiele, bo zarówno kamuflaż, jak i osłony tej enklawy zostały splecione w taki sposób, że nikt poza właścicielką nie jest w stanie dokonać w nie głębszej ingerencji, nieprawdaż?

Brune odmruknął wymijająco i znów przykląkł przy Marshii, udając, że sprawdza, czy nie odzyskała przytomności. Nawet jeśli sylfy były im nadspodziewanie życzliwe, nie miał najmniejszej chęci, by kontynuować rozmowę na drażliwy temat.

Dotknął policzka żmijki i przemówił do niej cicho. Jęknęła. Otworzyła oczy, ale zaraz je zamknęła, jakby światło ją raziło. Biss lekko się nadał, przywierając mocniej do jej klatki piersiowej, i zerknął na Krzyczącego z wyraźną pretensją, jakby dając do zrozumienia, że jego pani potrzebuje przede wszystkim chwili spokoju.

– Kiedy ich szpieg nie wróci – podjął najmłodszy z sylfów – srebrni wykorzystają czary tropiące, aby sprawdzić, gdzie jest i co się z nim stało.

– Zaraz postaram się im to utrudnić. – Krzyczący wstał z klęczek i przywołał gestem Anavri. Podeszła posłusznie, choć widział, że krótkie starcie z białym monstrum wstrząsnęło nią bardziej aniżeli pojedynki w sferach i incydent w karczmie razem wzięte.

– Musimy spalić ciało tego... czegoś – powiedział. Z rezygnacją skinęła głową. Przyłożył jej rękę do skroni i zaczerpnął ostrożnie. Syknęła z bólu, przygryzając wargę.

– Nic mi nie będzie – mruknęła, gdy cofnął dłonie i popatrzył na nią z troską. – Czerp, jeśli potrzebujesz więcej.

– Tyle mi wystarczy – odrzekł. Ledwo trzymał się na nogach ze zmęczenia, ale nie chciał ryzykować, że Anavri pod wpływem czerpania straci przytomność.

Podszedłszy do krawędzi leja, stłumił dreszcz obrzydzenia, gdy ujrzał, co leży w dole. W kałuży perłowej, śliskiej substancji wiły się sinawe, długie ni to robaki, ni jelita... Mdły, słodkawy odór sprawił, że żołądek podjechał żmijowi do gardła. Brune z wysiłkiem przełknął ślinę. Czuł na sobie wzrok sylfów. Najchętniej powiedziałaby im, żeby

się wynosiły do diaska.

Rozejrzał się za niedużym, ostro zakończonym kamieniem, a znalazłszy odpowiedni, nakreślił nim na ziemi kilka znaków i wyszeptał formułę. To, co pozostało ze skrzydlatego potwora, z trzaskiem i skwierczeniem zajęło się magicznym ogniem. Zaklęcie na szczęście niszczyło wilgotne substancje równie skutecznie jak suche.

W powietrze wzniosł się białawy, cuchnący dym. Żmij zasłonił nos i usta tuniką. Cofnął się i z mściwą satysfakcją patrzył, jak czar pochłania szczątki istoty, a resztki perłowej mazi syczą i parują.

Sylfy zawisły nisko nad ziemią, poza zasięgiem dymu, i uważnie wszystko obserwowały.

– To nie wystarczy – odezwał się ten niebieskoskrzydły, gdy ogień już prawie się wypalił. – Gdy srebrni się zorientują, że ich szpieg zginął, nie dadzą za wygraną, póki nie zlokalizują miejsca, gdzie to się stało. Będą próbować do skutku.

Krzyczący przetarł dłonią twarz, ucisnął oczy. Czuł się coraz gorzej, wstrząsały nim dreszcze, a głowa pulsowała tępym bólem.

– Zapewne – odrzekł, siląc się na spokój. – Jakież sugestie?

Skoro tacy z was specjaliści – chciał dodać, ale powstrzymał się, pamiętając, że tylko głupiec okazuje arogancję w rozmowie z mieszkańcami sfer.

Sylfy przez chwilę szeptały między sobą, po czym przemówił ten z pióropuszem na hełmie.

– Ty też posiadasz enklawę, prawda?

– A co to ma do rzeczy?

– To, że możesz skopiować jej zabezpieczenia tutaj. Opis rytuału znajdziesz w *Kompendium magii ochronnej* Cymmergusa.

– Znam ten rytuał – wtrąciła słabym głosem Marshia, siadając. – Mam tę księgę.

Jej ton wskazywał, że chce jak najszybciej położyć kres rozmowie.

– Dziękujemy za radę – powiedział niepewnie Krzyczący. Marshii wyraźnie się nie podobało, że powietrzne duchy wtrącają się w jej sprawy. Wcale go to nie dziwiło.

Pojawił się czwarty sylf, dosiadający skrzydlatej poczwary wyglądającej jak skrzyżowanie gryfa z gigantycznym pasikonikiem. Krzyknął do pozostałych w obcym, śpiewnym języku, po czym wszyscy

czterej ulecieli, znikając w szarości chmur. Brune dopiero teraz uświadomił sobie, że w czasie gdy rozmawiał z powietrznymi rycerzami, zrobiło się wyraźnie zimniej i zerwał się porywisty wiatr, szarpiąc rzadką trawę.

– Wracajmy za osłony – powiedział trzeźwo Zazel, wychylając się zza najbliższego głazu jak diabełek z pudełka. Utykając na siedmiu łapach, zbliżył się do Marshii. – Dasz radę wstać, pani?

Biss wzbil się w powietrze, falując mackami. Krzyczący podał zmijce dłoń i pomógł jej się podnieść. Stała chwiejnie, wspierając się na jego ramieniu.

– Spaliłeś to obrzydlistwo? – spytała, patrząc na wciąż jeszcze dymiącą plamę wypalanej ziemi.

– Tak.

– To dobrze. Mam nadzieję... – Zakaszła sucho, przyciskając dłoń do klatki piersiowej. – Mam nadzieję, że nie było za późno.

Brune napotkał przestraszone spojrzenie Anavri. Bardzo chciał powiedzieć dziewczynie coś dodającego otuchy, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Wszystko zależało od tego, czy gdzieś tam w dole, w materialnym świecie, nieznany im z imienia srebrny mag zdążył rzucić czar tropiący, zanim ciało wysłannika spłonęło.

* * *

Pół godziny później wszyscy siedzieli w salonie. Marshia, wciąż jeszcze śmiertelnie blada, otulona przyniesionym przez służącą futrzanym pledem, sączyła wzmacniający kordiał. Brune wyglądał niewiele lepiej od niej, ale upierał się, że nic mu nie jest. Zmył z twarzy krew, zażył lucyferię na ból głowy, a teraz oboje z Anavri pili herbatę z miodem. Dziewczyna czuła się chyba najlepiej ze wszystkich, ale dopiero teraz, gdy zagrożenie już minęło, mroziła ją myśl o tym, co mogło się stać. Że tak niewiele brakowało, by ziścił się jej najgorszy koszmar. Srebrni.

– Gdyby zdążył ich zaalarmować, albo gdyby zdążyli stwierdzić, gdzie zginął, już dawno by tu byli – stwierdziła cierpko Marshia, odstawiając czarę. – Sądzę, że tylko węszył i uaktywnił zabezpieczenia, zanim zdążył się zorientować, czyja to enklawa.

– Trzeba się zastanowić, co zrobić z osłonami – odezwał się Zazel,

który siedział z filiżanką w rogu sofy. Ciastek nie dostał, ale był tak roztrzęsiony i pełen zgrozy, że tym razem chyba nawet on nie myślał o jedzeniu.

– Tu nie ma nad czym się zastanawiać – stwierdził Brune. – Zaryzykuję tego Cymmergusa, o którym mówiły sylfy.

Marshia westchnęła.

– To niebezpieczny rytuał, Brune. Znam go. Wymaga niezachwianej koncentracji i olbrzymiej ilości mocy. Obawiam się, że nie jesteś wystarczająco silny. – Powiedziała to nie z charakterystyczną dla siebie nutką złośliwości, tylko z rezygnacją stwierdziła fakt.

– Pozwól mi rzucić okiem na księgę, sam ocenię.

– Och, w porządku, skoro się upierasz. – Skinęła na pannę Nevers. – Lorraine, przynieś tu *Kompendium magii ochronnej*.

Gdy dziewczyna wróciła z opasłym woluminem, Brune, marszcząc brwi, zagłębił się w lekturze wskazanego fragmentu. Po chwili zatrzęsął księgę.

– Dam sobie radę – powtórzył. Marshia wyprostowała się, wyraźnie ożywiona – może kordiał zaczynał działać, a może po prostu irytacja dodała jej sił.

– Zdradź mi, jeśli łaska, z jakiego źródła zamierzasz zaczerpnąć tyle energii życiowej?

– Mam swoje sposoby.

– Czerpanie od żył nie wystarczy. Nie wchłoniesz jednorazowo tyle mocy.

– Wiem.

– A jeśli coś pójdzie źle, ryzykujesz uszkodzenie osłon u siebie, albo wręcz naruszenie konstrukcji twojej enklawy. Cymmergus wymaga rozplecenia węzłów i zdjęcia formuły stabilizującej, to nie są żarty.

– Wiem. – Brune dolał sobie herbaty, tym razem nie dodając do niej miodu. – Starsza siostró, patrzmy trzeźwo na sytuację. Jedyna alternatywa, jaka ci pozostaje, to opuszczenie tego domu i przeniesienie się do materialnego świata, bo nie sądzę, żebyś miała chęć zamieszkać u mnie. Jak mawia jeden mój znajomy z Podziemi, albo rybki, albo...

Zazel kaszlnął. Marshia zacisnęła usta, ale wolno skinęła głową.

* * *

Stara biblioteka w Tay wznosiła się na wyspie pośrodku rzeki, co wyjaśniało, czemu władze miasta jeszcze nie rozwiązały problemu, jaki sobą stwarzała.

Przed kilku laty jej górne piętra strawił pożar. Ocalałe zbiory przeniesiono do nowego gmachu, zaś ruina, dotąd nierozebrana, straszyla osmalonymi dziurami po oknach i zwęglonymi, sterczącymi belkami. Nie ucierpiała jedynie najniższa kondygnacja, gdzie teraz gnieździli się bezdomni, którzy faktycznie zawłaszczyli dla siebie całą wysepkę. Tym to sposobem pośrodku dzielnicy uniwersyteckiej wyrósł wrzód, który w praktyce nie przeszkadzał mieszkańcom aż tak, aby chciano podjąć radykalne kroki. Męty przestrzegały niepisanej umowy ze strażą miejską i za dnia starały się nie leżeć postronnym w oczy. Dopiero nocą na wysepce rozpalano ogniska, a ochryple śmiechy niosły się nad wodą.

Margines, jak wszędzie, pilnował swojego terytorium – na moście zupełnie jawnie siedział typ, wprost reprezentacyjnie odstręczający, który zatrzymywał każdego obcego, pytając, do kogo ma interes. Ponieważ Anavri nie miała ochoty mu się opowiadać, po prostu zdematerializowała się z bulwaru i zmaterializowała w krzakach na wyspie. Tu nawet jako jasnowłosa chłopak mogła się spodziewać zacepek, więc otuliła się czarem niewidzialności.

Cicho jak cień ruszyła ku budynkowi, omijając ogniska i grzejące się przy nich nieapetyczne towarzystwo. Wypatrzyła boczne wejście, którego nikt nie pilnował, a drogę w zawilgoconych, śmierdzących pleśnią i moczem korytarzach odnalazła dzięki zmysłom maga, kierując się tam, gdzie wyczuwała znajomą obecność.

W obszernej piwnicy, której sklepienie wspierało się na filarach, cienie tańczyły po pokrytych zaciekami murach. Na środku, wokół zapalonej świecy zatkniętej w garnuszkę, siedziało sześciu obdartych mężczyzn, podając sobie z rąk do rąk butelkę. Czterech grało w kości, dwaj tylko się przyglądali. Pod ścianą na posłaniach ze szmat spali inni; dolatywało stamtąd pijackie chrapanie. Młoda, rozczochrana kobieta karmiła piersią dziecko. Skądś dobiegł chichocik i odgłos klepnięcia; w mroku między filarami na chwilę zamajaczyły dwie sylwetki, zajęte sobą.

Anavri, nadal niewidzialna, podeszła do pijących. Wiedziała, że

Brune jest wśród nich, rozpoznawała go z daleka po aurze.

Zacisnęła zęby. Bolało ją serce, kiedy widziała go w tym przebraniu i żartującego z tymi ludźmi, jakby czuł się wśród nich na swoim miejscu.

Stała w pewnej odległości i czekała. Była pewna, że Krzyzący także wyczuł jej obecność, ale nie podnosił głowy; słuchał uważnie tego, co mamrotał garbus z bielmem na oku. Pozostali klócili się o wynik ostatniego rzutu. W końcu Brune powiedział coś, na co kompani zareagowali rechotem, i wstał. Ruszył chwiejnie do wyjścia, a Anavri za nim, nadal niewidzialna.

Gdy wyszli na korytarz, jej nauczyciel przestał udawać pijanego.

– Tędy – szepnął, ujmując ją za rękę. Anavri stłumiła wstręt, bo nie zdjął jeszcze iluzji. Pozwoliła się poprowadzić w głąb piwnic. Nagle woń stęchlizny znikła, zrobiło się zimniej, dolatujące z oddali dźwięki ucichły i dziewczyna zrozumiała, że właśnie przeszli przez zakamuflowany portal, utrwalony tak, by nie zanikał po jednokrotnym użyciu.

Rzeczywistość zafalowała i nad ich głowami załśnił księżyc. Stali nad rzeką, która nie płynęła przez żadne ze znanych Anavri miast. Na obu brzegach wznosiły się drewniane domy, czy raczej rudery.

– Gdzie jesteśmy?

– W Gyarze nad Morzem Tęsknot, w dzielnicy biedoty. – Brune czujnie się rozejrzył, lecz byli sami. – Chodź, nie stójmy tu.

– Zdejmij tę przeklętą iluzję – warknęła.

– Nie tutaj. Ty też się jeszcze nie dekamoufluj. Tędy.

Poprowadził ją błotnistą uliczką, gdzie szczury obwąchiwały walające się odpadki. Anavri zacisnęła zęby. Znów zohydził się tak przekonująco, że mogłaby przysiąc, iż wcale nie ma do czynienia z iluzją. Łachmany, włosy w strąkach, w miejscu blizn wstrętny mokry liszaj. Oraz to, czego nienawidziła najbardziej – smród. Odór bezdomności: wódki, śmietników i wżartego w skórę brudu.

Ogarnął ją gniew. Nie pierwszy raz miała wrażenie, że Krzyzący świetnie się bawi, udając degenerata, podczas gdy dla niej nie było w tym nic, ale to nic śmiesznego.

– Mdli mnie, kiedy na ciebie patrzę – warknęła.

– Mogłabyś przestać to widzieć, gdybyś się skupiła – powiedział zmęczonym tonem. – Anavri, co ci mówiłem o strachu?

Zacisnęła zęby, opanowując się z wysiłkiem, żeby nie wykrzyknąć mu w twarz tego, co był w stanie wyczytać z jej głowy bez specjalnego trudu. Gdyby mu zależało.

Tak, na wszystkie demony, mam problem ze strachem! Ze strachem o ciebie! Że pewnego dnia osuniesz się z powrotem w bagno i już tam zostaniesz!

– I jak? Udało się? – spytała chłodno.

– Powiem ci w domu. – Rozejrzał się czujnie. – Tam w bibliotece plątała się taka jedna szuja, co prawie na pewno donosi srebrnym. Mam nadzieję, że mnie nie rozpoznał.

– A mógł?

– Wszystko jest możliwe. – Schylił się i przecisnął przez dziurę w płocie, wchodząc na zachwaszczone podwórze. Anavri chcąc nie chcąc podążyła za nim. Zaledwie znaleźli się pod osłoną chaszczy, jej nauczyciel ujął ją za rękę i zdematerializowali się.

Gdy otwarła oczy, stali na brzegu jeziora w enklawie. Tu było jeszcze jasno, na niebie powoli przygasały barwy zachodu. Brune powrócił do własnej postaci. Z westchnieniem przysiadł na najbliższym głazie, wyjął z kieszeni coś zawiniętego w ciemną tkaninę i rozмотał ją.

– Zobacz – powiedział. Anavri przykucnęła i wzdrygnęła się, czując czarne ciepło emanujące z przedmiotów, które wyglądały jak zwykłe, zaśnieżone monety. Stłumiła instynktowne pragnienie dotknięcia ich, bo nagle przypomniała sobie zwłoki zakatowanej żmijki, które widziała w Kang. Z monet biła ta sama aura, choć słabsza: paląca, odzywająca się mrowieniem na skórze, osadzająca się na języku posmakiem rdzy.

Cierpienie. Cierpienie i śmierć.

– Skąd one są? – spytała powoli, niepewna, czy chce znać odpowiedź.

– W zeszłym tygodniu srebrni aresztowali typka, który handlował różnymi rzeczami. Talizmanami i nie tylko. W podziemiach biblioteki miał swoją skrytkę, w której zostało parę drobiazgów. – Brune podrzucił jeden z miedziaków i złapał zręcznie. – Słyszałaś lub czytałaś o czarnych monetach?

– Nie...

– Więzi się ofiarę, najczęściej dziecko, zmusza do połknięcia kilku

monet, a potem torturuje na śmierć. Gdy ofiara umrze, rozcina jej się brzuch i wydobywa monety. Są nasycone taką dawką czerni...

Urwał, widząc jej minę.

– Proszę, powiedz, że to tylko kolejny twój kretyński żart – powiedziała wolno Anavri, a kiedy pokręcił głową, zerwała się i pobiegła w kierunku granicy enklawy.

– Anavri! – krzyknął. Nie zatrzymała się. Chwilę później powietrze zafalowało i dziewczyna zniknęła, przekroczywszy niewidzialną barierę.

Brune zaklął, schował monety do kieszeni i pobiegł za nią. Przeczuwał, że gdy tylko Anavri opuściła enklawę, zdematerializowała się, i rzeczywiście – po chwili wyczuł w powietrzu gasnące już echo czaru.

Szlag. Podążenie za kimś, kto się zdematerializował, było możliwe tylko w ciągu kilku minut od użycia czaru, i wymagało niebagatelnych umiejętności. On ich nie posiadał – mógł co najwyżej powiedzieć, w której księdze znajduje się instrukcja. Ale nadal miał przy sobie spinkę Anavri, którą zapomniał dziewczynie oddać. Na szczęście.

Zacisnął przedmiot w rękę i sekundę później zmaterializował się na porośniętej niebieską trawą łące, nad potokiem. Anavri siedziała na kamieniu, skulona, obejmując się ramionami. Podniosła zalaną łzami twarz, żeby spiorunować go wzrokiem.

– Wcześniej nie mówiłeś mi takich rzeczy, żebym się przyzwyczyła do daru, oswoiła, tak? Ty skurwielu... okłamywałeś mnie przez tyle tygodni... – Zgarbiła się jeszcze bardziej. – To kiedy zaczniesz mnie uczyć, jak się torturuje dzieci?

– Anavri... – Zawahał się. Rozumiał swój błąd, ale nie wiedział, jak się zabrać do wyjaśnień.

Dziewczyna wyjęła chustkę i wytarła nos. Brune, klnąc w duchu własną głupotę, przykucnął przy niej.

– To mało przyjemna strona Sztuki, wiem – powiedział cicho. – Ale wychodzę z założenia, że jeśli ktoś już nie żyje, to i tak mu nie pomogę. Potrzebuję tej mocy, Anavri. Nie zamówiłbym tych cholernych monet, ale skoro już były do wzięcia, to je zabrałem. Rozumiesz?

– Mógłbyś po prostu zapłacić żył.

– To nie to samo. Żyła to żyła, ale kiedy są potrzebne krew albo

cierpienie... to nie da się ich zastąpić czymś innym.

Anavri znowu siąknęła nosem, kaszlnęła, by zamaskować szloch. Krzyczący wyciągnął do niej rękę.

– Chodź, wracajmy.

– Wrócę, kiedy będę chciała. Zostaw mnie.

– Anavri...

– Zostaw mnie. – Nie podniosła głosu, ale jej źrenice błysnęły sino.

Krzyczący zrezygnował z dalszej dyskusji. Była młodą zmijką, a nie dzieckiem. Sięgnąwszy umysłem w przestrzeń, upewnił się tylko, że w okolicy nie ma niczego, co mogłoby stanowić dla niej zagrożenie, po czym zdematerializował się, wracając do enklawy. Tam zajął się przygotowaniami do rytuału z księgi Cymmergusa – musiał naszykować odpowiednie mieszanki olejków i nauczyć się na pamięć formuł.

Anavri wróciła po dwóch czy trzech godzinach. Bez słowa poszła zrobić sobie kolację. Nie zwracał uwagi na to, czym się zajęła później, ale kiedy wszedł na chwilę do sypialni po zostawione tam czyste arkusze papieru, zauważył, że dziewczyna już się położyła. Nie była na tyle wściekła, żeby spać w kuchni, albo może nie chciała zbyt dobitnie demonstrować, jak bardzo jest na niego obrażona.

Nic nie powiedziała, więc on też milczał.

Późnym wieczorem wreszcie skończył przygotowania i poszedł się wykąpać w jeziorze, by spłukać z siebie zapach pracowni oraz niemiłe wspomnienie starej biblioteki i jej mieszkańców.

Przez chwilę biegał po łące tylko po to, żeby się rozgrzać. Dostyc regularnie fechtował się ze znajomymi zabijakami i zawsze słyszał, że mógłby być sprawniejszy, że za mało się rusza. Nie miał tyle zacięcia ani czasu, by to zmienić, mimo świadomości, że w walce bez magii też powinien sobie radzić możliwie jak najlepiej. Stłumił wyrzuty sumienia w związku z tym. Rozebrał się i wszedł do wody, z trudem chwytając oddech z powodu zimna. Uśmiechnął się, patrząc w czarne niebo. Wróciło do niego mgliste wspomnienie z Hain-Rague, jedno z tych odzyskanych, kiedy jako chłopiec pływał w wartkiej górskiej rzece razem z rówieśnikami, synami dzierżawców.

A potem ujrzał inny obraz. Czy raczej poczuł wszystkimi zmysłami, tak wyraziście, jakby na moment przeskoczył w inną rzeczywistość.

Zimno i zapach morza.

Wchodzę coraz głębiej, zanurzając się w lodowatych falach. Rozpaczliwie pragnę oczyszczenia – dosłownie i w przenośni. Otarcia na nadgarstkach i kostkach – pamiątki od kajdan – pieką i szczypią od słonej wody.

Nad wyspą wstaje świt.

Był słaby – wiedział, że od niedawnej gorączki – i w żalonym stanie. Chudy jak szkielet, pozlepiane włosy, broda. Próbował się wyszorować piaskiem, zmyć z siebie tygodnie tułaczki... i Otchłań.

Czuł słaby, mdlący zapach ropy i zgnilizny wydzielany przez rany na policzku – wciąż jeszcze rwące bólem, do niedawna otoczone plamami martwicy. Zakażenie, którego normalny człowiek by nie przeżył.

A za sobą, na brzegu, wyczuwał obecność. Nawet nie odwracając się, wiedział, że tam są. Dwie sylwetki w szarych szatach.

Demony.

Zdawał sobie sprawę, że to fragment większej historii, która rozegrała się, gdy tkwił w szponach szaleństwa, i której nie chciał sobie przypominać. Odepchnął wizję siłą woli, oddychając ciężko, i wyszedł z wody. Odechciało mu się pływania.

Ubierając się, znów doznał irytującego wrażenia, że ktoś lub coś go śledzi. Przywołał moc, oczy mu zapłonęły. Zmysłami maga szybko omiół najbliższe otoczenie. Nic.

Po chwili wrażenie cudzej obecności zniknęło, a Brune zaklął pod nosem, tłumiąc strach, że dzieje się najgorsze – że szaleństwo wraca.

Nawet o tym nie myśl. Jesteś czarnym magiem, trzymaj się w karchach, do cholery.

Wrócił do chaty i wszedł do sypialni – cichutko, żeby nie obudzić dziewczyny, ale Anavri nie spała. Usiadła.

– I jak? Wszystko przygotowane?

– Powiedzmy – mruknął. Ze znużeniem przetarł oczy. – Sprawdziłem układ gwiazd, oczywiście jest niekorzystny. W cholereę z tym. Lisenius i Zehud wierzyli w astrologię, ja nie.

– A co mówią twoje karty? Sprawdzałeś?

– Pokazują śmierć. – Uśmiechnął się cierpko, zdejmując buty. – Jak przed każdym niebezpiecznym przedsięwzięciem. Pamiętasz,

co mówiła Marshia o wizjach Lorraine? Że patrząc w przyszłość, zawsze widzi się wszystkie możliwe ścieżki.

Anavri zmierzyła go wzrokiem. Zawahała się.

– Sądzisz, że jest szansa, że się uda?

– A jak ci się zdaje? – prychnął. Położył się i przykrył kocem. Dziewczyna nie zadawała dalszych pytań. Czuł jej chłodny dystans, niechęć – i coś mówiło mu, że prędko się to nie zmieni.

No cóż, miał poważniejsze zmartwienia. Znów wrócił myślami do wspomnienia, które go nawiedziło w wodzie.

Demony na brzegu. Dwie sylwetki w szarych, obszarpanych szatach... Stwór o głowie sępa i młoda kobieta.

Drepczyło go wrażenie, że dar usiłuje mu coś powiedzieć, lecz nie wiedział co.

Długo trwało, nim zasnął, ale tej nocy nie śniło mu się nic.

* * *

Aby przeprowadzić operację z osłonami, należało wspiać się na tyle wysoko na któryś z okalających jezioro szczytów, aby móc stamtąd objąć wzrokiem całą enklawę. Odkąd Krzyczący zamieszkał w tym miejscu, zdążył gruntownie spenetrować okolicę, w tym wejść na własnych nogach wszędzie, gdzie dało się wdrapać bez liny – stąd też wiedział, że najlepszym wyborem będzie zbocze najbliższej góry, najeżone głazami, lecz bez przepaści.

Wyruszyli nazajutrz. Teleportacja nie wchodziła w grę, wymagałaby poświęcenia zbyt dużej ilości mocy, podczas gdy liczyła się każda jej odrobina. Dlatego w chłodzie poranka powędrowali najpierw skrajem łagodnie wznoszącej się niebieskawej łąki, nad którą śmigały ważki, a potem zakosami po kamienistym stoku. Widoczne w dole jezioro stopniowo stawało się coraz mniejsze.

Po mniej więcej godzinie marszu usiedli, by odpocząć i napić się wody. Anavri zdjęła słomkowy kapelusz, żeby otrzeć spocone czoło. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy.

– Tam – powiedział zmił, wskazując położoną kawałek wyżej przełęcz, w odpowiedzi na pytanie, którego dziewczyna nie zadała. Wzruszyła ramionami, udając, że całkowicie pochłania ją wpatrywanie się w motyla, który nadleciał z gracją, zatoczył krąg nad

ich głowami i przysiadł na pobliskim głazie.

Był szary jak popiół, bez jednej barwnej plamki. Krzyczący na ten widok poczuł dreszcz, zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy. Gdy ponownie spojrział w stronę motyla, ujrzał tylko pusty głaz. Złowił badawcze spojrzenie Anavri i opanował się, zaciskając zęby.

– Idziemy – powiedział. Wstała posłusznie.

Wyżej teren stał się trudniejszy; szli wolno, mozolnie wybierając drogę pomiędzy rozsianymi wokół mniejszymi i większymi odłamami skalnymi. W końcu stanęli na przełęczy. Chmury wisiały nisko, niektóre z okolicznych szczytów niknęły za ich zasłoną. Było chłodno. Wiatr przybrał na sile, dał krótkimi, gwałtownymi podmuchami.

– Jesteśmy wystarczająco wysoko – stwierdził Krzyczący, spoglądając w dół. Z góry widać było niebieską plamę jeziora, ale nie enklawę, której osłony funkcjonowały tak, jak należy. – Teraz poproszę cię o czerpanie.

Anavri wzruszyła ramionami i posłusznie schyliła głowę. Zacerpnął oszczędnie, uważając, żeby nie sprawić jej bólu. Oстрым kamykiem nakreślił na ziemi krąg i kilka znaków, po czym skropił je kolejno zawartością trzech przyniesionych fiolek. Zapachniało mirrą, piołunem i żabią paprocią. Na koniec wyjął nasyczone czernią monety i ułożył je przed sobą.

– Co mam robić? – spytała dziewczyna.

– Nic. Usiądź z boku i czekaj. – Uśmiechnął się blado. – Gdybym stracił przytomność, ocuć mnie.

Nie brzmiało to optymistycznie, ale Anavri skinęła głową i zajęła miejsce na głazie nieopodal. Po namyśle przesiadła się w miejsce bardziej osłonięte od wiatru, żałując, że nie zabrała płaszcza.

Brune ukląkł w kręgu, zamknął oczy i zastygł na chwilę. Potem zaczął szeptać frazy w języku magów, z których nie rozumiała prawie nic. Trwało to długo, na pewno ponad kwadrans. Anavri skuliła się, wsuwając dłonie w rękawy. Na szczęście po jakimś czasie wiatr przycichł i już tak nie ziębił.

Czekała.

W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że ułożone na ziemi monety straciły swą czarną aurę – nie umiała powiedzieć, kiedy do tego doszło. Jeszcze chwilę wcześniej wyczuwała je darem tak wyraźnie, jakby się żarzyły, a teraz były po prostu kawałkami

zimnego, martwego metalu. To był pierwszy znak, że coś się dzieje.

Brune zamilkł i dłuższy czas trwał bez ruchu. Potem bez słów zaczął kreślić dłońmi znaki w powietrzu. Jego twarz stężała, kilka razy gwałtownie chwycił oddech. Dziewczyna obserwowała go z fascynacją i niepokojem. Czuła, że prądy Zmroczy gdzieś tam wysoko w górze zmieniają się, że zmianie ulega aura wokół miejsca, gdzie siedzieli. Powietrze stało się jakby nieuchwytnie cieplejsze, potem pojawił się w nim słaby ślad zapachu kwiatów. Anavri z drzeniem uświadomiła sobie, skąd go zna – to była woń uwielbianych przez Marsię jaśminowych perfum, która zawsze unosiła się w komnatach willi nad stawem.

Brune znowu szeptał formuły. Potem, nie wstając z klęczek, przywołał ją gestem.

– Użycz mi sił – zażądał ochrypłym szeptem.

Posłusznie skłoniła głowę, a zaraz potem chwyciła oddech i zagryzła usta, żeby nie jęknąć – czerpał tak gwałtownie jak nigdy wcześniej. Ból prześwidrował jej czaszkę od czoła do potylicy, przed oczami zawirowały czarne płatki. Osunęła się w omdlenie.

Kiedy się ocknęła, uderzył ją panujący półmrok. Zapadał zmierzch... a naokoło gęstniała mgła. Szara, wilgotna i lepka.

Anavri usiadła ostrożnie i z przerażeniem zobaczyła, że Krzyczący także leży bez ruchu na ziemi.

Prędko przyklękła obok niego, szukając puls na szyi. Znalazła; jego serce biło normalnym rytmem, oddychał. *Zasnął* – uświadomiła sobie z ulgą. *Zasnął* z wyczerpania.

Potrząsnęła go za ramię, najpierw lekko, potem mocniej. Bez efektu. Zamamrotał niewyraźnie, nawet rozchylił na moment oczy, ale od razu je zamknął i ponownie zapadł w sen. Anavri czuła zmysłami maga, jak potwornie jest zmęczony.

Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić, i doszła do wniosku, że nie mogą nocować w tym miejscu – kto wie, co mogłoby ich zwęszyć, po astralnych rubieżach błąkały się najrozmaitsze paskudztwa, od dusiołków po jadowite grgolice – ale pozwoli mu pospać jeszcze przez chwilę. Tak długo, dopóki nie uda się jej rozproszyć tego mleka, które wisiało wokół.

Przywołała moc i zamknęła oczy, posyłając swą świadomość w górę – tak jak podczas przywoływania wiatru – próbując prześledzić

kierunek prądów powietrza i grubość pokrywy chmur. Szybko dała się porwać znajomej radości, jaką niosło zanurzenie w żywiole, który był jej najbliższy, najbardziej przyjazny. Już nie stała na kamienistym gruncie, tylko śmigała przez chłodne powietrze, lżejsza i zwinniejsza od jaskółki. Wniknąć we mgłę, stać się mgłą, być mgłą i szeptać do mgły, rozkazywać mgle...

Sama nie wiedziała, kiedy ani jak to się stało, ale gdy otworzyła oczy, opary rzedły, odpływały, choć nie rozproszyły się do końca.

Potem, ku jej uldze, Brune się poruszył. Uniósł powieki i jęknął, przyciskając dłoń do czoła.

– Żyjesz? – spytała Anavri.

Pokręcił tylko głową, mamrocząc przekleństwo.

Podawała mu rękę. Dźwignął się i usiadł niezdarnie, potem spróbował wstać, ale zatoczył się i upadłby, gdyby dziewczyna go nie podtrzymała. A potem... ku jej przerażeniu zaczął coś cicho nucić, melodię bez słów.

Potrząsnęła go za ramiona, wtedy zamilkł. Popatrzył na nią zdezorientowanym, szklistym wzrokiem, który sprawił, że poczuła w brzuchu chłód.

– Jasna cholera! Co ci jest?

Nie odpowiedział. Zapatrzył się w przestrzeń, szepcząc pod nosem. Anavri stłumiła ogarniający ją paniczny strach. Od razu pomyślała, że gdy Brune leżał nieprzytomny, coś go opętało, jakiś wrogi byt z astralu. Ale wystarczyło użyć zmysłów maga, by się przekonać, że nie. Był tylko oszołomiony wyczerpaniem – trochę tak, jakby odpływał w malignę bez gorączki.

– Musimy zejść z powrotem – powiedziała, siląc się na spokój. – Dasz radę?

– Musimy... zejść z powrotem – powtórzył cicho, niepewnie. Anavri przestraszyła się, że może powtarza jej słowa bezmyślnie, nie rozumiejąc, ale stłumiła lęk i spokojnie poleciła:

– Weź mnie za rękę.

Zejście nie należało do przyjemnych. Schodzili powoli, krok za krokiem. Brune szedł chwiejnie, jak lunatyk, a dziewczyna wiedziała, że gdyby się potknął, przewróciliby się oboje.

Zapadła noc. Dzięki zmijowemu wzrokowi Anavri nadal rozróżniała kontury skał, ale przywołała czarodziejskie światło, żeby móc

łatwiej odszukać drogę.

Potem zaczęło się dziać coś złego.

Ciemność zgęstniała. Zafalowała, jakby ozywając. Dziewczyna, coraz bardziej spięta, oddychała szybko i płytko. Miała wrażenie, że tuż poza kręgiem światła wyczuwa niematerialną obecność obcych istot, zimną i wrogą. Przybywało ich z każdą chwilą, jakby zlatywały się niczym ptactwo. Potem zdała sobie sprawę, że otaczający ich mrok zaczyna kształtować się w sylwetki – niewyraźne kształty w powiewających, obszarpanych strojach utkanych z cienia. Bezszelestnie podpływały coraz bliżej.

Przywołała moc, zastanawiając się rozpaczliwie, czy piorun Sulpisa zadziała przeciwko ożywionej ciemności. Lecz zanim zdążyła to sprawdzić, zobaczyła, że Brune prostuje się i daje krok do przodu. Oprzytomniał. W samą porę.

– Precz! – krzyknął ochryple, unosząc ręce. Żrenice zabłyśły mu żółto. Cienie pierzchły, roztapiając się wśród nocy.

– Co to było? – spytała drżącym głosem Anavri.

– Nie mam pojęcia. Chodź.

Ruszył przodem, narzucając takie tempo, że miała problem z nadążeniem; jego buty lepiej się nadawały do chodzenia po skałach. Nie odezwał się już ani słowem, ignorując jej pytania, póki nie dotarli do enklawy. Anavri z ulgą wyczuła zmysłami maga, że osłony są nienaruszone. Gdy wreszcie zeszli z ostatniego pagórka i przed nimi ukazało się jezioro – plama głębszej ciemności w mroku – stwierdziła:

– Mam tylko nadzieję, że enklawa Marshii jeszcze stoi.

– Nie było ryzyka, że ją uszkodzę – mruknął Brune. – Tak głupi jeszcze nie jestem. Co najwyżej wzmocnienie osłon mogło się nie powieść.

Anavri wyczuła, że jest zły na siebie. No cóż, bez wątpienia przeliczył się z siłami.

Marshia cię ostrzegala – pomyślała. Ale na twoim miejscu pewnie postąpiłaby tak samo.

W pierwszej kolejności poszli do pracowni. Długą chwilę trwało, nim w zwierciadle pojawiło się coś innego niż płynące kolorowe linie i migoty, ale w końcu tafla ukazała Marshię, stojącą w swoim laboratorium.

– Udało się – uprzedziła ich pytanie. – Brune, jestem twoją

dłużniczką. – Zmierzyła go uważnym spojrzeniem. – Wszystko w porządku?

– Tak – mruknął. Marshia nie wyglądała na przekonaną, ale nie zadawała dalszych pytań. Krzyczący wygasił zwierciadło i zdjął z półki buteleczkę zawierającą ekstrakt z lucyferii.

– Zjesz coś?

Anavri niechętnie skinęła głową. Po całym dniu na świeżym powietrzu była głodna jak wilk.

Kiedy usiedli do spóźnionej kolacji, w powietrzu zawisło zakłopotanie. Wracając myślami do kwestii czarnych monet, dziewczyna z goryczą musiała przyznać w duchu, że życie prędzej czy później zweryfikuje wszystkie jej zasady. Albo będzie pragmatyczna, albo martwa. Nie zamierzała jednak przeproszać za swój wybuch.

Potem dotarło do niej, że żmij przeprosin ani nie oczekuje, ani się ich nie spodziewa. Był niczym ogłuszony – jakby przeżył głęboki szok i jeszcze się z niego nie otrząsnął. Usiadł za stołem i patrzył w przestrzeń. Kiedy w czajniku zagotowała się woda, ocknął się. Zalał zioła dla siebie i dziewczyny, odczekał, aż napar dobrze naciągnie, zażył z herbatą solidną dawkę lucyferii i dopiero wtedy ukroił sobie chleba. Jadł wolno, niechętnie, wyraźnie z rozsądku. Anavri chciała spytać, co się stało tam na przełęczy, ale nie miała odwagi.

Dopiwszy herbatę, bez słowa poszła się położyć. Po zrywie, jakim było rozproszenie mgły, czuła się zaskakująco zmęczona i sen wkrótce otulił ją jak ciężki futrzany pled.

Rano po obudzeniu odkryła, że Krzyczącego nie ma w enklawie. Nie raczył zostawić informacji, dokąd się wybiera. W kuchni na stole leżała jedynie karteczka o treści: *Drugi rozdział Liseniusa, przepytam cię jutro.*

* * *

Wieczorem Anavri już prawie spała, kiedy Brune wreszcie wrócił. Półprzytomnie sięgnęła ku niemu zmysłami maga. Był zmęczony, ale cały i zdrow, co uspokoiło ją na tyle, że postanowiła nie wstawać. Przez mgłę półsnu słyszała, jak dokładał do pieca, a później krzątał się po kuchni, stukając naczyniami.

Zbudziła się na dobre dopiero jakiś czas później, gdy przyszedł

i położył się obok. Wyczuła zapach świeżo wypalonego opium.

– Znowu? – spytała karcąco.

– Co?

– Dobrze wiesz co.

Brune wzruszył ramionami.

– Pogadamy, jak pożyjesz jeszcze kilka lat, młodsza siostrzyczko.

Anavri przełknęła ciętą odpowiedź, którą miała na końcu języka.

– Gdzie byłeś? – zmieniła temat.

– W interesach.

Miał na sobie domowe ubranie i lekko pachniał mydłem – zmysły maga nie potrafiły jej powiedzieć, skąd wrócił. Pewnie znowu z jakiegoś paskudnego miejsca. Odepchnęła tę myśl.

– Anavri – dodał – nie podziękowałam ci jeszcze za to, co zrobiłaś wczoraj na przełęczy. Dziękuję.

Odwróciła się do niego i wsparła na łokciu.

– Miło, że sobie przypomniałeś. – Nie mogła się powstrzymać od drobnej złośliwości. – Nie ma za co.

Zwichrzył dłonią jej włosy, potem ją przytulił. Anavri zamknęła oczy, odchylając głowę do tyłu. Nagle dotarło do niej, jak bardzo stęskniła się za jego dotykiem.

Ich usta spotkały się delikatnie. Brune pocałował ją w szyję; potem, nie pytając o zdanie, rozsznurował jej koszulę. Oddychał nieco szybciej. Anavri zdała sobie sprawę, że czuje w jego aurze znajome, słodkie pragnienie, udzielające się również jej.

– Zawsze sądziłam, że opium w tym przeszkadza – nie darowała sobie.

Prychnął.

– Nie aż tak.

Wzruszywszy ramionami, bez protestu wyswobodziła się z ubrania. Pozwoliła, by ją tulił, chłonęła jego ciepło i sama stopniowo odprężyła się na tyle, żeby przestać myśleć. Był bardziej czuły niż zwykle i wiedziała, że to w pewnym sensie przeprosiny. Za monety i za to, co stało się na przełęczy.

Nie miała już śmiałości dopytywać się, czy opium naprawdę nie zaszkodzi w tych okolicznościach. Rychło przekonała się, że nie zaszkodziło. Nie w wyczuwalnym dla niej stopniu.

Kwestia dawki – usłyszała trochę później rozbawioną odpowiedź

Krzyczącego.

Nakryła dłonią blizny na jego policzku. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że prawie nie czuje drzemiącej w nich czerni – może dlatego, że oboje byli teraz odprężeni, senni i szczęśliwi.

Nagle zamarła, bo zdała sobie sprawę, że odbiera jego uczucia wyraźniej niż kiedykolwiek. Coś więcej niż zachwyty jej ciałem i wilczą więź dwojga wyrzutków. Jednak coś więcej.

I ta świadomość, paradoksalnie, przyprawiła ją o chłodny strach.

24. Cień szaleństwa

Nad enklawą zapadał zmierzch. Na trawie nad jeziorem rozsiadł się spasiony, włochaty, rogaty dusiołek z gołym zadem i pisał fałszywie na wierzbowej fujarce. Gdy usłyszał kroki, zastrzygł uszami i rozejrzał się ciekawie. Wytrzeszczył ślepie i mlasnął łakomie, czując zapach grzybów, a dopiero potem dostrzegł postać w czarnym odzieniu, o świecących źrenicach.

Żmij szepnął coś i powietrze wokół stwora zaiskrzyło się magicznymi wyładowaniami. Dusiołek zaklął plugawie, wywinął koziołka i znikł, pozostawiając po sobie tylko piżmowy smrodek.

– I nawzajem – mruknął za nim Brune. Spędził kilka godzin w prozaicznym ziemskim lesie, w siąpiącym deszczu, szukając muchomorów, które stanowiły główny składnik odurzającej mikstury, jaką zamówił u niego znajomy Marshii, felczer Denigis. W jakim celu, w to już żmij nie wnikał, nie za to mu płacono. Zmarznięty i zmęczony, marzył tylko o tym, żeby ściągnąć mokrą wierzchnią odzież i buty, ogrzać się przy piecu, wypić gorącą herbatę i iść spać.

Nagle przystanął. Nad jeziorem i łączką snuła się mgła. W zapadającym zmierzchu jej pasma przywodziły na myśl sylwetki w zwiewnych szatach.

Brune wziął głębszy oddech. Wróciły do niego obrazy, które ujrzał tam na przełęczy, zanim stracił przytomność.

W mrocznej, wysoko sklepionej sali tłą się pochodnie dające dziwne blade światło, podobne do księżycowego, lecz rozedrgane, co chwila przygasające. Ledwo trzymam się na nogach i ledwo widzę; ból rozdziera mi twarz, kąsa jadowitymi zębami, lecz aura tego miejsca, gorąca od zapiekłego, nagromadzonego przez wieki cierpienia setek tysięcy dusz, dodaje mi sił.

Dziesiątki młodych kobiet w szarych strojach, zwiewnych jak mgła, obserwują mnie lodowatymi niebieskimi oczami.

– *Nie umarłeś – szepcze zakuty w zbroję demon, a jego ślepieia płoną*

sino w szczelinie hełmu. – Przeprowadzono cię do mnie, flecisto. No cóż, widocznie tak miało być. Nie dostałem należnej mi duszy twego ojca, więc wezmę sobie twoją. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Powiew wiatru niosącego drobniutkie krople mżawki przywrócił Krzyżaczemu przytomność, choć nie do końca. Zawieszony pomiędzy rzeczywistością a wizją, zmij w rozpaczliwym odruchu wbił zęby w nadgarstek, a gdy to nie pomogło, płaską dłońią trzasnął się w twarz.

Opanuj się! To mara, złudzenie! Walcz z tym!

Ból pomógł; obrazy zniknęły, mgła znowu była tylko mgłą. Brune podniósł łubiankę z grzybami i pokonał ostatnich kilka kroków dzielących go od chaty, oddychając ciężko jak po wyczerpującym biegu.

Anavri siedziała przy stole w kuchni, ale na szczęście czytała księgę i nie spostrzegła, jaki jest roztrzęsiony. Usiadł przy piecu, otworzył drzwiczki i wpatrzył się w ogień, którego blask i błogosławione ciepło pomogły mu oprzytomnieć do reszty. Po jakimś czasie ochłonął na tyle, żeby nastawić wodę na herbatę, a kiedy dziewczyna wsunęła zakładkę między strony w księdze i spytała, po co mu łubianka muchomorów, zdobył się nawet na to, żeby odpowiedzieć jakby nigdy nic:

– Na paszteciki.

Żywił głęboką nadzieję, że incydent był jednorazowy – że to pokłosie wyczerpującego rytuału na przełęcz. Ale, jak się okazało, prawdziwe atrakcje dopiero miały się zacząć.

Nazajutrz Brune musiał się wybrać do Gyary – członkowie tamtejszego cechu grabarzy zaopatrywali go, nielegalnie rzecz jasna, w tak apetyczne składniki eliksirów, jak zęby i paznokcie zmarłych. Wracając z podłej karczmy położonej przy cmentarnym murze, która była miejscem spotkania, w pewnej chwili przystanął zdziwiony. Po drugiej stronie ulicy zabijano deskami drzwi jednego z domów, a stojący na drabinie miejski pacholek malował na zamkniętych okiennicach biały znak. Na chodniku rozmawiało dwóch dostojnie wyglądających mężczyzn, z których jeden, w długiej szacie i staromodnym birecie, był przypuszczalnie lekarzem (w Gyarze medycy nie nosili, jak nad Zatoką Snów, czarnych szat z dwoma

białymi pasami u dołu). W pewnej odległości zebrała się grupka gapiów.

– Zaraza – objaśnił ponuro jeden z patrzących, barczysty typ w brudnej roboczej odzieży. – Dwoje ich tam już pomarło, a reszta choruje. – Splunął i skrzyżował palce od uroku.

– Oby się to kurewstwo, uchowajcie bogowie, nie rozniosło – dorzucił krępy młodzieniec w zakrwawionym fartuchu i z zakasanyimi rękawami, pewnie czeladnik rzeźnicki, który wyszedł z pobliskiego sklepu.

Brune oddalił się spiesznie, bynajmniej nie dlatego, że obawiał się zarazy. Zaczynało mu się kręcić w głowie, miał wrażenie, że między nim a światem tężeje mętna szyba. Aż za dobrze znał to uczucie.

Przygryzając dłoń, żeby opóźnić bólem odpłynięcie w wizję, rozejrzał się gorączkowo. *Byle nie upaść, nie ściągnąć na siebie uwagi.*

Zdażył usiąść na murku oddzielającym podwórze zaniebanej kamienicy od niezabudowanej, zachwaszczonej działki. Chwilę później już stał na bezludnej ulicy, zasnutej dymem z tłących się stert suchych liści i śmieci. Jak okiem sięgnąć, okiennice były pozamykane; na niektórych widniały wymalowane białe znaki, ostrzegające, że ktoś w tym domu choruje lub zmarł. Na rogu dwa psy obwąchiwały leżącą bezwładnie w rynsztoku postać – Deuven z tej odległości nie mógł poznać, czy to pijak, czy trup.

Ale w tych domach, których właściciele nie wyjechali z miasta ani nie leżeli chorzy, życie toczyło się mniej lub bardziej normalnym trybem. Jak w starym drewnianym domku, przed którym teraz stał. Zza uchylonych drzwi sączył się zapach świeżo upieczonego ciasta, a z głębi, z kuchni dobiegały głucho uderzenia; służąca tłukła mięso na bitki czy kotlety. Brune-Deuven odruchowo dotknął policzka i wyczuł gładką skórę, bez żadnej rany. Zatem to działało się jeszcze przed śmiercią Faivrin.

Niziutka staruszka w schludnej sukni i czepku rozmawiała z nim, co chwila przytykając do nosa ozdobny flakonik ze srebra; medycy twierdzili, że dym, perfumy i wonne olejki chronią przed morowym powietrzem. Wiedział – pamiętał – że to krawcowa, u której (twarz Krzyczącego skurczyła się w tiku – nadal nie umiał sobie przypomnieć jej imienia!) jego ukochana wynajmuje pokój.

– Tak, panienska żyje, dzięki bogom. Pomaga w szpitalu przy

chorych, sypia teraz tam, bo jej po nocy strach wracać przez miasto. Widziałam ją wczoraj rano, przyszła sprawdzić, czy wszystko u nas w porządku.

Potem mętna szyba stopniała, a Brune oklapł, oddychając ciężko. Trzęsącą się ręką sięgnął do kieszeni po woreczek i lufkę. Musiał zapalić opium. Teraz, już, natychmiast. Nie obchodziło go, że znajduje się w obcym, potencjalnie niebezpiecznym miejscu. Musiał się uspokoić, żeby móc wrócić do enklawy.

* * *

Gdyby incydent w górach był jednorazowy, Anavri może by go zbagatelizowała. Ale w kolejnych dniach stało się jasne, że z Krzyczącym dzieje się coś złego. A problem można było podsumować jednym jedynym słowem: opium.

Z dnia na dzień ewidentnie przekroczył niewidzialną granicę dzielącą okazjonalne palenie makowego świństwa od nałogu. Palił je teraz czasem po kilka razy dziennie, a jadł coraz mniej. Chudł niemal w oczach – jego twarz w przeciągu jednego tygodnia stała się ściągnięta, wyniszczona. Niby przez większość czasu był przytomny – przygaszony, o wolniejszych niż zwykle ruchach, ale nieodurzony na tyle, by ktoś z zewnątrz mógł to dostrzec. Z pozoru funkcjonował normalnie – prowadził z nią lekcje, warzył eliksiry i znikał, by dostarczyć je klientom. Jednak Anavri, która dobrze poznała go trzeźwego, widziała, że różnica jest porażająca. Przestał się uśmiechać. Przestał żartować. Czasem nie reagował, gdy do niego mówiła, tylko patrzył przed siebie szklanym wzrokiem. Mroziło ją to, lecz nie miała odwagi nic powiedzieć. Był od niej starszy, bez porównania bardziej doświadczony. Co mogła zrobić, na litość?

Co gorsza, opium nie tłumaczyło wszystkiego. Nie wyjaśniało, czemu – mimo otępiającego działania narkotyku – aurę miał pełną napięcia i lęku. Czemu chwilami zachowywał się tak, jakby czuł się śledzony: oglądał się przez ramię, sprawdzał puste pomieszczenia w chacie, jakby nie ufał zmysłom maga. Czemu niekiedy szeptał do siebie, patrząc w przestrzeń.

Potem którejś nocy Anavri ocknęła się, słysząc podejrzany szmer.

Brune siedział na krawędzi siennika i tasował karty. Twarz miał

martwą. Coś kazało dziewczynie odwrócić się do ściany, udawać, że niczego nie widziała.

Szsz-szsz. Szsz-szsz. Odgłos tasowanych kart jeszcze długo wbijał się w jej świadomość, nie pozwalając zasnąć.

Na tym etapie byłaby już skłonna podejrzewać, że coś go opętało – gdyby nie to, że przecież była zmiękła i wiedziała, że zmysły maga jej nie zwodzą. Cokolwiek go nękało, na pewno nie pochodziło z zewnątrz. I było to, szczerze mówiąc, marne pocieszenie.

Nazajutrz rano, kiedy weszła do kuchni i zobaczyła, że Krzyczący siedzi przy stole z lufką w ręku, nie wytrzymała.

– Co ty wyprawiasz? Boli cię coś? Jesteś chory?

Popatrzył na nią zamglonym wzrokiem.

– Jeśli zapach ci przeszkadza, wyjdź.

– Nie wyjdę. Chcę wiedzieć, po co się odurzasz!

– Źle się czuję, Anavri. Nie tobie jednej dar płata niemiłe figle.

Jawnie przyznał się do słabości – powinna wziąć to za dobrą monetę, ale intuicyjnie czuła, że nie powiedział całej prawdy. Miała ochotę trzasnąć go w twarz, żeby się opamiętał.

– Gdyby teraz pojawiło się niebezpieczeństwo, byłbyś w stanie obronić enklawę?

Brune wystukał popiół z lufki i schował ją do kieszeni.

– Dziewczyno – westchnął – trochę więcej zaufania. Palę opium dłużej niż ty jesteś *ka-ira* i jeszcze żyję, jak widzisz.

Poszedł do pracowni, zaczął rozstawiać retorty na stole i na tym rozmowa się zakończyła. Ale Anavri nie zamierzała dać za wygraną.

Rozważała zwrócenie się do Marshii, ale na razie powstrzymywała ją świadomość, że w pierwszej kolejności powinna być lojalna wobec nauczyciela, którego bądź co bądź sama sobie wybrała.

Krzyczący do popołudnia pracował w oparach siarki, potem zaś, nie wiedząc kiedy, zniknął – oczywiście nie wspominając ani słowem, dokąd się wybiera i kiedy wróci.

* * *

Praczka, starsza kobieta, mieszkała w ubogim domku nad rzeką, wokół którego na sznurach suszyło się mnóstwo bielizny i prześcieradeł. Na podwórku chudy, może dziesięcioletni chłopiec

w połatanej odzieży obierał jarzyny, jednocześnie pilnując prania. W tej drugiej czynności wspierał go wielki żółty pies, który na widok Anavri zjeżył się i zaczął warczeć. Chłopak skarcił go surowo i przytrzymał za obrozę.

Anavri знаła od Krzyczącego historię tej rodziny. Córka praczki zmarła, rodząc trzecie dziecko, zięć pracował jako furman i, jak to furman, pił, przepijając większość zarobku. Dziećmi zajmowała się babka.

W izbie było gęsto od pary. Stojąca przy balii staruszka zaledwie zerknęła na przebraną za chłopca Anavri, na uprzejme powitanie odpowiedziała mruknięciem. Otrzymane pieniądze schowała do stojącego na półce dzbanka z obtłuczonym uchem, po czym odgoniła klappsem płaczące się pod nogami najmłodsze, dopiero uczące się chodzić wnuczę. Nie dziwiła jej prośba, żeby koszule wrzucić od razu do szaflika z mydlinami, bo większość klientów prosiła o to samo. Nawet prości ludzie wiedzieli, że jeśli odzież noszona wprost na ciele dostanie się w niewłaściwe ręce, można jej użyć na przykład do tego, żeby zesłać na właściciela chorobę.

Wyszedłszy stamtąd, Anavri ruszyła w górę błotnistej uliczki, obszczekiwana przez kundły, które węszyły wokół stert śmieci. Starła się zanadto nie rozglądać. Dzielnice biedoty zawsze napępiały ją smutkiem.

– Hej, chłopcze... – usłyszała nagle ochrypły głos. – Miedziaka na chleb...

Obejrzała się i zeszywniała.

Pod murem pobliskiego domu siedział wychudzony ciemnowłosy mężczyzna w łachmanach. Niestary, choć zaropiałe oczy i zapadnięte, beżebne usta dodawały mu lat. Wyciągnął w jej stronę trzęsącą się dłoń.

– Na chleb... – powtórzył.

Dzięki darowi Anavri bez trudu wyczuła w jego aurze charakterystyczne, senne spowolnienie wywołane narkotykiem.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Opanowała się z wysiłkiem. Rzuciła mężczyźnie monetę i spieszenie odeszła.

Wróciwszy do enklawy, ruszyła szukać Krzyczącego. Wiedziała, gdzie go znajdzie; melancholijne dźwięki fletu niosły się z wiatrem.

Żmij siedział na kamieniu nad jeziorem i grał coś trudnego

z rozłożonych na trawie nut. Lekki wiatr rozwiewał mu włosy. W wodzie odbijały się kolory nieba – w enklawie była pora zachodu słońca. Dziewczyna wiedziała z doświadczenia, że kiedy Krzyczący gra, nie należy mu przerywać, więc cierpliwie odczekała, aż wybrzmi ostatnia fraza powolnej, smutnej melodii.

– Hej – odezwała się, kiedy skończył.

Odwrócił się powoli i popatrzył na nią niewidzącym, szklanym wzrokiem. Zmroziło ją.

– Brune?...

Pokręcił głową, jakby budząc się ze snu.

– Ach, to ty. – Uśmiechnął się jakby z przymusem. Kącik ust drgnął mu w tiku. – Wróciłaś tak szybko?

– Szybko? Już prawie wieczór.

– Co ty powiesz? – Popatrzył ze zdziwieniem na czerwieniejące niebo i pokręcił głową. – Zupełnie straciłem poczucie czasu.

Wyjął z kieszeni szmatkę oraz cienki metalowy pręcik i zaczął wycierać wnętrze fletu ze skroplonej wilgoci. Anavri kątem oka dostrzegła poruszenie w kosodrzewinie i odwróciła się szybko. Zdażyła dostrzec, jak dwie mgliste sylwetki o rozwianych włosach ulatują wraz z podmuchem wiatru.

– Burzowe córki – powiedziała. – Widziałeś?

– Czasem zjawiają się, żeby posłuchać – odparł ze wzruszeniem ramion, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Schował flet do futerału i zebrał z trawy arkusze nut. – Chodź. Masz ochotę coś zjeść?

Potaknęła, przetykając ślinę. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od śniadania minęło zdecydowanie zbyt dużo czasu. Cóż, tu nie dysponowali towarzystwem Zazela, który nie tylko korzystał z każdej okazji, żeby skosztować coś smacznego, ale również pilnował, aby wszyscy wokół jedli o regularnych porach.

– Jest zimna pieczona baranina – poinformował Brune, po czym przestał się odzywać i zatonął w rozmyślaniach. Dziewczyna zrezygnowała z prób zagadywania go. Stłumiła chęć, żeby kąśliwie spytać, czy przy okazji wizyty w materialnym świecie uzupełnił też zapas makowej trucizny.

Wrócili do chaty. Pieczeń okazała się smaczna, z ziołami; były też świeży chleb, masło i marynowane oliwki, ale Anavri mimo głodu

przełykała z trudem. Nie umiała przestać myśleć o żebrzącym nieszczęśniku z Gyary.

Mimochodem zauważyła, że w kuchni panuje ład, a zapas poukładanych obok pieca szczap, których rano zaczynało już brakować, znów urósł. Ogień trzaskał w palenisku, pochłaniając świeżo dołożone drewno. Byłoby miło i przytulnie, gdyby nie...

Gdyby nie narastający w niej strach, że to wszystko jest równie nietrwałe jak bańka mydlana.

Krzyczący jadł w milczeniu, a potem wsparł głowę na rękach, wyraźnie błędząc myślami gdzieś daleko. Ale był trzeźwy i wydawał się spokojny, jakby zyskał chwilę wytchnienia od tego czegoś, co go dręczyło w ostatnim czasie. Anavri w końcu odważyła się wypowiedzieć na głos pytanie, którego dotąd nie potrafiła mu zadać.

– Brune, powiedz mi, ale tak szczerze, co ci jest?

Przetarł twarz i spojrzał na nią jak obudzony ze snu.

– To znaczy?

– Wiesz, o czym mówię.

Pokręcił głową.

– Nie rozumiałabyś.

– Czemu?

Nieoczekiwanie pocałował ją w czoło. Wyczuwała w jego aurze smutek i coś jeszcze – coś chłodnego, twardego, co kojarzyło się jej z zamkniętymi na kłódkę drzwiami. Bariera. Zadbał o to, by nie mogła niczego wyczytać z jego myśli, nawet przypadkiem.

– Nie rozumiałabyś, siostrzyczko – powtórzył. – Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Wstał i poszedł do sypialni, więc Anavri również. Po cichu liczyła jeszcze na przyjemne zakończenie wieczoru. Kiedy Krzyczący sięgnął po woreczek z brunatnymi grudkami, miała ochotę odwrócić się na pięcie, wybiec na dwór i się rozpłakać.

– Nie pal dziś tego świństwa – powiedziała. – Proszę.

Ignorując ją, przywołał płomyk, żeby ogrzać lufkę. Anavri usiadła na sienniku. Z zaciśniętymi zębami patrzyła, jak Brune wdycha słodkawy dym, a jego spojrzenie powoli staje się zamglone, oślepiałe.

– Co byś zrobił, gdybym poprosiła, żebyś mnie poczęstował? – spytała zaczepnie.

Wzruszył ramionami.

– Odmówiłbym.

– Widzisz, a sam co robisz?...

– Kiedy nie potrzebuję, nie palę – mruknął. Anavri patrzyła na niego z rezygnacją. Wiedziała, że Brune za nic w świecie nie przyzna, że ma problem z opium, a co dopiero, że jest chory.

I co ja powinnam z tym zrobić, do cholery? Powiedzieć Marshii? Co to da? Zwłaszcza teraz...

Krzyczący odłożył lufkę z pozostałościami niedopalonej działki. Przesunął dłonią po policzku dziewczyny, objął ją. Jego ubranie i włosy przesiąkły przeklętym kadzidlany aromatem.

Mimo to Anavri nie znalazła dość silnej woli, żeby się odsunąć.

Przytuliła twarz do jego twarzy, nie zwracając uwagi na tygodniowy zarost. Przypomniała sobie, jak pewna była jeszcze niedawno, że wszystko jest dobrze, że w pewnym sensie los nawet się do niej uśmiechnął. A teraz chłodny, rzeczowy głos szeptał jej, że jeśli Brune jakimś cudem się nie otrząśnie i nie zacznie walczyć z nałogiem, wkrótce trzeba będzie się zastanowić, co dalej.

Gdyby pił, nie zastanawiałabyś się, prawda?

Żmij puścił ją i wyciągnął się na posłaniu. Jego oddech wkrótce stał się spokojny, miarowy – opium i zmęczenie zrobiły swoje.

Anavri odczekała jeszcze chwilę, by mieć pewność, że go nie obudzi, potem ostrożnie wstała. Zabrała swój koc i przeszła do kuchni. Czuła, że zaczyna ją dławić niemy, niewysłowny ból.

Dotarło do niej to, co kiedyś w gniewie rzuciła Marshia o byciu *ka-ira* – że albo giniesz młodo, i tak jest może łatwiej, albo patrzysz przez całe życie, jak ludzie umierają wokół ciebie. I że na końcu każdej ścieżki zawsze pozostanie sama.

Skulona na ławie przy stygnącym piecu, płakała cicho, aż zabrakło jej łez.

* * *

Śniła, że spaceruje z Fabieniem nad brzegiem szarego morza, pod pochmurnym niebem, a w górze, skwirząc, krążą mewy. Brat miał na sobie czarne ubranie i śnieżnobiałą koszulę z koronkowymi mankietami, twarz sinoblada, a oczy ciemne i puste – bez białek, bez tęczówek, bez niebieskawego błysku w źrenicach. Wiedziała, że jest

martwy, ale cieszyła się, że znów go widzi, choćby przez chwilę.

– Pamiętaj, siostrzyczko, nigdy nie zostaniesz sama. Ja będę z tobą już zawsze – powiedział w pewnej chwili, uśmiechając się w sposób, który wzbudził w Anavri niepokój.

Potem pogładził ją po policzku chłodną dłonią, a ona zbudziła się, dygocząc, zmarznięta mimo grubego wełnianego koca.

Gdy przypominała sobie poprzedni wieczór, do oczu znów napłynęły jej łzy. Pomyślała gorzko, że dałaby wszystko, by móc wrócić do domu – do willi w Shan Vaola albo do wiejskiej posiadłości nad morzem... Wiedziała jednak, że to nie wchodzi w grę. Srebrni czuwali, nie mogła ściągać zagrożenia na ojca. Zresztą nie wiedziała nawet, czy przebywa teraz w Shan Vaola, czy dokądś wyjechał.

Wyjrawszy przez okno, przygryzła wargę, widząc, że wszystko tonie w mleku. Odkąd Brune zaczął chodzić odurzony od rana do wieczora, coś dziwnego działo się z pogodą w enklawie – z gór coraz częściej schodziły mgły i wisiały nad jeziorem przez większość dnia.

Drgnęła, kiedy drzwi się otworzyły i Krzyczący wszedł do kuchni, przecierając oczy. Włosy miał zmierzwione, a spojrzenie nieprzytomne. Nie patrząc na dziewczynę, bez słowa jął układać drwa w piecu. Podłożył garść połamanych drobniejszych gałązek oraz brzozonej kory i wyszeptanym słowem sprawił, że podpałka zajęła się ogniem. Przymknął drzwiczki, za którymi płomienie coraz bardziej łakomie lizały drewno, otrzepał ręce, usiadł przy stole i tępo zapatrzył się przed siebie.

Anavri z daleka wyczuła otaczającą go mgiełkę słodkawego zapachu i poczuła, że jej smutek przemienia się w zimną wściekłość.

– Paliłeś? Znowu?

– Daj mi spokój – powiedział bezbarwnym tonem. Przetarł twarz, pokręcił głową, po czym wstał i wziął puste wiadro, żeby przynieść wody.

Anavri biła się z myślami. Instynkt podpowiadał jej, żeby zrobić awanturę, potrząsnąć nim, sprawić, żeby się wreszcie opamiętał. Jednak cierpka intuicja zmijki szeptała, że co jak co, ale tupanie nóżką tu nie pomoże. Dlatego reszta poranka upłynęła w napiętym, lodowatym milczeniu – przynajmniej z punktu widzenia dziewczyny, bo otumaniony narkotykiem Brune był znieczulony na niuanse.

Śniadanie zjadła sama – on, oczywiście, nie przełknął ani kęsa,

napił się tylko herbaty. Kiedy Anavri usiadła później na ławie z księgą i usiłowała się uczyć, na chwilę zajrzał do kuchni, mówiąc:

– Mam sprawy do załatwienia. Wrócę wieczorem.

Fakt, że – jeśli pominąć mętne, szkliste spojrzenie – ubrany schludnie, w świeżej koszuli i z porządnie związanymi włosami, wyglądał teraz normalnie, jeszcze rozjątrzył w niej wściekłość. Udawał zdrowego tak przekonująco, że oszukiwał nawet samego siebie.

* * *

Do wieczora emocje Anavri zdążyły przygasnąć, przemienić się w rezygnację. Brune znowu wrócił późno. Cały i zdrowy. Nie zagadywała do niego, nie miała siły. Odnotowała jedynie, że tym razem położył się spać, nie sięgając po narkotyk.

Nie dziś, to jutro – pomyślała ponuro.

Nazajutrz rano ocknęła się na pustym sienniku. Kiedy poszła do kuchni, Brune siedział przy stole, ubrany tak, jakby było mu zimno – w kurtce narzuconej na tunikę. Nie napalił w piecu, ale drzwiczki stały otworem, a obok leżało drewno, jakby zabrał się do rozpalania i coś mu przerwało. Włosy miał mokre po kąpieli w jeziorze, a spojrzeniem, jakżeby inaczej, błędził w nicości. W Anavri znowu wezbrała bezsilna kobieca wściekłość.

– Słuchaj no...

Nawet się nie obejrzał. Szeptał coś, patrząc w przestrzeń, zupełnie jak Lorraine, gdy spadały na nią wizje.

Anavri zacisnęła pięści, czując, że coś w niej pęka. Choć nie była tego świadoma, w jej źrenicach zapełgały sine ogniki. *Dość tego. Mam dość, Brune. Nie wiem, co ci zrobię, ale przysięgam, że...*

I w tejże sekundzie coś sobie uświadomiła. Wbrew temu, co pomyślała w pierwszej chwili, Brune wcale nie był pod wpływem opium. Tego ranka jeszcze nie wypalił ani odrobiny. Nie zażył też żadnego innego specyfiku. Zmysły maga nie mogły kłamać w tej kwestii. Był trzeźwy. I szeptał do siebie, rozmawiając z powietrzem.

Kiedy Anavri to sobie uzmysłowiła, spłynęło na nią chłodne olśnienie. Zamarła, nareszcie łącząc fakty w całość. Dotąd składała wszystkie dziwne zachowania Krzyczącego na karb opium, ale teraz

przecież nie był pod wpływem narkotyku – czuła to zmysłami maga! – a mimo to...

Dopiero teraz dotarło do niej, że opium może wcale nie być przyczyną problemu, tylko rozpaczliwą – i z góry skazaną na niepowodzenie – próbą radzenia sobie z nim.

Pobiegła do pracowni. Na podłodze stał częściowo rozmontowany zestaw do destylacji oraz wiadro z mydlinami, w którym moczyły się brudne szklane naczynia. Zaczęła przepatrywać półki w poszukiwaniu grymuaru Loebiusa. Znajdował się tam rozdział o zagrożeniach związanych z czernią, który tylko raz przejrzała; nie czytała go w całości, bo traktował o rzeczach, nad którymi wołała się nie zastanawiać.

Znalazłszy księgę, przerzucała strony, dopóki nie odszukała właściwego fragmentu. Przeczytawszy go, długą chwilę siedziała bez ruchu.

Wszystko pasowało. Przyzwyczajona ufać Krzyczącemu i traktować go jak autorytet, zignorowała kielkujące objawy choroby, o której wiedziała niewiele, ale dość, by panicznie się jej bać. Szaleństwo czarnych magów, choroba głosów.

Ta wiedza paradoksalnie ją uspokoiła. Znając wroga, łatwiej z nim walczyć. Anavri jeszcze przez chwilę zbierała myśli, przygotowując się mentalnie do tego, co musiała zrobić, a potem wróciła do kuchni. Krzyczący nadal siedział bez ruchu, gapiąc się w przestrzeń. Stała przy nim.

– Brune?...

Tym razem się ocknął. Zamrugnął i powoli odwrócił się do niej.

– Tak?

– Posłuchaj mnie, tylko się nie złość – ciągnęła, zmuszając się, żeby mówić cicho i spokojnie. – Wiem, na co jesteś chory.

– Nie jestem chory! – zachnął się, przytomniejąc w mgnieniu oka.

– Jesteś. Potrzebujesz pomocy. Proszę cię, powiedz o wszystkim Marshii. Ona będzie wiedziała, jak...

– Nie jestem chory! – powtórzył z gniewem. – Psiakrew, nic nie rozumiesz!

Przetarł dłońmi twarz i wziął głęboki oddech.

– Anavri, jeśli chcesz, wróc do Marshii. Ale proszę, nie mów jej, że coś jest nie tak. Powiedz, że cię odesłałem na kilka dni, że pracuję.

– Nie. – Ujęła go za ramiona, zmuszając, żeby popatrzył jej w oczy.
– Nie ma mowy. Nie zostawię cię tu w takim stanie.

Strząsnął jej rękę.

– Niby w jakim? O co ci chodzi, psiakrew!? Wyglądam jak ktoś, kto sobie nie radzi? – Wstał. Anavri patrzyła na niego ze smutkiem. Na końcu języka miała odpowiedź: „Tak, Brune, wyglądasz”. Przez ostatni tydzień czy dwa wychudł tak, że przypominał szkielet. Oczy miał zaczerwienione i podkrążone, twarz ziemistą, dłonie mu dygotały.

– Jeśli chcesz, wróć do Marshii – powtórzył. – Ale proszę, nie mów jej.

– Potrzebujesz pomocy! – krzyknęła. – Niech to w końcu do ciebie dotrze! Nie dość, że jesteś uzależniony od przeklętego opium, to jeszcze zaczynasz wariować od daru!

Roześmiał się zimno.

– Anavri, widziałaś kiedyś kogoś, kto naprawdę ma problem z opium? Albo z lucyferią, wódką czy czymkolwiek innym? – Wziął ze stołu sakiewkę i potrząsnął nią. – Proszę, należność za lisi olejek naszykowany dla cechu złotników w Ponte Auria! Zrobione i oddane na czas!

– Tak, widziałam, jaki wczoraj byłeś przytomny, kiedy się wybierałeś do materialnego świata. Uważaj, bo jak uśniesz na ulicy, to jeszcze znów cię jacyś śmieciarze przygarną – wypaliła, nim zdążyła pomyśleć.

Żrenice Krzyczącego zapłonęły. Zważył sakiewkę w dłoni, po czym z całej siły cisnął nią o ścianę. Monety z brzękiem posypały się na podłogę. Bez słowa wyszedł z kuchni, po drodze rąbnawszy jeszcze pięścią we framugę. Drzwiami nie trzasnął, bo były podparte kawałkiem drewna, żeby nie zamykał ich przeciąg.

Anavri wypuściła wstrzymywany oddech. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nieświadomie postawiła tarczę. Rozproszyła czar, zastanawiając się, czy Brune mógłby do tego stopnia stracić panowanie nad sobą, żeby ją zaatakować. Czy powinna się go teraz bać.

Tylko tego mi brakowało. Zbierało się jej na płacz.

* * *

Rozdygotany i wściekły, Krzyczący wszedł do pracowni i uaktywnił portal w zwierciadle. Naprawdę ostatnie, na co miał teraz ochotę, to tłumaczenie kolejnej osobie, że nie jest chory na to, co wszyscy próbują mu wmawiać, i nie potrzebuje leków wytłumiających dar.

Nie słyszę głosów! Nie mam dziwacznych urojeń! Jestem w stanie jasno myśleć i wysławić się do rzeczy!

A potem tknęła go chłodna, trzeźwiąca myśl.

Nieważne, jak nazwiesz chorobę. Ważne, jakie są jej skutki.

Wkroczył w portal, nie podając zwierciadłu celu podróży, zdając się na dar. Gdy otworzył oczy, ujrzał, że stoi na brzegu leniwie płynącej, brudnej rzeki, a po obu jej stronach wznoszą się ubogie drewniane domostwa. Gyara. Miejsce równie dobre jak każde inne.

Naciągnął kaptur dla ochrony przed siąpiącym deszczem i szedł przed siebie brzegiem wody, póki nie ochłonął do reszty. Dotarło do niego, że jeśli on sam jest przerażony, to trudno, żeby Anavri się nie bała, nawet jeśli bała się nie tego, co trzeba.

Sam przed sobą musiał to przyznać: było coraz gorzej. Mroził go strach, że lada dzień zatraci kontakt z rzeczywistością, odpłynie już na stałe za tę mętną szybę, która coraz częściej odcinała go od świata. Znowu będzie poruszającą się niemrawo kukłą, pozbawioną zdolności myślenia, niepotrafiącą sklecić zdania.

Pamiętał, jak odzyskał świadomość w podziemiach Shan Vaola, wśród odmieńców, którzy go przygarnęli zagłodzonego i w łachmanach – nigdy się nie dowiedział, po ilu tygodniach czy miesiącach błąkania się. Pamiętał, z jaką zgrozą i obrzydzeniem odkrywał, dokąd trafił, jak dokumentnie się stoczył. Sam wiedział najlepiej, jak bardzo boi się powtórek; że kiedyś znów ocknie się w jakimś obcym mieście, samotny, bez niczego, z szarą plamą zamiast wspomnień. Albo się nie ocknie, tylko resztę życia spędzi, błakając się po gościach, brudny, zawszony, obdarty i otępiały.

I opium w tym wszystkim było naprawdę najmniejszym problemem. Palił je, bo po nim czuł się spokojniejszy i – paradoksalnie – bardziej przytomny. Bo pomagało zapanować nad gonitwą myśli, nad lękami, bo pozwalało pracować i pomagało zasnąć. Gdy przestanie go potrzebować, odchoruje kilka dni złego samopoczucia i tyle. Ćwiczył to już.

Wiedział, że potrzebuje pomocy, ale nie miał pojęcia, jak ją uzyskać.

Teoretycznie istniały dwie czy trzy osoby, do których mógł się zwrócić o radę, ale przewidywał, co usłyszy – leki. Leki wytłumiające dar. A to nie było żadne rozwiązanie.

– To nie jest żadne rozwiązanie! – powiedział na głos i aż się wzdrygnął, a potem rozejrzał z niepokojem, ale w zasięgu wzroku nikogo nie było. Znajdował się akurat obok poczerniałego ze starości pomostu, do którego uwiązano dwie łódki. Rzeka z cichym chlupotem lizała pale. Zdał sobie sprawę, że odruchowo sięga darem w przestrzeń, poszukując śladów obcej obecności, tego chłodnego, niemile znajomego poczucia, że ktoś go śledzi.

Wzdrygnął się i czym prędzej zawrócił. Wspiął się po błotnistej skarpie i ruszył wydeptaną w pokrzywach ścieżką w stronę ulicy. Chciał do ludzi – to dziwne, ale wśród nich czuł się bezpieczniej.

Prawie potknął się o chrapiącego wśród chwastów typa w łachmanach, obok którego leżała pusta butelka. To mu przypomniało, gdzie przebywa, i sam spowił się iluzją, przybierając postać brudnego żebraka. Nie był w nastroju na konfrontację z miejscowymi, łakomiącymi się na jego porządne ubranie albo buty. A potem pomyślał, że w zasadzie, skoro już tu się znalazł, to równie dobrze może uzupełnić zapas makowej trucizny – w Gyarze miał jej sprawdzone, tanie źródło.

Odnalazł na wpół zrujnowaną kamieniczkę, gdzie w suterenie mieściła się palarnia opium, i dokonał na zapleczu transakcji z właścicielem – sędziwym, zasuszonym jak mumia Nedgvarczykiem. Jak było do przewidzenia, unosząca się w przybytku słodkawa woń dymu obudziła w żmiju znajome, dojmujące pragnienie, lecz je stłumił.

Nie tutaj, na litość. I na ulicy też nie. Odrobina samokontroli, na to cię jeszcze chyba stać.

Pospiesznie opuścił palarnię, starając się nie patrzeć na wychudzone, niechlujne postacie, które kulily się na pryzkach, pociągając z fajek. Dotykając schowanego pod kurtką skórzanego woreczka, pomyślał ironicznie, że opium o zachodzie słońca w enklawie to nie najgorszy plan na wieczór, zwłaszcza że Anavri jest na niego wściekła.

Ale los chciał inaczej.

Wracając, Krzyczący w pewnej chwili ujrzał snujący się błękitnawy dym i poczuł gryzącą woń palonego papieru. Rozglądając się

w poszukiwaniu jej źródła, stanął jak wryty. Jego wzrok padł na murowaną kapliczkę, gdzie stał posązek bóstwa w długich szatach, z obliczem zniszczonym przez deszcze i mrozy – może Araya, może Leleya, może Sabel. U stóp figury leżał zwiędły bukiet oraz karteczki z wypisanymi modlitwami, których całą garść, zgodnie ze starym obyczajem, złożono w żelaznym koszyczku i podpalono. Jedne tliły się jeszcze, z innych pozostał jedynie siwy popiół, rozwiewany przez wiatr.

Popiół...

Brune zdążył tylko poczuć chłodne ukłucie strachu, nim od rzeczywistości znów odgrodziła go mętna szyba.

Popiół pokrywający dłonie, palce... osypujący się szarawymi płatkami...

Na moment oparł się o drewnianą ścianę najbliższego domu, oddychając ciężko. Potem ruszył dalej – teraz chwiejnym, niepewnym krokiem, lekko się zataczając. Iluzja się nie rozwała, więc dwóch zbirowatych typów, którzy wyłonili się zza rogu, minęło go bez drugiego spojrzenia. Ot – pijany bezdomny włóczęga, jeden z wielu.

Żmij w ogóle ich nie zauważył.

Nogi uginały się pod nim, więc usiadł na bocznych schodach jakiegoś budynku, pod poskrzypującym na wietrze szyldem golibrody, obejmując się ramionami. Ręce mu dygotały.

– Pamiętam – wyszeptał do siebie, a w oczach zabłyśły mu łzy.

* * *

Pamiętał.

Nie mógł sobie tylko przypomnieć jej imienia.

Była adoptowaną córką nieżyjącego już alchemika. Zarabiała na życie, kopiując stare pergaminy i księgi pisane ideogramami, których nie można powielać techniką drukarską.

Pamiętał jej niebieskie oczy, skromne czarne suknie, drobne dłonie poplamione atramentem. Jej głos, kiedy bez zająknięcia czytała fragmenty starożytnych traktatów medycznych, kronik i przypowieści o bogach.

Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia ani tego, kiedy ją poznał – może na studiach, może później... Miał niejasne wrażenie, że nie

pochodziła z Ri Talma i że w jego wspomnieniach brakuje kluczowych elementów, bez których to, co teraz widzi, to ledwie kilka odłamków ze strzaskanego witrażu. Narratyw, z którego wycięto główny wątek, pozostawiając pojedyncze wyrwane z kontekstu epizody.

Pamiętał za to czystą lnianą pościel na jej łóżku, zapach brzoskwiń i kwiatu pomarańczy – perfum, które dla niej sporządził. A także noc w pierwszym tygodniu po wybuchu zarazy, kiedy obcięła warkocz i spaliła go w kominku, wypowiadając formuły w języku, który nie był mową magów. Czar ochronny, tak jak krąg soli z trzema świecami; na tyle prosty, by mogła go użyć nawet fałszywa magini – bo daru nie posiadała, tego był prawie pewien.

Ale nie obawiała się jego źrenic.

I pamiętał okoliczności, w jakich zmarła.

Przyszedł do niej bezpośrednio po pogrzebie Faivrin, do izby, którą wynajmowała na przedmieściu, tak jak przychodził wcześniej już nieraz. Właścicielka domu potrzebowała pieniędzy z czynszu i nie interesowało jej, z kim spotyka się milcząca, nosząca żałobę lokatorka – tak długo, dopóki był to jeden dyskretnie się zachowujący mężczyzna, a nie co noc inny.

Szczęśliwie dzięki darowi rana na policzku, która u zwykłego człowieka niechybnie zaogniłaby się, powodując gorączkę, może nawet zagrażając życiu, Deuvenowi nie doskwierała aż tak bardzo. Odpowiednio dobrane zaklęcie zastąpiło szwy. Oko mu zapuchło, a mówiąc, z trudem poruszał ustami, ale makowa żywica tłumiała ból.

Nie wiedział, czy zastanie dziewczynę – wiedział, że poprzednie dni spędziła w szpitalu, pomagając przy chorych, jak wiele innych ochotniczek, które nie posiadały rodzin. Został. Leżącą na łóżku w ubraniu, ledwie żywą, płonącą od gorączki i z oczami powleczonymi mleczną, lśniącą błoną. Łamanym głosem bredziła coś o demonie, który sprowadził zarazę na miasto, o walce, o tym, że został pokonany... Gospodyni, która bała się nawet wejść do pokoju, wyjąkała jedynie, że poprzedniego wieczoru panienska była jeszcze zdrowa. To znaczyło, że jest bardzo źle; gdy choroba rozwijała się tak błyskawicznie, ślepica zabijała zwykle w ciągu dwóch dni, najdalej trzech.

Deuven podjął jedyną decyzję, jaka wchodziła w grę – został, żeby zaopiekować się chorą. Wciąż jeszcze jak ogłuszony po śmierci Faivrin,

oszołomiony opium, które palił od czasu jej pogrzebu, żeby móc jakoś funkcjonować – nie myśleć, nie rozpamiętywać, nie czuć – działał teraz z pozoru trzeźwo, spokojny i opanowany. Skupił się na tym, żeby ulżyć umierającej. Nie miał yadhmarskiej kory – zapasy w miejskich aptekach skończyły się już dawno – więc żeby obniżyć gorączkę, musiał przestać na najprostszych środkach. Zimne okłady na czoło, szyję i dekolt, pojenie chłodną wodą.

Rychło pojął, że przegra tę walkę i że przegra ją już wkrótce. Stan dziewczyny pogarszał się z godziny na godzinę. Oddychała z coraz większym trudem, chrapliwie. Co jakiś czas dopadał ją suchy, uporczywy kaszel, po którym długo nie mogła złapać tchu.

Potem majaki powróciły. Bredziła o szarej krainie, o wietrze, który sypie w oczy popiołem. Po jakimś czasie uspokoiła się; wydawało się, że zasnęła. Deuven wiedział dostatecznie dużo na temat ślepicy, by się nie łudzić, że to oznaka polepszenia.

Położył się obok chorej, objął ją delikatnie. Nic innego nie mógł zrobić. Zamknął oczy. Był tak piekielnie zmęczony.

Choć później miał tego nie pamiętać, śnił o mgle. Otulała cały świat, zimna i nieprzyjazna. Wędrował przez mgłę, nawołując, lecz nie odpowiadało mu nawet echo.

Gdy się ocknął, w pierwszej chwili poczuł się zdezorientowany. Nie mógł zrozumieć, czemu czuje coś sypkiego pod palcami i na twarzy. Potem stopniowo dotarła do niego okropna świadomość, że dziewczyna nie oddycha. Otworzył oczy.

Trzymał w ramionach coś przypominającego niekształtną kukłę, ulepioną z popiołów... Krzyknął zduszonym głosem i puścił to, a wtedy rozkruszyło się do szczętu, rozsypało w proch.

* * *

Brune ukrył twarz w dłoniach i płakał bezgłośnie, bez szlochu, tylko ramiona mu drżały.

* * *

Anavri nie oczekiwała, że zmij po kłótni szybko wróci. Gdy nie pojawił się wieczorem, z irytacją pomyślała jedynie, że widocznie obraził się

bardziej, niż sądziła. Ale rano, gdy się zbudziła, w chacie nadal było pusto. A kiedy poszła do kuchni i nie znalazła tam żadnych śladów nocnej bytności właściciela, naprawdę się zaniepokoiła.

Poszła do pracowni i po dłuższym zastanawianiu się nad formułami nakłoniła zwierciadło, aby pokazało ostatni cel podróży. W tafli ukazały się podle wyglądające drewniane domy nad rzeką o leniwym nurcie. Gyara.

Myśl logicznie, dziewczyno. Jeśli wybrał się tam odurzony opium, teoretycznie mogło go spotkać wszystko – od napaści rzezimieszków poczynając, a skończywszy na wpadnięciu w ręce srebrnych magów. Ale jeżeli stało się najgorsze, to i tak nie można mu już pomóc. A jeśli po prostu po raz kolejny zatracił kontakt z rzeczywistością, wszedł w ten dziwny, podobny do transu stan, który nie dawał się wytłumaczyć samym tylko działaniem narkotyku, może jeszcze nie jest za późno.

Pomyślawszy nad tym chwilę, Anavri uspokoiła się. Szybko skompletowała ekwipunek. Szarfa z symbolami, ukryta pod tuniką. Sztylet, iluzja na twarz.

Jeśli się okaże, że od wczoraj palisz opium w jakiejś speluncie, straciwszy rachubę czasu, przysięgam, że obedrę cię ze skóry.

Z bijącym sercem stanęła przed zwierciadłem, wyszeptała formułę uaktywniającą portal, po czym wkroczyła w wirujący chaos kolorów.

Gdy świat wokół niej ponownie ułożył się w materialne kształty, ujrzała, że znajduje się na przedmieściu Gyary. Naokoło wznosiły się ponure domy czynszowe o śmierdzących podwórkach, a ulicę pokrywało grząskie, obrzydliwe błoto. Dwie świnie ryły w stercie odpadków.

Anavri przymknęła oczy, uspokajając bijące serce. Przebadała otoczenie zmysłami maga, stopniowo sięgając coraz dalej, cofając się z obrzydzeniem, ilekroć wewnątrz obskurnych domostw natrafiała na jaźnie mieszkańców. Biedota i szumowiny, pijacy, prostytutki... Nagle drgnęła.

Brune znajdował się gdzieś w pobliżu, bliżej niż się spodziewała. Żywy i zdrów – przynajmniej fizycznie. Skupiła się, próbując określić kierunek.

Tam.

Ruszyła przed siebie z przymkniętymi oczami, całkowicie skupiona

na śledzeniu ulotnego tropu, odbierając rzeczywistość jako srebrzysto-czarny wzór aur. Pozwoliła, by jej stopy instynktownie wybierały drogę; dar na szczęście w takich sytuacjach przejmował prowadzenie i nie płatał brzydkich figli, nie musiała się obawiać, że za chwilę się potknie i wyląduje na czworakach w zmieszonym z nieczystościami błocku.

Skręciwszy za róg, otwarła oczy i stanęła jak wryta.

Krzyczący siedział bez ruchu w załomie muru pod daszkiem, przygarbiony, ze zwieszoną głową. Był zamaskowany iluzją nadającą mu pozory żebraka, ale czar trzymał się tak słabo, że prysł, gdy tylko Anavri uklękła obok. Brune, choć musiał wyczuć jej obecność, nie poruszył się. Mokra od deszczu włosy zasłaniały mu twarz.

– Co z tobą? – spytała gwałtownie dziewczyna.

Popatrzył na nią błędnym, wystraszonego wzrokiem. Na jego policzkach lśniły smugi łez. Patrząc w jego przerażone oczy – jak u sarny osaczonej przez myśliwych – Anavri zmartwiała. Była w zasadzie pewna, że to nie opium doprowadziło go do takiego stanu.

– Alesso – wyszeptał ochryple żmij. – Przecież ty nie żyjesz...

Bogowie, stało się – pomyślała ze spokojem, który ją samą zaskoczył. *Postradał zmysły.*

– Chodź – poleciła, ujmując go za ramię. Wstał posłusznie. Łzy nadal płynęły mu po twarzy.

Upewniła się na wszelki wypadek, że są w zaułku sami, po czym zdematerializowała się razem z nim – wprost do enklawy. Wiedziała, że mżący deszcz szybko zatrze ślad czaru, a chciała przede wszystkim jak najszybciej odstawić Krzyczącego w bezpieczne miejsce.

Bez protestów dał się zaprowadzić do chaty. Szedł chwiejnie, z przymkniętymi oczami, ale znalazłszy się we wnętrzu domostwa, jakby oprzytomniał. Uwolnił dłoń z uchwytu dziewczyny, ściągnął wilgotną kurtkę i bez słowa udał się do sypialni. Anavri podążyła za nim, pełna złych przeczuc. Kiedy zobaczyła, że wyjmuje z kieszeni woreczek z opium, miała ochotę podbiec, wyrwać mu paskudztwo z ręki, a potem trzasnąć go w twarz.

– Oszalałeś? Jeszcze ci mało?!

Żrenice Krzyczącego rozbłysły żółto. Cofnęła się, wyczuwając wzbierającą w nim czerń. Ale nie straciła rezonu.

– Co, zaatakowałbyś mnie? – spytała wyzywająco. – Mnie?

– Odejdź – syknął tylko, odwracając się plecami. Anavri ani drgnęła. Zaciskając zęby, patrzyła, jak Brune napełnia łufkę brunatnymi bryłkami, jak siada na sienniku, zapala płomyczek pod szklaną bańką i wdycha uwalniające się opary.

Czekała cierpliwie. Tak jak się spodziewała, wypaliwszy całą działkę, zdjął buty, położył się na wznak, podkładając ręce pod głowę, i zapatrzył tępo w belki powały. Wyczuwając, że się uspokoił, a raczej to makowy dym go uspokoił, Anavri podeszła i usiadła obok.

– Co tam się stało? – spytała cicho, siląc się na cierpliwość. Nadała głosowi delikatny, czuły ton. – Proszę, powiedz mi.

Ale Brune tylko spoglądał w przestrzeń zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem, którego tak nienawidziła.

Gdy chciała wstać, nagle złapał ją kurczowo za nadgarstek.

– Nie odchodź, proszę. – Jego głos, jeszcze bardziej ochrypli niż zwykle, drżał – może ze strachu, może z rozpacz. – Alesso... Błagam, nie odchodź.

– Dobrze – szepnęła. – W porządku, jestem tutaj. Nie bój się.

Tłumiąc przerażenie, usiadła obok i głaskała go po włosach, póki nie usnął. Odczekała dla pewności jeszcze chwilę, potem delikatnie uwolniła dłoń z uścisku, okryła Krzyczącego kocem i poszła do pracowni.

Widziała tylko jedno rozwiązanie.

Uaktywniła zwierciadło i czekała, zaciskając zęby, aż wirujące kolorowe wzory rozproszą się, ukazując pracownię Marshii. Mistrzynie nie było w komnacie. Po drugiej stronie tafli, falując mackami, zawisł Biss.

– Zawołaj swoją panią – powiedziała Anavri. Obejrzała się przez ramię, tknięta obawą, że Brune się zbudzi i będzie wściekły. Ale z sypialni nie dochodził żaden dźwięk.

Chowaniec skinął psim łbem i odpłynął bezgłośnie, znikając za otwartymi drzwiami pracowni. Marshia zjawiała się po dłuższej chwili. Wspierała się na lasce, a na jej wymizerowanej twarzy malowało się gniewne zniecierpliwienie. Gdy jednak wysłuchała, co dziewczyna ma do powiedzenia, ustąpiło ono miejsca ewidentnemu, nietajonemu przerażeniu.

– Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś? – spytała ostro.

– Ja... – Słowa uwięzły Anavri w gardle. Tak, zatajała problem,

dopóki strach o Krzyczącego definitywnie nie przeważył nad lojalnością. Dopiero teraz dotarło do niej, że mógł to być błąd.

– On i choroba głosów, na Harana, tylko tego nam brakowało! – Marshia spojrziała na Bissa, a ten zamachał mackami, jakby dawał do zrozumienia, że podziela jej wzburzenie. – Anavri, musisz przyjść tutaj. To nie jest temat na rozmowę przez zwierciadło.

– Ale... – Znów zerknęła przez ramię, zastanawiając się, czy powinna obudzić Krzyczącego. Obawiała się, że po dawce opium może nie być wystarczająco przytomny, żeby zrozumieć, co się do niego mówi.

– Zastyga w bezruchu, patrząc w przestrzeń? Mówi od rzeczy? Nie zawsze cię rozpoznaje? Gwałtownie wpada w złość?

Dziewczyna niepewnie, z wahaniem potaknęła. Marshia pokiwała głową, zaciskając usta.

– To choroba głosów, Anavri. Widziałam już zmijów, u których to świństwo budziło się po wyczerpującym obrzędzie albo walce z nadprzyrodzoną istotą. Fatalnie, że mi nie powiedziałaś od razu. – Znów popatrzyła na Bissa. – Znam kogoś, kto być może mógłby pomóc... ale Brune nie będzie chciał się leczyć, cholera! – Załamała ręce.

– Mogę z nim porozmawiać – powiedziała powoli Anavri, choć aż za dobrze pamiętała ostatnią kłótnię. Ona też była skłonna się założyć, że Krzyczący prędzej wyrzuci ją z enklawy, niż przyzna, że potrzebuje pomocy.

– Przede wszystkim nie możesz dłużej przebywać z nim w enklawie sama jedna! – zawołała Marshia. – Dziewczyno, ocknij się, on traci kontakt z rzeczywistością! Nie kontroluje się, może ci zrobić krzywdę! Czytałaś o magach, którzy oszaleli wskutek Skażenia? Przyjdź tutaj. Zastanowimy się spokojnie razem z Zazelem, co robić.

* * *

Przebudziwszy się, Brune jęknął. Głowa pękała mu z bólu, gardło miało wyschnięte i był tak oszołomiony, że dopiero po chwili dotarło do niego, że nie leży na ziemi w jakimś zaułku, tylko na własnym posłaniu. Przetarł twarz i wycedził przekleństwo, kiedy przypomniał sobie, czemu znajduje się w takim stanie.

W sumie należy się cieszyć, że w ogóle wróciłeś do przytomności... Ciekawe tylko, na jak długo.

I wtedy uświadomił sobie, że w domostwie nie wyczuwa obecności Anavri. Zanim zdążyło go to zastanowić, a co dopiero zaniepokoić, zauważył na sienniku kartkę.

Trzy razy czytał wiadomość napisaną znajomym, eleganckim, kaligraficznym pismem. Za pierwszym nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Za drugim miał ochotę się roześmiać. Za trzecim – z wolna ogarnęła go złość.

Wstał ostrożnie, i tak jak przewidywał, do szydła wierzącego w oczodole dołączyły mdłości z głodu. Organizm domagał się wody, śniadania, a potem jeszcze kilku godzin snu. Tymczasem trzeba było ponieść konsekwencje własnej głupoty oraz tego, że Anavri pozostawiona samej sobie spanikowała.

Klnąc cicho, Brune poszedł do kuchni po wodę, a potem z kubkiem do pracowni. Tam zawahał się, niepewny, czy ma siłę teraz prowadzić nieprzyjemne rozmowy.

Nim podjął decyzję, ta została podjęta za niego. Lustro rozjarzyło się czerwonym blaskiem i ukazała się w nim Marshia Lavallo. W czepku i ciemnej domowej sukni, wsparta na lasce, lecz jej oczy po dawnemu ciskały błyskawice.

– Co się z tobą dzieje? – spytała ostro.

– O co chodzi? – wymamrotał. Wzdrygnął się, słysząc, jak niewyraźnie mówi – jakby jeszcze nie wytrzeźwiał po całonocnym pijaństwie. Marshia musiała pomyśleć to samo, bo jej twarz zastygła w lodowatą maskę.

– Anavri o wszystkim mi opowiedziała. Wytłumacz się.

No jakżeby inaczej, wystraszone poleciałyśmy pod opiekuńcze skrzydła i zaczęłyśmy paplać? Poczul, jak rośnie w nim już nie złość, a zimna furia, która miała jedną zaletę – pomagała oprzytomnieć.

– Z czego, do cholery?

– Nie wiesz, z czego?

– Nie obchodzi mnie, co ci nagadała panna Vaneisen – syknął. – Nie kazałem, żeby mnie szukała! Miała nie opuszczać enklawy!

– Zniknąłeś, nie mówiąc, kiedy wrócisz! Nie było cię prawie dobie!

– No i? Co to zmienia? Gdyby coś się stało, nie pomogłybyście mi, ani ona, ani ty.

- Zostawiłeś ją w enklawie...
- Była tu bezpieczna. Mogła spokojnie poczekać, zamiast się pchać nie wiadomo gdzie. – Brune zaczerpnął tchu i spróbował się uspokoić.
- Gdzie ona jest? Niech przyjdzie, chcę z nią mówić.
- Nie.
- Że co?
- Anavri nie przyjdzie. I nie wróci do ciebie, chyba że rzucisz opium. Permanentnie.
- Zdusił chęć, żeby rąbnąć w lustro pięścią.
- Co ustaliliśmy, starsza siostrze? Anavri jest teraz moją uczennicą, nie twoją. Chyba że sama mi powie, że zmieniła zdanie.
- Zmieniła.
- Chcę to usłyszeć od niej.
- Marshia zawahała się, jakby wążąc słowa.
- Anavri powiedziała mi, w jakim stanie cię znalazła. Jest przerażona. Uważa, że w obecnej sytuacji stanowisz zagrożenie zarówno dla siebie, jak i dla niej, a ja się z tym zgadzam.
- Wyjaśnij, jeśli łaska, co rozumiesz przez obecną sytuację?
- Jesteś uzależniony od opium, młodszy bracie, a to jest tylko skutek, nie przyczyna. Sam doskonale przecież wiesz, co ci jest. Jesteś chory, poważnie chory, pora wreszcie przestać się oszukiwać. Udawanie, że nic się nie dzieje, na pewno nie pomoże ci wyzdrowieć.
- Słyszając nutę satysfakcji w jej głosie, Krzyżący nagle zrozumiał. Nie chciało mu się wierzyć, że Marshia może być aż tak małostkowa, ale nie widział innego wytłumaczenia.
- Jej samej mogło się wydawać, że podejmuje racjonalną, odpowiedzialną decyzję. Tak naprawdę była po prostu zazdrosna, już od miesięcy, że młodszy, mniej doświadczony *ka-ira* okazał się dla kogoś lepszym nauczycielem.
- Zawołaj Anavri – powtórzył.
- Nie.
- Dobrze, więc sam się do was pofatyguję. – Postąpił w kierunku lustra, ale Marshia uniosła rękę.
- Nie próbuj. Moja enklawa cię nie wpuści.
- Zdumiony, na moment po prostu zamilkł.
- Żartujesz – odezwał się po chwili.
- Bynajmniej. Wygląda na to, że ktoś musi tobą potrząsnąć,

młodszy bracie, dla twojego własnego dobra. Najpierw pozbadź się nałogu. Potem szczerze ci polecam podjąć leczenie tej drugiej choroby, póki jeszcze nie jest za późno. Mogę ci polecić medyka, który zna się na rzeczy. Gdy się namyślisz, daj mi znać. Anavri na razie zostanie ze mną.

Słuchając jej, Krzyczący powoli się uspokojał, a zarazem coś w nim lodowaciało.

– Świetnie – syknął, gdy zamilkła. – Skoro tak stawiasz sprawę... Będę miał o jeden kłopot mniej.

Obraz rozmówczyni zgasł, lustro znowu było tylko lustrem. Brune zagapił się na swoje odbicie.

Nie wątpił, że Marshia święcie wierzy w to, co mówi, bo jego zarośnięta, wynędzniała twarz oraz błędny wzrok wydawały się najlepszym dowodem na słuszność jej zarzutów.

* * *

Scysja z Marshią sprawiła, że zupełnie odechciało mu się snu. Nadal czuł się zmięty i otępiały, ale ochłonął na tyle, żeby zacząć myśleć. I nagle pstryknął palcami.

Gorczyca. Wiedźma z Krzywej Alei, która wtedy za pierwszym razem uleczyła go z szaleństwa, nadając nowe imię. Jeśli ona nie będzie umiała niczego doradzić... Nie chciał rozważać takiej możliwości.

Gorczyca coś wymyśli.

Pół godziny później, wciąż jeszcze pełen tłęcej się złości na Marshię i Anavri, popatrzył w lustro, upewniając się, że wygląda jak ktoś całkowicie zrównoważony i zdrow na umyśle. Poprawił kołnierz czystej koszuli, po czym sprawdził, czy ma przy sobie sztylety i gemmę. Wyszeptał formułę, a gdy tafla ożyła kolorowymi wzorami, wkroczył w portal.

Nie miał świadomości, że nieduże, podobne do gołębia astralne stworzenie, które czatowało po zewnętrznej stronie osłon jego enklawy, poleciało za nim.

Zmaterializował się na zarośniętym krzakami brzegu rzeki, na wszelki wypadek natychmiast spowijając się niewidzialnością. Zdążył tylko zarejestrować, że w pobliżu nie wyczuwa żadnych żywych

istot.

Nagle poczuł chłodne ostrzeżenie daru, a chwilę później niebo ogarnęła pulsująca fioletowa łuna. Zachwianie.

Brune zaklął cicho. Nie umiał stwierdzić, czy jego pojawienie się miało z tym coś wspólnego, czy nie. Ekwilibrium w Shan Vaola bywało cholernie niestabilne.

A potem jego świadomość przeszły lodowate groty – jeden, drugi, trzeci, czwarty. Poczuł, jak kamuflująca go iluzja rozwiewa się. Gardło ścisnęła mu panika – mrożące przeczucie, że to koniec.

Srebrni.

Materializowali się kolejno w rozbłyskach oślepiającego światła. Czterech akolitów, jedna mistrzyni – poznał to po różdżce w jej dłoni. Białe szaty, srebrne medaliony, urodziwe twarze, oczy podobne kałużom rtęci.

25. Rozkaz szarego króla

Podдай się, zmiju! – krzyknął najwyższy z akolitów, długowłosa, w srebrnej masce. Równocześnie w powietrzu zaiskrzyło się od błękitnych wyładowań. Wszystkie rozprysnęły się o barierę zaklęcia tarczy.

Krzyżący powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach, pełnych chłodnej obojętności. Nagle poczuł na skórze dziwny, zimny ucisk, jakby powietrze zmieniło się w napierającą na niego galaretę. Bariera blokująca dematerializację, najsilniejsza, z jaką miał dotąd do czynienia.

Wiedział, że zostanie pojmany, ale zamierzał się postarać, żeby drogo okupili zwycięstwo. Nagle stanęła mu przed oczami twarz Adriena de Vere, leżącego bez zmysłów w Domu Godnego Odejścia.

Tknięty impulsem zamknął oczy – i zdematerializował się. Zdematerializował się, choć teoretycznie nie powinien być w stanie tego zrobić. Przechodząc przez barierę, którą go otoczyli, przez moment poczuł w całym ciele palący ból, aż pociemniało mu w oczach. Potem wokół zawirowały barwy i pojawiło się znajome, mrożące zimno. Płynął przez bezprzestrzeń poza wymiarami, z trudem łapiąc oddech.

Wiedząc, że tamci lada chwila złapią trop, pozwolił, aby dar przerzucił go z powrotem do materialnego świata, i pół sekundy później stał już w nieznanym miejscu gdzieś daleko na południu, na spieczonej słońcem równinie, gdzie rzadkie krzaki czepiały się piaszczystego gruntu, smagane wiatrem niosącym tumany pyłu. W oddali wznosiły się jałowe, kamieniste wzgórza, spowite rdzawą mgiełką. Choć tuż nad horyzontem wisiała czerwona słoneczna tarcza, niebo na północy i wschodzie jarzyło się dziwną fioletową barwą, a powietrze miało metaliczny posmak. Zachwianie.

Brune nieufnie poruszył rękami, pokręcił głową – w mięśniach i kościach wciąż jeszcze czuł echo bólu, który towarzyszył przełamaniu bariery – ale wyglądało na to, że nie doznał żadnych

fizycznych obrażeń. Jeszcze.

Spowił się niewidzialnością, lecz sekundę później znów poczuł lodowate ostrzeżenie daru i iluzja rozwiała się. W powietrzu nad nim zmaterializowały się trzy sylwetki magów – mistrzyni i dwóch akolitów. Wiatr rozwiewał ich białe szaty.

Zaatakowali bez ostrzeżenia – z góry lunęły oślepiające groty energii, z sykiem trafiając w grunt, zostawiając po sobie rozbryzgi stopionego na szkło piasku. Lecz zakłęcie tarczy i tym razem spełniło swoją rolę.

Dwa rozbłyśki i ostrzeżenie daru powiedziały żmijowi, że dwaj pozostali akolici też zmaterializowali się nieopodal. Wynik walki w tym miejscu, na płaskim terenie bez żadnej osłony, mógł być tylko jeden. W czasie krótszym niż potrzeba, aby zwerbalizować tę myśl, Krzyczący podniósł garść piasku i cisnął nim w stronę prześladowców, uwalniając moc. Powietrze przecięła smuga blasku, zabrzmiał ostry trzask. Jeden z lewitujących akolitów wrzasnął, z głuchym łupnięciem zwałił się na ziemię i już nie wstał.

Żmij zapatrzył się na widoczne w dali wzgórza i zdematerializował się ponownie, by wylądować na kamienistym zboczu. Nie ustał; zachwiał się i przewrócił, zdzierając sobie skórę z dłoni. Cudem tylko udało mu się nie sturlać w dół. Poderwał się, oddychając ciężko, i schronił się pod osłoną skupiska głazów – w samą porę, bo srebrni już nadlatywali, łopocząc szatami, niczym wielkie białe ptaki. Miotane przez nich świetliste pociski uderzyły w zbocze, wzbijając piach, żwir i odłamki skały. Zasycało, zapachniało spalenizną. Brune tylko wzmocnił czar tarczy. Mrużąc oczy, czekał na sprzyjający moment, żeby się zrewanżować.

W górze, na niebie zakwitły warkocze sinawego ognia. Jedne gasły, na ich miejsce zapalały się nowe. I nagle znikąd lunęły języki płomieni – liliowe, rozedrgane, upiorne... Jednakże narastające zachwianie nie zrobiło na srebrnych wrażenia. Utworzyli w powietrzu krąg, chwytając się za ręce. Mistrzyni zaczęła rytmicznie skandować w mowie magów, pozostali zawtórowali. Wokół nich zajaśniała aureola mocy, jaskrawsza z każdą chwilą. Cztery pary oczu rozbłyśły płynną rtęcią.

Brune zasłonił twarz ręką, bo blizny na policzku zapłonęły bólem. Poczł rozlewający się w całym ciele zimny, lepki, niebezpieczny

bezwład. Osunął się na klęczki, z trudem chwycił oddech – nieubłaganie tracił siły, podtrzymywanie tarczy stało się nieznośnym wysiłkiem. Zamrugał oczami – widział nieostro, jakby świat zaczynał się zasnuwać mgłą.

Nie, to naprawdę była mgła! Spływając znikąd, spowiła go mleczną, błogosławioną zasłoną. *Portal!* Nie wiedział, kto go otworzył ani jakim cudem. Uczucie było podobne jak wtedy po balu, gdy w sygnecie mordercy uaktywniła się pułapka – lecz Brune intuicyjnie czuł, że teraz jest inaczej, że tym razem portal go ratuje. Dlatego nie walczył. Pozwolił, by mgła spowiła go i uniosła daleko, daleko od prześladowców.

Gdy się rozviała, ujrzał, że stoi na popielistym pustkowiu. Naokoło kłębiły się opary, wiatr niósł jęki i zawodzenie. Żmij znał to miejsce. Pamiętał.

Wspomnienia powróciły do niego, tak jaskrawe i wyraźne, że nie umiał pojąć, jakim cudem miesiącami żył bez nich. Demonessa w szarych szatach, i rozmowa po tym, jak o mało nie zginął w sferach, po walce z wysłannikiem srebrnych, który próbował go dopaść w jego własnej enklawie... *Jesteś nasz* – tak powiedziała. Był pionkiem w rękach demonów, ich marionetką. Jakim sposobem mógł o tym nie pamiętać przez tak długi czas?

Siłą woli opanował wir dezorientacji i cisnących się pytań. *Później. Później będziesz się nad tym wszystkim zastanawiać.* Mimo woli przymknął oczy, chłonąc czarną aureę, która biła tu od każdej skały, każdego kamienia. Po chwili odetchnął z ulgą i otarł rękawem pot z czoła. Potem na wszelki wypadek przywołał moc, czując zmysłami maga, że ktoś – coś – nadchodzi.

Z mgły wyłonił się czarnowłosy, smukły mężczyzna w szarych szatach.

– Nie dziękuj mi – rzucił zwięźle. – Działałem we własnym interesie.

– Nie wątpię – mruknął żmij. Przemienił rapier z powrotem w sztylet i schował go.

Nieznajomy podszedł bliżej. Cokolwiek kryło się wewnątrz jego cielesnej powłoki, z zewnątrz, dla ziemskich oczu, był to arystokrata. Z krwi i kości. Błady, gładko ogolony i urodziwy, o delikatnych rysach, prostym nosie, wąskich ustach. Oczy miał jak dwie bryłki niebieskiego

lodu.

– Znam cię – oznajmił.

– Doprawdy? A ja was nie.

– Nazywam się Favill. – Nieznajomy uśmiechnął się, ukazując nieskazitelnie białe, równe zęby. – Lecz w Otchłani tytułują mnie Spalonym Władcą. Jestem królem Doliny Popiołów. – Zamilkł, jakby czekając na reakcję, a nie doczekawszy się, ciągnął: – Zapraszam cię na rozmowę, mój agencie.

Krzyczący chętnie odpowiedziałby sarkastycznie, ale jak na złość zabrakło mu konceptu. Milczał więc, a demon kontynuował:

– Twoja choroba się nasila, sam to czujesz. To już nie kwestia dni, ale godzin, zanim znajdziesz się po drugiej stronie lustra – mówiąc to, wyraźnie wyczekiwał odzewu, ale zmij i teraz nie zaszczycił go odpowiedzią. – Jestem twoją jedyną nadzieją na wyzdrowienie, Deuvenie.

– Nie wiem, czy określiłbym to mianem nadziei – mruknął Krzyczący.

Spalony Władca patrzył na niego z politowaniem.

– Niby jak na człowieka jesteś inteligentny, a nadal nie dociera do ciebie, jak się sprawy mają. Służysz nam, jesteś nasz. Jeżeli zapagniemy, możemy cię uzdrowić, aczkolwiek... – Nachylił się, tak że zmij wyczuł jego oddech, ciepły, lekko pachnący kadzidłem. – Miej świadomość, że jeśli do reszty osuniesz się w szaleństwo, dla nas to niewielka strata, nadal będziemy cię mogli wykorzystać do naszych celów.

Cofnął się, wyraźnie czekając, aż te słowa odniosą skutek. Krzyczący wciąż jeszcze walczył z chęcią palnięcia czegoś, czego mógłby rychło pożłować; ostatecznie wygrała ciekawość.

– Rozmowa, powiadasz. – Wzruszył ramionami. – To dokąd się udamy, demonie?

Spalony Władca wyciągnął smukłą dłoń.

– Chodź.

* * *

– Nie powinnaś była tu wracać – powiedziała Lorraine.

– Wiem. – Jej kuzynka usiadła na łóżku i zgarbiła się bezradnie. –

Na świetlistą Arayę, co ja narobiłam? Jak mogłam być tak głupia?

Przygryzła kostki palców. Nie była pewna, na kogo jest bardziej wściekła: na Marshię czy na siebie.

– A ja myślałam... och, idiotka... myślałam, że ona będzie wiedziała, co robić...

– Wiesz – odparła powoli panna Nevers – czasem wiedzieć, a chcieć to dwie różne rzeczy.

Anavri skryła twarz w dłoniach, myśląc bezsilnie o tym, jakie głupstwo popełniła. Potem wstała z pełną determinacji miną.

– Idę do niej. Musi mnie wypuścić z enklawy. Wracam do niego.

Mogłaby uciec nawet w tej chwili – zdematerializować się mimo zakazu, łamiąc zabezpieczenia, będące teraz zaledwie cieniem tych, które chroniły enklawę kilka miesięcy wcześniej. Czowała pokusę, by tak właśnie zrobić – umknąć z klatki, nie oglądając się na nic – ale powstrzymało ją poczucie odpowiedzialności. Nie wiedziała, czy osłabiona Marshia byłaby w stanie później odtworzyć ciągłość zapór.

– Zaczekaj – powiedziała Lorraine. Była bardzo błada. – Teraz już jest za późno.

– Jak to za późno? O czym ty...

W dal patrząca ze skupieniem wpatrywała się w powietrze.

– Zaczęła się ścieżka, której nie mogłam przewidzieć. Nie możesz teraz wrócić. Brune... Och, bogowie... Dolina Popiołów upomniała się o niego.

– Więc tym bardziej muszę wrócić!

– Nie! – krzyknęła Lorraine. – Nie rozumiesz! Nie mieszaj się w to! Oni chcą mu pomóc. Jeśli go nie wyleczą, oszaleje już na dobre. Błagam, uwierz mi!

Anavri powoli usiadła z powrotem.

Widziała już dość, żeby wierzyć kuzynce bez zastrzeżeń. Ale to znaczyło...

– Chcesz powiedzieć – odezwała się z wahaniem – że Brune ma jakieś powiązania z Otchłanią?

– Jest agentem Doliny Popiołów – odrzekła równie cicho Lorraine. Wzrok miała udręczony, jakby targaly nią wątpliwości, czy powinna to mówić. – Już od lat.

Anavri poczuła się tak, jakby zamiast siedzieć na wygodnej sofie, spadała przez zimną pustkę.

– Od kiedy o tym wiesz? – usłyszała dochodzący z daleka czyjś martwy głos. Jej własny? – Kiedy się dowiedziałas?

– Teraz, w tej chwili. – Panna Nevers skuliła się z miną świadcząca o wyrzutach sumienia. – Przysięgam, że ujrzałam to dopiero teraz.

– Ale on służy Otchłani od dawna, powiadasz. – Znów ten martwy, obcy głos. – Od jak dawna?

Lorraine wpatrywała się w czubki swoich czarnych trzewiczków. Milczała długo.

– Kiedy pojawił się w Shan Vaola, zanim jeszcze poznał Marshię, już był zaprzysiężony – odezwała się w końcu. – Tylko tyle widzę. Więcej nie wiem.

Anavri powoli pokiwała głową. Miała wrażenie, że coś wewnątrz niej zamarza. Tężeje na kość i pokrywa się szronem.

Nie powiedziałaś mi.

* * *

Zmaterializowali się w komnacie o kamiennych ścianach. Za ostrołukowym oknem kłębiły się chmury podobne do brzuchów bestii, w odcieniach jadowitego grynszpanu, trupiego fioletu i chorej żółci. Powietrze, bardzo suche, miało woń spalenizny i brudnego metalu.

Krzyczący podszedł do okna. Tak jak się spodziewał, ujrzał rozciągającą się w dole popielistą równinę, po której wiatr pędził kłęby pyłu oraz jęczących, zawodzących cieni.

Popatrzywszy po sobie, otrzepał ubranie z kurzu. Zupełnie nie odczuwał już skutków walki ze srebrnymi. Czarna aura Otchłani ogrzewała i pobudzała, błyskawicznie likwidując zmęczenie, niczym kordiał z lucyferią.

– Proszę, usiądź – zachęcił Spalony Władca, wskazując jedno z dwóch krzeseł przy niedużym stole. Wszystkie meble zrobione były, jak się zdawało, z polerowanej smoczej kości, zaś na jednej ze ścian wisiała czaszka jakiegoś olbrzymiego stwora z pięcioma oczodołami i sterzącym do góry rogiem. – Wina?

Wyczuwając za sobą obecność, Krzyczący odwrócił się gwałtownie. Mglista istota, która sekundę wcześniej musiała wyłonić się wprost ze ściany, skłoniła się w milczeniu.

– Przynieś złote wino, Chassim – rozkazał Spalony Władca, nie czekając na odpowiedź. Mglisty sługa skłonił się ponownie i zniknął.

Krzyczący zawahał się, po czym usiadł. Dopiero teraz spostrzegł, że demon posiada skrzydła – wielkie, podobne do łabędzich, o piórach smolistej barwy. Nie był pewien, czy wcześniej jakimś cudem ich nie zauważył, czy też po prostu ich nie było.

Po chwili na stole znikąd pojawił się srebrny dzban oraz dwa kieliszki. Spalony Władca nalał żmijowi i sobie. Wino pachniało jak dojrzałe, słodkie jabłka i nagrzane słońcem wrzosowiska.

– Nie ma sensu marnować czasu, zatem przejdę od razu do meritum – oznajmił. – Mam dla ciebie zadanie, mój agencie. Moja córka została uwięziona gdzieś w głębinach Otchłani przez demona imieniem Sathoon. Moi mędracy twierdzą, że jeśli ktoś ma szansę ją odnaleźć i uwolnić, to tylko ty.

– A jeśli wolno spytać, dlaczego właśnie ja?

– Przez lata była twoim demonem stróżem. Więź, która was łączy, działa w obie strony. Anyah mogła cię odnaleźć w dowolnym miejscu w każdej chwili. Zgodnie z logiką tego czaru, także i ty powinieneś ją odnaleźć i dotrzeć do niej, niezależnie od tego, gdzie ją uwięziono i jakimi zaklęciami spętano.

– A wtedy wy zajmiecie się resztą, zaś ja będę mógł popatrzeć, jak robicie porządek z tym... jakże go zwał... Sathoonem? – Żmij uśmiechnął się krzywo. Spalony Władca zmarszczył brwi.

– Obawiam się, że to nie takie proste. Jeśli, jak przypuszczam, kryjówka Sathoona znajduje się na terytorium którejś z wrogich nam Dolin, wówczas ani mnie, ani żadnemu z moich poddanych nie wolno tam wkroczyć, chyba że zależałoby nam na wywołaniu wojny. A czego jak czego, ale zbrojnego konfliktu chcemy uniknąć za wszelką cenę. Dlatego po przekroczeniu granicy między Dolinami będziesz zdany tylko na siebie. Ty możesz ją przekroczyć bez żadnych konsekwencji. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Na takiej samej zasadzie, na jakiej w twoim świecie dzikie zwierzęta mogą wędrować, gdzie chcą, nie przejmując się granicami państw.

– Bardzo elegancki plan – stwierdził z ironią Krzyczący i upił łyk wina. Było bardzo dobre. – Ja zmaterializuję się tam, gdzie ten... Sathoon... więzi mego demona stróża, a wtedy Sathoon albo jego słudzy, bo pewnie takowych posiada, szybko zrobią ze mną porządek.

– Och nie, tutaj właśnie tkwi sęk. – Spalony Władca zetknął dłonie czubkami palców. – Mam powody, by sądzić, że nie będzie chciał cię zabić... nie tak od razu. Widzisz, jeśli jest tak, jak podejrzewam, to Anyah została uwięziona jako przynęta. Przynęta na ciebie. I Sathoon chce cię dostać w swe ręce żywego.

– Coraz lepiej – stwierdził zmij po dłuższej chwili milczenia. – A skąd to wiadomo?

– Ponieważ już się spotkaliście w przeszłości. Konkretnie w Ri Talma, przed czterdziestu laty.

Brune wstrzymał oddech.

Ri Talma. Czy ja śnię?

– Jakieś... szczegóły? – spytał cicho.

– Szczegóły? Proszę bardzo. Sathoon, który w tamtym czasie służył Dolinie Światła, pospołu ze swym przybocznym zesłał na miasto wielką zarazę, planując zdobyć tysiące dusz. Jednak nie powiodło im się. Ty zlikwidowałeś sługę, a moja Anyah, która w owym czasie jeszcze żyła ludzkim życiem jako śmiertelniczka, pokonała pana. Dusze zmarłych zamiast do Doliny Światła trafiły do Doliny Popiołów, a Sathoon już nigdy nie zmaterializuje się w świecie ludzi, jest na wieczne czasy uwięziony w Otchłani. Zakładam zatem, że teraz chodzi mu o zemstę. Na Anyah, na tobie i na mnie.

– Więc należy mnie posłać prosto w paszczę smoka? Na podstawie jakiej logiki, że tak delikatnie spytam?

– Naszej logiki, człowieku. Sathoon nie będzie chciał cię zabić, tylko ogłupić, złamać i przeciągnąć na swoją stronę. Jesteś magiem, więc zawsze będziesz cenniejszy jako agent niż jako dusza uwięziona w Otchłani. Możesz być tego tak pewien, jak tego, że w twoim świecie rośliny zawsze rosną w stronę słońca. Twoim zadaniem będzie oprzeć mu się, uwolnić Anyah i powrócić z nią tutaj.

– Kim w zasadzie jest ten cały Sathoon? To znaczy, kim jest tu na dole?

– Demonem wysokiego rodu. Arystokratą z rodu Czarnoustych, aktualnie nominalnym lennikiem Doliny Rdzy... ale to i tak niewiele ci powie.

– Liczycie – zmij prychnął cierpko – że zdołam w pojedynkę pokonać tak potężną istotę?

– Liczę, że zdołasz uwolnić moją córkę. Pokonanie Sathoona nie jest

niezbędne... acz, przyznaję, byłoby mile widziane.

– Dobrze wiedzieć, że demony miewają poczucie humoru.

Spalony Władca zaśmiał się z cicha.

– Widzę, że nas nie doceniasz, człowieku.

Krzyczący spokojnie napił się wina, którego aromat oraz idealnie zrównoważone proporcje kwasu i słodocy kojarzyły mu się z najlepszymi winami znad Zatoki Snów.

– W porządku. Pomogę wam. Ale nie za darmo. – Uśmiechnął się, bez drgnienia patrząc w lodowato niebieskie oczy rozmówcy. – Znasz prawo magów, o królu. Nic za darmo.

– Uratowanie ci dzisiaj życia – Spalony Władca uniósł brwi – obliguje do wdzięczności, magu.

– Wasza Wysokość – Krzyczący nie spuścił wzroku – obaj wiemy, że to wy jesteście mi coś winni. Od lat.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Żmij z pozorną nonszalancją dopił zawartość kieliszka, zastanawiając się, czy aby na pewno obrał dobrą strategię.

– No cóż. – W głosie demona zabrzmiało leciutkie rozbawienie. – Odważnie, mój agencie. Bardzo odważnie. Rzekłbym, że wspinasz się na skute lodem urwisko, nie mając liny.

– Jestem *ka-ira*, to zobowiązuje. – Brune, decydując się rozegrać do końca kartę bezczelnego zuchwalstwa, pozwolił, by jego źrenice roz błysły żółto. Zorientował się, że decyzja była dobra, kiedy Spalony Władca zaśmiał się pobłażliwie.

– W istocie. Nie boisz się przepaści ani wichru; jeśli spadniesz, pofruniesz, co? Ale pamiętaj, mój agencie, że nie muszę być przepaścią. Mogę być dłonią, która cię chwyci. Weź pod uwagę, że jesteś chory, i to poważnie. A my, w zamian za pomoc, możemy cię wyleczyć.

– Nie.

Demon znowu uniósł brew.

– Nie?

Krzyczący na moment zamknął oczy.

Dyplomatycznie dobrać słowa, elegancko ująć sprawę. Zachowując przy tym absolutny spokój i zimną krew. Tylko tak można było cokolwiek osiągnąć w rozmowach z demonami.

– Może inaczej. Królu, obaj wiemy, że jeśli mam wam być do czegoś

przydatny, muszę być w pełni władz umysłowych. Tak? Jeśli mam ruszyć na poszukiwanie twojej córki, najpierw musicie mi pomóc rozwiązać ten... drobny problem, z którym się ostatnio borykam. – Dotknął skroni, uśmiechając się krzywo. Demon z enigmatyczną miną skinął głową.

– Zapewne.

– Skoro wyleczenie jest warunkiem wykonania misji, zgodnie z prawem magów trudno je uznać za zapłatę. To zaś, o co chcę poprosić, to dla ciebie, panie, drobiazg. Chcę informacji. Tylko tyle i aż tyle.

– To znaczy?

– Na początek chcę wiedzieć, dlaczego wam służę. W jaki sposób stałem się waszym agentem i kiedy.

Spalony Władca zamyślił się na moment.

– Skoro to dla ciebie takie ważne... W porządku. – Wyciągnął dłoń. – Twój talizman. Dwie karty. Daj mi go.

Krzyczącemu przemknęło przez głowę, że poszło chyba za łatwo, że powinien się mieć na baczności. Ale nie wyczuwał ze strony rozmówcy żadnych wrogich intencji, a zresztą nie żywił złudzeń – tu w Otchłani, tak czy owak, był na łasce swoich mocodawców. Wyjął skórzany woreczek noszony na rzemyku pod tuniką i wręczył go demonowi.

Spalony Władca wyjął ze środka dwie karty i przez chwilę obracał je w dłoni, jakby w zadumie. Potem pokazał Krzyczącemu obrazek przedstawiający Maga.

– Nataen z Camarry. Twój ojciec, Deuvenie. – Obrócił kartę i stuknął palcem w wizerunek Błazna. – Adrien de Vere z Alkary. Twój dziadek ze strony matki. Dwóch potężnych czarnych magów. Masz w sobie część ich obu.

Krzyczący powstrzymał się od zapytania, co ta rewelacja ma do rzeczy.

– Sądziłem, że Adrien został zabity w Domu Godnego Odejścia – powiedział powoli. – To powinno uniemożliwić jego duszy odrodzenie się.

Spalony Władca pokręcił głową.

– To byłoby zbyt proste, przyjacielu. Owszem, Adrien pożegnał się z życiem w Domu Godnego Odejścia. Nie możesz być dosłownie jego ponownym wcieleniem, bo srebrni zabili go w sposób wykluczający

powrót duszy. Ale ścieżki przeznaczenia są kręte. Adrien de Vere pozostawił córkę imieniem Amparo, córkę, która nie posiadała daru... to długa historia, nie będę ci jej teraz opowiadał... Amparo zaś po różnych perypetiach związała się z czarnym magiem, który – demon zrobił pauzę, unosząc palec wskazujący – należał już wtedy do mnie, zapisał mi duszę kilka lat wcześniej, podczas pewnego tragicznego w skutkach powstania w górach Camarry. Nazywał się Nataen, Deuvenie. Masz z nim doprawdy wiele wspólnego.

Zamilkł, może czekając na reakcję. Nie doczekawszy się, kontynuował.

– Słyszałeś lub czytałeś może o camarryjskiej wojnie domowej? Nie? Kilkanaście tysięcy zwolenników starego porządku, szlachty, żołnierzy i chłopów, zbuntowało się przeciw swojemu królowi, gdy postanowił podpisać pakt z Elitą. Rozprawiono się z nimi po pół roku krwawych walk. Brat Nataena był jednym z przywódców rebelii, nie przeżył jej. Krótco po jego śmierci Nataen sprzedał mi duszę w zamian za życie kilkudziesięciu niedobitków ze swojego oddziału. Bardzo szlachetnie, przyznasz chyba. Cenię sobie szlachetnych szaleńców; niezmiernie łatwo ich przeciągnąć na moją stronę, jeśli tylko użyje się właściwych argumentów.

– I wywiązaliście się z zobowiązania?

– Oczywiście. Wszyscy powstańcy, których objęła umowa, przeżyli. Niektórzy nawet dożyli potem późnej starości. Przeżył również Nataen, nie pozwoliłem mu zginąć. Ale odebrałem mu pamięć.

– Forma zabezpieczenia?

– Oczywiście. Nie chciałem ryzykować, że spróbuje uciec przed zobowiązaniami wynikającymi z cyrografu. Cyrografu, który podpisał najzupełniej dobrowolnie, będąc w pełni władz umysłowych.

Znów zawiesił głos, jakby oczekując reakcji, ale Krzyczący milczał.

– Nataen uciekł z Camarry – kontynuował demon – gdzie za jego głowę wyznaczono niebotyczną nagrodę. Poszukiwali go słudzy króla i srebrni magowie, ale za moją sprawą znaleźli tylko śmierć. Poszukiwany zniknął. Zaszył się na pustkowiu, na odludnych bagniskach daleko na zachodzie. A kilka lat później przekroczył moje najśmielsze oczekiwania, bo związał się z córką Adriena de Vere. Amparo nosiła wówczas inne nazwisko i nie chwaliła się swoim pochodzeniem. Kiedy dochowali się potomka, uznałem, że wolę

zamiast duszy Nataena wziąć duszę jego pierworodnego syna, w którym płynie krew starego rodu de Vere, rodu potężnych magów.

– Cyrograf zezwalał na taką możliwość? Pytam z zawodowej ciekawości.

– Wiesz, jak to jest z przestrzeganiem umów. – Spalony Władca znów się uśmiechnął. – Zapisy nie zawsze są jednoznaczne, a gdy można je interpretować na różnoraki sposób, w praktyce rację ma silniejszy. Należałeś do mnie, od chwili gdy się urodziłeś. – Pstryknął palcami. – Ale twoi rodzice oszukali mnie, Deuvenie. Moje zaklęcie zapomnienia, jak się okazało, nie podziałało do końca. Nataen zorientował się, że grozi ci niebezpieczeństwo. Wyspowiadał się w świątyni Tanathe, oby jej imię było przeklęte, i znalazł tam pomoc. Oddał bogini swoje życie w zamian za bezpieczeństwo kochanki i jej syna. Amparo wywiozła cię potajemnie i ukryła... I byłeś bezpieczny przez dwadzieścia kilka lat. – Jego uśmiech stał się szerszy, błysnęły równe, perłowe zęby. – Ale cyrografu nie da się oszukać, w końcu i tak dostałem, co mi się należało. A w tak zwanym międzyczasie rozwinąłeś się, jeśli wolno mi to rzec, doprawdy w interesującym kierunku. Adekwatnym do twojego pochodzenia. Krew nie woda... I teraz jesteś mój, Deuvenie de Ragues. Mam cię, jak mawiał nieodżałowanej pamięci Farael de Lyche.

Krzyczący ze spokojem dopił wino i odchylił się do tyłu na krześle.

– Bardzo ciekawe – powiedział wzgardliwie. – Tym ciekawsze, że kiedy ostatnio rozmawiałem z twoimi sługami, panie, słyszałem inną wersję.

– To znaczy?

– Mówiono mi o cyrografie, który podpisałem osobiście, własną ręką. Jak mogę wierzyć w cokolwiek, co mi mówicie?

– Nie masz obowiązku wierzyć. – Spalony Władca również dopił wino. – Prawda, drogi agencie, jest jak cebula, ma wiele warstw.

– Nie wątpię – stwierdził cierpko Krzyczący. – Zwłaszcza że gdzieś po drodze zagubiło się czterdzieści lat, których nie pamiętam.

– Och, tych czterdzieści lat spędziłeś u nas na dole. Tyle czasu minęło, zanim zdołaliśmy cię przywrócić do życia po próbie samobójczej, którą nierozsądnie podjąłeś, straciwszy w Ri Talma najpierw siostrę, a później ukochaną.

– To bzdura – prychnął zmij. Potem przesunął palcami po ledwie

widocznych sinych bliznach na nadgarstku, tknięty ukłuciem wątpliwości, ale chłodna logika uspokajała.

Kłamstwa, same kłamstwa. Podcięte żyły wyleczyliby w okamgnieniu.

– Oczywiście, że nie pamiętasz. I nie będziesz pamiętał. Po tym, jak ludzkie ciało mojej córki zmarło w Ri Talma, by jej druga dusza mogła ożyć w moim królestwie, rzuciłeś na siebie klątwę unicestwienia. Z niejasnych przyczyn – może z powodu błędu, omyłki w formule, może czegoś innego – zadziałała połowicznie. Czterdzieści lat spędziłeś zawieszony między bytem a niebytem, rozdarty między wymiarami. To Anyah sprowadziła cię z powrotem między żywych, a w zamian pozwoliłem, by została twoim stróżem. – Spalony Władca nachylił się, wyciągając dłoń, jakby chciał musnąć palcami szramy na policzku zmija; ten cofnął się, zakrywając ręką policzek, drgający w bolesnym skurczu. – To zostało ci na pamiątkę.

– Nie wierzę – powiedział szybko Krzyczący. A potem przesłonił ręką oczy, gdy wróciło do niego wspomnienie.

Gorączka zakrzywia kontury świata, księżyc wydaje się wypalać dziurę w mózgu. Piję wodę z rowu, próbuję nią obmyć twarz – boli tak potwornie, jakby w ciało wbijały się zardzewiałe kolce, jakby skórę powolutku trawił ogień. Opuchlizna nie pozwala otworzyć oka.

Zbyt słaby, by iść dalej, kładę się na ziemi. Czuję mdlącą woń zgnilizny. Jestem martwy, a księżyc spełza w dół jak wąż o ciele z rtęci, by obgryźć moje zwłoki, zostawiając tylko kości.

Wbił zęby w wierzch dłoni, trzeźwiąc się bólem, żeby nie odpłynąć. Nie pozwolić świadomości znów umknąć za mętną szybę.

– Nie pamiętam żadnej klątwy – powiedział wolno, gdy trochę ochłonął. – Pamiętam za to, jak opuściłem Ri Talma. Jak błąkałem się po traktach, gorączkując. To... trwało jakiś czas. Raczej tygodnie niż dni... Tyle akurat pamiętam bardzo dobrze. Więc...

– Klątwa zadziałała połowicznie, mój agencie. Połowicznie. Na wpół obłąkany z bólu, pod jej wpływem istotnie włóczyłeś się przez jakiś czas, nie mogąc umrzeć. Ponieważ swoją obecnością zaburzałeś Ekwilibrium... mniej więcej tak samo, jak zaburzałoby je kilkudziesięciu ludzi płonących żywcem... srebrni zaczęli cię szukać.

Z początku marnie im szło, bo tylko częściowo znajdowałeś się już w materialnym świecie, a częściowo wisiałeś w tej szarej nicości, gdzie mieszkają umarli. Ale w końcu udało im się ciebie wytropić i zgarnąć. Wtedy postanowiliśmy zainterweniować, zabraliśmy cię na dół i zajęliśmy się tobą. A kiedy już zdołaliśmy na powrót scalić twoje ciało i ducha, zostałeś przywrócony światu dokładnie w takim stanie, w jakim do nas trafiłeś... powiedzmy, że za karę.

Krzyczący, choć nadal zasłaniał ręką oszpeconą połowę twarzy, kurcząca się w tiku, zmarszczył brwi; obudziła się w nim trzeźwa ciekawość. Nawet pomimo faktu, że nadal nie był przekonany, czy powinien wierzyć w choć jedno słowo demona.

– A to, na co cierpię, te napady wizji.... Mają jakiś związek z tamtą historią? Bo to przecież nie jest choroba głosów, objawy się nie zgadzają.

– Nie, to nie jest choroba głosów – potwierdził Spalony Władca. – Ty chorujesz, można rzec, na chorobę pamięci... lub też jej braku. Oszalałbyś, mając w głowie wszystkie swoje wspomnienia, dlatego cię ich pozbawiliśmy. Niestety, nie da się wymazać pamięci, nie wywołując skutków ubocznych. Ściślej mówiąc, w ogóle nie da się wymazać pamięci w dosłownym znaczeniu tego słowa. Można jedynie zablokować wspomnienia, by nie wracały, co nie jest pozbawione ryzyka, kiedy blokuje się większą ich liczbę. Żaden umysł nie jest w stanie znieść czegoś takiego bez szwanku. Wiesz coś na ten temat.

– Wiem – mruknął Krzyczący. Znów przypomniał sobie kryptę śmieciarzy w Podziemiach i siebie wtedy, na samym początku.

– Ocaliłem cię od nieuchronnego szaleństwa, ryzykując, że zamiast wariować od wspomnień, zwariujesz od ich braku. Na szczęście, tak jak zakładałem, okazało się, że szok wywołany ich odebraniem stopniowo minął. Pozbierałeś się... Niestety nie do końca. Po jakimś czasie blokady, nawet najmocniejsze, słabną; to, co zostało zepchnięte w głąb, wypływa na powierzchnię. Stąd właśnie biorą się twoje sny, przebłyski obrazów na jawie i odpływanie od rzeczywistości. Im bardziej twoja pamięć stara się wrócić, tym bardziej cię to destabilizuje. Jesteś zdrów tylko tak długo, dopóki nie pamiętasz.

– Zatem znowu jesteście w stanie mnie wyleczyć tylko na jakiś czas, tak? Nakładając na moje wspomnienia świeżą blokadę? – Krzyczący wstał, gwałtownie odsuwając krzesło. – A niechże was szlag.

Nie zdążył zarejestrować ani momentu, w którym demon również się podniósł, ani ruchu jego ręki – jedynie trzask uderzenia i palący ból. Został spoliczkowany jak bezczelny dzieciak.

Żrenice zmija rozbłysły żółto, ale coś – bardzo możliwe, że zdrowy rozsądek – kazało mu powściągnąć wściekłość i zamilczeć.

– Trochę więcej szacunku, mój agencie – zasyczał Spalony Władca.
– Tak, nałożymy blokadę. Tym razem postaramy się, aby podziałała dłużej. Potem, grzecznie wysłuchawszy instrukcji, ruszysz wypełnić swoją część umowy. Jakies pytania?

Brune przełknął wściekłość i upokorzenie.

– Nie.

– Cieszy mnie to. Teraz daj rękę.

– Po co?

Demon uśmiechnął się wzgardliwie.

– Bez obaw, nie spotka cię żadna krzywda. Daj rękę.

Krzyczący nieufnie wyciągnął dłoń. Spalony Władca ujął ją w swoje, gładkie i zimne. Chwilę później zmija chwycił oddech, nie będąc w stanie nawet wrzasnąć – krew w jego żyłach, zdawałoby się, na mgnienie oka zmieniła się w tysiące brzytw rozdzierających go od środka. Wrażenie ustąpiło po sekundzie, pozostawiając po sobie jedynie słabe ćmienie, dogasające w całym ciele echo bólu.

– Co to było? – wykrztusił.

– Uzdrowiłem cię z uzależnienia od opium. Potraktuj to jak drobny prezent.

26. Tajemnica demonessy

Kłęb zrosniętych razem węży, zwieszający się z kikuta uschniętego drzewa, wił się i falował, lecz z ich paszcz zamiast syku wydobywały się ciche, matowe kobiece głosy, powtarzające bez ustanku jedną frazę.

Czy pragniesz cierpieć... Czy pragniesz cierpieć... Czy pragniesz....

Krzyczący w Ciemności ominął je łukiem.

Pasma cuchnącej mgły snuły się między powykręcanyimi pniami, podobnymi do kalekich sylwetek wyciągających błagalnie ramiona. Grzyby barwy rybiego brzucha, wysokie jak dorosły mężczyzna, rozpościerały swe kapelusze niby baldachimy; po niektórych pełzały oślizgłe pomrowy wielkości psa. Podmokły grunt ugiął się przy każdym kroku, pod nogami chlupotało; zagłębienia terenu wypełniała ciemna woda, śmierdząca gorzej niż gnijący szlam z dna fosy.

Żmij przezornie obszedł bokiem grząskie miejsce, gdzie z błota sterczały żebra i kręgosłup jakiegoś wielkiego stwora. Dotarłszy na nieco suchsze wzniesienie, rozejrzał się, czujny i pełen napięcia niczym kot, który zakradł się na obcy teren. Wyczuwał obecność istot, które czaiły się we mgle, w cieniu grzybów i krzaków. Jedne nie reagowały, gdy przechodził, inne skradały się bezszelestnie w ślad za nim. Wiedział, że obserwują go łakomie, śledząc każdy krok. Czekał, aż osłabnie? Nie ważył się atakować bez rozkazu? Czuł ich wrogość, z trudem hamowaną żądzą krwi. Miał jednak świadomość, że, o ironio, chronią go stosunki panujące w Otchłani – subtelne nici powiązań i zależności między Dolinami. Skoro zuchwale zjawił się tu w pojedynkę, on, słaby mag z krwi i kości, wedle logiki demonów znaczyło to, że musi reprezentować kogoś potężnego. Był zatem nietykalny – do czasu.

Przybył na te cuchnące bagniska, wykorzystując czar tropiący zorientowany na więź między agentem a jego demonem stróżem, otrzymany od Spalonego Władcy. Konstrukcja zaklęcia nie przypominała żadnej ze znanych żmijowi formuł, czy to srebrnych, czy

czarnych, ale zadziałało. Mniej lub bardziej.

Od momentu, gdy zmaterializował się w podmokłej kotlinie na pograniczu Doliny Rdzy i Doliny Kwiatów, Brune widział w oddali swój cel – twierdzę górującą ponad morzem oparów – i ku swej frustracji musiał brnąć ku niej pieszo. Aura tego miejsca zaburzała magię teleportacyjną równie silnie, co czary, którymi srebrni magowie obwarowywali swe siedziby – bał się próbować tu dematerializacji czy otwarcia portalu. Nie miał najmniejszej ochoty zawisnąć uwieczony w pustce między światami lub zginąć w płomieniach królestwa salamander.

Okolica przyprawiała go o ciarki. Tchnęła czernią w inny sposób niż Dolina Popiołów. Przebywając w dominium Spalonego Władcy, nabierał sił, zaś te smrodliwe moczary przytłaczały go, wydawały się powoli wysysać wolę życia.

Ciemna, oleista toń była jak brudne zwierciadło, w którego głębi czaiły się koszmary. Wszystkie zapomniane grzechy, zastarzały ból, zaginiona, odebrana przeszłość – nie mógł się oprzeć myśli, że to wszystko tam jest. Czai się, pełza, czeka. Na potknięcie, nieostrożny krok?

Zaledwie to pomyślał, zahaczył butem o korzeń i omal nie wyłożył się jak długi. Oddychając ciężko, przystanął. Rozejrzał się. I poczuł narastający gniew.

Majacząca w oddali twierdza nie przybliżyła się ani trochę.

– Ejże, człowieku – usłyszał za sobą syczący szept. – Czego tu szukasz? Zgubiłeś się?

Odwrócił się szybko. Na gałęzi drzewa siedział brzydki kosmaty stworek, podobny do dusiołka, lecz o olbrzymich, jarzących się czerwono ślepiach i pysku przypominającym trąbkę.

– Coś ty za jeden? – spytał Krzyczący.

Stworek poruszył trąbką, nadał się, po czym zniecka splunął deszczem jadu. Brune w porę osłonił się zaklęciem tarczy. Kilka kropel, które zdążyły paść na jego kurtkę, z sykiem wżarło się w sukno.

Oczy zmija zwęziły się. Wyszeptał parę słów w mowie magów. Paskudztwo wrzasnęło, łapiąc się za pękaty brzuch. Spadło z gałęzi niczym włochata piłka, odbiło się kilka razy od ziemi i potoczyło, znikając w zaroślach.

Gałęzie drzew zaszumiały złowrogo. Brune nagle poczuł, że coś łapie go za kostkę. Wyszarpnął się gwałtownie i wzniósł nad ziemię, lewitując, a długie macki, które podpełzły ku niemu niepostrzeżenie, bezsilnie chwytaly teraz powietrze. Właściciel macek, tylko częściowo wynurzony z błota, nienawistnie łypał ku żmijowi bladym okiem.

Dość tego – pomyślał ze złością Krzyczący. Wbił spojrzenie w odległą twierdzę i skupił się, sięgając w jej kierunku zmysłami maga. Nie, nie była iluzją, wyczuwał jej obecność – ogrom zimnej skały nasyconej złą, obcą magią Otchłani. Gdy zamknął oczy, był w stanie ujrzeć to, co kryło się wewnątrz. Cienie. Szepty. Falowanie. Jak wodorosty. Ręce wyciągające się, by pochwycić. Usta otwierające się, by pożreć.

Tknięty impulsem, maksymalnie skupiony na tym obrazie, ponownie wypowiedział zaklęcie Spalonego Władcy. I rzeczywistość zawirowała, a gdy ponownie się wygładziła, zewsząd otaczały go mury – nie lepkie i oślizgłe, jak podświadomie oczekiwał, lecz czarne, gładkie jak obsydian.

W mrocznym wnętrzu panowały chłód i cisza. Kroki żmija wydawały się przeraźliwie głośne, gdy powoli szedł przez rozległą salę, zostawiając na wypolerowanej posadzce ślady błota.

Za szybko, za łatwo...?

Oślonił się czarem tarczy i rozglądał czujnie, wyęzając zmysły maga do granic możliwości, w każdej chwili spodziewając się ataku.

Potem wyczuł obecność, która przygotowała go o lodowaty dreszcz.

Ona. Lecz nie potrafił sprecyzować, gdzie się znajdowała. Nie był pewien, czy puste pomieszczenie, które ma przed oczami, nie jest częściowo iluzją; obca, wroga aura twierdzy przytłaczała go i dezorientowała w jeszcze większym stopniu niż aura bagnisk.

Legowisko smoka.

– Witaj, Deuvenie.

Niski, donośny głos odbił się echem od obsydianowych murów. Brune odwrócił się, dobywając rapiera, a jego źrenice zabłysły żółto. Nie ujrzał nikogo, lecz wyczuł narastającą wokół moc, ohydłą i drapiezną.

Cichy, paskudny śmiech dobiegał niejako zewsząd – wydawał się sączyć ze ścian i spod posadzki. A potem mury zafalowały i zaczęły się wybrzuszać, nie w jednym, a w wielu miejscach. Wybrzuszeń

przybywało w oczach – rosły, wzbierały, jakby magia Otchłani kształtowała kamień niczym miękką glinę.

Od muru oderwał się najpierw jeden toporny kształt, potem kolejne i kolejne. Ich transformacja dobiegła końca – stały się człekokształtnymi postaciami, trochę przypominającymi golem z Podziemi, lecz o ślepych twarzach bez rysów. Jeden po drugim unosiły dłonie, ze szczękiem wysuwając z palców kilkucalowe zakrzywione ostrza.

Krzyczący skupił się na analizowaniu tego, co mówiły mu zmysły maga. Wyczuwał tylko magię Otchłani, bez śladu indywidualnych jaźni. Zamknął oczy i przywołał więcej mocy, skupiając się na najboleśniejszym z odzyskanych wspomnień, za które omal nie zapłacił zdrowymi zmysłami.

Kukła ulepiona z popiołu, rozsypująca się w proch...

Ślepe istoty zaatakowały go, ze świstem tnąc powietrze. Pchany i kierowany przez pulsującą w żyłach czerń, zawirował w zwinnych unikach, parując rapierem te ciosy, przed którymi nie zdołał się uchylić, a potem wzbił się w powietrze, lewitując. I uderzył. Uderzył telekinetycznym wichrem, jak Anavri wtedy w górach, lecz bez porównania silniej. Stwory zakręciły się z wrzaskiem, porwane przez ten wir jak suche liście, jak krople atramentu wpuszczone do wartkiego strumienia. Rozpadły się, zniknęły.

Brune opadł z powrotem na posadzkę, bardziej zmęczony niż początkowo sądził. *Niedobrze* – pomyślał cierpko. W dominium Sathoona tracił siły szybciej niż w materialnym świecie. Zanim wyruszył z Doliny Popiołów, spytał, czy nie mogą mu użyczyć jakiegoś odpowiednika czarnych monet, jakiegoś dającego moc talizmanu czy choćby szat kogoś, kto zginął bolesną śmiercią. Dostarczyli mu, czego potrzebował – dość, by mógł się naczepać do syta, lecz nie pozwolili niczego zabrać ze sobą, tłumacząc się nieznanymi mu bliżej prawami Otchłani.

Anyah! – zawołał w myślach. Wiedział, że tu przebywała, czuł jej obecność. Choć naokoło widział jedynie ściany z obsydianu, był pewien, że demonessa wpatruje się w niego, bezsilna, pełna lęku. *Anyah, gdzie jesteś?*

Chwycił gwałtownie oddech, gdy przestrzeń wokół zawirowała – i nagle zewsząd otoczyły go lustra. Czarne, lśniące prostokąty, małe

i duże, niezliczone. Widział w nich swe zwielokrotnione odbicie; zabłocona odzież, umorusana twarz, rapier w dłoni, płonące żółto oczy.

– Deuvenie.

Szept wydawał się sączyć ze ścian, ze sklepienia. Dobiegał zewsząd i znikąd.

– Pokaż się! – zawołał żmij, obracając się; sto jego odbić w lustrach obróciło się równocześnie.

Echo zwielokrotniło cichy, drwiący śmiech.

– Długo czekałem, aż do mnie przybędziesz, agencie Doliny Popiołów.

– Doprawdy? – Brune kątem oka złowił ruch w jednym ze zwierciadeł, smyrgnięcie cienia, lecz gdy obrócił głowę, znów ujrzał tylko dziesiątki swoich odbić.

– Wiem, co cię sprowadza do mej siedziby. – W bezcielesnym głosie pobrzmiwała kpina, jakby wróg umyślnie chciał się drażnić z intruzem, a może sprawdzał jego reakcję. – Przysłano cię, żebyś uwolnił swojego demona stróża, co? Ale masz oczywiście świadomość, że nic na tym nie zyskasz?

Krzyczący, wyteżając słuch i zmysły maga, bezskutecznie usiłował zlokalizować mówiącego. Przygotowany był na dowolną niespodziankę – w pierwszej kolejności na to, że próba nawiązania dialogu jest zasłoną dymną, próbą uspienia czujności intruza – dlatego wzmocnił czar tarczy. Skupiwszy się, bez trudu wyczuwał rozmówcę – jedną potężną, wrogą jaźń, lecz tak rozmytą, jakby stanowiła jedność z twierdzą.

– Pokaż się! – powtórzył.

– Znam cię – zaszeptał głos, który teraz wydawał się momentami rozszczepiać na wiele głosów, przywodząc na myśl chór umarłych z Podziemi. – Nie jestem ci wrogiem, flecisto. Wiem, że nie przybyłeś tu z własnej woli. – Pauza. – Mógłbym ci pomóc się wyzwolić spod władzy Doliny Popiołów.

– A to ciekawe – powiedział wolno żmij, nadal skupiony na badaniu otoczenia zmysłami maga. Przez cały czas czuł tę znajomą, jedyną w swoim rodzaju obecność, jej obecność; tak blisko, tak frustrująco blisko, a zarazem jakby za szybą. Czy Anyah została uwięziona w sąsiednim wymiarze, specjalnie po to, żeby mogła bezsilnie patrzeć, jak właściciel twierdzy rozprawia się z intruzem?

Wszystko wskazywało na to, że Spalony Władca mówił prawdę – tkwiła tu jako przynęta, a Sathoon dobrze wiedział, kogo przyślą z odsieczą.

Brune zeszytniał, gdy w głębi jednego ze zwierciadeł pojawiło się seledynowe lśnienie. Z wolna przybrało na sile, jakby źródło blasku zbliżało się do tafli od drugiej strony. Po chwili w centrum świetlistej plamy pojawiła się druga, ciemna. Rosła szybko, aż przybrała kształt sylwetki.

Wysoki mężczyzna o siwych kręconych włosach, odziany według ziemskiej mody sprzed dwustu lat – w kaftan z wielkimi bufiastymi rękawami, pludry i jedwabne pończochy. Z ramienia zwieszała mu się krótka, fantazyjna pelerynka. Zawisł wewnątrz zwierciadła, nonszalancko splatając ramiona na piersi, i uśmiechnął się czarnymi wargami.

– Pozwól, że się przedstawię – rzekł. – Zwą mnie Sathoon. Znałeś mnie w poprzednim życiu, Deuvenie.

– Nie przypominam sobie. – Żmij zwalczył przemożną pokusę, by dodać, że nie pamięta wśród swoich znajomych nikogo, kto nosiłby tak ciekawe ubiory.

– Przelotnie, ale zawsze. Poznaliśmy się w Ri Talma, dzięki pewnemu młodemu alchemikowi, któremu pomagałeś w badaniach nad destylacją duszy. Nazywał się... Tegrini, jeśli dobrze pamiętam.

Brune wzdrygnął się, uderzony przebłyskiem wspomnienia.

Tegrini... Niski i pulchny, w skórzanym fartuchu. Odwraca się od zagraconego stołu, zdejmując ochronną maskę z grubego szkła, i mówi coś ze śmiechem, wskazując plamę sadzy na ścianie, sięgającą aż do sufitu...

Otrząsnął się czym prędzej, wracając do rzeczywistości. Mrużąc oczy, wpatrzył się w siwego jegomościa.

Iluzja. Cokolwiek przemawiało z tafli, nie posiadało ciała ani żadnej jego namiastki – było równie niematerialne jak wiatr, jak dym. Właściciel twierdzy krył się gdzieś tam głęboko w ciemnościach. Za zwierciadłami.

– Czy wiesz – podjął tymczasem Sathoon – czemu Dolinie Popiołów tak bardzo zależy na tym, byś im służył?

– Z chęcią się dokszałcę. – Mówiąc to, zmij ostrożnie sięgnął umysłem w mrok za lustrami i aż się wzdrygnął, gdy dotarło do niego, jakie pokłady złowrogiej mocy drzemią w głębi twierdzy. Nie miał najmniejszych szans w starciu z taką potęgą.

Chyba że wykombinuje jakiś fortel. Ale na razie nic nie przychodziło mu do głowy.

Sathoon, czy raczej jego iluzoryczny wizerunek, mówił zaś dalej:

– Jest taka legenda, Deuvenie... Być może ją znasz. Głosi, że gdy przed tysiącletkami dziewięciu bogów waszego świata walczyło z Wrogiem, to Eresh, pan leków i trucizn, zadał mu śmiertelny cios zatrutą włócznią. Lecz umierający Wróg przepowiedział, że potomstwo Eresha w swoim czasie sprowadzi zagładę na świat ludzi. I Eresh tego samego dnia zabił swoich siedmiu synów.

– Owszem, znam tę opowieść – odparł wolno Krzyczący. – Ale co to ma...

– Istnieje też druga wersja legendy. Mówi ona, że Eresh zabił sześciu swoich synów. Oszczędził siódmego, który znajdował się jeszcze w łonie matki, śmiertelnej kobiety. Ta sama wersja legendy mówi też, że czarni magowie obdarzeni błogosławieństwem Eresha... w żyłach których dziwnym trafem zawsze płynie alkaryjska krew... to tak naprawdę jego potomkowie. – Sathoon zrobił pauzę. – Otchłań zna tę legendę, zmiju. Mamy podstawy, by przypuszczać, iż jest w niej więcej niż ziarno prawdy. To dlatego Spalony Władca robi wszystko, byś pozostał jego agentem. Liczy, że pewnego dnia staniesz się tym, który sprawi, że Otchłań zatriumfuje nad światem ludzi i wchłonie go w całości.

– Bardzo ciekawe – prychnął zmij. – A co ty masz do tego, że tak spytam?

– Możesz przyjąć, że nie chcę, aby Dolina Popiołów zrealizowała swoje plany. – Siwowłosy spoglądał na niego, jak się zdawało, z cieniem politowania. – Mam nadzieję, iż jesteś świadom, że uporczywie cię oszukują i manipulują tobą?

– Nie na darmo nazywają was wszystkich władcami kłamstw, demonie. Teraz powiedz mi coś, o czym bym nie wiedział.

Zaczynał odnosić wrażenie, że wyczuwa granice iluzji, lecz nadal nie potrafił przeniknąć jej wzrokiem. A demonessa gdzieś tu była – wyczuwał jej niecierpliwość, jej strach. Jakby krzyczała do niego z za

grubej szyby, rozpaczliwie usiłując go ostrzec.

– Czy wiesz – kontynuował Sathoon – że ja nie wykorzystuję ludzi jako agentów? Mogę cię wyzwolić spod władzy Doliny Popiołów, nie oczekując niczego w zamian. Zupełnie niczego, Deuvenie. Byłbyś wolny, nareszcie wolny.

Mówił spokojnie, uprzejmym, życzliwym tonem bankiera proponującego spłatę pożyczki w ratach.

– Odruch bezinteresownego miłosierdzia? – zakpił zmij.

– Niechęć wobec Doliny Popiołów. Tylko i wyłącznie. Jesteś wykształconym człowiekiem, więc zapewne wiesz, jak to wygląda u nas w Otchłani: jedne Doliny nie lubią innych, stale toczą się walki i podchody. Ale ciebie to nie dotyczy, jesteś tylko kimś, komu podstępnie założono obrozę. Ja zaś mogę ci pomóc ją zdjąć.

– Jak?

– Pochodzę z wysokiego rodu Czarnoustych, moja moc dorównuje mocy Spalonego Władcy. Mogę złamać ciężące na tobie więzy cyrografu tak, jak ty łamiesz klątwy.

– To nie brzmi zachęcająco, demonie, zważywszy, że złamanie klątwy nie jest w stanie naprawić szkód, które spowodowała.

– Dobrze, może to istotnie nie najlepsze porównanie. Więzy cyrografu nie wyrządzają ci żadnej fizycznej szkody, po prostu są, a ja mogę sprawić, żeby ich nie było. – Sathoon rozciągnął czarne wargi w uśmiechu. – Wystarczy, że podasz mi rękę, flecisto. – Wyciągnął bladą, wypielegnowaną dłoń.

Krzyczący po chwili wahania podjął decyzję. Podeszedł bliżej i powoli wyciągnął rękę w kierunku zwierciadła.

Na ułamek sekundy przed tym, zanim jego palce zetknęły się z palcami siwowłosego, uaktywnił czar, który szykował już od dłuższej chwili, odzierając otoczenie ze wszystkich stworzonych magią pozorów. Iluzoryczna postać rozwiała się jak zdmuchnięty płomień świecy. Rozwiały się też zwierciadła. Sala nagle stała się dużo mniejsza i niższa, a jej obsydianowe ściany wyglądały teraz jak zwykły kamień, przeżarty wilgocią i pokryty zaciekami.

W następnej chwili kontury pomieszczenia zadrgały i Brune poczuł zimną falę mentalnego ataku, jakby zalała go niewidzialna kaskada lodowatej wody. Z trudem łapiąc oddech, spróbował się odgrodzić, wzmocnić tarczę. Nie miał pojęcia, jak długo wytrzyma; wobec mocy

Sathoona jego własna była jak papierowa łódeczka rzucona na fale.

Anyah! – krzyknął telepatycznie, walcząc rozpaczliwie z tym naporem, opierając się ze wszystkich sił; wiedział, że jeśli straci przytomność, przypuszczalnie ocknie się w pętach. *Anyah, gdzie jesteś?*

Gdyby tylko posiadał cokolwiek, co do niej należało... Albo gdyby pamiętał więcej... Spróbował przywołać z pamięci jej mglistą postać, jej twarz – tę twarz, która powracała do niego w snach. Ostrzyżone włosy, wystrzępiona szara chusta i błękitne, lśniące nieziemskim światłem oczy...

Jakby ten obraz dodał mu sił, zmij poczuł, że zimny uścisk na jego ciele zanika. Odetchnął, zbierając się w sobie, i powiódł wokół wyzywającym spojrzeniem.

Ku swemu zdumieniu odkrył, że wisi w pustce. Sala zniknęła. Była tylko ciemność – w górze, w dole, wszędzie.

– Jesteś wprost wzruszająco naiwny – rzekł z politowaniem Sathoon, czy raczej iluzoryczny jegomość przemawiający jego głosem, pojawiając się znikąd. Zawisł w powietrzu, uśmiechając się tak uprzejmie, jakby gawędzili przy grzonym winie i ciastkach. – Naprawdę sądziłeś, że twój żaloszny talent może się na coś przydać przeciwko jednemu z Czarnoustych?

W porządku – pomyślał zimno Brune, tak spokojny, że aż jego samego to dziwiło. *Jestem zbyt słaby, by cię zniszczyć. Ty zaś nie zniszczysz mnie, bo chciałbyś, abym stał się twoją własnością... tak jak nie zabija się kosztownego tresowanego sokoła, który wleciał przez okno do cudzego domu. Pat, mości hrabio.*

– Nie lubię zabaw pozorami – odrzekł powoli. – Po co te iluzje?

– Mam do nich słabość, ot i wszystko. – Siwowłosy skinął dłonią i nagle znaleźli się w bogato urządzonej sali: czerwone zasłony, lśniący jak lustro parkiet, zgrabne meble obite pasiastym atłasem według lossorskiej mody. W dwóch dużych lichtarzach płonęły świece. Krzyczący zmarszczył nos, czując mdlący odór, i rozejrzał się odruchowo w poszukiwaniu źródła. Jedynym, co burzyło harmonię wnętrza, była stojąca na stoliczku misa pełna ochłapów padliny.

– Ponawiam propozycję, zmiju – rzekł Sathoon. – Ja zrywam więzy łączące cię z Doliną Popiołów, ty odchodzisz wolny. Lub też – w jego głosie zabrzmiała nuta groźby – rozprawię się z tobą tak, jak

rozprawiam się z intruzami z wrogich Dolin, a wtedy pozostaniesz tu na zawsze. Wybieraj.

Brune zawahał się. Po raz pierwszy zaświtała mu myśl, że może Spalony Władca kłamał od początku do końca. Zgodnie z tym, co żmij wiedział na temat praw rządzących Otchłanią, zgoda na to, by oddać się na służbę którejś z Dolin, musiała zawsze zostać wyrażona wprost, w niebudzących wątpliwości słowach. Nie mógł zostać sługą Sathoona, dopóki dobrowolnie nie zadeklarował takiej intencji. A Sathoon jak dotąd wcale nie kwapił się, by mu to zaproponować. Może zatem oferta demonicznego hrabiego była najzupełniej szczerą? Motywowana, tak jak sam oświadczył, chęcią zaszkożenia Dolinie Popiołów i niczym więcej?

Nic nie jesteś winien Spalonemu Władcy – szepnął trzeźwo głosik w głowie żmija. Lecz natychmiast odpowiedział mu drugi: Nigdy nie ufaj demonom. A zwłaszcza wtedy, kiedy twierdzą, że gotowe są bezinteresownie ci pomóc.

Co by się stało, gdyby Sathoon istotnie zerwał więzy cyrografu? Nagle żmij pojął, na czym polega kruczek. Bezczelny w swej łatwej do przeoczenia oczywistości, niczym podstępne klauzule w umowach, jakimi bankierzy wiązali klientów. *Jestem tu sam, nie mogę się zdematerializować ani otworzyć portalu. Aby się stąd wydostać, musiałbym ponownie przebyć pieszo bagna... Więcej niż pewne, że tym razem ich mieszkańcy nie pozwoliliby mi bezpiecznie przejść. Ktoś życzliwy niewątpliwie zdążyłby ich poinformować, że już nie obejmuje mnie protekcja żadnej obcej Doliny, że jestem po prostu słabym, smakowitym kąskiem ludzkiego mięsa. A Sathoon zjawiłby się w ostatniej chwili, oferując mi uratowanie życia w zamian za przyjęcie na służbę.*

Nie ze mną takie gierki, hrabio.

– Najpierw mnie złap – syknął, po czym spowił się niewidzialnością i wykorzystując swe doświadczenie w iluzjach, przekształcił otaczającą ich fałszywą rzeczywistość. W przypływie złośliwej kreatywności zasypał elegancki salon stertami tych śmieci, które gniły na tyłach jadłodajni w Eume.

Uśmiechnął się mściwie, gdy całe pomieszczenie poczęło falować i wzdymać się, a potem wszystko – meble, zasłony, śmieci – ożyło, łącząc się w przedziwne konfiguracje, rosnące w oczach po to,

by malowniczo się rozpaść.

Efekt interferencji. Tak jak zmij przewidywał, jego własne iluzje weszły w reakcję z tutejszymi – skutek zmieszania dwóch obcych sobie mocy.

Potem świece, połamane teraz i sterczące wprost ze ścian oraz spomiędzy fragmentów mebli, lecz wciąż płonące iluzją ognia, zgasły. Wnętrze salonu – przypominającego obecnie raczej deliryczny majak – zniknęło, wymazane przez mrok. Czarnej twierdzy nie spodobała się ziemską magia. To także było do przewidzenia.

Czując, jak wokół niego ponownie tężeje zimny uścisk mocy Sathoona, Brune wsunął dłoń za pazuchę i zacisnął palce tym razem nie na gemmie, lecz na woreczku z dwiema kartami. A potem skupił się na najbardziej wyrazistym obrazie demonessy, jaki był w stanie przywołać. Noc w Shan Vaola, gdy na dworze padał śnieg, on palił opium na ulicy i Anyah przyszła do niego... Zapomniał o tym, tak jak zapomina się sny, lecz teraz wspomnienie powróciło, zarazem smutne i słodkie.

Znów stanęła mu przed oczami taka jak wtedy, pod postacią ludzkiej kobiety w szubce i eleganckiej sukni. Miękkie futro jej szala, zapach owocowych perfum i wirujące wokół białe płatki.

Znów poczuł na twarzy jej pocałunek.

Ponieważ tęsknisz.

I poczuł, że dematerializuje się, wymyka tym okowom, które już-już miały go zadławić.

Gdy otworzył oczy, ujrzał komnatę o zebrowanym sklepieniu i ścianach z pociemniałej cegły. Na ścianach, w żelaznych uchwytach, płonęły pochodnie. W rogu wznosiła się prymitywna rzeźba z szarego piaskowca; u jej stóp stał mały ołtarz, na nim naczynia ofiarne.

Spętana potrójnym kręgiem nakreślonych na posadzce symboli, Anyah trwała w bezruchu, ledwie widoczna, niczym smuga mgły. Ale na jego widok uniosła głowę.

– Uwolnij mnie – szepnęła ledwie słyszalnie.

Sekundę później komnata zaczęła falować, a Brune jęknął, znów walcząc z zaciskającą się wokół niego niewidzialną zimną obręczą – Sathoon się zorientował, dokąd umknęła ofiara. Mobilizując ostatnie rezerwy mocy, by zablokować jego atak, zmij dobył sztyletu i skaleczył się w dłoń, po czym w trzech miejscach skropił krąg swoją ziemską

krwią, niwecząc jego moc.

I obyś była w stanie coś zrobić, bo ja już nie. Czuł, że lada moment przegra mentalne starcie. Pociemniało mu w oczach, skóra mrowiła ciarkami. Osunął się na kolana.

Zdażył wyczuć wahnięcie aury, gdy symbole kręgu z sykiem rozbłysły czerwienią, a potem zniknęły. W następnej chwili owionęła go mgła. Anyah wzbiła się ze swojego więzienia, niematerialna jak obłok, do reszty tracąc ludzkie kształty.

Usłyszał jej głos. Recytowała formuły w języku Otchłani. Zimny napór obcej mocy zelżał. Brune odczekał chwilę, aż miną zawroty głowy, po czym dźwignął się chwiejnie.

Miejsce, gdzie się znajdowali, zmieniało się w oczach – ściany lochu przekształcały się w czarny obsydian. Żmij czuł wzbierającą wściekłość Sathoona, jakby wokół kumulowały się wzburzone fale, które lada chwila runą, by ich zatopić.

Chłodne dotknięcie przejęło go dreszczem. Owionawszy go niczym mgła, Anyah czerpała od niego siłę życiową. Po chwili szarawy opar ponownie ułożył się w znajomą postać odzianą w postrzępione szaty.

– Daj mi twój sztylet – rozkazała.

– Ale...

– Sztylet! – Wyciągnęła rękę.

Wręczył jej broń, rozpaczliwie walcząc z ogarniającą go słabością – czerpanie dobiło go ostatecznie.

– Teraz pokaż dłoń – poleciła. Gdy usłuchał, czubkiem ostrza nakreśliła na jego skórze jakiś znak. Znak ochronny? *Rychło w czas* – pomyślał cierpko Krzyczący. Kłujący ból skaleczenia trochę go otrzeźwił, ale obsydianowe mury znowu wzbierały dziesiątkami wybrzuszeń, kształtujących się w sylwetki człekokształtnych stworów ze szponami.

A potem uświadomił sobie, że otaczająca go aura zmieniła się – już nie była zimna i obca, lecz tchnęła gorącą, kuszącą obietnicą siły, tak jak aura Doliny Popiołów.

– Co mi zrobiłaś?! – Zwrócił się ku demonessie, zaskoczony i wystraszony.

– Zdjęłam blokadę, która ciążyła na tobie, odkąd tu przybyłeś – odparła z uśmiechem, oddając mu sztylet. – Jestem demonem z innej Doliny, nie mogę czerpać mocy z tego miejsca. Ale ty teraz już

możesz. Czerp i przekazuj mi moc, ja się zajmę resztą.

Nie tracąc czasu na zadawanie pytań, Brune schował broń i opadł na kolana, przykładając dłonie do posadzki. Czuł... Teraz – och, na bogów – czuł je. Tak, jak w Dolinie Popiołów.

Tysiące pochłoniętych dusz, które zlały się z tym miejscem w jedno. Tysiące pełnych bólu głosów dźwięczących w jednym chórze, budzących w nim znajomy głód.

Demonessa położyła mu ręce na ramionach.

– Spokojnie! Ty tylko kanalizuj. I nie bój się.

Dzieci obsydianowej twierdzy płynęły ku nim, unosząc szpony, szczerząc bezokie paszcze. Zaczął czerpać, stopniowo otwierając się na cierpienie setek tysięcy dusz.

Strumień mocy wniknął w niego jak gorące ostrze, lecz nie raniąc, nie powodując bólu. Na moment wszystko przesłoniła czarna euforia. Gdy Brune odzyskał wzrok, zobaczył, że wrogowie rozpadają się w dym, lecz ściany twierdzy rosły z każdą chwilą, wyciągając się w górę. Sklepienie niknęło teraz w ciemności gdzieś tam hen, wysoko.

W oczach rosła też demonessa. Rychło stała się olbrzymią mglistą postacią o włosach jak połacie chmur.

W mroku zalśniła poświata, powoli kształtując się w sylwetkę gigantycznego białego zwierzęcia. Lew o ciele jakby uczynionym z księżycowego blasku. Ryknął tak głośno, że obsydianowe mury się zatrzęsły, a Brune – karzełek przy dwójce demonów – pojął, że oto Sathoon objawił się w swojej prawdziwej postaci.

Anyah otworzyła oczy, jarzące się niczym dwa błękitne księżyce.

Wyciągnęła rękę. Zahuczał wicher.

Lew skoczył na nią.

Wszystko zniknęło w czarnym błysku.

* * *

Gdy odzyskał przytomność, przez długą chwilę nie widział zupełnie nic. Wisiał w mrocznej nicości, pozbawiony ciała.

Potem przed jego oczami zjawiły się obrazy. Wstrzymał oddech, gdy dotarło do niego, że widzi wspomnienia Anyah – to, co wydarzyło się w Ri Talma czterdzieści lat wcześniej.

Siwowłosa mężczyzna w odzieniu bakałarza leży na posadzce lochu, u stóp rzeźby z piaskowca przedstawiającej lwa. Jego twarz jest jedną krwawą miazgą, w poprzek gardła ziele głęboka rana, a pierś nie porusza się w oddechu.

Materialna powłoka została zniszczona, a to, co ją zamieszkiwało – przegnane do Otchłani.

Dziewczyna w żałobnej sukni przywołuje gestem swoją drugą duszę. Anyah niechętnie przestaje chłęptać krew i zostawia trupa. Na razie jeszcze musi być posłuszna swej znienawidzonej siostrze z ciała i kości. Tej kruchej, słabej istocie zrodzonej z kobiecego łona.

Alessa. Tak brzmi jej imię.

Alessa powoli podchodzi do ołtarza i patrzy na ofiarne naczynia. W glinianej misie leżą cuchnące skrawki padliny, ruszające się od larw. Obok spoczywają dwie posiniąte martwe dłonie, ucięte w nadgarstkach. Nad wszystkim góruje zaś szklany kielich pełen dziwnej fosforyzującej cieczy, znad której wznoszą się delikatne smużki pary.

– To eliksir sprowadzający ślepicę – mówi Anyah, towarzysząca swej bliźniaczce jak cień. – Sathoon uwarzył go z jaskółczych odchodów i krecich serc, z koguciego piana i węzowego jadu, z własnej krwi i ostatniego oddechu martwej kobiety, tak jak uczą prastare księgi z Abroz Khar. Każdy, kto umrze podczas tej epidemii, obudzi się w Otchłani jako poddany Doliny Światła.

– Wiesz, jak zneutralizować ten czar?

– Wiem, siostrzyczko. Ale obawiam się, że to nie będzie łatwe.

– Mów.

– Musisz wypić wszystko, co jest w kielichu, do ostatniej kropelki. Kogoś zabito, by wywołać tę zarazę, i ktoś musi oddać życie, żeby ją powstrzymać.

Alessa milczy dłuższą chwilę, przetrawiając to, co usłyszała. Może kalkulując za i przeciw?

– Jego śmierć – wskazuje głową martwego mężczyznę – się nie liczy?

– A jak sądzisz? Nie, nie ma tak łatwo. To musi być dobrowolna ofiara, siostrzyczko. Znasz zasady.

Alessa powoli potrząsa głową. Bierze do rąk kielich, potem go odstawia. Walczy ze sobą. Anyah, widząc to, uśmiecha się kącikiem ust.

W oczach jej siostry pojawiają się łzy. Nagle chwyta naczynie i pije duszkiem, jakby bojąc się, że w trakcie może zabraknąć jej odwagi.

Odrzuca kielich, który rozbija się z brzękiem, i jęcząc, pada na kolana. Zaczyna kaszleć, a potem krztusić się, rozpaczliwie walcząc o oddech. Anyah patrzy na to beznamiętnie. Osiągnęła cel.

Alessa kaszle długo, bardzo długo. W końcu przestaje. Dźwiga się niepewnie, ale nogi uginają się pod nią, musi się oprzeć o ścianę. Krzywiąc się, przyciska dłonie do brzucha.

– Boli, co? – pyta demonessa. Nie słysząc odpowiedzi, wzrusza ramionami i odwraca się, jakby zamierzała odejść.

– Wracaj, Anyah – mówi zimno Alessa. W jej głosie nie słychać nawet śladu drżenia. – Dopóki żyję, ja tu rządzę.

Wyciąga rękę, a demoniczne drugie ja powoli, z niechęcią przyplęwa do niej i wnika z powrotem w jej ciało. Anyah wie, że nie ma potrzeby się klócić. Wystarczy wszak odrobina cierpliwości. Jeszcze tylko kilka godzin...

Nie zamierza też informować siostry, że skłamała – że dusze tych, którzy zmarli na zarazę, nie ulecą w światłość, wolne, lecz trafią do Doliny Popiołów. Nie będzie aż tak okrutna, by kazać Alessie umierać z tą świadomością.

Alessa tymczasem wychodzi z lochu, przytrzymując się ściany. Przeciera oczy; widzi teraz wszystko jak przez mgłę. Znow dopada ją atak suchego kaszlu. Gdy wreszcie mija, dziewczyna zaczyna się chwiejnie wspinać na schody, przystając co jakiś czas, żeby złapać oddech.

– Nie – szepnął Brune, choć wiedział, że nie da się cofnąć przeszłości, nie da się wymazać tego, co wydarzyło się przed czterdziestu laty.

A potem się ocknął. Tym razem naprawdę. Stał wśród obsydianowych murów, a kawałek dalej spoczywało potężne białe truchło, spod którego sączyła się krew koloru smoły.

Głuchy, złowróźbny grzmot wstrząsnął fundamentami budowli, ściany zadygotały. Demonessa spłynęła na posadzkę, malejąc do ludzkich rozmiarów.

– Chodź – powiedziała. – To wszystko zaraz runie. Zakłęcie tarczy nie wystarczy, ja cię ochronię.

Objęła go mocno. Brune poczuł tylko chłód, jakby owionął go wiatr. Chwilę później twierdza zaczęła się walić.

* * *

Odkąd wiodła samodzielne życie jako demon, Anyah nie знаła takiego uczucia jak strach. Gdy zamek Sathoona rozpadał się wokół niej, myślała tylko o tym, by człowiek, którego osłaniała, nie doznał żadnej krzywdy.

Po kilku nieskończonej długości sekundach, a może minutach, nad ich głowami załśniło blade niebo. Stali na szczycie wzgórza, a wokół wznosiły się sterty czarnego gruzu – wszystko, co pozostało z twierdzy. Córka Spalonego Władcy rozejrzała się beznamiętnie.

W dole, wśród snujących się mgieł wrzał gorączkowy ruch. Stwory żyjące na moczarach nie czekały, aż będzie im dane posmakować gniewu wrogów, którzy zburzyli siedzibę Czarnoustego, lecz uciekały – leciały, biegły i pełzły w stronę granicy.

Brune oparł się o fragment zburzonego muru, dygocząc na całym ciele. Nie był ranny, tylko oszołomiony, w szoku. Anyah dotknęła jego ramienia.

– Daj mi rękę. Wracamy do Doliny Popiołów.

– Nie – szepnął nieprzytomnie. Oczy miał szeroko otwarte, szkliste, wpatrzone w jeden punkt. Majaczył.

* * *

– Niepotrzebnie to zrobiłeś. – Dłoń w metalowej rękawicy dotyka płonącego bólem policzka. – Na dziewięć ognistych kręgów Rahimu, czemu nie mogłeś się zabić jak normalny człowiek? Otruć się, powiesić, podciąć sobie żył? Teraz minie wiele lat, nim zdołam cię przywrócić między żywych. A nie wiem wcale, czy warto.

– Warto, ojczy. – Jedna z szaro odzianych kobiecych postaci podpływa bliżej. – To spadkobierca Adriana de Vere, obdarzony błogostawieństwem Eresha. Bóstwo naznaczyło go rękami losu, tak jak piszą w księgach.

Nie chcę się zastanawiać nad tym, co znaczą jej słowa. W otumanionym gorączką mózgu kołacze się tylko jedna rozpaczliwa

myśl.

Nie umarłem.

Jedna rana za moją siostrę, jedna za kobietę, którą kochałem, jedna za mnie samego. Maść z tojadem, a na koniec klątwa, która miała obrócić w proch moje ciało i na zawsze zniszczyć duszę. Klątwy zyskują siłę dzięki bólowi, stąd dodatkowe dwa cięcia i rozjątrząjąca je toksyna – to jedno, już gojące się, które zafundował mi de Lyche, mogłoby nie wystarczyć, żeby nabrała wystarczającej mocy.

Legendarna, nadnaturalna żywotność ka-ira sprawia, że samobójstwo staje się cokolwiek problematyczne. Ogień mógłby mnie zabić – ale mógłby też nie zabić; podobnie podejrzenie sobie gardła, skok z dużej wysokości czy trucizna. W księgach można wyczytać, iż próby powieszenia bądź utopienia ka-ira zwykle kończyły się tak, że życie po jakimś czasie powracało – do nieodwracalnie uszkodzonego mózgu. O tym zaś, by użyć do tego celu magii teleportacyjnej, lepiej zapomnieć – dematerializacja czy portal czasem zabijają wskutek błędu w formule, wypaczenia aury, ale nigdy na skutek świadomego działania maga.

Bardzo nie chciałem ryzykować, że przeżyję. Stąd klątwa.

Która, jak się okazało, nie wystarczyła.

Choć jej czarny żar zżera mi połowę twarzy i pali w żyłach, nie umarłem. W każdym razie nie w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa.

Wspomnienie było jak półeczka nad przepaścią, na której chwiał się przez chwilę – a potem spadł. Runął w ciemność, w pustkę bez czucia i pamięci.

* * *

– Brune, obudź się.

Chłód na twarzy, jakby owionął go wiatr.

– Obudź się, proszę.

Otworzył oczy i beznamiętnie popatrzył na pochylającą się nad nim postać. Usiadł ostrożnie i zobaczył, że znajdują się na pagórku wznoszącym się ponad popielistą równiną, zasnutą pełzającymi leniwie oparami.

Potarł czoło, usiłując zebrać myśli. Czuł się słaby i oszołomiony, jakby obudził się po pełnym halucynacji półśnie zesłanym przez *utalhixtal* albo z majaczeń wywołanych gorączką. Nie do końca potrafił złożyć w całość wydarzenia z ostatnich godzin. Ale pamiętał, kim jest towarzysząca mu kobieta o szarej jak popiół skórze, w postrzępionych szatach barwy pyłu.

Nie wiedział, czy powinien jej nienawidzić, czy czuć bezsilny smutek na myśl o tym, co ją spotkało wtedy w Ri Talma. Co spotkało ich oboje. Na to pytanie, jak na tyle innych, nie było odpowiedzi.

– Jak się czujesz? – spytała demonessa. Wzruszył ramionami.

– Bywało gorzej.

– Spalony Władca czeka na ciebie na zamku – powiedziała. – Jest ci winien podziękowania.

Brune zawiesił wzrok na jej twarzy, znajomej i obcej zarazem. Przypomniał sobie pełne rozpacz i determinacji spojrzenie jej ludzkiego wcielenia. *Wracaj, Anyah. Dopóki żyję, to ja tu rządzę.*

Alessa, dziewczyna w żałobnej sukni, zmarła na zarazę w Ri Talma. Istniała już tylko Anyah, córka Spalonego Władcy. Księżniczka Otchłani.

– Uwolniłem cię – powiedział powoli.

– Tak.

– Co teraz? Pozwolicie mi wrócić do świata żywych i wymażecie pamięć? Znowu?

Demonessa odwróciła głowę, jakby nie chcąc patrzeć mu w oczy.

– Zapewne. Zdecyduje o tym mój ojciec.

W dole, nad Doliną Popiołów, snuły się dymy i cienie.

27. Śmierć zapisana w gwiazdach

Śledztwo, które z rozkazu Akhanii rozpoczął Mohellen, dość długo nie przynosiło oczekiwanych efektów. Owszem, udało się dowiedzieć, kim był morderca z Eume. Jakie nosił nazwisko, od jak dawna mordował, ile ofiar miał łącznie na sumieniu i komu służył. Ale obecni na balu *ka-ira*, kimkolwiek byli, umieli skutecznie zatrzeć swój ślad. Czary wróżebne nic nie dały, podobnie jak wysłanie w sfery astralnych tropicieli.

Mohellen był jednakże wytrwały, a Elita nie na darmo dysponowała siatką szpiegów i informatorów, zarówno w świecie ludzi, jak i wśród mieszkańców astralnego świata. Dlatego po wielu wysiłkach udało mu się w końcu wpaść na trop ciemnowłosego, śniadego zmija o żółtych źrenicach, a gdy powiązano jego opis z pewnym listem gończym, poszukiwania podjęto ze zdwojoną energią.

Cieniutkie nitki tropu biegły w różne miejsca. Do Gyary, gdzie członkowie cechu grabarzy okazali się niechętni do współpracy i nawet kuszeni złotem nie wyjawili niczego użytecznego. Do felczera nazwiskiem Denigis, który – jak na złość – zniknął, jakby zapadł się pod ziemię, nim agenci Elity zdążyli do niego dotrzeć. Do starej biblioteki w Tay, której mieszkańcy za stosowną sumę z rozkoszą sprzedaliby każdego – lecz, niestety, w tym przypadku wiedzieli zbyt mało, by to, co wyjawili, miało jakąś wartość. I do karczmy położonej w Chereon, w ósmym dominium astralnym, gdzie zmiennokształtny wilkostwór powiedział Mohellenowi kilka ciekawych rzeczy nad szklanicą fosforyzującego zielonego trunku, łącząc jak z nut, ale na swoje nieszczęście zapomniał, że srebrni magowie potrafią wyczuwać kłamstwo równie sprawnie jak czarni.

Śledztwo nabrało tempa dopiero wtedy, kiedy ludzie Mohellena, idąc za donosem na temat pewnej młodej lekarki, dotarli do szpitala dla ubogich w Shan Vaola. Trafili tam na rozmownego medyka nazwiskiem Kranz, który udzielił im nader interesujących informacji – i zainkasował za nie elegancką sumę.

Potem było już tylko kwestią czasu, nim akolici Mohellena, wytrwale rzucając czary wróżebne i zaznaczając wyniki na mapach sfer, zdołali wyznaczyć najbardziej prawdopodobną lokalizację poszukiwanej enklawy. Gdy następnie wysłano w tamten rejon astralnego szpiega, ten powrócił z wielce ciekawymi wieściami.

Tak ciekawymi, że Mohellen uzyskał od władz Elity pozwolenie, by zorganizować atak.

* * *

Dobrze znając Marshię, Anavri spodziewała się, że teraz, gdy wróciła pod jej skrzydła, dawna mistrzyni narzuci żelazną dyscyplinę i zacznie uczyć tego wszystkiego, w czym nie zdążył jej wyszkolić Brune, komentując cierpko jego brak systematyczności i konsekwencji. Myliła się jednak. Marshia, pochłonięta własnymi sprawami, spędzała teraz całe dni w zamkniętej pracowni, a dziewczęta pozostawiła samym sobie, pod życzliwą kuratelą Zazela. Chowaniec początkowo nie chciał im wyjawić, czym mistrzyni się zajmuje. Na trzeci dzień Lorraine zdołała jednak wydobyć z niego prawdę. Wykorzystując znajomości i powiązania, jakie jej jeszcze pozostały w materialnym świecie, Marshia szukała dla nich obu innych domów, innych opiekunów.

A to mogło oznaczać tylko jedno.

Dopiero teraz, obserwując mistrzynię na co dzień, Anavri zdała sobie sprawę, że mimo wszystkich wysiłków Krzyczącego, by przywrócić Marshii zdrowie, walka w sferach okaleczyła zmiękę nieodwracalnie. Marshia najwyraźniej też przestała się łudzić, że kiedyś odzyska choćby ćwierć dawnej sprawności. I, trzeźwo myśląca jak zawsze, za priorytet przyjęła zapewnienie bezpieczeństwa uczennicom.

Przez trzy kolejne wieczory, przewracając się bezsennie w czyściutkiej, wykrochmalonej pościeli, Anavri zastanawiała się, co je obie teraz czeka. Była skłonna się założyć, że Lorraine trafi pod skrzydła jakiejś bogatej arystokratycznej rodziny – zostanie powierniczką czyjejs córki jedynaczki, a może będzie towarzyszyć na każdym kroku czyjejs sędziwej, niedołącznej babce. Szlachetnie urodzona, wyszkolona w tajnikach etykiety, milcząca, umiejąca wtopić

się w tło – bo to wszak już nie tamta Lorraine, o której półtora roku wcześniej plotkowano na wszystkich salonach Szmaragdowej Dzielnicy. Przestała słyszeć głosy umarłych, a z całego repertuaru dawnych dziwactw pozostało jej jedynie ubieranie się na czarno. Anavri nie wątpiła, że jeśli kuzynka uzna za stosowne, bez trudu ukryje przed otoczeniem fakt, że miewa wizje. Tak, Lorraine sobie poradzi.

A ja?...

Coś mówiło jej, że Marshia może chcieć ją oddać pod opiekę komuś piastującemu wysokie stanowisko. Nie tropi się *ka-ira* na dworach władców ani w świtach dyplomatów.

No cóż, zawsze możesz po prostu wybrać samodzielność. Biła się z myślami, nie wiedząc, co byłoby lepsze. Wiedziała, czego pragnęłyby jej ojciec, lecz miało to dla niej coraz mniejsze znaczenie.

Wiedziała też, co doradziłyby jej Brune.

Stopniowo zaczynało do niej docierać, jak bardzo za nim tęskni, i ta świadomość bolała.

Szóstego dnia po kolacji Marshia wezwała Anavri, Lorraine i Zazela do swej pracowni.

– Dziewczęta, musimy pomówić o waszej przyszłości – oznajmiła tonem, w którym pobrzmiwało skrywane napięcie.

Choć w komnacie nie było zimno, Anavri zadrżała. Od chwili, gdy dopiła herbatę i wstała od stołu w jadalni, ciążyło jej nieokreślone złe przecucie. Jakby ta rozmowa miała przynieść niedobre skutki.

Zerknęła na kuzynkę. Lorraine nie wyglądała na zaniepokojoną ani zmartwioną. Zsunęła z nadgarstka bransoletkę ze srebra i polerowanych muszelek – upominek, który Anavri kupiła dla niej na targowisku na Wyspach Śpiewu – i zaczęła się nią bawić.

Naraz wzdrygnęła się i teatralnie zapatrzyła w przestrzeń. Na tak długą chwilę, że najpierw Zazel, a potem Marshia obejrżeli się na nią ze zdziwieniem.

– Lorraine? – zagadnął ostrożnie chowaniec. – Co widzisz?

Bransoletka wysunęła się z palców dziewczyny i spadła na parkiet.

– Idą! – wykrztusiła w dal patrząca, tocząc wkoło nieprzytomnym spojrzeniem. – Idą tu!

– Ale kto? – Zazel wskoczył na stół, podbiegł do niej. – Kto, Lorraine?

Z rozlewającym się powoli dreszczem zimnej, mdlącej zgrozy Anavri zdała sobie sprawę, że zna odpowiedź, nim ta padła:

– Sre... brni...

Marshia poderwała się z miejsca, przypadła do dziewczyny.

– Ile mamy czasu?! – krzyknęła nieswoim głosem.

Lorraine oklapła, oddychając ciężko. Żmijka potrząsnęła nią.

– Ile mamy czasu?!

Panna Nevers opanowała się nadludzkim wysiłkiem, przełknęła ślinę i popatrzyła na nich już przytomniej, lecz z takim przerażeniem, że Anavri zrobiło się zimno.

– Może kwa... drans...

– Musieli rzucić Mglę Quislinga – wyjąkał poblady jak ściana Zazel – zabezpieczyć się przed magią wróżebną, inaczej byś...

Marshia nie słuchała go. Podbiegła do bocznego stolika, na którym leżał papier i przybory do pisania. Chwyciła pióro i nakreśliła na kartce kilka zdań, skinieniem dłoni osuszyła atrament, po czym wręczyła Lorraine złożony we czworo list.

– Schowaj i strzeż jak źrenicy oka! Wręczysz go bankierowi Orpiusowi w Bel Ingre, nikomu innemu, pamiętaj! – Zwróciła się do chowańca. – Zabierz ją do materialnego świata i zostań z nią. Nie waż się tu wracać.

Zazel przytaknął bez słowa. Marshia położyła dłoń na jego łysej głowie, a Lorraine przytuliła, krótko i mocno. Potem przywołała Anavri i wcisnęła jej w ręce niedużą, lecz ciężką sakiewkę.

– Złoto – powiedziała krótko. – Będzie ci potrzebne.

Czubkami palców dotknęła czoła dziewczyny, szepcząc coś. Anavri w niemym szoku patrzyła, jak Zazel i Lorraine wkraczają w zwierciadlaną taflę, pulsującą kolorowymi wzorami. Po sekundzie portal się zamknął, lustro znowu było już tylko lustrem.

Przełknęła ślinę. Serce tłukło się w jej piersi niczym spłoszony ptak. Marshia – jak ona to robiła, na Otchłań?! – nadal była lodowato spokojna.

– Biegnij nad staw – rozkazała – i zdematerializuj się tak, żeby zatrzeć za sobą trop.

– Dokąd?

– Jak najdalej, dziewczyno, jak najdalej! Och, na Otchłań, poczekaj... – Mistrzyni rozejrzała się po półkach, chwyciła niedużą,

zniszczoną księgę i wetknęła Anavri do rąk. – Weź jeszcze to, przyda ci się. Teraz leć!

Anavri nadal stała jak wmurowana, zastanawiając się, co powinna powiedzieć, jakimi słowami się pożegnać. Marshia chwyciła ją za ramię i popchnęła do drzwi.

– Uciekaj! – krzyknęła.

Na wpół ogłupiała Anavri wreszcie ocknęła się z odrętwienia. Gdy zbiegała po schodach, jej kroki dźwięczały echem w pustych korytarzach willi. Nagle poczuła idiotyczną nadzieję, że może tego dnia wcale się nie obudziła i wszystko to jest jedynie snem, koszmarem, z którego ocknie się rano, bezpieczna w swojej komnacie.

Wychodząc na zewnątrz, drżącą ręką schowała sakiewkę i księgę w zanadrze. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma płaszcza, bielizny na zmianę, grzebienia, że czyste koszule i różne przydatne drobiazgi leżą spakowane w małej torbie w sypialni. Obejrzała się na pałacyk. Wracać? Nie wracać? Przypomniała sobie przerażone oczy Lorraine i strach popchnął ją naprzód. Pobiegnęła na skróty przez zachwaszczone, nieprzycinane od dawna trawniki, na łączkę, gdzie Brune wieki temu udzielał jej pierwszych lekcji walki.

Nieruchomej tafli stawu nie mąciła najmniejsza zmarszczka. Undyna dawno już opuściła enklawę, odleciały też łabędzie. Anavri odwróciła się, by po raz ostatni popatrzeć na domostwo Marshii. Przełknęła łyżę, zamknęła oczy i przywołała z pamięci obraz piaszczystego wybrzeża pod niebem, na którym migoczą obce gwiazdy.

Jak najdalej.

Gdy zalał ją wir kolorów wypełniający bezprzestrzeń między wymiarami, nagle przypomniała sobie ostrzeżenia na temat dematerializacji z enklaw i teleportowania się na wielkie odległości, zakrzywionych szlaków astralnych i pętli czasowych. Nie sprawdziła godziny ani układu gwiazd, nie wiedziała, czy zamiast w świecie ludzi nie wyląduje w którymś z tych dominiów sfer, gdzie rządzi Otchłań...

Ale było już za późno, by zawrócić.

* * *

Marshia stanęła przy oknie pracowni i czekała. Biss zawisł przy jej ramieniu, strzygąc psimi uszami. Po chwili, czując wahnięcie aury,

oboje odetchnęli z ulgą. Zmijka odwróciła się do chowańca.

– Uciekaj, Biss – powiedziała spokojnie. – Ratuuj się.

Stwór pokręcił psim łbem.

– Uciekaj – powtórzyła.

Chowaniec zafalował mackami, szepcząc do niej telepatycznie. W milczeniu, ze smutkiem pokręciła głową. Biss warknął cicho, obnażając kły.

Czekali, spoglądając w napięciu na szare pagórki enklawy pod równie szarym niebem. Zegar w pracowni tykał miarowo. Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Nagle nad horyzontem zaśniła smuga czerwonej poświaty. Zaczęła się powoli rozszerzać, jakby po drugiej stronie nieba szalał pożar.

Zmysły maga mówiły Marshii wszystko, co musiała wiedzieć. Intruzi przybyli. Neutralizowali zabezpieczenia enklawy. Działali powoli, bez pośpiechu. Wiedzieli, czym grozi uaktywnienie zmierzchu z Rikos.

Miała jeszcze chwilę na załatwienie tego, co konieczne.

Odwróciła się i podeszła do najbliższego z wiszących na ścianach zwierciadeł. Przyłożyła dłonie do tafli, szepcząc formuły w języku magów. Rozległ się trzask; w szkłe pojawiła się rysa, potem następne. Rozbiegły się we wszystkie strony, pokrywając zwierciadło pajęczyną pęknięć. Gdy zmijka cofnęła ręce, szkło z brzękiem posypało się na parkiet.

Portal był zamknięty.

Marshia Lavallo powtórzyła operację z pozostałymi zwierciadłami. Kiedy skończyła, podłoga pracowni zasłana była odłamkami szkła, a niebo za oknem jarzyło się czerwienią i pełgały po nim języki ognia.

Zostało bardzo mało czasu. Ze skrytki w ścianie wyjęła rzeźbioną hebanową kasetkę, a z niej puderko z agatu. Rozejrzała się i dopiero teraz dotarło do niej, że Biss zniknął.

Zmysły maga powiedziały jej, że chowaniec oddala się, frunąc ponad pagórkami. Westchnęła. Nie mogła już nic poradzić – wybrała. Usiadła na krześle w rogu pracowni, machinalnie wygładzając fałdy sukni, i wyjęła z puderka igłę.

Nie bała się – od zawsze wiedziała, że nie będzie się bać – lecz świadomość tego, co musi zrobić, przejęła ją lekkim dreszczem.

Madelena Rizzi opanowała się prawie natychmiast. Srebrni

magowie wdzierali się do jej enklawy, a ona miała jeszcze coś do zrobienia. Należało zatrzeć ślady po uciekinierkach. Zamknęła oczy i znów zaczęła szeptać w języku magów. Na jej skroniach pojawiły się kropelki potu.

Zegar tykał. Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Nagle wahnięcie aury było niczym bezgłośny grzmot. Przełamali osłony, nie uaktywniając żadnego z zabezpieczeń. Nie budząc zmirzchu z Rikos. Byli dobrzy. Lepszy niż przypuszczała. Zacisnęła zęby.

Nadchodzili. Czuła ich. Jeden Mistrz Elity, piątka akolitów. Biss zajmie ich – lecz nie na długo.

Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Po raz ostatni obrzuciła wzrokiem pracownię, a potem przywołała z pamięci twarz swojego mistrza.

Argilu, zabili cię w Domu Godnego Odejścia. Zniszczyli twoją duszę tak, by nie mogła się już nigdy odrodzić w świecie żywych. Ale jeśli nauki ze Świętej Księgi są cokolwiek warte... będziesz na mnie czekał.

* * *

Przestrzeń enklawy rozwarła się niczym teatralna dekoracja, ukazując fragment kamienistego pustkowia. Sześć postaci w białych szatach zstąpiło z otworu wprost na porośnięty trawą pagórek.

Za nimi przez szczelinę w osłonach przeleciał chowaniec Mohellena, Ygggris, wyglądający jak kruk z długim jaszczurczym ogonem, a w ślad za nim przeszło kolejno siedem mechanoidów – metalowych stworów przypominających bezskrzydłe, stąpające niezgrabnie na dwóch łapach ptaszyska. Gdy już wszystkie zebrały się na pagórku, Mohellen podszedł do szczeliny. Z fałdów szaty wyjął umocowany na łańcuszku mały srebrny artefakt do rozmów na odległość, zwany różą, bo złożony był z wielu płatków ułożonych w koncentryczne okręgi.

– Weszliśmy – poinformował Akhanię ar Vithanare.

Potem skinął dłonią i przestrzeń spoiła się na powrót, ciemny otwór zniknął. Sześć róż stało się bezużytecznych; przyłożywszy je do ucha, usłyszałoby się jedynie trzaski. Teraz, w enklawie, do której wdarli się jako intruzi, byli odcięci od możliwości komunikowania się z zewnętrznym światem.

– Idźcie do willi – zasyczał Yggris. – Reszta enklawy jest pusta.

Mohellen zasępił się. Czuł niepokój. Poszło za łatwo, zdecydowanie za łatwo. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że – o ile się nie pomylił, odczytując ślady w aurze – tam na zewnątrz, po drugiej stronie osłon, nie tak dawno temu zginął srebrny szpieg, którego Elita nadal uważała po prostu za zaginionego bez wieści w sferach.

Lecz miał pod swoją komendą pięciu akolitów – dwóch własnych podwładnych i troje ludzi Akhanii. Doskonale wyszkolonych, specjalnie przyuczonych do walki z czarnymi magami. A do tego wsparcie w postaci mechanoidów. Teoretycznie nawet gdyby przyszło im się ścierać z równym liczebnie wrogiem – co, jeśli wierzyć zebranym informacjom, nie wchodziło w rachubę – i tak mieliby przewagę. Wprawdzie tylko dwaj najstarsi akolici z Mohellenowego oddziału, Cleot i Poul, mogli się równać pod względem mocy z doświadczonym czarnym magiem, ale za to *ka-ira*, samotne wilki, nie trenowali latami walki w grupie, nie umieli łączyć sił. A najpotężniejszymi ze srebrnych czarów bojowych były właśnie te rzucane wspólnym wysiłkiem przez kilku magów.

– Tam! – Cleot, barczysty, jasnowłosy młodzian w srebrnej masce, wskazał pałacyk. – Mistrzu, ona jest tam! I jest sama!

– Chora i słaba – zawtórował Yggris, a jego ślepie błysnęły łakomie.

– Wiem – potwierdził Mohellen. Uniósł różdżkę, której czubek zajaśniał światłem. – Teraz posłuchajcie. Nie będziemy ryzykować, rozdzielimy się. Cleot, ty weźmiesz...

I wtedy znikąd spadł na nich potwór. Wyjąca nieludzko, poruszająca się błyskawicznie kula świszczących, smagających biczy, ciskających trzeszczące fioletowe wyładowania. Mohellen, kierując się czystym instynktem, padł płasko na ziemię, osłaniając się zaklęciem tarczy. Usłyszał wrzask jednego z akolitów, kątem oka dostrzegł, że Yggris pikuje na poczware, zionąc błękitnymi płomieniami, lecz chybia – a potem świat rozbłysł oślepiającym blaskiem najczystszej srebrnej mocy.

Choć czterech akolitów połączyło siły, by cisnąć świetlistą sieć, czar chybił, gasnąc nieszkodliwie w powietrzu, a stworzenie zdołało umknąć. Zatoczyło łuk w powietrzu i zaatakowało ponownie. Ale tym razem Yggris zawisł nad swoim panem, osłaniając go, a Mohellen włączył się do walki. Wycelował różdżką we wroga i spokojnie

wypowiedział dwa słowa, zamrażając przestrzeń tak, by na niedużym jej obszarze czas płynął dwadzieścia razy wolniej.

Stwór zawisł w powietrzu niczym w gęstej galarecie – rozpaczliwe ruchy jego macek przypominały teraz powolne figury w jakimś przedziwnym tańcu. Wyładowania, którymi nadal usiłował strzelać w magów, trzeszczały i gasły nieszkodliwie. Mohellen popatrzył z obrzydzeniem na istotę będącą skrzyżowaniem psa i ośmiornicy, po czym zabił ją jednym dobrze wycelowanym grotem energii. Następnie skinieniem dłoni rozproszył anomalie czasową. Zwłoki padły na trawę z nieprzyjemnym głuchym plaśnięciem.

– Chowaniec! – Mistrz Elity niemalże wypluł to słowo.

– Spowił się cz-czarem kamuflującym, dlatego go nie w-wyczuliśmy – wyjąkał Poul, dotykając czoła, na którym smagnięcie macką pozostawiło brzydką, nabrzmiewającą czerwoną pręgę. Mohellen rozejrzał się za pozostałymi. Cleot i najmłodszy z akolitów, Frixus, dyszeli ciężko, lecz fizycznie nie doznali szwanku. Yggris, również cały i zdrowy, z trzepotem wylądował na trawie. Naissa klęczała nad powalonym Espinem, który potrząsał głową, powtarzając w narastającej panice:

– Bogowie, moje oczy, moje oczy... Nic nie widzę...

– Trafiło go wyładowanie – wyjaśniła sucho akolitka. Mohellen przykląkł przy podwładnym, unosząc różdżkę, by oświetlić jego przerażoną twarz. Nie było na niej widać żadnych obrażeń, lecz źrenice nie zwięzły się pod wpływem światła – pozostały szerokie, zajmując niemal całe tęczówki.

Mistrz Elity wyszeptał kilka słów, kładąc dłonie na czole młodzieńca. Bez efektu. Wyjął spod szaty zawieszony na łańcuszku talizman w kształcie ibisa, chuchnął nań i poleciwszy Espinowi zamknąć oczy, dotknął wisiorkiem jego powiek. Ale i to nic nie dało.

Wstał i ponownie nakazał osłonom wokół enklawy rozchylić się, tworząc szczelinę.

– Ewakuuj się do siedziby Jej Świetlistości Akhanii – zdecydował. – Frixus, ty mu pomożesz.

Następnie sam zbliżył się do szczeliny, aby zameldować przez różę, co się stało.

Najmłodszy z akolitów pomógł towarzyszowi się podnieść i podprowadził go do otworu. Gdy przeszli na drugą stronę

i przestrzeń ponownie się zasklepiła, Mohellen schował różę i odwrócił się do swych ludzi.

– Idziemy – rozkazał.

Mechanoidy, które podczas samobójczego ataku chowańca zwinęły się w opancerzone kule – nie potrafiły bowiem nic zdziałać przeciwko tak szybko latającemu wrogowi – rozwinęły się teraz, wysuwając łapy. Wśród zgrzytu i poskrzypywania ruszyły kołyszącym się krokiem za czwórką magów.

* * *

Mohellen zatrzymał się przed willą.

Jeszcze chwilę wcześniej wyczuwał w willi czarną jaźń skażonej magini, a teraz zmysły maga mówiły mu, że w domostwie nie przebywa nikt żywy. Na pewno nie uciekła – każdy z mechanoidów, których metalowe ciała pokryto od wewnątrz mnóstwem wrytych formuł, był jednocześnie chodzącym talizmanem blokującym czarną magię teleportacyjną, a siedem stwarzało blokadę właściwie nie do pokonania. Należało przypuszczać, że schwyтана w pułapkę żmijka zastosowała jakiś fortel, kamuflując swoją obecność. Ale i tak jej to nie pomoże.

Po tym, jak w ciągu kwadransa od przekroczenia osłon zmuszony był wycofać z akcji dwóch ludzi, nie zamierzał już podejmować większego ryzyka niż to konieczne. Dlatego najpierw wysłał pięć mechanoidów, by spenetrowały budynek w poszukiwaniu ewentualnych pułapek – zakamuflowanych portali czy ukrytych w przedmiotach klątw.

Gdy metalowe stwory wróciły, cykaniem i ćwierkaniem raportując, że nie znalazły żadnych zagrożeń, Mohellen i jego akolici wkroczyli do środka. Czujni, osłonięci zaklęciami tarczy, przygotowani na to, że w willi mogą się znajdować zasadzki, których mechaniczne stwory nie zdołały odkryć. Ale nie. Wszystko wskazywało, że mieszkający tu *ka-ira* nie przygotowali na powitanie intruzów żadnych niespodzianek.

Mohellen rozkazał, by mechanoidy zostały na dole i patrolowały teren wokół willi. Sam wszedł z akolitami na piętro, bo wszyscy czworo wyczuwali to, co emanowało z jednego z położonych tam pomieszczeń – echo niedawnej śmierci.

Weszli do pracowni, gdzie od progu uderzyła ich gorąca, budząca odrazę aura czerni, i ujrzeli kobietę.

Siedziała na krześle z głową odchyloną na oparcie. Kilka kosmyków wymknęło się z nienagannej fryzury. Na nieruchomej twarzy zastygł lekki uśmiech.

Mohellen zacisnął zęby. Gestem powstrzymał Naisę, która chciała podejść bliżej i przyrzeć się zwłokom. Uważnie sprawdził zmysłami maga, czy krzesło ani szaty martwej żmijki nie kryją jakiegś złowrogiej niespodzianki. Upewniwszy się, że nie, podszedł, by obejrzyć ciało.

– *Ka-ira* była tu, ale już jej nie ma – wycedził po chwili, podnosząc złamaną igłę, która wysunęła się ze stygnących palców.

– Więc nie da się przywołać jej duszy z powrotem? – upewniła się Naissa.

Mohellen tylko zaśmiał się sucho.

– Suka przechytrzyła nas. – Popatrzył z nienawiścią na jej znieruchomiałą twarz. – Dobrze i to. O jednego gada mniej. – Wyjął z zanadru małą srebrną puszczkę, ostrożnie schował doń złamaną igłę, po czym odwrócił się do akolitów. – Dalej, nie stójcie jak durnie! Trzeba sprawdzić dom. Może gdzieś zachowały się ślady, które pozwolą nam trafić do jej przyjaciół.

W tymże momencie Poul zachwiał się i z jękiem osunął na ziemię. Mohellen i Naissa przypadli do niego. Młodzieniec poruszył ustami, próbując coś powiedzieć, lecz tylko zakaszłał. Zakrztusił się i nagle zwymiotował krwią oraz strzępami tkanki. Opadł na wznak, łapiąc powietrze niczym wyrzucona na brzeg ryba, i zakrzyczał boleśnie.

– Kłątwa! – rzucił Mohellen, po czym wyjął srebrny sztylet, zranił się w dłoń i mocnym, zdecydowanym głosem jął intonować zaklęcia. Cleot mu zawtórował.

– Ten przeklęty chowaniec... – wyszeptała Naissa, która nie знаła recytowanej przez nich trudnej formuły.

Czuła, jak silny jest czar, który w ciągu kilku sekund od uaktywnienia splugawił aurę Poula niczym kozuch glonów na wodzie albo sadza powlekająca od wewnątrz klosz lampy. Porazić tak potężną klątwą sługę srebra – oto moc, o jaką akolitka nigdy nie posądziłaby astralnego potworka służącego żmijom! Lecz śmierć ma wielką moc, a czar przypieczętowany samobójstwem – jeszcze

większą.

Kilka minut później, gdy Mohellen i Cleot, spoceni i bladzi z wysiłku, kończyli inkantację, Poul leżał nieprzytomny. Jego twarz pociemniała niczym oblicze wisielca. Spomiędzy opuchniętych powiek sączyły się strużki zielonkawej ropy, a w ustach poruszało się coś ciemnego, pokrytego łuską, co nie było językiem.

Przemieniał się pod wpływem klątwy. Coś wykluwało się w jego wnętrznościach – astralny byt, którego nie można zniszczyć, zabijając ciało nosiciela. Siatka ochronnych zaklęć spleciona w rozpaczliwym pośpiechu przez mistrza Elity mogła ten proces spowolnić, lecz nie powstrzymać.

– Wracam z nim do siedziby Akhanii – zdecydował Mohellen. – Jest szansa, że zdołają mu jeszcze pomóc. Cleot, Naisso, wy zostajecie. Przeszukacie dom.

28. Dusza za duszę

Otworzył oczy i poderwał się, oddychając szybko, w panice. Jego oczy w oszołomieniu rejestrowały szczegóły otoczenia. Wełniany koc, siennik nakryty zgrzebnym prześcieradłem, drewniane belki pochyłego sufitu w jego własnej sypialni.

Już dobrze. Śniłeś.

Lecz sekundę później zmroziła go świadomość, że nie, bynajmniej. Nie śnił.

Półprzytomnie przegarnął palcami włosy, dotknął twarzy, natrafił na blizny. Blizny, nie jątrzące się rany. Nie było brudu, pokrywającego odzież i ciało. Żadnych śladów bytności... tam.

Nie tym razem.

* * *

Choć fizycznie nie doznał żadnego szwanku, wyprawa do Otchłani i wydarzenia, które się tam rozegrały, pozostawiły swój ślad. Skonstatowawszy, że jest z powrotem u siebie w enklawie i nic mu nie grozi, Brune padł z powrotem na posłanie i przespał prawie dobę, budząc się tylko po to, żeby napić się wody.

Kiedy w końcu oprzytomniał na tyle, by wstać, poczuł, że jest głodny jak wilk. Pobieźna lustracja kuchni uświadomiła mu, że ostatnie zakupy zostały zrobione jeszcze przed odejściem Anavri. Czyli tak naprawdę cholera wie ile dni wcześniej, bo z oczywistych przyczyn zupełnie zatracił rachubę czasu. Klnąc pod nosem, wyrzucił resztki zapleśniałego chleba, zjełczałego masła oraz zeschniętej, nieświeżej baraniej pieczeni. Przyniósł ze spiżarki suchary, ser, wędzoną rybę, oliwki i ostatnią garść suszonych moreli. Jedząc, zaczął się zastanawiać, czy skontaktować się z Marshią, czy też dać sobie spokój. Nadal miał w pamięci ostatnią kłótnię z nią, ale złość już mu z grubsza przeszła. W przyływie optymizmu uznał, że może jakoś zdołają się dogadać. Tak naprawdę chciał porozmawiać przede

wszystkim z Anavri i przekonać ją do powrotu.

Sprawdził godzinę i doszedł do wniosku, że nie ma co się spieszyć – w enklawie Marshii była teraz noc. Równie dobrze mógł się najpierw zająć prozaicznymi sprawami, jak zakupy oraz doprowadzenie chaty do porządku po paru tygodniach snucia się w makowym otępieniu.

Kilka godzin później stanął przed zwierciadłem i spróbował nawiązać kontakt z Marshią, wiedząc, że nawet jeśli zmijka jeszcze śpi, to któryś z chowańców zawsze dyżuruje rankiem w pracowni swojej pani, na wypadek gdyby przyszła jakaś ważna wiadomość od jej sojuszników. Ku jego zdumieniu ani pierwsza, ani druga, ani trzecia próba nie powiodły się; tafla pozostała ciemna i pusta. Najpierw pomyślał, że zwierciadło szwankuje, ale nie – czar, którym było obłożone, nie miał tendencji do wygasania z upływem czasu.

Rozłożył karty, a gdy zobaczył, co pokazują, przygryzł wargę. Działo się coś niedobrego. A w zasadzie, jeśli wierzyć wróżbie – już się wydarzyło. Ale nie potrafił zinterpretować, co konkretnie. Karty miały to do siebie, że ich ostrzeżenie mogło sygnalizować równie dobrze duże kłopoty, co jakiś banalny problem, na przykład chorobę kucharki. Brune po raz czwarty spróbował nawiązać kontakt z Marshią – bez efektu.

Dłuższą chwilę zastanawiał się, co robić. Pełzające na skraju świadomości chłodne przeczucie podpowiadało mu, że stało się coś bardzo złego i że cokolwiek to było, nastąpiło nagle – tak nagle, że Marshia nie zdążyła wysłać do niego żadnej wiadomości. W grę wchodziły zasadniczo cztery scenariusze: albo nagle załamanie się stanu zdrowia zmijki, albo atak wrogów z Otchłani, albo napaść jakichś drapieżnych istot z astralu... albo srebrni.

Jeszcze niedawno byłby skłonny uważać, że Marshia wyjdzie cało z każdej opresji, ale teraz, mając w pamięci incydent ze szpiegiem srebrnych, bynajmniej już tak nie sądził. Pytanie brzmiało, czy on sam może teraz w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg wydarzeń. Czy powinien ruszać z odsieczą na ślepo, nie wiedząc, czy enklawa Marshii w ogóle jeszcze istnieje? A może właśnie buszują tam najeźdźcy z któregoś z mroczniejszych dominiów astralnych lub też srebrni po zgarnięciu mieszkańców zastawili pułapkę i teraz czekają, żeby sprawdzić, kto się w nią złapie?

Marshia da sobie radę. Lata doświadczenia. Martwił się przede

wszystkim o dziewczęta. O Anavri i pozbawioną daru Lorraine.

Dłuższą chwilę stał niezdecydowany, gapiąc się w zwierciadło. W końcu zaklął, podwinął rękawy i ostrzem sztyletu nakreślił na przedramionach znaki ochronne, a potem sprawdził to i owo na mapach sfer w grymuarze Liseniusa. Po namyśle wyjął ze skrzyni szarfę, którą wyhaftowała dla siebie Anavri i której zapomniała zabrać. Przewiązał się nią w pasie i sprawdził z nawyku, czy ma przy sobie gemmę Eresha. Oddychał szybciej – teraz, gdy już podjął decyzję, chłodne przecucie zmieniło się w lodowate, jednoznaczne ostrzeżenie daru. Pchał się prosto w kłopoty.

Nie pierwszy raz, psiakrew, i nie ostatni.

Opuścił chatę, zszedł nad jezioro i zdematerializował się. Wylądował w środku podmokłej dżungli gdzieś w drugim dominium astralnym, gdzie tęczowe motyle trzepotały wokół gigantycznych skrzypów i paproci. Przeszedł jakieś sto kroków, omijając zwalone drzewa oraz zwisające kurtyny pnączy, i zdematerializował się po raz drugi.

Tym razem, tak jak planował, zmaterializował się na kamienistym pustkowiu w pewnej odległości od enklawy Marshii, na tyle daleko, by jego pojawienie się nie było łatwo wyczuwalne dla obecnych wewnątrz. Błękitny, lśniący bąbel wznosił się w oddali, na pozór nienaruszony. Jednak już z tej odległości Brune czuł, że coś jest nie tak.

Spowił się iluzją niewidzialności, dbając o to, by czar stłumił także jego aurę, i ruszył pieszo w stronę enklawy. Mniej więcej kwadrans później miał już pewność, że pierwsze wrażenie go nie omyliło.

W aurze enklawy dawało się wyczuć obcą, zimną nutę. Nutę srebra.

Żmij zwolnił kroku, zastanawiając się, co teraz. Wewnątrz enklawy nie wyczuwał gwałtownych wybuchów mocy towarzyszących walce – a to znaczyło, że jest po wszystkim. Zaś jeśli było po wszystkim...

Zdrowy rozsądek nakazywał wynosić się precz. *Nic już nie poradzisz, nie pomożesz, osiągniesz co najwyżej tyle, że złapią i ciebie.* Ale uciec już teraz, nie sprawdzwszy, co się wydarzyło – to nie leżało w naturze Krzyczącego.

Rozejrzał się, wy tężając zmysły maga. Nigdzie wokół nie widział ani nie wyczuwał obecności żadnych stworzeń, ale to nie znaczyło, że oczy i uszy srebrnych nie obserwują okolicy. Wszeptał słowa

wzmacniające jego kamuflaż, po czym sięgnął umysłem do wnętrza enklawy, metodycznie, spokojnie sprawdzając, ilu ludzi znajduje się w środku. Zabezpieczenia nie stanowiły dla niego żadnej przeszkody – teraz były to wszak te same formuły, co w jego własnej siedzibie. Rozpoznawały go i poddawały się jego woli.

Po chwili wiedział już wszystko.

Dwoje magów Elity. Dokładniej – dwoje akolitów. Do tego siedem jakichś mechanicznych stworów ożywionych mocą srebra.

Oraz zwłoki Marshii Lavalle.

Brune zacisnął zęby. Naraz drgnął, wyczuwając wahnięcie aury. Kilka kroków dalej pojawiła się znajoma mglista postać.

– Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli tu się zjawię, zanim zrobisz coś głupiego – powiedziała Anyah.

– Co masz na myśli?

– Powiedz mi z łaski swojej, jaki masz plan?

– Zlikwidować tych drani. – Wskazał enklawę.

– Dwójkę srebrnych? – Nie był pewien, czy w jej głosie słyszy niedowierzanie, czy ironię, ale to nie miało znaczenia.

– Jeśli nie zamierzasz mi pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzaj – warknął.

Z namysłem przyłożyła palec do ust, potem skinęła głową.

– Pomogę ci.

* * *

Na każdym przedmiocie, jakiego człowiek używa, osadza się jego aura. Stosunkowo słabo na odzieży, silniej na obiektach z metalu, takich jak biżuteria, sprzączka od pasa albo noszona stale przy sobie broń.

Ale na przedmiotach, które pozostały w komnatach willi, nie przechował się nawet ślad aury. Nie ulegało wątpliwości, że wiszące w szafach suknie były użytkowane, jedwab wciąż jeszcze pachniał perfumami. Naissa metodycznie spenetrowała wszystkie trzy kobiece sypialnie, sprawdzając pościel, grzebienie, pantofelki i ozdoby. Nic. Zacisnęła zęby.

Zostali przechytrzeni.

Śmierć ma wielką moc. Akolitka skłonna była się założyć o najcenniejszy z posiadanych talizmanów, że martwa żmijka

zapłaciła własnym życiem za to, by zatrzeć trop swoich towarzyszek, kimkolwiek były.

Skoro tak, spróbujemy inaczej. Przeszła do gabinetu. Zmysłami maga czuła, że Cleot nadal przebywa w pracowni; reszta domostwa, pusta, trwała w martwej ciszy. Naissa zaczęła przeglądać listy i dokumenty leżące na eleganckim sekretarzyku z orzechowego drewna. Po chwili syknęła przez zęby; tu także nie było niczego, co mogłoby się przydać, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Kurtuazyjne pozdrowienia podpisane inicjałami, jakiś dwuznaczny bilecik, suchy raport od zarządcy majątku wyliczający ilość zboża złożoną w spichrzach, w którym nie podano nazwy posiadłości... I nabazgrana niewprawną ręką, pełna błędów ortograficznych skarga dzierżawcy do „Jaśnie Wielmożnego Pana”, podpisana „Jakob Grint”. Akolitka tylko pokręciła głową; Jakobów Grintów musiały w Siedmiu Krainach żyć całe setki. Dwa ostatnie listy pisane były w języku sylfów, zawijasami i robaczkami, których nie umiała odcyfrować. Po namyśle zgarnęła wszystko – niech mistrz im się przyjrzy, może on zdoła wyczytać więcej.

Nagle uniosła głowę, niepewna, czy usłyszała skrzypnięcie podłogi, czy tylko jej się zdawało. Nasłuchiwała chwilę, po czym wróciła do przeszukiwania sekretarzyka.

Nie wydała krzyku, kiedy ostrze rapiera przeszło jej pierś.

Sekundę później jej ciało zaczęło czernieć, zwęglać się i rozpadać w oczach.

* * *

Śmierć Naissy wybuchła w świadomości Cleota lodowatą eksplozją. Akolita zatoczył się na ścianę, zasłaniając oczy. Chwilę później był już w stanie myśleć trzeźwo. Nie wyczuwał w enklawie obecności żadnego intruza – zatem akolitka musiała uruchomić jakąś pułapkę ukrytą w tym przeklętym domu.

Chwycił różę do rozmów na odległość, lecz zaraz wypuścił ją z ręki, słysząc jedynie trzaski. Stojąc bez ruchu, sięgając umysłem w przestrzeń, usiłował dociec, co się stało. Wyjrzał za okno – mechanoidy zignorowały wahnięcie aury, nadal patrolowały obszar wokół willi, posłuszne rozkazowi Mohellena.

Co robić? Naissa nie żyła – dar mówił mu to z całą pewnością. Cokolwiek ją zabiło, niewyczuwalne dla zmysłów maga, a umiejące zneutralizować wpływ potężnych srebrnych talizmanów ochronnych, mogło zabić i jego. W czasie krótszym niż potrzeba, aby przeanalizować tę kwestię, Cleot zdematerializował się, lądując na trawniku przed willą, i dmuchnął w piszczałkę, którą zostawił mu Mohellen. Niesłyszalny dla ludzkiego ucha świst był sygnałem przyzywającym mechanoidy.

Ostłoniwszy się na wszelki wypadek czarem niewidzialności i czarem tarczy, akolita czekał, aż wszystkie przybiegną do niego na swych pokraccznych metalowych łapach. Gdyby któryś doznał szwanku, konstruktorzy z Wyspy Łabędzi nie byłiby szczęśliwi.

Gdy zgromadziły się na trawniku, wśród cichych zgrzytów i pobrzękiwania, błyskając ognikami szklanych ślepi, Cleot przeliczył je i zaklął cicho – jednego brakowało. Spojrzał w stronę ciemnych okien pustej willi, próbując zdecydować, co zrobić.

Nie wiedział jeszcze, że bez względu na to, jaką podjąłby decyzję, i tak było już za późno.

Spięty i czujny, akolita z daleka wyczułby obecność zmija mimo najlepszych czarów kamuflujących. Ale przez zasłonę, jaką rozsnuła wokół swojego podopiecznego demonessa, nie miał szans, by wyczuć cokolwiek.

Aż do momentu, gdy niewidzialny wróg zaatakował i wszystko zniknęło w sinym blasku paraliżujących magicznych wyładowań.

* * *

Wyczuwając obcą, czarną aurę, mechanoidy rzuciły się ku atakującemu, lecz powstrzymała je niewidoczna telekinetyczna bariera. Po chwili zaczęły miotać się bezładnie, wymachując kończynami i dobywając z metalowych gardeł rozpaczliwe dźwięki, a pomiędzy nimi zakłębił się mglisty opar – to demonessa postanowiła się nimi zająć.

Żmij przykląkł nad nieprzytomnym akolitą, by sprawdzić, czy delikwent oddycha i czy nie doznał na przykład wylewu. Brune nie zamierzał zafundować mu trwałych obrażeń, a jedynie pozbawić przytomności na kilka godzin. Z ulgą skonstatował po chwili, że chyba

się udało. Potrzebował do swoich celów żywego srebrnego maga – nie trupa i nie ciała w śpiączce.

Zerknął ku mechanicznym stworom. Dwa już leżały bez ruchu na trawie; na oczach zmija z donośnym brzękiem blach dołączył do nich trzeci. Pozostałe, widząc to dały dowód, że w ich mózgach jednak rezyduje jakaś namiastka rozumu, bo zaczęły uciekać. Po krótkim namyśle Brune przelewitował ciało nieprzytomnego akolity przez próg willi, sam wszedł do środka, zatrzasnął drzwi i kredą nakreślił na nich od środka znak broniący mechanoidom przystępu do wnętrza domu. Potem, przez cały czas podtrzymując akolitę w powietrzu przed sobą, wspiął się po schodach na piętro, do pracowni Marshii. Tam ostrożnie złożył go na podłodze i otarł pot z czoła – tak długie utrzymywanie czaru lewitacji zmęczyło go niemal w równym stopniu, co dźwiganie delikwenta na własnych plecach.

Demonessa, która zostawiła ocalałe mechanoidy w spokoju i przypląnęła tu za nim, zawisała w powietrzu z pytającym wyrazem twarzy.

– Zawołaj tu twojego ojca – rozkazał Krzyczący.

– Co ty kombinujesz? – zdziwiła się.

– Chcę mu zaproponować układ. Dusza tego srebrnego drania za moją. To chyba uczciwa wymiana?

– Dusza... – Córka Spalonego Władcy zagapiła się na niego tak, jakby bredził.

– Co, chcesz powiedzieć, że tak się nie da? Znam wasze prawo, Anyah. On jest magiem i ja jestem magiem. Dusza za duszę. Zawołaj tu ojca.

Anyah otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale zrezygnowała i zdematerializowała się.

Żmij czekał, zaciskając zęby. Gdy już zaczynał się zastanawiać, w którym momencie powinien zapomnieć o układach z Doliną Popiołów i wynosić się precz, powietrze na środku komnaty zadrgało i znikąd spłynął kłęb mgły, formując się w dwie postaci.

Demon o czarnych łabędzich skrzydłach popatrzył pytająco na zmija. Brune wskazał leżącego.

– Proszę, o królu. Srebrny mag, żywy, cały i w miarę zdrowy, tylko trochę... uszkodzony. Weź sobie jego duszę zamiast mojej, a mnie puść wolno.

Spalony Władca zaśmiał się z wyraźną aprobatą.

– No, no, Anyah – zwrócił się do córki. – Jest jeszcze bezczelniejszy, niż myślałem.

Demonessa nic nie odrzekła. Sprawiała wrażenie wystraszonej.

Spalony Władca z namysłem patrzył na nieprzytomnego akolitę. Przykląkł i położył mu rękę na czole, później zadarł powiekę i zajrzał w oko. Cmoknął.

– Za taką cenę, mój agencie, możesz kupić najwyżej kilka lat wolności. Ale w porządku. Skoro tak bardzo ci zależy... niech będzie. Niech będzie, Deuvenie.

Zawiesił głos. Żmij patrzył wyczekująco.

– Mogę ci ofiarować siedem lat, licząc od teraz. Pragnę zaznaczyć – w głosie demona zabrzmiała nutka groźby – że ta oferta nie podlega negocjacji. Albo się zgadzasz, albo nie.

Krzyczący zakrył dłonią oczy. Wahał się zaledwie przez moment.

Siedem lat wolności... Lepsze niż nic.

– W porządku – powiedział wolno. – Niechże tak będzie. Przez siedem lat trzymacie się z daleka, nie śledzicie mnie, nie ingerujecie w moje życie... i nie zabijam dla was. – Wypowiadając to ostatnie, zawahał się, prawie pewien, że demony zaprotestują. Ku jego zaskoczeniu Spalony Władca spokojnie skinął głową.

– Umowa stoi, człowieku. Masz na to, przy świadku, moje królewskie słowo.

Wyciągnął rękę. Żmij uścisnął ją nieufnie. Wydało mu się, że w niebieskich oczach Favilla dostrzega błysk drwiny, ale może mu się tylko zdawało.

Anyah spuściła głowę i objęła się ciasno ramionami. Była demonem, Brune nie potrafił wyczuć jej emocji, ale wystarczyło popatrzeć na jej twarz.

– Trzeba zniszczyć tę enklawę – odezwała się, z pozoru spokojnie. – Poradzisz sobie sam? Możemy...

– Poradzę sobie – uciał.

– Dobrze. Nic tu po nas, córko. Zabierz tę nieszczęsną ofiarę i wracamy. – Spalony Władca dał znak demonessie i oboje rozplłynęli się w powietrzu. Wraz z nimi zniknął też nieprzytomny akolita.

A więc skończone.

Skupiając się z powrotem na terażniejszości, Brune rozejrzał się

po pracowni Marshii. Pospiesznie zebrał księgi i pergaminy na tyle cenne, że nie chciał ich tu zostawiać na zmarnowanie. Zawinął je w jedwabny obrusik z bocznego stolika, tworząc zgrabny pakunek. Potem pozgarniał z półek drobiazgi, które mogły mu się przydać – kilka fiolek z ingrediencjami, szczerozłoty sztylet do rytuałów, mały globusik astralny. Pochował wszystko po kieszeniach. Działał jak automat, teraz nie było miejsca na emocje. Zawahał się nad kryształową kulą wróżebną, ale przypomniał sobie, że artefakty tego typu nie zawsze akceptują nowego właściciela. Z żalem pomyślał o bibliotece, ale nie było czasu na przeglądanie zgromadzonych tam dzieł, żeby wybrać dwa czy trzy najcenniejsze tomy. Zresztą z tego, co wiedział, Marshia przechowywała wszystkie księgi magiczne w pracowni, a traktatów o historii, geografii czy sztuce sprawowania władzy, choćby spisanych przez najwybitniejszych autorów, nie potrzebował.

Nie należało już dłużej zwlekać. Ale nie mógł odejść bez pożegnania. Podszedł do martwej siostry w darze i naraz odkrył, że całe jego opanowanie było jak warstewka lodu na rzece, tak cienka, że można ją skruszyć uderzeniem obcasa.

Przez ściśnięte gardło wyrecytował w mowie magów słowa pożegnania. Dotknął dłoni Marshii, a po chwili wahania delikatnie pocałował ją w chłodne czoło.

Potem zdematerializował się, lądując w kamienistym terenie tuż poza granicą enklawy, nieopodal miejsca, gdzie rozegrała się walka z wysłannikiem srebrnych.

Nakreślił na ziemi odpowiednie symbole i zaczął recytować skomplikowane frazy w języku magów, odruchowo sięgając umysłem w przestrzeń, sprawdzając, czy nie zbliżają się srebrni. Ale nikt się nie zjawiał.

Osłony enklawy były teraz tak słabe, że wystarczyło zdjąć formułę stabilizującą, by błękitna, lśniąca kopuła zapadła się niczym pęcherz, z którego uszło powietrze, po czym zniknęła, odsłaniając wnętrze: pagórki porośnięte szarą trawą i widoczny w oddali pałacyk. A potem zadziałał ostatnie z ochronnych zaklęć Marshii i budynek zaczął topnieć w oczach niczym rzeźba z cukru wrzucona do wody. Po chwili nie było już po nim śladu.

Następnie zabrzmiał grzmot, powietrze zadrgało i zniknęły też

same łąki – rzeczywistość sfer pękła na moment, natychmiast spajając się na powrót. Teren otaczający willę powrócił do materialnego wymiaru, skąd lata wcześniej został wyrwany. Lecz już bez willi – ta rozpadła się, rozplynęła bez śladu w bezprzestrzeni między wymiarami. Ściany, meble, dywany, ozdoby, ciało chowańca i ciało żmijki – wszystko wsiąkło w pustkę. Ostatni, pośmiertny popis czarnej sztuki w wykonaniu Marshii Lavallo.

Brune dopiero teraz poczuł, że nogi uginają się pod nim z wyczerpania. Usiadł ciężko na ziemi.

Był wolny. I nie czuł z tego powodu radości ani satysfakcji. Nie czuł zupełnie nic.

A potem błysnęła mu chłodna, trzeźwiąca myśl.

Zazel. Lorraine.

Anavri.

29. Daleko, daleko

W tylnej salce karczmy przy niskim stoliku siedzieli na matach: chalkiryjski kupiec nazwiskiem Meddis, niejaki Obazi, starszy jednej z tutejszych wiosek, oraz Anavri w przebraniu chłopca. Przed nimi stały szklane czarki, karafka wody różanej, talerz tłustych kokosowych ciastek oraz haftowana sakiewka wypełniona perłami.

Budynek, choć nieduży, był murowany, o grubo bielonych ścianach, więc nawet w południe panował tu przyjemny chłód. Za zasłoną z nanizanych na sznurki koralików widać było fragment głównej sali, gdzie kilku marynarzy popijało palmowe wino i rzadkie, kwaśnawe piwo, dłubiąc w zębach i spluwając. Na zewnątrz z nieba lał się żar.

– Czteryście? Niech się pocałuje – warknął Meddis, pleczysty, wąsaty jegomość.

Wyspiarz dystyngowanym gestem wziął ciasteczko i wsunął je do ust. Jego krągłe oblicze, podobne do wypolerowanej miedzianej patelni, nie wyrażało żadnych uczuć.

– Wielce dostojny Obazi – przetłumaczyła Anavri – pan Meddis nie może się, niestety, zgodzić na proponowaną przez ciebie cenę.

Po półgodzinie dalszego targowania się transakcja została w końcu zawarta i nieszczęsne perły zmieniły właściciela. Anavri otarła pot z czoła i duszkiem wypijała czarkę wody różanej. Obazi schował należność, po czym wyszedł. Meddis przywołał karczmarza i zamówił obfity obiad.

Dziewczyna przeszła do głównej sali i usiadła w swoim kącie, blisko wejścia do kuchni. Zza uchylonych drzwi jak co dzień sączył się melanż zapachów: słodko-kwaśny wieprzowy gulasz z marynowanymi jarzynami, pszenne placki *chok*, pikantna pieczona ryba, ryż z rodzynkami i cynamonem. Anavri przełknęła ślinę; doskwierał jej głód, ale musiała cierpliwie czekać, aż karczmarz zawoła, żeby *talmene* Fabien przyszedł coś zjeść. Wiedziała, że nie stanie się to prędko, bo o tej porze dosyć często pytano o jej usługi.

Gospoda mieściła się na wyspie Suniz, najbardziej wysuniętej

na północ, największej i najludniejszej z całego archipelagu. Obfitowała w klientów niezależnie od pory dnia; kupcy, żeglarze i kapitanowie spotykali się tu, aby wymieniać wieści i zawierać transakcje. Anavri dziękowała gwiazdom za wykształcenie panny z dobrego domu. Ojciec kiedyś zakładał, że być może wyda ją za mąż za wysokiego urzędnika w koloniach lub dyplomatę, a teraz, znając biegle dwa obce języki, mogła jakoś przetrwać w tym wielokulturowym tyglu, oczywiście przez cały czas udając chłopca. Brakowało jej lepszych pomysłów. Cały jej majątek składał się teraz z odrobiny złota, paru kupionych tutaj ubrań i starego traktatu o podstawach wiedzy magicznej, do którego nawet nie zaglądała, bo sam widok tej książki sprawiał, że przypominała sobie pożegnanie z Marszą i do oczu napływały jej łzy. Żyła z dnia na dzień; wszystko, co udawało się jej zarobić, dostawał właściciel gospody w zamian za skromne wyżywienie oraz zakwaterowanie w nędznej izdebce, nawiedzanej przez karaluchy i pająki. Wiedziała, że musi znaleźć jakieś lepiej płatne zajęcie, i to takie, które nie będzie wymagało ciągłego kontaktu z ludźmi. Wprawdzie srebrni magowie rzadko bywali na Wyspach Śpiewu, ale nie miała najmniejszej ochoty odkryć któregoś dnia, że zmuszona jest usiąść twarzą w twarz z jakimś sługą Elity i rozmawiać z nim jakby nigdy nic.

Rozwiązanie najbardziej oczywiste, czyli zaoferowanie swych usług tutejszej gildii przestępczej, odrzucała ją. Nie umiała przecież, jak Krzyczący, warzyć eliksirów ani leczyć skutków klątw. Nie sądziła, by ktokolwiek zdrów na umyśle chciał z niej uczynić płatnego zabójcę, ale dzięki iluzjom oraz telekinezie mogłaby być świetnym złodziejem.

Wprost idealne zajęcie dla córki Alaina Vaneisen.

Poza tym bała się tych ludzi – bo rozpoznawała ich z daleka, bez względu na to, czy byli obdarci i zbirowaci, czy też grubi, wystrojeni i dostojni. Mieli martwe oczy, a gdy wypili za dużo palmowego wina, słyszała ich myśli, śmierzące jak rybie wnętrzności. Czasem udawało się jej spostrzec, jak porozumiewają się niby to przypadkowymi gestami, jak sakiewka czy kilka złotych monet zmieniają właściciela. Szybko odwracała wtedy wzrok. Na nią szczęśliwie nikt nie zwracał uwagi – przez karczmę przewijało się wielu jasnowłosych talmeńskich marynarzy – choć wiedziała, że jest bezpieczna tylko tak długo, dopóki w jakichś niefortunnych okolicznościach nie wyjdzie na jaw jej płeć.

Przesiadując tutaj dzień po dniu, przysłuchując się rozmowom, zdążyła się zorientować, że kapitanowie pływający po niebezpiecznych wschodnich wodach chętnie zatrudniają na swych statkach zaklinaczy wiatru, członków alkaryjskiego bractwa posiadającego od Elity specjalną dyspensę na posługiwanie się mocą. W pierwszym odruchu dostrzegła w tym nadzieję dla siebie, lecz szybko nabrała wątpliwości: cóż z tego, że miała intuicyjną łatwość posługiwania się żywiołem powietrza, skoro nikt nigdy nie uczył jej, jak chronić statki przed wichurą i wysoką falą albo jak przegonić roz hulane sylfy, gdy zapragną zatopić żaglowiec ot tak, dla zabawy?

Co dzień przed świtem, skryta pod iluzją niewidzialności, szła boso na plażę, żeby się wykąpać w morzu. Sięgała wtedy darem w przestrzeń, starała się wyczuć prądy powietrza i cichą harmonię Ekwilibrium. Potem przywoływała moc i delikatnie przyzywała wiatr lub uciszała go. Nigdy w najmniejszym stopniu nie zaburzyła równowagi prądów Zmroczy. Na Wyspach Śpiewu trwała teraz sucha pora roku, ale ilekroć Anavri czuła, że po południu pogoda się zmieni, że nastąpi krótkotrwała, gwałtowna burza z ulewą – tak właśnie się działo. Czasem przychodziły też spontaniczne zachwiania, w trakcie których księżyc zmieniał barwę na szafirową lub czerwoną, wiatr niósł szłochy i dziwne, niezrozumiałe okrzyki, a niekiedy zaczynał padać topniejący w oczach śnieg. Miejscowi bali się wtedy wychodzić z chat, a jeśli już musieli wystawić nos za próg, zasłaniali twarze, wierząc, że inaczej mogą ich urzec duchy zmarłych. Anavri nie obawiała się zachwiań, ale ilekroć patrzyła na wiszący nad palmami szkarłatny księżyc, przypominał się jej Krzyczący. Opadające nieporządnie włosy, plama cierpienia wypalona na policzku, zapach dymu i kamfory. Schrypnięty głos i ostrożny, ciepły dotyk śniadych dłoni.

Czasem rozpaczliwie pragnęła, żeby ją tutaj odnalazł. Kiedy indziej, gdy nad wyspami trwała noc, a ona przewracała się z boku na bok na swym nędznym pościeliu, bo upał nie pozwalał zasnąć, nabierała chłodnej pewności, że Brune nie żyje. Lub też – że żyje, ale nie ma motywacji, by jej szukać. I kto wie, może tak było lepiej.

Może tak było lepiej.

– Nie obawiaj się, panie. Ja, Koren Lefeu, ręczę honorem, że dopłyniemy na wyspę Boro wystarczająco szybko, byś zdążył tam załatwić swe interesy.

Poirytowany męski głos, mówiący po nedgvarsku niezbyt dobrze, ze śpiewnym chalkiryjskim akcentem. Anavri drgnęła i poszukała wzrokiem mówiącego.

Czarnowłosy młodzieniec w stroju marynarza z północy – rozchełstana z przodu lniana koszula, hajdawery i wysokie buty – odchylił się do tyłu na ławie, splatając ramiona na piersi. Za barwną szarfę, która zastępowała mu pas, zatknięte miał dwa długie noże o zakrzywionych ostrzach. Towarzysząca mu kobieta, ubrana podobnie i podobnie uzbrojona, zmarszczyła brwi.

– Wypłyniemy, kiedy naprawy będą ukończone, to chyba logiczne. Bez obaw, szacowny Zaimie, o tej porze roku „Koziorożec” jest w stanie dotrzeć na wyspę Boro w trzy tygodnie.

– Nawet bez sprawnego zaklinacza? – naciskał dalej Zaim, brzuchaty i brodaty Nedgvarczyk w szacie z frędzlami. Anavri wyteńczyła słuch.

– Trzy tygodnie – powtórzył z naciskiem młodzieniec.

Jego rozmówca mruknął coś z niezadowoleniem, po czym wstał i skłonił się nisko, na co Chalkiryjczycy odpowiedzieli jedynie skinieniami głowy. Kiedy Nedgvarczyk opuścił karczmę, kobieta spojrzała na towarzysza.

– Widzisz? – powiedziała niegłośnie w ojczystym języku. – Już się rozniosło, że Fulp nie daje sobie rady, odkąd oberwał tą cholerną kłatwą.

– Powiedziałem, że znajdę mu kogoś do pomocy, i tak zrobię. Mamy kilka dni, rozejrzemy się, popytamy. I tak musimy czekać, póki nam nie połatają steru.

– Bracie, ale gdzie znajdziesz podszkolonego zaklinacza wiatru, który zgodzi się współpracować z Fulpem? W pełni wyszkoleni szukają samodzielnych posad, a branie podrostka nie ma sensu, bo wszak potrzebujemy kogoś, kto już coś umie...

Mówili jak szlachta i mimo zawadiackiej aparycji oraz noszonej ostentacyjnie broni nie wyglądali na piratów. Ich aury tchnęły życiem, śmiałością, swobodą oceanu. Anavri podjęła decyzję. Wstała i podeszła do nich.

– Czy dobrze mi się zdaje, szlachetni... – miała powiedzieć „szlachetni panowie” i w ostatniej chwili ugryzła się w język – że poszukujecie zaklinacza wiatru?

Cisza.

Dwie pary czarnych oczu zmierzyły ją badawczym wzrokiem. Milczenie przedłużało się; Anavri czuła, jak na skronie występuje jej pot. Potem młodzieniec wskazał stołek.

– Proszę, siadaj, przyjacielu. Jestem Koren Lefeu z Chalkiru, kapitan „Koziorożca”, a to mój drugi oficer, Adrea Lefeu.

Siostra – pomyślała ze zdziwieniem Anavri, patrząc na ich twarze. Adrea, atrakcyjna kobieta o chmurnym wejrzeniu i lekko drapieżnym profilem, sprawiała wrażenie nieco starszej od brata. Jej włosy spływały czarną kaskadą, przewiązane na czole szkarłatną chustką, a w uszach kołysały się duże kolczyki z masy perłowej.

– Jak masz na imię, chłopcze? – spytała.

– Fabien. – Głos Anavri nawet nie zadrżał. – Jestem... byłem, ee, uczniem wędrownego zaklinacza wiatru, ale mój mistrz zachorował i zmarł... kilka tygodni temu.

– Ile masz lat? – zapytał Koren.

– Dwadzieścia.

Popatrzyli na siebie. Anavri wyczuła ich nagle obudzoną nieufność i pożałowała, że nie skłamała, że jest młodsza. Jeśli kandydatów na zaklinaczy przyjmowano do terminu w wieku jedenastu, dwunastu lat, jak w wielu innych cechach, to dwudziestolatek powinien już dawno być nie uczniem, a czeladnikiem.

Koren Lefeu bez pośpiechu sięgnął po czarę, napił się palmowego wina, po czym oparł łokcie na stole.

– No dobrze, Fabienie. Trzeba ci wiedzieć, że „Koziorożec” to trójmasztowiec, brygantyna, przypuszczalnie najszybsza na tutejszych wodach. Najczęściej pływamy między Wyspami Śpiewu a wyspą Boro, przewozimy trochę towaru, pocztę i zwykle również pasażerów. Bywa, że zajmujemy się do ochrony konwojów. Na tych morzach oprócz piratów grasują krakeny, morskie mamuny i dziwy, zdarza się też, że statki, które zawędrują zbyt daleko na południe, przekraczają granicę wymiarów i giną bez wieści w sferach. Nasz zaklinacz jest zdolny i doświadczony, lecz odkąd w walce oberwał klątwą, choruje. Czasem przez kilka dni nie jest w stanie pełnić swych obowiązków. Dlatego zdecydowaliśmy się nająć dla niego pomocnika. Co potrafisz?

– Umiem wezwać i uciszyć wiatr. Przywołać i rozproszyć mgłę.

Umiem wyczuć, kiedy nadchodzi sztorm albo zachwianie Ekwilibrium... – Urwała, ponownie wyczuwając ich konsternację. Koren popatrzył na siostrę; ta zmarszczyła brwi i wykonała dłonią drobny gest. Potem znowu wbił spojrzenie w Anavri.

– Pochodzisz z Talme, co?

– Znad Zatoki Snów.

– Ale twój mistrz był z alkaryjskiego bractwa?

– Tak.

– Hm. – Dopił wino i krzywiąc się, odstawił czarękę. – Ależ szczyny tu dają, bodaj ich... Pływać umiesz?

– Tak.

– A walczyć?

– Jeśli trzeba. – Przezornie nie sprecyzowała, jaki rodzaj walki ma na myśli.

Mierzył ją pełnym namysłu wzrokiem i Anavri nagle poczuła irracjonalny lęk, że jakimś sposobem przeniknął jej kamuflaż. Ale nie, to było niemożliwe.

– Rozmawiałaś kiedyś z sylfem?

– Tak – odrzekła, mając nadzieję, że nie spytają, w jakich to było okolicznościach. Chętnie spytałaby, na co choruje ich zaklinacz, ale powstrzymała się.

Wbrew sobie odkryła, że wpatruje się w Korena Lefeu. Miał smagłą, śmiałą twarz o wydatnych kościach policzkowych, ze schludnie przystrzyżoną bródką. Złoty kolczyk w uchu, na odsłoniętej, szczupłej piersi kilka wytatuowanych symboli – dziewczyna rozpoznała prostą formułę mającą chronić od śmierci w walce.

Adrea szepnęła coś bratu na ucho, ten pstryknął palcami i wstał.

– Chodź no na zewnątrz, mości Fabienie.

Anavri przełknęła ślinę. Dar nie sygnalizował jej żadnego zagrożenia, ale i tak czuła się niepewnie, wychodząc z dwójgim uzbrojonych nieznajomych. Karczmarz odprowadził ich wzrokiem.

Poszli między palmami w stronę plaży, a potem brzegiem wody. Koren nie odezwał się, póki nie znaleźli się dosyć daleko od karczmy. Morze, spokojne jak jedwab, migotało w blasku słońca.

– Widzisz ten kamień? – Wskazał wygładzoną przez fale bryłkę granitu wielkości dużego jabłka. – Jeśli podniesiesz go, nie używając

rąk, przyjmuję cię.

Anavri zawahała się. *Pułapka* – zaszeptał rozsądek – *to na pewno pułapka!* Ale w aurze Korena Lefeu nie wyczuwała fałszu. Intuicyjnie podjęła decyzję. Przywołała moc, błyskawicznie uniosła kamień telekinezą, złapała go i zaprezentowała na dłoni.

Adrea uniosła brew, spojrzała na brata. Ten skinął głową.

– Żeglując na wyspę Boro, lepiej mieć na pokładzie *ka-ira* niż tylko chorego zaklinacza wiatru – powiedział cicho. – Nawet jeśli *ka-ira* zna alkaryjskie bractwo wyłącznie ze słyszenia. Zatrudniam cię, Fabienie. Pakuj manatki. Wypływamy za cztery czy pięć dni, ale równie dobrze możesz jeszcze dzisiaj poznać swojego nowego mistrza.

Anavri z bijącym sercem skinęła głową. I pomyślała, z nagłym ukłuciem smutku, że Krzyczący byłby z niej dumny.

* * *

Ponad wznoszącą się w górskiej dolinie wieżą pełzły po niebie szmaragdowe i turkusowe rozbłyski. Niegroźny efekt uboczny czarów, jakie dopełniały się w dole – echo, rezonans wibrujący we włóknach Zmroczy.

Mohellen ar Vanth zatrzasnął księgę. Popatrzył na machinę astrologiczną stojącą w rogu komnaty. Słońce było w znaku Małpy, księżyc w znaku Dziewicy, a układ siedmiu ważnych konstelacji sprzyjał srebru.

Po tym, co wydarzyło się w enklawie, którą zdobyli, rozpętała się burza, a Mohellen znalazł się w jej epicentrum. Tylko i wyłącznie Opiekunce Eume zawdzięczał to, że uniknął natychmiastowej, surowej kary. Akhania zdołała przekonać Radę Elity, że nieostrożnością zawinił nie on, a akolici, których pozostawił w siedzibie zmijki. Przedstawiła na tyle przekonujące argumenty, że Mohellena nie tylko nie ukarano, ale pozwolono mu kontynuować śledztwo.

Tożsamość mordercy udało się zidentyfikować nadspodziewanie łatwo; umiał wprawdzie przybierać różne postacie, ale nie maskował się przed magią wróżebną, może nie posiadając po temu dostatecznej wiedzy. Jego imię nie zaskoczyło Mohellena. Zmotywowało go jedynie do zdwojenia wysiłków mających na celu ujęcie gada. A teraz, gdy

doniósł Akhanii i Radzie, że nareszcie jest na właściwym tropie, dano mu szansę, by się zrehabilitował.

Na marmurowej posadzce pracowni widniał wzór z przecinających się okręgów i rombów, nakreślony za pomocą białego piasku. W jego centralnym punkcie w powietrzu migotał zielony płomień, nie dymiąc i nie wypalając się. A wewnątrz płomienia lewitowała buteleczka zamknięta szklanym korkiem na szlif.

Na oczach maga płomień zmienił barwę na błękitną, a potem zgasł. Buteleczka nadal trwała w powietrzu, podtrzymywana przez zakłęcie lewitacji. Dziewięciostopniowa procedura dobiegła końca – eliksir dojrzał.

Mohellen bez pośpiechu obmył dłonie w srebrnej misie, po czym wyjął ze skrzyni szarfę z wyhaftowanymi symbolami i przepasał nią swoją szatę.

Ostrożnie ujął buteleczkę, odkorkował ją i powąchał zawartość. Zielonkawa, opalizująca ciecz pachniała metalicznie, jak świeżo wykuta i naostrzona klinga.

Wspomniał dwójkę swych akolitów – martwą Naisę i zaginionego bez wieści Cleota. Jeden błąd, jedna nierozsądna decyzja... Pomści ich, zarazem ratując własny honor. Musi pomścić. Bo w przeciwnym razie czeka go degradacja, może nawet uwięzienie – a tym razem Akhania już nie powie ani słowa w jego obronie.

Zamknął oczy i bez drżenia wyrecytował formułę, po czym wypił pierwszy łyk formuły, kładąc dłoń na sercu. Płyn, pozbawiony smaku jak woda, wydał mu się bardzo zimny. Drugi łyk palił jak ogień. Mohellen z trudem zdobył się na to, aby wysączyć trzeci, który okazał się chłodny i słodki. Ukoił palenie i sprawił, że maga ogarnął dziwny spokój.

Nadszedł czas.

* * *

Dochodziła północ. W willi bankiera Orpiusa w Bel Ingre, stolicy Lossoru, okiennice były pozamykane, ale gdyby ktoś przyjrzał się uważnie, dostrzegłby, że w dwóch oknach przez szpary sączy się nieco światła.

W kantorku na parterze wszędzie poniewierały się rozłożone książki

rachunkowe i kwity. Bankier, wściekły jak rój os, po raz trzeci sprawdzał dokumenty, przygotowując się do tego, że będzie musiał zwolnić współpracownika, który bez pozwolenia udzielił kredytu nieuczciwym kupcom z południa.

W małej sypialni na piętrze w lichtarzu dopalał się ogarek świecy. Zazel, siedząc z talerzem na kołdrze, z rozanieloną miną konsumował drożdżowe rogaliki z wiśniami. Spał się bardziej niż kiedykolwiek, jego oblicze przypominało teraz krągły kołacz z dwoma sterczącymi wąsikami. Lorraine, w koszuli nocnej i domowej wełnianej narzutce, leżała z dłońmi podłożonymi pod głowę, swoim zwyczajem wpatrując się niby to w sufit, a tak naprawdę w jakiś odległy wymiar.

Oboje wiedzieli, że Marshia Lavallo nie żyje. Panna Nevers widziała moment jej śmierci – ten obraz wciąż jeszcze dręczył ją w snach – ale nawet gdyby nie posiadała daru jasnowidzenia, to Zazel i tak wyczułby, że stracił właścicielkę.

Lorraine, pragmatyczna jak zawsze, zdążyła się już otrząsnąć i przyzwyczać do myśli, że została na świecie całkiem sama, nie licząc stwora na pajęczych łapach. Zazel, jak wyczuwała, miewał się zdecydowanie gorzej. Ale wiedziała też, że nie potrafi mu w żaden sposób pomóc. Nie poruszała więc tego tematu.

– Co tam widzisz? – zagadnął chowaniec.

– Patrę, co porabia Brune – rzekła od niechcienia.

– I nic nie mówisz?! – Zazel poderwał się, omal nie wywracając talerza. – To on żyje?!

– Żyje.

– Więc czemu się tu nie pojawia? Psiakrew, to tak mu zależy na przyjaciółkach?

W tymże momencie powietrze w rogu sypialni zamigotało, zafalowało i zestaliło się w czarno odzianą sylwetkę. Chowaniec przełknął, rozdziawił paszczę i siedział tak nad rogalikami, nie mogąc wykrztusić słowa. Lorraine usiadła, okrywając się kołdrą.

– Wiedziałam, że się kiedyś zjawisz – powiedziała rzeczowo. – Jak nas znalazłeś?

– Dzięki twojej miniaturze. – Krzyczący usiadł na krześle, uważając, żeby nie przygnieść zawieszoną na nim modnej pelerynki, oczywiście czarnej. Wyjął z kieszeni oprawiony w złoto portrecik malowany na smoczej kości, który dawno temu, w lochach Shan

Vaola, dostał od Lorraine w zamian za zdjęcie z niej kłątwy kamienienia. – Proszę, zwracam ci ją. Lepiej, żeby wróciła w twoje ręce.

Zazel przyjrzał mu się uważnie i z ulgą przekonał się, że Brune jest schludnie ubrany, patrzy przytomnie, a jego ruchy nie zdradzają ani śladu spowolnienia wywołanego opium.

– Coś ty porabiał przez tyle czasu? – spytał.

Żmij rozłożył ręce.

– Gdybym miał czas, opowiedziałbym, ale nie mam. Powiedzcie, jak się miewacie?

– Dobrze – odrzekła Lorraine.

Zazel potaknął.

– Ach, nie narzekamy. Pan Orpius ma niezłego kucharza. Może rogalika?

Krzyczący gestem podziękował za podsunęty mu talerz, więc chowaniec, czując się usprawiedliwiony, wpakował do paszczy dwa rogaliki naraz.

– Pan Orpius odkrył już, że mój talent bywa bardzo przydatny w prowadzeniu interesów – wyjaśniła panna Nevers z błyskiem w oku, który dziwnie skojarzył się Żmijowi z Marshią.

– Więc Lorraine uczy się teraz o kredytach, wekslach i procentach, żeby łatwiej móc służyć fachową radą – dopowiedział Zazel, wskazując księgę leżącą na nocnym stoliku. Dziewczyna żartobliwie pacnęła go w ciemię. Brune uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

– Lorraine, czy wiesz, gdzie jest Anavri?

– Gdzieś na południu – odrzekła panna Nevers. – Gdzieś bardzo daleko. Wiem, że żyje, ale kiedy próbuję ją zobaczyć, widzę tylko morze.

Żmij wolno skinął głową.

– To by wiele tłumaczyło. Próbuję ją odszukać, ale... – Rozłożył ręce.

– Czary tropiące? – odezwał się Zazel.

– Tak.

– Słabo działają przy tak dużych odległościach, zwłaszcza ponad wodą. Tropienie kogoś, od kogo dzieli cię ocean... Cholernie ciężka sprawa. Marshii może by się udało. Może.

– Wiem. – Brune westchnął. – Byłem nawet u ojca Anavri. Ale on też nic nie wie. Nie kontaktowała się z nim od miesiący.

Lorraine patrzyła na niego z powagą i współczuciem.

– Uciekła tak, żeby zerwać za sobą wszystkie nici, zatrzeć ślady. Zrozum, niczego nie bała się tak bardzo, jak pojmania przez srebrnych.

– Rozumiem. – Potarł czoło. – Chcę tylko wiedzieć, że ma się dobrze i jest szczęśliwa.

– Próbuj ją odszukać do skutku. Dopóki żyje, dopóty jest szansa, że się uda.

– Będę próbował. – Wstał. – Uważajcie na siebie.

Zazel posmutniał, wąsiki mu oklapły. Choć odkarmiony i pękaty, wyglądał teraz bardzo smętnie, ze swoją łysą, pobliźnioną głową i ślepiami, w których po śmierci Marshii coś zgasło, chyba już na zawsze.

– Wróc tu jeszcze – poprosił cicho.

– Nie, Zazel. Nie żyjecie już w enklawie. Nie chcę was narażać.

Chowaniec chciał coś powiedzieć, ale zamilkł. Brune tymczasem wyjął z kieszeni dwa zwiłki pergaminu i wręczył im po jednym.

– Jeśli któreś z was będzie kiedyś potrzebowało pomocy, niech spali ten świstek. Postaram się... postaram się przybyć. – Odkaszlnął, zawahał się. – No cóż... Bywajcie zdrowi. Lorraine, pilnuj tego żarłoka. I uważaj na siebie.

Musnął dłonią twarz dziewczyny. Sekundę później zniknął – rozpułnął się w powietrzu.

Zazel dłuższą chwilę gapił się za nim z otwartymi ustami. Potem westchnął.

– Jak myślisz, znajdzie ją?

Panna Nevers uśmiechnęła się smutnym uśmiechem jasnowidza.

* * *

Za oknami chaty, na nocnym niebie, migotała błękitna luna – echo potężnego zachwiania Ekwilibrium, które właśnie przetaczało się nad południową prowincją Camarry, gdzie znajdowała się kotwica enklawy. Tu, na górze, panowała cisza, aura zachowywała stabilność. Osłony, wzmocnione dodatkową warstwą czarów kamuflujących, dla zmysłów maga były niczym chłodny, uspokajająco solidny mur.

Krzyczący zamknął okiennice i usiadł przy stole w pracowni,

zeterminowany podjąć jeszcze jedną próbę odnalezienia swojej uczennicy. Pewność, że żyje, ułatwi mu zadanie – podświadome nastawienie robiło dużą różnicę.

Coś mówiło mu, że po tym, jak widziała go w szponach szaleństwa, nie zechce wrócić. Nie zamierzał nalegać. Ale musiał ją znaleźć – już choćby po to, by sprawdzić, że nie potrzebuje pomocy.

Wyspy Śpiewu. Czy zamieszkała tam na dworze jakiegoś arystokraty z otoczenia gubernatora? Została towarzyszką czyjejś córki? A może czyjąś kochanką?

Nie chciał myśleć o tym, że mogła wpaść w łapy handlarzy niewolników albo gildii przestępczej. Ale nie – była zmijką. Na pewno sobie radziła – kto jak kto, ale *ka-ira* ma do dyspozycji zdolności pozwalające spaść na cztery łapy w prawie każdej sytuacji. Pod warunkiem, że potrafi je odpowiednio wykorzystać.

Anavri.

Zacisnął w dłoni jej spinkę i zamknął oczy, przywołując z pamięci obraz dziewczyny.

Anavri leżąca w swojej sypialni w Shan Vaola, gorączkująca i nieprzytomna, kiedy czarny dar brał ją w posiadanie.

Chłodna i opanowana mimo strachu, gdy stali w szrankach, otoczeni przez wyjący tłum.

Roześmiana Anavri na szlaku w dominium gnomów, pijąca wodę z górskiego strumienia.

Jej zachwycony wzrok, gdy patrzyła na burzowe córki tańczące wśród ulewy.

Jej gładkie, zgrabne ciało, smukłe nogi, drobne dziewczęce piersi. Uroczyste zawstydzenie tamtej pierwszej nocy.

Jej uśmiech.

Jego świadomość, płynąca na oślep przez wiry wymiarów, nagle odnalazła to, czego szukała – jakby rzucona lina z hakiem zaczepiła o skalny występ. Brune zdematerializował się, posyłając swoją jaźń wzdłuż tropu, który migotał teraz w bezprzestrzeni między światami, słaby i ulotny.

Ogarnęło go znajome uczucie szybowania przez bezład kolorów, a potem nagle stał na piasku pod nocnym niebem. Ciepłe powietrze pachniało solą i egzotycznymi kwiatami. Czarny przestwór w górze migotał gwiazdami, układającymi się w konstelacje inne niż

na północy. Kawałek dalej rosły palmy, za nimi w mroku majaczyły chaty. Brune gwizdnął cicho, gdy dotarło do niego, dokąd trafił.

Wyspy Śpiewu.

Nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał bez przygotowań dotrzeć tak daleko, i to niesiony samą tylko dematerializacją, nie portalem – magia teleportacyjna jednak bywała czasem zupełnie nieprzewidywalna. Intuicja maga mówiła mu, że trafił nie na Suniz czy Akore, tylko na jedną z małych, słabo zaludnionych wysepek w południowej części archipelagu.

Obejrzał się – za sobą miał mroczną przestrzeń morza. Fale z chlupotem lizały brzeg. Na niebie lśniły niteczki czerwonego blasku, splatające się w pajęczynę – Ekwilibrium było nieznacznie zaburzone. Może sprawiło to jego pojawienie się tutaj, może coś innego.

Kawałek dalej, w cieniu palm wznosiły się chaty oraz jeden większy budynek, również drewniany i kryty strzechą. Przez szerokie szpary w ścianach sączyło się żółtawe światło. Z wnętrza dobiegały głosy i śmiechy. Karczma.

Krzyczący przymknął oczy i serce zabiło mu szybciej. Nie musiał nawet wyteżać zmysłów maga. Czuł znajomą obecność równie wyraźnie, jakby był to chłodny powiew wśród upalnej nocy.

Niewiele myśląc, spowił się iluzją, zmieniając się w starego włóczęgę o nedgvarskich rysach. Poświęcił jeszcze sekundę na sprawienie, żeby jego ubranie przybrało pozór takich łachmanów, jakie mógłby nosić ktoś miejscowy, po czym ruszył na przespiegi.

Odsunął zasłaniającą wejście matę i wszedł do środka. Ciemnoskórzy, półnaczy tubylcy siedzieli w kucki wokół dzbanów, z których piło się przez rurki – po trzech klientów na dzban. Obok niektórych stały misy z jedzeniem, inni ćmili fajki wodne. Woń spoconych ciał i piwa w połączeniu z dymem i śwędem kaganków przyprawiała o zawrót głowy. Gruba kobieta siedząca obok dwóch pękatych glinianych garów – w jednym znajdował się ugotowany ryż, a w drugim zimna ryba przyrządzona na kwaśno – obrzuciła starego żebraka nieprzychylnym spojrzeniem, ale nic nie rzekła. Brune zgarbił się jeszcze bardziej, żałując, że nie ma kaptura, który mógłby nasunąć na czoło, i rozejrzał się powoli.

W najdalszym rogu siedziało dwóch mężczyzn oraz dziewczyna o jasnej północnej cerze. Żmij zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie

wbiły się w ciało. Zamknął oczy, siłą woli narzucając sobie spokój.

Ruszył wolno wzdłuż ściany, tak manewrując, żeby kryć się za ludźmi, nieznacznie manipulując iluzją, żeby odpychać od siebie światło, utrzymywać twarz w cieniu. Miał wprawę.

Zatrzymał się kawałek od tamtych, w takiej odległości, by mimo panującego gwaru móc śledzić ich rozmowę.

Grubas odziany z nedgvarska, w długiej, niezbyt czystej szacie z frędzlami, wyjął z ust rurkę i podrapał się po łysinie.

– Za trzy tysiące popłyniecie? Co? Kapitanie? Piękna panienko?

Brune przygryzł wargę, zaledwie czując ból. Miał wrażenie, że czas zwalnia bieg, sekundy rozciągają się niby lepki syrop.

Czarnowłosa, smagły młodzieniec spogląda na towarzyszkę. Ta ledwie zauważalnym skinieniem głowy zachęca, by się targował.

– Popłyniemy za osiem, plus żywność dla załogi.

Grubas dłubie w zębach srebrną wykałaczką.

– Cztery tysiące.

– Siedem.

– Cztery i pół.

Dziewczyna pogryza kawałek mango, udając brak zainteresowania. Jest ubrana po męsku, z zawadiackim, pirackim szykiem. Biała koszula, nieco rozsznurowana u góry, łańcuszek na szyi, szkarłatna szarfa w talii, luźne, ozdobione haftami spodnie. Spod kolorowej jedwabnej chustki wymykają się jasne włosy...

Wyglądała ślicznie, ale zarazem coś się w niej zmieniło, i nie chodziło bynajmniej o strój. Brune wciągnął powietrze przez zęby, gdy uświadomił sobie, co przez cały czas szepcze mu dar. Gdy skupił się ciut bardziej, bez trudu wychwycił emocje Anavri. Delikatną, lecz jednoznaczną więź między nią a czarnowłosym kapitanem.

Nagle podniosła głowę. Dostrzegł półotwarte w zaskoczeniu usta, błysk w oczach – rozpoznała go.

Zdematerializował się, nim zdążył się zastanowić. Chwilę później stał na piargach w dominium gnomów. Wiedział, że dziewczyna nie podąży za nim. Był w jej nowym życiu równie zbędny, co śnieg w lecie.

Zdał sobie sprawę, że nadal zaciska pięści. Odetchnął głęboko, zmusił się do rozluźnienia.

Przynajmniej teraz już wiesz.

Usiadł na kamieniu i siedział tak, patrząc w przestrzeń.

Choć wiedział, że nie powinien teraz przywoływać wspomnień, nie powinien rozpamiętywać – nagle okazało się, że nie potrafi myśleć o niczym oprócz niej. Anavri. Anavri. Ćwicząca pisanie znaków przy stole w kuchni. Lewitująca kamyki na łączce nad stawem. Ściągająca koszulę przez głowę i rozpuszczająca dla niego włosy. Śliczna, delikatna. Dziewczyna, która w innych okolicznościach mogłaby zostać nawet żoną księcia.

Nie miał jej za złe. Rozumiał. Potrzebował tylko chwili, żeby przyzwyczać się do myśli, że odeszła.

W końcu zaklął, z rozmachem cisnął precz kamyk, którym od dłuższej chwili się bawił, i wstał. Ruszył przed siebie – ot, byle iść. Nie miał ochoty jeszcze wracać do enklawy.

Teren był stosunkowo trudny, akurat na tyle, żeby wymusić skupienie na wyszukiwaniu drogi wśród piargów i sterczących skałek, a co za tym idzie – porzucić rozmyślenia. W pewnej chwili Brune poczuł, że talia kart w jego kieszeni drgnęła, jakby dopraszając się uwagi. Zignorował to jednak. Chwilowo było mu całkowicie obojętne, co mówią karty.

Zaczął ostrożnie schodzić zlebem, gdzie w szczelinach skalnych kwitły dziwne, smrodliwe kwiaty barwy surowego mięsa, i nagle zatrzymał się jak wryty.

Nieco niżej, u wylotu zlebu, wznosiły się liczne głazy, niektóre o kształtach przywodzących na myśl prymitywnie obrobione posagi. Między nimi siedziała bez ruchu postać. Mężczyzna w szarej pelerynie z kapturem.

Żmij odruchowo spowił się czarem niewidzialności, po czym sięgnął zmysłami maga ku nieznanemu, usiłując wyczuć, kto to taki. Ku swemu zaskoczeniu wyczuł... pustkę. Nie ciepło żywej istoty, nie chłód umarłego i nie obcą, palącą moc demona. Istota siedząca wśród głazów aurę miała równie martwą jak one.

Krzyczący położył dłoń na rękoności sztyletu, lecz nie dobywał go. Skupił uwagę na zakapturzonym, starając się wy badać, czy to istota z krwi i kości, żywiołak czy może zjawa. Skupiwszy się maksymalnie, wyczuł słabe ciepło żywego ciała, wydobywające się jakby spod kilku warstw grubej materii.

Czar kamuflujący.

Dokładnie w chwili, gdy to do niego dotarło, nieznajomy wstał

i uniósł rękę, a jego aura rozbłysła oślepiającym blaskiem najczystszej srebrnej mocy.

Brune poczuł, że oplata się wokół niego lodowata sieć, krępując ręce i nogi. Niewidzialna pętla zacisnęła się na gardle, dławiąc oddech.

Pociemniało mu w oczach, osunął się na ziemię. Nim stracił przytomność, zdążył jeszcze ujrzeć, że część otaczających go głązów ożywa, przemieniając się w białe, toporne sylwetki golemów.

* * *

Akhania ar Vithanare mimo późnej pory siedziała w pracowni, raz po raz przegarniając dłonią piasek na deseczce. Ze wszystkich technik wróżebnych preferowała tę, starą i nieco zapomnianą. Czuła niepokój, niesprecyzowane złe przeczucie, a przyszłość nie chciała odsłonić przed nią swego oblicza.

Wstała, gdy w rogu pomieszczenia coś zaczęło pulsować błękitnym światłem. To ustawiona na srebrnym trójnogu kryształowa kula ożyła. Po chwili pojawiła się w niej twarz podwładnego.

– Pani, schwytałem w sferach *ka-ira*, tak jak było zapisane w gwiazdach – oznajmił Mohellen ar Vanth. Nie wyglądał jednak na szczególnie zadowolonego z siebie.

– To ten, którego poszukujemy?

– Nie. Zaledwie płotka, młodzik. – Zawiesił głos. – Lecz miał przy sobie pergamin z imieniem tamtego, wypisanym własną krwią.

– Zmodyfikowany czar kozła? Dostatecznie silny, by zmylić nasze wróżby?

– Na to wygląda.

Akhania zmarszczyła brwi. Zatem morderca dwójki akolitów, który dopisał tę zbrodnię do długiej listy innych nikczemnych czynów, po raz kolejny okazał się nieuchwytny. Fakt, iż nadal przebywał na wolności, zaiste stanowił policzek dla potęgi srebra.

– Złóż jutro raport Arcymistrzowi – powiedziała wolno. – Schwytanego, skoro to płotka, możesz spożytkować zgodnie z umową, lecz najdalej za cztery doby dostarcz go do Domu Godnego Odejścia na Wyspie Salamander. Zostanie tam przesłuchany.

– Tak uczynię, o pani. – Mohellen skłonił głowę. Wymienili słowa pożegnania, po czym magini zgasła kulę.

Jej wzrok znów powędrował ku deseczce. W nagłym przypływie gniewu Akhania otworzyła okno i sypnęła piaskiem na zewnątrz, w ciemność nocy.

30. Obroża

Przytomność wracała powoli. Pierwszym wrażeniem, jakie zarejestrowały jego zmysły, było przenikliwe zimno. Znajomy wilgotny ziąb podziemi.

Pod policzkiem czuł szorstką tkaninę, zalatującą stęchlizną, a w gardle miał obrzydliwy posmak wymiocin. Z trudem rozkleił powieki i ujrzał ciemność, w której jego oczy dopiero po dłuższej chwili zdołały rozróżnić zarysy ścian i sklepienia. Niski loch bez okien, z okutymi drzwiami.

Więzienie.

Brune na wpół instynktownie spróbował przywołać moc. Bez efektu. W następnej sekundzie szpila bólu prześwidrowała jego czaszkę, docierając aż do potylicy. Przechylił się przez krawędź pryczy, kaszłąc i charcząc w suchych torsjach, splunął żółcią.

Już wiedział. Podano mu jakiś środek blokujący dar.

Z opóźnieniem uświadomił sobie, że oprócz zimna czuje coś jeszcze. Srebro. Aureę srebrnych zaklęć, potężnych jak grube okowy.

Dom Godnego Odejścia. Ta myśl sprawiła, że poczuł w brzuchu lód. *Stało się. Mają mnie.*

Zebrał siły i spróbował usiąść, lecz fala zawrotów głowy zmusiła go, by opadł z powrotem na posłanie, przymykając oczy. Z zawodową ciekawością zadał sobie pytanie, co mu zaserwowano. Organizm *ka-ira* radził sobie z większością trucizn, ale w przypadku niektórych substancji, zwłaszcza odurzających, wystarczyło po prostu zwiększyć dawkę.

Leżał, słysząc jedynie własny chrapliwy oddech, czując, jak krew tętni w skroniach, a pod czaszką pełza ćmiący ból. Stopniowo uświadomił sobie, że boli go także policzek. Ostrożnie dotknął twarzy, wyczuł gorącą, zaognioną skórę i lepkie strupy. Szramy znów się otworzyły – najwyraźniej już jakiś czas temu – i nie wyglądało na to, by zamierzały się rychło zasklepić.

Smagnięty wspomnieniem, jęknął, kuląc się.

Leżę na słomie, ręce i nogi mam skute kajdanami. Za okratowanymi drzwiami czuję obecność kobiety, zmijki. Obserwuje mnie beznamiętnie, jakbym był zwierzęciem w klatce.

Z całej siły ugryzł się w dłoń, trzeźwiąc się bólem. Zmusił się, by zachować spokój. *Na razie jeszcze żyjesz, więc myśl racjonalnie, do cholery.*

Żeby skupić się na rzeczywistości, spróbował sprawdzić, czym dysponuje, a co mu zabrano. Chwilę później zaklął cicho. Nie miał butów ani – rzecz jasna – broni; zniknęła też cała zawartość kieszeni, łącznie z gemmą, flet oraz dwie karty noszone w woreczku z rzemykiem.

Doceń pozytywy... Przynajmniej nadal masz ubranie. Nieznani strażnicy w geście łaskawości lub, co bardziej prawdopodobne, lekceważenia zostawili mu nawet chustkę zawiązaną na szyi i pasek ze sprzączką. *Ale tu i tak nie ma się na czym powiesić* – pomyślał zmij w przyływie cierpkiego humoru.

Odczekał jeszcze chwilę, po czym znów spróbował wstać. Tym razem się udało. Choć ledwie trzymał się na nogach, obszedł cełę naokoło, trzymając się ścian. Nie była duża i poza pryczą oraz śmierdzącym otworem w kącie nie zawierała niczego godnego uwagi. Kamienna posadzka i leciutko wilgotne, zalatujące stęchlizną mury.

Brune wrócił na pryczę i zwinął się na niej, ciasno obejmując ramionami. Oprócz zimna dręczyły go mdłości i narastające pragnienie. Marzył o kocu i łyku wody.

Usiłował wpaść na jakiś konstruktywny pomysł – jakikolwiek – ale nic nie przychodziło mu do głowy, jakby specyfiki, które mu podano, stłumiły nie tylko dar, ale też zdolność racjonalnego myślenia. Mógł tylko czekać.

Oslabienie sprawiło, że po jakimś czasie zapadł w niespokojną drzemkę, pełną majaczeń o mrocznych kształtach bez twarzy, niesprecyzowanych, kłębiących się potwornościach. Zbudził się wstrząsany dreszczami. W gardle czuł dojmującą suchość, pragnienie się nasiliło, podobnie jak tętniący ból głowy.

Brune z nienawiścią zapatrzył się w mrok. Ciekaw był, czy ktoś go obserwuje, czy magowie w białych szatach zastanawiają się teraz beznamiętnie, jaką strategię zabijania daru wybrać, czy też decyzje już zapadły i można jedynie czekać, aż zostaną wprowadzone w życie.

Słyszał o Domach Godnego Odejścia różne koszmarne pogłoski; prawdy nie znał nikt.

Nagle uświadomił sobie coś, co powinno go zdziwić już na samym początku. Stłumienie daru nie objęło zmysłów maga. Nadal był w stanie sięgnąć umysłem w przestrzeń, by zbadać topografię swojego więzienia. Wypuściwszy się na mentalne przespiegi, po chwili zdziwił się jeszcze bardziej. W ogóle nie wyczuwał obecności ludzi, tylko zimne mury i równie zimne mechaniczne ciała golemów. Na ile potrafił ocenić, budynek nie był szczególnie rozległy, ale wznosił się na pięć czy sześć kondygnacji w górę.

Więc chyba jednak nie Dom Godnego Odejścia. Raczej prywatna siedziba jakiegoś srebrnego maga, przypuszczalnie wieża na odludziu. A to mogło wróżyć jeszcze gorzej.

Wyobraźnia znów jęła mu podsuwać rozmaite paskudne obrazy. Ze wszystkich sił starał się nie poddawać panice.

Leżał, oddychając szybko, próbując odsunąć od siebie wspomnienie o konającym Adriencie de Vere z wizji Lorraine. Po jakimś czasie nie tyle się uspokoił, co stopniowo ogarnęła go obojętność. Będzie, co ma być.

Oslabienie, ciemność i cisza w końcu zrobiły swoje i ponownie odpłynął w zmacony majakami półsen, nie tracąc jednak dręczącej świadomości, że marznie.

Gdy się ocknął, na posadzce obok niego stała miseczka z wodą. Brune w pierwszym odruchu chciał łapczywie wypić zawartość, powstrzymał się jednak i nieufnie ją powąchał, potem ostrożnie spróbował. Tak jak podejrzewał, woda miała gorzkawy posmak i leciutki zapach lukrecji, kojarzący mu się z lekami, bo lukrecją często doprawiano apteczne mikstury.

Walcząc ze sobą, powoli odstawił miseczkę, po czym znów legł na twardym posłaniu, zamykając oczy.

Minuty mijały nieznośnie powoli, odmierzane dreszczami, chrapliwym oddechem i pulsowaniem krwi w skroniach. Gorączkowy wir podsycanych strachem myśli stopniowo cichł, w miarę jak narastające pragnienie zaczynało uniemożliwiać skupienie się na czymkolwiek innym.

Woda. Niemal czuł w gardle jej orzeźwiająca wilgoć.

* * *

Nie był pewien, ile czasu minęło, zanim się złamał. Może kilkanaście godzin. Może tylko kilka. Było mu już wszystko jedno. Sięgnął po miseczkę i upił łyk.

Tym razem woda nie wydała mu się gorzkawa, a ohydnie gorzka. Z obrzydzeniem wypluł to, co miał w ustach, i zaklął głośno w bezsilnej wściekłości. Zmysłami maga nie wyczuwał w pobliżu nikogo, lecz nie wątpił, że jest obserwowany.

Zebrał w ustach ślinę i splunął. Nadal czuł na języku gorycz, a mdłości się nasilały. Zagryzł wargi, zastanawiając się, jaką substancję dodano do wody. Pomyślał, że cokolwiek to było, nie powinno podziałać, skoro nie połknął ani odrobiny – nie na *ka-ira*. W teorii.

Po chwili ujrzał, że pokryty plamami sufit ożył. Wybiegły nań kohorty świecących mrówek, fosforyzujących robaczków w odcieniach bladej zieleni, błękitu i sinawego różu. Stopniowo nabrały kolorów, zaczęły się rozpełzać i układać w tęczowe, zmieniające się wzory. Czując zawrót głowy, Brune opadł na pryczę. Jego ciało stało się lekkie – miał wrażenie, że ulatuje, unosi się, choć zarazem wiedział, że leży bezwładnie na wznak.

Nie zatracił kontaktu z rzeczywistością. Przeciwnie, wszystkie niemiłe fizyczne doznania stopniowo się nasilały. Panujące w lochu zimno kąsało teraz aż do kości, jakby leżał na śniegu. Obolała głowa, zdawałoby się, urosła jak bania, a w policzek wgryzały się tępe żelazne zęby. Zapach własnego potu wydawał się mdlący i gęsty niczym lepka mgła.

Narkotyk nienaturalnie wyostrzył mu odczuwanie bodźców. Kiedy Brune pomyślał, do czego może to być wstęp, zacisnął zęby, ze wszystkich sił starając się powściągnąć panikę.

Ciało *ka-ira* jest w stanie goić rany szybciej niż ciało zwykłego człowieka, ale jego możliwości nie są nieograniczone.

Bał się. Jak jasna cholera.

* * *

Może godzinę później, może dwie godziny – nie potrafił tego

w żaden sposób ocenić – w zamku szczęknął przekręcany klucz i okute drzwi otwały się, uderzając o ścianę z głuchym łupnięciem. Brune poderwał się w panice, nim dotarło do niego, że dźwięk nie dobiega z jego celi.

W ścianie naprzeciwko pryczy znajdowało się teraz okienko zabezpieczone stalowymi prętami, z całą pewnością nieobecne wcześniej. Fragment muru w tym miejscu musiał być tak naprawdę iluzją, której środki blokujące dar nie pozwoliły Krzyczącemu wyczuć.

Teraz jednak zmij wyraźnie czuł za ścianą obecność. W sąsiednim pomieszczeniu znajdował się żywy człowiek. Zmaltretowany, obolały i gorączkujący. Bijąca odeń aura cierpienia obudziła w Krzyczącym znajomy, paskudny głód.

Zwłókł się z posłania i ostrożnie, nieufnie zbliżył do okienka. Zanim zdążył przebyć całą szerokość celi, drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a klucz przekreślił się ponownie.

Okienko znajdowało się jakieś pięć stóp nad ziemią. Krzyczący wyjrzał przez nie.

W sąsiedniej celi na posadzce kulił się kilkunastoletni chłopak w zgrzebnych łachach, na oko – wiejska biedota. Blady jak śmierć, dyszał, oburącz trzymając się za brzuch. Brune w pierwszym odruchu chciał przemówić do niego, ale się powstrzymał. Nie miał wątpliwości, że są obserwowani, a ponieważ nawiązanie kontaktu ze współwięźniem wydawało się logiczne, za logiczne uznał też, że srebrni oczekują takiej właśnie reakcji.

Spróbował ocenić stan dzieciaka. Gołym okiem było widać, że nie jest dobrze, a zmysły maga to potwierdziły. Chłopak, choć jeszcze o tym nie wiedział, umierał. Pobito go brutalnie, uszkodzając organy wewnętrzne i fundując rozwijające się rozlane zapalenie otrzewnej. Zostało mu kilkanaście godzin konania w coraz większych mękach.

Brune przygryzł wargę, walcząc ze sobą. Środki tłumiące dar nie osłabiły jego zdolności do wyczuwania bólu, a spowodowane głodem osłabienie wręcz ją spotęgowało. Choć nienawidził siebie za to, czuł się tak, jakby tam za kratą znajdowało się pożywienie. Smaczny obiad na tacy.

Mimo woli wyobraził sobie, że cicho przemawia do współwięźnia, namawia go do wstania, do podejścia bliżej, a potem wyciąga rękę przez pręty, dotyka go... i czerpie.

To byłoby takie łatwe.

I może srebrni właśnie tego oczekiwali. Może chcieli, żeby był znarkotyzowany, z zablokowanym darem, fizycznie słaby, lecz nasycony czernią – tak jak wstępem do niektórych tradycyjnych tortur może być podanie więźniowi posiłku.

Nie ze mną takie sztuczki. Powoli, walcząc z pokusą, żmij odszedł od okienka i legł z powrotem na pryczy.

Fale cierpienia płynące z sąsiedniej celi nieustająco drażniły jego zmysły.

Potem chłopak zaczął jęczeć. Płakał, wołał matkę, błagał niewidocznych magów o litość. W końcu, ochrypły, zamilkł – lecz nie na długo. Jął bredzić, podśpiewywać urywki dzieciennych piosenek, mamrotać bez ładu i składu. I znowu z płaczem wołał matkę, skarżył się, że go boli, prosił o wodę. W pewnej chwili zakrztusił się i zwymiotował, jęcząc.

W końcu zamilkł i już tylko oddychał szybko, płytko, jak skulone w norze chore zwierzę. Żmij czuł zmysłami maga, że ból nasilił się, a gorączka wzrosła. Chłopiec był rozpalony jak piec, zatracił kontakt z otoczeniem.

Po jakimś czasie jego oddech stał się urywany. Potem zmienił się w rozpaczliwą walkę o każdy haust powietrza. A Brune nie potrafił przestać nasłuchiwać, zastanawiając się, kiedy wreszcie zapadnie cisza.

W końcu zapadła. W miejscu, gdzie żmij chwilę wcześniej wyczuwał obecność umierającego dziecka, trwała już tylko gorąca czarna plama cierpienia – niczym ognisko, które przestało płonąć, ale nadal się żarzy.

Brune bezsilnie zacisnął pięści, myśląc o tym, co zrobiłby srebrnym mordercom, gdyby mógł. Ciekaw był tylko, co nieszczęsny, nieposiadający daru wiejski dzieciak im zawinił. O co tu chodziło. Czyżby tylko o to, żeby on miał okazję poobserwować cudzą agonię? Nasycić się?

Wystarczyło samo przebywanie w pobliżu cierpiącego, a teraz w pobliżu zwłok, by mimowolnie chłonał czerni, choć nie tyle, ile wchłonałby czerpiąc świadomie. Podziałała jak łyk wina na pusty żołądek, lekko go odurzając, choć nie wystarczająco, by przestał odczuwać dyskomfort swego położenia. Nadal dygotał z zimna,

dolatująca z sąsiedniej celi ostrą woń wymiocin przyprawiała o mdłości, a głowa pękała z bólu wywołanego odwodnieniem i głodem.

Miał wrażenie, że zamknął oczy tylko na sekundę, ale gdy je otworzył, koło pryczy znów stała miseczka z wodą. Brune podniósł ją i z namysłem zważył w dłoniach. Wypił łyżeczek, ale zmusił się, by na tym na razie poprzestać. Woda smakowała gorzkawo, a dysponując tylko ułamkiem daru, nie potrafił wyczuć, czy oprócz halucynogenu zawiera coś jeszcze.

Dzięki swemu wykształceniu doskonale wiedział, jak można kogoś skazać na śmierć w męczarniach, serwując truciznę – wystarczyłby banalny arsenik czy sublimat. Wymioty, krwawa biegunka, potworne bóle, pragnienie i w końcu śmierć, gdy serce albo nerki odmówią posłuszeństwa. On, będąc *ka-ira*, przypuszczalnie nie umarłby, ale męczyłby się długo i upokarzająco. Znając srebrnych, nie przypuszczał jednak, by pragnęli dręczyć ofiarę akurat w ten sposób. Uważaliby to za uwłaczające swej godności.

Ale mimo wszystko wolał dmuchać na zimne.

Kiedy po dłuższym czasie nie pojawiły się żadne objawy prócz kolorowo-światlistych doznań wizualnych, wypił resztę wody. Wtedy wizje zalały go jak rzeka przerywająca tamę.

Ulice miasta spowija dym z tłących się stert śmiecia; okiennice w domach są pozamykane, widnieją na nich nasmarowane farbą białe znaki.

Szpital – wielka sala, w niej długie rzędy sienników, prowizorycznych posłań wprost na ziemi. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie pokotem leżą chorzy, setki chorych o oczach powleczonych mleczną błoną. Jedni jęczą, inni się modlą, ktoś płacząco powtarza, że chce pić... Ktoś miota się i dygoce w przedśmiertnych drgawkach. Dwaj pijani, poruszający się chwiejnie posługacze wynoszą w prześcieradle zwłoki korpulentnego mężczyzny, klnąc plugawie, że ciężki. Otumanili się gorzałką, by nie czuć strachu przed zarazą.

Lekarz w czarnej szacie i drewnianej masce z długim dziobem wyciąga rękę, w której trzyma dwie karty z wizerunkami Maga i Błazna. Za grubymi szklami maski jego źrenice jarzą się seledynowym blaskiem.

– Pamiętaj, Deuvenie, umiera się tylko raz.

– *Deuven de Ragues zmarł czterdzieści lat temu w mieście ogarniętym zarazą – mówi dziewczyna o ostrzyżonych włosach i niebieskich oczach, po czym nakrywa dłonią okaleczoną połowę mojej twarzy. Dotyk jej palców pali jak lodowaty ogień.*

Księżyc spływa z nieba, wykrzywiony przez gorączkę niczym odbicie w wypukłym zwierciadle.

Oślepiiony palącym blaskiem, porwany przez prąd wizji, Brune tonął, rozpadał się na drobniutkie cząstki, rozszarpywany przez wirujące kolorowe gwiazdy, rozdziobywany przez ptaki o drewnianych dziobach. A potem... potem fala cisnęła mu w twarz jeszcze jeden obraz. Koszmarny, bo wykrystalizowany z najgłębiej skrywanych obaw.

Wywlekają mnie z celi po roku, a może dwóch? Zgarbionego jak starzec, z pozlepianą brodą i włosami, pokrytego brudem, niemrawo osłaniającego zaropiałe oczy.

Od miesiący już niezdolnego widzieć cokolwiek poza mętną szybą.

Metaliczne szczęknięcie i łomot odsuwanych rygli przegnały majaki. Krzyczący gwałtownie usiadł na posłaniu i zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem. Minęła chwila, nim przywykł doń na tyle, żeby przyjrzeć się postaciom, które stały obok. Dwa golemi oraz mężczyzna w białych szatach, z wyhaftowanym na piersi srebrnym pentagramem. Nad ich głowami tańczyło nie jedno, a pięć czarodziejskich światełek.

– *Żyjesz, ka-ira?* – przemówił drwiący głos.

* * *

Mohellen, zbrojny w kilka ukrytych pod odzieżą talizmanów oraz zawiązaną w pasie szarfę z formułami ochronnymi, nie obawiał się pojmanego gada. Patrzył z obrzydzeniem na sfatygowaną odzież więźnia, jego splątane włosy i zarośniętą, wyniszczoną twarz z policzkiem przekreślonym szramami.

Szumowina.

Brune tymczasem, oprzytomniawszy, wysiłkiem woli starał się tłumić strach, jaki go ogarnął – ściskający za gardło, pełzający po skórze lepkiem zimnem – na widok lśniącej srebrzyście

symbiotycznej maski oraz dwóch golemów. Toporne mechaniczne stwory były większe i masywniej zbudowane niż Jednoocy w Shan Vaola, ale o takich samych zdeformowanych obliczach, jakby ulepionych przez niewprawne ręce, z pojedynczym szklanym ślepiem pośrodku czoła.

Mag musiał zajmować w Elicie stosunkowo wysoką pozycję, sądząc z pierścieni, które skrzyły się na jego palcach. Krzyczący popatrzył w dwa skośne wycięcia maski, za którymi kryły się oczy. Przez mgnienie mierzyli się nawzajem czujnym, nienawistnym wzrokiem mówiącym wszystko.

Sługa srebra cofnął się o krok.

– Obroża – rozkazał.

Jeden z golemów pochwycił Krzyczącego, unieruchamiając go. Żmij nie próbował się opierać – wiedział, kiedy to nie ma sensu. Wzdrygnął się, gdy zapięto mu na szyi ciężką, parzącą zimnem obrożę z litego srebra, kutą w kształt symboli układających się w zakłęcie. Formuła blokująca dar, jakżeby inaczej. Uśmiechnął się cierpko w duchu, dostrzegając absurd tak daleko posuniętych środków bezpieczeństwa – podane mu wytłumiacze daru nadal działały, nawet bez obroży nie były w stanie choćby zapalić zakłęciem świeczki.

Jednak troszkę się mnie boisz, co? Nawet teraz.

– Pora, żebym się przedstawił – oznajmił przybysz. – Nazywam się Mohellen ar Vanth.

Krzyczący uniósł brew.

– Autor księgi *Potęga uczuć*?

Z satysfakcją odnotował wrażenie, jakie wywołały te słowa.

– Czytałeś ją? – zdumiał się srebrny mag.

– Tak.

– Zatem nasi szpiedzy ze Shan Vaola mówili prawdę, istotnie jesteś wykształcony. No, no. – Mohellen wyrzekł to takim tonem, że Brune tylko przymknął oczy, ignorując prymitywną próbę sprowokowania go do złości. – Czy wiesz, do czego służy księżycowa machina?

Teraz dla odmiany żmij się zdziwił.

– Co proszę?

– Księżycowa machina, *ka-ira*. Słyszałeś o nich kiedyś?

– Nie.

– Machiny astralne nie leżą w sferze twoich zainteresowań, co?

– Nie da się ukryć.

– Nie spotkałem jeszcze czarnego maga, który by się nimi interesował. Zachodzę w głowę czemu. – Mohellen zrobił pauzę. – Księżykowa machina zbiera i skrapla światło księżyca, którego potrzebujemy do naszych badań. By działać, wymaga wielkich ilości czerni; zgodnie z prawem Periusa próby napędzania jej mocą srebra natychmiast zaburzają Ekwilibrium. Czarną moc najlepiej zaś czerpać z pojedynczego silnego źródła. – Uśmiechnął się. – Machina, która znajduje się na najwyższej kondygnacji mojej wieży, zaopatruje moje laboratorium i jeszcze kilka innych. Teraz właśnie pilnie potrzebuje naładowania, dlatego przełożeni wyrazili zgodę, abym jako źródła czerni użył ciebie.

– Brzmi... ciekawie. – Brune zwalczył chęć zapytania, czy przeżyje to czerpanie. Znając srebrnych, skłonny był założyć, że najprawdopodobniej nie. Mylił się jednak.

– Później – kontynuował srebrny mag – zostaniesz przewieziony do Domu Godnego Odejścia na Wyspie Salamander. Chyba że zdecydujesz się przyjąć moją propozycję. – Znów zawiesił głos, wyraźnie po to, by jego słowa wywarły większe wrażenie. – Propozycję współpracy.

– Czy tam na zewnątrz – Krzyczący wskazał sklepienie – słońce już się toczy po ziemi?

Mohellen wytrzeszczył na niego oczy.

– Co ty wygadujesz?

– Jeśli srebrny mag ma dla mnie propozycję współpracy, to znaczy, że świat stanął na głowie.

Mohellen, zaciskając wargi, dał znak większemu z golemów. Z ręki stwora ze szczękiem wysunął się cienki oścień, wbijając się zmijowi w ramię. Brune syknął – ukłucie przeniknęło go piekącym lodem.

– Trochę pokory, *ka-ira* – stwierdził srebrny mag.

Krzyczący zagapił się na niego, usiłując pojąć kuriozalną sytuację. *Propozycja współpracy? Znowu?* Nagle zaświtało mu brzydkie podejrzenie.

Coś w tonie jego głosu. W jego wzroku.

– Jesteś agentem Otchłani – powiedział powoli.

– Owszem – przytaknął Mohellen bez śladu zdziwienia. – Doliny Igieł, jeśli chodzi o ścisłość.

Coś w jego spojrzeniu. Widoczne w wycięciach maski oczy srebrnego maga oprócz pogardliwej wyższości wyrażały też łakomą niecierpliwość, jakby nie mógł się doczekać chwili, gdy sprezentuje swym mocodawcom piękne trofeum i otrzyma obiecaną nagrodę.

– To czego oczekiwałyby ode mnie Dolina Igieł? – spytał Brune takim tonem, jakby uzgadniał z klientem, ile fiolek destylatu przygotować na następny tydzień. Zranione ramię pulsowało bólem, czuł, jak rękaw nasiąka krwią.

– W pierwszej kolejności oczywiście tego, że zerwiesz cyrograf wiążący cię z Doliną Popiołów, podpisując umowę z nami.

Zmij i tym razem nie zdołał ukryć zdumienia.

– Wiecie...

– Ależ oczywiście. Informacja to podstawa. – Agent Doliny Igieł zaśmiał się pobłaźliwie. – Wiemy, komu służysz i na jakich zasadach. Wiemy, że niedawno pokonałeś hrabiego Sathoona, zresztą ku naszej radości, bo nie lubimy Doliny Rdzy. Wiemy też, że strzeże cię rodzona córka Spalonego Władcy i że jesteś zdolny, tak zdolny, że szkoda, by te zdolności miały się marnować w służbie innej Doliny, lub jeszcze gorzej – przepaść w Domu Godnego Odejścia.

Nie wiedzą o błogostawieństwie Eresha – przemknęło zmijowi przez głowę. *No cóż, zawsze to jakaś pociecha, jak rzekł skazaniec, widząc, że topór kata nie jest tępy.*

– Jeśli dobrowolnie przystaniesz do mnie na służbę, *ka-ira*, i pozwolisz się spętać czarem posłuszeństwa, już nigdy nie będziesz musiał się obawiać wyroków Elity. – Mohellen zniżył głos. – Dolina Igieł może przemienić twoją czerń w srebro, pod warunkiem, że sam o to poprosisz.

– Ciekawe. – W głosie zmija zadźwięczała nutka drwiny. – A co Elita na to?

– Elita? – Mag uśmiechnął się lekceważąco. – No cóż, powiedzmy, że... nie mają pełnego obrazu sytuacji. Pozwoliłem sobie ich nie poinformować, że to właśnie Krzyczący w Ciemności przebywa w moim lochu. Sądzą, że schwytałem jakiegoś nieszczęśnika świeżo po przemianie. Dostaną ode mnie zwłoki innego *ka-ira*, dostarczone przez Dolinę Igieł. Poinformuję ich, że w czasie pojmania został ranny, a czerpanie dla księżycowej maszyny wyssało z niego całą siłę życiową. To się zdarza.

– I co potem? Byłbym twoim niewolnikiem, asystentem od trudniejszych prac, przetrzymywanym tu w zamknięciu, z obrozą na szyi?

– Bez obrozy – poprawił Mohellen. – Gdy chodzi o zaklęcia posłuszeństwa, *ka-ira*, śmiem twierdzić, że mało kto jest w stanie dorównać mojemu kunsztowi. I nie tutaj. Posiadam rezydencję w sferach, gdzie żyją moi akolici oraz słudzy: ludzie i żywiołaki.

– O proszę. Ilu z nich spętanych jest zaklęciem posłuszeństwa?

Srebrny mag bez mrugnięcia okiem szepnął coś niższemu z golemów, a ten rąbnął żmija pięścią w splot słoneczny. Brune zgąłby się wpół, gdyby nie ciężkie łapy większego, nadal dzierżące go w żelaznym uścisku. Mohellen cierpliwie patrzył, jak więzień walczy o oddech.

– I jak? – zapytał w końcu. – Co sądzisz na temat mojej propozycji?

Krzyczący, choć jeszcze nie całkiem doszedł do siebie, skrzywił się wymownie.

– Może byś tak oddał mi buty, łaskawco?

Spodziewał się, że reakcja będzie szybka i brutalna. Nie omylił się. Mohellen skinął tylko dłonią, coś trzasnęło i świat wokół żmija wybuchł zieloną jasnością oraz porażającym bólem.

Zielone płomyki najwyraźniej były popularne nie tylko wśród demonów. Ta myśl tłukła się tępo w głowie Krzyczącego, kiedy wił się w uścisku golemów, mając wrażenie, że w jego żyłach płynie zarazem ogień i śmiercionośny lód. W końcu zapadł w błogosławione omdlenie.

Odzyskał przytomność w momencie, gdy drzwi celi zamknęły się z hukiem. Był odrętwiały, niemal całkowicie sparaliżowany; nie mógł usiąść ani zacisnąć dłoni w pięść. Wiedział jednak, że to minie za jakiś czas. W ustach czuł metaliczny smak krwi – musiał przygryźć sobie język. Przełknął z trudem ślinę. Leżał, oddychając ciężko, i czekał, aż szalejące w całym ciele bolesne mrowienie przycichnie.

Zranione ramię piekło nieznośnie. Gdy już odzyskał częściowo władzę w kończynach, Brune dotknął go ostrożnie i zaklął przez zęby; zostało opatrzone bandażem, na którym wyhaftowano jakieś znaki. Czym prędzej go zerwał, a ranę przewiązał własną chustką. Wiedział dość o srebrnej magii, by się domyślać, że oścień nie był zwykłym ostrzem, a zranienie nim zostało z góry wpisane w rozmowę niezależnie od tego, jak zachowywałyby się więzień.

Nie zdjęto mu też obroży.

I tak połamiesz sobie na mnie zęby, lalko w białych szatach – syknął w myślach. Wiedział jednak, że z równym powodzeniem mogłaby się odgrażać owca prowadzona na rzeź.

Z ran na twarzy również sączyła się krew. Żmij otarł ją rękawem. Nagle wydało mu się, że gdzieś w górze, w ciemności wyczuwa obecność. Chłodny, lekko drwiący wzrok – może obserwujący go przez otwór wywiercony w stropie, a może za pomocą jakiegoś drobnego czarodziejskiego artefaktu, szkiełka szpiegów czy czegoś podobnego.

– Mohellen! – zawołał, tracąc cierpliwość. – No co? Na co się gapisz?

Odpowiedziała mu tylko cisza. Zimna, przytłaczająca niczym tony kamieni i ziemi.

31. Srebro i czerń

Godziny mijały.

Rana po dźgnięciu ościeniem, choć nieduża, doskwierała zmijowi coraz bardziej, ramię napuchło. Pojawiły się dreszcze, czuł, że rośnie mu gorączka. Męczyło go również pragnienie; znowu nie dano mu wody.

Zastanawiał się, jakie zaklęcie wypisano na ościeniu. Najbardziej prawdopodobną możliwością wydawał się czar, który stopniowo łamie wolę ofiary, utrudnia jej stawianie oporu.

Leżał, wpatrując się w ciemność i starając się nie poddawać narastającemu uczuciu beznadziei. Jak na ironię – musiał trafić pod klucz właśnie teraz, kiedy wyzwolił się spod władzy Doliny Popiołów... Gdyby nadal pozostawał ich sługą, nie pozwoliliby, aby przejęła go inna Dolina.

Na pytanie, jak konkretnie mogłaby wyglądać jego służba u Mohellena, na smyczy Doliny Igieł, wołał nie znać odpowiedzi. Tak czy owak, śmierć w Domu Godnego Odejścia już nie wydawała mu się najgorszą z możliwych perspektyw. Co by nie mówić, umiera się tylko raz.

Ból. Dreszcze. Pałace pragnienie, męka wyschniętego gardła.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że nie wyczuwa już obserwujących go oczu. W jego umęczonej głowie zaświtała myśl, że mógłby stosunkowo łatwo pokrzyżować Mohellenowi plany. Wystarczyłoby wziąć chustkę – sztywny skórzany pasek nie nadawał się do tego celu – przedrzeć ją na pół, związać kawałki razem i zadzierzgnąć sobie mocno pętlę na szyi, odcinając dopływ krwi do mózgu. Na wystarczająco długo, żeby ani czerń, ani srebro nie były później w stanie zregenerować uszkodzeń.

Ale nie potrafił się na to zdobyć. Wmawiał sobie, że nie wie, ile czasu by to trwało w przypadku *ka-ira*, ale pewnie dość, żeby Mohellen się zorientował i zareagował w porę; wreszcie – że kto wie, czy srebrna magia nie pozwala uzdrawiać uszkodzonych mózgów,

skoro magowie Elity potrafią nawet przejściowo ożywić martwe ciało.

Więc czekał.

W końcu znów zapadł w niespokojny półsen. Ocknąwszy się, ujrzał, że stoi nad nim dziwny typ golema – właściwie sam metalowy szkielet, z białą porcelanową maską w miejscu twarzy. Zamiast oczu miał dwa wielościenne kryształy siejące błękitnymi migotami, a trzeci podobny kryształ, tylko większy, tkwił wewnątrz jego klatki piersiowej.

– Mistrz Mohellen kazał przekazać – rzekł stwór zgrzytliwym tonem; głos wydobywał się zza maski, choć jej usta się nie poruszały – że propozycja pozostaje aktualna, lecz odmowa pociągnie za sobą... konsekwencje.

– Powiedz swojemu panu – odrzekł ochryple żmij – że życzę mu z całego serca, aby zwierzchnicy z Elity poznali się na nim i też wyciągnęli konsekwencje.

Stwór skinął głową, po czym wolno uniośł rękę – towarzyszyło temu ciche skrzypienie mechanizmów – i nakreślił jakiś znak w powietrzu nad głową żmija. Brune zamarł, wiedząc, że nie zwiastuje to niczego dobrego. I miał rację.

Najpierw przyszło mrowienie pod skórą, w palcach, kończynach, w całym ciele. Potem narastający stopniowo ból – jakby pełzające ogniste muśnięcia, rozpalone igły wbijające się to w stawy, to w kark, to w oczy. Najdrobniejszy ruch, nawet wciągnięcie oddechu, wyzwał ich całą serię. Ból był podobny do wywołanego zielonym ogniem, tylko słabszy – ale za to atakował podstępnie, za każdym razem w innym miejscu.

Golem trwał bez ruchu, obserwując ofiarę migoczącymi kryształami zastępującymi oczy. Walcząc ze sobą, żeby nie jęczeć – choć nad grymasem twarzy nie był w stanie zapanować – Brune z ponurą determinacją postanowił, że dopóki może, nie da Mohellenowi satysfakcji.

Minuty wydawały się rozciągać w godziny, lecz w końcu ból przycichł, a jego miejsce stopniowo zajęła ołowiana, przytłaczająca słabość. Wszystko kołysało się i oddalało, kamienne ściany, sklepienie, maska stwora. W pewnej chwili żmij odniósł wrażenie, że widzi nad sobą twarz Spalonego Władcy, i chciał go drwiąco pozdrowić, lecz nie mógł wydobyć głosu z wyschniętego gardła.

Szara mgła spowiła wszystko. Tonął, odpływał, ukołysany przez jej zimne objęcia.

* * *

Otworzył oczy i ujrzał, że znajduje się wewnątrz długiej, ponurej sali o okratowanych oknach, z dwoma rzędami sienników. Miał wrażenie, że skądś zna to miejsce, i po chwili konsternacji rozpoznał je. Szpital dla ubogich w Shan Vaola. Nigdzie jednak nie było śladu lekarzy ani posługaczy. W powietrzu unosił się odór trupów, lecz słyhać było także stękania i jęki.

Brune powoli usiadł na pościeli i popatrzył po sobie. Z niedowierzaniem przekonał się, że ma na sobie te same brudne, obszarpane łachy, które aż za dobrze pamiętał z czasu, gdy mieszkał ze śmieciarską rodziną. Poczł się zdezorientowany, bo mgliście zdawał sobie sprawę, że to już przeszłość i wiele rzeczy się wydarzyło od tamtej pory. Z nadzieją pomyślał, że skoro jest w szpitalu w Shan Vaola, to pewnie zaraz zjawi się Haru i powie mu, co się stało.

A potem wzdrgnął się, widząc, że obok niego na sienniku spoczywa nieruchomo stary, wychudzony człowiek o oczach powleczonej mleczną, lśniąją błoną. Nie oddychał. Wszystkie sąsiednie pościelie również zajęte były przez trupy lub umierających.

Ogarnięty strachem, Brune chciał się zerwać i uciec z tego miejsca, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zatonął i osunął z powrotem na pościel. I wtedy usłyszał kroki, a raczej szuranie, jakby idący powłóczył stopą.

Szur. Szur. Szur.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i na salę, utykając, powoli wkroczyła postać w czarnym odzieniu oraz czarnym kapeluszu. Na jej widok Brune wstrzymał oddech w nagłej zgrozie.

Patrzył na siebie, na swojego sobowtóra. To była jego własna twarz... lecz jej prawa połowa, ta z bliznami na policzku, była nieruchoma i sina, jakby tknięta rozkładem. Prawa powieka zasłaniała oko, a kącik ust opadał.

Brune chciał zawołać do zjawy, ale głos uwiązł mu w gardle. Tamten tymczasem pochylił się nad jednym z trupów, kładąc mu rękę na czole. Ciało wygięło się w paroksyzmie konwulsji – zaświszczał

wciągany w płuca oddech – oczy rozwarły się i wytrzeszczyły – mężczyzna opadł na posłanie, dysząc, mamrocząc coś nieskładnie, ponad wszelką możliwość żywy.

Sobowtór zaśmiał się cicho i klasnął w dłonie, raz jeden. Wtedy na sali wszczął się ruch; wszyscy zmarli i chorzy zaczęli się poruszać i powoli wstawać. Chwiejnie, zataczając się, podążali do wyjścia, aż w końcu pomieszczenie opustoszało. Na miejscu został tylko Brune, zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć.

Zjawa podeszła i bez słowa położyła na jego czole siną, lodowatą dłoń. Żmij gwałtownie wciągnął oddech, czując, jak czarna, paląca siła wsącza się w jego ciało...

...a równocześnie przez chwilę był tym drugim sobą, trzymał rękę na czole dygoczącego człowieka w łachmanach i czuł w sobie moc starszą niż czas, władzę nad śmiercią i nad życiem...

Potem znalazł się z powrotem we własnym ciele, oniemiały, czując się niczym karzeł w obliczu boskiej potęgi.

Wtedy sobowtór otworzył zamknięte oko, i Brune ujrzał, że nie jest ono bure z żółtym rozbłyskiem w głębi, lecz czarne – tak czarne, że nie było widać różnicy między tęczówką a źrenicą – o zimnym, przeszywającym spojrzeniu. Krzywe usta poruszyły się, ale wydobył się z nich tylko syk.

I spod kapelusza, z opadających w znajomym nieładzie ciemnych włosów, na szyję obcego powoli splezły dwa węże.

* * *

Brune ocknął się, oddychając ciężko, z tłukącym się sercem.

Był przytomny, choć bardzo słaby, tak słaby, że gdy usiadł na posłaniu, na chwilę pociemniało mu przed oczami. Zranione ramię rwało bólem, ledwo był w stanie poruszać ręką. Wiedział, że rana się jątrzy, że zwykły człowiek w tej chwili majaczyłby w malignie.

Obok pryczy stała miseczka z wodą. Żmij chciwie wypił jej zawartość, właściwie nie czując smaku. Dopiero gdy odstawił puste naczynie, dotarło do niego, że tym razem chyba nie zawierała narkotyku – nie czuł w ustach goryczy.

Przetarł sklezione od snu oczy, usiłując się zmusić do myślenia. Skoro dostał wodę, chciano, żeby żył, przynajmniej jeszcze przez jakiś

czas. Nie był pewien, ile dni minęło, odkąd zamknięto go w lochu – był skłonny przypuszczać, że ponad tydzień. I wciąż jeszcze tkwił tutaj, zamiast zdychać w Domu Godnego Odejścia. Widać srebrny mag liczył, że w końcu jednak zrobi z niego niewolnika.

Pytanie, kiedy wzruszy ramionami i uzna, że brak na to widoków. I czy zdołasz wcześniej coś wymyślić. Brune miał bolesną świadomość, że szanse na to są marne. Zaczynał tracić wolę walki.

A na razie nie miał innego wyboru, jak tylko czekać – zastanawiając się, czy zanim Mohellen da za wygraną i wyśle go do godnej umieralni, spróbuje użyć argumentów rodem z tradycyjnej katowni. Rozpalone do czerwoności kleszcze, krzesła nabite gwoździami, haki do szarpania ciała. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto wzdraga się przed odorem krwi.

Przestań! Brune zmusił się, by porzucić te rozważania, nie wpadać w spiralę strachu. Sięgnął umysłem w przestrzeń, by spokojnie wy badać, co dzieje się wyżej – i nagle zmartwiał.

Gdzieś tam w górze wyczuwał obecność dwóch ludzi. Mohellena... oraz kogoś jeszcze. Kogoś znajomego. Zmartwiał.

Nie możliwe, masz omamy.

Chwilę później skłonny był uwierzyć, że głód i wyczerpanie psychiczne istotnie sprawiły, że uległ złudzeniu. Ale niepokój, raz obudzony, nie dawał się stłumić.

Szczęknał rygiel, drzwi celi się otwały. Wszedł golem – tym razem wyjątkowo brzydki, z obliczem jak niekształtna bryła i wielkimi metalowymi łapskami. Szarpnięciem za ubranie zmusił zmija do wstania, ujął go za ramię i wyprowadził z celi. Brune uznał, że próby stawiania oporu będą poniżej jego godności. Czuł się zresztą tak słaby, że wspinając się po stromych kamiennych schodach, martwił się głównie o to, by nie zemdleć.

Dwa piętra wyżej weszli do laboratorium, gdzie wiły się liczne ołowiane i mosiężne rury jakichś instalacji. Tu i ówdzie w szklanych baniach kłębiły się fosforyzujące opary. Cuchnęło znajomo – siarką, rdzą, spalenizną oraz czymś ostrym, duszącym. Posadzkę pokrywały inskrypcje wymalowane białą i czarną farbą. Golem podprowadził Krzyczącego do niezbyt dużej maszyny stojącej na postumencie, mającej postać drewnianej skrzyni z wystającymi elementami – tu pojemnik z grubego szkła, tam poskręcane miedziane rurki –

i zatrzasnął wokół jego nadgarstków srebrne obejmy, tak że dłonie zmija znalazły się tuż nad pokrywającym górną ściankę urządzenia wzorem z ciemnego mahoni i płytek smoczej kości. Znaki pisma magów układały się w prostą, lecz złowrogą formułę: *Twoja siła jest moją.*

Krzyczący poczuł dreszcz, gdy kątem oka dostrzegł za plątaniną rur lśniący kształt srebrnej maski. Spomiędzy instalacji wyłonił się Mohellen w szarej roboczej tunice narzuconej na białą szatę. Nie rzekł ani słowa, tylko podszedł do maszyny i przekręcił jedno z umieszczonych z boku ozdobnych pokręteł.

Brune poczuł, że gorący strumień mocy wyrывa się z niego jak przy odwróconym czerpaniu. Pociemniało mu w oczach, lecz golem podtrzymał go, nie pozwalając upaść. Gdy po dłuższej chwili zmijowi przestało się kręcić w głowie, zobaczył, że pojemnik umocowany do maszyny, wcześniej pusty, powoli napełnia się smolistą, gęstą czernią.

Gdy był już pełen po brzegi, Mohellen odczepił go, zamknął korkiem i dokądś wyniósł. Ostrożnie sięgając umysłem w przestrzeń, Brune wyczuł jeszcze kilka podobnych pomieszczeń, tętniących magią zawartą w inskrypcjach i zimnymi prądami mocy przepływającej przez tajemnicze urządzenia. Piętro wyżej kilkanaście golemów krzątało się przy skomplikowanej konstrukcji, widocznej dla zmysłów maga jako kokon rur i drutów otaczający niematerialne jądro, jarzące się delikatną białą poświatą – to musiała być owa księżycowa machina.

Krzyczący głęboko zaczerpnął tchu. Wcześniej liczył się z tym, że po odessaniu z mocy nie będzie mógł ustać na własnych nogach, ale – o dziwo – nie czuł się znacząco słabszy po czerpaniu niż przed. Widocznie wysączono z niego tylko czern, a nie siłę życiową.

Mohellen wrócił, dzierżąc dziwny przedmiot: kryształowy wielościan, w którego głębi igrały tęczowe iskierki, to zapalając się, to gasnąc. Skinął dłonią i obejmy rozwarły się z trzaskiem.

– Na dół – rozkazał. Golem szturchnął chwiejącego się na nogach zmija, nakazując mu iść.

Wrócili do lochu. Brune, podtrzymywany przez mechanicznego stwora, znowu skupił się na tym, żeby nie zemdleć na schodach. Mohellen towarzyszył im, lecz nie odzywał się ani słowem.

Znalazłszy się z powrotem w podziemnym korytarzu wiodącym do celi, Krzyczący zadrzał. Znów czuł znajomą obecność, tym razem tak silnie, tak wyraźnie, że już nie mogło być mowy o pomyłce. Odwrócił się ku magowi.

– Ty...

Sługa srebra uśmiechnął się drwiąco, wyraźnie ciesząc się już zawczasu.

– Idź. – Skinął dłonią, a golem pchnął żmija naprzód. Równocześnie szczęknął zamek i drzwi celi otworzyły się same. Weszli do środka.

W kącie celi stała latarnia wypełniona świecą mazią, a na pryczy siedział... Znajda. Dzieciak ze śmieciarskiej rodziny w Shan Vaola.

Wyrósł i zmienił się. Włosy miał krótko ostrzyżone i był schludnie ubrany, niczym syn zamożnego mieszczanina. Spod kurtki z mosiężnymi guzikami wycierał kołnierz czystej koszuli. Ale dłonie pokryte paskudnymi bliznami po oparzeniach potwierdzały tożsamość chłopca w równym stopniu co aura.

Nogi miał skute kajdanami, na policzku siniak i wyglądał na przerażonego. Na widok Krzyczącego wytrzeszczył oczy.

– Brune? To ty? Co tu robisz?...

– Milcz – rozkazał Mohellen, po czym zwrócił się do żmija. Nim jednak zdążył przemówić, Krzyczący go uprzedził.

– Cokolwiek planujesz, draniu, możesz sobie darować, ja nie zmienię zdania. – Mówiąc to, nienawidził siebie, ale zarazem miał pewność, że racjonalna decyzja jest tylko jedna. I trzeba się jej trzymać bez względu na koszt.

Choćby miało to boleć tak jak śmierć Faivrin. A w pewnym sensie bardziej – bo teraz był przecież silniejszy i bardziej doświadczony. Powinien umieć znaleźć jakieś wyjście, wymyślić fortel... W teorii. Tymczasem boleśnie zdawał sobie sprawę z własnej bezradności.

– To cacko – oznajmił Mohellen, unosząc kryształowy wielościan, który zamigotał miriadą barw, siejąc odblaskami po ścianach lochu – służy za tymczasowe schronienie dla mojej przyjaciółki Kariht-Zostre, demonessy zrodzonej z ciała i krwi siedmiogłowej Zostre-Abul-Laath, królowej Doliny Igieł, oby nieśmiertelny ogień Otchłani na wieki płonął w jej żyłach. Przemieni ona twój czarny dar w srebrny i uczyni cię moim sługą, gdy dobrowolnie wyrazisz na to zgodę. Sądzę, że już się domyślasz, jakim argumentem zamierzam cię zachęcić.

– Mohellen – powiedział cicho zmij – obaj jesteśmy w twoich rękach, ty decydujesz o wszystkim, co się tutaj stanie. Więc na szantaż mnie, skurwielu, nie złapiesz.

– Mój opiekun, medyk Bernhard... – wmieszał się drżącym ze strachu głosem Znajda, ale umilkł, gdy golem zdzielił go pięścią w kark.

– Ależ, zmiju – odrzekł Mohellen z iście wilczym uśmiechem – nie mnie cię zwodzić. Tak się składa, że moi bracia w srebrze z Shan Vaola zebrali na twój temat mnóstwo interesujących informacji. Masz być ponoć podatny na metody perswazji, które w przypadku *ka-ira* zazwyczaj nie okazują się skuteczne. Dlatego właśnie kazałem zlokalizować i sprowadzić tutaj tego sympatycznego młodzieńca. Dla jego dobra liczę, że jednak zmienisz zdanie, zanim rozkażę sprawić, by skończył w bardzo przykry sposób, zarazem dostarczając ci sił.

Krzyczący odwrócił się do chłopca i lekko pokręcił głową; słowa uwięzły mu w gardle. Nienawidził siebie za chłód, z jakim trzymał się jedynego racjonalnego wyboru.

– Nie ma mowy.

– Brune!... – jęknął płaczliwie, błagalnie chłopak.

– Masz trzecią i ostatnią szansę – rzekł powoli srebrny mag. Krzyczący zamknął oczy. Zalały go wspomnienia z Shan Vaola, z czasu gdy mieszkał z rodziną śmieciarzy. Na wpół obłąkany, nie całkiem kontaktujący z rzeczywistością, lecz na tyle przytomny, by wiedzieć, kto się z nim dzieli jedzeniem, kto go traktuje jak przyjaciela... Odepchnął je.

– Nie.

W następnej chwili niewidzialne palce brutalnie zmusiły go do rozwarcia powiek. Mohellen skinieniem dłoni sprawił, że Znajda uniół się w powietrze i zawisł z rozkrzyżowanymi rękami, unieruchomiony przez więzy z powietrza. Kolejny ruch ręki – w stronę Krzyczącego – i ciało zmija ogarnęła znajoma zimna drętota. Czar paralizujący.

Golem stanął przed Znajdą, unosząc metalowe łapy. Chłopak wrzasnął. Kilka ciosów sprawiło, że jego ciało zakołysało się w powietrzu, lecz niewidoczna sieć czaru mocno go trzymała.

Mechaniczny stwór cofnął się o krok. Znajda zaszlochał, wypłuł krew płynącą z rozbitych warg.

– Jestem miłosierny – rzekł z uśmiechem Mohellen – więc daję ci czwartą szansę na uratowanie mu życia.

A jeśli wyrażę zgodę, pewnie pierwsze, co rozkażesz mi zrobić, jak już mnie spętasz czarem postuszeństwa, to zabić go własnoręcznie. Nie.

Pokręcił tylko głową. Srebrny mag uniósł brew w niemym zdziwieniu, po czym dał znak mechanicznemu katu.

Brune musiał patrzeć, jak golem z metodyczną, brutalną precyzją raz za razem tłucze unieruchomionego Znajdę opancerzoną pięścią w brzuch. Gdy przestał, chłopak zwymiotował, krztusząc się i jęcząc.

Mohellen ruchem dłoni zdjął zaklęcie lewitacji. Mechaniczny stwór złapał ofiarę, zanim ta padła na posadzkę.

– Złóż go na pryczy – rozkazał. Mechaniczny stwór spełnił rozkaz. Potem mag bez słowa wsunął kryształowy wielościan w zanadrze, odwrócił się i wyszedł, a golem za nim.

Drzwi celi zatrzasnęły się z hukiem, szczęknął zamek. Dopiero wtedy Krzyczący poczuł, że odzyskuje władzę nad ciałem i zdolność mrugania.

Kolana ugięły się pod nim, osunął się na posadzkę tam, gdzie stał. Dopiero po chwili zdobył się na to, żeby wstać i podejść do jęczącego chłopca. Znajda był blady, jego twarz pokryła się zimnym potem i z trudem łapał powietrze. Po chwili przechylił się w bok, żeby zwymiotować ponownie – tym razem czarną, fusowatą krwią.

Obrażenia wewnętrzne. Nie do wyleczenia, chyba że srebrną magią.

Brune patrzył na niego i miał wrażenie, że spada w czeluść, że lochy walą mu się na głowę.

Przepraszam – chciał powiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, jak bezsensownie to zabrzmiało.

* * *

Znajda umierał długo.

Dopóki był przytomny, nie chciał patrzeć na zmija, odwrócił twarz do ściany. Brune siedział przy nim w milczeniu; wiedział, że wszelkie słowa otuchy czy pocieszenia będą jałowe.

Wspomnienia nie chciały odejść. Raniły go jak drzazgi. Tamte pierwsze tygodnie w Shan Vaola, kiedy dopiero zaczynał się otrząsać z szaleństwa i to Znajda opiekował się nim, a nie na odwrót.

Bezdomny, wychowany przez odmieńców dzieciak. Co działo się z nim przez te lata? Szczęście musiało się do niego uśmiechnąć, znalazł lepsze życie. Tylko po to, żeby teraz zdechnąć w mękach w lochu srebrnej kanalii.

Brune nie mógł w żaden sposób ulżyć cierpieniom chłopca, miał za to paskudną świadomość, że każda minuta spędzona obok umierającego dodaje mu sił. Ból atakował jego zmysły, wsączał się w ciało czarnym ciepłem. Obroża i podane mikstury uniemożliwiały czynne posłużenie się darem, ale nie blokowały wpływu daru na organizm maga.

Nie odebrały też Krzyczącemu zdolności wyczuwania, w jakim stanie jest cierpiący człowiek. Zimny cień śmierci w aurze Znajdy był dla żmija równie wyraźny, co wypełniający celę smród wymiocin.

* * *

Na rzeźbionym stole ze smoczej kości stała kryształowa kula. Czarnowłosa skrzydlaty mężczyzna wpatrywał się w nią w zadumie, zaś unosząca się ponad jego ramieniem mglista kobieca postać – z ledwie maskowanym napięciem. Prócz nich w komnacie nie było nikogo. Z dworu, z oddali, jak zwykle dobiegało zawodzenie gnanych wiatrem dusz.

– Srebrny mag, który go uwięził, w tajemnicy przed Elitą służy Dolinie Igieł, ojciec – powiedziała demonessa, siląc się na spokój.

– Wiem o tym, córko. – Spalony Władca nie zaszczycił jej spojrzeniem.

– Zatem nie wiążesz już planów z moim podopiecznym?

– Czemu tak sądzisz?

– Bo bez naszej interwencji Brune przypuszczalnie da się przymusić do przejścia na stronę Doliny Igieł. Błagam cię o pozwolenie, żeby wyruszyć do świata ludzi.

– Nie, Anyah. Zabraniam ci interweniować.

– Ale...

– Daliśmy mu słowo, nie pamiętasz? – Jej ojciec uśmiechnął się z ironią.

Oboje *wszak wiemy, co było warte!* Chciała mu to wykrzyzczyć w twarz, lecz nie potrafiła. Przymus posłuszeństwa był silniejszy

od niej.

Narzucając sobie spokój, spróbowała się odwołać do czysto pragmatycznych argumentów.

– Ojczy, jeśli przejmie go Dolina Igieł, najprawdopodobniej utracimy go już na zawsze.

– Och, nie. Nie ma czym się martwić. Nie przejmą go, Anyah.

– Ale...

– Zatraciłaś obiektywizm, moja droga. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, jak długo pozostawałaś w niewoli. – Spalony Władca lekko puknął palcem w kulę; ta ukazała z bliska postać Krzyczącego, siedzącego nieruchomo nad zwłokami przyjaciela. – Nasz agent właśnie odbiera ważną i cenną lekcję. Przerwanie jej nie leży w naszym interesie.

– Ojczy, jako jego stróż nie mogę się zgodzić...

Spalony Władca zaklaskał w ręce.

– Naleah!

Wprost ze ściany wyłoniła się druga mglista sylwetka dziewczyny w zwiewnych szatach, o oczach jarzących się błękitnym światłem. Ona i Anyah były do siebie bliźniaczo podobne, poza jednym szczegółem – Anyah spowita była w postrzępione, cieniutkie jak pajęczyna płachty, Naleah zaś odziana w eleganckie tiule. Nowo przybyła skłoniła się z ostentacyjną uniżonością, rzucając siostrze złośliwe spojrzenie.

– Tak, ojczy?

– Od dziś jesteś stróżem niejakiego Deuvena de Ragues z Alkary, znanego też jako Brune Keare lub Krzyczący w Ciemności. – Spalony Władca pstryknął palcami i wprost z powietrza wyjął zwój pergaminu. – Tu zapisane jest wszystko, co powinnaś o nim wiedzieć.

Naleah przyjęła zwój, kątem oka nadal zerkając na siostrę, teraz z miną pełną triumfu.

Na twarzy Anyah odmalowało się bolesne zdumienie, a potem – przez ułamek sekundy – wściekłość zranionej lwicy, natychmiast zastąpiona maską wyćwiczonej obojętności. Nie pozwoliła sobie choćby mrugnąć, kiedy władca Doliny Popiołów dodał:

– Ty, Anyah, przejmiesz obowiązki siostry.

Gdyby dodał cokolwiek jeszcze, choćby słówko drwiącego komentarza, zdesperowana Anyah, cała rozdygotana w środku jak człowiek, a nie jak demon, być może uczyniłaby coś, do czego

teoretycznie nie powinna być zdolna, to znaczy rzuciłaby się na niego – i przypłaciłaby to wieloletnim uwięzieniem lub odesłaniem w nicość. Ale nie rzekł nic. Więc, przełykając furję i gorycz, skłoniła się pokornie. Odruch bezwzględności posłuszeństwa wobec potężniejszego demona, któremu zawdzięczała swe istnienie, stanowił imperatyw, któremu nie potrafiła się oprzeć, integralną częścią jej jaźni – tak jak w naturze psów leży podążanie za przewodnikiem stada.

– A teraz idźcie, nic tu po was. – Władca odprawił je kłaśnięciem.

Gdy rozwiały się w powietrzu, uśmiechnął się, spoglądając w kulę.

– Kształć się, kształć, mój agencie. Nie ma lepszych nauczycieli niż ból.

* * *

Zamek szczyknął, ciężkie drzwi otwarły się powoli.

Dwaj Jednoocy z chrzęstem pancerzy przekroczyli próg. Za nimi do celi wszedł Mohellen. Krzyczący, który siedział bez ruchu na pryczy obok martwego chłopca, zignorował ich, nawet nie podniósł wzroku.

– *Ka-ira*.

W głosie srebrnego maga dźwięczało politowanie. Żmij nawet nie drgnął. Szeptał bezgłośnie do siebie, wpatrzony w zwłoki przyjaciela. Na twarzy miał wypieki; gorączkował i osłabł mimo dawki czerni, jaką wchłonał w ostatnich godzinach.

Głód, zimno, halucynacje, rana zadana zaklętym ostrzem, śmierć Znajdy oraz srebrna obroza – wszystko razem pozbawiło go woli walki.

Coś w nim pękło. I o to chodziło.

Mohellen skinął na większego z Jednookich.

– Zmusz go, żeby wstał.

Golem złapał Krzyczącego wpół, unieruchamiając go w żelaznym uścisku, i siłą postawił na nogi. Mohellen obszedł więźnia naokoło, żeby znaleźć się z nim twarzą w twarz.

– I co? – spytał. – Namysłileś się?

Bure oczy, szkliste od gorączki, ale wciąż jeszcze przytomne, zmierzyły go nienawistnym wzrokiem. Mohellen wyjął zza pazuchy zakorkowaną szklaną fiolkę pełną żółtego proszku.

– To – rzekł niemal łagodnie – jest *lome-lome*, znane również jako

rajski pył. Jeden z tych narkotyków, które działają na ciebie, *ka-ira*, równie silnie jak na zwykłych ludzi. Już mała dawka sprowadza wizje, większa wyostża wrażliwość na bodźce, a w szczególności potęguje odczuwanie bólu. Tam, gdzie nie zadziałała jedna metoda perswazji, może zadziałać inna.

Zamilkł, jakby czekając na reakcję, a nie doczekawszy się, skinął na golema.

– Odwiń opatrunek.

Golem rozplątał i odwinął zakrwawioną chustkę, odsłaniając zaognioną brzydki ranę od ościenia, która zaczynała ropieć. Mohellen wytrząsnął na nią część zawartości fiolki. Zapiekło upiornie; żmij zwarł zęby, żeby nie jęknąć.

– Teraz poczekamy – oznajmił srebrny mag, zerknąwszy na wyjęty z fałdów szaty ozdobny czasomierz. Skinął na golema, by ten na powrót zawiązał opatrunek.

Minuty mijały jedna za drugą. Brune czuł, jak narkotyk zaczyna działać. Lekki zawrót głowy, fala rozchodzących się po skórze mrówek. Sylwetki maga i golemów stopniowo nabrały kolorowych, świetlistych konturów, ściany lochu ożyły od migoczących tęczy drobin, ale napięcie i strach trzeźwiły go, nie pozwalając odpłynąć w halucynacje.

W końcu Mohellen rozkazał:

– Ręka.

Golem zmusił Krzyżącego do wyciągnięcia prawej ręki, obracając jego dłoń grzbietem do góry i przytrzymując przedramię jakby w kleszczach.

Mohellen pstryknięciem palców zapalił w powietrzu płomynek i sprawił, by ten zbliżył się od spodu do wnętrza rozpostartej dłoni.

Najprostszą, banalną wręcz torturą, ale *lome-lome* uczyniło z niej piekielną mękę. Brune zamknął oczy i zacisnął zęby, skupiając wszystkie siły na tym, żeby nie wrzeszczeć. Czuł, jak skóra pokrywa się pęcherzami, pęka i schodzi. Spotęgowany narkotykiem ból dawał się porównać jedynie z tym powodowanym przez zaklęcia Otchłani. Choć żmij wiedział, że to niemożliwe, miał wrażenie, że ogień lada chwila przeżre rękę na wylot, że ciało zwęgla się, odpada od kości.

Prawa dłoń, dłoń od rapiera... Ale ciało *ka-ira* regeneruje się, jeśli tylko dostanie szansę. Nagle bardzo, bardzo spokojny, Krzyżący skupił całą siłę woli na bólu, na tym, żeby oddychać i wytrzymać.

W swym zadufaniu przeciwnik dał mu literalnie wprost do ręki broń – nóż, który przy odrobinie szczęścia pozwoli przeciąć sznury. Żmij czuł już, jak podrażniona czerń zaczyna się w nim budzić i narastać, gorąca i groźna, mimo obroży, mimo specyfików, które miały ją tłumić.

Skoncentrował się, odcinając umysł, na ile mógł, od wszelkich innych bodźców, i chłonał ból jak mityczną żywą wodę.

Czarna fala rosła.

Aż przesłoniła światło.

Mohellen coś mówił, gdzieś daleko. Płomyk chyba zgasł, ale nawet jeśli nie, przestało to być istotne.

Brune z trudem chwycił powietrze; jego twarz wykrzywiła się w tiku, serce łomotało. Nie czuł już bólu, tylko narastające w całym ciele gorąco. Gdyby panował nad mimiką, uśmiechnąłby się drwiąco.

Nigdy, przenigdy nie należy torturować *ka-ira*, nie powziąwszy odpowiednich środków ostrożności.

Mohellen musiał źle wyliczyć dawki środków tłumiących dar. Zapewne nie wziął poprawki na to, że cierpienie dodaje żmijom siły z kilkunastogodzinnym czy nawet kilkudniowym opóźnieniem. Jeśli spróbujesz podpalić oblane wodą drewno, nie zapłonie, ale co się stanie, gdy będziesz je przez dłuższy czas trzymać w ogniu?

Ekspozycja na mękę umierającego więźnia, potem śmierć. Znajdy i godziny spędzone w towarzystwie emanujących czernią zwłok, własna jątrząca się rana, tortury bólem i teraz oparzenie, które zadziało jak kropla przelewająca czarę – wszystko to, skumulowane, skotłowało się w smolisty wir, narastający w żmiju huragan mocy.

I stało się niemożliwe.

Srebrna obroża pękła.

Jej fragmenty jeszcze w powietrzu obróciły się w proch. Mohellen nagle zdał sobie sprawę, że niewidzialna siła krępuje jego ciało, unosi go w powietrze, jakby był lalką. Wrzask zamarł mu na ustach, zdławiony utkanym z powietrza kneblem. Świat jakby zastygł, zamarł. Srebrny mag częścią umysłu zarejestrował, że golemy ze zgrzytem i głuchym stukiem wałęsają się na ziemię, zredukowane do martwej gliny i metalowych części.

Zamiast sniadej twarzy z policzkiem przekreślonym szramami przez moment widział nad sobą inną, naznaczoną białymi plamami,

o źrenicach jarzących się seledynowo... Potem na nią nałożyła się jeszcze jedna, jaśniejsza, w połowie nadludzko piękna, w połowie sina i martwa.

Potem na oczy Mohellena spadła zasłona. Runął na posadzkę, wstrząsnęły nim drgawki, na ustach pojawiła się piana. Oddał mocz i kał, lecz nie miał już tego świadomości.

Brune dźwignął się na nogi, oddychając ciężko. Był teraz całkowicie trzeźwy, eksplozja czerni spaliła odurzenie narkotykiem. Połowa jego twarzy wykrzywiła się w brzydkim uśmiechu na widok leżących bez życia mechanicznych stworów. Ich pancerze częściowo się rozpadły, odsłaniając fragmenty metalowego szkieletu i blade, oślizgłe wnętrzości, lśniące od mlecznego odżywczego płynu.

Zza pazuchy Mohellena wysunął się kryształowy wielościan. Pulsował purpurowym światłem, coraz szybciej, coraz jaśniej. Czując narastającą wokół artefaktu moc, Krzyczący zareagował na wpeł instynktownie – otworzył mały portal i telekinetycznie wepchnął weń niebezpieczny przedmiot. Gdy przestrzeń ponownie się scalała, pozostawiając na posadzce lochu niewielką kałużę wody, odetchnął z ulgą. Nawet księżniczka Doliny Igieł nie zdołała wiele zdziałać, gdy zmaterializuje się w samym środku królestwa undyn – w ciemnej, lodowatej głębinie mórz, wśród wrogich jej rodowi morskich stworów. Przy odrobinie szczęścia zmuszą ją, by jak niepyszna zemknęła do swej ojczyzny.

Sięgnął umysłem w przestrzeń, licząc się z możliwością, że za chwilę przyjdzie mu stoczyć walkę z materializującymi się sługami srebra, lecz ku swej uldze nie wyczuł nikogo prócz golemów, nadal zajętych pracą w pomieszczeniach laboratoryjnych. Nieświadomych tego, co działo się w lochu.

Agent Doliny Igieł poruszył się niemrawo, zajęczał. Krzyczący w Ciemności z mściwą satysfakcją przyłożył ręce do jego skroni i czerpał do samego końca, aż ciało mężczyzny zadygotało i znieruchomiało. Chwilę później zwłoki zaczęły transformować, ciemniejąc i puchnąc. Sprawił, że buchnęły sinym płomieniem. Czerń wrzała w nim jak nigdy, niczym lava wewnątrz wulkanu. Spojrzał na swoją dłoń – oparzenia goiły się w oczach.

Zdematerializował się, by odzyskać materialność na wzgórzu za wieżą. Rzutem oka utwierdził się w swych podejrzeniach: siedziba

maga znajdowała się gdzieś na pustkowiu, na bezludnych wrzosowiskach. Niewiele myśląc, jął pierwszym lepszym kamieniem kreślić na ziemi znaki, szybko, by zdążyć, zanim do mocodawców Mohellena – czy to Elity, czy Doliny Igieł – dotrze, że stało się coś niedobrego.

Wypowiedział formułę i poczuł, jak moc wyrywa się z niego niczym woda przerywająca tamę. W oknach laboratorium zamigotały języki ognia, a potem budynek ogarnęła rycząca furia żywiołu, gdy wielki portal do królestwa salamander rozwarł się na całą szerokość. Rozległo się kilka wybuchów, brzęk tłuczonego szkła.

Oddychając ciężko, Krzyczący stał i patrzył w ogień, czując się tak, jakby wypił jednym haustem szklankę kordiału z lucyferii. Teraz, gdy pozbył się obroży, był literalnie pijany mocą, do tego stopnia, że prawie nie odczuł wysiłku, którego wymagało zaklęcie. Widok szalejących płomieni tylko spotęgował narastającą w nim czarną euforię.

Serce waliło mu gorączkowo. Miał wrażenie, że gdyby teraz stanął do walki z następnym srebrnym magiem, rozniósłby przeciwnika na strzępy.

Nagle uświadomił sobie, że ból w ramieniu ustąpił, a jego miejsce zajęło dziwne, swędzące mrowienie, jakby pod bandażem pełzało robactwo. Rozmotał opatrunek – tak jak przypuszczał, rana od ościenia również była już prawie zagojona.

Odczekał chwilę, żeby zasklepiła się do końca, po czym zdematerializował się, pozostawiając za sobą płonącą siedzibę srebrnego maga imieniem Mohellen ar Vanth.

* * *

W Bel Ingre padał deszcz. Krople głośno bębniły o zamknięte okiennice w willi bankiera. W małej sypialni na piętrze Zazel spał zwinęty w fotelu obok kaflowego pieca, chrapiąc głośno. Trawił kluski z gruszkami i pieczoną pierś bązanta z majerankiem.

Lorraine, w koszuli nocnej, otulona grubą wełnianą chustą, piła z kubka gorące mleko. To nie była jej pierwsza ani druga bezsenna noc w ostatnich dniach. Na stoliku leżało kilka listów i oficjalnych dokumentów – bankier poprosił ją o opinię w skomplikowanej sprawie

rodzinnej – ale to nie jego troski i kłopoty spędzały jej sen z powiek.

Zazelowi nie powiedziała ani słowa o wizjach, które przychodziły kilkakrotnie, zawsze nocą, pozostawiając ją słabą i roztrzęsioną. O echach bólu i strachu, o zimnym, śmierzącym lochu i płonącej wieży pod czarnym niebem.

A teraz, choć bardzo się starała sięgnąć wzrokiem wróżbitki w dal, widziała tylko rzeczy nieistotne i nieważne. Ani śladu jednej konkretnej osoby. Jakby zniknął z powierzchni ziemi, ukrył się tak daleko, że nawet jej zdolności nie potrafiły go wyśledzić.

Gdyby zginął, wiedziałabym. Umarli by mi powiedzieli. Bardzo chciała w to wierzyć, ale nie była pewna, czy nie oszukuje samej siebie.

Za oknem deszcz stukał monotennie. Zazel głośno sapnął przez sen, po czym przewrócił się na drugi bok i chrapał dalej. Lorraine dopiła mleko i objęła ramionami kolana. Nagle poczuła się bardzo młoda i przeraźliwie samotna; do oczu napłynęły jej palące łzy.

* * *

Wicher wył wśród poszarpanych skał bezimiennego masywu, a zamieć smagała je śniegiem. Jedenaste dominium astralne było lodowatym, nieprzyjaznym miejscem, częściowo skutym przez wieczną zmarzlinę. Lecz drewniana chatka, w której mieszkał siwobrody karzeł Ergyl, wzniesiona pod osłoną bocznego grzbietu góry, okazała się ciepła i przytulna. Na ławie przy piecu wylegiwał się skrzydlaty kot. Udawał, że śpi, ale tak naprawdę nieufnie śledził żmija jednym współprzymkniętym złotym okiem.

Ergyl, zasuszony mały jegomość z nosem jak purchawka, pobierał myto od podróżnych wędrujących szlakiem do miejsca na zboczu góry, gdzie znajdował się portal – potężne kamienne wrota. Znał mowę magów, słabo, ale w wystarczającym stopniu, by dało się z nim porozmawiać. Pochwalił się, że zna języki jeszcze dziesięciu ludów zamieszkujących sfery, dodał jednak, że nader rzadko widuje przybyszy z krainy ludzi. Za dodatkową złotą monetę niechętnie zgodził się, aby żmij przeczekał zawieję pod jego dachem.

Niezrażony mrukliwością Ergyla, Brune wypytał go o wrota. W promieniu kilku mil od wielkiego utrwalonego portalu nie należało

ryzykować dematerializacji, wiedział więc, że będzie musiał tam dojść na własnych nogach. Karzeł zapewnił go, że wrota nie wznoszą się na szczycie masywu, gdzie nie sposób byłoby w tych warunkach dotrzeć, lecz ledwie kilkadziesiąt kroków od jego chatki, i obiecał wskazać drogę, gdy tylko zamieć przycichnie. Poczęstował też zmija grzanym piwem o zielonkawej barwie i dziwnym korzennym smaku.

Wicher wył. Śnieg sypał, tworząc coraz głębsze zaspasy. Kot rozciągnął się wygodnie i mruczał głośno. Ergyl w milczeniu pykał fajkę. Krzyczący grzał dłonie przy piecu, przy którym, rozwieszona na sznurku, suszyła się jego podbita futrem peleryna – skradziona na Maalgos, podobnie jak kilka innych rzeczy.

W zanadrzu miał kawałek płótna zwilżony krwią martwego człowieka, a na ramionach, pod odzieżą, formuły ochronne – wypisane ostrzem noża na żywej skórze. I liczył, że – w połączeniu z odległością – to wystarczy, by go uczynić niewidzialnym dla srebrnych oczu. Zbiegł daleko, tak daleko, że teoretycznie nawet najsilniejsze zaklęcia tropiące nie powinny go tutaj wyśledzić, ale wiedział, że Elita chowa różne sztuczki w zanadrzu.

To, że ucieczka się udała, zawdzięczał czerni, tylko i wyłącznie. Tuż po uwolnieniu się z lochu był fizycznie słaby, ale pełen złudnej, sztucznej energii, którą dał mu rozjątrzony dar, i czerni przejęła kontrolę, żeby utrzymać swe naczynie przy życiu. Brune nie do końca pamiętał, co działo się z nim bezpośrednio po śmierci srebrnego maga – tak jakby to ktoś inny zdematerializował się z pustkowia, gdzie pożar niszczył domostwo Mohellena, i uciekł daleko, daleko przez lodowate wiry kolorów poza przestrzenią, poza światami. Ktoś inny zmaterializował się w końcu na Maalgos, starożytnej metalowej wyspie pływającej po czerwonych morzach dziesiątego dominium astralnego, zbudowanej przez dawno wymarły lud żeglarzy. Wyspa była jednym potężnym, wielopoziomowym miastem, zamieszkanym przez chochliki, karły i półdemoniczne istoty; jej niższe poziomy, popadające w ruinę, stanowiły mroczny labirynt opuszczonych domostw i zaułków, gdzie kryły się dziwaczne stworzenia, często zbiegowie z innych sfer. Krzyczący zniknął w tym labiryncie jak kamień wrzucony w bagno.

Umiał znikać, umiał się przyciąć.

Gdy straż z Maalgos zaczęły poszukiwać nieuchwytnego cienia,

który – jak głosiła plotka – załagł się w najstarszej części miasta, czał się w opustoszałych miejscach i napadał na samotnych przechodniów, by wysączyć z nich siłę życiową, pozostawiając ofiary na wpół martwe, Krzyczący już wędrował przez śnieżne rubieże jedenastego dominium. Chciał dotrzeć do Etheri, królestwa sylfów, a najkrótszą i najpewniejszą drogą był portal znajdujący się na szczycie góry, u podnóża której mieszkał stary Ergyl w swojej chatce.

– Zamieć do rana ustanie – odezwał się karzeł, wyjmując fajkę z zębów. – Już przycicha. Słyszycie?

Brune odmruknął coś nieokreślonego. Dla jego uszu wichura brzmiała tak samo jak godzinę wcześniej, ale skłonny był wierzyć gospodarzowi na słowo. Oparł głowę o belki ściany, przymykając oczy.

Jego plany były bardzo proste. Przetrwać. Przeżyć. Wyszukać miejsce, które posłuży mu za schronienie, przynajmniej przez jakiś czas. A w dalszej kolejności – znaleźć jakiś sposób, aby wyłamać się spod władzy Doliny Popiołów, już ostatecznie.

Dostał siedem lat wolności. I zamierzał je wykorzystać.

Epilog

W dominium dzieci powietrza, odległej Etheri, Latające Miasto – siedziba królowej Feanmuile i jej dworu – dostojnie żeglowało po oceanach chmur. Ogromna szybująca wyspa pełna białych pałaców, przypominających kunsztowne ozdoby z cukru i kremu, jakimi cukiernicy dekorują najwykwintniejsze torty. Ponad dachami i wokół wież przemykały sylfy o skrzydłach ptaków, motyli bądź ważek, uliczkami zaś przewalał się kolorowy tłum bezskrzydłych istot z innych części astralnego świata.

Z wnętrza wspartego na kolumnach ośmiokątnego budynku o fasadzie obrośniętej błękitnym bluszczem płynęły skoczne dźwięki fletni, harfy i bębnów. Mieściła się tam tawerna, jedna z wielu. Mrowie kłębiących się pod sklepieniem błędnych ogników rzucało drżące światło na twarze gości. Dominowały piękne oblicza sylfów, ale dało się też dostrzec owłosione, pokraczne pyski leśnych duchów, stwora o wielbłądziej mordzie, chłopczącego spienione piwo z dużej misy, oraz dwie sinoskóre mormolyke o płonących żółto oczach. Siedzący zaraz przy wejściu gruby gnom, przypominający ulepioną byle jak glinianą figurę, zaczepiał wchodzących, oferując im na sprzedaż ozdoby ze srebra i półszlachetnych kamieni. Muzykanci, odziani od stóp do głów w brokaty, nosili złote symbiotyczne maski, zaś wśród nielicznej grupki tańczących prym wiodły dwie duże, przytupujące zwawo kurze łapy.

Nad szynkwasem w charakterze ozdób wisiały wypolerowane czaszki stworów nieznanym ziemskim zoologom, o krzywych, długich jak szable rogach i kilku oczodołach. Właścicielka tego przybytku, wielka i gruba, odziewała się w kolorowe jedwabie na nedgvarską modłę, lecz była półkrwi demonem – posiadała dwie głowy, jedną ludzką, drugą tygrysią, i pojedyncze poczarne skrzydło koloru spatynowanej miedzi, najeżone długimi kolcami.

Na galeryjce kilka sylfów gawędziło nad szklanicami kwiatowego nektaru, a przy następnym stoliku cztery gnomy o długich,

sięgających podłogi brodach grały w karty, pijąc wino. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że opodal powietrze pod sklepieniem faluje jakby od gorąca, a kręcące się w chaotycznym tańcu błędne ogniki omijają to miejsce.

Naleah zawisała w powietrzu, niewidzialna, obserwując tłum, chłonąc bijący z dołu melanz aur, zapachów i emocji. Przesunęła językiem po wargach, smakując chłodne, dymne oddechy sylfów, przywodzące na myśl powietrze w zimowy ranek, lekko mdlącą waniliową woń lubianych tutaj świeczek zapachowych oraz bardziej prozaiczne nuty – półzwierzęce jaźnie opitych piwem leśnych stworów, mocno przyprawione potrawy. Sylfy żywiły się nektarem i kadzidłem, lecz przybysze z innych sfer mogli w tawernie zjeść chleb, zupę i pieczone mięso – lub też surowe, wedle gustu. Dobrze, świeże, bynajmniej niedostarczane z daleka. W Latającym Mieście gnieździło się mnóstwo gołębi i nie istniał zakaz polowania na nie.

Mrużąc oczy, córka Spalonego Władcy znów popatrzyła w kierunku swego nowego podopiecznego. Siedział w najciemniejszym rogu sali, nad niedopitym kubkiem wina, od niechcienia kreśląc kawałkiem węgla znaki na kartce. Chudy mężczyzna, brzydki jak siedem nieszczęść, o ziemistym, zniszczonym obliczu, na którym wypisane były lata hulanki i podłości.

Naleah wiedziała, że poza sylwetką i oczami nic w jego wyglądzie nie jest prawdziwe. Mimo to nawet ona nie wyczuwała jego prawdziwej aury, przygaszonej i stłumionej tak, by przekonująco stwarzać wrażenie wieku i wyniszczenia trunkami.

Musiała przyznać, że ten śmiertelnik naprawdę posługuje się iluzjami jak mało kto.

Uśmiechnęła się w duchu, gdy przedarł kartkę na pół, po czym znieruchomiał, wpatrując się w jeden punkt, a jego źrenice na mgnienie rozbliły żółto. Na podwyższeniu harfista zadrzał i zmylił ton, choć nie on był celem zaklęcia.

Jeden z siedzących na galerijce gnomów zakaszał, rozlewając nieco wina. Podczas gdy jego towarzysze śmiali się głośno z czyjeś nieudanej zagrywki, on drżącą dłonią odstawił kubek, odłożył trzymane w drugiej ręce karty i z trudem chwycił oddech, nie rozumiejąc, czemu zaczyna mu się kręcić w głowie. Do unoszących się w tawernie zapachów dołączyła słaba, lecz coraz wyraźniejsza woń

nadchodzącej śmierci.

Lecz nikt się jeszcze nie zorientował.

Mag spokojnie wstał, nasunął kaptur na głowę i skierował się do wyjścia. Naleah, niewidzialna, niewyczuwalna dla jego zmysłów, poszybowała za nim.

Towarzyszyła mu, gdy szedł ulicami Latającego Miasta, i później, gdy zdematerializował się, podążając na spotkanie ze zleceniodawcą w czwartym dominium astralnym.

Po tym, co stało się z Mohellenem ar Vanth, świat ludzi stał się dla Krzycącego w Ciemności zbyt mały i zbyt niebezpieczny, przynajmniej na najbliższych kilka lat. Ale istniały jeszcze sfery. Sfery, których rubieże sięgały daleko w głąb obcych wymiarów. Gdzie czekały cuda i dziwy, niebezpieczeństwa, ale też potencjalne sojusze, doświadczenie i wiedza. I gdzie niespecjalnie lubiano srebrnych magów.

Będzie się rozwijał. Będzie działał. A Dolina Popiołów będzie go strzec. Dyskretnie, z odległości, nie ingerując, jeśli nie okaże się to bezwzględnie konieczne. Był zbyt cenny, by pozostawić go zupełnie bez opieki.

– Jesteś nasz – wyszeptała z uśmiechem Naleah, patrząc, jak żmij materializuje się wśród zrujnowanych budynków, wznoszących się wysoko ku wstrętne żółtawemu niebu, i ruchem dłoni zmienia iluzję, przeistaczając się w nobliwego, zamożnie odzianego Nedgvarczyka z ciemnym znamieniem na policzku. – Zawsze będziesz nasz.

Text copyright © by Agnieszka Hałas 2013, 2017
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor tego wydania: Agnieszka Horzowska

Projekt serii oraz ilustracja na okładce: Paweł Stepanow
Opracowanie graficzne okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *W mocy wichru*, wyd. II książkowe, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-907-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**